

STEPHEN KING

PAN MERCEDES



O książce

W nękanym kryzysem amerykańskim mieście zdesperowani ludzie stoją w kolejce po pracę. Niektórym nie będzie już potrzebna, bo w tłum bezrobotnych wjeżdża na pełnym gazie szalencie w mercedesie. Zebrawszy swoje żniwo – ośmiu zabitych i kilkunastu rannych – znika w porannej mgle. Policji nie udaje się znaleźć sprawcy.

Pogrążający się w depresji Bill Hodges, emerytowany detektyw z wydziału zabójstw, myśli o tej nierozwiązanej sprawie równie często jak o samobójstwie. Dopiero list od zabójcy z mercedesa, który w zamierzeniu nadawcy miał popchnąć byłego policjanta do tego ostatecznego kroku, budzi w nim wolę życia. Potrzeba znalezienia sprawcy masakry bezrobotnych wynika w równej mierze z pragnienia wymierzenia sprawiedliwości, co z przeświadczenia, że morderca jeszcze nie zaspokoił swojej chorej żądz zabijania.

Rozpoczyna się wyścig z czasem. Stawką jest życie setek, a nawet tysięcy ludzi, a przeciwnik jest wprawdzie szaleńcem, ale piekielnie inteligentnym.

STEPHEN KING

Wybitny pisarz amerykański, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book Award. Debiutował pod koniec lat sześćdziesiątych, ale światową sławę przyniosła mu wydana w 1973 r. powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, zbiory opowiadań, komiksy, scenariusze filmowe i sztuki teatralne – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak **Lśnienie, Sklepik z marzeniami, Christine, Zielona mila, Desperacja, Komórka, Ręka mistrza, Pod kopułą, Czarna bezgwiazdowa noc, Dallas '63, Joyland, Doktor Sen** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**. Proza Kinga należy do najczęściej ekranizowanych, a wśród reżyserów, którzy podejmowali się tego zadania, są takie nazwiska jak Brian de Palma, Stanley Kubrick czy David Cronenberg. Prawa filmowe do **Pana Mercedesa** zostały sprzedane, jeszcze zanim książka trafiła do księgarni.

www.stephenking.com

Tego autora w Wydawnictwie Albatros
ROSE MADDER

DOLORES CLAIBORNE

GRA GERALDA

DESPERACJA

REGULATORZY

SKLEPIK Z MARZENIAMI

BEZSENNOSC

ZIELONA MILA

MARZENIA I KOSZMARY

KOMÓRKA

4 PO PÓŁNOCY

CHUDSZY

TO

BASTION

OCZY SMOKA

PO ZACHODZIE SŁOŃCA

CZTERY PORY ROKU

UCIEKINIER

CZARNA BEZGWIEZDNA NOC

CUJO

PODPALACZKA

ROK WILKOŁAKA

MROCZNA POŁOWA

WOREK KOŚCI

DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA TOMA GORDONA

NOCNA ZMIANA

ŁOWCA SNÓW

PRACE DROGOWE

PAN MERCEDES

Saga MROCZNA WIEŻA

ROLAND

POWOŁANIE TRÓJKI

ZIEMIE JAŁOWE

CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ

WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

WILKI Z CALLA

PIEŚŃ SUSANNAH

MROCZNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA

DŁUGA DROGA DO DOMU

ZDRADA

UPADEK GILEAD

BITWA O JERICHO HILL

POCZĄTEK PODRÓŻY

SIOSTRZYCZKI Z ELURII

BITWA O TULL

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill

W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O’Nan

TWARZ W TŁUMIE

Z myślą o Jamesie M. Cainie

Wyrzucono mnie koło południa z ciężarówki załadowanej sianem...^[1]

Tekst piosenki *Pocałunki w lunaparku* (napisanej przez Stephen Kinga i Shootera Jenningsa) udostępniony za pozwoleniem Bad Nineteen Music, copyright © 2012.

SZARY MERCEDES

Augie Odenkirk miał datsuna z 1997 roku, który mimo wielu kilometrów na liczniku wciąż dobrze ciągnął, ale benzyna była droga, zwłaszcza dla faceta bez pracy, a City Center leżało na drugim końcu miasta, więc Augie postanowił pojechać ostatnim wieczornym autobusem. Wysiadł dwadzieścia po jedenastej, z plecakiem na ramionach i zwiniętym śpiworem pod pachą. Pomyślał, że o trzeciej nad ranem będzie się cieszył z puchowego śpiwora. Noc była mglista i przejmująco zimna.

– Powodzenia, stary – pożegnał go kierowca. – Powinieneś dostać jakąś nagrodę za to, że będziesz tam pierwszy.

Tylko że nie był pierwszy. Kiedy dotarł na szczyt szerokiego, stromej podjazdu prowadzącego do wielkiej hali, zobaczył co najmniej dwa tuziny ludzi czekających już przed rzędem drzwi. Niektórzy stali, większość siedziała. Ustawiono słupki i rozciągnięto pomiędzy nimi żółtą taśmę z napisami NIE PRZEKRACZAĆ; powstało skomplikowane przejście, kręte jak labirynt. Augie znał to z kin i banku, w którym miał obecnie debet, i rozumiał cel: stłoczyć jak najwięcej ludzi na jak najmniejszej przestrzeni.

Podchodząc do grupy ludzi, którzy wkrótce utworzą korowód bezrobotnych ubiegających się o pracę, Augie ze zdumieniem i konsternacją zobaczył, że kobieta na końcu kolejki trzyma śpiące dziecko w nosidełku. Dziecko miało policzki zaczerwienione z zimna; przy każdym wydechu nieznacznie rzęziło.

Kobieta usłyszała kroki lekko zasapanego Augiego i odwróciła się. Była młoda i całkiem ładna, mimo podkrążonych oczu. Przy jej nogach stała nieduża pikowana torba. Augie przypuszczał, że zawiera rzeczy dla dziecka.

– Cześć – powiedziała kobieta. – Witamy w Klubie Rannych Ptasek.

– Kto rano wstaje... – Zastanowił się, pomyślał: A co tam, i wyciągnął rękę. – August Odenkirk. Augie. Niedawno mnie zredukowali. Tak się mówi w dwudziestym pierwszym wieku, jak kogoś wyleją.

Podala mu rękę. Miała przyjemny uścisk, mocny, bez cienia nieśmiałości.

– Nazywam się Janice Cray, a moje małe szczęście to Patti. Mnie też chyba zredukowali. Byłam gosposią u miłej rodziny w Sugar Heights. Mój były pracodawca... ee... sprzedaje samochody.

Augie skrzywił się.

Janice kiwnęła głową.

– Wiem. Powiedział, że żałuje, ale muszą zacisnąć pasa.

– Ciągłe się to słyszy – przyznał Augie, myśląc: Nie mogłaś znaleźć nikogo do dziecka? Naprawdę nikogo?

– Musiałam ją zabrać. – Janice Cray nie potrzebowała telepatycznych zdolności, żeby odczytać jego myśli. – Nie mam nikogo, kto mógłby się nią zająć. Dosłownie nikogo. Dziewczyna z mojej ulicy nie mogła zostać całą noc, nawet gdybym jej zapłaciła, a i tak nie miałabym z czego. Nie wiem, co zrobimy, jeśli nie dostanę tej pracy.

– Twój rodzice nie mogli jej wziąć? – zapytał Augie.

– Mieszkają w Vermoncie. Gdybym miała trochę rozumu, zabrałabym Patti i pojechała do nich. Tam jest ładnie. Tylko że oni mają własne kłopoty. Tata mówi, że dom tonie. Nie dosłownie, to nie powódź ani nic takiego, tylko sprawy finansowe.

Augie kiwnął głową. To też często się słyszało.

Kilka samochodów wjeżdżało stromym podjazdem od Marlborough Street, gdzie Augie wcześniej wysiadł z autobusu. Skręciły w lewo, na rozległy, pusty parking, który z pewnością

zapełni się do rana... za kilka godzin, kiedy Pierwsze Doroczne Miejskie Targi Pracy otworzą podwoje. Żaden z samochodów nie wyglądał na nowy. Kierowcy zaparkowali i prawie ze wszystkich aut wysiadło po trzech lub czterech szukających pracy, którzy skierowali się do drzwi hali. Augie nie stał już na końcu kolejki. Sięgała prawie do pierwszego zakrętu.

– Jeśli dostanę pracę, wynajmę opiekunkę – ciągnęła Janice. – Ale dzisiaj ja i Patti musimy zacisnąć zęby.

Dziewczynka zakaszła chrapliwie, co wcale nie spodobało się Augiemu, poruszyła się w nosidełku i znowu znieruchomiała. Przynajmniej była ciepło otulona; nawet na rączkach miała maleńkie mitenki.

Dzieciaki przeżywają gorsze rzeczy, pocieszał się niepewnie Augie. Pomyślał o Dust Bowl i wielkim kryzysie. Tyle że dla niego ten był dostatecznie wielki. Dwa lata temu wszystko się układało. Nie żeby się płał w luksusach, ale jakoś wiązał koniec z końcem i zwykle nawet mógł co miesiąc odłożyć niewielką sumę. Teraz wszystko diabli wzięli. Coś się porobiło z pieniędzmi. Nie rozumiał tego; był tylko urzędasem w dziale wysyłkowym Great Lakes Transport, znał się na fakturach i używał komputera, żeby wysyłać towary drogą morską, powietrzną i lądową.

– Ludzie widzą mnie z dzieckiem i myślą, że jestem nieodpowiedzialna – mówiła nerwowo Janice. – Wiem, widzę to w ich twarzach, widziałam w twojej twarzy. Ale co miałam robić? Nawet gdyby ta dziewczyna od sąsiadów mogła zostać na całą noc, to by kosztowało osiemdziesiąt cztery dolary. Osiemdziesiąt cztery! Mam odłożone na czynsz za przyszły miesiąc, a potem jestem splukana. – Uśmiechnęła się i w blasku wysokich lamp sodowych z parkingu Augie dostrzegł lzy na końcach jej rzęs. – Rozgadałam się. Przepraszam.

– Nie musisz przepraszać.

Kolejka zrobiła już pierwszy zakręt i dotarła z powrotem do miejsca, gdzie stał Augie. Dziewczyna miała rację. Zauważył, że wiele osób gapi się na śpiące dziecko w nosidełku.

– Och, ciągle to robię. Jestem samotną, niezamężną matką bez pracy. Przepraszam wszystkich za wszystko.

Odwróciła się i popatrzyła na baner zawieszony nad szeregiem drzwi:

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

A poniżej:

Popieramy ludzi z naszego miasta!

– BURMISTRZ RALPH KINSLER

– Czasami mam ochotę przepraszać za Columbine^[2] i za jedenasty września, i za to, że Barry Bonds bierze sterydy. – Zachichotała na wpół histerycznie. – Czasami chcę nawet przeprosić za wybuch promu kosmicznego, chociaż kiedy to się stało, dopiero uczyłam się chodzić.

– Nie martw się – powiedział Augie. – Wszystko będzie dobrze.

Takie rzeczy po prostu się mówi.

– Szkoda tylko, że jest tak wilgotno. Owinęłam ją na wypadek, gdyby zrobiło się bardzo zimno, ale ta wilgoć... – Pokręciła głową. – Nic to, damy radę, prawda, Patti? – Obdarzyła Augiego słabym, pozbawionym nadziei uśmiechem. – Żeby tylko nie padało.

Nie padało, ale robiło się coraz bardziej wilgotno; widzieli kropelki wody zawieszane w smugach światła lamp sodowych. W którymś momencie Augie się zorientował, że Janice Cray

zasnęła na stojąco: zgarbiona, z jednym biodrem wysuniętym do przodu, z mokrymi włosami opadającymi na twarz, z brodą niemal wspartą na piersi. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest za kwadrans trzecia.

Dziesięć minut później Patti Cray obudziła się i zaczęła płakać. Jej matka (niezamężna matka, pomyślał Augie) wzdrygnęła się, parsknęła jak koń, uniosła głowę i próbowała wyciągnąć dziecko z nosidełka. Nie mogła sobie poradzić – nóżki małej uwięzły. Augie pomógł, przytrzymując boki nosidełka. Wreszcie Patti się wyłoniła, teraz zawodząc na całego. Krople wody lśniły na jej maleńkim różowym kaftaniku i dopasowanym czepeczku.

– Jest głodna – powiedziała Janice. – Mogę jej dać pierś, ale w dodatku się zmoczyła. Czuję przez śpioszki. Boże, nie mogę jej tu przewijać... zobacz, jaka mgła się zrobiła!

Augie zastanawiał się, jakie bóstwo obdarzone poczuciem humoru ustawiło go w kolejce za tą kobietą. Zastanawiał się również, jak, do cholery, ona przebrnie przez resztę życia... przez całe życie, nie następne osiemnaście czy ileś lat odpowiedzialności za dziecko. Żeby wyjść w taką noc tylko z torbą pieluszek! Była aż tak zdesperowana?

Położył wcześniej swój śpiwór obok torby z pieluszkami Patti. Teraz kucnął, rozwiązał tasiemki, rozwinął śpiwór i rozsunął zamek błyskawiczny.

– Włóż tam. Rozgrzejcie się. Potem podam ci to, czego potrzebujesz.

Popatrzyła na niego, trzymając wiercące się, płaczące dziecko.

– Jesteś żonaty, Augie?

– Rozwiedziony.

– Dzieci?

Pokręcił głową.

– Dlaczego jesteś dla nas taki dobry?

– Bo tu jesteśmy – odparł i wzruszył ramionami.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, podejmując decyzję, potem podała mu dziecko.

Augie trzymał Patti na odległość ramienia, zafascynowany czerwoną, rozwścieczoną twarzyczką, kapką smarków wiszącą u maleńkiego zadartego noska, pedałującymi nóżkami we flanelowych śpioszkach. Janice wsunęła się do śpiwora i uniosła ręce.

– Daj mi ją, proszę.

Augie podał dziecko i kobieta zagrzebała się głębiej w śpiwór. Obok nich, tam, gdzie kolejka po raz pierwszy się dublowała, stali i gapili się dwaj młodzi mężczyźni.

– Pilnujcie własnego nosa – warknął Augie i obcy odwrócili wzrok.

– Podasz mi pieluszkę? – poprosiła Janice. – Powinnam przewinać, zanim nakarmię.

Przyklęknął na jedno kolano na mokrym chodniku i rozpiął suwak pikowanej torby.

W pierwszej chwili zdziwił się, widząc pieluszki z tkaniny zamiast pampersów, potem zrozumiał. Pieluszek z materiału można używać wiele razy. Może ta kobieta nie była całkiem beznadziejna.

– Widzę butelkę Baby Magic. Też ci dać?

Z wnętrza śpiwora, skąd wystawał teraz tylko kosmyk brązowych włosów, padła odpowiedź:

– Tak, poproszę.

Podał pieluszkę i balsam. Śpiwór zaczął się kręcić i podskakiwać. Początkowo płacz się nasilił. Z któregoś dalszego zakrętu kolejki, ginącego w gęstniejącej mgłę, ktoś zawołał:

– Nie możecie uciszyć tego bachora?!

Ktoś inny dodał:

– Powinno się wezwać opiekę społeczną.

Augie czekał, obserwując śpiwór. Wreszcie materiał przestał się poruszać i wysunęła się ręka trzymająca pieluszkę.

– Włóżysz to do torby? Tam jest plastikowy worek na brudne. – Janice wyrzała jak kret z nory. – Nie bój się, to nie kupka, tylko mokre.

Augie wziął pieluszkę, włożył do plastikowego worka (z nadrukiem COSTCO), potem zamknął torbę na suwak. Płacz dochodził z wnętrza śpiwora jeszcze przez jakąś minutę, potem ucichł nagle, kiedy Patti zaczęła się pożywiać na parkingu City Center. Nad szeregiem drzwi, które nie otworzą się jeszcze przez sześć godzin, załopotał niefrasobliwie baner.

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

Akurat, pomyślał Augie. I nie złapiesz AIDS, jeśli zażywasz dużo witaminy C.

Minęło dwadzieścia minut. Na wzgórze wjechało z Marlborough Street więcej samochodów. Do kolejki dołączyło więcej ludzi. Augie ocenił, że czeka już około czterystu osób. W tym tempie zbierze się ze dwa tysiące, i to według ostrożnych szacunków, zanim drzwi się otworzą o dziewiątej.

Gdyby mi zaproponowali smażenie frytek w McDonalddie, zgodziłbym się? – myślał.

Pewnie tak.

A stanowisko witającego klientów w Walmarcie?

Och, jasne. Szeroki uśmiech i „witamy serdecznie”. Augie uznał, że mógłby wykonywać tę pracę z palcem w nosie.

Jestem towarzyski, pomyślał. I parsknął śmiechem.

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Nic – odparł Augie. – Karm tego dzieciaka.

– Karmię – odpowiedziała Janice z uśmiechem.

O wpół do czwartej uklęknął, podniósł klapę śpiwora i zajrzał do środka. Janice Cray spała mocno, zwinięta w kłębek, z dzieckiem przy piersi. Ten widok przypomniawszy mu *Grona gniewu*. Jak się nazywała ta dziewczyna? Ta, która na końcu karmiła piersią mężczyznę? Imię jak nazwa kwiatu, pomyślał. Lily? Nie. Dahlia? Z całą pewnością nie. Miał ochotę złożyć dłonie wokół ust, podnieść głos i zawołać do tłumu: CZY KTOŚ TU CZYTAŁ GRONA GNIEWU?!

Kiedy się podnosił (uśmiechając się na myśl o tym absurdalnym pytaniu), przypomniawszy mu się imię. Rose. Tak się nazywała dziewczyna w *Gronach gniewu*. Ale nie po prostu Rose; Rosesharon, Róża Szaronu. Brzmiało biblijnie, jednak nie dałby za to głowy; nigdy nie czytał Biblii.

Popatrzył na śpiwór, w którym spodziewał się spędzić najzimniejsze godziny nocy, i pomyślał o Janice Cray, która chciała przeproszać za Columbine, jedenasty września i Barry’ego Bondsza. Pewnie wzięłaby też na siebie winę za efekt cieplarniany. Może po wszystkim, kiedy dostaną pracę... albo nie – co było równie prawdopodobne – zaprosi ją na śniadanie. Żadna randka, nic takiego, tylko jajecznicza na bekonie. A potem nigdy więcej się nie spotkają.

Przybywało coraz więcej ludzi. Zapełnili do końca serpentynowe przejścia ogrodzone taśmą z ważniackim napisem NIE PRZEKRACZAĆ. Potem kolejka rozciągnęła się na parking. Co dziwiło Augiego – i trochę niepokoiło – to panująca wszędzie cisza. Jakby wszyscy wiedzieli, że im się nie powiedzie, i tylko czekali na oficjalne potwierdzenie.

Baner znowu niefrasobliwie zatrzepotał.

Mgła wciąż gęstniała.

Tuż przed piątą Augie ocknął się z drzemki, potupał, żeby odzyskać władzę w zdrętwiałych nogach, i spostrzegł, że w ciemność wkradło się brzydkie światło barwy żelaza. Stanowiło całkowite przeciwieństwo różanopalcej jutrzeźki poetów i starych filmów w technikolorze; to była antyjutrzeźka, wilgotna i błada jak policzek wczorajszego trupa.

Widział halę City Center, powoli wyłaniającą się w całej tandetnej architektonicznej chwale z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. Widział zakręcającą dwadzieścia razy kolejkę cierpliwych ludzi, której ogon ginał we mgle. Teraz zaczęły się rozmowy, a kiedy przez hol za zamkniętymi drzwiami przeszedł woźny w szarym roboczym kombinezonie, rozległy się niegłośne, ironiczne wiwaty.

– Odkryto życie na innych planetach! – krzyknął jeden z młodych ludzi, którzy wcześniej gapili się na Janice Cray... to był Keith Frias, którego lewe ramię niedługo zostanie wyrwane.

Ta cięta uwaga wywołała śmiech i rozmowy się ożywiły. Noc minęła. Nikłe światło niespecjalnie dodawało odwagi, ale było trochę lepsze niż długie godziny przed świtem.

Augie uklękł obok śpiwora i nadstawił ucha. Uśmiechnął się, słysząc ciche, regularne chrapanie. Może niepotrzebnie się martwił o Janice Cray. Zapewne istnieją ludzie, którzy przez całe życie polegają na innych i jakoś udaje im się przetrwać, nawet nieźle im się wiedzie. Ta młoda kobieta z małym dzieckiem, chrapiąca teraz w jego śpiworze, pewnie do nich należała.

Przyszło mu do głowy, żeby przy różnych okienkach przedstawiać się z Janice Cray jako para. Wtedy obecność dziecka nie świadczyłaby o braku odpowiedzialności, tylko raczej o wspólnym zaangażowaniu. Nie miał pewności, czy ktokolwiek w to wierzy, natura ludzka w dużym stopniu pozostawała dla niego tajemnicą, ale przypuszczał, że to możliwe. Postanowił powiedzieć Janice o tym pomysśle, kiedy się obudzi. Zobaczyć, jak zareaguje. Nie mogli udawać małżeństwa; ona nie nosiła obrączki, a on zdjął swoją na zawsze przed trzema laty, ale mogli się podawać za... jak to się teraz mówi? Partnerów.

Samochody nadal wjeżdżały po stromej pochyłości z Marlborough Street w stałych odstępach. Wkrótce pojawią się również pociągi, którzy przyjadą pierwszym porannym autobusem. Augie był całkiem pewien, że złączą napływać o szóstej. Z powodu gęstej mgły widział tylko przednie światła nadjeżdżających samochodów i niewyraźne cienie przyczajone za szybami. Kilku kierowców zniechęciło się na widok ogromnego tłumu czekających i zawróciło, większość jednak jechała dalej, w stronę nielicznych pozostałych miejsc parkingowych; tylne światła ich wozów rozmywały się we mgle.

Potem Augie zauważył sylwetkę samochodu, który ani nie zawrócił, ani nie jechał dalej na koniec parkingu. Miał niezwykle jasne reflektory i żółte światła przeciwmgielne.

Lampy ksenonowe, pomyślał Augie. To mercedes benz. Co robi merc na targach pracy?

Przypuszczał, że to burmistrz Kinsler przyjechał wygłosić przemówienie do Klubu Rannych Ptaszków. Pogratulować im ikry, starej dobrej amerykańskiej inicjatywy. Jeśli tak, myślał Augie, pojawienie się w mercedesie – nawet wiekowym – jest w złym guście.

Starszy facet w kolejce przed Augiem (Wayne Welland, w ostatnich chwilach swojej ziemskiej egzystencji) powiedział:

– Czy to benz? Wygląda jak benz.

Augie chciał już odpowiedzieć, że oczywiście tak, nie można nie rozpoznać ksenonowych reflektorów mercedesa, ale wtedy kierowca samochodu bezpośrednio za niewyraźną sylwetką nacisnął klakson – długi, niecierpliwy sygnał. Ksenonowe lampy błysnęły jeszcze jaśniej, wycinając oślepiająco białe stożki wśród wiszących w powietrzu kropelek mgły, i wóz skoczył do przodu, jakby spłoszony przez klakson.

– Hej! – zawołał Wayne Welland ze zdziwieniem. To było jego ostatnie słowo.

Mercedes przyspieszył, kierując się prosto w najgęstszy tłum bezrobotnych, otoczonych przez taśmy z napisami NIE PRZEKRACZAĆ. Kilka osób próbowało uciekać, ale tylko ci na tyłach tłumy zdołali się wyrwać. Ci bliżej drzwi – prawdziwe ranne ptaszki – nie mieli szans. Uderzyli w słupki i przewrócili je, zaplątali się w taśmy, odbijali się od siebie. Tłum kołysał się do przodu i do tyłu, falował gwałtownie. Starsi i mniejsi przewracali się, inni ich tratowali.

Augie został mocno popchnięty w lewo, potknął się, odzyskał równowagę i poleciał do przodu. Czyjś łokieć z rozmachem wałnął go w kość policzkową tuż pod prawym okiem i połowę pola widzenia wypełniły jaskrawe fajerwerki przypominające te z okazji Czwartego Lipca. Drugim okiem widział, jak mercedes nie tyle wyłania się z mgły, ile jakby z niej powstaje. Wielki szary sedan, może SL500 z dwunastoma cylindrami, i wszystkie dwanaście teraz wyło.

Augie został rzucony na kolana obok śpiwora i zarobił mnóstwo kopniaków, kiedy usiłował wstać: w ramię, w szyję, w bark. Ludzie wrzeszczeli. Usłyszał krzyk kobiety: „Uważaj, uważaj, on nie hamuje!”.

Zobaczył, jak Janice Cray wystawia głowę ze śpiwora, mrugając w oszołomieniu. Znowu skojarzyła mu się z płochliwym kretem wyglądającym z nory. Krecicą, zaspaną i rozczochraną.

Przełaził na czworakach i nakrył sobą śpiwór, kobietę i dziecko w środku, jakby własnym ciałem mógł ich osłonić przed dwutonowym wytworem niemieckiej techniki. Słyszał krzyki, niemal zagłuszone przez zbliżający się ryk potężnego silnika sedana. Ktoś rąbnął go mocno w tył głowy, ale prawie tego nie poczuł.

Zdażył pomyśleć: Chciałem postawić Róży Szaronu śniadanie.

Zdażył pomyśleć: Może on skręci.

Tak, to była ich szansa, prawdopodobnie jedyna szansa. Zaczął podnosić głowę, żeby sprawdzić, czy tak się stanie, ale ogromna czarna opona przesłoniła mu świat. Poczuł, że kobieta ściska jego przedramię. Poczuł jeszcze przebłysk nadziei, że dziecko ciągle śpi. Potem czas się skończył.

DET. EM.

Hodges wychodzi z kuchni z puszką piwa w rękę, siada w fotelu telewizyjnym La-Z-Boy i stawia puszkę na stoliku z lewej strony, obok broni. To rewolwer Smith & Wesson .38 z oznaczeniem M & P stosowanym w wyposażeniu wojskowym i policyjnym. Hodges poklepuje go z roztargnieniem, jak się poklepuje starego psa, potem bierze pilota i włącza Kanał Siódmy. Trochę się spóźnił i publiczność w studiu już klaszcze.

Myśli o modzie, przelotnej i zgubnej, która nawiedziła miasto pod koniec lat osiemdziesiątych. Czy może raczej „zaraziła”, bo to było jak przejściowa gorączka. Trzy miejskie gazety pisały o tym wstępniaki tamtego lata. Teraz dwie z tych gazet wyciągnęły nogi, a trzecia dogorywa.

Prezenter wkracza na scenę w eleganckim garniturze, machając do publiczności. Hodges ogląda ten show prawie codziennie, odkąd przeszedł na emeryturę, i uważa, że prowadzący jest za inteligentny do takiej roboty, przypominającej nurkowanie w ścieku bez kombinezonu. Myśli, że prezenter należy do tego typu ludzi, którzy popełniają samobójstwo, a potem wszyscy krewni i znajomi zapewniają, że nic na to nie wskazywało; opowiadają, jaki był wesoły, kiedy go widzieli ostatni raz.

Na tę myśl Hodges znowu z roztargnieniem poklepuje rewolwer. To model Victory. Stary, ale jary. Kiedy Hodges był w czynnej służbie, miał glocka kaliber .40. Kupił go – policjanci w tym mieście musieli sami sobie kupować służbową broń – i teraz glock leży bezpiecznie ukryty w sypialni. Bezpieczny w bezpiecznym sejfie. Rozładował go i schował po uroczystym pożegnaniu, i od tamtej pory nawet na niego nie spojrział. Nic ciekawego. Lubi jednak trzydziestkęsemkę. Jest do niej sentymentalnie przywiązany, ale nie tylko o to chodzi. Rewolwer nigdy się nie zacina.

Oto pierwszy gość, młoda kobieta w krótkiej błękitnej sukience. Twarz ma ociupinkę bezmyślną, za to ciało fantastyczne. Hodges wie, że pod tą sukienką kryje się tatuaż z rodzaju tych nazywanych obecnie *tramp-stamp*. Może dwa albo trzy. Mężczyźni na widowni gwizdzą i tupią. Żeńska część widowni klaszcze trochę oszczędniej. Niektóre panie przewracają oczami. Żadna nie chciałaby, żeby jej mąż się gapił na taką kobietę.

Dziewczyna jest wkurzona od samego początku. Opowiada prezenterowi, że jej chłopak ma dziecko z inną i ciągle ich odwiedza. Ona nadal go kocha, mówi, ale nienawidzi tej...

Rozlega się przeciągły dźwięk zagłuszający jej następne słowa, ale Hodges odczytuje z ruchu warg: „pieprzonej kurwy”. Publiczność wiwatuje. Hodges pociąga łyk piwa. Wie, co będzie dalej. Ten program jest przewidywalny jak serial w piątkowe popołudnie.

Prezenter pozwala jej jeszcze trochę pogadać, po czym przedstawia... DRUGĄ KOBIECĘ! Ta też ma fantastyczne ciało i burzę blond włosów, i tatuaż. Podchodzi do pierwszej kobiety i mówi:

– Rozumiem, jak się czujesz, ale ja też go kocham.

Zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdąża, ponieważ Fantastyczne Ciało Jeden przechodzi do ataku. Ktoś za sceną daje sygnał dzwonkiem, jakby rozpoczynała się runda bokserska. Hodges myśli, że program rzeczywiście przypomina walkę i że wszyscy goście tego show muszą otrzymywać wynagrodzenie; inaczej czemu by to robili? Dwie kobiety okładają się pięściami i drapią paznokciami przez kilka sekund, po czym rozdziela je dwóch mięśniaków w koszulkach z napisem OCHRONA, którzy obserwowali całą scenę z pewnej odległości.

Przez jakiś czas kobiety wrzeszczą na siebie, gruntowna i szczerza wymiana poglądów (wiele niecenzuralnych słów zostaje zagłuszonych), podczas gdy prezenter przygląda im się dobrotliwie. Tym razem Fantastyczne Ciało Dwa podejmuje walkę na nowo, wymierzając

rywalce siarczysty policzek. Głowa Fantastycznego Ciała Jeden odskakuje do tyłu. Znowu rozlega się dzwonek. Kobiety przewracają się na scenę, zadzierając sukienki, biją się, drapią i gryzą. Publika szaleje. Mięśniaki z ochrony rozdzielają zapaśniczki i prezenter staje między nimi, przemawiając tonem z pozoru uspokajającym, w rzeczywistości podżegającym. Kobiety deklarują głębię swojej miłości, plując jedna drugiej w twarz. Prezenter zapowiada, że zaraz wróca na antenę, a potem aktorka klasy C reklamuje pigułki odchudzające.

Hodges pociąga następny łyk piwa i wie, że nie wypije nawet pół puszki. Dziwne, bo kiedy był gliną, niemal popadł w alkoholizm. Kiedy picie zniszczyło jego małżeństwo, uznał, że naprawdę jest alkoholikiem. Zmobilizował całą siłę woli i pohamował się, obiecując sobie, że będzie pił, ile dusza zapagnie, jak już odpracuje swoje czterdzieści lat... Imponująca liczba, skoro pięćdziesiąt procent miejskich gliniarzy odchodziło na emeryturę po dwudziestu pięciu latach służby, a siedemdziesiąt procent po trzydziestu. Tyle że teraz, gdy już przepracował swoją czterdziestkę, alkohol przestał go interesować. Kilka razy upił się na siłę, żeby sprawdzić, czy jeszcze może, i mógł, ale po pijaku wcale nie czuł się lepiej niż na trzeźwo. Właściwie nawet trochę gorzej. Dziwne.

Koniec reklam. Prezenter show zapowiada następnego gościa i Hodges wie, kto to będzie. Publiczność też wie. Ujadają wyczekująco. Hodges podnosi broń ojca, zagląda do lufy i odkłada rewolwer z powrotem na program telewizyjny.

Mężczyzna, o którego tak zawzięcie rywalizują Fantastyczne Ciało Jeden i Fantastyczne Ciało Dwa, wyłania się zza kulis po prawej stronie. Wiadomo, jak będzie wyglądał, zanim jeszcze wszedł dumnym krokiem, i tak, to on: pompierz na stacji benzynowej albo magazynier w Targocie, albo może gość, który zrobił ci detailing samochodu (źle) w warsztacie Mr. Speedy. Jest chudy i blady, z czarnymi włosami sterczącymi nad czołem. Nosi drelichowe spodnie i krzykliwy żółto-zielony krawat, zaciśnięty jak postronek tuż poniżej wystającego jabłka Adama. Spod nogawek spodni wystają spiczaste czubki zamszowych butów. Wiedziałeś, że kobiety mają tatuaże, i wiesz, że ten mężczyzna ma kutasa wielkiego jak koń, strzela spermą mocniej niż lokomotywa i szybciej niż rozpędzony pocisk; dziewica, która usiądzie na toalecie, gdzie ten facet się spuścił, zajdzie w ciążę. Prawdopodobnie urodzi bliźnięta. Mężczyzna szczyrzy zęby w cwaniackim uśmiechku równego gościa na luzie. Wymarzony zawód: życiowy inwalida. Wkrótce znowu zabrzmie dzwonek i dwie kobiety rzucą się na siebie. Później, kiedy wysłuchają już wystarczająco dużo jego chamskich uwag, wymienią spojrzenia, lekko kiwną głowami i obie go zaatakują. Tym razem personel ochrony zaczeka trochę dłużej, ponieważ ta końcowa bitwa to jest to, co publiczność w studiu i w domach naprawdę chce zobaczyć: kwoki napastujące koguta.

Ta krótka i fatalna moda pod koniec lat osiemdziesiątych – infekcja – nazywała się „walki meneli”. Jakiś rynsztokowy geniusz wpadł na pomysł, który okazał się zyskowny, a wtedy trzech czy czterech impresariów doskoczyło, żeby dopracować umowę. Brało się dwóch meneli i płaciło każdemu po trzydzieści dolców, żeby się napażali w wyznaczonym czasie i miejscu. Z miejsc Hodges najlepiej pamiętał stację obsługi za obskurną farmą krabów należącą do klubu striptizowego Bam Ba Lam, po wschodniej stronie miasta. Jak już ustaliłeś program walk, reklamowałeś imprezę (ustnie, bo w tamtych czasach internet nie był jeszcze powszechnie dostępny) i inkasowałeś od widzów dwadzieścia dolców od łebka. W tej, na którą Hodges i Pete Huntley zrobili nalot, uczestniczyło ponad dwie setki, obstawiali wyniki i przebijali stawki jak zwariowani. Były też kobiety, niektóre w wieczorowych sukniach i obwieszone biżuterią; patrzyły, jak dwaj żule z rozmiękłymi mózгами rzucają się na siebie, młóca i kopia, przewracają się i podnoszą, wrzeszcząc niezrozumiale. Tłum śmiał się, wiwatował i dopingował przeciwników.

Ten show jest podobny, tyle że stawkę podbijają pigułki odchudzające i towarzystwa

ubezpieczeniowe, więc Hodges przypuszcza, że zawodnicy (bo to zawodnicy, chociaż prezenter nazywa ich „gośćmi”) dostają trochę więcej niż trzydzieści dolarów i butelkę bełta. I żadne gliny się nie wtrącają, bo to równie legalne jak loteria.

Kiedy show się kończy, pojawia się sędzina, która nie bierze jeńców, osłonięta zawodową maską zniecierpliwionej prawości, i wysłuchuje skarg różnych małych gnojzków, ledwie hamując wściekłość na ich głupotę i małostkowość. Następny jest tłusty psycholog rodzinny, który doprowadza swoich gości do płaczu (nazywa to „przebiciem muru zaprzeczenia”) i każe im wyjść, jeśli któryś ośmieli się zakwestionować jego metody. Hodges przypuszcza, że tłusty psycholog nauczył się tych metod ze starych filmów instruktażowych KGB.

Hodges przełyka tę porcję kolorowego gówna codziennie po południu, siedząc w fotelu La-Z-Boy z rewolwerem ojca – tym, który tato nosił jako krawężnik – na podręcznym stoliku. Zawsze podnosi go kilka razy i zagląda do lufy. Bada tę okrągłą ciemność. Przy kilku okazjach wsunął go do ust, żeby sprawdzić, jakie to uczucie, kiedy naładowana broń leży na języku i celuje w podniebienie. Można się przyzwyczać.

Gdybym potrafił pić z dobrym skutkiem, myśli, mógłbym to odłożyć. Mógłbym to odłożyć przynajmniej na rok. A gdybym to odłożył na dwa, ta potrzeba mogłaby minąć. Mógłbym się zainteresować ogrodnictwem albo obserwowaniem ptaków, albo nawet malowaniem. Tim Quigley zaczął malować. Na Florydzie, na osiedlu dla emerytów zamieszkanym przez starych gliniarzy. Podobno Quigley naprawdę się tym pasjonował i nawet sprzedał kilka swoich prac na Ulicznym Festynie Sztuki w Venice. To znaczy do czasu udaru. Po udarze spędził osiem czy dziewięć miesięcy w łóżku, ze sparaliżowaną całą prawą stroną ciała. Skończyło się dla niego malowanie. A potem odszedł. Pa, pa.

Rozlega się dzwonek oznajmiający początek rundy i rzeczywiście obie kobiety rzucają się na chuderlawego faceta w krzykliwym krawacie, błyskają pomalowane paznokcie, powiewają długie włosy. Hodges znowu sięga po broń, ale zaledwie jej dotknął, słyszy kliknięcie klapki we frontowych drzwiach i szelest poczty spadającej na podłogę w holu.

Nic ważnego nie przychodzi pocztą w tych czasach e-maili i Facebooka, ale Hodges mimo wszystko wstaje. Przejrzy listy i odłoży ojcowski M & P .38 na następny dzień.

Kiedy Hodges wraca na fotel ze skromną kupką listów, prezenter show żegna się i zapowiada widzom TV Land, że jutro w programie zobaczą karłów. Fizycznych czy umysłowych, nie precyzuje.

Obok fotela stoją dwa małe plastikowe kosze, jeden na butelki zwrotne i puszki, drugi na śmiecie. Do kosza na śmiecie trafia reklamówka z Walmartu obiecująca OBNIŻKĘ CEN; oferta ubezpieczenia pogrzebowego adresowana do NASZEGO ULUBIONEGO SAŚIADA; ogłoszenie, że wszystkie DVD będą sprzedawane o pięćdziesiąt procent taniej tylko przez jeden tydzień w Discount Electronix; pocztówka z prośbą o „Państwa ważny głos” na faceta startującego do zwolnionej posady w radzie miejskiej. Na zdjęciu kandydat przypomina Hodgesowi niejakiego doktora Oberlina, dentystę, który stanowił postrach jego dzieciństwa. Jest też ulotka z supermarketu Albertsona. Tę Hodges odkłada (przykrywając chwilowo rewolwer ojca), ponieważ pełno w niej kuponów.

Ostatnia przesyłka wygląda na prawdziwy list – dość gruby – w standardowej biznesowej kopercie. Zaadresowany jest do Det. K. Williama Hodgesa (Em.) na Harper Road 63. Nie ma adresu nadawcy. W górnym lewym rogu, tam, gdzie zawsze, Hodges widzi drugą w dzisiejszej poczcie uśmiechniętą buźkę. Tylko że to nie Śmieszek z Walmartu z przymrużonym okiem, ale raczej e-mailowy emotikon Śmieszka w ciemnych okularach, szczerzącego zęby.

Budzi wspomnienia, i to niedobre.

Nie, myśli Hodges. Nie.

Ale otwiera list tak szybko i gwałtownie, że rozdziera kopertę i wysypują się cztery zadrukowane kartki – nie napisane na maszynie, tylko wydrukowane komputerową czcionką, która wygląda jak maszynowa.

„Drogi detektywie Hodges”, brzmi nagłówek.

Hodges sięga, nie patrząc, strąca ulotkę Albertsona na podłogę, po omacku omija broń, nawet tego nie zauważywszy, i chwyta pilota. Wyłącza telewizor, przerywając gderanie sędziny niebiorącej jeńców, i skupia uwagę na liście.

Drogi detektywie Hodges!

Mam nadzieję, że pozwoli mi Pan używać tego tytułu, chociaż od 6 miesięcy jest Pan na emeryturze. Uważam, że jeśli niekompetentni sędziowie, skorumpowani politycy i głupi dowódcy wojskowi mogą zatrzymać swoje tytuły po zakończeniu kariery, to samo powinno dotyczyć jednego z najczęściej odznaczanych oficerów policji w historii tego miasta.

A więc niech będzie detektyw Hodges!

Sir (następny tytuł, na który Pan zasługuje, gdyż jest Pan prawdziwym Rycerzem Odznaki i Spluwy), piszę z wielu powodów, ale powinienem zacząć od pogratulowania Panu wielu lat służby, 27 jako detektyw i 40 ogółem. Oglądałem fragmenty ceremonii pożegnalnej w telewizji (kanał drugi publicznej TV, przez wielu pomijany), i przypadkiem wiem, że później wieczorem w Raintree Inn przy lotnisku odbyło się przyjęcie.

To na pewno była prawdziwa ceremonia pożegnalna!

Oczywiście nigdy nie uczestniczyłem w takim „jublu”, ale oglądam dużo policyjnych programów w telewizji i chociaż zdaję sobie sprawę, że wiele z nich przedstawia bardzo fałszywy obraz „służb policyjnych”, w kilku pokazano takie pożegnalne przyjęcia (NYPD Blue, Homicide, The Wire itd.) i chciałbym wierzyć, że DOKŁADNIE w ten sposób Rycerze Odznaki i Spluwy żegnają jednego ze swoich współtowarzyszy. To całkiem możliwe, bo czytałem również epizody z „pożegnalnych przyjęć” w co najmniej dwóch książkach Josepha Wambaugh i są bardzo podobne. On powinien się na tym znać, bo też jest „Det. Em.”, jak Pan.

Wyobrażam sobie baloniki zawieszzone pod sufitem, mnóstwo alkoholu, mnóstwo świntuszenia, mnóstwo wspomnienia dawnych czasów i dawnych spraw. Pewnie jest też głośna, wesola muzyka i może striptizerka albo dwie, „kręcące kuperkami”. I przemówienia, dużo zabawniejsze i dużo prawdziwsze niż na wcześniejszej „sztywnej” uroczystości.

Jak mi idzie?

Całkiem nieźle, pomyślał Hodges. Całkiem nieźle.

Według moich informacji w trakcie kariery detektywistycznej rozwiązał Pan dosłownie setki spraw, wiele z nich tego rodzaju, które dziennikarze (nazywani przez Teda Williama Rycerzami Klawiatury) określają jako „głośne”. Złapał Pan Zabójców i Rabusiów, Podpalaczy i Gwałcicieli. W jednym artykule (opublikowanym w odpowiednim czasie, żeby zbiegł się z Pańskim odejściem na emeryturę) Pański długoletni partner (Det. 1. stopnia Peter Huntley) opisuje Pana jako „połączenie praworządności i intuicyjnej błyskotliwości”.

Miły komplement!

Jeśli to prawda, a myślę, że tak, zrozumiał Pan już, że jestem jednym z tych niewielu, których Pan nie złapał. W rzeczywistości jestem człowiekiem, którego prasa nazywa:

a) Jakerem

b) Klaunem

albo

c) Zabójcą z Mercedesa.

Wolę to ostatnie!

Z pewnością dołożył Pan „wszelkich starań”, lecz niestety (dla Pana, nie dla mnie) podniósł Pan porażkę. Wyobrażam sobie, detektywie Hodges, że ze wszystkich „sprafców” najbardziej chciał Pan schwytać tego, który przed rokiem umyślnie wjechał w tłum przed Targami Pracy w City Center, zabijając osiem osób i raniąc dużo więcej. (Muszę powiedzieć, że wynik przekroczył moje najśmielsze oczekiwania). Czy myślał Pan o mnie, kiedy wręczali Panu tamtą plakietkę na Oficjalnej Ceremonii Pożegnalnej? Czy myślał Pan o mnie, kiedy

koledzy z Bractwa Rycerzy Odznaki i Splwy opowiadali historyjki o (tylko zgaduję) przestępcach przyłapanych dosłownie z opuszczonymi gaciami albo zabawnych kawałach urządzanych w starej dobrej sali odpraw?

Założę się, że tak!

Chcę Panu opowiedzieć, jaka to była zabawa. (Jestem teraz szczery). Kiedy nacisnąłem „gaz do dechy” i wjechałem mercedesem biednej starej pani Olivii Trelawney w ten tłum ludzi, miałem największy „wzwód” w życiu! A czy moje serce waliło 200 razy na minutę? „Jeszcze jak!”

W tym miejscu pojawił się następny Śmieszek w ciemnych okularach.

Zdradzę Panu coś, co jest prawdziwą „tajną informacją”, i jeśli chce Pan się śmiać, proszę bardzo, bo to rzeczywiście trochę śmieszne (choć świadczy również o mojej ostrożności). Miałem na nim kondom! „Gumę”! Ponieważ obawiałem się Spontanicznej Ejakulacji i w rezultacie zostawienia DNA! No, nie doszło do tego, ale od tamtego czasu wiele razy się masturbowałem, wspominając, jak oni próbowali uciekać i nie mogli (byli ściśnięci jak sardynki), i jacy byli przestraszeni (to było takie śmieszne), i jak szarpnęło mnie do przodu, kiedy samochód się w nich „worał”. Tak mocno, że pas bezpieczeństwa się zablokował. Rany, to było podniecające.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co się może stać. Myślałem, że mam szansę 50 na 50, że mnie złapią. Ale jestem „niepoprawnym optymistą”, przygotowanym raczej na Sukces niż na Porażkę. Kondom to „tajna informacja”, ale założę się, że wasz wydział techniczny (oglądam też CSI) był cholernie rozczarowany, kiedy nie znaleźli żadnego DNA na wewnętrznej stronie maski klauna. Na pewno powiedzieli: „Szlag! Ten cwany sprafca widocznie założył siatkę na włosy!”

I mieli rację! W dodatku umyłem maskę WYBIELACZEM!

Wciąż jeszcze przeżywam te łupnięcia, kiedy w nich wałnąłem, i chrzest zgniatania, i podskakiwanie samochodu na amortyzatorach, kiedy przejeżdżał po ciałach. Pod względem mocy i sterowności nie ma to jak 13-cylindrowy mercedes! Kiedy przeczytałem w gazecie, że jedną z moich ofiar było niemowlę, byłem zachwycony! Zdmuchnąć tak młode życie! Pomyśleć, ile ona straciła, hę? Patricia Gray, niech spoczywa w pokoju! Mamuszkę też dopadłem! Dżem truskawkowy w śpiworze! Co za rozkoszny dreszczyk, no nie? Lubię też myśleć o tym facecie, który stracił ramię, i jeszcze bardziej o tych dwóch, którzy są sparaliżowani. Martine Stover, mężczyzna tylko od pasa w górę, jest teraz „bezwładnym kłosem”. Nie umarli, ale pewnie ŻAŁUJĄ, że nie umarli! Co Pan na to, detektywie Hodges?

Teraz Pan pewnie myśli: Co to za chory i pokręcony zbok? W zasadzie nie dziwię się Panu, ale możemy o tym podyskutować! Myślę, że bardzo wielu ludzi z radością zrobiłoby to co ja i dlatego lubię książki i filmy (i w naszych czasach nawet programy TV) o Torturach i Ćwiartowaniu, itd., itd., itd. Jedyne różnica polega na tym, że ja to naprawdę zrobiłem. Ale nie dlatego, że jestem szalony (w każdym sensie). Po prostu dlatego, że choć nie wiedziałem dokładnie, jakie to będzie doświadczenie, wiedziałem, że będzie absolutnie porywające, „niezapomniane”, jak to się mówi. Większości ludzi w dzieciństwie zakłada się Ołowiane Buty i muszą je nosić przez całe życie. Te Ołowiane Buty to inaczej SUMIENIE. Ja go nie mam, więc mogę szybować wysoko ponad głowami Zwyczajnego Tłumu. A gdyby mnie złapali? No, gdyby mnie złapali na miejscu, gdyby w mercedesie pani Trelawney zgasł silnik albo coś (małe szanse, bo wydawał się bardzo dobrze utrzymany), pewnie tłum rozerwałby mnie na strzępy, brałem pod uwagę taką możliwość, ale to tylko zwiększało podniecenie. Wątpię jednak, czyby do tego doszło, bo większość ludzi to owce, a owce nie jedzą mięsa. (Pewnie mogliby mnie trochę pobić, ale potrafię znieść bicie). Prawdopodobnie zostałbym aresztowany i postawiony przed sądem,

gdzie zgłosiłbym niepoczytalność. Może nawet jestem szalony (naturalnie taka myśl przyszła mi do głowy), ale to szczególny rodzaj szaleństwa. W każdym razie moneta upadła reszką do dołu i uciekłem.

Mgła pomogła!

No i widziałem coś jeszcze, tym razem na filmie. (Nie pamiętam tytułu). Był sobie Seryjny Zabójca, bardzo sprytny, i z początku gliniarze (jednego z nich grał Bruce Willis, dawniej, kiedy jeszcze miał trochę włosów) nie mogli go złapać. Więc Bruce Willis powiedział: „On to znowu zrobi, bo nie może się powstrzymać, i prędzej czy później popełni błąd, a wtedy go złapiemy”.

I złapali!

To nie dotyczy mojego przypadku, detektywie Hodges, ponieważ ja absolutnie nie czuję potrzeby, żeby to znowu zrobić. W moim przypadku jeden raz wystarczył. Mam swoje wspomnienia, jasne jak słońce. I oczywiście to, jak się ludzie bali potem, bo byli pewni, że znowu to zrobię. Pamięta Pan publiczne zgromadzenia, które odwoływano? To okazało się niezbyt ekscytujące, ale było „tres amusant”.

Więc jak Pan widzi, obaj jesteśmy „Em.”.

Skoro o tym mowa, żałuję tylko, że nie mogłem uczestniczyć w Pańskim przyjęciu pożegnalnym w Raintree Inn i wznieść toastu za Pana zdrowie, mój poczciwy Sir Detektywie. Zrobił Pan absolutnie wszystko, co w Pana mocy. Oczywiście detektyw Huntley też, ale jeśli dokumenty i doniesienia internetowe o Waszych karierach mówią prawdę, Pan grał w Pierwszej Lidze, a on był i zawsze będzie graczem trzecioligowym. Z pewnością śledztwo ciągle jest „w toku” i od czasu do czasu on wyciąga stare raporty, żeby je studiować, ale do niczego nie dojdzie. Obaj chyba o tym wiemy.

Czy mogę dołączyć Wyrazy Zaniepokojenia?

W niektórych programach telewizyjnych (a także w jednej z książek Wambaugh, chyba, chociaż może u Jamesa Pattersona) po wielkim przyjęciu z balonikami, popijawą i muzyką następuje smutna scena końcowa. Detektyw wraca do domu i odkrywa, że bez Splywy i Odznaki jego życie nie ma sensu. Co potrafię zrozumieć. Jak się zastanowić, cóż jest smutniejszego niż Stary Emerytowany Rycerz? W każdym razie Detektyw na końcu strzela do siebie (zawsze ze Służbowego Rewolweru). Sprawdziłem w internecie i dowiedziałem się, że to wcale nie jest fikcją. Takie rzeczy naprawdę się zdarzają!

Wśród emerytowanych policjantów jest niezwykle wysoki wskaźnik samobójstw!

W większości przypadków gliniarze, którzy popełniają ten smutny uczynek, nie mają bliskiej rodziny, więc nikt nie zauważa Znaków Ostrzegawczych. Wielu, jak Pan, jest rozwiedzionych. Wielu ma dorosłe dzieci, mieszkające daleko od domu. Wyobrażam sobie, jak siedzi Pan samotnie w swoim domu na Harper Road, detektywie Hodges, i zaczynam się martwić. Co Panu zostało z życia, kiedy „dreszczyk polowania” przeminął? Ogląda Pan dużo telewizji? Możliwe. Więcej Pan pije? Prawdopodobnie. Czy godziny mijają wolniej, odkąd życie stało się takie puste? Czy cierpi pan na bezsenność? Ojej, mam nadzieję, że nie.

Ale obawiam się, że jednak tak!

Pewnie potrzebuje Pan jakiegoś Hobby, żeby mieć o czym myśleć, zamiast o „tym, który zwał” i że nigdy mnie Pan nie złapie. Szkoda byłoby, gdyby Pan zaczął myśleć, że cała Pańska kariera była stratą czasu, bo facet, który zabił tylu Niewinnych Ludzi, „prześliznął się Panu przez palce”.

Nie chciałbym, żeby zaczął Pan myśleć o swojej broni.

Ale Pan o niej myśli, prawda?

Chciałbym na koniec przekazać ostatnie pozdrowienie od „tego, który zwał”.

Pozdrowienie brzmi:

PIERDOL SIĘ, ZŁAMASIE!

Żartowałem!

Szczerze oddany

ZABÓJCA Z MERCEDESA

Poniżej znajdował się jeszcze jeden Śmieszek. A pod nim:

PS! Przykro mi z powodu pani Trelawney, ale kiedy Pan przekaże ten list detektywowi Huntleyowi, niech Pan mu powie, żeby się nie fatygował przeglądaniem zdjęć, które policja z pewnością zrobiła na jej pogrzebie. Byłem tam tylko w wyobraźni. (Mam bardzo bujną wyobraźnię).

PPS: Chce Pan się ze mną skontaktować? Przekazać mi swoją „opinię”? Niech Pan spróbuje Pod Niebieskim Parasolem Debbie. Podam Panu nawet nazwę użytkownika: „kermitzaba19”. Może nie odpowiem, ale „hej, nigdy nie wiadomo”.

PPPS: Mam nadzieję, że ten list Pana rozweselił!

Hodges siedzi bez ruchu przez dwie minuty, cztery minuty, sześć, osiem. Całkiem nieruchomo. Trzyma list w ręku i patrzy na grafikę Andrew Wyetha na ścianie. W końcu odkłada kartki na stolik obok fotela i bierze kopertę. Stempel pocztowy jest z tego miasta, co go nie dziwi. Nadawca chce mu pokazać, że jest blisko. To kolejna prowokacja. Jak by to ujął jego korespondent...

Na tym polega zabawa!

Dzięki nowym środkom chemicznym i komputerowo wspomaganym procesom skanowania będzie można zdjąć z papieru wyraźne odciski palców, jednak Hodges wie, że jeśli przekaże ten list technikom, znajdą tylko jego odciski. Ten facet jest szalony, ale jego samoocena – „cwany sprawca” – jest absolutnie słuszna. Tylko że napisał „sprafca” zamiast „sprawca”, i to dwa razy. Poza tym...

Zaraz, zaraz.

Co to znaczy: „jeśli przekaże”?

Hodges wstaje, z listem w ręku podchodzi do okna i wygląda na Harper Road. Córka Harrisonów śmiga przed jego domem na motorowerze. Jest za młoda, żeby tym jeździć, nieważne, co mówi prawo, ale przynajmniej nosi kask. Furgonetka lodziarza przejeżdża z dzwonieniem; przy ładnej pogodzie obsługuje wschodnią stronę miasta od zakończenia lekcji do zmierzchu. Przetacza się czarny minisamochód Smart. Kobieta za kierownicą ma siwiejące włosy zakręcone na lokówki. Czy to na pewno kobieta? To może być mężczyzna w sukience i peruce. Wałki są idealnym dopełnieniem kamuflażu, prawda?

On chce, żebyś tak myślał.

Ale nie. Nie całkiem.

Nie konkretnie. Ten samozwańczy Zabójca z Mercedesa (choć miał rację, gazety i telewizja naprawdę go tak nazwały) chce, żebyś ogólnie myślał w ten sposób.

To lodziarz!

Nie, to facet przebrany za kobietę w smarcie!

Nie, nie, to kierowca cysterny z propanem albo inkasent odczytujący liczniki!

Jak się zaszczepia taką paranoję? Warto mimochodem napomknąć, że znasz nie tylko adres eksdetektywa. Wiesz, że jest rozwiedziony, i co najmniej sugerujesz, że ma dziecko albo więcej dzieci.

Teraz Hodges spogląda na trawnik, zauważa, że trzeba go skosić. Jeśli Jerome wkrótce się nie zgłosi, myśli, będą musiał do niego zadzwonić.

Dziecko albo dzieci? Nie oszukuj się. On wie, że moja była ma na imię Corinne i mamy jedno dorosłe dziecko, córkę Alison. On wie, że Alison ma trzydzieści lat i mieszka w San Francisco. Pewnie wie również, że Alison ma sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i gra w tenisa. Takie informacje są powszechnie dostępne w sieci. W naszych czasach wszystkiego można się tam dowiedzieć.

Następnym posunięciem Hodgesa powinno być przekazanie listu Pete'owi i nowej partnerce Pete'a, Isabelle Jaynes. Odziedziczyli tę aferę z mercedesem i kilka innych nierozwiązanych spraw, kiedy Hodges przeszedł na emeryturę. Niektóre sprawy są jak bezczynne komputery: jeśli nikt się nimi nie zajmuje, to je usypia. Ten list natychmiast obudzi sprawę mercedesa.

Prześledził w myślach trasę listu.

Ze szpary w drzwiach na podłogę w holu. Z podłogi do fotela La-Z-Boy. Z fotela do okna, gdzie teraz Hodges obserwuje furgonetkę pocztową wracającą tą samą drogą – Andy

Fenster skończył na dzisiaj. Stąd do kuchni, gdzie list trafi do całkiem niepotrzebnej plastikowej torebki, takiej ze strunowym zapięciem, bo stare nawyki są najsilniejsze. Następnie do Pete'a i Isabelle. Od Pete'a do laboratorium policyjnego na pełne rozwarcie i łyżeczowanie, gdzie zostanie udowodnione ponad wszelką wątpliwość, że plastikowa torebka była niepotrzebna: żadnych odcisków palców, żadnych włosów, żadnego DNA, papier dostępny na kopy w każdym sklepie papierniczym w mieście, i wreszcie – końcowy akcent – standardowy laserowy druk. Może potrafią określić typ komputera, na którym napisano list (co do tego nie miał pewności; nie znał się na komputerach i kiedy miał kłopoty ze swoim, zwracał się do Jerome'a, który mieszkał dogodnie po sąsiedzku), a wtedy okaże się, że to mac albo PC. Hip, hip, hura.

Z laboratorium list wróci do Pete'a i Isabelle, którzy niewątpliwie zorganizują idiotyczne gliniarskie sympozjum w rodzaju tych, jakie pokazują w telewizyjnych serialach BBC, jak *Luther* albo *Główny podejrzany* (zapewne uwielbianych przez psychopatycznego korespondenta Hodgesa). Na tym sympozjum nie zabraknie oczywiście białej tablicy i fotograficznego powiększenia listu, może nawet laserowego wskaźnika. Hodges też ogląda czasami brytyjskie seriale kryminalne i podejrzewa, że Scotland Yard zapomniał o starym przysłowiu: gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

Sympozjum glin osiągnie tylko jedno i Hodges przypuszcza, że właśnie na tym zależy temu psycholowi: przy zaangażowaniu dziesięciu czy dwunastu detektywów wiadomość o liście w nieunikniony sposób przecieknie do prasy. Psychol raczej nie mówi prawdy, kiedy twierdzi, że nie czuje potrzeby powtórzenia swojej zbrodni, ale jednego Hodges jest absolutnie pewien: chciałby, żeby znowu o nim pisano. Brakuje mu tego.

Na trawniku kielkują mlecze. Stanowczo trzeba zadzwonić do Jerome'a. I nie chodzi tylko o trawnik – Hodges tęskni za towarzystwem chłopaka. Fajny dzieciak.

Coś jeszcze. Nawet jeśli psychol mówi prawdę, że nie czuje potrzeby, żeby popełnić kolejne masowe morderstwo (mało prawdopodobne, ale niewykluczone), nadal jest żywo zainteresowany śmiercią. Podtekst listu jest bardzo wyraźny. „Skończ ze sobą. I tak już o tym myślisz, więc zrób następny krok. Który będzie również krokiem ostatnim”.

Czy widział, jak się bawię trzydziestkąósemką taty? – myśli Hodges.

Widział, jak ją wkładałam do ust?

Hodges musi przyznać, że to możliwe; nigdy nie pomyślał, żeby zaciągnąć zasłony. Czuł się głupio bezpieczny we własnym salonie, do którego każdy mógł zajrzeć przez lornetkę. Albo Jerome mógł go zobaczyć. Jerome nadchodzący rozhuśtanym krokiem, żeby zapytać, czy jest jakaś robota: dla zgrywu mówiący „robota-durnota”.

Tylko gdyby Jerome zobaczył go bawiącego się tym starym rewolwerem, przestraszyłby się śmiertelnie. Powiedziałby coś.

Czy Pan Mercedes naprawdę masturbuje się, kiedy wspomina, jak rozjechał tamtych ludzi?

Przez lata pracy w policji Hodges widział rzeczy, o jakich nigdy nie rozmawiałby z kimś, kto ich nie widział. Takie toksyczne wspomnienia każą mu uwierzyć, że jego korespondent mówi prawdę o masturbacji, podobnie jak mówi prawdę o braku sumienia. Hodges czytał, że na Islandii są studnie tak głębokie, że można do nich wrzucić kamień i wcale nie usłyszeć plusku. Myśli, że niektóre ludzkie dusze przypominają te studnie. Walki meneli są dopiero w połowie ich głębokości.

Wraca do fotela La-Z-Boy, otwiera szufladę stolika i wyjmuje telefon komórkowy. Na jego miejsce wkłada trzydziestkąósemkę i zamyka szufladę. Naciska przycisk szybkiego wybierania i dzwoni na policję, ale kiedy recepcjonistka pyta, dokąd przełączyć rozmowę, Hodges mówi:

– O cholera. Wybrałem zły numer. Przepraszam za kłopot.
– Żaden kłopot, proszę pana – odpowiada ona z uśmiechem w głosie.
Na razie żadnych telefonów. Żadnego działania. Musi o tym pomyśleć.
Naprawdę, naprawdę musi o tym pomyśleć.
Hodges siedzi i gapi się w telewizor, wyłączony po południu pierwszy raz od miesiący.

Tego wieczoru jedzie na Newmarket Plaza i zjada kolację w tajskiej restauracji. Pani Buramuk osobiście go obsługuje.

- Dawno pana nie widziałam, detektywie Hodges. – Wymawia to „dedekta Hutches”.
- Sam sobie gotuję, odkąd jestem na emeryturze.
- Lepiej niech ja gotuję. Dużo lepiej.

Skosztowawszy ponownie *tom yum gang* pani Buramuk, uświadamia sobie, jak serdecznie ma dość niedosmażonych hamburgerów i spaghetti z gotowym sosem Newmana. A *sang kaya fug tong* uświadamia mu, jak bardzo mu się przejadło kokosowe ciasto Pepperidge Farm. Gdyby już nigdy nie zjadł porcji kokosowego ciasta, myśli, żyłby długo i umarłby szczęśliwy. Wypija do posiłku dwie puszki singhy, najlepsze piwo, jakie pił od czasu przyjęcia pożegnającego w Raintree, które odbyło się prawie dokładnie tak, jak opisał Pan Mercedes; była nawet striptizerka „kręcąca kuperkiem”. Razem ze wszystkim innym.

Czyżby tamtego wieczoru Pan Mercedes czaił się w głębi sali? Jak mawiał szeryf Dawg: „Całkiem możliwe, Piżmusiu, całkiem możliwe”.

Po powrocie do domu Hodges znowu siada w La-Z-Boyu i bierze list. Wie, jaki powinien być następny krok – to znaczy jeśli nie przekaże listu Pete’owi Huntleyowi – ale wie również, że nie powinien tego robić po kilku browarach. Wkłada więc list do szuflady, przykrywając nim trzydziestkęósemkę (nie fatygował się szukaniem plastikowej torebki), i bierze następne piwo z lodówki. To tylko ivory special, miejscowa marka, ale nie smakuje ani trochę gorzej od singhy.

Skończywszy piwo, Hodges odpala komputer, otwiera Firefoxa i wpisuje: „Pod Niebieskim Parasolem Debbie”. Opis pod spodem nie jest specjalnie pomocny: „Portal społecznościowy, gdzie interesujący ludzie wymieniają interesujące poglądy”. Hodges zastanawia się, czy wejść dalej, potem wyłącza komputer. Też nie. Nie dzisiaj.

Zwykle kładzie się późno, ponieważ to oznacza mniej godzin przewracania się w pościeli i roztrząsania dawnych spraw i dawnych błędów, ale tego wieczoru wcześniej idzie do łóżka i wie, że zaśnie niemal natychmiast. Wspaniałe uczucie.

Ostatnia myśl przed snem dotyczy zakończenia listu Pana Mercedesesa, napisanego zatrutym piórem. Pan Mercedes chce, żeby Hodges popełnił samobójstwo. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby wiedział, że właśnie dał temu konkretnemu eks-Rycerzowi Odznaki i Spluwy powód do życia. Przynajmniej na jakiś czas.

Potem zapada w sen. Przesypia twardo pełne sześć godzin, zanim budzi go pęcherz. Człapie do łazienki, sika i wraca do łóżka, gdzie śpi przez kolejne trzy godziny. Kiedy się budzi, promienie słońca wpadają ukośnie przez okna i ptaki śpiewają. Idzie do kuchni i przygotowuje sobie obfite śniadanie. Kiedy zsuwa obustronnie smażone jajka sadzone na talerz z boczkiem i grzanką, nieruchomieje zaskoczony.

Ktoś śpiewa.

To on.

Wkłada naczynia po śniadaniu do zmywarki, po czym idzie do gabinetu, żeby rozłożyć list na czynniki pierwsze. Robił to już ze dwadzieścia razy, ale nigdy samodzielnie; jako detektyw zawsze miał Pete'a Huntleya do pomocy, a wcześniej dwóch poprzednich partnerów. Większość listów zawierała pogróżki od byłych mężów (i parę od byłych żon). Nic specjalnego. Niektóre stanowiły próby wymuszenia. Niektóre próby szantażu – właściwie inna forma wymuszenia. Jeden przysłał kidnaper żądający śmiesznie małego i niezbyt oryginalnego okupu. I trzy – cztery, licząc ten od Pana Mercedesa – pochodziły od morderców przyznających się do winy. Dwa były czystym fantazjowaniem. Jeden mógł napisać seryjny morderca o przezwisku Joe Rogatka.

A co z tym? Prawdziwy czy fałszywy? Prawda czy fantazja?

Hodges otwiera szufladę biurka, wyjmuje żółty blok do notatek, odrywa z wierzchu listę zakupów sprzed tygodnia. Potem wyciąga długopis Uni-Ball z kubka obok komputera. Najpierw zastanawia się nad kondomem. Jeśli facet rzeczywiście go założył, wziął go ze sobą... ale to ma sens, prawda? Z kondomów można zebrać odciski palców, nie tylko spermę. Hodges rozważa inne szczegóły: jak pas bezpieczeństwa się zablokował, kiedy facet wbił się w tłum, jak mercedes podskakiwał, przejeżdżając po ciałach. Szczegóły, których nie podawały żadne gazety, ale które mógł sam wymyślić. Napisał nawet...

Hodges przegląda list i znajduje: „Mam bardzo bujną wyobraźnię”.

Jednakże dwóch szczegółów nie mógł wymyślić. Dwa szczegóły, których nie ujawniono dziennikarzom.

Na notatniku, pod pytaniem: CZY JEST PRAWDZIWY?, Hodges pisze: SIATKA NA WŁOSY. WYBIELACZ.

Pan Mercedes zabrał siatkę ze sobą, podobnie jak kondom (pewnie wciąż zwisający na kutasie, zakładając, że w ogóle go założył), ale Gibson z laboratorium miał pewność co do siatki, ponieważ Pan Mercedes zostawił maskę klauna i do gumy nie przykleiły się włosy. Również chlorowy zapach wybielacza niszczącego DNA nie budził wątpliwości. Zabójca sporo go zużył.

Ale chodzi nie tylko o to; chodzi o całokształt. Pewność siebie. Żadnej nieśmiałości.

Hodges waha się, potem pisze drukowanymi literami:

TO TEN FACET.

Znowu się waha. Zamazuje FACET i pisze: DRAŃ.

Minęło już trochę czasu, odkąd myślał jak gliniarz, i jeszcze więcej, odkąd zajmował się taką robotą – specjalnym rodzajem badań kryminalistycznych, które nie wymagają aparatów fotograficznych, mikroskopów ani odczynników chemicznych – ale jak już się do tego zabrał, szybko się wciąga. Zaczyna od wypisania spostrzeżeń.

JEDNOZDANIOWE AKAPITY
ZWROTY PISANE DUŻĄ LITERĄ
ZWROTY W CUDZYSŁOWIE
WYSZUKANE ZWROTY
NIEZWYKŁE SŁOWA
WYKRZYKNIKI

W tym miejscu przerywa, stuka długopisem o dolną wargę i jeszcze raz odczytuje list, od „Drogi detektywie Hodges” do „Mam nadzieję, że ten list Pana rozweselił!”. Potem dopisuje jeszcze dwa spostrzeżenia na kartce, na której zrobiło się gęsto:

UŻYWA BASEBALLOWYCH PORÓWNAŃ, MOŻE KIBIC ZNA SIĘ NA KOMPUTERACH (PONIŻEJ 50?)

Co do ostatnich dwóch punktów bynajmniej nie ma pewności. Sportowe metafory upowszechniły się, zwłaszcza wśród speców od polityki, a w tych czasach osiemdziesięciolatki szaleją na Facebooku i Twitterze. Sam Hodges może wykorzystuje tylko dwanaście procent możliwości swojego maca (jak twierdzi Jerome), ale to nie znaczy, że należy do większości. Zresztą od czegoś trzeba zacząć, a ten list ma taką składnię, jakby napisał go ktoś młody.

Zawsze miał talent do takiej roboty i znacznie więcej niż dwanaście procent intuicji.

Wypisał prawie tuzin przykładów NIEZWYKŁYCH SŁÓW i teraz obrysowuje kółkami dwa: „współtowarzysze” i „Spontaniczna Ejakulacja”. Obok dodaje nazwisko: „Wambaugh”. Pan Mercedes to gnojek, ale bystry, odcytany gnojek. Dysponuje bogatym słownictwem i nie robi błędów ortograficznych. Hodges wyobraża sobie, jak Jerome Robinson mówi: „Funkcja sprawdzania pisowni, stary. Elementarne”.

Jasne, jasne, w naszych czasach każdy z edytorem tekstu może być mistrzem ortografii, ale Pan Mercedes napisał „Wambaugh”, nie „Wombough” czy nawet „Wombow”, bo tak to brzmi. Sam fakt, że pamiętał o tym bezdźwięcznym „gh”, sugeruje dość wysoki poziom inteligencji. Wprawdzie epistoła Pana Mercedesesa nie jest literaturą najwyższej klasy, ale jest napisana dużo lepiej niż dialogi w takich serialach, jak *NCIS* czy *Kości*.

Nauczyli go tego rodzice, szkoła czy sam się nauczył? Czy to ważne? Może nie, ale może tak.

Hodges odrzuca pomysł, że ten drań to samouk. Styl jest zbyt... jaki?

– Wylewny – mówi do pustego pokoju, ale to coś więcej. – Zewnętrzny. Skierowany na zewnątrz. Ten facet uczył się z innymi. I pisał dla innych.

Chwiejna dedukcja, ale poparta pewnymi ozdobnikami – te WYSZUKANE ZWROTY. „Powiniennem zacząć od pogratulowania Panu”, pisze. „Dosłownie setki spraw”, pisze. I pytanie: „Czy myślał Pan o mnie?”, zadane dwukrotnie. Hodges miał piątkę z angielskiego w szkole średniej, czwórkę w college’u i pamięta, jak coś takiego się nazywa: paralelizm. Czy Pan Mercedes wyobraża sobie, że jego list zostanie opublikowany w gazecie, zamieszczony w internecie, cytowany (z pewną dozą niechętnego szacunku) w wiadomościach o szóstej na Kanale Czwartym?

– Jasne, że tak – potwierdza Hodges. – Dawno temu czytałeś w klasie swoje

wpracowania. I lubiłeś to. Jakbyś stał w świetle reflektorów. Prawda? Kiedy cię znajdę... jeśli cię znajdę... okaże się, że byłeś równie dobry z angielskiego jak ja.

Prawdopodobnie lepszy. Hodges nie pamięta, żeby kiedyś stosował paralelizm, chyba że przypadkiem.

Tylko że w mieście są cztery szkoły publiczne i Bóg wie ile prywatnych. Nie licząc szkół przygotowawczych, szkół pomaturalnych, miejskiego uniwersytetu i Katolickiego Uniwersytetu św. Judy. Mnóstwo stogów siana, żeby ukryć zatrutą igłę. Jeśli w ogóle chodził do szkoły tutaj, a nie w Miami czy Phoenix.

W dodatku to szczwany lis. Jego list jest pełen fałszywych odcisków palców – zwroty pisane dużą literą, jak „Ołowiane Buty” i „Wyrazy Zaniepokojenia”, cudzysłowy, nadużywanie wykrzykników, cięte jednozdaniowe akapity. Poproszony o próbkę pisania, Pan Mercedes nie użyłby żadnego z tych stylistycznych środków wyrazu. Hodges zna się na tym równie dobrze, jak zna własne nieszczęsne imię: Kermit, jak „kermitzaba19”.

Ale.

Ten dupek nie jest taki sprytny, jak myśli. List prawie na pewno zawiera dwa prawdziwe odciski palców, jeden zamazany, jeden kryształowo wyraźny.

Zamazany odcisk to uporczywe pisanie liczb cyframi zamiast słowami. „27”, nie „dwadzieścia siedem”. „40” zamiast „czterdzieści”. „Det. 1. stopnia” zamiast „det. pierwszego stopnia”. Jest kilka wyjątków, ale Hodges uważa, że tylko potwierdzają regułę. Zdaje sobie sprawę, że cyfry mogą stanowić kolejny kamuflaż, jednak są spore szanse, że Pan Mercedes naprawdę używa ich nieświadomie.

Gdybym mógł go sprowadzić do PP4 i kazać mu napisać: „Czterdziestu złodziei ukradło osiemdziesiąt obrączek...”?

Tylko że K. William Hodges już nigdy nie wejdzie do pokoju przesłuchań, włącznie z PP4, jego ulubionym... jego szczęśliwym PP, jak zawsze myślał. To znaczy jeśli go nie przyłapią na zabawie tym szajsem, bo wtedy może wylądować po niewłaściwej stronie metalowego stołu.

No więc dobrze. Pete sprowadzi faceta do PP. Pete albo Isabelle, albo oboje. Każą mu napisać: „40 złodziei ukradło 80 obrączek”. I co dalej?

Potem każą mu napisać: „Gliny złapały sprawcę ukrytego w alejce”. Tylko że „sprawcę” powiedzą niewyraźnie. Ponieważ mimo całej umiejętności pisania Pan Mercedes myśli, że osobę popełniającą przestępstwo określa się słowem „sprafca”.

Hodgesa to nie dziwi. Dopóki nie poszedł do college’u, sam myślał, że „może” i „morze” pisze się jednakowo. Widział słowo „morze” w wielu książkach, ale jego umysł jakoś je odrzucał. Matka mówiła: „Pojedźmy nad morze, Kerm”, jednak on po prostu nie mógł się przestawić.

Rozpoznam cię, skarbeczku, jak cię znajdę, myśli Hodges. Pisze to słowo drukowanymi literami i obrysowuje je kilkakrotnie, tworząc obwódkę. Jesteś dupkiem, który zamiast „sprawca” pisze „sprafca”.

Idzie na spacer dookoła swojego kwartału, żeby sobie przejaśnić w głowie, wita się z ludźmi, których nie widział od dawna. Niekiedy od kilku tygodni. Pani Melbourne pracuje w ogrodzie i kiedy go widzi, zaprasza na kawałek ciasta kawowego.

– Martwiłam się o pana – mówi, kiedy już usiedli w kuchni. Ma bystre, ciekawskie spojrzenie wrony wpatrzonej w rozjechaną przed chwilą wiewiórkę.

– Trudno się przyzwyczać do emerytury. – Bierze łyk kawy. Jest paskudna, ale bardzo gorąca.

– Niektórzy nigdy się nie przyzwyczajają – odpowiada pani Melbourne, mierząc go byстрыm wzrokiem. Nadawałaby się do PP4, myśli Hodges. – Zwłaszcza ci, którzy mieli nerwową pracę.

– Na początku nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić, ale teraz lepiej sobie radzę.

– Cieszę się. Czy ten miły czarnuch dalej u pana pracuje?

– Jerome? Tak. – Hodges uśmiecha się, wyobrażając sobie, jak by zareagował Jerome na określenie „miły czarnuch”. Pewnie wyszczerzyłby zęby w uśmiechu i wykrzyknął: „Ja być miły!”. Jerome i jego „roboty-durnoty”. Startujący już do Harvardu. Princeton jako wyjście awaryjne.

– On się opuszcza – wyrokuje pani Melbourne. – Pana trawnik jest zaniedbany. Jeszcze kawy?

Hodges odmawia z uśmiechem. Zła kawa tylko trochę zyskuje, jeśli jest gorąca.

Znowu w domu. Mrowienie w nogach, głowa pełna świeżego powietrza, w ustach smak gazety z dna ptasiej klatki, ale mózg buzujący od kofeiny.

Loguje się do witryny miejskiej gazety i otwiera kilka artykułów o masakrze w City Center. Nie znajduje tego, czego szuka, w pierwszym artykule, który ukazał się pod krzyczącymi nagłówkami jedenastego kwietnia 2009 roku, ani w znacznie dłuższym kawałku z niedzielnego wydania dwunastego kwietnia. To jest w poniedziałkowej gazecie: zdjęcie kierownicy w samochodzie porzuconym przez zabójcę. Oburzony podpis: ON MYŚLAŁ, ŻE TO ZABAWNE. Na środku kierownicy, naklejona na emblemat mercedesa, uśmiecha się żółta buźka. Taka w ciemnych okularach, szczerząca zęby.

Policja porządnie się wściekła z powodu tego zdjęcia, ponieważ detektywi prowadzący sprawę – Hodges i Huntley – prosili media, żeby nie publikowały tej uśmiechniętej ikonki. Wydawca, jak pamięta Hodges, przeproszał uniżenie. Pomyłka, zapewniał. To się więcej nie powtórzy. Przyrzekam. Słowo harcerza.

– Pomyłka, akurat – kipiał Pete. – Mieli zdjęcie, które mogło wstrzyknąć porcję sterydów w obwisły tyłek nakładu, więc oczywiście je wykorzystali.

Hodges powiększa gazetowe zdjęcie, aż wyszczerzona żółta morda wypełnia ekran komputera. Znak bestii, myśli, w stylu dwudziestego pierwszego wieku.

Tym razem łączy się przyciskiem szybkiego wybierania nie z departamentem policji, tylko z komórką Pete'a. Dawny partner odbiera po drugim dzwonku.

– Siema, stary byku. Jak ci leci na emeryturze?

Wydaje się naprawdę ucieszony, co wywołuje uśmiech na twarzy Hodgesa. Wywołuje również wyrzuty sumienia, ale Hodges ani przez chwilę nie zamierza się wycofać.

– Nieźle – odpowiada – ale tęsknię za twoją tłustą gębą, ofiarno nadciśnienia.

– No jasne. I zwyciężyliśmy w Iraku.

– Przysięgam na Boga, Pete. Może pójdziemy na lunch i odrobimy zaległości? Ty wybierasz lokal, ja stawiam.

– Czemu nie, ale dzisiaj już jadłem. Może jutro?

– Mam napięty grafik, Obama przyjeżdża poradzić się w kwestii budżetu, ale spróbuję przełożyć parę spraw. Skoro to dla ciebie.

– Pierdol się, Kermit.

– Przecież ty to robisz lepiej. – Przekomarzanki to ich stara śpiewka z prostym tekstem.

– Co powiesz na DeMasio? Zawsze lubiłeś tę knajpę.

– Może być DeMasio. W południe?

– Pasuje.

– I na pewno znajdziesz czas dla takiego starego pryka jak ja?

– Billy, nawet nie pytaj. Chcesz, żebym zabrał Isabelle?

Wolałby spotkać się tylko z Pete'em, ale mówi:

– Jeśli chcesz.

Widocznie trochę dawnej telepatii jeszcze działa, bo po krótkiej pauzie Pete decyduje:

– Może tym razem urządzimy bal samców.

– Okay. – Hodges oddycha z ulgą. – Będę czekał niecierpliwie.

– Ja też. Dobrze słyszeć twój głos, Billy.

Hodges rozłącza się i patrzy jeszcze przez chwilę na wyszczerzony uśmiech, który wypełnia ekran komputera.

Tego wieczoru siedzi w La-Z-Boyu i ogląda serwis informacyjny o jedenastej. W białej piżamie wygląda jak duch z nadwagą. Skóra głowy prześwieca lekko przez rzadniejące włosy. Główną sensacją wiadomości jest wyciek z platformy Deepwater Horizon w Zatoce Meksykańskiej, gdzie ropa ciągle wypływa. Prezenter mówi, że tuńczyk błękitny jest zagrożony i że rybołówstwo w Luizjanie może zostać zniszczone na okres całego pokolenia. Na Islandii dymiący wulkan (którego nazwę prezenter okalecza do czegoś w rodzaju „Ija-fil-kul”) wciąż zakłóca transatlantyckie loty. W Kalifornii policja twierdzi, że wreszcie nastąpił przełom w sprawie seryjnego zabójcy, Ponurego Śpiocha. Bez nazwisk, ale podejrzany („sprafca”, myśli Hodges) opisany jest jako „dobrze ubrany i poprawnie mówiący Afroamerykanin”. Hodges myśli: Przydałoby się, żeby teraz ktoś przyskrzytnił jeszcze Joego Rogatkę. Nie wspominając o Osamie bin Ladenie.

Prognoza pogody. Ciepło i słonecznie, obiecuje dziewczyna na ekranie. Czas wyjąć kostiumy kąpielowe.

– Chciałbym cię zobaczyć w kostiumie kąpielowym, kochanie – mówi Hodges i pilotem wyłącza telewizor.

Wyjmuje z szuflady ojcowską trzydziestkęósemkę, rozładowuje ją, idąc do sypialni, i chowa do sejfu obok glocka. Przez ostatnie dwa czy trzy miesiące spędził dużo czasu na obsesyjnych rozmyśleniach o victory .38, ale dzisiaj prawie nie zauważa broni, kiedy ją zamyka w sejfie. Myśli przelotnie o Joem Rogatce; teraz Joe to nie jego zmartwienie. Podobnie jak Ponury Śpioch, ten dobrze ubrany Afroamerykanin.

Czy Pan Mercedes też jest Afroamerykaninem? To możliwe – ludzie widzieli tylko naciąganą maskę klauna, koszulę z długimi rękawami i żółte rękawiczki na kierownicy – jednak Hodges tak nie uważa. Bóg jeden wie, że w tym mieście jest wielu czarnych zdolnych do popełnienia morderstwa, ale trzeba uwzględnić narzędzie zbrodni. Dzielnica, w której mieszkała matka pani Trelawney, jest raczej zamożna i raczej biała. Murzyn kręcący się wokół zaparkowanego mercedesa SL500 zwróciłby uwagę.

No, prawdopodobnie. Ludzie bywają rozpaczliwie mało spostrzegawczy. Jednak Hodges wie z doświadczenia, że bogaci wykazują nieco większą spostrzegawczość niż przeciętni Amerykanie, zwłaszcza kiedy chodzi o ich kosztowne zabawki. Nie twierdzi, że są paranoikami...

Właśnie że są, do cholery. Bogacze bywają hojni, nawet ci z absolutnie przerażającymi poglądami politycznymi, ale z reguły uznają hojność tylko na własnych warunkach, a w głębi duszy (zresztą nie tak głęboko) ciągle się boją, że ktoś ukradnie ich prezenty i zje ich tort urodzinowy.

A co ze schludnością i poprawnym mówieniem?

Tak, decyduje Hodges. Nie ma wyraźnych dowodów, ale list o tym świadczy. Pan Mercedes może nosić garnitury i pracować w biurze albo nosić džinsy i roboczą koszulę i przetaczać opony w garażu, lecz nie jest niechlujem. Może nie mówi dużo – takie kreatury zachowują ostrożność we wszystkich dziedzinach życia, co wyklucza nieumiarkowane klapanie dziobem – jednak kiedy zabiera głos, wyraża się jasno i precyzyjnie. Jeśli zabłądzisz, poda ci dokładne wskazówki.

Myjąc zęby, Hodges myśli: DeMasio. Pete chce zjeść lunch w DeMasio.

To dobre dla Pete’a, który wciąż nosi broń i odznakę, i wydawało się dobre dla Hodgesa, kiedy rozmawiali przez telefon, ponieważ wtedy myślał jak gliniarz, nie jak emeryt z piętnastoma kilogramami nadwagi. Pewnie nic złego się nie stanie – biały dzień i w ogóle – ale DeMasio znajduje się na skraju Lowtown – obrzeża centrum, i bynajmniej nie jest kurortem. Jedną

przecznice na zachód od restauracji, za wiaduktem z odgałęzieniem autostrady, rozciąga się ziemia jałowa pustych parcel i opuszczonych czynszówek. Na rogach ulic jawnie sprzedaje się narkotyki, kwitnie handel nielegalną bronią, a podpalenia są w tej dzielnicy popularnym sportem. Jeśli Lowtown można nazwać dzielnicą. Jednak sama restauracja – naprawdę świetna włoska knajpa – jest bezpieczna. Właściciel ma powiązania, co stanowi odpowiednik Darmowego Parkingu w grze *Monopol*.

Hodges płucze usta, wraca do sypialni i – wciąż myśląc o DeMasio – spogląda powątpiewająco na szafę, gdzie znajduje się sejf, ukryty za wiszącymi spodniami, koszulami i sportowymi marynarkami, których już nie nosi (wszystkie oprócz dwóch zrobiły się za ciasne).

Wziąć glocka? Może victory? Victory jest mniejszy.

Nie. Ani jednego, ani drugiego. Ciągle ma ważne zezwolenie na noszenie ukrytej broni, ale nie pójdzie uzbrojony na lunch z dawnym partnerem. Czułby się skrępowany, jeszcze bardziej niż z powodu śledztwa, które zamierza przeprowadzić. Podchodzi do komody, podnosi stos bielizny i zagląda pod spód. Happy Slapper^[3] wciąż tam leży, od czasu przyjęcia pożegnającego.

Slapper wystarczy. Małe ubezpieczenie w niebezpiecznej części miasta.

Zadowolony, kładzie się do łóżka i gasi światło. Wsuwa dłoń do tajemniczej kieszonki chłodu pod poduszką i myśli o Joem Rogatce. Joe jak dotąd miał szczęście, ale w końcu go złapią. Nie dlatego, że ciągle atakuje miejsca postojowe przy autostradzie, lecz dlatego, że nie może przestać zabijać. Pan Mercedes napisał: „To nie dotyczy mojego przypadku, ponieważ ja absolutnie nie czuję potrzeby, żeby to znowu zrobić”.

Mówił prawdę czy kłamał, tak jak kłamały jego ZWROTY PISANE DUŻĄ LITERĄ, WYKRZYKNIKI i JEDNOZDANIOWE AKAPITY?

Hodges myśli, że on kłamie – może okłamuje siebie samego na równi z Det. Em. K. Williamem Hodgesem – ale w tej chwili, kiedy Hodges zasypia, to się nie liczy. Facet uważa, że jest bezpieczny, i to się liczy. Jest taki zadowolony z siebie. Nie zdaje sobie sprawy, jak się odsłonił, pisząc list do człowieka, który przed odejściem na emeryturę prowadził sprawę City Center.

Musisz o tym rozmawiać, prawda? Owszem, musisz, skarbenku, nie okłamuj starego wujka Billa. A jeśli ta witryna Pod Niebieskim Parasolem Debbie nie jest kolejną zmyłką, jak wszystkie cudzysłowy, zostawiłeś nawet trop prowadzący do twojego życia. I jeśli mnie do czegoś sprowokowałeś, to byłaby wisienka na torcie, prawda?

W ciemności Hodges mówi:

– Chętnie posłucham. Mam mnóstwo czasu. Przecież jestem na emeryturze.

Zasypia uśmiechnięty.

Następnego ranka Freddi Linklatter siedzi na krawędzi rampy rozładunkowej i pali marlboro. Obok niej leży schludnie złożona bluza z nadrukiem Discount Electronix, na wierzchu spoczywa firmowa czapeczka. Freddi opowiada o jakimś religijnym czubku, który się do niej przyczepił. Ludzie ciągle się jej czepiają, a ona opowiada o tym Brady'emu podczas przerw. Opowiada obszernie i szczegółowo, ponieważ Brady jest dobrym słuchaczem.

– No więc on mówi do mnie: Wszyscy homoseksualiści pójną do piekła, i ta broszurka wszystko wyjaśnia. Więc ją biorę, nie? Na okładce jest obrazek z takimi dwoma chudymi gejami... w sportowych garniturach, jak Boga kocham...! Trzymają się za ręce i zagląдают do jaskini pełnej płomieni. I jeszcze diabeł! Z widłami! Bez kitu, stary. Jednak próbuję z nim dyskutować. Odnoszę mylne wrażenie, że on chce nawiązać dialog. No więc mówię: Powinieneś na chwilę wyjąć nos z tej Księgi Kapłańskiej czy jak tam się nazywa, żeby przeczytać kilka naukowych tekstów. Geje rodzą się gejami, to jasne, nie? A on swoje: To po prostu nieprawda. Homoseksualizm to wyuczony zachowanie i można go oduczyć. No więc po prostu w to nie wierzę, nie? Znaczący, wciskasz mi kit. Ale nie mówię tego. Mówię: Popatrz na mnie, stary, przyjrzyj się dobrze. Nie krępuj się, od góry do dołu. I co widzisz? I zanim zdążył znowu wyjechać z jakąś bzdurą, mówię: Widzisz faceta, kolego. Tylko że Bóg zagapił się, zanim mi przykleił fiuta, i przeszedł do następnego w kolejce. A on wtedy...

Brady słucha jej – mniej więcej – dopóki Freddi nie dochodzi do Księgi Kapłańskiej (ma na myśli Księgę Kapłańską, ale Brady'emu nie chce się jej poprawiać), a potem puszcza większość mimo uszu i śledzi tok opowieści tylko na tyle, żeby od czasu do czasu wtrącić: „Uhum”. Ten monolog właściwie mu nie przeszkadza. Brzmi kojąco, jak LCD Soundsystem, którego słucha na swoim iPodzie, kiedy się kładzie spać. Freddi Linklatter jest o wiele za wysoka jak na dziewczynę, przy wzroście prawie metr dziewięćdziesiąt góruje nad Bradym, i mówi prawdę: wygląda na dziewczynę nie bardziej, niż Brady Hartsfield wygląda jak Vin Diesel. Ubrana jest w lewisy 501 z prostymi nogawkami, kurtkę motocyklową i zwykłą białą koszulkę, która wisi na niej jak na wieszaku – ani śladu cycków. Ciemnoblond włosy ma obsmuczone na jeża. Nie maluje się, nie nosi kolczyków. Pewnie myśli, że Max Factor to sprawozdanie z tego, co jakiś facet zrobił jakiejś dziewczynie za stodołą tatusia.

Brady powtarza „uhum”, „aha” i „jasne”, przez cały czas zastanawiając się, co stary gliniarz wyczytał z jego listu i czy ten stary gliniarz spróbuje się skontaktować przez Niebieski Parasol. Wie, że wysłanie tego listu było ryzykowne, ale nie tak bardzo. Wymyślił styl pisania całkowicie różny od swojego stylu. Szanse, że stary gliniarz wyciągnie z tego listu coś użytecznego, są bliskie zera.

Niebieski Parasol Debbie to trochę większe ryzyko, ale jeśli stary gliniarz myśli, że w ten sposób go wytropi, to bardzo się rozczaruje. Serwery Debbie znajdują się we wschodniej Europie, a tam łatwiej się zadekować.

– Więc on mówi, przysięgam, że to prawda, mówi: W naszym kościele jest wiele młodych chrześcijanek, które mogą ci pokazać, jak o sobie zadbać, i jeśli zapuścisz włosy, będziesz całkiem ładnie wyglądała. Wyobrażasz sobie? Więc ja mu mówię: Jak się wypacykujesz, sam będziesz ładnie wyglądał. Włóż skórzaną kurtkę i obrożę, to może ci się poszczęści i poderwiesz kogoś w The Corral. Zaliczysz swój pierwszy anal. No więc on się strasznie wkurza i gada: Jeśli zamierzasz robić osobiste wycieczki...

W każdym razie, jeśli stary gliniarz chce pójść komputerowym tropem, musi przekazać list glinom z sekcji technicznej, a Brady nie sądzi, że on to robi. Przynajmniej nie od razu. Pewnie się nudzi, sam jak palec, tylko z telewizorem do towarzystwa. I oczywiście rewolwerem,

tym, który trzyma pod ręką, obok piwa i gazet. Nie zapominajmy o rewolwerze. Brady nigdy właściwie nie widział, jak gliniarz wkłada sobie lufę do ust, ale kilka razy widział go z bronią w ręku. Szczęśliwi ludzie nie trzymają broni w ten sposób.

– Więc ja mu mówię: Nie wściekaj się. Wy zawsze się wściekacie, jak ktoś podważa wasze ukochane idee. Zauważyłeś to u tych domokrażnych chrześcijan?

Nie zauważył, ale powiedział, że zauważył.

– Tylko że ten jeden słuchał. Naprawdę. I w końcu poszliśmy do piekarni Hosseniego na kawę. Gdzie, aż trudno uwierzyć, doszło między nami niemal do dialogu. Nie pokładam wielkich nadziei w rasie ludzkiej, ale czasem się zdarzy...

Brady jest całkiem pewien, że jego list zdopinguje starego gliniarza, przynajmniej na początku. Nie dostał tych wszystkich odznaczeń za głupotę i natychmiast przejrzy zawołowane sugestie, żeby popełnił samobójstwo jak pani Trelawney. „Zawołowane” sugestie? Nie bardzo. Właściwie są dość wyraźne. Brady uważa, że stary gliniarz wpadnie w bojowy nastrój, przynajmniej na jakiś czas. Ale kiedy niczego nie osiągnie, klęska tym mocniej go zaboli. Wówczas, zakładając, że stary gliniarz połknie przynętę Niebieskiego Parasola, Brady naprawdę zabierze się do pracy.

Stary gliniarz myśli: Jeśli wciągnę cię w rozmowę, mogę cię podpuścić.

Tylko że Brady gotów jest się założyć, że stary gliniarz nigdy nie czytał Nietzschego; Brady gotów jest się założyć, że stary gliniarz woli Johna Grishama. Jeśli w ogóle czyta. „Kiedy spoglądasz w otchłań”, napisał Nietzsche, „otchłań również patrzy na ciebie”.

Ja jestem otchłanią, staruszkule. Ja.

Stary gliniarz z pewnością stanowi większe wyzwanie niż biedna Olivia Trelawney, dręczona poczuciem winy... ale załatwienie jej tak wspaniale pobudziło system nerwowy, że Brady nie może się powstrzymać, żeby znowu nie spróbować. W pewien sposób doprowadzenie słodkiej Livvy do krawędzi sprawiło mu więcej przyjemności niż wycięcie krwawego pokosu w tłumie tych bezrobotnych palantów przed City Center. Ponieważ to wymagało pomyślunku. Wymagało wysiłku. Wymagało planowania. I trochę pomocy ze strony glin też nie zaszkodziło. Czy się domyślali, że ich nieudolne dedukcje przyczyniły się do samobójstwa słodkiej Livvy? Raczej nie Huntley, takie przypuszczenie nigdy nie powstało w jego tępej mózgowicy. Co innego Hodges. On mógł mieć wątpliwości. Kilka małych myszek podgryzających neurony bystrego gliniarza. Brady ma taką nadzieję. Jeśli nie, może znajdzie okazję, żeby mu podsunąć tę myśl. W Niebieskim Parasolu.

Głównie jednak to jego zasługa. Brady’ego Hartsfielda. To jemu należy się uznanie. W City Center walnął taranem. W przypadku Olivii Trelawney posłużył się skalpelem.

– Słuchasz mnie? – pyta Freddi.

Brady się uśmiecha.

– Chyba odpłynąłem na chwilę.

Nigdy nie kłam, kiedy możesz powiedzieć prawdę. Prawda nie zawsze jest najbezpieczniejszym wyjściem, ale najczęściej. Zastanawia się leniwie, jak by zareagowała, gdyby jej powiedział: „Freddi, jestem Zabójcą z Mercedesa”. Albo: „Freddi, mam w piwnicy cztery kilo wybuchowego plastiku domowej roboty”.

Dziewczyna patrzy na niego, jakby rzeczywiście odczytała te myśli, i na chwilę robi mu się nieswojo. Potem ona mówi:

– To dlatego, że pracujesz na dwa etaty. To cię wykańcza.

– Tak, ale chciałbym wrócić na studia, a nikt za to nie zapłaci. No i jest jeszcze moja matka.

– Pijaczka.

Znowu się uśmiecha.

– Raczej alkoholiczka.

– Zaproś mnie do domu – mówi ponuro Freddi. – Zaciągnę ją na cholerne spotkanie AA.

– To nie pomoże. Wiesz, co napisała Dorothy Parker? Możesz przyprowadzić kurwę do kultury, ale nie zmusisz jej do myślenia.

Freddi rozważa to przez chwilę, potem odrzuca głowę do tyłu i parska ochryplym papierosowym śmiechem.

– Nie wiem, kim jest Dorothy Parker, ale zapamiętam te słowa. – Poważnieje. – Serio, czemu nie poprosisz Frobishera o więcej godzin? Ta twoja druga posada to straszna kicha.

– Powiem ci, czemu on nie poprosi Frobishera o więcej godzin – odzywa się Frobisher, wchodząc na rampę.

Anthony Frobisher jest młody i nosi okulary jak kujon. Pod tym względem przypomina innych pracowników Discount Electronix. Brady też jest młody, ale ma lepszą prezencję niż Tones Frobisher. Co nie znaczy, że jest przystojny. Jemu to odpowiada. Woli się nie wyróżniać.

– Oświeć nas – mówi Freddi i rozgniała niedopałek.

Po drugiej stronie strefy rozładunkowej, za wielkim sklepem, na południowym końcu pasażu handlowego Birch Hill, stoją samochody pracowników (w większości stare rzęchy) i trzy volkswageny garbusy pomalowane na jasnozielono. Zawsze są nieskazitelnie utrzymane, ich szyby błyszczą w późnowiosennym słońcu. Na bokach mają niebieskie napisy:

PROBLEM Z KOMPUTEREM? WEZWIJ CYBERPATROL DISCOUNT
ELECTRONIX!

– Circuit City upadło, a Best Buy się chwieje – oznajmia Frobisher tonem wykładowcy. – Discount Electronix też się chwieje, podobnie jak kilka innych firm, które robią bokami dzięki komputerowej rewolucji: gazety, wydawnictwa, sklepy płytowe oraz Poczta Stanów Zjednoczonych. Nie wspominając o innych.

– Sklepy płytowe? – pyta Freddi, zapalając następnego papierosa. – Co to są sklepy płytowe?

– Ale się obśmiałem – odpowiada Frobisher. – Mój kumpel twierdzi, że lesby nie mają poczucia humoru, ale...

– To ty masz kumpli? – wtrąca Freddi. – O rany. Kto by pomyślał.

– ...ale oczywiście w twoim przypadku się myli. Nie dostajecie więcej godzin, ponieważ firma żyje teraz tylko z komputerów. Głównie tanich, produkowanych w Chinach i na Filipinach. Ogromna większość naszych klientów nie chce już innego szajsu, który sprzedajemy. – Brady myśli, że tylko Tones Frobisher powiedziałby: „ogromna większość”. – Częściowo z powodu rewolucji technologicznej, ale też dlatego, że...

Freddi i Brady dopowiadają chórem:

– Barack Obama jest najgorszym błędem w historii tego kraju!

Frobisher przygląda im się kwaśno przez chwilę, potem mówi:

– Przynajmniej słuchacie. Brady, kończysz o drugiej, zgadza się?

– Tak. O trzeciej zaczynam drugą robotę.

Frobisher marszczy wielki kinol sterczący ze środka twarzy, żeby pokazać, co myśli o drugiej posadzie Brady'ego.

– Słyszałem, że coś wspomniałeś o powrocie do szkoły?

Brady nie odpowiada, bo nie chce czegoś palnąć. Anthony „Tones” Frobisher nie może wiedzieć, że Brady go nienawidzi. Kurwa, brzydzi się nim. Brady nienawidzi wszystkich, włącznie ze swoją zapijaczoną matką, ale jak mówi stara piosenka: na razie nikt nie może o tym

wiedzieć.

– Masz dwadzieścia osiem lat, Brady. Jesteś dorosły i nie musisz już korzystać z gównianego rodzinnego ubezpieczenia samochodu, i bardzo dobrze, ale jesteś trochę za stary, żeby zdobyć dyplom inżyniera elektryka. Albo informatyka, skoro o tym mowa.

– Nie bądź gnojkiem – mówi Freddi. – Nie bądź wrednym gnojkiem.

– Jeśli jestem gnojkiem dlatego, że mówię prawdę, to trudno.

– Jasne – szydzi Freddi. – Przejdiesz do historii. Tones, Gnojek Mówiący Prawdę.

Dzieci będą się o tobie uczyć w szkole.

– Nie przeszkadza mi prawda – wtrąca cicho Brady.

– To dobrze. Może ci nie przeszkadzać przez cały czas, kiedy będziesz katalogował i metkował DVD. Zaczynając od zaraz.

Brady dobrodusznie kiwa głową, wstaje i otrzepuje siedzenie spodni. W następnym tygodniu w Discount Electronix zaczyna się pięćdziesięcioprocentowa wyprzedaż; zarząd w New Jersey ustalił, że DE musi zakończyć działalność w branży dysków cyfrowych do stycznia 2011 roku. Ta niegdyś zyskowna gałąź handlu została stłamszona przez Netflix i Redbox. Wkrótce w sklepie zostaną tylko komputery domowe (wyprodukowane w Chinach i na Filipinach) oraz płaskoekranowe telewizory, na które podczas głębokiej recesji niewielu może sobie pozwolić.

– Ty – podejmuje Frobisher, zwracając się do Freddi – masz robotę w terenie. – Wręcza jej różową fakturę zlecenia. – Starsza pani z zatrzymanym ekranem. Przynajmniej tak mówi.

– Tak jest, *mon capitain*. Żyję, żeby służyć. – Freddi wstaje, salutuje i bierze fakturę.

– Wsadź koszulę w spodnie. Nałóż czapkę, żeby nasza klientka nie musiała oglądać twojej koszarnej fryzury. Nie jedź za szybko. Jeszcze jeden mandat i możesz się pożegnać z Cyberpatrolem. I przed wyjściem pozbieraj te cholerne pety.

Frobisher znika w środku, zanim zdążyła obmyślić return na jego serw.

– Nalepki DVD dla ciebie, dla mnie starsza pani z procesorem pewnie pełnym okruchów pełnoziarnistych herbatników – mówi Freddi.

Zeskakuje z rampy i nakłada czapkę. Zgniatą fakturę i rusza w stronę volkswagenów, nawet nie spojrzawszy na niedopałki. Jednak ogląda się na Brady'ego, opierając ręce na chłopięcych biodrach.

– Nie o takim życiu marzyłam, kiedy miałam dziesięć lat i chodziłam do piątej klasy.

– Ani ja – przyznaje Brady.

Patrzy, jak Freddi wyrusza na ratunek starszej pani, która pewnie odchodzi od zmysłów, bo nie może ściągnąć przepisu na swoją ulubioną szarlotkę. Tym razem Brady zastanawia się, jak by zareagowała Freddi, gdyby jej opowiedział o swoim dzieciństwie. O tym, jak zabił brata. A matka to zatuszowała.

Dlaczego nie?

W końcu to był jakby jej pomysł.

Podczas gdy Brady przylepia żółte nalepki z napisem 50% TANIEJ na stare filmy Quentina Tarantino, a Freddi pomaga starej pani Verze Willkins po zachodniej stronie miasta (okazuje się, że to klawiatura była pełna okruchów), Bill Hodges skręca z Lowbriar, czteropasmowej drogi, która oddziela śródmieście od Lowtown, na parking przy włoskiej Ristorante DeMasio. Nie potrzebuje zdolności Sherlocka Holmesa, żeby odgadnąć, że Pete przyjechał pierwszy. Parkuje obok zwykłego szarego chevroleta sedana z czarnymi oponami Blackwall, który dosłownie krzyczy, że należy do policjanta, i wysiada ze swojej starej toyoty, która dosłownie krzyczy, że należy do emeryta. Dotyka maski chevroleta. Ciepła. Pete niewiele go wyprzedził.

Hodges przystaje na chwilę, ciesząc się tym późnym rankiem, prawie południem, jasnym słońcem i ostrymi cieniami. Spogląda w stronę wiaduktu przy następnej przecznicy. Cały jest zabazgrany graffiti i chociaż teraz świeci pustkami (południe to pora śniadania dla młodszych mieszkańców Lowtown), wie, że gdyby tam wszedł, poczułby zapach taniego wina i whisky. Pod nogami trzeszczałoby szkło z rozbitych butelek. W rynsztokach zobaczyłby więcej butelek. Tych małych, brązowych.

To już nie jego problem. Zresztą pod wiaduktem nikogo nie ma, a Pete czeka na niego. Hodges wchodzi do restauracji i przyjemnie mu się robi, kiedy Elaine przy stanowisku hostessy uśmiecha się i wita go po imieniu, chociaż nie był tutaj od miesiący. Może nawet od roku. Oczywiście Pete siedzi w boksie i już podnosi rękę, i to on mógł odświeżyć jej pamięć, jak mawiają prawnicy.

Hodges też podnosi rękę i zanim dociera do boksu, Pete stoi obok z wyciągniętymi ramionami, gotów do uścisku na niedźwiedzia. Wałą się nawzajem po plecach wymaganą ilość razy i Pete mówi, że Hodges dobrze wygląda.

– Wiesz, jakie są trzy okresy w życiu człowieka? – pyta Hodges.

Jego były partner kręci głową, szczerząc zęby.

– Młodość, wiek średni i „cholernie dobrze wyglądasz”.

Pete ryczy ze śmiechu i pyta, czy Hodges wie, co powiedziała blondynka, kiedy otworzyła pudełko płatków Cheerios. Hodges mówi, że nie wie. Pete robi wielkie zdziwione oczy i go oświeca:

– Och! Jakie śliczne małe nasionka pączków!

Hodges też wydaje obowiązkowy ryk śmiechu (choć nie uważa, że to szczególnie zabawny dowcip o blondynkach) i odpracowawszy w ten sposób grzeczności, siadają. Podchodzi kelner – w DeMasio nie ma kelnera, tylko starsi mężczyźni w nieskazitelnych fartuchach, zawiązanych wysoko na wątlach jak u kurczaków klatkach piersiowych – i Pete zamawia dzbanek piwa. Bud lite, nie ivory special. Kiedy piwo się pojawia, Pete podnosi szklankę.

– Twoje zdrowie, Billy, i za życie po pracy.

– Dzięki.

Stukają się i piją. Pete pyta o Allie, a Hodges pyta o syna i córkę Pete’a. Przelotnie dotykają tematu żon, obu byłych (jakby chcieli udowodnić sobie samym i sobie nawzajem, że nie boją się o nich mówić), po czym więcej o nich nie wspominają. Zamawiają jedzenie. Zanim zostało podane, dawni partnerzy zdążyli już porozmawiać o dwójce wnuków Hodgesa i przeanalizowali szanse Cleveland Indians, lokalnej pierwszoligowej drużyny. Pete wziął ravioli, Hodges spaghetti z czosnkiem i oliwą, które zawsze tu zamawia.

W połowie tych bomb kalorycznych Pete wyjmuję z kieszeni na piersi złożoną kartkę i kładzie dość ceremonialnie obok talerza.

– Co to jest? – pyta Hodges.

– Dowód moich niezwykle wyostrzonych detektywistycznych zdolności. Nie widziałem cię od tamtego horroru w Raintree Inn... miałem kaca przez trzy dni, nawiasem mówiąc... i rozmawialiśmy ile, dwa razy? Trzy razy? Potem bach, zapraszasz mnie na lunch. Czy jestem zdziwiony? Nie. Czy podejrzewam ukryty motyw? Tak. Więc zobaczymy, czy mam rację.

Hodges wzrusza ramionami.

– Jestem ciekawy. Chociaż ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Pete Huntley szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu, a kiedy Hodges sięga po złożony świstek papieru, Pete nakrywa go ręką.

– Nie, nie, nie, nie. Musisz to powiedzieć. No, nie wstydź się, Kermit.

Hodges wzdycha i odlicza cztery pozycje na palcach. Kiedy skończył, Pete popycha przez stół złożoną kartkę. Hodges rozkłada ją i czyta:

1. Davis

2. Parkowy Gwałciciel

3. Lombardy

4. Zabójca z Mercedesa

Hodges udaje zmieszanie.

– Przyłapałeś mnie, szeryfie. Nie mów nic, jeśli nie chcesz.

Pete poważnieje.

– Jezu, zrobiłbyś mi zawód, gdyby cię nie interesowały te sprawy, które były zawieszona, kiedy odszedłeś. Ja... trochę się o ciebie martwiłem.

– Nie chcę się wcinać, nic z tych rzeczy. – Hodges jest zaskoczony, jak gładko spłynęło mu z ust to monstrialne łgarstwo.

– Nos ci rośnie, Pinokio.

– Nie, poważnie. Chcę tylko być na bieżąco.

– Chętnie służę. Zaczniemy od Donalda Davisa. Znasz scenariusz. Facet spieprzył każdy interes, do którego się wziął, ostatnio Klasyczne Samochody Davisa. Tonie w długach tak głęboko, że powinien się nazywać kapitan Nemo. Dwie czy trzy laseczki na boku.

– Były trzy, kiedy odchodziłem – zauważa Hodges, wracając do spaghetti.

Nie przyszedł tu z powodu Donalda Davisa ani gwałciciela z miejskiego parku, ani faceta, który od czterech lat obrabia lombardy i sklepy z alkoholem; to tylko kamuflaż. Ale wbrew sobie jest zaciekawiony.

– Żona ma dość długów i laseczek. Przygotowuje pozew rozwodowy, a wtedy nagle znika. Najstarszy numer pod słońcem. On zgłasza jej zaginięcie i tego samego dnia ogłasza bankructwo. Udziela wywiadu w telewizji i wylewa wiadro krokodylich łez. Wiemy, że ją zabił, ale brak ciała... – Wzrusza ramionami. – Byłeś na tym spotkaniu z Zaćpaną Dianą. – Mówi o pani prokurator okręgowej.

– Ciągłe nie mogą jej przekonać, żeby go oskarżyła?

– Nie ma korpusa deliktusa, nie ma oskarżenia. Gliniarze w Modesto wiedzieli, że Scott Peterson jest winny jak cholera, ale go nie oskarżyli, dopóki nie znaleźli ciała żony i dziecka. Wiesz o tym.

Hodges wie. Często rozmawiali z Pete'em o Scotcie i Laci Petersonach, kiedy prowadzili dochodzenie w sprawie zniknięcia Sheili Davis.

– Ale wiesz co? W ich letnim domku nad jeziorem znaleziono krew. – Pete robi pauzę dla efektu, potem spuszcza drugą bombę. – Jej krew.

Hodges pochyla się do przodu, chwilowo zapominając o jedzeniu.

– Kiedy to było?

– W zeszłym miesiącu.
– I nic mi nie powiedziałaś?
– Teraz ci mówię. Bo teraz pytasz. Poszukiwania trwają. Kierują tym gliny z okręgu Victor.

– Czy ktoś go widział w tej okolicy przed zniknięciem Sheili?
Pete uśmiecha się.
– O tak. Dwójka dzieciaków. Davis twierdził, że zbierał grzyby. Cholerny Euell Gibbons^[4], nie? Kiedy znajdą ciało... jeśli znajdą... pocziwy Donnie Davis nie będzie już musiał czekać siedem lat, żeby ją uznali za zmarłą i wypłacili mu pieniądze z ubezpieczenia. – Pete uśmiecha się szeroko. – Pomyśl, ile czasu zaoszczędzi.

– A co z Parkowym Gwałcicielem?
– To tylko kwestia czasu. Wiemy, że jest biały, nastolatek albo po dwudziestce, i wiemy, że nigdy nie ma dość tych dobrze utrzymanych dojrzałych cipek.
– Wystawiacie przynęty, tak? Bo on lubi, jak jest ciepło.
– Wystawiamy i dorwiemy go.
– Lepiej, żebyście go dorwali, zanim zgwałci następną pięćdziesiątkę w drodze z pracy do domu.

– Robimy, co możemy. – Pete wydaje się lekko zirytowany i kiedy zjawia się kelner, pytając, czy wszystko w porządku, Pete odprawia go machnięciem ręki.
– Wiem – mówi Hodges. Uspokajająco. – Facet od lombardów?
Pete rozpromienia się w szerokim uśmiechu.
– Young Aaron Jefferson.
– Hę?
– Tak się naprawdę nazywa, chociaż kiedy grał w futbol w szkole, nazwał się Y.A. No wiesz, jak ten zawodnik Y.A. Tittle. Ale jego dziewczyna... i matka jego trzyletniego dziecka... twierdzi, że mówił na niego Y.A. Titties^[5]. Kiedy ją zapytałem, czy mówił poważnie, czy żartował, odpowiedziała, że nie ma pojęcia.

Następna historia stara jak świat... pewnie nawet w Biblii można znaleźć jakąś wersję.
– Niech zgadnę – mówi Hodges. – Facet robi tuzin skoków...
– Razem czternaście. Wymachuje tym obrzynem jak Omar w *Prawie ulicy*.
– ...i ciągle mu się udaje, bo ma piekielne szczęście. Potem zdradza matkę swojego dziecka. Ona się wkurza i go kabluje.

Pete celuje palcem jak lufą pistoletu w byłego partnera.
– Trafiony. I kiedy następnym razem Young Aaron wkroczy ze swoim obrzynem do lombardu albo kasy realizującej czeki, będziemy o tym wiedzieli wcześniej i pa, pa, aniołku.
– Po co czekać?
– Znowu pani prokurator – wyjaśnia Pete. – Przyniesiesz Zaćpanej Dianie stek, to powie: usmaż go dla mnie, a jak nie będzie średnio wysmażony, to go odeślę.
– Ale go macie.
– Założę się o nowy komplet opon, że Y.A. Titties będzie w areszcie przed Czwartym Lipca i w więzieniu stanowym przed Gwiazdką. Davis i Parkowy Gwałciciel mogą zająć trochę więcej czasu, ale ich dopadniemy. Chcesz deser?
– Nie. Tak. – Hodges zwraca się do kelnera: – Macie jeszcze ciasto rumowe? To z ciemną czekoladą?

Kelner robi urażoną minę.
– Tak, proszę pana. Zawsze.
– Poproszę kawalek. I kawę. A ty?

– Zostanę przy piwie. – Po tych słowach Pete nalewa resztę piwa z dzbanka. – Na pewno chcesz ciasto, Billy? Chyba ci trochę przybyło z przodu, odkąd cię ostatnio widziałem.

To prawda. Hodges objada się na emeryturze, ale dopiero od kilku dni jedzenie zaczęło mu smakować.

– Myślę, żeby przejść na dietę.

Pete kiwa głową.

– Taak? A ja myślę, żeby zostać księdzem.

– Wal się. Co z Zabójcą z Mercedesa?

– Ciągle przeczesujemy sąsiedztwo Trelawney... Isabelle właśnie tam jest... ale zdziwię się, jeśli ona czy ktokolwiek trafi na ciepły trop. Izzy nie zapuka do żadnych drzwi, do których nie pukano już dziesięć razy. Ten gość zwinął luksusową brykę pani Trelawney, wyjechał z mgły, zrobił swoje, zniknął we mgle, zostawił wóz... i tyle. Co tam monsieur Y.A. Titties, to facet od mercedesa naprawdę ma piekielne szczęście. Gdyby spróbował tej sztuczki godzinę później, byłyby tam gliny. Żeby pilnować porządku w tłumie.

– Wiem.

– Myślisz, że on wiedział, Billy?

Hodges przechyla głowę w prawo i w lewo na znak, że trudno powiedzieć. Jeśli on i Pan Mercedes odbędą konwersację na tym portalu Niebieski Parasol, może go zapyta.

– Ten kutas mógł stracić panowanie nad wozem, kiedy zaczął rozgniatać ludzi, ale nie stracił. Niemiecka konstrukcja, najlepsza na świecie, tak mówi Isabelle. Ktoś mógł wskoczyć na maskę i zasłonić mu widok, ale nikt nie wskoczył. Któryś słupek podtrzymujący taśmę mógł się dostać pod samochód i zaczepić o podwozie, ale tego też gnojek uniknął. I ktoś mógł go zobaczyć, kiedy zaparkował za magazynem i wysiadł bez maski, ale nikt go nie widział.

– Była piąta dwadzieścia rano – przypomina Hodges – a tam jest pusto nawet w południe.

– Z powodu recesji – stwierdza markotnie Pete Huntley. – Tak, tak. Pewnie połowa ludzi, którzy dawniej pracowali w tych magazynach, czekała przed City Center na rozpoczęcie cholernych targów pracy. Zażyj trochę ironii, dobra na ciśnienie.

– Więc nic nie macie.

– Utknęliśmy w martwym punkcie.

Zjawia się ciasto Hodgesa. Pachnie dobrze i jeszcze lepiej smakuje.

Po odejściu kelnera Pete przechyla się przez stół.

– Mój najgorszy koszmar jest taki, że on to znowu zrobi. Że kiedy mgła nadpłynie nad jeziora, on to znowu zrobi.

Napisał, że nie robi, myśli Hodges, podnosząc do ust widelczyk z następną porcją pysznego ciasta. Napisał, że „absolutnie nie czuje potrzeby”. Napisał, że „jeden raz wystarczy”.

– To albo co innego – mówi Hodges.

– W marcu strasznie się pokłóciłem z córką – wyznaje Pete. – Okropnie. Nie widziałem jej przez cały kwiecień. Opuściła wszystkie weekendy.

– Tak?

– Uhum. Chciała pójść obejrzeć zawody cheerleaderek. Praktycznie każda szkoła w stanie brała udział. Pamiętasz, jak Candy zawsze szalała za cheerleaderkami?

– Aha – potwierdza Hodges. Nie pamięta.

– Miała taką plisowaną spódniczkę w wieku czterech czy sześciu lat, w ogóle nie chciała jej zdejmować. Dwie mamy powiedziały, że zabiorą dziewczynki. A ja nie puściłem Candy.

Wiesz czemu?

Jasne, że wie.

– Bo zawody odbywały się w City Center, dlatego. W wyobraźni widziałem jakiś tysiąc

małolątek i ich mamy tłoczące się na zewnątrz, czekające na otwarcie drzwi, zmierzch zamiast świtu, ale wtedy też mgła napływa znad jeziora. I widzę, jak ten skurwiel wjeżdża w nie następnym ukradzionym mercedesem... albo może tym razem jakimś cholernym hummerem... a dzieciaki i mamusie tylko stoją i gapią się jak jelenie oślepięte przednimi światłami wozu. Więc powiedziałem: nie. Szkoda, że nie słyszałaś, jak na mnie wrzeszczała, ale ja wciąż mówiłem: nie. Nie rozmawiała ze mną przez miesiąc i wciąż by się nie odzywała, gdyby Maureen jej nie zabrała. Powiedziałem Mo: absolutnie wykluczone, ani się waż, a ona mi na to: Dlatego się z tobą rozwiodłam, Pete, bo miałam dość słuchania „Wykluczone” i „Ani się waż”. I oczywiście nic się nie stało.

Pete dopija piwo, znowu pochyla się do przodu.

– Mam nadzieję, że kiedy go złapiemy, będzie przy tym dużo ludzi. Jeśli dorwę go sam, mogę go zabić tylko za to, że przez niego poprzytykałem się z córką.

– Więc czemu masz nadzieję na dużo ludzi?

Pete rozważa to, potem uśmiecha się powoli.

– Tu masz rację.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad panią Trelawney?

Hodges zadaje to pytanie niedbałym tonem, ale sam dużo rozmyślał o Olivii Trelawney, odkąd anonimowy list wpadł przez szparę w drzwiach. Przedtem też. Kilka razy w szarych miesiącach po odejściu na emeryturę nawet mu się śniła. Ta długa twarz... smętne końskie oblicze. Twarz, która mówi: „nikt nie rozumie” i „cały świat jest przeciwko mnie”. Ta kobieta miała mnóstwo pieniędzy, a jednak nie potrafiła docenić uroków życia, chociaż nie musiała się martwić o wypłatę. Upłynęło wiele lat, odkąd pani T. bilansowała rachunki albo sprawdzała na sekretarce wiadomości od inkasenta długów, ale potrafiła tylko wyliczać nieszczęścia, sumować długą listę fatalnych fryzur i niegrzecznej obsługi. Pani Olivia Trelawney w workowatych sukniach z dekoltem w łódkę, rzeczony łódki zawsze przechylone na sterburcie albo na bakburcie. Wodniste oczy, wiecznie jakby zażawione. Nikt jej nie lubił, włącznie z detektywem pierwszego stopnia Kermitem Williamem Hodgesem. Nikt się nie zdziwił, kiedy popełniła samobójstwo, włącznie z wyżej wymienionym detektywem Hodgesem. Śmierć ośmiu osób – nie licząc wielu rannych – to wielki ciężar na sumieniu.

– Nad czym miałem się zastanawiać? – pyta Pete.

– Czy w końcu mówiła prawdę. O kluczykach.

Pete unosi brwi.

– Myślała, że mówi prawdę. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wmówiła to sobie tak gruntownie, że mogłaby przejść test na wykrywaczu kłamstw.

To prawda, i Olivia Trelawney nie stanowiła zaskoczenia dla żadnego z nich. Bóg wie, że widzieli innych podobnych do niej. Zawodowi przestępcy zachowują się jak winowajcy, nawet jeśli nie popełnili zbrodni, w sprawie której są przesłuchiwanymi, ponieważ wiedzą cholernie dobrze, że i tak coś przeszkobali. Porządni obywatele po prostu nie mogą w to uwierzyć i Hodges wie, że kiedy któryś z nich jest wstępnie przesłuchiwany, rzadko w grę wchodzi broń. Nie, zwykle to samochód. „Myślałem, że tylko przejechałem psa”, powiedzą, i nieważne, co zobaczyli w lusterku wstecznym po tym okropnym podwójnym podskoku, będą w to wierzyć.

Tylko psa.

– Tak czy inaczej jestem ciekawy – mówi Hodges. Ma nadzieję, że to zabrzmiało, jakby się zastanawiał, a nie jakby naciskał.

– Daj spokój, Bill. Widziałeś to samo co ja, a gdybyś chciał sobie odświeżyć pamięć, możesz wpaść na posterunek i obejrzeć zdjęcia.

– Chyba tak.

Z kieszeni sportowej marynarki Pete'a, kupionej w hurtowni odzieży męskiej, dochodzą pierwsze tony *Night on Bald Mountain*. Pete wygrzebuje telefon, spogląda na wyświetlacz i mówi:

– Muszę odebrać.

Hodges wykonuje przyzwalający gest.

– Halo? – Pete słucha. Oczy mu się rozszerzają i wstaje tak gwałtownie, że o mało nie przewraca krzesła. – Co?!

Pozostali klienci przestają jeść i oglądają się. Hodges patrzy z zaciekawieniem.

– Tak... tak! Zaraz będę. Co? Tak, tak, okay. Nie czekajcie, jedźcie.

Zatrząskuje telefon i znowu siada. Nagle cały się ożywia i w tym momencie Hodges rozpaczliwie mu zazdrości.

– Powinienem częściej z tobą jadać, Bill. Przynosisz mi szczęście, jak zawsze.

Rozmawiamy o tym i proszę, mówisz i masz.

– Co? – Hodges myśli, że to Pan Mercedes. Następna myśl jest jednocześnie śmieszna i żalсна: On miał być mój.

– Dzwoniła Izzy. Właśnie dostała telefon od pułkownika policji stanowej w okręgu Victor. Przed godziną strażnik łowiecki zauważył jakieś kości w starym wyrobisku żwiru. Wyrobisko jest trzy kilometry od dachy Donniego Davisa nad jeziorem. I wiesz co? Na kościach zostały resztki materiału, jakby sukienki.

Wyciąga rękę nad stołem. Hodges przybija mu piątkę.

Pete wkłada telefon z powrotem do rozciągniętej kieszeni i wyjmuję portfel. Hodges kręci głową, nawet nie próbując ukryć przed sobą, co czuje: ulgę. Gigantyczną ulgę.

– Nie, ja stawiam. Spotykasz się tam z Isabelle, tak?

– Tak.

– No to zasuważ.

– Okay. Dziękuję za lunch.

– Jeszcze jedno: słyszałeś coś o Joem Rogatce?

– Tym się zajmują stanowi – odpowiada Pete. – A teraz jeszcze federaści. Niech go sobie biorą. Słyszałem, że nic nie mają. Tylko czekają, aż on to zrobi jeszcze raz, i liczą na łut szczęścia. – Spogląda na zegarek.

– Idź, idź.

Pete rusza, przystaje, zawraca i wyciska wielkiego buziaka na czole Hodgesa.

– Cieszę się z naszego spotkania, skarbie.

– Spadaj – mówi Hodges. – Ludzie pomyślą, że jesteśmy zakochani.

Pete zmywa się, uśmiechnięty od ucha do ucha. Hodges wspomina, jak czasem siebie nazywali: Ogary Niebios.

Zastanawia się, czy nie stracił węchu.

Kelner wraca i pyta, czy podać coś jeszcze. Hodges najpierw chce podziękować, ale potem zamawia następną kawę. Chce tu posiedzieć przez chwilę, rozkoszując się podwójnym szczęściem: to nie był Pan Mercedes i to był Donnie Davis, ten świętoszkowaty skurwiel, który zabił żonę, a potem kazał adwokatowi wyznaczyć nagrodę za informację o miejscu jej pobytu. Ponieważ, o Jezu, tak bardzo ją kochał i chciał tylko, żeby wróciła do domu, żeby mogli zacząć od początku.

Chce również pomyśleć o Olivii Trelawney i jej ukradzionym mercedesie. Ukradzionym bez wątpienia. Ale pomimo jej protestów nikt nie wątpił, że ułatwiła złodziejowi zadanie.

Hodges pamięta sprawę, o której im opowiedziała Isabelle Jaynes – wówczas świeżo przeniesiona z San Diego – kiedy dowiedziała się o mimowolnym udziale pani Trelawney w masakrze w City Center. Wezwano ją razem z partnerem do domu, gdzie dziewięcioletni chłopczyk zastrzelił swoją czteroletnią siostrzyczkę. Bawili się pistoletem automatycznym, który ojciec zostawił na biurku.

– Ojcu nie postawiono zarzutów, ale będzie dźwigał ten ciężar do końca życia – powiedziała wtedy. – Tutaj będzie to samo, zaczekajcie, to zobaczycie.

Miesiąc później, nawet niecały miesiąc, pani Trelawney połknęła pigułki i nikt w sprawie Zabójcy z Mercedesu się tym nie przejął. Dla nich – i dla Hodgesa – pani T. była po prostu bogatą babą, uzalającą się nad sobą i niezdolną zaakceptować swojej roli w tym, co się wydarzyło.

Mercedesa SL ukradziono w śródmieściu, ale pani Trelawney, wdowa, której zamożny mąż zmarł na atak serca, mieszkała w Sugar Heights, na przedmieściu równie luksusowym jak jego nazwa, gdzie wiele zagrodzonych podjazdów prowadziło do czternasto- i dwudziestopokojowych rezydencji. Hodges dorastał w Atlancie i za każdym razem, kiedy przejeżdża przez Sugar Heights, wspomina elegancką dzielnicę Atlanty o nazwie Buckhead.

Stara matka pani T., Elizabeth Wharton, mieszkała w apartamencie – bardzo ładnym, z pokojami wielkimi jak obietnice przedwyborcze – na ekskluzywnym osiedlu przy Lake Avenue. Wystarczyło tam miejsca, żeby zatrudnić gosposię na stałe, a prywatna pielęgniarka przychodziła trzy razy w tygodniu. Pani Wharton cierpiała na zaawansowaną skoliozę i to z jej apteczki córka podwędziła oxycontin, kiedy postanowiła się wypisać z imprezy.

Samobójstwo to dowód winy. Hodges pamięta, jak porucznik Morrissey to mówił, sam jednak zawsze miał wątpliwości, które ostatnio znacznie się nasiliły. Wiemy teraz, że ludzie popełniają samobójstwo nie tylko wskutek poczucia winy.

Czasami wystarczy nudny program w telewizji.

Dwaj gliniarze z motocyklowego patrolu znaleźli mercedesa godzinę po zabójstwach. Stał za jednym z magazynów, które skupiły się na brzegu jeziora.

Wielkie wybrukowane podwórze zapełniały zardzewiałe kontenery, wznoszące się dookoła niczym monolityczne posągi z Wyspy Wielkanocnej. Pomiedzy dwoma z nich stał krzywo, niedbale zaparkowany szary mercedes. Zanim przyjechali Hodges i Huntley, na podwórzu parkowało pięć radiowozów, dwa ustawione tuż za tylnym zderzakiem mercedesa, jakby policjanci się obawiali, że szary sedan sam zapali, niczym tamten stary plymouth w horrorze, i spróbuje odjechać. Mgła zamieniła się w lekki deszcz. Lampy na dachach radiowozów rozświetlały krople asynchronicznymi błyskami niebieskiego światła.

Hodges i Huntley podeszli do grupy policjantów na motorach. Huntley porozmawiał z tymi dwoma, którzy znaleźli samochód, a Hodges zrobił obchód. Przód SL500 był tylko lekko wgnieciony – słynna niemiecka technika – ale maskę i przednią szybę pokrywały krwawe rozbryzgi. W maskownicy zaczepił się rękaw koszuli, już sztywniejący od krwi. Później ustalono, że należał do Augusta Odenkirka, jednej z ofiar. Było tam coś jeszcze. Coś, co błyszczało nawet w słabym świetle poranka. Hodges przyklęknął na jedno kolano, żeby się lepiej przyjrzeć. Wciąż klęczał, kiedy dołączył do niego Huntley.

– Co to jest, do cholery? – zapytał Pete.

– Chyba obrączka – odpowiedział Hodges.

Miał rację. Gładkie złote kółko należało do Francine Reis, trzydzieści dziewięć lat, zamieszkałej na Squirrel Ridge Road, i zostało później zwrócone rodzinie. Musieli pochować Francine z obrączką na serdecznym palcu prawej dłoni, ponieważ wskazujący, środkowy i serdeczny lewej dłoni zostały oderwane. Patolog zakładał, że instynktownie uniosła rękę w obronnym geście, kiedy mercedes na nią najechał. Dwa z tych palców odnaleziono na miejscu zbrodni krótko przed południem dziesiątego kwietnia. Palca wskazującego nigdy nie znaleziono. Hodges przypuszczał, że porwała go mewa – jeden z tych wielkich samców, które patrolowały brzegi jeziora. Wolał to od makabrycznej alternatywy, że ktoś, kto przeżył masakrę pod City Center, zabrał palec na pamiątkę.

Hodges wstał i skinął na jednego z policjantów z patrolu.

– Musimy nakryć samochód brezentem, zanim deszcz zmyje wszystkie...

– Już wiozą – odparł gliniarz i wskazał kciukiem Pete'a. – Od razu nam powiedział.

– No, czyż to nie pięććknie – rzucił Hodges, całkiem nieźle naśladując Kościelną Paniusię z telewizyjnego serialu, ale partner odpowiedział mu uśmiechem bladym jak ten dzień. Patrzył na tępy, zachlapany krwią pysk mercedesa i obrączkę tkwiącą w chromie.

Podszedł następny gliniarz; w ręku trzymał notes, otwarty na stronie już zwijającej się od wilgoci. Na jego identyfikatorze widniało nazwisko F. SHAMMINGTON.

– Samochód zarejestrowany na panią Olivie Ann Trelawney, Lilac Drive numer siedemset dwadzieścia pięć. To w Sugar Heights.

– Gdzie idzie spać większość dobrych mercedesów, kiedy kończą długi dzień pracy – powiedział Hodges. – Dowiedzcie się, czy pani Trelawney jest w domu, funkcjonariuszu Shammington. Jeśli nie, spróbujcie ją znaleźć. Możecie to zrobić?

– Tak jest, oczywiście.

– Zwykła rutyna, tak? Dochodzenie w sprawie kradzieży samochodu.

– Jasne.

Hodges odwrócił się do Pete'a.

– W środku z przodu. Zauważyłeś coś?

- Nie ma wystrzelonej poduszki powietrznej. Odłączył je. To wskazuje na premedytację.
- I wiedział, jak to zrobić. Co powiesz o masce?

Pete zajął przez upstrzoną kropelkami deszczu boczną szybę po stronie kierowcy, nie dotykając szkła. Na skórzanym fotelu kierowcy leżała gumowa maska, z rodzaju tych naciąganych na głowę. Kępki pomarańczowych błazeńskich włosów sterczały znad skroni jak rogi. Nos stanowiła czerwona gumowa bulwa. Na zwiotczącej gumie uśmiech czerwonych ust zmienił się w szyderczy grymas.

- Upiorne jak cholera. Widziałeś ten telewizyjny film o klaunie w ściekach?

Hodges pokręcił głową. Później – zaledwie parę tygodni przed emeryturą – kupił ten film na DVD, i Pete miał rację. Maska bardzo przypominała twarz Pennywise'a, filmowego klauna.

Obaj znowu obesзли samochód dookoła, tym razem odnotowując krew na oponach i progach. Zanim przyjechali technicy z brezentową płachtą, deszcz zmył wiele ciemnoczerwonych plam; było dopiero dwadzieścia po szóstej.

– Panowie! – zawołał Hodges i kiedy podeszli, zapytał: – Kto ma komórkę z aparatem fotograficznym?

Wszyscy mieli. Hodges ustawił ich w kręgu dookoła tego, o czym już myślał jak o samochodzie śmierci, i zaczęli robić zdjęcia.

Funkcjonariusz Shammington stał trochę dalej, rozmawiając przez telefon komórkowy. Pete przywołał go ruchem ręki.

- Udało wam się ustalić wiek tej Trelawney?

Shammington zajął do notesu.

– Data urodzenia w jej prawie jazdy to trzeci lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Czyli że ma... yy...

- Pięćdziesiąt dwa lata – powiedział Hodges.

Pracowali razem z Pete'em Huntleyem od dwunastu lat i wielu rzeczy nie musieli mówić na głos. Olivia Trelawney była w odpowiednim wieku i odpowiedniej płci dla Parkowego Gwałciciela, ale zupełnie nie pasowała do roli szalonego zabójcy. Zdarzało się, że ludzie tracili panowanie nad kierownicą i przypadkiem wjeżdżali w tłum – zaledwie pięć lat wcześniej, w tym samym mieście, staruszek po osiemdziesiątce, niemal znieoężniały, wjechał swoim buickiem electrą w kawiarnię na chodniku, zabił jedną osobę i zranił kilka innych – ale Olivia Trelawney nie pasowała również do tego profilu. Za młoda.

No i jeszcze ta maska.

Ale...

Ale.

Rachunek pojawia się na srebrnej tacy. Hodges kładzie na nim plastikową kartę i sący kawę, czekając na powrót kelnera. Czuje się przyjemnie nasycony, a w tym stanie w środku dnia zwykle ucina sobie dwugodzinną drzemkę. Jednak nie tego popołudnia. Tego popołudnia jest rozbudzony jak nigdy.

„Ale” było w tej sprawie tak oczywiste, że żaden z nich nie musiał tego mówić na głos, ani do funkcjonariuszy z patrolu (przyjeżdżało ich coraz więcej, chociaż ten cholerny brezent pojawił się dopiero kwadrans po siódmej), ani do siebie nawzajem. Drzwi mercedesa były zamknięte, stacyjka pusta. Detektywi nie dostrzegli żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś się włamał do samochodu, a później tego samego dnia potwierdził to główny mechanik z miejskiego przedstawicielstwa Mercedesa.

– Jak trudno byłoby wsadzić wytrych Slim Jim przez okno? – zapytał mechanik Hodges.
– Otworzyć w ten sposób zamek?

– To praktycznie niemożliwe – odpowiedział mechanik. – Te merce są solidnie zbudowane. Gdyby ktoś tego próbował, zostawiłby ślady. – Zsunął czapkę na tył głowy. – Sprawa jest jasna, panie władzo. Właścicielka zostawiła kluczyk w stacyjce i nie zwróciła uwagi na brzęczyk przypominający o tym, kiedy wysiadała. Pewnie myślała o czymś innym. Złodziej zobaczył kluczyk i zabrał samochód. Znaczący, on musiał mieć kluczyk. Inaczej jak by zamknął samochód, kiedy go zostawił?

– Ciągle pan mówi „ona” – zauważył Pete. Nie wymienili nazwiska właściciela.

– Hej, dajcie spokój. – Mechanik lekko się uśmiechnął. – To mercedes pani Trelawney. Olivii Trelawney. Kupiła go w naszym salonie i oddaje go do przeglądu co cztery miesiące, jak w zegarku. Serwisujemy tylko kilka dwunastocylindrowych i znamy je wszystkie. – A potem dodał, mówiąc tylko makabryczną prawdę: – Ten wóz to czołg.

Zabójca wjechał benzyniakiem pomiędzy dwa kontenery, zgasił silnik, ściągnął maskę, oblał ją wybielaczem i wysiadł z samochodu (rękawiczki i siatkę na włosy prawdopodobnie zabrał ze sobą, schowane pod kurtką). Potem ostatni gest „walcie się” i odszedł w mgłę; zamknął samochód inteligentnym kluczykiem Olivii Ann Trelawney.

To było „ale”.

Poprosiła, żebyśmy mówili cicho, bo jej matka śpi, wspomina Hodges. Potem poczęstowała nas kawą i ciastkami. Siedząc w DeMasio, dopija resztki z filiżanki, czekając na zwrot karty kredytowej. Wspomina salon w tym olbrzymim apartamencie z zarąbistym widokiem na jezioro.

Razem z kawą i ciastkami zaserwowała im ten wyraz twarzy mówiący „ależ skąd”, z szeroko otwartymi oczami, wyraz twarzy typowy dla porządnych obywateli, którzy nigdy nie mieli kłopotów z policją. Jak można w ogóle coś takiego podejrzewać. Nawet powiedziała to na głos, kiedy Pete zapytał, czy to możliwe, że zostawiła kluczyki w samochodzie, który zaparkowała na Lake Avenue, kilka budynków od domu matki.

– Ależ skąd. – Tym słowom towarzyszył nikły, napięty uśmiech, jakby chciała dodać: „Uważam wasze sugestie za niemądre i w dużym stopniu uwłaczające”.

Wreszcie wraca kelner. Stawia na stole srebrną tackę, a Hodges wsuwa mu do ręki dziesiątkę i piątaka, zanim kelner zdąży się wyprostować. W DeMasio kelnerzy dzielą się napiwkami, co Hodges potępia z całego serca. Jeśli to staromodne z jego strony, nie szkodzi.

– *Dziękuję panu i buon pomeriggio.*

– Nawzajem – odpowiada Hodges.

Chowa rachunek i kartę Amex, ale nie wstaje od razu. Na deserowym talerzyku zostało trochę okruchów. Zgarnia je widelczykiem, jak robił z ciastem matki, kiedy był mały. Te ostatnie okruszki, powoli wysysane na język spomiędzy zębów widelczyka, zawsze wydawały mu się najśłodsze z całej porcji.

To decydujące pierwsze przesłuchanie, zaledwie parę godzin po zbrodni. Kawa i ciastka, podczas gdy trwa jeszcze identyfikacja zmasakrowanych ciał. Gdzieś tam krewni płaczą i rozdzierają szaty.

Pani Trelawney wyszła do holu, gdzie jej torebka stała na podręcznym stoliku. Przyniosła torebkę, pogrzebała w niej, zmarszczyła brwi, dalej grzebała z lekkim niepokojem. Potem się uśmiechnęła.

– Jest – powiedziała i podała kluczyk.

Detektywi popatrzyli na niego. Hodges pomyślał, że wygląda bardzo zwyczajnie jak na gadżet do takiego kosztownego samochodu. Czarny plastikowy patyczek z gałką na jednym końcu. Na gałce z boku wybite logo Mercedesa. Po drugiej stronie trzy guziki. Jeden pokazywał kłódkę z opuszczonym pałakiem. Na drugim pałak kłódkki był podniesiony. Trzeci guzik miał napis PANIKA. Pewnie jeśli podczas otwierania samochodu zaatakował cię bandyta, mogłeś nacisnąć ten guzik i samochód zacząłby wzywać pomocy.

– Rozumiem, dlaczego pani nie mogła go znaleźć w torebce – odezwał się Pete swoim najlepszym neutralnym tonem. – Większość ludzi dołącza do kluczyków breloczki. Moja żona nosi swój na wielkiej plastikowej stokrotce. – Uśmiechnął się czule, jakby Maureen wciąż była jego żoną i jakby sądził, że ta nieskazitelnie elegancka dama nie spaliłaby się ze wstydu, gdyby ją przyłapano na wyciąganiu z torebki plastikowej stokrotki.

– Jak to miło – powiedziała pani Trelawney. – Kiedy mogę odzyskać samochód?

– To nie zależy od nas, proszę pani – odparł Hodges.

Westchnęła i poprawiła łożkowy dekollet sukni. Wtedy po raz pierwszy widzieli ten gest, który mieli oglądać jeszcze wiele razy.

– Oczywiście będę musiała go sprzedać. Już nigdy do niego nie wsiądę. To takie przykre. Pomyśleć, że mój samochód... – Teraz, kiedy miała torebkę w ręku, znowu do niej zajrzała i wyjęła zwitek pastelowych kleenexów. Osuszyła nimi oczy. – To bardzo przykre.

– Chciałbym, żeby opowiedziała to pani jeszcze raz po kolei – zażądał Pete.

Przewróciła oczami, zaczerwienionymi i przekrwionymi.

– Czy to naprawdę konieczne? Jestem wyczerpana. Prawie całą noc siedziałam przy matce. Nie mogła zasnąć aż do czwartej. Tak bardzo cierpi. Chciałabym się zdrzemnąć, zanim przyjdzie pani Greene. To pielęgniarka.

Hodges pomyślał: Twoim samochodem właśnie zabito osiem osób, tylko osiem, jeśli pozostali przeżyją, a ty chcesz się zdrzemnąć. Później nie pamiętał, czy właśnie wtedy zaczął nie lubić pani Trelawney, ale chyba tak. Kiedy ludzie rozpaczają, niektórych chciałoby się objąć, poklepać po plecach i powiedzieć: „No już, już”. Innych chciałoby się porządnie spoliczkować i warknąć, żeby wzięli się w garść.

– Postaramy się streszczać – obiecał Pete.

Nie powiedział jej, że to pierwsze z wielu przesłuchań. Zanim z nią skończą, będzie mogła opowiadać swoją wersję przez sen.

– Och, no dobrze. Przyjechałam do matki zaraz po siódmej wieczorem w czwartek...

Odwiedzała ją co najmniej cztery razy w tygodniu, ale w czwartki zostawała na noc. Zawsze wstępowała do B'hai, bardzo miłej wegetariańskiej restauracji w Birch Hill Mall, i kupowała kolację dla dwóch osób na wynos, którą potem podgrzewała w piecyku. („Chociaż oczywiście mama jada teraz bardzo niewiele. Z powodu bólu”). Powiedziała, że zawsze tak ustawiała czwartkowe wizyty, żeby przyjechać po siódmej, bo wtedy dopiero się zaczynało zostawianie samochodów na noc i większość miejsc na ulicy była pusta.

– Nie zaparkuję na drugiego. Po prostu nie mogę.

– A parking tu obok? – zapytał Hodges.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

– Zostawienie tam samochodu na noc kosztuje szesnaście dolarów. Miejsca na ulicy są za darmo.

Pete wciąż trzymał kluczyk, chociaż jeszcze nie powiedział pani Trelawney, że go zabiorą.

– Wstąpiła pani do Birch Hill i zamówiła kolację na wynos dla siebie i matki w... – sprawdził w notesie – ...B'hai.

– Nie, zamówiłam wcześniej. Z mojego domu na Lilac Drive. Zawsze chętnie mnie witają. Jestem stałą i cenioną klientką. Wczoraj wieczorem to było *kookoo sabzi* dla matki... omlet ziołowy ze szpinakiem i kolendrą... a dla mnie *gheymeh*. *Gheymeh* to pyszny gulasz z groszku, ziemniaków i grzybów. Bardzo lekkostrawny. – Poprawiła dekolt. – Od dzieciństwa cierpię na okropny kwaśny refluks. Musiałam się nauczyć z tym żyć.

– Zakładam, że pani zamówienie... – zaczął Hodges.

– I *sholeh-zard* na deser – dodała. – To ryżowy pudding z cynamonem. I szafranem. – Uśmiechnęła się swoim dziwnie zakłopotanym uśmiechem. Podobnie jak kompulsywne poprawianie dekoltu łódki, ten uśmiech należał do trelawneizmów, które mieli bardzo dobrze poznać. – To dzięki szafranowi jest wyjątkowy. Nawet moja matka zawsze zjada *sholeh-zard*.

– Brzmi smakowicie – przyznał Hodges. – A pani zamówienie było już przygotowane i zapakowane, kiedy pani przyjechała?

– Tak.

– Jedno pudełko?

– Och nie, trzy.

– W torbie?

– Nie, tylko pudełka.

– Pewnie się pani namęczyła, wyciągając to wszystko z samochodu – zauważył Pete. – Trzy pudełka z jedzeniem na wynos, torebka...

– I kluczyk – wtrącił Hodges. – Nie zapominaj o kluczyku, Pete.

– I jeszcze chciała pani jak najszybciej zanieść to na górę – ciągnął Pete. – Zimne jedzenie to żadna przyjemność.

– Widzę, do czego zmierzacie – powiedziała pani Trelawney – i zapewniam... – króciutka pauza – ...panów, że grubo się mylicie. Włożyłam kluczyk do torebki, jak tylko zgasiałam silnik, to pierwsze, co zawsze robię. Co do pudełek, były związane razem... – rozsunęła ręce na jakieś czterdzieści centymetrów dla demonstracji – ...więc bardzo łatwo było je nieść. Torebkę powiesiłam w ten sposób. Proszę spojrzeć.

Zgięła rękę w łokciu, powiesiła na nim torebkę i przemaszerowała przez wielki salon, trzymając stos niewidzialnych pudełek z B'hai.

– Widzicie?

– Tak, proszę pani – potwierdził Hodges. Chyba zobaczył coś jeszcze.

– Co do pośpiechu... nie. Nie musiałam się spieszyć, skoro i tak miałam odgrzewać kolację. – Przerwała. – Oczywiście nie *sholeh-zard*. Ryżowego puddingu nie trzeba odgrzewać.

Zaśmiała się. Taki nerwowy chichot, stłumiony, jakby wyrażał skrzępowanie. Antypatia Hodgesa wzbogaciła się o następną warstwę – tak cienką, że niemal niewidoczną, ale nie całkiem. Nie, nie całkiem.

– Więc podsumujmy pani czynności, kiedy pani przyjechała na Lake Avenue – powiedział. – Gdzie dotarła pani parę minut po siódmej.

– Tak. Pięc po, może trochę później.
– Uhum. Zaparkowała pani... gdzie? Trzy czy cztery domy dalej?
– Najwyżej cztery. Potrzebowałam dwóch wolnych miejsc, żeby nie musiała parkować tyłem. Nie znoszę parkowania tyłem. Zawsze skręcam w złą stronę.

– Tak, psze pani, moja żona ma dokładnie ten sam problem. Wyłączyła pani silnik. Wyjęła pani kluczyk ze stacyjki i włożyła do torebki. Powiesiła pani torebkę na przedramieniu i zabrała pudełka z jedzeniem...

– Stos pudełek. Związanych porządnym mocnym sznurkiem.

– Stos, racja. A potem?

Popatrzyła na niego, jakby był największym ze wszystkich idiotów na tym generalnie idiotycznym świecie.

– Potem poszłam do domu matki. Pani Harris... wie pan, gosposia... wpuściła mnie brzęczykiem. W czwartki wychodzi zaraz po moim przyjściu. Wjechałam windą na osiemnaste piętro. Gdzie właśnie zadają mi panowie pytania, zamiast powiedzieć, kiedy mogę odzyskać mój samochód. Mój ukradziony samochód.

Hodges zanotował w pamięci, żeby zapytać gosposię, czy zauważyła mercedesa pani T., kiedy wyszła.

Pete zapytał:

– W którym momencie wyjęła pani ponownie kluczyk z torebki, pani Trelawney?

– Ponownie? Dlaczego miałabym...

Podniósł kluczyk – dowód A.

– Żeby zamknąć samochód, zanim weszła pani do budynku. Zamknęła pani samochód, prawda?

Na chwilę w jej oczach błysnęła niepewność. Obaj to zauważyli. Potem znikła.

– Oczywiście.

Hodges przechwycił spojrzenie kobiety. Powędrowało w stronę jeziora za wielkim widokowym oknem, potem znowu je napotkał.

– Proszę się dobrze zastanowić, pani Trelawney. Ludzie zginęli, i to jest ważne. Czy pamięta pani konkretnie balansowanie tymi pudełkami, żeby mogła pani wyjąć kluczyk z torebki i nacisnąć guzik zamykania? I to, jak przednie światła błysnęły na potwierdzenie? Wie pani, błyskają.

– Oczywiście, że wiem. – Przygryzła dolną wargę, zorientowała się, że to robi, i przestała.

– Czy pani to dokładnie pamięta?

Przez chwilę jej twarz nie wyrażała absolutnie niczego. Potem rozkwitł na niej ten uśmiech wyższości w całej swojej irytującej chwale.

– Chwileczkę. Teraz pamiętam. Włożyłam kluczyk do torebki potem, jak już zabrałam pudełka i wysiadłam. I po naciśnięciu guzika, który zamyka samochód.

– Jest pani pewna – powiedział Pete.

– Tak. – Była tego pewna i tak miało pozostać. Obaj o tym wiedzieli. Tak samo uczciwy obywatel, który uciekł z miejsca wypadku, powie, kiedy go wreszcie wytropią, że oczywiście przejechał psa.

Pete zamknął notes i wstał. Hodges też. Pani Trelawney aż się paliła, żeby ich odprowadzić do drzwi.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Hodges, zanim wyszli.

Uniosła starannie wyskubane brwi.

– Tak?

– Gdzie jest pani zapasowy kluczyk? Powinniśmy go też zabrać.

Tym razem nie było żadnego wahania, żadnego nieobecnego wyrazu twarzy, żadnego odwracania wzroku.

– Nie mam zapasowego kluczyka i nie potrzebuję – odparła. – Bardzo dbam o swoje rzeczy, panie detektywie. Mam Szarą Damę... tak nazywam mercedesa... od pięciu lat i używałam tylko tego kluczyka, który jest teraz w kieszeni pańskiego partnera.

Ze stolika, przy którym on i Pete jedli lunch, sprzątnięto wszystko oprócz niedopitej szklanki wody, jednak Hodges wciąż tam siedzi. Wygląda przez okno na parking i wiadukt, wyznaczający nieoficjalną granicę Lowtown, gdzie mieszkańcy Sugar Heights, tacy jak nieżyjąca Olivia Trelawney, nigdy się nie zapuszczają. Bo i po co? Żeby kupić dragi? Hodges nie wątpi, że w Heights jest wielu ćpunów, ale jeśli ktoś tam mieszka, dealerzy dostarczają towar do domu.

Pani T. kłamała. Musiała kłamać. W przeciwnym razie musiałaby stawić czoło faktowi, że jedna chwila roztargnienia pociągnęła za sobą straszliwe konsekwencje.

Przypuśćmy jednak – tylko teoretycznie – że mówiła prawdę.

Okay, przypuśćmy. Ale jeśli się myliliśmy, jeśli nie zostawiła mercedesa otwartego, z kluczykami w stacyjce, to jak bardzo się myliliśmy? I co się właściwie stało?

Wygląda przez okno i wspomina, nie zdając sobie sprawy, że kelnerzy zaczynają zerkać na niego niespokojnie – otyły emeryt zgarbiony na krześle, nieruchomy jak robot z rozładowanymi bateriami.

„Samochód śmierci”, wciąż zamknięty, przewieziono ciężarówką na policyjny parking. Hodges i Huntley otrzymali tę informację, kiedy wrócili do własnego samochodu. Główny mechanik z Ross Mercedes właśnie przyjechał i zapewniał, że da radę otworzyć to cholerstwo. W końcu.

– Proszę mu przekazać, żeby się nie fatygował – rzucił Hodges. – Mamy jej kluczyk.

Na drugim końcu linii zapadło milczenie, a potem porucznik Morrissey powiedział:

– Macie? Czy to znaczy, że ona...

– Nie, nie, nic takiego. Czy ten mechanik stoi obok, panie poruczniku?

– Jest na dziedzińcu, ogląda uszkodzenia samochodu. Prawie ze łzami, jak słyszałem.

– Może zachowa parę lez dla zabitych – burknął Pete. Prowadził. Wycieraczki

na przedniej szybie przesuwają się tam i z powrotem. Deszcz się wzmagął. – Tylko tak mówię.

– Niech pan mu powie, żeby się skontaktował z przedstawicielstwem i coś sprawdził – poprosił Hodges. – Potem niech zadzwoni do mnie na komórkę.

W śródmieściu ruch był sparaliżowany, częściowo z powodu deszczu, częściowo dlatego, że Marlborough Street zamknięto przy City Center. Przejechali tylko cztery przecznice, kiedy zabręczała komórka Hodgesa. Dzwonił Howard McGrory, mechanik.

– Czy kazał pan komuś w przedstawicielstwie Mercedesa sprawdzić, o co prosiłem? – zapytał Hodges.

– Nie trzeba – odparł McGrory. – Pracuję u Rossa od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Widziałem z tysiąc sprzedanych merców i mogę pana zapewnić, że wszystkie wyjeżdżają z dwoma kluczykami.

– Dzięki – powiedział Hodges. – Niedługo przyjedziemy. Mam jeszcze kilka pytań do pana.

– Zaczekam. To okropne. Okropne.

Hodges zakończył rozmowę i powtórzył Pete’owi, czego się dowiedział.

– Dziwisz się? – zapytał Pete.

Przez nimi jaśniał pomarańczowy znak OBJAZD. Ominą City Center... chyba że włączą koguta, a tego żaden z nich nie chciał. Teraz musieli pogadać.

– Nie – przyznał Hodges. – To standardowa procedura. Jak w brytyjskiej rodzinie królewskiej, następcą tronu i rezerwowym. Dają ci dwa kluczyki, kiedy kupujesz nowy samochód...

– ...i radzą schować jeden w bezpiecznym miejscu, żeby był pod ręką, jeśli zgubisz ten, którego stale używasz. Niektórzy, jeśli potrzebują drugiego kluczyka rok czy dwa lata później, zapominają, gdzie go schowali. Kobiety, które noszą wielkie torebki... jak ta waliza Trelawney... często wrzucają tam oba kluczyki i całkiem zapominają o zapasowym. Jeśli ona mówi prawdę, że nie przyczepiła breloczka, pewnie używała obu kluczyków na zmianę.

– Taak – mruknął Hodges. – Przyjeżdża do matki, myśli tylko o następnej nocy spędzonej przy cierpiącej mamusi, zongluje pudełkami i torebką...

– I zostawia kluczyk w stacyjce. Nie chce się do tego przyznać... ani przed nami, ani przed sobą... ale właśnie tak zrobiła.

– Chociaż brzęczyk przypominający... – podjął Hodges z powątpiewaniem.

– Może kiedy wysiadła, akurat przejeżdżała wielka, hałaśliwa ciężarówka i zagłuszyła brzęczyk. Albo radiowóz na sygnale. Albo po prostu tak się zamyśliła, że nie usłyszała brzęczyka.

To miało sens wtedy i jeszcze więcej sensu później, kiedy McGrory im powiedział,

że nikt się nie włamał do samochodu śmierci ani nie spiął przewodów, żeby uruchomić silnik. Właściwie tylko jedno nie dawało Hodgesowi spokoju: jak bardzo chciał, żeby to miało sens. Żaden z nich nie polubił pani Trelawney, z tym jej dekoltem w łódkę, perfekcyjnie wyskubanymi brwiami i piskliwym, afektowanym śmiechem. Pani Trelawney, która nawet nie zapytała o zabitych i rannych, ani razu. To nie ona wjechała mercedesem w tłum bezrobotnych – wykluczone – ale przyjemnie byłoby zwalić na nią część winy. Żeby miała o czym myśleć oprócz wegetariańskich kolacyjek z B’hai.

– Nie komplikuj prostych rzeczy – powtórzył jego partner. Korek się rozluźnił, więc Pete nadepnął na gaz. – Dostała dwa kluczyki. Twierdzi, że miała tylko jeden. I teraz to prawda. Drań, który pozabijał tych ludzi, pewnie wrzucił do ścieku kluczyk, który zostawiła w stacyjce. Ten, który nam pokazała, był zapasowy.

Na pewno tak było. Kiedy słyszysz stukot kopyt, myśl o koniach, nie o zebkach.

Ktoś potrząsa nim lekko, jakby chciał go obudzić. I rzeczywiście Hodges uświadamia sobie, że prawie zasnął. Albo wpadł w trans, zahipnotyzowany przez wspomnienia.

To Elaine, hostessa z DeMasio, z zatroskaną miną.

– Detektywie Hodges? Dobrze się pan czuje?

– Doskonale. Ale teraz tylko Hodges, Elaine. Jestem na emeryturze.

Widzi w jej oczach troskę – i coś jeszcze. Coś gorszego. Jest jedynym gościem pozostałym w restauracji. Spogląda na kelnerów skupionych wokół drzwi do kuchni i nagle widzi siebie tak, jak oni i Elaine go widzą: starszy facet siedzący samotnie przy stoliku długo po wyjściu współbiesiadnika (i wszystkich innych). Starszy facet z nadwagą, który wysysał resztki ciasta z widelczyka jak dzieciak ssący lizaka, a potem tylko gapił się w okno.

Zastanawiają się, czy wjeżdżam ekspresem Alzheimera do Królestwa Demencji, myśli.

Uśmiecha się do Elaine – uśmiech numer jeden, szeroki i czarujący.

– Pete i ja rozmawialiśmy o dawnych sprawach. Rozmyślałem o jednej. Tak jakby ją sobie odtwarzałem. Przepraszam. Zaraz się zmywam.

Ale kiedy wstaje, zatacza się i wpada na stół, przewracając do połowy opróżnioną szklankę z wodą. Elaine chwyta go za ramię, żeby go podtrzymać, jeszcze bardziej zatroskana.

– Detektywie... panie Hodges, może pan prowadzić?

– Jasne – zapewnia zbyt gorliwie. Kłujące mrowienie wędruje od jego kostek do krocza i z powrotem do kostek. – Wypiłem tylko dwie szklanki piwa. Pete wypił resztę. Nogi mi zdrętwiały, to wszystko.

– Och. Już panu lepiej?

– Oczywiście – mówi.

Naprawdę odzyskuje czucie w nogach. Bogu dzięki. Czytał gdzieś, że starsi mężczyźni, zwłaszcza starsi mężczyźni z nadwagą, nie powinni za długo siedzieć. Pod kolanem może się wytworzyć skrzep. Wstajesz, uwolniony skrzep rozpoczyna śmiertelną wędrówkę do serca i pa, pa, aniołku.

Elaine odprowadza go do drzwi. Hodges myśli o prywatnej pielęgniarce, która pracuje jako opiekunka matki pani T. Jak ona się nazywa? Harris? Nie, Harris to gosposia. Pielęgniarka nazywa się Greene. Kiedy pani Wharton chciała przejść do salonu albo skorzystać z kibelka, czy pani Greene eskortowała ją tak, jak teraz Elaine eskortuje jego? Oczywiście.

– Elaine, nic mi nie jest – zapewnia. – Naprawdę. Trzeźwy umysł. Ciało w równowadze. – Wyciąga ramiona dla demonstracji.

– W porządku – mówi ona. – Proszę nas znowu odwiedzić i następnym razem niech pan nie czeka tak długo.

– Obiecuję.

Spogląda na zegarek, wychodząc na jasne słońce. Już po drugiej. Nie zdąży na popołudniowy program, ale ma to gdzieś. Pani sędzina i nazistowski psycholog mogą się walić. Razem lub osobno.

Idzie powoli na parking, gdzie oprócz jego wozu zostały tylko samochody personelu restauracji. Wyjmuje kluczyki i brzęczy nimi w dłoni. W przeciwieństwie do pani T. kluczyk od swojej toyoty przyczepił na kółku. I tak, ma breloczek: prostokącik plastiku ze zdjęciem córki. Allie w wieku siedemnastu lat, uśmiechnięta, w szkolnym stroju do lacrosse.

Pani Trelawney nigdy nie odwołała swoich zeznań w kwestii kluczyka do mercedesa. Na wszystkich przesłuchaniach twierdziła uparcie, że miała tylko jeden. Nawet kiedy Pete Huntley pokazał jej fakturę z GŁÓWNYMI KLUCZAMI (2) na liście przedmiotów, które należały do wyposażenia nowego samochodu zakupionego przez nią w 2004 roku, dalej się upierała. Oświadczyła, że faktura jest błędna. Hodges pamięta żelazną pewność w jej głosie.

Pete powiedziałby, że jednak w pewien sposób się przyznała. Nie musiała zostawiać listu pożegnalnego; samobójstwo z samej swojej natury oznacza przyznanie. Jej mur zaprzeczeń wreszcie runął. Jak facet, który uciekł z miejsca wypadku, w końcu zrzuca kamień z serca: „Tak, okay, to był dzieciak, nie pies. To był dzieciak, a ja patrzyłem na komórkę, żeby sprawdzić, jakiego połączenia nie odebrałem, i zabiłem go”.

Hodges pamięta, jak kolejne rozmowy z panią T. wywołały dziwny efekt wzmacniający. Im bardziej zaprzeczała, tym bardziej jej nie lubili. Nie tylko Hodges i Huntley, ale cały wydział. A im bardziej jej nie lubili, tym ostrzej zaprzeczała. Ponieważ wiedziała, co czują. O tak. Była egocentryczna, ale nie głu...

Hodges przystaje z jedną ręką na rozgrzanej słońcem klamce samochodu, drugą ręką osłaniając oczy. Spogląda w cień pod wiaduktem autostrady. Minęło już południe i mieszkańcy Lowtown wypełniają ze swoich krypt w czynszówkach. Jest ich czterech w cieniu. Trzech dużych i jeden mały. Tych trzech chyba szarpie tego małego. Mały ma plecak. Na oczach Hodgesa jeden z dużych zrywa mu plecak, wywołując wybuch trollowego rechotu.

Hodges rusza po splekanym chodniku w stronę wiaduktu. Nie spieszy się, nie myśli o niczym. Wsadza ręce do kieszeni marynarki. Samochody i ciężarówki przejeżdżają z szumem po odgałęzieniu autostrady, rzucając cienie swoich sylwetek na ulicę w dole. Hodges słyszy, jak jeden z trolli pyta dzieciaka, ile ma pieniędzy.

– Nie mam – odpowiada mały. – Zostawcie mie.

– Wywróć kieszenie, obadamy – żąda Troll Dwa.

Dzieciak próbuje uciekać. Troll Trzy opasuje od tyłu ramionami jego chudą klatkę piersiową. Troll Jeden chwytą kieszenie dzieciaka i miętosi.

– *Yo, yo*, czuje kase – mówi.

Mały wykrzywia twarz z wysiłku, żeby się nie rozplakać.

– Mój brat się dowie, kto jesteście, i skopie wam tyłki – grozi.

– Taa, już się boje – szydzi Troll Jeden. – Zara sie zleje w gacie...

Potem widzi Hodgesa, który wkracza w cień pod kładką, wyprzedzany przez swój brzuch. Ręce trzyma głęboko w kieszeniach workowatej marynarki w pepitkę, tej z łatami na łokciach, której jakoś nie może wyrzucić, chociaż wie, że to stara szmata.

– Czego tu? – warczy Troll Trzy. Ciągłe obejmuje dzieciaka od tyłu.

Hodges zastanawia się nad teksaskim zaciąganiem w stylu Johna Wayne’a, ale się rozmyśla. Jedyny Wayne, którego te szumowiny znają, to raper Lil.

– Zostawcie małego w spokoju – mówi. – Wynocha stąd. No już.

Troll Jeden puszcza kieszenie malucha. Nosi bluzę z kapturem i obowiązkową czapeczkę Jankesów. Opiera ręce na smukłych biodrach i przechyla głowę na bok, rozbawiony.

– Spadaj, grubasie.

Hodges nie traci czasu. W końcu jest ich trzech. Wyjmuje Happy Slappera z prawej kieszeni marynarki, czuje jego znajomy przyjemny ciężar. Slapper to skarpetka w romby ze stopą wypełnioną kulkami łożyskowymi, związana, żeby kulki nie wypadły. Hodges robi krótki zamach i uderza Trolła Jeden w bok szyi, starannie omijając jabłko Adama: trafisz gościa w to miejsce i możesz go zabić, a wtedy jest mnóstwo papierkowej roboty.

Rozlega się metaliczne „tłap”. Troll Jeden zatacza się na bok, jego rozbawienie przeradza się w bolesne zdumienie. Potyka się o krawężnik i przewraca na jezdnię. Przekręca się na plecy, krztusi się, chwyta za szyję, patrząc z dołu na wiadukt.

Troll Trzy rusza do przodu.

– Kurwa... – zaczyna, a wtedy Hodges podnosi nogę (mrowienie zniknęło, Bogu dzięki) i szybko kopie go w pachwinę. Słyszy trzask własnych spodni pękających na siedzeniu i myśli o sobie: Och, ty paskudny grubasie. Troll Trzy wyje z bólu. Tu na dole, pod przejeżdżającymi samochodami i ciężarówkami, jego głos brzmi dziwnie głucho. Chłopak zgina się w pół.

Hodges wciąż trzyma lewą rękę w kieszeni. Prostuje palec wskazujący, żeby wystawał, i celuje nim w Trolła Dwa.

– Hej, zasańcu, nie musimy czekać na starszego brata tego malucha. Sam wam skopię tyłki. Trzech na jednego cholernie mnie wkurza.

– Nie, człowieku, nie! – Troll Dwa jest wysoki, dobrze zbudowany, wygląda na jakieś piętnaście lat, ale przerażenie redukuje go do poziomu dwunastolatka. – Proszem, my żeśmy siem tylko bawili!

– Więc zmykaj, zabawowy chłopczyku – mówi Hodges. – No już.

Troll Dwa ucieka.

Troll Trzy tymczasem dźwignął się na kolana.

– Pożałujesz tego, gruba...

Hodges robi krok w jego stronę, podnosząc Slappera. Troll Jeden widzi go, wydaje dziewczęcy pisk, zasłania szyję.

– Ty też lepiej zmykaj – ostrzega go Hodges – bo grubas przefasonuje ci buźkę. Rodzona matka cię nie pozna, kiedy przyjedzie na pogotowie.

W tamtej chwili, nabuzowany adrenaliną, z sercem bijącym w tempie chyba dwustu uderzeń na minutę, mówi absolutnie serio.

Troll Jeden wstaje. Hodges na niby zamierza się na niego i chłopak odskakuje, co jest bardzo satysfakcjonujące.

– Zabierz swojego kumpla i przyłóż mu lód na jaja – radzi Hodges. – Spuchną.

Troll Jeden obejmuje ramieniem Trolła Trzy i obaj kuśtykają na drugą stronę wiaduktu. Kiedy Troll Jeden ocenia, że znalazł się w bezpiecznej odległości, odwraca się i mówi:

– Jeszcze się spotkamy, grubasie.

– Módl się, żeby nie, gnojku – odpowiada Hodges. Podnosi plecak i podaje dzieciakowi, który przygląda mu się wielkimi, nieufnymi oczami. Ma jakieś dziesięć lat. Hodges wrzuca Slappera z powrotem do kieszeni.

– Czemu nie jesteś w szkole, mały?

– Mam chorom mame. Wysłem po lekarstwo. Kłamstwo jest tak bezczelne, że Hodges musi się uśmiechnąć.

– Nie, wcale nie. Wagarujesz.

Dzieciak nie odpowiada. To pies, nikt inny by się tak nie wtrącił. Nikt inny nie nosiłby w kieszeni obciążonej skarpety. Bezpieczniej nabrać wody w usta.

– Idź wagarować gdzie indziej – proponuje Hodges. – Na Ósmej Alei jest plac zabaw. Spróbuj tam.

– Na tym placu sprzedajom koke – mówi dzieciak.

– Wiem – przyznaje Hodges niemal łagodnie – ale nie musisz kupować.

Chciałby dodać: „Brać też nie musisz”, ale to byłoby naiwne. W Lowtown większość małych bierze. Możesz zgarnąć dziesięciolatka za posiadanie, ale oskarżenie się nie utrzyma.

Rusza z powrotem na parking po bezpiecznej stronie wiaduktu. Kiedy się ogląda, dzieciak wciąż tam stoi i na niego patrzy. Plecak dynda w jednym ręku.

– Mały – mówi Hodges.

Chłopiec dalej patrzy bez słowa.

Hodges podnosi rękę i pokazuje na niego.

– Właśnie zrobiłem dla ciebie coś dobrego. Chcę, żebyś to przekazał dalej, zanim zajdzie słońce.

Teraz dzieciak gapi się całkowicie nierozumiejącym wzrokiem, jakby Hodges przeszedł na obcy język. Nie szkodzi. Czasami to dociera, zwłaszcza do młodych.

Ludzie by się zdziwili, myśli Hodges. Naprawdę.

Brady Hartsfield przebiera się w drugi uniform – tym razem biały – i sprawdza furgonetkę, szybko przeglądając listę inwentarzową, tak jak lubi pan Loeb. Wszystko na miejscu. Brady wsadza głowę do biura, żeby się przywitać z Shirley Orton. Shirley to tłusta świnia, stanowczo za bardzo lubiąca produkty firmy, w której pracuje, ale Brady nie chce jej się narażać. Nie chce się nikomu narażać. Tak jest dużo bezpieczniej. Ona się w nim buja, i to pomaga.

– Shirley, ślicznotko! – woła, a ona rumieni się aż po linię włosów na pryszczatym czole. Mała świnko, kwi, kwi, kwi, myśli Brady. Jesteś taka tłusta, że pewnie pizda ci się wywraca na lewą stronę, kiedy siadasz.

– Cześć, Brady. Znowu West Side?

– Cały tydzień, kochana. U ciebie w porządku?

– Świetnie. – Jeszcze mocniej się rumieni.

– To dobrze. Chciałem tylko się przywitać.

Potem odjeżdża, przestrzegając wszystkich ograniczeń szybkości, chociaż w tym ślimaczym tempie droga na jego terytorium zabiera mu czterdzieści pieprzonych minut. Ale tak trzeba. Jeśli cię złapią na przekraczaniu szybkości firmowym wozem w porze, kiedy dzieciaki wychodzą ze szkoły, trafiasz do paki. Bez odwołania. Gdy Brady dociera na West Side – to ta dobra część – jest w dzielnicy Hodgesa i ma do tego wszelkie powody. Ukryj się na widoku, mówi stare przysłowie, i zdaniem Brady’ego to naprawdę mądre przysłowie.

Skręca ze Spruce Street i powoli przejeżdża przez Harper Road, tuż obok domu starego Det. Em. O, patrzcie, myśli. Ten mały czarnuch jest przed domem, rozebrany do pasa (oczywiście żeby wszystkie kury domowe mogły się napatrzeć na jego spocony kaloryfer), i popycha kosiarkę.

Najwyższy czas, żebyś się tym zajął, myśli Brady. Wyglądało już bardzo niechlujnie. Nie żeby stary Det. Em. się tym przejmował. Stary Det. Em. był zbyt zajęty oglądaniem telewizji, objadaniem się ciastkami i zabawą z tym rewolwerem, który trzyma na stoliku obok fotela.

Czarnuch słyszy furgonetkę nawet przez warkot kosiarki i ogląda się na Brady’ego. Wiem, jak się nazywasz, czarnuchu, myśli Brady. Jerome Robinson. Wiem prawie wszystko o starym Det. Em. Nie wiem, czy z tobą pedałuje, ale bym się nie zdziwił. Pewnie dlatego cię trzyma przy sobie.

Zza kierownicy małej furgonetki Pana Smakusia, ozdobionej wesołymi dziecięcymi kalkomaniami i dzwoniącej wesołymi nagranyymi dzwoneczkami, Brady macha ręką. Czarnuch uśmiecha się i też macha. No jasne. Wszyscy lubią lodziarza.

**POD NIEBIESKIM
PARASOLEM DEBBIE**

Brady Hartsfield krąży po krętych uliczkach West Side aż do siódmej trzydzieści, kiedy zmierzch zaczyna wyplukiwać błękit z wiosennego nieba. Pierwsza fala klientów, pomiędzy trzecią a szóstą, to uczniowie po lekcjach, z plecakami, wymachujący zmiętymi banknotami dolarowymi. Większość nawet na niego nie patrzy. Są zbyt zajęci gadaniem z kumplami albo rozmawianiem przez komórki, które uważają nie za gadżety, tylko artykuły pierwszej potrzeby, równie ważne jak powietrze i woda. Czasami dziękują, najczęściej jednak się nie fatygują. Brady'emu to nie przeszkadza. Nie chce, żeby na niego patrzyli, i nie chce, żeby go zapamiętali. Dla tych smarkaczy jest tylko sprzedawcą lodów w białym uniformie i to mu odpowiada.

Od szóstej do siódmej jest martwy czas, kiedy zwierzątka idą na obiad. Może kilka – te, które dziękowały – nawet rozmawia z rodzicami. Większość prawdopodobnie dalej stuka w przyciski telefonów, podczas gdy mama i tata gędzą o swojej pracy albo oglądają wieczorne wiadomości, żeby dowiedzieć się wszystkiego o wielkim świecie na zewnątrz, gdzie potężni i wpływowi gówno robią.

Przez ostatnie pół godziny interes znowu się ożywia. Teraz nie tylko dzieci, ale również rodzice podchodzą do rozdzwonionego wozu Pana Smakusia, żeby kupić lodowe przysmaki, które zjedzą przed domem, usadowiwszy wygodnie tyłki (zwykle tłuste) na krzeselkach ogrodowych. Brady niemal lituje się nad nimi. To ludzie pozbawieni wizji, ograniczeni niczym mrówki łążące wokół mrowiska. Masowy zabójca serwuje im lody, a oni nic nie podejrzewają.

Od czasu do czasu Brady zastanawia się, czy trudno byłoby zatruć furgonetkę lodów: waniliowe, czekoladowe, jagodowe, orzechowe, Smak Dnia, Mrożone Smakusie, nawet Lodowe Patyczki i Gwiżdżące Lizaki. Posunął się nawet tak daleko, że sprawdził to w internecie. Przeprowadził coś, co Anthony „Tones” Frobisher, jego szef w Discount Electronix, nazwałby pewnie „analizą wykonalności”, i doszedł do wniosku, że chociaż to byłoby możliwe, byłoby również głupie. Nie żeby się wzdragał przed ryzykiem; Mercedesowa Masakra uszła mu bezkarnie, chociaż miał niewielkie szanse na ucieczkę. Ale teraz nie chce, żeby go złapali. Ma zadanie do wykonania. Tej późnej wiosny i wczesnego lata jego celem jest tłusty eksplinierz, K. William Hodges.

Może odbędzie rundę po West Side z ładunkiem zatrutych lodów, kiedy już eksplinierz znudzi się zabawą rewolwerem, który trzyma obok fotela w salonie, i wreszcie go użyje. Ale nie wcześniej. Tłusty eksplinierz wkurza Brady'ego Hartsfielda. Wkurza go na maksa. Hodges odszedł na emeryturę z honorami, nawet wydali przyjęcie na jego cześć, chociaż nie złapał najgorszego przestępcy w historii tego miasta. To ma być w porządku?

Nikt nie wydał przyjęcia dla Brady'ego Hartsfielda po śmierci jego ojca.

Podczas ostatniej rundki tego dnia przejeżdża obok domu na Teaberry Lane, gdzie mieszka Jerome Robinson, najemny pracownik Hodgesa, z matką, ojcem i małą siostrzyczką. Jerome Robinson też wkurza Brady'ego. Robinson jest przystojny, pracuje dla ekspliniarza i co weekend umawia się z inną dziewczyną. Wszystkie są ładne. Niektóre nawet białe. To źle. To wbrew naturze.

– Hej! – woła Robinson. – Panie lodziarzu! Proszę zaczekać!

Biegnie lekko przez trawnik, jego pies, duży irlandzki seter, depta mu po piętach. Za nimi drepcze młodsza siostrzyczka, która ma jakieś dziewięć lat.

– Kup mi czekoladowe, Jerry! – krzyczy. – Proooooszę! Nawet dali mu imię dla białego. Jerome. Jerry. To zniewaga.

Czemu nie nazwali go Traymore? Albo Devon? Albo Leroy? Czemu nie pieprzony Kunta Kinte?

Jerome nosi mokasyny bez skarpetek, kostki ma jeszcze zielone po koszeniu trawnika ekspliniarza. Na jego niezaprzeczalnie przystojnej twarzy gości szeroki uśmiech i Brady gotów jest się założyć, że kiedy Jerome błyska tym uśmiechem do swoich weekendowych dziewczyn, każda natychmiast spuszcza majtki i wyciąga ramiona. Zapraszam do środka, Jerry.

Brady jeszcze nigdy nie był z dziewczyną.

– Jak leci, człowieku? – pyta Jerome.

Brady, który wstał zza kierownicy i stoi teraz przy okienku obsługi, szczerzy zęby.

– Świetnie. Prawie koniec na dziś, a wtedy zawsze czuję się świetnie.

– Zostały jakieś czekoladowe? Mała Syrenka chce takiego.

Brady podnosi kciuk, wciąż szczerząc zęby. Tak samo się szczerzył pod maską klauna, kiedy wbił się w tłum smętnych bezrobotnych w City Center, cisnąc gaz do dechy.

– Już się robi, przyjacielu, czekoladowe.

Podchodzi mała siostrzyczka, oczy błyszczą, warkoczyki podskakują.

– Nie nazywaj mnie Małą Syrenką, Jere, nie cierpię tego!

Ma jakieś dziewięć lat i również śmiesznie białe imię:

Barbara. Czarne dziecko imieniem Barbara to dla Brady'ego zjawisko tak surrealistyczne, że nawet nie stanowi obrazu. W tej rodzinie murzyńskie imię ma tylko pies, który stoi na tylnych łapach, oparty przednimi o bok furgonetki, machając ogonem.

– Siad, Odell! – mówi Jerome i pies siada z wywieszonym jęzorem, zadowolony.

– A dla ciebie? – pyta Brady Jerome'a. – Co dla ciebie?

– Proszę włoskie waniliowe.

Sam chciałbyś być waniliowy, myśli Brady i podaje im lody.

Chce mieć na oku Jerome'a, chce wiedzieć o nim wszystko, ponieważ obecnie tylko ten czarnuch spędza czas z Det. Em., a przez ostatnie dwa miesiące Brady obserwował ich razem dostatecznie często, żeby stwierdzić, że Hodges traktuje tego chłopaka jak przyjaciela, nie tylko dochodzącego robotnika. Brady nigdy nie miał przyjaciół, posiadanie przyjaciół jest niebezpieczne, ale wie, czym są dla innych: protezami dla ego. Emocjonalnymi siatkami bezpieczeństwa. Kiedy jest ci źle, do kogo się zwracasz? Oczywiście do przyjaciół, a przyjaciele mówią rzeczy w rodzaju: „Ojej” i „Głowa do góry”, i „Jesteśmy z tobą”, i „Chodźmy na drinka”. Jerome ma dopiero siedemnaście lat, jest za młody, żeby pójść z Hodgesem na drinka (chyba że bezalkoholowego), ale zawsze może powiedzieć: „Głowa do góry” i „Jestem z tobą”. Więc Brady go obserwuje.

Pani Trelawney nie miała żadnych przyjaciół. Ani męża. Tylko starą chorą matkę.

Dlatego była łatwą ofiarą, zwłaszcza odkąd gliny zaczęły nad nią pracować. Ba, odwalili za Brady'ego połowę roboty. Resztę wykonał osobiście, pod samym nosem tej chudej suki.

– Proszę bardzo. – Brady podaje Jerome'owi lodowe przysmaki i żałuje, że nie są nafaszerowane arsenikiem. Albo może warfaryną. Nakarmił ich tym, aż zaczęły krwawić z oczu, uszu i ust. Nie wspominając o odbytach. Wyobraził sobie, jak wszystkie dzieciaki na West Side upuszczają plecaki i swoje cenne komórki i krew im się leje z każdego otworu. Jaki film katastroficzny można by nakręcić!

Jerome daje dziesiątkę, a Brady razem z resztą wręcza mu psi biszkopt.

– Dla Odella – mówi.

– Dziękuję panu! – woła Barbara i liże swój czekoladowy rożek. – Dobrze!

– Smacznego, skarbie.

Prowadzi furgonetkę Pana Smakusia i często wyjeżdża volkswagenem Cyberpatrolu na wezwania, ale jego prawdziwą pracą tego lata jest detektyw K. William Hodges (em.). I dopilnowanie, żeby detektyw Hodges (em.) zrobił użytek ze swojej broni.

Brady jedzie z powrotem do Wytwórni Lodów Loeba, żeby odstawić furgonetkę i przebrać się w swoje ubranie. Przez całą drogę przestrzega ograniczeń szybkości.

Zawsze lepiej dmuchać na zimne.

Po wyjściu z DeMasio – i krótkim antrakcie na rozprawienie się z łobuzami, którzy dokuczali dzieciakowi pod wiaduktem odgałęzienia autostrady – Hodges po prostu jedzie przed siebie, prowadzi toyotę po ulicach miasta bez wyraźnego celu. Albo tak mu się zdaje, dopóki nie odkryje, że znalazł się na Lilac Drive, w eleganckiej podmiejskiej dzielnicy Sugar Heights nad jeziorem. Zjeżdża na pobocze i parkuje naprzeciwko zamkniętej bramą podjazdu, oznakowanego plaketką z numerem 729 na jednym z kamiennych słupków.

Dom zmarłej Olivii Trelawney stoi na końcu asfaltowego podjazdu niemal równie szerokiego jak ulica. Na bramie wisi tablica NA SPRZEDAŻ, zachęcająca Poważnych Nabywców, żeby dzwoniли do agencji MICHAEL ZAFRON, NIERUCHOMOŚCI I PIĘKNE DOMY. Hodges myśli, że tablica trochę tu powisi, biorąc pod uwagę rynek nieruchomości w tym roku Pańskim 2010. Ale ktoś kosi trawę, a zważywszy na wielkość trawnika, ten ktoś używa kosiarki dużo większej niż Jerome.

Kto płaci za utrzymanie domu? Ktoś pewnie zarządza majątkiem pani T. Ona rzeczywiście tarzała się w forsie. Hodges przypomina sobie, że potwierdzona suma wynosiła około siedmiu milionów dolarów. Po raz pierwszy od odejścia na emeryturę, kiedy przekazał nierozwiązaną sprawę masakry w City Center Pete'owi Huntleyowi i Isabelle Jaynes, zastanawia się, czy matka pani T. jeszcze żyje. Pamięta, że biedna staruszka straszliwie cierpiała z powodu skoliozy, zgięta niemal w pół... ale skolioza niekoniecznie jest śmiertelna. I czy Olivia Trelawney nie miała siostry, mieszkającej gdzieś na zachodzie?

Szuka w pamięci nazwiska siostry, ale daremnie. Pamięta natomiast, że Pete nazywał panią Trelawney panią Trzęsionką, bo ciągle poprawiała ubranie, przyglądała ciasno spięte włosy, które nie wymagały przygładzenia, bawiła się złotą bransoletką zegarka Patek Philippe, obracając ją w kółko i w kółko na chudym nadgarstku. Hodges jej nie lubił; Pete prawie ją znienawidził. Toteż z pewną satysfakcją zwalili na nią część winy za okropność w City Center. Ostatecznie ona to umożliwiła, bez żadnych wątpliwości. Otrzymała dwa kluczyki, kiedy kupiła mercedesa, ale pokazała tylko jeden.

Potem, krótko przed Świętem Dziękczynienia, popełniła samobójstwo.

Hodges pamięta wyraźnie, co powiedział Pete, kiedy się o tym dowiedział: „Jeśli ona spotka po drugiej stronie tych zabitych ludzi, zwłaszcza tę dziewczynę Crayów z dzieckiem, będzie musiała odpowiedzieć na kilka poważnych pytań”. Dla Pete'a to było ostateczne potwierdzenie: w głębi duszy pani T. przez cały czas wiedziała, że zostawiła kluczyki w stacyjce samochodu, który nazywała Szarą Damą.

Hodges też w to wierzył. Pytanie, czy nadal wierzy? Czy zmienił zdanie pod wpływem jadowitego listu od typka podającego się za Zabójcę z Mercedesa?

Może nie, ale ten list nasuwa pytania. Załóżmy, że Pan Mercedes napisał podobny list do pani Trelawney. Do pani Trelawney z tymi wszystkimi tikami i lękami tuż pod cienką ochronną skorupą. Czy to możliwe? Pan Mercedes z pewnością wiedział, ile gniewu i pogardy wylała na nią opinia publiczna po zabójstwach; wystarczyło poczytać dział „Listy do redakcji” w miejscowej gazecie.

Czy to możliwe...

Ale w tym miejscu tok jego myśli się urywa, ponieważ z tyłu podjeżdża samochód, tak blisko, że prawie dotyka zderzaka toyoty. Na dachu nie ma świateł sygnalizacyjnych, ale to późny model Crown Victorii, szaroniebieski. Zza kierownicy wysiada krzepki facet ostrzyżony na jeża, w sportowej marynarce niewątpliwie zakrywającej broń w podramiennej kaburze. Hodges wie, że gdyby to był detektyw z komendy miejskiej, nosiłby glocka .40, takiego samego

jak ten, który leży w sejfie Hodgesa. Ale ten nie jest z miejskiej komendy. Hodges nadal zna ich wszystkich.

Opuszcza szybę w oknie.

– Dzień dobry panu – mówi Jeź. – Mogę zapytać, co pan tu robi? Bo parkuje tu pan od dłuższego czasu.

Hodges patrzy na zegarek i widzi, że to prawda. Jest prawie wpół do piątej, godziny szczytu w śródmieściu. Będzie miał szczęście, jeśli zdąży dojechać do domu na czas, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości CBS ze Scottem Pelleyem. Dawniej oglądał NBC, dopóki nie doszedł do wniosku, że Brian Williams to dobroduszny bęcwał, który za bardzo lubi filmy z YouTube. Nikomu niepotrzebny taki prezenter, kiedy cały świat wydaje się rozpadać na kawał...

– Proszę pana? Naprawdę chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Jeź nachyla się, poła marynarki się odchyła. Nie glock, tylko ruger. Trochę kowbojska broń, w opinii Hodgesa.

– A ja – odpowiada – chciałbym wiedzieć, że pan ma prawo pytać.

Rozmówca marszczy brwi.

– Słucham?

– Myślę, że jest pan prywatnym ochroniarzem – mówi cierpliwie Hodges – ale chcę zobaczyć dokument tożsamości. Potem wie pan co? Chcę zobaczyć zezwolenie na noszenie tej armaty, którą pan ma pod marynarką. I lepiej, żeby pan je miał w portfelu, nie w schowku w samochodzie, bo to naruszenie paragrafu dziewiętnaście miejskich przepisów dotyczących broni palnej, który w skrócie mówi: „Kto nosi ukrytą broń, musi również nosić zezwolenie na noszenie ukrytej broni”. Więc zobaczmy pańskie papiery.

Mars na czole Jeża się pogłębia.

– Pan jest gliną?

– Emerytowanym, ale to nie znaczy, że zapomniałem o swoich prawach czy obowiązkach. Proszę mi pokazać pański dokument tożsamości i zezwolenie. Nie musi pan ich pokazywać...

– Masz pan cholerną rację, że nie muszę.

– ...ale chcę je zobaczyć. Potem możemy pomówić o mojej obecności na Lilac Drive.

Jeź rozważa to, ale tylko przez parę sekund. Potem wyjmuje portfel i otwiera go machnięciem. W tym mieście – jak w większości miast, myśli Hodges – pracownicy ochrony traktują emerytowanych gliniarzy tak jak czynnych, bo emerytowani gliniarze mają wielu przyjaciół w czynnej służbie, którzy potrafią uprzykrzyć życie, jeśli dać im powód. Facet nazywa się Radney Peeples i według legitymacji pracowniczej jest zatrudniony w firmie Czujna Straż. Pokazuje również Hodgesowi zezwolenie na noszenie ukrytej broni, ważne do czerwca 2012 roku.

– Radney, nie Rodney – mówi Hodges. – Jak Radney Foster, ten piosenkarz country.

Twarcę Peeplesa rozpromienia się w uśmiechu.

– Zgadza się.

– Panie Peeples, nazywam się Bill Hodges, zakończyłem służbę w randze detektywa pierwszego stopnia, a moją ostatnią dużą sprawą był Zabójca z Mercedesa. Przypuszczam, że teraz pan rozumie, co tu robię.

– Pani Trelawney – mówi Peeples i odsuwa się z szacunkiem, kiedy Hodges otwiera drzwi samochodu, wysiada i się przeciąga. – Mała przejażdżka aleją wspomnień, detektywie?

– Teraz tylko Hodges. – Hodges wyciąga rękę, a Peeples nią potrząsa. – Poza tym ma pan rację. Odszedłem na emeryturę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pani Trelawney odeszła

z tego świata.

– Smutne – stwierdza Peeples. – Wie pan, że dzieciaki obrzuciły jajkami jej bramę? Nie tylko w Halloween. Trzy czy cztery razy. Złapaliśmy jedną bandę, ale inni... – Kręci głową. – Plus papier toaletowy.

– Tak, one to uwielbiają – przyznaje Hodges.

– A którejś nocy ktoś pobazgrał lewy słupek bramy. Zajęliśmy się tym, zanim zobaczyła, i całe szczęście. Wie pan, co napisał?

Hodges kręci głową.

Peeples zniża głos.

– ZABIŁAŚ, PIZDO, wielkimi ociekającymi literami. Co było absolutnie niesprawiedliwe. Zrobiła głupi błąd, to wszystko. Każdemu może się zdarzyć.

– Nie mnie, na pewno – oświadcza Hodges.

– Racja. Biblia mówi: kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Święte słowa, myśli Hodges i pyta (z autentyczną ciekawością):

– Lubił ją pan?

Spojrzenie Peeplesa wędruje w lewo i w górę, mimowolny odruch, który Hodges widywał przez lata w wielu pokojach przesłuchań. To znaczy, że Rodney albo uniknie odpowiedzi, albo zwyczajnie skłamie.

Wybiera unik.

– No – mówi – dobrze nas traktowała na święta. Czasami myliła nazwiska, ale wiedziała, kim jesteśmy, i każdy dostawał czterdzieści dolarów i butelkę whisky. Porządnej whisky. Myśli pan, że jej mąż też był taki hojny? – Prycha. – Dziesięć dolarów w kartce z życzeniami z Hallmarku, tyle dostawaliśmy, kiedy ten dusigrosz jeszcze siedział w siodle.

– Dla kogo właściwie pracuje Czujna Straż?

– Dla Stowarzyszenia Sugar Heights. Wie pan, to taka wspólnota. Walczą z przepisami zagospodarowania przestrzennego, jeśli im nie odpowiadają, i pilnują, żeby wszyscy w okolicy utrzymywali pewien... standard, chyba tak można powiedzieć. Mają mnóstwo przepisów. Na przykład w święta można ozdobić dom białymi lampkami, ale nie kolorowymi. I nie mogą mrugać.

Hodges przewraca oczami. Peeples szczerzy zęby. Z potencjalnych wrogów zmienili się niemal w kolegów, i dlaczego? Bo Hodges przypadkowo skojarzył trochę nietypowe imię faceta. Można to nazwać łutem szczęścia, ale zawsze jest coś, co pozwoli ci się zbliżyć do osoby, którą chcesz przepyttać, cokolwiek, i swoje sukcesy w policji Hodges zawdzięcza częściowo zdolności rozpoznania tego czegoś, przynajmniej w większości przypadków. Pete Huntley nigdy tego nie potrafił i Hodges cieszy się, że jego talent nadal działa.

– Ona chyba miała siostrę – mówi. – To znaczy pani Trelawney. Ale jej nie poznałem i nie pamiętam nazwiska.

– Janelle Patterson – podsuwa szybko Peeples.

– Rozumiem, że pan ją poznał.

– Owszem. Miła osoba. Podobna do pani Trelawney, ale młodsza i z lepszą prezencją. – Rysuje rękami w powietrzu kształt klepsydry. – Więcej ciała. Nie wie pan, czy są jakieś postępy w tej sprawie mercedesa, panie Hodges?

Na takie pytania Hodges zwykle nie odpowiada, ale jeśli chcesz uzyskać informacje, musisz zapłacić informacjami. A to, co ma, jest całkiem bezpieczne, ponieważ to żadna informacja. Powtarza zwrot, którego użył Pete Huntley przy lunchu przed kilkoma godzinami:

– Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Peeples kiwa głową, jakby niczego innego się nie spodziewał.

– Zbrodnia pod wpływem impulsu – mówi. – Żadnych powiązań z którąkolwiek z ofiar, żadnych motywów, tylko cholerny dreszczyk zabijania. Największe szanse na złapanie faceta, jeśli znowu tego spróbuje, nie uważa pan?

Pan Mercedes twierdzi, że nie spróbuje, myśli Hodges, ale tej informacji absolutnie nie chce sprzedać, więc się zgadza. Zawsze warto się zgodzić z kolegą.

– Pani T. zostawiła wielki majątek – mówi – i nie chodzi mi tylko o dom. Ciekawe, czy siostra to odziedziczyła.

– O tak – zapewnia Peeples. Milknie na chwilę, potem mówi coś, co Hodges sam wkrótce powie do kogoś innego: – Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

– Tak. – Na takie pytanie najlepsza jest krótka, prosta odpowiedź.

– Ta Patterson mieszkała w Los Angeles, kiedy jej siostra... wie pan. Pigułki.

Hodges kiwa głową.

– Zamężna, ale bez dzieci. Nieudane małżeństwo. Kiedy się dowiedziała, że odziedziczyła megadolce i posiadłość w Sugar Heights, w try miga rozwiodła się z mężem i przyjechała na wschód. – Peeples wskazuje kciukiem na bramę, szeroki podjazd i wielki dom. – Mieszkała tutaj przez parę miesięcy, kiedy testament był zatwierdzany. Zaprzyjaźniła się z panią Wilcox spod sześćset czterdzieści. Pani Wilcox lubi gadać i uważa mnie za przyjaciela.

To mogło oznaczać wszystko, od pogaduszek przy kawie do popołudniowego seksu.

– Pani Patterson w zastępstwie siostry odwiedzała matkę, która mieszkała w apartamentowcu w śródmieściu. Wie pan o matce?

– Elizabeth Wharton – przytakuje Hodges. – Ciekawe, czy jeszcze żyje.

– Na pewno.

– Bo miała straszną skoliozę. – Hodges garbi się i robi parę kroków dla demonstracji. Jeśli chcesz coś dostać, musisz coś dać.

– Naprawdę? To niedobrze. W każdym razie Helen... pani Wilcox... mówi, że panna Patterson odwiedzała matkę regularnie jak w zegarku, tak jak dawniej pani Trelawney. Aż do zeszłego miesiąca. Widocznie matce się pogorszyło, bo jest teraz w domu opieki w okręgu Warsaw. Pani Patterson sama wprowadziła się do apartamentu. I teraz tam mieszka. Widuję ją od czasu do czasu. Ostatnio tydzień temu, kiedy facet z agencji nieruchomości pokazywał dom potencjalnym nabywcom.

Hodges dochodzi do wniosku, że wyciągnął z Radneya Peeplesa wszystko, na co mógł liczyć.

– Dzięki za najnowsze wiadomości. Będę leciał. Przepraszam, że zaczęliśmy z lewej nogi.

– Nie ma sprawy – mówi Peeples i dwukrotnie energicznie ściska wyciągniętą rękę Hodgesa. – Załatwił pan to profesjonalnie. Proszę tylko pamiętać, że ja nic nie mówiłem. Janelle Patterson może mieszkać w śródmieściu, ale wciąż należy do Stowarzyszenia, czyli jest naszą klientką.

– Nic pan nie mówił – potwierdza Hodges i wsiada do samochodu.

Ma nadzieję, że mąż Helen Wilcox nie przyłapie jej w wyrku z tym mięśniakiem, jeśli rzeczywiście tak się zabawiają; pewnie to byłby koniec współpracy Czujnej Straży z mieszkańcami Sugar Heights. Peeples natychmiast zostałby zwolniony dyscyplinarnie. Co do tego nie ma wątpliwości.

Pewnie ona tylko wnosi mu do samochodu świeżo upieczone ciastka, myśli Hodges, jadąc do swojego znacznie skromniejszego domu na West Side. Za dużo się naoglądał nazistowskiej terapii małżeńskiej w popołudniowej telewizji.

Nie żeby go obchodziło życie miłosne Radneya Peeplesa. Obchodzi go natomiast, że Janelle Patterson odziedziczyła majątek siostry, że Janelle Patterson mieszka w tym mieście

(przynajmniej na razie) i że Janelle Patterson musiała coś zrobić z rzeczami zmarłej Olivii Trelawney. To dotyczy również osobistych papierów, a w osobistych papierach mógł się znaleźć list – prawdopodobnie więcej niż jeden – od świra, który dotarł do Hodgesa. Jeśli taka korespondencja istnieje, chciałby ją zobaczyć.

Oczywiście to sprawa policji, a K. William Hodges już nie jest policjantem. Prowadząc śledztwo, znacznie wykracza poza granicę legalności i wie o tym – przede wszystkim zataja dowody – ale nie zamierza jeszcze przestać. Wkurzyła go arogancja listu tego świra. Ale przyznaje, że wkurzyła go w dobry sposób. Dała mu poczucie celu, a po ostatnich kilku miesiącach to coś wspaniałego.

Jeśli zrobię jakieś postępy, przekażę wszystko Pete'owi. Nie patrzy w lusterko wsteczne, kiedy ta myśl przebiega mu przez głowę, ale gdyby patrzył, zobaczyłby, jak jego spojrzenie umyka w górę i w lewo.

Hodges parkuje toyotę pod osłoniętą wiatą na lewo od domu, służącą mu za garaż. Przystaje, żeby podziwiać świeżo skoszony trawnik, zanim podejdzie do drzwi. Tam znajduje kartkę wetkniętą w szparę na listy. W pierwszej chwili myśli o Panu Mercedesie, ale to byłoby zbyt zuchwałe nawet jak na tego faceta.

List jest od Jerome'a. Schludne drukowane pismo kontrastuje szaleńczo z żargonowym stylem i ortografią.

Drogi Pan Hodges!

Ja żem skosił Pańskom trawę i wstawił kosiarkę nazad pod wiatę. Tylko jej pan nie rozjedź! Jak Pan mieć wiency roboty dla tego tu czarnego, zadryndaj do mie. Chentnie z panem pogadam, jak nie bende zajenty z moimi dziwkami. Pan wiesz że one potszebujom dozoru i czasem czeba im przyłożyć, bo zadzierajom nosa, zwłaszcza te jaśniejsze! Zafszę do usług, psze pana!

Jerome

Hodges ze znużeniem kręci głową, ale nie może powstrzymać uśmiechu. Chłopak, którego wynajmuje do dorywczych prac, ma szóstkę z wyższej matematyki, potrafi wymienić urwaną rynnę, naprawia pocztę elektroniczną Hodgesa, kiedy się zablokuje (co się często zdarza, głównie z powodu nieudolności Hodgesa), zna się trochę na hydraulice, całkiem nieźle mówi po francusku, a kiedy go zapytasz, co czyta, będzie cię zanudzał przez pół godziny symbolizmem krwi u D.H. Lawrence'a. Nie chce być biały, ale jako uzdolniony czarny z rodziny należącej do górnej klasy średniej jest ofiarą czegoś, co nazywa „kryzysem tożsamości”. Mówi to żartem, ale Hodges nie wierzy, że Jerome naprawdę żartuje.

Tato Jerome'a, profesor w college'u, i mama, biegła księgowa – oboje z kryzysem poczucia humoru, według opinii Hodgesa – niewątpliwie byliby przerażeni tym wyznaniem. Może nawet doszliby do wniosku, że syn potrzebuje porady psychologa. Ale od Hodgesa się nie dowiedzą.

– Jerome, Jerome, Jerome – mówi Hodges, wchodząc do domu. Jerome i jego „roboty-durnoty”. Jerome, który nie może się zdecydować, przynajmniej na razie, w którym z uniwersytetów Ivy League chce studiować; bo że każda dobra uczelnia go zaakceptuje, to z góry przesądzone. Spośród wszystkich sąsiadów tylko jego Hodges mógłby nazwać przyjacielem i właściwie nie potrzebuje innych przyjaciół. Hodges uważa, że przyjaźń jest przeceniana, i przynajmniej pod tym względem przypomina Brady'ego Hartsfielda.

Zdążył na większość wieczornych wiadomości, ale postanawia ich nie oglądać. Nie może już znieść wycieku ropy w Zatoce i politycznych podwieczorków. Zamiast tego włącza komputer, odpala Firefoxa i w polu wyszukiwania wpisuje Pod Niebieskim Parasolem Debbie. Otrzymuje tylko sześć wyników, bardzo marny połów w ogromnym, pełnym ryb morzu internetu, i tylko jeden dokładnie pasuje do wpisanej frazy. Hodges klika na niego i pojawia się obraz.

Pod niebem zaciągniętym groźnymi chmurami leży pagórkowata okolica. Animowany deszcz – prosta powtarzalna pętla, ocenia Hodges – spływa z góry srebrnymi strumieniami. Ale para siedząca pod dużym niebieskim parasolem, młody mężczyzna i młoda kobieta, jest bezpieczna i sucha. Nie całują się, jednak prawie stykają się głowami. Wydają się pogrążeni w rozmowie.

Pod obrazkiem znajduje się krótki opis *raison d'être* Niebieskiego Parasola.

W przeciwieństwie do takich portali, jak Facebook czy LinkedIn, Pod Niebieskim

Parasolem Debbie jest portalem czatowym, gdzie starzy przyjaciele mogą się spotykać, a nowi przyjaciele mogą się poznawać z GWARANCJĄ CAŁKOWITEJ ANONIMOWOŚCI. Żadnych zdjęć, żadnego porno, żadnych 140-znakowych Tweetów, tylko MIŁA STAROŚWIECKA ROZMOWA.

Poniżej widnieje przycisk z napisem: DOŁĄCZ TERAZ!, Hodges najeżdża na niego kursorem, ale się waha. Jakieś sześć miesięcy wcześniej Jerome musiał skasować jego adres e-mail i założyć mu nowe konto, ponieważ wszyscy z książki adresowej Hodgesa dostali wiadomość, że utknął w Nowym Jorku, ukradziono mu portfel z kartami kredytowymi i potrzebuje pieniędzy na powrót do domu. Czy odbiorca poczty może wysłać pięćdziesiąt dolarów – więcej, jeśli go stać – do Mail Boxes Etc. w Tribeca. „Zwrócę dług natychmiast, jak tylko uporządkuję ten bałagan”, kończyła się wiadomość.

Hodges mało się nie spalił ze wstydu, ponieważ prośba o pieniądze dotarła do jego byłej żony, brata w Toledo i prawie pięćdziesięciu gliniarzy, z którymi współpracował przez lata. Także do córki. Spodziewał się, że przez następne czterdzieści osiem godzin oba jego telefony, stacjonarny i komórkowy, będą dzwonić jak szalone, ale zadzwoniło bardzo niewiele osób i tylko Alison wydawała się naprawdę zaniepokojona. To go nie zdziwiło. Allie, pesymistka z natury, spodziewała się, że ojcu odbije, odkąd skończył pięćdziesiąt pięć lat.

Hodges wezwał na pomoc Jerome'a, który wyjaśnił, że były detektyw padł ofiarą phishingu.

– Większość osób, które wykradają twój adres, chce tylko sprzedać viagrę albo trefną biżuterię, ale widywałem też coś takiego. To spotkało mojego nauczyciela zoologii, który w końcu musiał zwrócić ludziom prawie tysiąc dolarów. Oczywiście to było w dawnych czasach, zanim ludzie zmądrzeli...

– W dawnych czasach... to znaczy kiedy, Jerome?

Jerome wzruszył ramionami.

– Dwa, trzy lata temu. Teraz jest nowy świat, panie Hodges. Niech pan się cieszy, że phisher nie zapuścił panu wirusa, który zjadł wszystkie pana pliki i aplikacje.

– Nie straciłbym dużo – odparł Hodges. – Na ogół tylko surfuję po sieci. Chociaż brakowałoby mi komputerowego pasjansa. Gra melodię *Happy Days Are Here Again*, kiedy mi wyjdzie.

Jerome rzucił mu swoje opatentowane spojrzenie mówiące: „Jestem za dobrze wychowany, żeby cię nazwać idiotą”.

– A pana rozliczenia podatkowe? – spytał. – W zeszłym roku pomogłem panu wypełnić dokumenty online. Chce pan, żeby ktoś zobaczył, ile pan płaci fiskusowi? Znaczący poza mną.

Hodges przyznał, że nie chce.

Tym osobliwie (i poniekąd uroczo) pedagogicznym tonem, jaki zwykle przybiera inteligentny młodzieńca, kiedy próbuje czegoś nauczyć tępego zgreba, Jerome wyjaśnił:

– Pana komputer to nie jest po prostu nowy rodzaj telewizora. Niech pan tak nie myśli. Za każdym razem, kiedy pan go włącza, otwiera pan okno do swojego życia. To znaczy gdyby ktoś chciał tam zajrzeć.

To wszystko przemyka przez głowę Hodgesa, który patrzy na niebieski parasol i nieustannie padający deszcz. Inne rzeczy też przemykają, rzeczy z jego policyjnego umysłu, który był uśpiony, ale teraz jest w pełni rozbudzony.

Może Pan Mercedes chce porozmawiać. Z drugiej strony może naprawdę chce tylko zajrzeć przez to okno, o którym mówił Jerome.

Zamiast kliknąć na DOŁĄCZ TERAZ!, Hodges opuszcza stronę, chwytając telefon, naciska przycisk szybkiego wybierania i dzwoni do Jerome'a. Odbiera jego matka i po krótkiej, miłej

pogawędce oddaje słuchawkę młodemu panu Roboty-Durnota we własnej osobie.

Najokropniejszą murzyńską angielszczyzną, na jaką się może zdobyć, Hodges mówi:

– Yo, ziomal, puszczasz te dziwki w miasto? One zarabiają? Ty reprezentujesz?

– O, cześć, panie Hodges. Tak, wszystko w porządku.

– Nie podoba ci się, jak nawijam do ciebie w telefonie, brachu?

– Ee...

Jerome jest naprawdę skołowany, więc Hodges lituje się nad nim.

– Trawnik wygląda wspaniale.

– Och. To dobrze. Dzięki. Mogę jeszcze coś zrobić dla pana?

– Możliwe. Mógłbyś wpaść jutro po szkole? Potrzebuję pomocy z komputerem.

– Jasne. Jaki problem tym razem?

– Wolałbym o tym nie mówić przez telefon – odpowiada Hodges – ale może cię zaciekawi. Czwarta ci pasuje?

– Pasuje.

– Dobrze. Zrób mi przysługę i zostaw Miastowego Czarnucha w domu.

– Okay, panie Hodges, zrobi się.

– Kiedy wreszcie się wyluzujesz i zaczniesz mi mówić Bill? Przy „panie Hodges” czuję się jak twój nauczyciel historii.

– Może kiedy skończę liceum – odpowiada Jerome bardzo poważnie.

– Przecież wiesz, że możesz zrobić ten skok w każdej chwili, kiedy tylko zechcesz.

Jerome się śmieje. Ten chłopak ma szczery, serdeczny śmiech. Zawsze poprawia Hodgesowi humor.

Hodges siada przy komputerowym biurku w swoim małym gabinecie. Bębni palcami po blacie i myśli. Uświadamia sobie, że prawie nigdy nie korzysta z tego pokoju wieczorami. Jeśli budzi się o drugiej nad ranem i nie może zasnąć, wtedy tak. Przychodzi tu i rozkłada pasjansa przez jakąś godzinę, zanim wróci do łóżka. Ale pomiędzy siódmą a północą zwykle siedzi w La-Z-Boyu, ogląda stare filmy na AMC albo TCM i napycha się tłustymi przekąskami i słodyczami.

Ponownie chwyta telefon, dzwoni do biura numerów i pyta roboty po drugiej stronie o numer Janelle Patterson. Nie ma wielkich nadziei; teraz, kiedy siostra pani Trelawney jest Kobietą z Siedmioma Milionami Dolarów i w dodatku świeżo rozwiedzioną, pewnie ma zastrzeżony numer.

Ale robot go wykasłuje. Hodges jest taki zdumiony, że musi niezdarnie szukać ołówka, a potem nacisnąć 2, żeby powtórzyć. Znowu bębni palcami, zastanawiając się, jak do niej podejść. Pewnie to nic nie da, ale taki byłby jego następny krok, gdyby wciąż pracował w policji. Skoro nie pracuje, to będzie wymagało odrobinę więcej finezji.

Z rozbawieniem zauważa, jak gorliwie podejmuje się tego zadania.

Po drodze do domu Brady dzwoni z wyprzedzeniem do Pizzy Sammy'ego i odbiera małą z pepperoni i pieczarkami. Gdyby sądził, że matka zje kilka porcji, wzięłby większą, ale on wie lepiej.

Może gdyby sprzedawali pepperoni z wódką, myśli. Wtedy bym olał średnią i wzięł od razu największą.

W północnej części miasta stoją szeregowce. Zbudowano je w okresie pomiędzy Koreą a Wietnamem, co znaczy, że wszystkie wyglądają tak samo i wszystkie się rozsypują. Na wielu zachwaszczonych trawnikach ciągle jeszcze walają się plastikowe zabawki, chociaż zrobiło się zupełnie ciemno. Dom Hartsfieldów znajduje się przy Elm Street – ulicy Wiązowej – pod numerem 49, gdzie nie ma żadnych wiązków i pewnie nigdy nie było. Po prostu w tej części miasta – nazwanej całkiem logicznie Northfield – wszystkie ulice noszą nazwy pochodzące od drzew.

Brady parkuje za przerdzewiałą maminią hondą, która potrzebuje nowego układu wydechowego, nowych styków i nowych świec. Nie wspominając o przeglądzie.

Niech ona to załatwi, myśli Brady, ale ona tego nie załatwi. On to załatwi. Będzie musiał. Tak jak załatwia wszystko.

Tak jak załatwiłem Frankiego, myśli. Wtedy, kiedy suterena była jeszcze tylko suterena, a nie moim centrum kontroli.

Brady i Deborah Ann Hartsfield nie rozmawiają o Frankiem.

Drzwi są zamknięte na klucz. Przynajmniej tego ją nauczył, chociaż Bóg widzi, że nie było łatwo. Ona uważa, że słowo „okay” wszystko rozwiązuje. Mówisz jej: „Wstaw śmietankę do kawy z powrotem do lodówki, jak jej użyjesz”, ona odpowiada: „Okay”. Potem wracasz do domu i śmietanka stoi na blacie, skwaśniała. Mówisz: „Proszę, zrób pranie, żebym miał czysty uniform na jutro do furgonetki z lodami”, ona odpowiada: „Okay”. Ale kiedy zaglądasz do pralni, wszystko wciąż leży w koszu.

Wita go trajkotanie z telewizora. Coś o konkursie o immunitet, więc to *Rzykanci*. Próbował jej wytłumaczyć, że to wszystko fałsz, wszystko ustawione. Ona mówi: „Okay, wiem”, ale i tak nie opuszcza żadnego odcinka.

– Wróciłem, mamo!

– Cześć, skarbie!

Tylko trochę bełkotliwie, całkiem nieźle jak na tę porę dnia. Na miejscu jej wątroby, myśli Brady, którejs nocy wyskoczyłbym przez usta, kiedy ona chrapie, i zwałbym gdzie pieprz rośnie.

Niemniej czuje lekki dreszczyk oczekiwania, kiedy wchodzi do salonu, ten dreszczyk, którego nienawidzi. Ona siedzi na kanapie w białym jedwabnym szlafroku, który jej podarował na Gwiazdkę, i widać więcej bieli tam, gdzie szlafrok się rozchyła wysoko na udach. Jej bielizna. Nie chce używać słowa „majteczki” w odniesieniu do matki, jest zbyt seksowne, ale ono wciąż rozbrzmiewa mu w głowie: wąż ukryty w trującym bluszczu. Widzi również małe, okrągłe cienie jej sutków. Takie rzeczy nie powinny go podniecać – ona zbliża się do pięćdziesiątki, zaczyna się zaokrąglać w talii, jest jego matką, na litość boską – ale...

Ale.

– Przyniosłem pizzę – mówi, pokazując pudełko i myśląc: Już jadłam.

– Już jadłam – odpowiada ona. Pewnie jadła. Kilka listków sałaty i tyci pojemniczek jogurtu. W ten sposób zachowuje resztki figury.

– Twoja ulubiona – dodaje Brady, myśląc: Ty zjedz, skarbie.

– Ty zjedz, słonko – odzywa się matka. Podnosi kieliszek i upija łyyczek jak dama. Chłanie znacznie się później, kiedy on pójdzie do łóżka i ona pomyśli, że zasnął. – Weź sobie colę i usiądź przy mnie.

Poklepuje kanapę. Szlafrok rozchyła się trochę bardziej. Biały szlafrok, białe majteczki.

Bielizna, napomina się Brady. Bielizna, nic więcej, to jest moja matka, mamusia, a mama nosi zwykłą bieliznę.

Ona zauważa jego wzrok i uśmiecha się. Nie poprawia szlafroka.

– Ryzykanci są w tym roku na Fidżi. – Marszczy brwi. – Chyba na Fidżi. W każdym razie na którejś wyspie. Chodź, pooglądaj ze mną.

– Niece, chyba pójdę na dół i trochę popracuję.

– Co to za projekt, skarbie?

– Nowy typ routera.

Ona nie odróżnia routera od skutera, więc to bezpieczna odpowiedź.

– Któregoś dnia wymyślisz coś takiego, że staniemy się bogaci – zapewnia matka. –

Wiem, że wymyślisz. Wtedy żegnaj, sklepie z elektroniką. I żegnaj, furgonetko z lodami.

Patrzy na niego rozszerzonymi oczami, tylko trochę zażawionymi od wódki. Brady nie wie, ile matka w siebie wlewa przeciętnie w ciągu dnia, a liczenie pustych butelek nic nie daje, bo ona je gdzieś kamufluje, ale wie, że ona ma już dosyć.

– Dzięki – mówi. Wbrew sobie czuje się mile połączony. Czuje też inne rzeczy. Bardzo wbrew sobie.

– Chodź, cukiereczku, pocałuj mamusię.

Podchodzi do kanapy, pilnując, żeby nie patrzeć na rozchylenie szlafroka, i próbując zignorować pełzające sensacje tuż pod sprzączką paska. Ona odwraca głowę w bok, ale kiedy on się pochyla, żeby ją pocałować w policzek, przekręca głowę z powrotem i przyciska wilgotne, na wpół rozchylone usta do jego ust. Brady czuje smak alkoholu i zapach perfum, którymi matka zawsze skrapia się za uszami. Skrapia się też w innym miejscach.

Kładzie mu rękę na karku i czubkami palców mierzwi mu włosy, aż dreszcz go przechodzi od szyi do łądźwi. Koniuszkiem języka dotyka jego górnej wargi, tylko przelotnie, mignęło i znikło, potem odsuwa się i rzuca mu omdlewające spojrzenie gwiazdy filmowej.

– Mój cukiereczek – szepcze niczym bohaterka jakiegoś romansidła z rodzaju tych, w których mężczyźni wymachują mieczami, a kobiety noszą wydekoltowane suknie i cacuszka wypchnięte do góry niczym drżące kule.

On spiesznie się odsuwa. Matka uśmiecha się do niego, po czym przenosi wzrok na ekran telewizora, na którym atrakcyjni młodzi ludzie w kąpielówkach biegają po plaży. Brady lekko drżącymi rękami otwiera pudełko z pizzą, wyjmuje trójkąt i upuszcza do jej miski z sałatką.

– Zjedz to – mówi. – To wchłonie alkohol. Częściowo.

– Nie bądź niedobry dla mamusi – karci go ona, ale bez nacisku i bez cienia urazy.

Z roztargnieniem ściąga poły szlafroka, znowu zanurzona w świetle ryzykantów, zamierzająca się dowiedzieć, kogo w tym tygodniu usuną z wyspy. – I nie zapomnij o moim samochodzie, Brady. Potrzebuje przeglądu.

– Potrzebuje dużo więcej – odburkuje Brady i wchodzi do kuchni.

Wyjmuje colę z lodówki, potem otwiera drzwi do piwnicy. Stoi przez chwilę w ciemności, następnie wymawia jedno słowo:

– Kontrola.

Na dole zapalają się świetlówki (sam je zainstalował, podobnie jak sam przebudował piwnicę).

U stóp schodów myśli o Frankiem. Prawie zawsze o nim myśli, kiedy stoi w miejscu,

gdzie Frankie zginął. Nie myślał o nim tylko wtedy, kiedy się przygotowywał do akcji w City Center. Podczas tych tygodni wszystko inne wywierało mu z głowy, i cóż to była za ulga.

„Brady”, powiedział Frankie. Jego ostatnie słowo na planecie Ziemia. Rzeźnienie i bulgotanie się nie liczą.

Stawia colę i pizzę na stole roboczym pośrodku pomieszczenia, potem wchodzi do łazienki wielkości szafy i spuszcza spodnie. Nie będzie mógł jeść, nie będzie mógł pracować nad swoim nowym projektem (bynajmniej nie routerem), nie będzie mógł myśleć, dopóki nie załatwi pewnej palącej sprawy.

W liście do tłustego eksplodującego wyznał, że był tak podniecony seksualnie, kiedy wjechał w tłum bezrobotnych przed City Center, że miał założony kondom. Dalej wyznał, że masturbuje się, wspominając to przeżycie. Gdyby to była prawda, nadałaby całkiem nowe znaczenie pojęciu autoerotyzmu, ale to nieprawda. Wpakował do listu mnóstwo kłamstw, każde obliczone na to, żeby jeszcze bardziej podkurwić Hodgesa, a jego fałszywe fantazje seksualne wcale nie były największym łgarstwem.

W gruncie rzeczy niezbyt się interesuje dziewczynami i dziewczyny to wyczuwają. Pewnie dlatego tak dobrze mu się układa z Freddi Linklatter, jego cyberlesbijską koleżanką z Discount Electronix. O ile Brady wie, ona go uważa za geja. Jednakże on nie jest gejem. Sam dla siebie stanowi tajemnicę – front zokludowany – ale jedno wie na pewno: nie jest aseksualny, przynajmniej nie całkiem. On i jego matka mają wspólny sekret, gotycką tęczę sekretu, o którym nie wolno myśleć, chyba że to absolutnie konieczne. Kiedy to się staje konieczne, należy się z tym uporać i znowu zapomnieć.

Mamo, widzę twoje majtki, myśli i załatwia sprawę jak najszybciej. W apteczce jest wazelina, ale on jej nie używa. Chce, żeby zapiekło.

Wróciwszy do przestronnej pracowni w piwnicy, Brady wypowiada następne słowo. „Chaos”.

Po drugiej stronie centrum kontroli znajduje się długa półka, zamocowana metr nad podłogą. Na półce stoi w szeregu siedem otwartych laptopów z ciemnymi ekranami. Jest też fotel na kółkach, żeby Brady mógł szybko przejeżdżać od jednego laptopa do drugiego. Kiedy wypowiada magiczne słowo, wszystkie siedem ożywa. Na każdym ekranie pojawia się liczba 20, potem 19, potem 18. Jeśli Brady pozwoli, żeby odliczanie doszło do zera, włączy się program samobójczy, który wyczyści twarde dyski i nadpisze je bełkotem.

– Ciemność – mówi i wielkie cyfry odliczania znikają, zastąpione przez wygaszacze ekranów, które pokazują sceny z *Dzikiej bandy*, jego ulubionego filmu.

Wypróbował „apokalipsę” i „Armagedon”, znacznie lepsze słowa startery w jego opinii, dźwięczne i ostateczne, ale program rozpoznawania mowy miał z nimi problemy. Tego tylko brakowało, żeby musiał odtwarzać wszystkie swoje pliki z powodu głupiej usterki. Dwusylabowe słowa są bezpieczniejsze. Chociaż na sześciu z siedmiu komputerów nie ma zbyt wiele. Tylko Numer Trzy zawiera to, co tłusty eksplina nazwałby „obciążającymi informacjami”, ale Brady lubi patrzeć na imponujący szereg potęgi obliczeniowej, rozświetlony jak teraz. Dzięki niemu piwnica wygląda jak prawdziwe centrum dowodzenia.

Brady uważa się za twórcę, nie tylko niszczyciela, ale wie, że jak dotąd nie zdołał stworzyć niczego, co naprawdę wstrząsnęłoby światem. Dręczy go myśl, że nigdy nic takiego nie stworzy. Że jego kreatywny umysł zalicza się najwyżej do drugiej kategorii.

Weźmy na przykład Rollę. Wpadł na to w przebłysku natchnienia pewnego wieczoru, kiedy odkurzał salon (tego rodzaju prace domowe, podobnie jak używanie pralki, są poniżej godności jego matki). Naszkicował urządzenie, które wyglądało jak podnózek na rolkach, z silniczkiem i krótkim węzłem przymocowanym pod spodem. Wymyślił, że przy zastosowaniu prostego programu komputerowego można zaprojektować urządzenie w ten sposób, żeby jeździło po pokoju, odkurzając po drodze. Gdyby uderzyło w przeszkodę – krzesło albo ścianę – samo zawróciłoby i ruszyło w nowym kierunku.

Zaczął nawet budować prototyp, kiedy zobaczył wersję swojej Rolli toczącą się pracownice po wystawie ekskluzywnego sklepu ze sprzętem AGD w śródmieściu. Nawet nazywała się podobnie: Roomba. Ktoś go wyprzedził i ten ktoś prawdopodobnie zgarniał miliony. To było niesprawiedliwe, ale takie jest życie: karnawał gówna z gównianymi nagrodami.

Brady zhakował blueboxem domowy telewizor, co znaczy, że on i jego mama mają nie tylko podstawową kablówkę, ale też wszystkie płatne kanały (włącznie z kilkoma egzotycznymi dodatkami, jak Al-Dżazira) za darmo i ani Time Warner, ani Comcast, ani Xfinity za cholerę nic nie mogą na to poradzić. Zhakował odtwarzacz DVD, żeby czytał nie tylko płyty amerykańskie, ale również z całego świata. To łatwe: trzy albo cztery szybkie kroki z pilotem plus sześciocyfrowy kod rozpoznawczy. W teorii wspaniale, ale czy się przydaje? Nie na ulicy Elm Street 49, o nie. Mama ogląda tylko to, czym ją karmią jak łyżeczką cztery główne stacje, a sam Brady przez większość czasu jest w jednej albo drugiej pracy, albo tu na dole, w centrum kontroli, gdzie wykonuje swoją prawdziwą pracę.

Blueboxy są świetne, ale są też nielegalne. O ile Brady wie, hakowanie DVD także jest nielegalne. Nie wspominając o hakowaniu Redboxa i Netflix'a. Wszystkie jego najlepsze pomysły są nielegalne. Weźmy Gadżet Jeden i Gadżet Dwa.

Gadżet Jeden leżał na fotelu pasażera mercedesa pani Trelawney, kiedy wyjeżdżał spod

City Center tamtego mglistego ranka zeszłego kwietnia, z krwią ściekającą z pogiętej maskownicy i oblepiającą przednią szybę. Wpadł na pomysł tego urządzenia w ponurym okresie trzy lata wcześniej, kiedy postanowił zabić całą kupę ludzi – wtedy nazywał to swoim „terrorystycznym trendem” – ale zanim zdecydował, jak, gdzie i kiedy to zrobi. Pomysły kłębiły mu się w głowie, był podminowany, niewiele sypiał. W tamtych dniach ciągle czuł się tak, jakby właśnie wypił cały termos czarnej kawy doprawionej amfetaminą.

Gadżet Jeden to był zmodyfikowany pilot do telewizora z mikrochipem zamiast mózgu i paczką baterii, żeby zwiększyć zasięg... chociaż zasięg pozostał raczej nieduży. Jeśli wycelowało się nim w uliczne światła z odległości dwudziestu albo trzydziestu metrów, można było zmienić czerwone na żółte jednym naciśnięciem, czerwone na migające żółte dwoma naciśnięciami i czerwone na zielone trzema naciśnięciami.

Brady był zachwycony tym ustrojstwem i użył go kilka razy (zawsze siedząc w swoim starym zaparkowanym subaru; furgonetka z lodami za bardzo rzucała się w oczy) na ruchliwych skrzyżowaniach. Po kilku chybionych próbach udało mu się spowodować autentyczny wypadek. Tylko stłuczka, ale fajnie było patrzeć, jak dwaj kierowcy kłóć się, czyja to wina. Przez chwilę wyglądało, że rzucą się na siebie z pięściami.

Gadżet Dwa pojawił się niedługo potem, ale to Gadżet Jeden zdecydował o wyborze celu, ponieważ radykalnie zwiększał szanse ucieczki. Odległość pomiędzy City Center a opuszczonym magazynem, gdzie zamierzał porzucić szarego mercedesa pani Trelawney, wynosiła dokładnie trzy kilometry. Na trasie planowanej ucieczki znajdowało się osiem skrzyżowań ze światłami i dzięki swojemu sprytnemu gadżetowi nie musiał się żadnymi przejmować. Ale tamtego ranka – Jezu Chryste, kto by pomyślał? – wszystkie światła były zielone. Brady rozumiał, że to miało związek z wczesną godziną, ale i tak się wściekał.

Gdybym wtedy nie miał Gadżetu Jeden, myśli, idąc do komórki na drugim końcu piwnicy, co najmniej cztery światła byłyby czerwone. Takie już mam szczęście.

Gadżet Dwa okazał się jedynym z jego wynalazków, który rzeczywiście przynosił pieniądze. Niezbyt dużo, ale jak wiadomo, pieniądze to nie wszystko. Poza tym bez Gadżetu Dwa nie byłoby mercedesa. A bez mercedesa nie byłoby masakry w City Center.

Pocziwy stary Gadżet Dwa.

Na skoblu przy drzwiach komórki wisi duża kłódka yale. Brady otwiera ją kluczem, który nosi na kółku. W środku już się palą światła – tu także zamontował nowe jarzeniówki. Komórka jest mała, większość miejsca zajmują regały z nieheblowanymi deskami. Na jednym leży dziewięć pudełek po butach. W każdym pudełku spoczywa pół kilo wybuchowego plastiku domowej roboty. Brady wypróbował trochę tej substancji w opuszczonym wyrobisku żwiru daleko za miastem i sprawdziła się doskonale.

Gdybym mieszkał w Afganistanie, myśli, nosił turban i taki czadowy szlafrok, zrobiłbym karierę, wysadzając transportery opancerzone.

Na drugiej półce, w innym pudełku po butach, leży pięć telefonów komórkowych. To jednorazówki, jakie dealerzy prochów w Lowtown nazywają palnikami. Telefony, dostępne wszędzie w drogeriach i lepszych sklepach spożywczych, są projektem Brady’ego na ten wieczór. Trzeba je zmodyfikować, żeby do wszystkich dzwoniło się pod ten sam numer, co wytworzy iskrę potrzebną do jednoczesnego zdetonowania plastiku w pudełkach po butach. Jeszcze właściwie nie zdecydował, że użyje plastiku, ale go korci. I to jak. Napisał tłustemu ekspliniarzowi, że nie czuje potrzeby powtórzenia swojego majstersztyku, ale to było kolejne kłamstwo. Dużo zależy od samego ekspliniarza. Jeśli zrobi to, czego Brady sobie życzy – tak jak pani Trelawney zrobiła, czego sobie życzył – potrzeba z pewnością zniknie, przynajmniej na jakiś czas.

Jeśli nie... no cóż...

Bierze pudełko z telefonami, chce wyjść z komórki, ale jeszcze się ogląda. Na innej półce leży pikowana kamizelka drwala od L.L. Beana. Gdyby Brady naprawdę wybierał się do lasu, wystarczyłby mu rozmiar M – jest szczupły – ale ta kamizelka jest rozmiaru XL. Na piersi przylepił naklejkę ze Śmieszkiem, tym z wyszczerzonymi zębami i w ciemnych okularach. Kamizelka zawiera cztery kolejne półkilowe kostki wybuchowego plastiku, dwie w zewnętrznych kieszeniach, dwie w kieszeniach od wewnątrz. Materiał kamizelki się wybrzusza, ponieważ pełno w niej kulek łożyskowych (takich samych jak w Happy Slapperze Hodgesa). Brady rozciął podszewkę, żeby je wsypać do środka. Nawet przemknęło mu przez głowę, żeby poprosić mamę o zaszywanie rozcięcia, i porządnie się uśmieł, zalepiając je taśmą klejącą.

Moja własna samobójcza kamizelka, myśli z czułością.

Nie użyje jej... prawdopodobnie... ale ten pomysł również jest dość pociągający. Położyłby kres wszystkiemu. Koniec z Discount Electronix, koniec z wezwaniami Cyberpatrolu, żeby wydłubywać masło orzechowe albo okruchy krakersów z procesora jakiegoś starego durnia, koniec z furgonetką z lodami. I koniec z węzami pełzającymi mu w głowie. Albo poniżej sprzączki paska.

Wyobraża sobie, że robi to na koncercie rockowym; wie, że w czerwcu Springsteen wystąpi na Lakefront Arena. A może podczas parady z okazji Czwartego Lipca na Lake Street, głównej miejskiej arterii? Albo na otwarciu Letniego Ulicznego Festiwalu Sztuki i Jarmarku, który zaczyna się co roku w pierwszą sobotę sierpnia. Nieźle, tylko że wyglądałby trochę dziwnie w pikowanej kamizelce w upalne sierpniowe popołudnie.

Tak, ale kreatywny umysł zawsze potrafi rozwiązać takie problemy, myśli. Rozkłada jednorazowe telefony na stole warsztatowym i zaczyna z nich wyjmować karty SIM. Poza tym kamizelka samobójcza to tylko, jak się mówi, katastroficzny scenariusz. Pewnie nigdy jej nie użyje. Ale miło ją mieć pod ręką.

Zanim wróci na górę, siada przy Numerze Trzy, loguje się do sieci i sprawdza Niebieski Parasol. Nic od tłustego ekspliarza.

Na razie.

Następnego ranka o dziesiątej Hodges naciska guzik domofonu do apartamentu pani Wharton na Lake Avenue. Włożył garnitur, dopiero drugi albo trzeci raz od przejścia na emeryturę. Dobrze jest znowu nosić garnitur, chociaż zrobił się ciasny w pasie i pod pachami. Mężczyzna w garniturze czuje się jak człowiek pracy.

Z głośnika odzywa się kobiecy głos:

– Tak?

– Bill Hodges, proszę pani. Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem.

– Owszem, i jest pan punktualny. Dziewiętnaście C, detektywie Hodges.

Zaczyna jej wyjaśniać, że nie jest już detektywem, ale rozlega się brzęczenie, więc daje sobie spokój. Zresztą powiedział jej, że jest na emeryturze, kiedy rozmawiali przez telefon.

Janelle Patterson czeka na niego w drzwiach, całkiem jak jej siostra w dniu masakry w City Center, kiedy Hodges i Huntley przyszli pierwszy raz ją przesłuchać. Podobieństwo między tymi dwiema kobietami jest wystarczające, żeby Hodges doznał potężnego uczucia déjà vu. Jednak idąc przez krótki korytarz od windy do drzwi apartamentu (i starając się nie człapać), zauważa, że różnice przeważają nad podobieństwami. Patterson ma takie same jasnoniebieskie oczy i wysokie kości policzkowe jak siostra, lecz w przeciwieństwie do wąskich, zaciśniętych ust Olivii Trelawney, często zbiegających z napięcia i irytacji, usta Janelle nawet w bezruchu wydają się gotowe do uśmiechu. Albo do pocałunku. Wilgotny błyszczący łśni na wargach; wyglądają tak smacznie, że można je zjeść. I nie dla tej pani dekolty w łódkę. Nosi miękki golf, obciskający parę idealnie okrągłych piersi. Nie są za duże te piersi, ale jak mawiał kochany nieżyjący ojciec Hodgesa, więcej niż pełna garść to marnotrawstwo. Czy to zasługa porządnego stanika z fiszbinami, czy porozwodowego liftingu? Lifting wydaje się Hodgesowi bardziej prawdopodobny. Dzięki siostrze Janelle może sobie pozwolić na każdą operację plastyczną.

Wyciąga rękę i ściska dłoń Hodgesa mocno, bez afektacji.

– Dziękuję, że pan przyszedł.

Jakby przyszedł na jej prośbę.

– Cieszę się, że zgodziła się pani na spotkanie – mówi, wchodząc za nią do środka.

Ten sam zarąbisty widok jeziora wali go w twarz. Pamięta go dobrze, chociaż tylko raz przesłuchiwali tutaj panią T.; wszystkie pozostałe przesłuchania odbywały się albo w wielkim domu w Sugar Heights, albo na komendzie. Podczas którejś wizyty na komendzie wpadła w histerię. „Wszyscy mnie oskarżają”, powiedziała. Popełniła samobójstwo niewiele później, kwestia zaledwie tygodni.

– Napije się pan kawy, detektywie? Jamajska. Moim zdaniem bardzo dobra.

Hodges odzwyczyił się od porannej kawy, bo zwykle wywoływała u niego okropny kwaśny refluks pomimo zażywania zantacu. Ale tym razem się zgadza.

Siada w fotelu przy szerokim oknie w salonie i czeka, aż gospodyni wróci z kuchni. Dzień jest ciepły i pogodny; żaglówki na jeziorze śmigają i zakręcają jak łyżwiarze. Janelle wraca i Hodges wstaje, żeby odebrać od niej srebrną tacę, ale ona z uśmiechem kręci głową i stawia tacę na niskim stoliku kawowym, wdzięcznie uginając kolana. Niemal dygając.

Hodges wziął pod uwagę każdy możliwy wariant tej rozmowy, ale jego przewidywania okazują się nieistotne. Zupełnie jakby starannie zaplanował uwiedzenie, a potem obiekt jego pożądania spotyka go w drzwiach w króciutkiej koszulce nocnej i burdelowych szpilkach.

– Chcę się dowiedzieć, kto doprowadził moją siostrę do samobójstwa – mówi Janelle, nalewając kawę do solidnych porcelanowych kubków – ale nie wiem, od czego zacząć. Pana telefon był jak dar niebios. Po naszej rozmowie myślę, że jest pan odpowiednim człowiekiem

do tego zadania.

Hodges jest tak zaskoczony, że zaniemówił.

Janelle podaje mu kubek.

– Jeśli chce pan śmietankę, musi pan sam sobie nalać. Za dodatki nie biorę odpowiedzialności.

– Czarna wystarczy.

Ona się uśmiecha. Ma idealne zęby albo idealne koronki.

– Moja bratnia dusza.

Hodges bierze łyk, głównie żeby zyskać na czasie, ale kawa jest przepyszna.

Odchrząkuje.

– Jak pani mówiłem, kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem – zaczyna – nie jestem już policyjnym detektywem. Dwudziestego grudnia zeszłego roku stałem się zwykłym, prywatnym obywatelem. Musimy to sobie wyjaśnić od początku.

Ona przygląda mu się nad krawędzią kubka. Hodges zastanawia się, czy wilgotny błyszczak na jej wargach zostawi odcisk, czy też przy obecnej technologii produkcji kosmetyków coś takiego już się nie zdarza. Wariactwo, żeby się nad tym zastanawiać, ale to ładna kobieta. A on ostatnio rzadko wychodzi z domu.

– Jeśli o mnie chodzi – mówi Janelle Patterson – liczą się tylko dwa słowa, które pan powiedział. Jedno to „detektyw”, a drugie to „prywatny”. Chcę wiedzieć, kto nią manipulował, kto się nią bawił tak długo, aż się zabiła. Policji wcale na tym nie zależy. O tak, w dalszym ciągu chcą złapać człowieka, który posłużył się jej samochodem, żeby pozabijać tych ludzi, ale moja siostra... czy mogę być wulgarna...? Moja siostra gównem ich obchodzi.

Hodges wprawdzie jest na emeryturze, ale pozostał lojalny.

– To nie całkiem prawda.

– Rozumiem, dlaczego pan to mówi, detektywie...

– Wystarczy „proszę pana”. Po prostu „panie Hodges”. Albo „Bill”, jeśli pani woli.

– No więc Bill. I to prawda. Istnieje związek pomiędzy tymi zabójstwami a samobójstwem mojej siostry, ponieważ człowiek, który się posłużył jej samochodem, to ten sam człowiek, który napisał list. I te inne rzeczy. Te Pod Niebieskim Parasolem.

Spokojnie, ostrzega samego siebie Hodges. Nie schrzaj tego.

– O jakim liście mowa, pani Patterson?

– Janey. Jeśli mam ci mówić Bill, ty mów mi Janey. Zaczekaj, pokażę ci.

Wstaje i wychodzi z pokoju. Serce Hodgesa mocno wali – znacznie mocniej niż wtedy, kiedy załatwił tych trolli pod wiaduktem – jednak ekspolicjant zauważa z przyjemnością, że widok odchodzącej Janey Patterson nie ustępuje jej widokowi od frontu.

Spokojnie, chłopie, powtarza i popija kawę. Philip Marlowe to ty nie jesteś. Kubek jest w połowie pusty i żadnego kwasu. Ani śladu. Ta kawa to cud, myśli.

Janey wraca, niosąc dwie kartki. Trzyma je za rogi, jakby z obrzydzeniem.

– Znalazłam je, kiedy przeglądałam papiery w biurku Ollie. Był ze mną jej prawnik, pan Schron... musiał być, bo wyznaczyła go na wykonawcę swojego testamentu... ale poszedł do kuchni napić się wody. Nie widział ich. Schowałam je. – Mówi to rzeczowo, bez wstydu, nawet nie obronnym tonem. – Od razu wiedziałam, co to jest. Z powodu... tego. Ten facet zostawił takie samo na kierownicy jej samochodu. To jakby jego wizytówka.

Stuka w uśmiechniętą buźkę w ciemnych okularach na pierwszej stronie listu. Hodges już ją zauważył. Zwrócił również uwagę na czcionkę, którą rozpoznał z własnego edytora tekstu jako American Typewriter.

– Kiedy to znalazłaś?

Ona się zastanawia, oblicza upływ czasu.

– Przyjechałam na pogrzeb pod koniec listopada. Odkryłam, że jestem jedyną spadkobierczynią Ollie, kiedy odczytano testament. To było jakoś w pierwszym tygodniu grudnia. Zapytałam pana Schrona, czy możemy odłożyć inwentaryzację majątku i własności Ollie do stycznia, bo mam pewną sprawę do załatwienia w L.A. Zgodził się. – Patrzy na Hodgesa, nieruchome spojrzenie błękitnych oczu, w których błyszczą iskierki. – Sprawa, którą musiałam załatwić, to był rozwód z tym... Czy mogę znowu być wulgarna...? Dziwkarzem, kokainistą i gnojkiem.

Hodges nie chce skręcać na ten boczny tor.

– Wróciłaś do Sugar Heights w styczniu?

– Tak.

– I wtedy znalazłaś ten list?

– Tak.

– Czy policja go widziała? – Zna odpowiedź, od stycznia minęły prawie cztery miesiące, ale musiał zadać to pytanie.

– Nie.

– Dlaczego?

– Już ci mówiłam! Bo im nie ufam! Iskierki znikają z jej oczu i zaczyna płakać.

Przeprasza na chwilę. Hodges mówi: oczywiście. Ona znika, pewnie żeby się opanować i poprawić makijaż. Hodges bierze list i czyta, popijając kawę małymi łydkami. Naprawdę jest pyszna. Gdyby miał do niej ze dwa ciastka...

Droga Pani Olivio Trelawney!

Mam nadzieję, że doczyta Pani ten list do samego końca, zanim go Pani wyrzuci albo spali. Wiem, że nie zasługuję na Pani względy, ale mimo to błagam. Bo widzi Pani, jestem tym człowiekiem, który ukradł Pani mercedesa i wjechał nim w tamtych ludzi. Teraz się palę tak samo, jak może Pani spalić mój list, tylko że ze wstydu, żalu i skruchy.

Proszę, proszę, proszę, niech mi Pani da szansę wyjaśnić! Nigdy nie otrzymam Pani przebaczenia, to również wiem, i nie oczekuję go, ale gdyby tylko Pani zrozumiała, to by wystarczyło. Da mi Pani tę szansę? Proszę! Dla opinii publicznej jestem potworem, dla telewizji jestem tylko kolejną krwawą historyjką do sprzedawania reklam, dla policji jestem jedynie kolejnym sprafcą, którego chcą złapać i wsadzić do więzienia, ale jestem również człowiekiem, takim jak Pani. Oto moja historia.

Dorastałem w domu, gdzie byłem maltretowany fizycznie i seksualnie. Pierwszy był mój ojczym, i wie Pani, co się stało, kiedy matka się dowiedziała? Przyłączyła się do zabawy! Jeszcze nie przestała Pani czytać? Nie dziwiłbym się Pani, to obrzydliwe, ale mam nadzieję, że czyta Pani dalej, bo muszę to zrzucić z serca. Widzi Pani, może już nie zostanę długo „w krainie żywych”, ale nie mogę zakończyć życia, dopóki komuś nie wyznam, DLACZEGO zrobiłem to, co zrobiłem. Sam tego do końca nie rozumiem, ale może Pani, jako osoba postronna, zrozumie.

W tym miejscu widniała uśmiechnięta buźka.

Molestowanie seksualne trwało, dopóki ojczym nie zmarł na atak serca, kiedy miałem 13 lat. Matka powiedziała, że jeśli kiedyś się wygadam, obarczą mnie winą. Powiedziała, że jeśli pokażę zagojone oparzenia po papierosach na rękach, nogach i genitaliach, ona powie, że sam to sobie zrobiłem. Byłem tylko dzieckiem i myślałem, że ona mówi prawdę. Powiedziała mi również, że jeśli ludzie mi uwierzą, wsadzą ją do więzienia, a mnie wyślą do sierocińca (co pewnie było prawdą).

Trzymałem język za zębami. Czasami „lepszy diabeł znany niż nieznanym”!

Nigdy specjalnie nie urosłem i byłem bardzo chudy, bo byłem zbyt nerwowy, żeby jeść, a po jedzeniu często wymiotowałem (bulimia). Z tego powodu przesładowano mnie w szkole. W dodatku rozwinął się u mnie szereg nerwowych tików, jak skubanie ubrania i pociąganie za włosy (czasami wrywanie ich garściami). Z tego powodu byłem wyśmiewany, nie tylko przez inne dzieci, ale również przez nauczycieli.

Janey Patterson wróciła i siedzi teraz naprzeciwko, popijając kawę, ale chwilowo Hodges ledwie ją zauważa. Wraca myślami do czterech czy pięciu przesłuchań, jakim on i Pete poddali panią T. Wspomina, jak ciągle poprawiała swój dekolt w łódkę. Albo obciągała spódnice. Albo dotykała kącika zaciśniętych ust, jakby chciała zdjąć okruszek szminki. Albo nawijała kosmyk włosów na palce i ciągnęła. To też.

Wraca do listu.

Nigdy nie byłem złym dzieckiem, Pani Trelawney. Przysięgam. Nigdy nie męczyłem zwierząt ani nie biłem dzieci jeszcze mniejszych ode mnie. Byłem małą, zalęknioną myszką i próbowałem tylko przemknąć ukradkiem przez swoje dzieciństwo, żeby mnie nie wyśmiewano i nie upokarzano, jednak to mi się nie udało.

Chciałem pójść na studia, ale nie poszedłem. Widzi Pani, w końcu opiekuję się kobietą, która mnie maltretowała! To niemal zabawne, prawda? Mama miała udar, pewnie z powodu

picia. Tak, jest również alkoholiczką, czy raczej była, kiedy mogła pójść do sklepu po flaszkę. Może trochę chodzić, ale naprawdę niewiele. Muszę ją prowadzić do toalety i myć ją, kiedy się „załatwi”. Pracuję przez cały dzień na nisko płatnej posadzie (pewnie i tak mi się poszczęściło, że w ogóle mam pracę w tym kryzysie), potem wracam do domu i zajmuję się nią, bo mogę sobie pozwolić tylko na dochodzącą pomoc na kilka godzin w dni powszednie. To złe i głupie życie. Nie mam przyjaciół ani możliwości awansu tam, gdzie pracuję. Jeśli Społeczeństwo jest jak ul, to ja jestem tylko kolejnym trutniem.

W końcu poczułem gniew. Chciałem się na kimś odegrać. Chciałem odplacić światu i pokazać, że żyję. Potrafi to Pani zrozumieć? Czy Pani kiedyś tak się czuła? Chyba nie, skoro jest Pani bogata i pewnie ma najlepszych przyjaciół, jakich można kupić za pieniądze.

Po tej zjadliwej uwadze jest następny Śmieszek w ciemnych okularach, jakby autor listu chciał powiedzieć: Tylko żartowałem.

Pewnego dnia nie mogłem już wytrzymać i zrobiłem to, co zrobiłem. Nie planowałem wcześniej...

Akurat, myśli Hodges.

...i myślałem, że mam szanse co najmniej 50 na 50, że mnie złapią. Było mi wszystko jedno. I WCALE nie wiedziałem, jak mnie to będzie później dręczyć. Ciągłe przeżywanie te głuche uderzenia, kiedy w nich wjeżdżałem, i ciągle słyszę ich krzyki. Potem, kiedy zobaczyłem w wiadomościach, że zabiłem nawet niemowlę, naprawdę do mnie dotarło, jaką okropną rzecz zrobiłem. Nie wiem, jak mogę sam ze sobą wytrzymać.

Pani Trelawney, czemu, och, czemu zostawiła pani kluczyk w stacyjce? Gdybym tego nie zobaczył, kiedy spacerowałem o świcie, bo nie mogłem spać, do niczego by nie doszło. Gdyby Pani nie zostawiła kluczyka w aucie, tamto maleństwo i jego matka nadal by żyli. Nie obwiniam Pani, na pewno miała Pani głowę zaprzątniętą własnymi kłopotami i zmartwieniami, ale żałuję, że nie stało się inaczej i że Pani nie pamiętała o wyjęciu kluczyka. Gdyby Pani pamiętała, nie smażyłbym się teraz w piekle skruchy i wyrzutów sumienia.

Pani też pewnie czuje wyrzuty sumienia i skruchę. Przykro mi z tego powodu, zwłaszcza że bardzo szybko Pani się przekona, jacy podli potrafią być ludzie. Telewizja i gazety będą trąbić, że Pani niedbalstwo umożliwiło ten straszliwy czyn. Przyjaciele przestaną się do Pani odzywać. Policja będzie Panią nękać. Kiedy pani pójdzie do sklepu, ludzie będą się na Panią gapić i szeptać do siebie. Niektórzy nie zadowolą się samym szepcaniem i zachowają się „nieprzyjemnie”. Nie zdziwiłbym się, gdyby próbowano wandalizmu w Pani domu, więc proszę uprzedzić ochroniarzy (na pewno ich Pani ma), żeby „uważali”.

Nie przypuszczam, żeby chciała Pani ze mną porozmawiać, prawda? Och, nie twarzą w twarz, ale jest jedno bezpieczne miejsce, bezpieczne dla nas obojga, gdzie możemy porozmawiać za pośrednictwem komputerów. Nazywa się Pod Niebieskim Parasolem Debbie. Nawet podam Pani nazwę użytkownika, gdyby Pani się zdecydowała. Brzmi ona: „otrelaw19”.

Wiem, co zrobiłaby przeciętna osoba. Przeciętna osoba zaniósłaby ten list prosto na policję, ale zadam pani jedno pytanie. Co oni dla Pani zrobili oprócz nękania i przyprawiania o bezsenność? Chociaż jeśli chce Pani mojej śmierci, najprostszy sposób to oddać ten list policji, równie pewny jak przyłożenie mi pistoletu do głowy i pociągnięcie za spust, ponieważ się zabiję.

Choć to się wydaje szalone, Pani jest jedyną osobą, która mnie trzyma przy życiu. Ponieważ Pani jest jedyną osobą, z którą mogę rozmawiać. Jedyną osobą, która rozumie, jak to jest być w piekle.

Teraz będę czekał.

Pani Trelawney, tak bardzo, bardzo ŻAŁUJĘ.

Hodges odkłada list na stolik do kawy i mówi:

– Jasna cholera.

Janey Patterson kiwa głową.

– Też tak zareagowałam.

– Zaprosił ją do nawiązania kontaktu...

Janey rzuca mu niedowierzające spojrzenie.

– Zaprosił?! Raczej zaszantażował. „Zrób to albo się zabiję”.

– Twoim zdaniem ona przyjęła zaproszenie. Widziałaś jakieś ich e-maile? Może razem z listem były wydruki?

Janey kręci głową.

– Ollie powiedziała matce, że rozmawia z kimś, kogo nazywała „bardzo nie zrównoważonym człowiekiem”, i próbuje go przekonać, żeby poszukał pomocy, ponieważ zrobił coś strasznego. Matka się przestraszyła. Zakładała, że Ollie rozmawia z tym bardzo nie zrównoważonym człowiekiem twarzą w twarz, na przykład w parku albo w kawiarni. Musisz pamiętać, że ona zbliża się do dziewięćdziesiątki. Wie o komputerach, ale nie bardzo się orientuje w ich praktycznym zastosowaniu. Ollie opowiedziała jej o czatach... albo próbowała... ale nie wiem, ile mama zrozumiała. Pamięta tylko, że Ollie mówiła, że rozmawia z tym bardzo nie zrównoważonym człowiekiem pod niebieskim parasolem.

– Czy twoja matka skojarzyła tego człowieka z ukradzionym mercedesem i zabójstwami w City Center?

– Nigdy nic takiego nie powiedziała. Jej krótkoterminowa pamięć mocno szwankuje. Jeśli ją zapytasz o japońskie bombardowanie Pearl Harbor, powie ci dokładnie, kiedy usłyszała o tym przez radio i pewnie jak się nazywał spiker. Zapytaj, co jadła na śniadanie albo gdzie teraz jest...

– Janey wzruszyła ramionami. – Powie ci albo nie.

– A gdzie ona teraz jest?

– W ośrodku o nazwie Sunny Acres, niespełna pięćdziesiąt kilometrów stąd. – Śmieje się bez wesołości. – Ile razy słyszę tę nazwę, zawsze przypominają mi się te stare melodramaty na Turner Classic Movies, w których głównej bohaterce wmawiają szaleństwo i zamykają ją w jakimś okropnym domu wariatów.

Odwraca się, żeby spojrzeć na jezioro. Jej twarz przybrała wyraz, który Hodges uznaje za interesujący: trochę zamyślony, trochę obronny. Im dłużej na nią patrzy, tym bardziej ona mu się podoba. Cieniutkie zmarszczki wokół oczu sugerują, że ta kobieta lubi się śmiać.

– Wiem, kim byłabym w takim starym filmie – podejmuje Janey, wciąż patrząc na żaglówki śmigające po wodzie. – Przebiegłą siostrą, która dziedziczy opiekę nad matką staruszką razem z kupą pieniędzy. Okrutną siostrą, która zatrzymuje pieniądze, ale wysyła starą matkę do koszmarne go ośrodka, gdzie starzy ludzie dostają na obiad karmę dla psów i przez całą noc leżą we własnych odchodach. Ale Sunny takie nie jest. W rzeczywistości jest bardzo ładne. I nie tanie. A mama chciała tam pojechać.

– Taa?

– Taa – przedrzeźnia go, lekko marszcząc nos. – Pamiętasz może jej pielęgniarkę? Pani Greene. Althea Greene.

Hodges przyłapuje się na sięganiu do kieszeni, żeby sprawdzić w notesie, którego już nie nosi. Ale po chwili namysłu nawet bez notesu przypomina sobie pielęgniarkę. Wysoka, dostojna kobieta w bieli, która nie szła, tylko sunęła. Z masą zaondulowanych żelazkiem siwych włosów wyglądała trochę jak Elsa Lanchester w *Narzeczonej Frankensteinie*. On i Pete zapytali, czy zauważyła mercedesa pani Trelawney zaparkowanego przy krawężniku, kiedy wychodziła tamtego czwartkowego wieczoru. Odpowiedziała, że jest całkiem pewna, że zauważyła, co dla zespołu Hodgesa i Huntleya oznaczało, że wcale nie była pewna.

– Tak, pamiętam ją.

– Oznajmiła, że odchodzi na emeryturę, prawie od razu, jak tylko się przenieśli z Los Angeles. Powiedziała, że w wieku sześćdziesięciu czterech lat nie czuje się już na siłach, żeby kompetentnie opiekować się pacjentką cierpiącą na takie poważne upośledzenia, i nie odstąpiła od tego, nawet kiedy zaproponowałam, że zatrudnię dla niej pomocnicę... dwie, jeśli zechce. Myślę, że przestraszyła się rozgłosu po masakrze w City Center, ale gdyby tylko o to chodziło, mogłaby zostać.

– Samobójstwo twojej siostry było kroplą, która przepełniła czarę.

– Tak uważam. Nie powiedziałabym, że Althea i Ollie były kumpelami od serca ani nic takiego, ale dogadywały się i razem opiekowały się mamą. Teraz Sunny to najlepsze rozwiązanie dla mamy i ona przyjmuje to z ulgą. Przynajmniej w swoje dobre dni. Ja też. Przede wszystkim skuteczniej uśmierzają jej ból.

– Gdybym tam pojechał z nią porozmawiać...

– Może pamiętać kilka rzeczy albo nie. – Janey odwraca się od okna i patrzy prosto na niego. – Przyjmiesz to zlecenie? Sprawdziłam w sieci stawki prywatnych detektywów i gotowa jestem zapłacić znacznie więcej. Pięć tysięcy dolarów tygodniowo plus wydatki. Minimum osiem tygodni.

Czterdzieści tysięcy za osiem tygodni pracy, zachwyca się Hodges. Może jednak byłby z niego drugi Philip Marlowe. Widzi siebie w obskurnym dwupokojowym biurze wychodzącym na korytarz drugiego piętra w tanim biurowcu. Z wystrzałową recepcjonistką imieniem Lola lub Velma. Oczywiście blondynka o ciętym języku. W deszczowe dni nosiłby trenz i brązowy kapelusz fedorę, nasunięty na jedną brew.

Śmieszne. I nie to go pociąga. Najważniejsze, żeby nie siedzieć w La-Z-Boyu, oglądając sędzinę i napychając się słodyczami. Poza tym lubi nosić garnitur. Ale jest coś jeszcze. Odszedł z policji, pozostawiwszy niedopięte sprawy. Pete zidentyfikował uzbrojonego rabusia lombardów i razem z Isabelle Jaynes wkrótce chyba aresztują Donalda Davisa, załganego drania, który zabił żonę, a potem wystąpił w telewizji z uśmiechem na przystojnej twarzy. To dobrze dla Pete'a i Izzy, jednak ani Davis, ani rabuś lombardów nie stanowią głównej wygranej.

Poza tym, myśli, Pan Mercedes powinien być zostawić mnie w spokoju. I panią T. Ją też powinien być zostawić w spokoju.

– Bill? – Janey strzela palcami niczym hipnotyzer na scenie, budzący podmiot z transu. – Jesteś tam, Bill?

Znowu skupia na niej uwagę, na kobiecie po czterdziestce, która nie boi się siedzieć w pełnym słońcu.

– Jeśli się zgodzę, zatrudnisz mnie jako konsultanta ochrony.

Wydaje się rozbawiona.

– Jak ci faceci, którzy pracują w Czujnej Straży w Sugar Heights?

– Nie, nie jak oni. Po pierwsze, oni mają licencję. Ja nie. – Nigdy nie potrzebowałem, myśli. – Byłbym zwykłym prywatnym ochroniarzem, jak ci faceci, którzy pracują w nocnych klubach w śródmieściu. Niestety, nie będziesz mogła tego odpisać od podatku.

Janey uśmiecha się i znowu marszczy nos. Hodges uważa, że to naprawdę uroczy widok.

– Wszystko jedno. W razie gdybyś nie wiedział, mam mnóstwo kasy.

– Chodzi mi o całkowitą jawność, Janey. Nie mam licencji prywatnego detektywa, co mnie nie powstrzyma od zadawania pytań, ale czy sobie poradzę bez odznaki i bez licencji, to się dopiero okaże. To jak żądać od ślepeca, żeby spacerował po mieście bez psa przewodnika.

– Na pewno nadal masz znajomych w policji.

– Mam, ale gdybym poprosił ich o pomoc w tej sprawie, postawiłbym ich i siebie

w niezręcznej sytuacji. – Wprawdzie już to zrobił, wyciągając informacje z Pete'a, ale nie zamierza się jej do tego przyznawać na tak wczesnym etapie znajomości.

Bierze list, który mu pokazała Janey.

– Przede wszystkim będę winny zatajania dowodów, jeśli zgodzę się zatrzymać to między nami. – Wprawdzie zataił już podobny list, ale tego też nie musi jej mówić. – Przynajmniej technicznie biorąc. A zatajenie to przestępstwo.

Ona wydaje się skonsternowana.

– O mój Boże, nie pomyślałam o tym.

– Z drugiej strony wątpię, czy laboratorium dużo by z tego uzyskało. List wrzucony do skrzynki pocztowej na Marlborough Street albo Lowbriar Avenue to jedna z najbardziej anonimowych rzeczy na świecie. Dawno temu... dobrze to pamiętam... można było dopasować czcionkę listu do maszyny, na której go napisano. To znaczy jeśli się znalazło maszynę. Metoda równie dobra jak porównywanie odcisków palców.

– Ale tego nie napisano na maszynie.

– Właśnie. Drukarka laserowa. Czyli żadnych opadających „A” czy przekrzywionych „T”. Więc nie zataję zbyt wiele.

Oczywiście zatajenie to wciąż zatajenie, jednak on tego nie mówi.

– Wezmę tę robotę, Janey, ale pięć tysięcy na tydzień to przesadzona kwota. Przyjmę czek na dwa, jeśli go wypiszesz. I przedstawię rachunki na pokrycie wydatków.

– Wcale nie uważam, że to wystarczy.

– Jeśli do czegoś dojdę, pogadamy o premii.

Ale raczej nie przyjmie premii, nawet gdyby mu się udało przygwoździć Pana Mercedesa. Nie w sytuacji, kiedy tu przyszedł już zdecydowany wysledzić tego drania i namówić ją, żeby mu pomogła.

– No dobrze. Zgoda. I dziękuję.

– Proszę bardzo. Teraz opowiedz mi o swoich stosunkach z Olivią. Wiem tylko, że były na tyle dobre, że nazywasz ją Ollie, a przydałoby mi się więcej informacji.

– To zabierze trochę czasu. Masz ochotę na jeszcze jedną kawę? I do tego ciastko? Mam kruche ciasteczka cytrynowe.

Hodges odpowiada twierdząco na obie propozycje.

– Ollie.

Po tym słowie Janey milczy dostatecznie długo, żeby Hodges zdążył wypić połowę kubka świeżej kawy i zjeść ciastko. Potem znowu odwraca się do okna i żagłówek, zakłada nogę na nogę i mówi, nie patrząc na niego:

– Kochałeś kiedyś kogoś, ale go nie lubiłeś?

Hodges myśli o Corinne i burzliwych osiemnastu miesiącach poprzedzających ostateczne zerwanie.

– Tak.

– Więc zrozumiesz. Ollie była moją siostrą, starszą o osiem lat. Kochałam ją, ale kiedy wyjechała na studia, byłam najszcześliwszą dziewczynką w Ameryce. A kiedy rzuciła studia po trzech miesiącach i przedziwnie wróciła do domu, poczułam się jak znużony tragarz, który znowu musi dźwignąć worek cegieł, odłożony na jakiś czas. Nie zachowywała się złośliwie, nigdy mnie nie przezywała ani nie ciągnęła za kucyki, ani nie wyśmiewała, kiedy wracałam do domu ze szkoły podstawowej, trzymając się za rękę z Markym Sullivanem, ale kiedy ona była w domu, zawsze trwał Alarm Żółty. Rozumiesz?

Hodges nie jest pewien, ale kiwa głową.

– Od jedzenia bolał ją żołądek. Dostawała wysypki, kiedy się czymś zdenerwowała... najgorsze były rozmowy o pracę, chociaż w końcu dostała posadę sekretarki. Miała wysokie kwalifikacje i była bardzo ładna. Wiedziałeś?

Hodges wydaje niezobowiązujący pomruk. Gdyby miał odpowiedzieć szczerze, powiedziałby: Wierzę, bo widzę ciebie. Ale Janey Patterson mogłaby go źle zrozumieć.

– Raz zgodziła się zabrać mnie na koncert. U2, szalałam za nimi i marzyłam, żeby ich zobaczyć. Ollie też ich lubiła, ale w wieczór koncertu zaczęła wymiotować. Tak gwałtownie, że w końcu rodzice zawieźli ją na pogotowie, a ja musiałam zostać w domu i oglądać telewizję, zamiast pogować i wrzeszczeć do Bono. Ollie przysięgała, że to zatrucie pokarmowe, ale wszyscy jedliśmy ten sam posiłek i nikt nie zachorował. To był stres. Czysty stres. Mówimy o hipochondrii? U mojej siostry każdy ból głowy to był guz mózgu, każdy pryszcz to rak skóry. Kiedyś dostała zapalenia spojówek i przez tydzień wierzyła, że oślepie. A jej okresy... horror. Kładła się do łóżka, dopóki nie minęły.

– I utrzymała posadę?

Janey odpowiada głosem suchym jak Dolina Śmierci:

– Okresy Ollie zawsze trwały dokładnie czterdzieści osiem godzin i zawsze wypadały w weekendy. To było niesamowite.

– Och. – Hodges nie potrafi wymyślić żadnej innej odpowiedzi.

Janey czubkiem palca obraca kilkakrotnie list na stoliku, potem podnosi jasnyniebieskie oczy na Hodgesa.

– On używa tam takiego zwrotu... coś o nerwowych tikach. Zauważyłeś?

– Tak. – Zauważył wiele rzeczy w tym liście, głównie to, że pod wieloma względami stanowił negatywowe odbicie listu, który sam otrzymał.

– Moja siostra też je miała. Mogłeś kilka zauważyć.

Hodges przesuwając krawat najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Janey szczerzy zęby.

– Tak, to jeden z nich. Miała wiele innych. Poklepywanie włączników światła, żeby się upewnić, że są wyłączone. Wyjmowanie wtyczki tostera z kontaktu po śniadaniu. Zawsze, zanim gdzieś wyszła, musiała chwilę posiedzieć, bo wtedy podobno o niczym się nie zapomniała.

Pamiętam, jak któregoś dnia miała mnie odwieźć do szkoły, bo spóźniłam się na autobus. Mama

i tata już pojechali do pracy. W połowie drogi Ollie doszła do przekonania, że nie wyłączyła kuchenki. Musiałyśmy wrócić i sprawdzić. Nic innego nie wchodziło w grę. Oczywiście była wyłączona. Dotarłam do szkoły dopiero na drugą lekcję i po raz pierwszy i ostatni musiałam zostać za karę dłużej. Byłam wściekła. Często się na nią wściekałam, ale ją kochałam. Mama, tata, wszyscy ją kochaliśmy. Jakbyśmy to mieli zakodowane. Ale, o rany, ciężki był z niej wór cegieł.

– Zbyt nerwowa, żeby normalnie żyć, ale wyszła za męża, i to bogato.

– Właściwie wyszła za przedwcześnie łysiejącego urzędnika w firmie inwestycyjnej, w której pracowała. Kent Trelawney. Nerd... mówię tak przez sympatię, Kent był absolutnie w porządku... Uwielbiał gry wideo. Zaczął inwestować w firmy, które je produkowały, i te inwestycje się opłaciły. Moja matka mówiła, że on ma szczęśliwą rękę, a ojciec, że głupi zawsze ma szczęście, ale oboje się mylili. On po prostu znał tę dziedzinę, a czego nie wiedział, tego musiał się nauczyć. Kiedy się pobrali pod koniec lat siedemdziesiątych, byli tylko zamożni. Potem Kent odkrył Microsoft.

Odrzuca głowę do tyłu i wybucha serdecznym śmiechem, zaskakując Hodgesa.

– Przepraszam – mówi. – Pomyślałam tylko o czystej amerykańskiej ironii tego wszystkiego. Ja byłam ładna i towarzyska, nie miałam żadnych dziwactw. Gdybym kiedyś wystąpiła w konkursie piękności... które nazywam pokazami mięcha dla samców, jeśli chcesz wiedzieć, a pewnie nie chcesz... wygrałabym tytuł Miss Popularności z palcem w nosie. Mnóstwo przyjaciółek, mnóstwo chłopaków, mnóstwo telefonów i randek. W ostatniej klasie katolickiego liceum kierowałam wprowadzaniem nowych uczniów i wykonywałam świetną robotę, jeśli sama mogę tak powiedzieć. Ukoiliam wiele nerwów. Moja siostra była równie ładna, ale neurotyczna. Typ obsesyjno-kompulsywny. Gdyby wystąpiła w konkursie piękności, obrzygałaby sobie cały kostium kąpielowy.

Janey śmieje się jeszcze przez chwilę. Następna łza spływa po jej policzku. Wyciera ją grzbietem dłoni.

– Więc na tym polega ironia. Miss Popularności wylądowała z przyglupem kokainistą, a Miss Nerwów złapała dobrego męża, wiernego, zarabiającego pieniądze. Rozumiesz?

– Taa – odpowiada Hodges. – Rozumiem.

– Olivia Wharton i Kent Trelawney. Konkurent, który miał tyle szans na sukces co sześciomiesięczny wcześniak. Ciągłe ją zapraszał na randkę, a ona ciągle odmawiała. W końcu zgodziła się pójść z nim na kolację... żeby wreszcie przestał ją męczyć, powiedziała... ale kiedy przyjechali do restauracji, zamarła. Nie mogła wysiąść z samochodu. Drżała jak osika. Niektórzy faceci od razu daliby sobie spokój, ale nie Kent. Zabrał ją do McDonalda i zamówił najtańszy zestaw do samochodu. Zjedli na parkingu. Chyba często tak robili. Chodziła z nim do kina, ale zawsze musiała siedzieć przy przejściu. Twierdziła, że się dusi, kiedy siedzi w głębi.

– Nieźle zakręcona.

– Matka i ojciec przez lata próbowali ją namówić na wizytę u psychologa. Dopiero Kentowi się udało. Psycholog zapisał jej pigułki, które pomogły. Dostała jednego ze swoich słynnych ataków paniki w dniu ślubu... to ja trzymałam jej welon, kiedy wymiotowała w kościelnej łazience... ale przemogła to. – Janey uśmiecha się tęsknie i dodaje: – Była z niej piękna panna młoda.

Hodges siedzi cicho, zafascynowany tym wizerunkiem Olivii Trelawney, zanim stała się Naszą Panią od Łódkowych Dekoltów.

– Po jej ślubie oddaliłyśmy się od siebie. Z siostrami czasem tak bywa. Zanim umarł ojciec, spotykałyśmy się zaledwie kilka razy do roku, potem nawet rzadziej.

– Dziękczynienie, Boże Narodzenie i Czwarty Lipca?

– Mniej więcej. Widziałam, że trochę dawnych fobii wraca, a po śmierci Kenta... zmarł na atak serca... wszystko wróciło. Straciła na wadze całe tony. Znowu zaczęła nosić koszarne ciuchy z czasów liceum i pracy w biurze. Widziałam to, kiedy odwiedzałam ją i mamę, widziałam, kiedy gadałyśmy przez Skype'a.

Hodges kiwa głową ze zrozumieniem.

– Mam przyjaciela, który ciągle próbuje mnie do tego podłączyć.

Ona spogląda na niego z uśmiechem.

– Jesteś staroświecki, co? Naprawdę staroświecki. – Uśmiech gaśnie. – Ostatni raz widziałam Ollie w maju zeszłego roku, niedługo po tym wydarzeniu w City Center. – Janey waha się, potem używa właściwego słowa. – Po tej masakrze. Była w okropnym stanie. Mówiła, że gliny ją nękają. Czy to prawda?

– Nie, ale ona tak uważała. To prawda, że wielokrotnie ją przesłuchiwałam, bo upierała się, że zabrała kluczyk i zamknęła mercedesa. To nam nie pasowało, bo do samochodu nikt się nie włamał i nie spiął przewodów. Kiedy wreszcie uznaliśmy... – Hodges urywa, myśląc o tłustym rodzinnym psychologu, który występuje zawsze w dni powszednie o czwartej. Tym, który się specjalizuje w przełamaniu ściany zaprzeczenia.

– Wreszcie uznaliście, że co?

– Że ona nie jest w stanie znieść prawdy. Czy to podobne do siostry, z którą dorastałaś?

– Tak. – Janey wskazuje na list. – Myślisz, że w końcu powiedziała prawdę temu facetowi? Pod Niebieskim Parasolem Debbie? Myślisz, że dlatego połknęła pigułki mamy?

– Tego nie wiemy. – Ale Hodges myśli, że to całkiem możliwe.

– Przestała brać antydepresanty. – Janey znowu patrzy na jezioro. – Zaprzeczala, kiedy pytałam, ale ja wiedziałam. Nigdy ich nie lubiła, twierdziła, że czuje się po nich otępiała. Brała je dla Kenta, a po śmierci Kenta brała je dla matki, ale po City Center... – Kręci głową, robi głęboki wdech. – Czy wystarczająco opisałam ci jej stan psychiczny, Bill? Bo jest dużo więcej, gdybyś chciał.

– Chyba mam już obraz.

Janey kręci głową z tępym zdziwieniem.

– Zupełnie jakby ten facet ją znał.

Hodges nie mówi na głos tego, co wydaje mu się oczywiste, głównie dlatego, że dysponuje własnym listem do porównania: znał. W jakiś sposób znał.

– Wspomniałaś, że była typem obsesyjno-kompulsywnym. Do tego stopnia, że wracała sprawdzić, czy kuchenka jest wyłączona.

– Tak.

– Twoim zdaniem to prawdopodobne, żeby taka osoba zapomniała wyjąć kluczyk ze stacyjki?

Janey milczy przez długi czas. Wreszcie odpowiada:

– Raczej nie.

Hodgesowi też się tak wydaje. Oczywiście zawsze jest ten pierwszy raz, ale... czy w ogóle omawiali z Pete'em ten aspekt sprawy? Nie jest pewien, chyba tak. Tylko że wtedy nie znali głębi problemów psychicznych pani T., prawda?

– Próbowalaś kiedyś sama wejść na tę witrynę Pod Niebieskim Parasolem? Używając nazwy użytkownika, którą jej podał?

Na chwilę odebrało jej mowę.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy, a nawet gdyby, za bardzo bałabym się tego, co tam mogę znaleźć. Pewnie dlatego ty jesteś detektywem, a ja klientką. Zrobisz to?

– Nie wiem, co zrobić. Muszę o tym pomyśleć i muszę się poradzić faceta, który zna się

na komputerach lepiej ode mnie.

– Nie zapomnij doliczyć jego wynagrodzenia – uprzedza Janey.

Hodges obiecuje, że nie zapomni, myśląc, że przynajmniej Jerome Robinson trochę na tym skorzysta, bez względu na wynik. Dlaczego nie? Osiem osób zginęło w City Center, kolejne trzy do końca życia będą kalekami, ale to nie zmienia faktu, że Jerome musi iść na studia. Hodges przypomina sobie stare porzekadło, że nawet w pochmurny dzień dla kogoś świeci słońce.

– Co dalej?

Hodges bierze list i wstaje.

– Zaniosę to do najbliższego punktu ksero. Potem zwrócę ci oryginał.

– Nie ma potrzeby. Zeskanuję to na komputer i wydrukuję ci kopię. Oddaj.

– Naprawdę? Możesz tak zrobić?

Oczy ma wciąż zaczerwienione od płaczu, ale rzuca mu spojrzenie pełne wesołości.

– To dobrze, że masz na zawołanie specja od komputerów – mówi. – Zaraz wracam.

Tymczasem zjedz jeszcze ciastko.

Hodges zjada trzy.

Janey wraca z kopią listu, którą Hodges składa i chowa do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Oryginał powinnaś trzymać w sejfie, jeśli tu jest sejf.

– Jest w domu w Sugar Heights... wystarczy?

Pewnie tak, ale Hodgesowi nie podoba się ten pomysł. Zbyt wielu potencjalnych nabywców się tam kręci. Może to głupie, ale jednak.

– Czy masz skrytkę bankową?

– Nie, ale mogę wynająć. Skorzystam z Bank of America, dwie przecznice dalej.

– To mi bardziej odpowiada – mówi Hodges, kierując się do drzwi.

– Dziękuję, że to robisz. – Janey wyciąga obie ręce, jakby poprosił ją do tańca. – Nawet nie wiesz, jaka to ulga.

Ujmuje wyciągnięte ręce, ścisną lekko, potem wypuszcza, chociaż chętnie pottrzymałby je dłużej.

– Jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze, twoja matka. Jak często ją odwiedzasz?

– Co drugi dzień, mniej więcej. Czasami zawożę jej jedzenie z irańskiej restauracji, którą lubiły z Ollie... personel kuchni w Sunny Acres chętnie je podgrzewa... a czasami przywożę jeden czy dwa filmy na DVD. Ona lubi starocie, na przykład z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers. Zawsze jej coś przynoszę, a ona zawsze chętnie mnie widzi. W swoje dobre dni naprawdę mnie widzi. W gorsze dni czasem nazywa mnie Olivią. Albo Charlotte. To moja ciotka. Mam też wujka.

– Następnym razem, kiedy będzie miała dobry dzień, zadzwoń do mnie, żebym mógł ją odwiedzić.

– Zgoda. Może pojedę z tobą. Jaka jest druga sprawa?

– Ten adwokat, o którym wspomniałaś. Schron. Czy wydał ci się kompetentny?

– Ostry jak brzytwa, takie odniosłam wrażenie.

– Jeśli rzeczywiście coś znajdę, może nawet odkryję nazwisko tego faceta, będziemy kogoś takiego potrzebować. Spotkamy się z nim, prześlemy listy...

– Listy? Znalazłam tylko jeden.

Cholera, myśli Hodges i poprawia się:

– To znaczy list i kopię.

– Aha.

– Jeśli znajdę tego faceta, do policji należy aresztowanie go i oskarżenie. Zadaniem Schrona jest dopilnowanie, żeby nas też nie aresztowali za przekroczenie granic i śledztwo na własną rękę.

– To prawo kryminalne, prawda? Nie wiem, czy on się tym zajmuje.

– Raczej nie, ale jeśli jest dobry, zna kogoś, kto się tym zajmuje. Kogoś równie dobrego jak on. Czy to uzgodniłmy? To konieczne. Chętnie poweszę dookoła, ale jeśli zrobi się z tego sprawa dla policji, pozwolimy im wkroczyć.

– Nie mam nic przeciwko – mówi Janey. Potem staje na palcach, kładzie ręce na ramionach jego przyciasnej marynarki i całuje go w policzek. – Myślę, że dobry z ciebie człowiek, Bill. I odpowiedni do tego zadania.

Czuje ten pocałunek przez cały czas, kiedy zjeżdża windą. Małe, ciepłe, błogie miejsce. Cieszy się, że zadał sobie trud, żeby się ogolić, zanim wyszedł z domu.

Srebrny deszcz pada bez końca, ale młoda para – kochankowie? przyjaciele? – jest bezpieczna i sucha pod niebieskim parasolem, który należy do kogoś, prawdopodobnie fikcyjnej osoby, imieniem Debbie. Tym razem Hodges zauważa, że to chłopiec wydaje się mówić, a dziewczyna ma lekko rozszerzone oczy, jakby ze zdumienia. Może właśnie jej się oświadczył?

Jerome przekłupa balon tych romantycznych wyobrażeń.

– Wygląda jak witryna porno, nie?

– A co taki młody przyszły student może wiedzieć o witrynach porno?

Siedzą razem w gabinecie Hodgesa, patrząc na stronę startową Niebieskiego Parasola. Odell, irlandzki seter Jerome'a, leży na grzbiecie za nimi, rozłożył tylne łapy, wywiesił język z boku pyska, wpatrzony w sufit z miną wyrażającą dobroduszną kontemplację. Jerome przyprowadził go na smyczy, ale tylko dlatego, że takie są przepisy w granicach miasta. Odell jest dostatecznie mądry, żeby nie wchodzić na jezdnię, i całkiem niegroźny dla przechodniów.

– Wiem tyle, co pan i każdy, kto ma komputer – odpowiada Jerome. W spodniach khaki i zapinanej koszulce z emblematem Ivy League, z krótko ściętymi kręconymi włosami przypomina Hodgesowi młodego Baracka Obamę, tylko wyższego. Jerome ma sto dziewięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu. Roztacza wokół siebie słaby, przyjemnie nostalgiczny aromat Old Spice'a. – Stron porno jest więcej niż much na ścierwie. Surfując po sieci, ciągle się na nie wpada. A te z niewinnymi nazwami zwykle są najbardziej naładowane.

– Naładowane czym?

– Zdjęciami, za które można siedzieć.

– Chodzi ci o dziecięce porno?

– Albo porno z torturami. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego gówna z pejcami i kajdanami jest udawana. Pozostały jeden procent... – Jerome wzrusza ramionami.

– A ty skąd to wiesz?

Jerome rzuca mu spojrzenie – uczciwe, szczerze i otwarte. Nie udaje, on już taki jest i właśnie to Hodges lubi najbardziej. Jego ojciec i matka są tacy sami. Nawet mała siostrzyczka.

– Panie Hodges, wszyscy wiedzą. To znaczy wszyscy poniżej trzydziestki.

– Dawniej ludzie mówili: nigdy nie ufaj nikomu po trzydziestce.

Jerome uśmiecha się.

– Ufam im, ale ogromna większość nie ma pojęcia o komputerach. Masakrują swoje maszyny, a potem oczekują od nich, że będą działać. Otwierają na żywca załączniki do poczty. Wchodzą na takie strony i natychmiast ich komputery zachowują się jak HAL dziewięć tysięcy i zaczynają ściągać zdjęcia nastoletnich pańienek do towarzystwa albo filmy, na których terroryści odrabują ludziom głowy.

Hodges chce już zapytać, co to jest HAL 9000 – dla niego to brzmi jak znak gangu – ale wzmianka o filmach zamieszczanych przez terrorystów przyciąga jego uwagę.

– To się naprawdę dzieje?

– Zdarzało się. A potem... – Jerome zwija dłoń w pięść i stuka kłykciami w czubek głowy.

– Puk, puk, puk, służba bezpieczeństwa przy drzwiach. – Rozwija pięść, żeby wskazać palcem chłopca i dziewczynę pod niebieskim parasolem. – Z drugiej strony to może być to, na co wygląda, strona czatowa, gdzie nieśmiali ludzie mogą nawiązywać korespondencyjne przyjaźnie. No wie pan, samotne serca. Mnóstwo ludzi szuka miłości, człowieka. Zobaczmy.

Sięga po mysz, ale Hodges chwyta go za nadgarstek. Jerome patrzy pytająco.

– Nie oglądaj tego na moim komputerze – ostrzega Hodges. – Obejrzyj na swoim.

– Gdyby mnie pan uprzedził, żeby przyniósł laptopa...

– Wystarczy, jeśli to zrobisz wieczorem. A jeśli przypadkiem uwolnisz wirusa, który połknie w całości twoją maszynkę, pokrywam koszt nowej.

Jerome spogląda na niego z pobłażliwym rozbawieniem.

– Panie Hodges, mam najlepszy program antywirusowy, jaki można kupić, i drugi w kolejności jako zabezpieczenie. Żaden wirus nie wlezie do mojego kompa.

– Może nie miałyby niszczyć. – Hodges myśli o siostrze pani T. mówiącej: „Zupełnie jakby ten facet ją znał”. – Może miałyby tylko obserwować.

Jerome nie wydaje się zaniepokojony, raczej podekscytowany.

– Jak pan trafił na ten portal, panie Hodges? Już pan nie jest na emeryturze? Czy pan pracuje nad sprawą?

Hodges nigdy nie tęsknił za Pete’em Huntleyem tak rozpaczliwie jak teraz: partner tenisowy, do którego można odbijać teorie i przypuszczenia zamiast kosmatych zielonych piłeczek. Nie wątpi, że Jerome mógłby spełniać tę funkcję, ma bystry umysł i widoczny talent do przeskakiwania kolejnych etapów dedukcji... ale dopiero za rok będzie miał prawo głosować, za cztery lata będzie mógł legalnie kupić alkohol, a jeśli zaangażuje się w śledztwo Hodgesa, może być niebezpiecznie.

– Tylko zajrzyj na tę stronę – prosi Hodges. – Ale wcześniej poszperaj po sieci. Poszukaj czegoś na ich temat. Najbardziej chciałbym wiedzieć...

– ...czy oni mają jakąś przeszłość – wtrąca Jerome, po raz kolejny demonstrując podziwu godną zdolność dedukcji. – To się nazywa przedakcja. Chce pan się upewnić, czy to nie atrapa stworzona tylko dla pana.

– Wiesz – mówi Hodges – powinieneś rzucić robotę u mnie i pracować w jednej z tych firm naprawiających komputery. Na pewno zarobiłbyś dużo więcej kasy. Co mi przypomina, że nie podałeś ceny za tę usługę.

Jerome jest obrażony, ale nie propozycją wynagrodzenia.

– Te firmy są dla geeków, którzy nie potrafią funkcjonować w społeczeństwie. – Sięga za siebie i drapie ciemnorude futro Odella. Pies z zadowoleniem wali ogonem, chociaż pewnie wolałby dostać stek. – Nawet jest taka ekipa, która jeździ volkswagenami garbusami. Same geeki do kwadratu. Discount Electronix... zna ich pan?

– Jasne – odpowiada Hodges, myśląc o ulotce reklamowej, którą otrzymał razem z jadowitym listem.

– Widocznie spodobał im się ten pomysł, bo oferują te same usługi, tylko nazywają to Cyberpatrolem i volkswageny są zielone, nie czarne. I jest *mucho* niezależnych. Poszuka pan w sieci, to znajdzie pan ze dwustu tutaj, w samym mieście. Chyba zostanie przy tyj robocie, massa Hodges.

Jerome wyklikuje się spod Niebieskiego Parasola Debbie z powrotem do wygaszacza ekranu, czyli zdjęcia Allie, kiedy miała pięć lat i jeszcze uważała swojego starego za Boga.

– Ale jeśli pan się martwi, zastosuję środki ostrożności. Mam w szafie starego maca, na którym jest tylko Atari Arcade i kilka innych zapleśniałych staroci. Użyję go, żeby sprawdzić tę witynę.

– Dobry pomysł.

– Mogę dla pana zrobić coś jeszcze?

Hodges chce już zaprzeczyć, ale ukradziony mercedes pani T. wciąż nie daje mu spokoju. Coś tu jest bardzo nie w porządku. Czuł to wtedy i czuje teraz, jeszcze mocniej... tak mocno, że prawie to widzi. Ale „prawie” robi wielką różnicę. Chciałby posłać do kogoś piłeczkę „nie w porządku” i żeby ktoś ją odbił z powrotem.

– Możesz wysłuchać pewnej historii – odpowiada. W głowie układa już zmyśloną fabułę,

która dotyka wszystkich istotnych punktów. Kto wie, może Jerome świeżym okiem dojrzy coś, co jemu umknęło. Mało prawdopodobne, ale możliwe. – Zgodzisz się?

– Jasne.

– Więc weź Odella na smycz. Przejdziemy się do Wielkiej Lizawki. Mam ochotę na lody truskawkowe.

– Może wcześniej spotkamy furgonetkę Pana Smakusia – mówi Jerome. – Ten facet jeździ po okolicy przez cały tydzień i ma trochę pysznych rzeczy.

– Tym lepiej. – Hodges wstaje. – Chodźmy.

Schodzą ze wzgórza do małego centrum handlowego na skrzyżowaniu Harper Road i Hanover Street. Odell drepcze pomiędzy nimi na luźnej smyczy. Widzą zabudowania śródmieścia w odległości trzech kilometrów, City Center i Midwest Culture and Arts Center dominują nad skupiskiem wieżowców. Według Hodgesa MAC nie należy do najświetniejszych dzieł I.M. Peia^[6], choć pewnie nikt się nie liczy z jego opinią w tej kwestii.

– Więc co jest grane? – pyta Jerome.

– No – zaczyna Hodges – powiedzmy, że jest facet, który ma długoletnią przyjaciółkę mieszkającą w śródmieściu. On sam mieszka w Parsonsville. – To miasteczko tuż za Sugar Heights, nie tak luksusowe, ale bynajmniej nie obskurne.

– Niektórzy moi kumple nazywają Parsonsville „Whiteyville”^[7] – mówi Jerome. – Słyszałem, jak ojciec raz tak powiedział, ale mama kazała mu się zamknąć z takim rasistowskim gadaniem.

– Uhum. – Kumple Jerome’a, ci czarni, pewnie nazywają też Sugar Heights „Whiteyville”, więc Hodges myśli, że na razie dobrze mu idzie.

Odell przystanął, żeby obwąchać kwiaty pani Melbourne. Jerome odciąga go, zanim pies tam zostawi pamiętkę.

– W każdym razie – podejmuje Hodges – ta długoletnia przyjaciółka ma apartament w okolicy Branson Park... Wieland Avenue, Branson Street, Lake Avenue, ta dzielnica.

– Też miło.

– Taa. On ją odwiedza trzy albo cztery razy w tygodniu. Raz czy dwa razy na tydzień zabiera ją do kina albo na obiad i zostaje na noc. Wtedy parkuje swój samochód, ładny wóz, bmw, na ulicy, ponieważ to porządna dzielnica, dobrze strzeżona, mnóstwo tych jasnych sodowych łukowych lamp. No i parkowanie jest bezpłatne od siódmej wieczorem do ósmej rano.

– Jakbym miał beemkę, postawiłbym ją w garażu i mniejsza o bezpłatne parkowanie – oświadcza Jerome i znowu ciągnie smycz. – Przestań, Odell, grzeczne psy nie wyjadają z rynsztoków.

Odell ogląda się i przewraca oczami, jakby chciał powiedzieć: Nie masz pojęcia, co robią grzeczne psy.

– No, bogacze mają czasem dziwne pojęcie o oszczędności – tłumaczy Hodges, wspominając wyjaśnienie pani T. na ten sam temat.

– Skoro pan tak mówi.

Prawie dotarli do centrum handlowego. Po drodze słyszeli dzwoniącą melodyjkę furgonetki z lodami, raz całkiem blisko, ale ucichła, kiedy kierowca Pana Smakusia skręcił w osiedle na północ od Harper Road.

– Więc pewnego czwartkowego wieczoru facet jak zwykle odwiedza swoją panią. Parkuje jak zwykle... mnóstwo wolnych miejsc, skoro dzień pracy się skończył... i zamyka samochód jak zwykle. Razem ze swoją panią idą piechotą do pobliskiej restauracji, zjadają smaczną kolację i wracają. Samochód stoi na miejscu, facet go widzi, zanim wejdą do budynku. Spędza noc ze swoją panią, a kiedy rano wychodzi...

– Beemki nie ma, pa, pa.

Stoją teraz przed lodziarnią. W pobliżu jest stojak dla rowerów. Jerome przywiązuje do niego smycz Odella. Pies kładzie się i opiera pysk na jednej łapie.

– Nie – zaprzecza Hodges – jest. – Myśli sobie, że to cholernie dobry wariant tego, co naprawdę się wydarzyło. Prawie sam w to wierzy. – Ale zaparkowana na odwrót, ponieważ stoi po drugiej stronie ulicy.

Jerome unosi brwi.

– Tak, wiem. Dziwne, nie? Więc facet podchodzi do niej. Samochód wygląda okay, jest zamknięty, tak jak właściciel go zostawił, tylko że znajduje się w innym miejscu. Więc facet przede wszystkim szuka kluczyka. Jak się okazuje, kluczyk wciąż jest w kieszeni. Więc co się, u licha, stało, Jerome?

– Nie wiem, panie H. To jak historyjka o Sherlocku Holmesie, nie? Prawdziwy problem na trzy fajki. – Na twarzy Jerome’a gości lekki uśmiezek, którego Hodges nie może do końca rozgryźć i który nie bardzo mu się podoba. To znaczący uśmiezek.

Hodges wygrzebuje portfel z kieszeni lewisów (garnitur był fajny, ale to ulga znowu wskoczyć w dżinsy i bluzę z emblematem drużyny Indians). Wyjmuje piątkę i wręcza Jerome’owi.

– Idź po lody. Ja popilnuję Odella.

– Nie trzeba, on jest grzeczny.

– Na pewno, ale w kolejce będziesz miał czas zastanowić się nad moim małym problemem. Myśl o sobie jak o Sherlocku, to ci pomoże.

– Okay. – Znowu wyskakuje Miastowy Czarnuch. Tylko że to pan być Sherlock! Ja być Watson!

Po drugiej stronie Hanover jest miniaturowy park. Przechodzą przez ulicę na zielonym świetle, zajmują ławkę i patrzą, jak grupka rozkudłanych gimnazjalistów ryzykuje życie i zdrowie na wgłębionej betonowej rampie deskorolkowej. Odell dzieli uwagę pomiędzy chłopców a rożki z lodami.

– Próbowaleś kiedyś tego? – pyta Hodges, ruchem głowy wskazując ryzykantów.

– Nie, panie! – Jerome szeroko otwiera oczy. – Ja być czarny. Ja lubić kosza i bieganie. My, czarne, som bardzo szybkie, jak wszyscy wiązom.

– Chyba ci mówiłem, żebyś zostawiał Czarnucha w domu. – Hodges zgarnia palcem trochę lodów z rożka i wyciąga ociekający palec do Odella, a ten oblizuje go z zapalem.

– Czasem ten chłopak siem zjawia ot tak! – oświadcza Jerome. Potem Czarnuch znika, tak po prostu. – Nie ma żadnego faceta, żadnej przyjaciółki i żadnej beemki. Pan mówi o Zabójcy z Mercedesa.

Tyle z wymyślonej historyjki. Hodges patrzy na Jerome'a z konsternacją i rozbawieniem.

– Powiedzmy, że tak.

– Prowadzi pan własne śledztwo, panie Hodges?

Hodges rozważa to bardzo starannie, potem powtarza:

– Powiedzmy, że tak.

– Czy witryna Pod Niebieskim Parasolem Debbie ma z tym coś wspólnego?

– Powiedzmy, że ma.

Jeden chłopiec spada z deskorolki i wstaje z obtartymi kolanami. Inny podjeżdża do niego, szyderczo wyszczerzony. Pierwszy chłopiec przeciąga ręką po zakrwawionym kolanie, pryska mgiełką czerwonych kropelek na Wyszczerezonego Chłopca, po czym odjeżdża, krzyząc: „AIDS! AIDS!”. Wyszczerezony Chłopiec rusza za nim, tylko że teraz to Roześmiany Chłopiec.

– Barbarzyńcy – mruczy Jerome. Pochyla się, żeby podrapać Odella za uszami, prostuje się. – Jeśli chce pan o tym pogadać...

Zakłopotany Hodges mówi:

– Myślę, że na tym etapie raczej nie...

– Rozumiem – ucina Jerome. – Ale w kolejce rzeczywiście zastanawiałem się nad pana problemem i mam pytanie.

– Tak?

– Gdzie ten wymyślony właściciel beemki miał zapasowy kluczyk?

Hodges siedzi nieruchomo, myśląc, jaki ten dzieciak jest bystry. Potem widzi strużkę różowych lodów ściekającą po boku wafłowego rożka, więc ją zlizuje.

– Powiedzmy, że twierdzi, że nigdy go nie miał.

– Jak ta kobieta, właścicielka mercedesa.

– Tak. Właśnie tak.

– Mówiłem panu, że moja mama wkurzyła się na tatę za nazywanie Parsonsville „Whiteyville”...

– Aha.

– Chce pan posłuchać, jak tata się wkurzył na mamę? Tylko ten jeden raz słyszałem, jak powiedział: „Typowo kobiece”.

– Jeśli to ma związek z moim małym problemem, nawijaj.

– Mama ma chevroleta malibu. Czerwone jabłuszko. Widział go pan na podjeździe.

– Jasne.

– Kupił go dla niej nowego trzy lata temu i dał w prezencie na urodziny, wywołując

ogromny pisk radości.

Tak, myśli Hodges, Miastowy Czarnuch zdecydowanie się wyniósł.

– Jeździła nim przez rok. Bez problemów. Potem trzeba go ponownie zarejestrować. Tata mówi, że załatwi to dla niej po drodze z pracy do domu. Wychodzi po dokumenty wozu, potem wraca z podjazdu, niosąc kluczyk. Nie jest wściekły, tylko zirytowany. Mówi jej, że jeśli zostawia zapasowy kluczyk w wozie, ktoś go znajdzie i odjedzie. Ona pyta, gdzie był ten kluczyk. On mówi, że w plastikowej torebeczce ze strunowym zapięciem, razem z kartą rejestracyjną, ubezpieczeniem i instrukcją, których nigdy nie otwarła. Jeszcze owinięte papierową taśmą z napisem: „Dziękujemy za zakup Twojego nowego samochodu w Lake Chevrolet”.

Kolejna strużka s pływa z rożka Hodgesa. Tym razem jej nie zauważa, nawet kiedy różowa wilgoć dociera do ręki i tworzy niewielką kałużę.

– W...

– Schowku, tak. Tata powiedział, że to niedbalstwo, a mama... – Jerome pochyła się do przodu, wbija spojrzenie brązowych oczu w szare oczy Hodgesa. – Twierdziła, że wcale nie wiedziała, że tam są. To wtedy tato powiedział, że to typowo kobiece. Co jej nie zachwyliło.

– Ja myślę. – Wszystkie kółka w mózgu Hodgesa obracają się z pełną szybkością.

– Tata mówi: „Skarbie, wystarczy, że raz zapomnisz i zostawisz samochód otwarty. Jakiś ćpun będzie przechodził, zobaczy podniesione przyciski i postanowi zajrzeć, na wypadek gdyby coś warto było ukraść. Sprawdza, czy w schowku nie ma pieniędzy, widzi kluczyk w plastikowej torebce i odjeżdża poszukać kogoś, kto chce kupić malibu z małym przebiegiem za gotówkę”.

– Co na to twoja matka?

Jerome szczerzy zęby.

– Po pierwsze, odwróciła kota ogonem. Nikt nie jest w tym lepszy od mojej mamy. Mówi: „To ty kupiłeś ten samochód i ty go przyprowadziłeś do domu. Powinieneś być mi powiedzieć”. Jem śniadanie, kiedy oni prowadzą tę małą dyskusję, i mam ochotę wtrącić: „Mamo, gdybyś kiedyś zajrzała do instrukcji, chociażby po to, żeby zobaczyć, co znaczą te wszystkie śliczne światełka na desce rozdzielczej...”, ale trzymam język za zębami. Mama i tata rzadko się sprzecyają, ale jak już zaczną, lepiej trzymać się z daleka. Nawet Babster to wie, a ona ma dopiero dziewięć lat.

Hodges przypomina sobie, że kiedy on i Corinne byli małżeństwem, Alison też to wiedziała.

– Po drugie, oświadczyła, że nigdy – Jerome podkreśla to słowo – nie zapomina zamknąć samochodu. O ile wiem, to prawda. W każdym razie kluczyk wisi teraz na haczyku w kuchni. Bezpieczny i pod ręką, gdyby pierwszy kiedyś się zgubił.

Hodges siedzi i patrzy na deskorolkowców, ale ich nie widzi. Myśli, że mama Jerome’a miała trochę racji, zgłaszając pretensje do męża, że powinien albo jej wręczyć zapasowy kluczyk, albo przynajmniej jej o nim powiedzieć. Nie ma powodu zakładać, że ludzie sami przeprowadzą inwentaryzację i wszystko znajdą. Ale przypadek Olivii Trelawney jest inny. Kupiła samochód dla siebie i powinna była wiedzieć.

Tylko że sprzedawca pewnie zasypał ją informacjami o nowym kosztownym nabytku, jak to oni mają w zwyczaju. Kiedy zmieniać olej, jak używać ogranicznika prędkości, jak korzystać z GPS-u, niech pani nie zapomni schować zapasowego kluczyka w bezpieczne miejsce, tutaj się podłącza telefon komórkowy, to jest numer do pomocy drogowej, gdyby pani potrzebowała, proszę przesunąć przełącznik światła w lewo do samego końca, żeby włączyć światła pozycyjne.

Hodges pamięta, jak kupił swój pierwszy nowy samochód i słuchał jednym uchem wykładu sprzedawcy – uhum, tak, jasne, rozumiem – nie mogąc się doczekać, żeby wyjechać nowym nabytkiem na drogę, cieszyć się gładką jazdą i wdychać ten niepowtarzalny zapach

nowego samochodu, który dla kupującego oznacza aromat dobrze wydanych pieniędzy. Ale pani T. była typem obsesyjno-kompulsywnym. Mógł uwierzyć, że przeoczyła zapasowy kluczyk i zostawiła go w schowku, ale jeśli tamtego czwartkowego wieczoru zabrała ze sobą pierwszy kluczyk, czy nie zamknęłaby także drzwi? Twierdziła, że zamknęła, upierała się przy tym do samego końca i naprawdę, jak się zastanowić...

– Panie Hodges?

– Z tymi nowymi inteligentnymi kluczykami to prosty trzystopniowy proces, prawda? – mówi. – Krok pierwszy, wyłączasz silnik. Krok drugi, wyjmujesz kluczyk z zapłonu. Jeśli myślisz o czymś innym i zapomniałeś go wyjąć, przypomina ci o tym sygnał. Krok trzeci, zamykasz drzwi i naciskasz guzik z symbolem kłódki. Dlaczego miałbyś o tym zapomnieć, skoro trzymasz kluczyk w ręku? Zabezpieczenie Przeciwkradzieżowe dla Kretynów.

– Słusznie, panie Hodges, ale niektórzy kretyni i tak zapominają.

Hodges jest zbyt zaabsorbowany, żeby pamiętać o dyskrecji.

– Nie była kretynką. Nerwowa i roztrzęsiona, ale nie głupia. Gdyby zabrała kluczyk, prawie muszę uwierzyć, że zamknęła samochód. A nie było włamania. Więc nawet jeśli zostawiła zapasowy w schowku na rękawiczki, jak ten facet się do niego dostał?

– Więc mamy tajemnicę zamkniętego samochodu zamiast tajemnicy zamkniętego pokoju. Problem na cztery fajki!

Hodges nie odpowiada. Odtwarza to w kółko i w kółko. Teraz wydaje się oczywiste, że zapasowy kluczyk mógł być w schowku, ale czy on lub Pete w ogóle uwzględnili tę możliwość? Prawie na pewno nie. Bo myśleli jak mężczyźni? Albo byli wkurzeni na niedbalstwo pani T. i chcieli jej przypisać winę? Bo to była jej wina, prawda?

Nie, jeśli naprawdę zamknęła samochód, myśli.

– Panie Hodges, co ten Niebieski Parasol ma wspólnego z Zabójcą z Mercedesa?

Hodges wraca z wnętrza własnej głowy. To długa podróż, bo zapuścił się głęboko.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać, Jerome.

– Ale ja mógłbym pomóc!

Chyba nigdy nie widział Jerome'a równie przejętego. Może raz, kiedy drużyna krasomównów, której był kapitanem w drugiej klasie, wygrała miejskie zawody.

– Pomożesz, jeśli sprawdzisz tę witrynę – mówi Hodges.

– Nie chce pan mi powiedzieć, bo jestem nieletni. Dlatego, prawda?

Częściowo dlatego, ale Hodges nie zamierza się do tego przyznawać. I tak się składa, że jest coś jeszcze.

– To bardziej skomplikowane. Nie jestem już gliną, a prowadzenie śledztwa w sprawie City Center zbliża się do granicy praworządności. Jeśli coś wykryję i nie przekażę mojemu dawnemu partnerowi, który obecnie prowadzi sprawę Zabójcy z Mercedesa, przekroczę tę granicę. Ty masz przed sobą świetlaną przyszłość, włącznie z każdą uczelnią, którą postanowisz zaszczyścić swoją obecnością. Co bym powiedział twoim rodzicom, gdybyś został wciągnięty w moje dochodzenie, może jako współnik?

Jerome siedzi cicho i przetrawia te słowa. Potem daje resztkę swojego rożka Odellowi, który przyjmuje ją skwapliwie.

– Załapałem.

– Naprawdę?

– Tak.

Jerome wstaje i Hodges też się podnosi.

– Nadal jesteśmy przyjaciółmi?

– Jasne. Ale jeśli pan dojdzie do wniosku, że mogę pomóc, niech pan obieca, że pan się

do mnie zwróci. Wie pan, jak to mówią, co dwie głowy, to nie jedna.

– Umowa stoi.

Ruszają z powrotem pod górę. Najpierw Odell idzie pomiędzy nimi jak przedtem, potem zaczyna się wysuwać do przodu, bo Hodges zwalnia. Traci oddech.

– Muszę zrzucić parę kilo – mówi do Jerome’a. – Wiesz co? Wczoraj rozdarłem na siedzeniu całkiem dobre spodnie.

– Rzeczywiście mógłby pan stracić z pięć kilo – odpowiada dyplomatycznie Jerome.

– Raczej pomnóż to przez dwa.

– Chce pan odpocząć przez chwilę?

– Nie. – Hodges nawet sam sobie wydaje się dziecinny. Ale mówi poważnie o schudnięciu; kiedy wróci do domu, wszystkie cholerne przekąski z szafek i lodówki wylądują w kubie na śmieci. Potem myśli: może w rozdrabniaczu. Zbyt łatwo zmięknąć i wyciągnąć coś z kubła.

– Jerome, najlepiej zachowaj dla siebie moje małe śledztwo. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Chłopak odpowiada bez wahania:

– Oczywiście. Gęba na kłódkę.

– Dobrze.

Przy następnej przecznicy słyszą charakterystyczną melodyjkę – furgonetka Pana Smakusia przecina Harper Road i wjeżdża w Vinson Lane. Jerome macha ręką. Hodges nie widzi, czy lodziarz odpowiada machaniem.

– Teraz go spotykamy – rzuca z przekąsem.

Jerome odwraca się do niego, szczyrzy zęby.

– Lodziarze są jak gliniarze.

– Hę?

– Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni.

Brady krąży, przestrzegając ograniczenia szybkości (trzydzieści kilometrów na godzinę na Vinson Lane). Ledwie słyszy *Buffalo Gals* wydzwanianą z głośników nad głową. Pod białą kurtką Pana Smakusia ma sweter, bo ładunek za jego plecami jest zimny.

Jak mój umysł, myśli. Ale lody są tylko zimne. Mój umysł jest również analityczny. To maszyna. Mac naładowany nieprawdopodobną ilością gigabajtów.

Nastawia go na to, co właśnie widział, tłustego ekspliniera człapiącego po Harper Road z Jerome'em Robinsonem i seterem irlandzkim o murzyńskim imieniu. Jerome mu pomachał, a Brady odmachnął, bo w ten sposób się wtapiasz w społeczeństwo. To jak wysłuchiwanie niekończących się narzekań Freddi Linklatter, że tak trudno być lesbijką w świecie hetero, i kiwanie głową w odpowiednich momentach, zamiast powiedzieć to, na co ma ochotę, czyli: „Weź się w garść i przestań jękać, ty lesbo bez cyków!”

Kermit William „Chciałbym być młody” Hodges i Jerome „Chciałbym być biały” Robinson. O czym rozmawiała ta niedobrana para? Brady Hartsfield chciałby to wiedzieć. Może się dowie, jeśli gliniarz chwyci przynętę i nawiąże kontakt Pod Niebieskim Parasolem Debbie. Z tą bogatą dziwką się udało aż za dobrze: jak już zaczęła gadać, nic jej nie powstrzymało.

Det. Em. i jego czarny przydupas.

No i Odell. Nie zapominajmy o Odellu. Jerome i jego mała siostrzyczka kochają tego psa. Załamałoby się, gdyby coś mu się stało. Pewnie nic się nie stanie, ale Brady poszuka w sieci czegoś więcej o truciznach, kiedy wróci wieczorem do domu.

Takie myśli ciągle przelatują przez głowę Brady'ego, niczym nietoperze w dzwonnicy. Tego ranka w DE, inwentaryzując kolejną dostawę tanich DVD (dlaczego przysyłają nowe i jednocześnie próbują się pozbyć starych, to tajemnica, której nigdy nie rozwiąże), wpada na pomysł, żeby wykorzystać swoją samobójczą kamizelkę do zamachu na prezydenta, pana Baracka „Chciałbym być biały” Obamy. Odejść w chwale. Barack często odwiedza ten stan, który odgrywa ważną rolę w jego reelekcyjnej strategii. A kiedy przyjeżdża do tego stanu, przyjeżdża do tego miasta. Występuje publicznie. Mówi o nadziei. Mówi o zmianie. Ple, ple, ple, sru-tu-tu. Brady opracowywał plan, jak uniknąć wykrywaczy metalu i wrywkowej kontroli, kiedy Tones Frobisher wezwał go przez interkom i wysłał na zlecenie. Zanim Brady wyjechał na ulicę w jednym z zielonych volkswagenów Cyberpatrolu, myślał już o czymś innym. Dokładnie o Bradzie Pitcie. Pieprzony idol popołudniówek.

Czasami jednak zachowuje swoje pomysły.

Po chodniku nadbiega pulchny chłopczyk, wymachując pieniędzmi. Brady hamuje.

– Chcę cz-koladowe! – wrzeszczy. – I chcę z posypką!

Zaraz dostaniesz, ty tłusty mały zasańcu, myśli Brady i przywołuje na twarz szeroki, czarujący uśmiech. Pluń na swój cholesterol, dożyjesz najwyżej do czterdziestki i kto wie, może przetrzymasz pierwszy atak serca. Ale to cię nie pohamuje, skąd. Nie ma mowy, skoro świat jest pełen piwa, hamburgerów i lodów czekoladowych.

– Proszę bardzo, mały. Jeden czekoladowy z posypką, już się robi. Jak tam w szkole? Dostałeś jakieś szóstki?

Tego wieczoru na Harper Road 63 telewizor w ogóle nie zostaje włączony, nawet na wieczorne wiadomości. Ani komputer. Zamiast tego Hodges wyciąga swój wierny notatnik. Janelle Patterson nazwała go staroświeckim. No więc jest staroświecki, i dobrze. Zawsze pracował w ten sposób, tak mu jest najwygodniej.

Siedząc w przepięknej beztelewizyjnej ciszy, czyta ponownie list, który dostał od Pana Mercedesesa. Potem czyta list do pani T. Ślęczy nad nimi przez godzinę lub dłużej, badając wers po wersie. Ponieważ list pani T. to kopia, pozwala sobie robić notatki na marginesach i obrysowywać pewne słowa.

Kończy ten etap procedury odczytaniem na głos obu listów. Każdy czyta innym głosem, ponieważ Pan Mercedes przybrał dwie różne osobowości. List wysłany do Hodgesa jest chępliwym i aroganckim. „Cha, cha, ty stary przegrany durniu”, mówi. „Nie masz po co żyć i wiesz o tym, więc czemu się nie zabijesz?” List do Olivii Trelawney utrzymany jest w przypochlebnie melancholijnym tonie, pełen skruchy i wspomnień nieszczęśliwego dzieciństwa, ale także kryje sugestię samobójstwa, tym razem ubraną w pozory współczucia: „Rozumiem. Całkowicie rozumiem, ponieważ czuję to samo”.

W końcu Hodges wkłada listy do teczki z napisem ZABÓJCA Z MERCEDESA wydrukowanym na etykietce. W teczce nie ma nic więcej, czyli jest strasznie cienka, ale jeśli Hodges nadal zna się na swojej robocie, wkrótce wypełnią ją kartki z notatkami.

Siedzi przez piętnaście minut z rękami splecionymi na wydatnym brzuchu, niczym medytujący Budda. Potem przyciąga notatnik i zaczyna pisać.

Chyba miałem rację, że większość figur stylistycznych to zmyłka. W liście do pani T. on nie używa wykrzykników, dużych liter ani jednozdaniowych akapitów (tylko na końcu, dla dramatycznego efektu). Myliłem się co do cudzysłowów, on je lubi. Lubi też podkreślenia. Może jednak nie jest młody, mogłem się mylić...

Ale myśli o Jeromie, który zapomniał już więcej o komputerach i internecie, niż Hodges kiedykolwiek się nauczy. I o Janey Patterson, która umiała zeskanować list do siostry i która używa Skype'a. Janey Patterson, młodsza od niego pewnie ze dwadzieścia lat.

Znowu sięga po długopis.

...ale chyba nie. Raczej nie nastolatek (choć nie wykluczam), powiedzmy, w przedziale wiekowym 20–35. Inteligentny. Bogate słownictwo, potrafi układać zdania.

Znowu przegląda list i wynotowuje kilka tych zdań: „byłem małą, załęczoną myszką”, „dżem truskawkowy w śpiworze”, „większość ludzi to owce, a owce nie jedzą mięsa”.

Żaden z tych zwrotów nie zaćmi sławy Philipa Rotha, ale Hodges uważa, że świadczą o pewnym talencie. Znajduje jeszcze jedno zdanie i wypisuje drukowanymi literami pod spodem: „Co oni dla pani zrobili oprócz nękania i przyprawiania o bezsenność?”.

Stuka czubkiem długopisu w kartkę, tworząc konstelację maleńkich ciemnoniebieskich punkcików. Myśli, że większość ludzi napisałaby: „powodowanie bezsenności” albo „wywoływanie bezsenności”, ale to nie było wystarczająco dobre dla Pana Mercedesesa, ponieważ on jest ogrodnikiem zasiewającym ziarna zwątpienia i paranoi. „Oni” panią załatwią, pani T., i mają rację, prawda? Ponieważ zostawiła pani kluczyk. Gliny tak mówią; ja tak mówię, a przecież tam byłem. Więc jak możemy się mylić?

Zapisuje te koncepcje, oddziela kreską, potem przewraca kartkę.

Najlepszym kryterium identyfikacji jest nadal SPRAFCA zamiast SPRAWCA, użycie tego słowa w obu listach, a także CYFRY. „50-50” zamiast „pół na pół”. „27 lat”. Jeśli zidentyfikuję tego faceta i zdobędę próbkę pisma, mogę go przygwoździć.

Takie stylistyczne odciski palców nie wystarczą, żeby przekonać przysięgłych, ale Hodgesa? Absolutnie.

Znowu się prostuje, odchyła głowę do tyłu, wpatruje się w przestrzeń. Nie jest świadom upływu czasu; czas, który tak się włókł od przejścia na emeryturę, teraz przestał istnieć. Potem nachyla się gwałtownie, nie słysząc protestującego skrzypienia fotela, i pisze dużymi drukowanymi literami:

CZY PAN MERCEDES PATRZYŁ?

Hodges ma całkowitą pewność, że tak. Że to jego modus operandi.

Śledził szkalowanie pani Trelawney w prasie, oglądał ją dwa albo trzy razy w dziennikach telewizyjnych (przedstawioną krótko i niepochwlebnie, po czymś takim jej niska samoocena spadła na samo dno). Mógł też przejeżdżać obok jej domu. Hodges powinien jeszcze raz porozmawiać z Radneyem Peeplesem i zapytać, czy on albo inni pracownicy Straży zauważyli jakieś konkretne samochody krążące wokół posiadłości pani Trelawney w Sugar Heights w tygodniach przed jej odejściem. I ktoś wysprejował ZABIŁAŚ, PIZDO na słupku jej bramy. Ile czasu przed jej samobójstwem? Może Pan Mercedes zrobił to osobiście. I naturalnie mógł ją poznać lepiej, dużo lepiej, jeśli przyjęła jego zaproszenie, żeby się z nim spotkać Pod Niebieskim Parasolem.

No i ja, myśli i spogląda na zakończenie swojego listu: „Nie chciałbym, żeby zaczął Pan myśleć o swojej broni”, po czym: „Ale Pan o niej myśli, prawda?”. Czy Pan Mercedes mówił o jego broni służbowej, czy też widział, jak Hodges bawi się trzydziestkąósemką? Trudno powiedzieć, ale...

Ale chyba widział. On wie, gdzie mieszkam, z ulicy można zajrzeć do mojego salonu i myślę, że widział.

Świadomość, że jest obserwowany, napełnia Hodgesa raczej podnieceniem niż strachem czy wstydem. Gdyby mógł dopasować jakiś samochód, który zauważyli pracownicy Straży, do samochodu zbyt często przejeżdżającego przez Harper Road...

Wtedy dzwoni telefon.

- Cześć, panie H.
- Co tam, Jerome?
- Jestem Pod Parasolem.

Hodges odkłada notes. Pierwsze cztery kartki są teraz wypełnione chaotycznymi notatkami, następne trzy ciasno spisanym podsumowaniem sprawy, jak za dawnych czasów. Odchyła się do tyłu w fotelu.

- Rozumiem, że nie zjadł ci komputera?

– Nie. Żadnych robaków, żadnych wirusów. I mam już cztery propozycje rozmów z nowymi przyjaciółmi. Jedna jest z Abilene w Teksasie. Mówi, że ma na imię Bernice, ale mogę ją nazywać Berni. Przez „i”. Wydaje się słodka jak diabli i nie powiem, żeby mnie nie kusila, ale pewnie to udający kobietę sprzedawca butów z Bostonu, który mieszka z matką. Internet, chłopie, to jarmark cudów.

Hodges szczyrzy zęby.

– Najpierw tło, które sprawdziłem, częściowo szperając w tymże internecie, ale głównie dzięki dwójce komputerowych geeków z uniwersytetu. Gotów pan?

Hodges znowu chwyta notes i otwiera go na nowej stronie.

- Strzelaj.

Dokładnie to samo mówił dawniej do Pete’a Huntleya, kiedy ten przynosił świeże informacje dotyczące sprawy.

- Okay, ale najpierw... czy pan wie, jaki jest najcenniejszy towar w internecie?

– Nie. – I myśląc o Janey Patterson, dodaje: – Jestem staroświecki.

Jerome się śmieje.

- Zgadza się, panie Hodges. Na tym polega pana urok.

– Dziękuję, Jerome – odpowiada kwaśno Hodges.

– Najcenniejszy towar to prywatność i to właśnie dostarcza Niebieski Parasol Debbie oraz podobne witryny. Przy nich Facebook wygląda jak telefon towarzyski z lat pięćdziesiątych zeszłego wieku. Po jedenastym września wyrosły setki prywatnych witryn. To wtedy różne rządy Sojuszników Stanów Zjednoczonych naprawdę zaczęły węszyć. Władza boi się sieci, chłopie, i słusznie. W każdym razie większość tych serwisów EP... skrót od „ekstremalna prywatność”... działa w Europie Środkowej. Dla internetowych czatów są tym, czym Szwajcaria dla kont bankowych. Nadaża pan?

- Aha.

– Serwery Niebieskiego Parasola są w Olovo, bośniackim miasteczku, znanym głównie z walk byków aż do dwa tysiące piątego roku czy jakoś tak. Zaszyfrowane serwery. Mówimy o jakości NASA, jasne? Wyśledzenie jest niemożliwe, chyba że NSA albo Kang Sheng... to chińska wersja NSA... ma jakiś supertajny software, o którym nikt nie wie.

A nawet jeśli wiedzą, myśli Hodges, nigdy go nie użyją do czegoś takiego, jak sprawa Zabójcy z Mercedesa.

– I następna cecha, przydatna zwłaszcza w epoce sextingowych^[8] skandali. Panie H., czy pan kiedyś znalazł coś w sieci... zdjęcie czy artykuł w prasie... i chciał pan wydrukować, ale nie mógł?

– Kilka razy, tak. Naciskasz „drukuj”, ale podgląd wydruku pokazuje tylko pustą stronę. Irytujące.

– To samo Pod Niebieskim Parasolem Debbie. – Jerome nie wydaje się zirytowany; raczej pełen podziwu. – Pogadałem trochę z moją nową przyjaciółką Berni... wie pan, jaka

u ciebie pogoda, jakie są twoje ulubione kapele, takie rzeczy... i kiedy chciałem wydrukować naszą rozmowę, pokazał się palec przyłożony do ust i wiadomość: SZA. – Jerome literuje to, żeby Hodges na pewno zrozumiał. – Można zapisać rozmowę...

No pewnie, myśli Hodges, spoglądając czule na notatki nagryzmołone w notesie.

– ...ale trzeba robić zdjęcia ekranu czy coś w tym rodzaju, co jest upierdliwe jak cholera.

Rozumie pan, na czym polega prywatność? Oni to traktują bardzo poważnie.

Hodges rozumie. Przerzuca kartki w tył do pierwszej strony notatnika i obwodzi kółkiem jeden z wcześniejszych zapisków: ZNA SIĘ NA KOMPUTERACH (PONIŻEJ 50?).

– Po kliknięciu dostaje się zwykły wybór: NAZWA UŻYTKOWNIKA albo ZAREJESTRUJ SIĘ TERAZ. Jako że byłem tam po raz pierwszy, kliknąłem ZAREJESTRUJ SIĘ TERAZ. Podam panu nazwę użytkownika, gdyby chciał pan ze mną rozmawiać Pod Niebieskim Parasolem. – Jerome literuje, a Hodges pisze: „tyrone40”. – Następnie trzeba wypełnić kwestionariusz... wiek, płeć, zainteresowania, takie rzeczy... a potem wstukać numer karty kredytowej. Korzystanie z serwisu kosztuje trzydzieści dolców miesięcznie. Zapłaciłem, ponieważ pokładałam wiarę w pańskie możliwości refundacji.

– Twoja wiara będzie nagrodzona, mój synu.

– Komputer przerabia to przez jakieś dziewięćdziesiąt sekund... Niebieski Parasol się obraca i na ekranie pojawia się napis SORTOWANIE. Potem dostaje się listę osób o podobnych zainteresowaniach. Wystarczy stuknąć w kilka propozycji i zaraz można podrywać na całego.

– Czy ludzie mogą to wykorzystywać do wymieniać się pornografią? Wiem, że w opisie podano, że nie mogą, ale...

– Można w ten sposób wymieniać się fantazjami, ale nie fotkami. Chociaż wyobrażam sobie, że różne świry, pedofile, rozgniatacze i inni zbrojeńcy mogą wykorzystywać Niebieski Parasol, żeby kierować kumpli o podobnych zainteresowaniach do witryn, na których dostępne są nielegalne fotki.

Hodges chce spytać, co to są rozgniatacze, ale uznaje, że woli nie wiedzieć.

– Więc głównie niewinne rozmowy.

– No...

– No co?

– Widzę, jak czubki mogą to wykorzystywać do wymiany trefnych informacji.

Na przykład jak zbudować bombę i takie tam.

– Powiedzmy, że jestem już zarejestrowanym użytkownikiem. Co wtedy?

– Jest pan? – Podniecenie powraca do głosu Jerome'a.

– Powiedzmy, że tak.

– To zależy, czy pan sam wymyślił nazwę użytkownika, czy dostał od kogoś, kto chce z panem czatować. Na przykład podał ją panu przez telefon albo w e-mailu.

Hodges szczerzy zęby. Jerome, prawdziwe dziecko swoich czasów, nawet nie wziął pod uwagę możliwości, że informacje można przekazywać za pośrednictwem czegoś tak archaicznego jak zwykły list.

– Powiedzmy, że dostał pan od kogoś – ciągnie Jerome. – Na przykład od faceta, który ukradł samochód tej pani. Na przykład chce z panem porozmawiać o tym, co zrobił.

Czeka. Hodges nic nie mówi, ale jest pełen podziwu.

Po kilku sekundach milczenia Jerome podejmuje:

– Nie dziwię mu się, że próbował. W każdym razie pan wchodzi i wprowadza nazwę użytkownika.

– Kiedy płacę trzydzieści dolców?

– Wcale pan nie płaci.

– Dlaczego?

– Bo ktoś już zapłacił za pana. – Jerome jest teraz poważny. Śmiertelnie poważny. –
Chyba nie muszę panu mówić, żeby pan był ostrożny, ale i tak powiem. Bo jeśli już jest pan zarejestrowany, ten facet czeka na pana.

Po drodze do domu Brady zatrzymuje się, żeby kupić coś na kolację (dzisiaj sandwicz z Little Chef), ale matka zaliczyła zwałę na kanapie. W telewizji leci kolejny reality show, w którym stręczą stadko atrakcyjnych młodych kobiet bysiowatemu kawalerowi o współczynniku inteligencji lampy podłogowej. Brady widzi, że mama już jadła... w pewnym sensie. Na stoliku do kawy stoi pusta w połowie butelka smirnoffa i dwie puszki NutraSlim. Podwieczorek w piekle, myśli, ale przynajmniej jest ubrana: dzinsy i bluza City College.

Na wszelki wypadek rozwija jeden sandwicz i przesuwając go tam i z powrotem pod jej nosem, ale ona tylko prychnęła i odwraca głowę. Brady postanawia zjeść ten sandwicz, a drugi włożyć do lodówki. Kiedy wraca z garażu, bysiowaty kawaler pyta jedną ze swoich potencjalnych dupeczek (oczywiście blondynkę), czy lubi przygotowywać śniadania. Blondynka odpowiada kokieteryjnie: „Lubisz coś ciepłego rano?”.

Trzymając talerz z sandwiczem, Brady przygląda się matce. Zdaje sobie sprawę, że pewnego wieczoru może wrócić do domu i zastać ją martwą. Może nawet jej w tym pomóc, wziąć jedną z porzucanych poduszek i przyłożyć jej do twarzy. Nie byłoby to pierwsze morderstwo popełnione w tym domu. Gdyby to zrobił, czyjego życie zmieniłoby się na lepsze, czy na gorsze?

Najbardziej się boi – nie artykułując świadomie tego strachu, krążącego pod powierzchnią – że nic by się nie zmieniło.

Schodzi na dół, komendą głosową włącza światła i komputery. Siada przed Numerem Trzy i otwiera Niebieski Parasol Debbie, przekonany, że do tej pory tłusty eksplinierz już połknął przynętę.

Nie ma nic.

Brady uderza pięścią w dłoń. W skroniach czuje tępe pulsowanie, niechybny zwiastun bólu głowy, migreny, która nie pozwoli mu zasnąć przez pół nocy. Aspiryna nie pomaga na te bóle. Brady nazywa je Małymi Wiedźmami, tylko że czasami Małe Wiedźmy są duże. Wie, że istnieją pigułki, które podobno przynoszą ulgę w takich bólach – wyszukał je w sieci – ale nie można ich dostać bez recepty, a Brady panicznie się boi lekarzy. A jeśli wykryją u niego guz mózgu? Glioblastomę, najgorszy rodzaj według Wikipedii? A jeśli dlatego zabił ludzi na targach pracy?

Nie bądź głupi, upomina się w myślach, na glio dawno byś się przekreślił.

Okay, ale jeśli lekarze powiedzą, że jego migreny to symptom choroby umysłowej? Schizofrenii paranoidalnej, czegoś takiego? Brady wie, że jest chory umysłowo, to oczywiste, normalny człowiek nie wjeżdża samochodem w tłum ani nie planuje samobójczego zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Normalny człowiek nie zabija młodszego brata. Normalny człowiek nie przystaje pod drzwiami własnej matki, zastanawiając się, czy jest naga.

Ale nienormalny człowiek nie chce, żeby inni wiedzieli, że jest nienormalny.

Brady wyłącza komputer i wędruje bez celu po swoim centrum kontroli. Podnosi Gadżet Dwa, potem odkłada. Nawet pomysł tego urządzenia nie był oryginalny; Brady odkrył, że złodzieje samochodów używają takich gadżetów od lat. Nie odważył się go użyć, odkąd go wykorzystał przy mercedesie pani Trelawney, ale może już czas przywrócić dobry stary Gadżet Dwa do czynnej służby – niesamowite, co ludzie zostawiają w samochodach. Używanie Gadżetu Dwa jest trochę niebezpieczne, ale nie bardzo. Pod warunkiem że zachowa ostrożność, a Brady jest bardzo ostrożny.

Pieprzony eksplinierz, dlaczego nie połknął przynęty?

Brady pociera skronie.

Hodges nie połknął przynęty, ponieważ zna stawkę: wszystko albo nic. Jeśli napisze nie to, co trzeba, Pan Mercedes więcej się nie odezwie. Z drugiej strony, jeśli zdecyduje się na to, czego Pan Mercedes niewątpliwie się spodziewa – niezręczną i nieśmiałą próbę odkrycia jego tożsamości – ten przebiegły sukinsyn zawsze będzie go wyprzedzał.

Zanim zacznie, powinien sobie odpowiedzieć na proste pytanie: który z nich dwóch będzie rybą, a który rybakiem?

Musi coś napisać, ponieważ Niebieski Parasol to wszystko, co ma. Nie może liczyć na dawne policyjne źródła. Listy Pana Mercedesesa napisane do Olivii Trelawney i Hodgesa są bezwartościowe bez podejrzanego. Poza tym list to tylko list, podczas gdy komputerowy czat to...

– Dialog – mówi.

Potrzebuje tylko przynęty. Najsmaczniejszej na świecie przynęty. Mógłby udawać skłonności samobójcze, bez trudu, bo jeszcze do niedawna je miał. Nie wątpi, że medytacje nad atrakcyjnością śmierci skłonią Pana Mercedesesa do mówienia przez jakiś czas, ale jak długo, zanim gość się połapie, że Hodges nim manipuluje? To nie żaden naćpany tępak, przekonany, że policja naprawdę da mu milion dolarów i odrzutowiec, którym poleci do Salwadoru. Pan Mercedes to bardzo inteligentny człowiek, który przypadkiem jest szalony.

Hodges przesuwając notatnik na kolana i przewraca kartki. Na środku nowej strony pisze wielkimi literami trzy słowa:

MUSZĘ GO WKURZYĆ

Obrysowuje je ramką, wkłada notatnik do akt sprawy, które założył, i zamyka teczkę. Siedzi jeszcze przez chwilę, patrząc na wygaszacz ekranu z fotografią córki, która nie ma już pięciu lat i nie uważa go za Boga.

– Dobranoc, Allie.

Wyłącza komputer i idzie do łóżka. Nie spodziewa się, że zaśnie, ale zasypia.

Budzi się o drugiej dziewiętnaście nad ranem według budzika przy łóżku, z rozwiązaniem płonącym w głowie wyraźnie jak neonowy szyld. To ryzykowne, ale słuszne, coś takiego robi się bez wahania albo nie robi tego wcale. Idzie do gabinetu, wielki błady duch w bokserkach. Włącza komputer. Wchodzi Pod Niebieski Parasol Debbie i klika: DOŁĄCZ TERAZ!

Pojawia się nowy obraz. Tym razem dwoje ludzi siedzi jakby na czarodziejskim dywanie, lecącym nad bezkresnym morzem. Pada srebrny deszcz, ale młoda para jest bezpieczna i sucha pod niebieskim parasolem. Poniżej dywanu znajdują się dwa przyciski, ZAREJESTRUJ SIĘ TERAZ po lewej stronie i NAZWA UŻYTKOWNIKA po prawej. Hodges klika NAZWA UŻYTKOWNIKA i w ramce, która się pojawia, wpisuje „kermitzaba19”. Wciska Enter i pojawia się nowy ekran. Na nim wiadomość:

merckill chce z tobą rozmawiać!

Czy chcesz rozmawiać z merckill?

T N

Hodges najeżdża kursorem na „T” i klika myszą. Pojawia się ramka na wiadomość. Hodges pisze szybko, bez wahania.

Pięć kilometrów dalej, na Elm Street 49 w Northfield, Brady Hartsfield nie może spać. Głowa go łupie. Myśli: Freddy. Napisane przez „i” to lesba bez cycków. Napisane przez „y” to mój brat, który powinien był umrzeć, kiedy się zakrztusił tym plasterkiem jabłka. Życie byłoby dużo prostsze, gdyby tak się stało.

Myśli o matce, która czasami zapomina o koszuli nocnej i śpi goła.

Najwięcej myśli o tłustym eksgliniarzu.

W końcu wstaje i wychodzi z sypialni. Przystaje na chwilę pod drzwiami matki i słucha jej chrapania. Najmniej erotyczny dźwięk we wszechświecie, mówi sobie, ale i tak przystaje. Potem schodzi na dół, otwiera drzwi piwnicy i zamyka za sobą. Stoi w ciemności i mówi:

– Kontrola. – Ale głos ma zbyt ochryply i wciąż jest ciemno. Odchrząkuje i powtarza: – Kontrola!

Zapalają się światła. „Chaos” włącza komputery, a „ciemność” przerywa odliczanie na siedmiu ekranach. Brady siada przed Numerem Trzy. Wśród śmietnika ikon znajduje się mały niebieski parasol. Brady klika na niego, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymywał oddech, który dopiero teraz wypuszcza z chrapliwym odgłosem.

kermitzaba19 chce z tobą rozmawiać!

Czy chcesz rozmawiać z kermitzaba19?

T N

Brady naciska „T” i pochyla się do przodu. Przez chwilę na jego twarzy maluje się przejęcie, zanim wkrada się zdumienie. Potem, kiedy czyta po raz drugi i trzeci krótką wiadomość, zdumienie przeradza się najpierw w gniew, później w nagą furję.

Widziałem w życiu wiele fałszywych zeznań, ale to przewyższa wszystkie.

Jestem emerytowany, ale nie głupi.

Nieujawniony materiał dowodowy świadczy, że nie jesteś żadnym Zabójcą z Mercedesa.

Spadaj na drzewo, palancie.

Brady czuje gwałtowną chęć, żeby walnąć pięścią w ekran, ale się powstrzymuje. Siedzi na krześle, cały drżący. Oczy ma szeroko otwarte, pełne niedowierzania. Upływa minuta. Dwie. Trzy.

Zaraz wstanę, myśli. Wstanę i wrócę do łóżka.

Tylko po co? I tak nie zaśnie.

– Ty tłusty zasańcu – szepcze, nieświadomy, że gorące łzy popłynęły mu z oczu. – Ty tłusty, głupi, beznadziejny zasańcu. To byłem ja! To byłem ja! To byłem ja!

Nieujawniony materiał dowodowy świadczy...

To niemożliwe.

Chwyta się konieczności skrzywdzenia tłustego eksgliniarza i dzięki temu wraca mu zdolność myślenia. Jak powinien to zrobić? Rozważa to pytanie niemal przez pół godziny, wypróbowuje i odrzuca rozmaite scenariusze. Wreszcie nadchodzi odpowiedź, elegancka w swojej prostocie. Przyjaciel tłustego eksgliniarza – jedyny jego przyjaciel, na ile Brady mógł ustalić – to czarnuch z białym imieniem. A co kocha ten czarny dzieciak? Co kocha cała jego rodzina? Oczywiście irlandzkiego setera. Odella.

Brady przywołuje swoje wcześniejsze fantazje o zatruciu kilkunastu litrów najlepszych lodów Pana Smakusia i wybucha śmiechem. Wchodzi do internetu i zaczyna szukać.

Należyta staranność z mojej strony, myśli i uśmiecha się do siebie.

W którejś chwili spostrzega, że ból głowy zniknął.

ZATRUTA PRZYNEŃA

Brady Hartsfield nie musi długo kombinować, jak otruć Odella, czworonożnego przyjaciela Jerome'a Robinsona. Pomaga mu fikcyjna tożsamość, Ralph Jones, dostatecznie wiarygodna – i wyposażona w niskolimitową kartę Visa – żeby zamawiać rzeczy na Amazonie i eBayu. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak łatwo stworzyć przyjazną dla internetu fałszywą osobowość. Wystarczy płacić rachunki. Jeśli nie, wszystko się natychmiast sypie.

Jako Ralph Jones zamawia kilogramową puszkę trutki na gryzonie i podaje adres skrzynki pocztowej Ralpha, Speedy Postal niedaleko Discount Electronix.

Aktywnym składnikiem trutki jest strychnina. Brady wyszukuje w sieci symptomy zatrucia strychniną i odkrywa z radością, że Odell przeżyje ciężkie chwile. Dwadzieścia minut po spożyciu mięśnie szyi i karku zaczynają się spazmatycznie kurczyć. Skurcze szybko rozprzestrzeniają się na resztę ciała. Usta rozciągają się w grymasie przypominającym uśmiech (przynajmniej u ludzi; Brady nie wie, jak jest u psów). Czasami dochodzi do wymiotów, ale wtedy zbyt wiele trucizny się wchłonęło i jest już za późno. Pojawiają się konwulsje, coraz silniejsze, aż kręgosłup wygina się w sztywny łuk i tak zostaje. Czasami nawet pęka. Śmierć – z pewnością stanowiąca ulgę – następuje wskutek uduszenia. Ścieżki neuronowe odpowiedzialne za dostarczanie powietrza z zewnątrz do płuc po prostu przestają działać.

Brady już nie może się doczekać.

Przynajmniej nie będzie czekał długo, pociesza się, kiedy wyłącza siedem komputerów i wraca na górę. Zamówienie dostarczą w przyszłym tygodniu. Najlepiej podać psu trutkę w smacznym, soczystym hamburgerze. Wszystkie psy lubią hamburgery i Brady dokładnie wie, jak poczęstuje Odella tym smakołykiem.

Barbara Robinson, mała siostrzyczka Jerome'a, ma przyjaciółkę imieniem Hilda. Dziewczynki często odwiedzają Zoney's GoMart, sklep ogólnospożywczy kilka przecznicy od domu Robinsonów. Mówią, że to dlatego, że lubią winogronowe slurpee¹⁹¹, ale tak naprawdę lubią spotykać się z innymi koleżankami. Przesiadują na niskim kamiennym murku za sklepowym parkingiem na cztery samochody, sikorki plotkujące, chichoczące i częstujące się słodyczkami. Brady często je widuje, kiedy przejeżdża furgonetką Pana Smakusia. Macha do nich, a one odmachują.

Wszyscy lubią lodziarza.

Pani Robinson pozwala Barbarze na te wyprawy raz albo dwa razy w tygodniu (w Zoney's nie handlują prochami, pewnie sama to sprawdziła), ale nakłada warunki, które Brady bez trudu wydedukował. Barbara nigdy nie może iść sama; zawsze musi wracać po godzinie; ona i jej przyjaciółka zawsze muszą zabierać Odella. Do GoMartu nie wpuszczają psów, więc Barbara przywiązuje smycz do klamki toalety na zewnątrz, kiedy razem z Hildą wchodzi kupić slurpee.

Wtedy właśnie Brady – który przyjedzie własnym samochodem, anonimowym subaru – rzuci Odellowi zabójczego hamburgera. Pies jest duży; może przeżyć nawet całą dobę. Brady ma taką nadzieję. Rozpacz to zaraźliwa choroba. Im więcej bólu poczuje Odell, tym bardziej będzie cierpiała czarna smarkuła i jej starszy braciszek. Jerome przekaże swoją rozpacz tłustemu eksgliniarzowi, czyli Kermitowi Williamowi Hodgesowi, a wtedy tłusty eksgliniarz zrozumie, że śmierć psa to jego wina, kara za przysłanie Brady'emu tej chamskiej, uwłaczającej wiadomości. Kiedy Odell zdechnie, tłusty eksgliniarz będzie wiedział...

W połowie drogi na piętro, słuchając chrapania matki, Brady przystaje i szeroko otwiera oczy, bo coś mu świta.

Tłusty eksgliniarz będzie wiedział.

I w tym problem, prawda? Bo każdy czyn wywołuje konsekwencje. Dlatego Brady marzy o zatruciu lodów, które sprzedaje dzieciakom, ale nigdy tego nie robi. Dopóki chce latać nisko, poza zasięgiem radaru, a na razie chce.

Hodges nie zaniósł listu od Brady'ego do kumpli z policji. Początkowo Brady uważał, że to dlatego, że tłuscioch chciał zatrzymać tę sprawę dla siebie, może spróbować samodzielnie wytropić Zabójcę z Mercedesa i zdobyć trochę poemerytalnej sławy, ale teraz wie lepiej. Dlaczego ten pieprzony Det. Em. miałby go tropić, skoro go uważa za zwykłego czubka?

Brady nie rozumie, jak Hodges doszedł do tej konkluzji, skoro on, Brady, wiedział o wybielaczu i siatce na włosy, szczegółach nigdy nieujawnionych w prasie, ale jakoś doszedł. Jeśli otruje Odella, Hodges zawiadomi swoich kumpli z policji. Zaczynając od dawnego partnera, Huntleya.

Co gorsza, w ten sposób Brady może dać człowiekowi, którego zamierzał popchnąć do samobójstwa, nowy powód do życia, niszcząc cały efekt tak starannie skomponowanego listu. To byłaby straszna niesprawiedliwość. Doprowadzenie tej dziwki Trelawney do ostateczności sprawiło mu ogromną frajdę, znacznie większą (z powodów, których nie rozumie i nie dba o nie) niż rozjechanie jej samochodem tych wszystkich ludzi, więc chciał to zrobić jeszcze raz. Nakłonić głównego śledczego w tej sprawie, żeby się zabił – cóż to byłby za triumf!

Brady wciąż stoi w połowie schodów i myśli intensywnie.

Ten tłusty drań może jeszcze to zrobić, mówi sobie. Zabicie psa może być ostatecznym bodźcem, którego potrzebuje.

Tylko że Brady sam w to nie wierzy i czuje w głowie ostrzegawcze pulsowanie.

Nagle chce zbiec z powrotem do piwnicy, otworzyć Niebieski Parasol i zażądać, żeby tłusty eksplinierz przedstawił ten „nieujawniony materiał dowodowy”, który on, Brady, natychmiast obali. Ale to byłby fatalny błąd. Zdradzałby potrzebę, może nawet desperację.

Nieujawniony materiał dowodowy.

„Spadaj na drzewo, palancie”.

Ale ja to zrobiłem! Ryzykowałem wolność, ryzykowałem życie i zrobiłem to! Nie możesz mi odebrać zasługi! To niesprawiedliwe!

Głowa znowu mu pulsuje.

Ty głupi chuju, myśli. Tak czy owak, zapłacisz mi za to, ale dopiero kiedy pies zdechnie. Może twój przyjaciel czarnuch też zdechnie. Może cała rodzina czarnuchów zdechnie. A potem jeszcze dużo innych ludzi. Tylu, że City Center będzie przy tym wyglądało na piknik.

Wchodzi do swojego pokoju i kładzie się na łóżku w białym. Głowa znowu go łupie, ręce drżą (jakby to on połknął strychninę). Będzie tak się męczył do rana, chyba że...

Wstaje i wychodzi na korytarz. Stoi pod otwartymi drzwiami sypialni matki prawie przez cztery minuty, potem poddaje się i wchodzi do środka. Kładzie się obok niej w łóżku i ból głowy niemal natychmiast zaczyna ustępować. Może to przez ciepło. Może przez jej zapach – szampon, balsam do ciała, woda. Pewnie jedno i drugie.

Ona się przekręca. Oczy ma szeroko otwarte w ciemności.

– Och, cukiereczku. Znowu zła noc?

– Tak. – Czuje w oczach gorące łzy.

– Mała Wiedźma?

– Tym razem Duża Wiedźma.

– Chcesz, żebym ci pomogła? – Zna już odpowiedź, która napiera pulsująco na jej brzuch.

– Tyle dla mnie robisz – mówi czule. – Pozwól, że to zrobię dla ciebie.

On zamyka oczy. W jej oddechu bardzo silnie czuć alkohol. To mu nie przeszkadza, chociaż zwykle tego nie znosi.

– Okay.

Zajmuje się nim szybko i wprawnie. To nie trwa długo. Nigdy nie trwa długo.

– No już – mówi. – A teraz śpij, cukiereczku.

Brady zasypia prawie natychmiast.

Kiedy się budzi w świetle wczesnego poranka, matka znowu chrapie, z kosmykiem włosów przyklepionym w kąciu ust. On wstaje z łóżka i wraca do własnego pokoju. Umysł ma jasny. Doprawiona strychniną trutka na gryznie jest w drodze. Kiedy ją otrzyma, otruje psa i mniejsza o konsekwencje. Do diabła z konsekwencjami. A te podmiejskie czarnuchy z imionami białych ludzi? Oni się nie liczą. Następny będzie tłusty eksplinierz, jak już w pełni doświadczy cierpienia Jerome'a Robinsona i rozpaczy Barbary Robinson, i kogo obchodzi, czy to samobójstwo? Ważne, że się przekreśli. A potem...

– Coś dużego – mówi Brady, naciągając dzinsy i biały podkoszulek. – Blask sławy.

Co to będzie za blask, jeszcze nie wie, ale nie szkodzi. Ma czas i najpierw musi coś zrobić. Musi obalić tak zwany „nieujawniony materiał dowodowy” Hodgesa i przekonać go, że on, Brady, naprawdę jest Zabójcą z Mercedesa, potworem, którego Hodges nie zdołał schwycić. Musi mu to wbić do głowy tak, żeby zabolalo. Musi to zrobić, bo jeśli tłuscioch wierzy w ten zmyślony „nieujawniony materiał dowodowy”, to inne gliny – prawdziwe gliny – też w to wierzą. To niedopuszczalne. Potrzebuje...

– Wiarygodności! – wykrzykuje Brady w pustej kuchni. – Potrzebuję wiarygodności!

Zaczyna przygotowywać śniadanie: jajka na bekonie. Może zapach doleci na górę i skusi mamę. Jeśli nie, żaden problem. Zje jej porcję. Jest dość głodny.

Tym razem to działa, chociaż kiedy Deborah Ann się zjawia, wciąż jeszcze zawiązując szlafrok, jest ledwo rozbudzona. Oczy ma zaczerwienione, policzki blade, włosy sterczą na wszystkie strony. W zasadzie nie miewa już kaca, jej mózg i ciało zanadto przywykły do wody, ale spędza poranki w stanie lekkiego zamroczenia, oglądając teleturnieje i łykając tabletki Tums na nadkwaśność. Około drugiej po południu, kiedy zaczyna wyraźniej postrzegać świat, nalewa sobie pierwszego drinka.

Jeśli pamięta, co się zdarzyło w nocy, nie wspomina o tym. No, ale nigdy nie wspomina. Żadne z nich o tym nie mówi.

O Frankiem też nigdy nie rozmawiamy, myśli Brady. A gdybyśmy rozmawiali, co byśmy mówili? Ojej, jaka szkoda, że spadł?

– Ładnie pachnie – mówi ona. – Jest trochę dla mnie?

– Ile tylko chcesz. Kawy?

– Proszę. Dużo cukru.

Siada przy stole i gapi się w telewizor na blacie. Jest wyłączony, ale ona i tak się gapi. Brady podejrzewa, że mama myśli, że jest włączony.

– Nie założyłeś uniformu – zauważa, mając na myśli niebieską zapinaną koszulę z napisem DISCOUNT ELECTRONIX na kieszonce.

Trzy takie koszule wiszą w jego szafie. Sam je prasuje. Podobnie jak odkurzanie i pranie, prasowanie nie należy do repertuaru mamy.

– Idę dopiero na dziesiątą – wyjaśnia.

Jakby te słowa stanowiły magiczne zaklęcie, jego telefon się budzi i brzęczy, sunąc po blacie. Brady chwytą go, zanim aparat spadnie na podłogę.

– Nie odbieraj, misiaczku. Udawaj, że wyszliśmy na śniadanie.

Kuszące, ale Brady nie potrafi zignorować dzwoniącego telefonu, tak jak nie potrafi zrezygnować z niejasnych, ciągle zmienianych planów jakiegoś potężnego aktu destrukcji. Spogląda na ID dzwoniącego i bez zdziwienia widzi w okienku TONES. Anthony „Tones” Frobisher, sam wielki szef Discount Electronix (oddział w Birch Hill Mall).

Odbiera telefon i mówi:

– Dzisiaj przychodzę później, Tones.

– Wiem, ale potrzebuję cię na domowe zlecenie. Naprawdę jesteś mi potrzebny. – Tones nie może kazać Brady’emu wziąć zlecenia w wolnym czasie, stąd skamlący ton. – W dodatku to pani Rollins, a wiesz, że ona daje napiwki.

Oczywiście, że daje, przecież mieszka w Sugar Heights. Cyberpatrol wykonuje dużo usług serwisowych w Sugar Heights i do ich klientów – do klientów Brady’ego – należała też zmarła Olivia Trelawney. Dwukrotnie był u niej w domu na wezwanie, odkąd zaczął z nią rozmawiać Pod Niebieskim Parasolem. Cóż to była za frajda. Widzieć, ile straciła na wadze. Widzieć, jak jej się trzęsą ręce. Poza tym dostęp do jej komputera otworzył wiele nowych możliwości.

– No, nie wiem, Tones...

Oczywiście Brady pojedzie, i nie tylko dlatego, że pani Rollins daje napiwki. Lubi przejeżdżać obok rezydencji przy Lilac Drive 729 ze świadomością, że ta zamknięta brama to jego zasługa. Żeby popchnąć panią Trelawney ostatecznie we właściwym kierunku, musiał tylko dodać jeden mały program do jej maca.

Komputery są cudowne.

– Słuchaj, Brady, jeśli weźmiesz to zlecenie, w ogóle nie musisz dzisiaj przychodzić

do pracy, co ty na to? Tylko zwrócisz garbusa, a potem możesz się objąć, dopóki nie przyjdzie pora wyjechać tą głupią furgonetką z lodami.

– A co z Freddi? Czemu jej nie wyślesz? – Teraz już wyraźnie się drażni. Gdyby Tones mógł wysłać Freddi, toby ją wysłał.

– Wzięła chorobowe. Mówi, że ma okres i ledwie żyje. Oczywiście to cholerna ściema. Ja to wiem, ona to wie i wie, że ja wiem, ale złożyłaby skargę o seksualne prześladowanie, gdybym ją wezwał. I wie, że ja o tym wiem.

Mama widzi uśmiech Brady’ego i też się uśmiecha. Podnosi rękę, zaciska dłoń i obraca tam i z powrotem. „Złap go za jaja, cukiereczku”. Uśmiech Brady’ego się poszerza. Mama może jest pijaczką, może gotuje tylko raz albo dwa razy w tygodniu, może bywa wkurzająca jak cholera, ale czasami czyta w nim jak w książce.

– No dobrze – zgadza się Brady. – Może wezmę swój samochód?

– Wiesz, że nie mogę ci zwrócić za jazdę prywatnym samochodem – mówi Tones.

– No i taka jest polityka firmy – dodaje Brady. – Prawda?

– No... tak.

Schyn Ltd., macierzyste przedsiębiorstwo DE, uważa, że volkswageny Cyberpatrolu to dobra reklama. Freddi Linklatter twierdzi, że tylko wariat pozwoliłby naprawiać swój komputer komuś, kto jeździ zielonym jak smarki garbusem, i pod tym względem Brady się z nią zgadza. Niemniej w okolicy widocznie mieszka mnóstwo wariatów, bo firma nigdy nie narzeka na brak wezwań.

Chociaż niewielu daje takie napiwki jak Paula Rollins.

– Okay – mówi Brady – ale jesteś moim dłużnikiem.

– Dzięki, kolego.

Brady rozłącza się, nie fatygując się, żeby powiedzieć: „Nie jesteś moim kolegą i obaj to wiemy”.

Paula Rollins to blondynka o pełnej figurze, która mieszka w szesnastopokojowym pałacyku w fałszywym stylu Tudorów trzy przecznice od rezydencji zmarłej pani T. Paula ma wszystkie te pokoje dla siebie. Brady nie wie, czym ona się zajmuje, ale przypuszcza, że była drugą albo trzecią żoną jakiegoś nadzianego gościa i obłowiła się przy rozwodzie. Może facet tak się napalił na jej zderzaki, że zapomniał o umowie przedślubnej. Brady ma to w nosie, ważne tylko, że ona daje dobre napiwki i nigdy nie próbowała do niego startować. I dobrze. Nie interesuje go pełna figura pani Rollins.

Tym razem jednak łapie go za rękę i niemal wciąga przez drzwi.

– Och... Brady! Dzięki Bogu!

Zachowuje się jak kobieta uratowana z bezludnej wyspy po trzech dniach bez jedzenia i wody, ale słyszał króciutką pauzę, zanim wypowiedziała jego imię, i widział, jak na mgnienie spuściła wzrok, żeby je odczytać z jego koszuli, chociaż był u niej z pięć razy, podobnie jak Freddi. Paula Rollins to seryjna morderczyni komputerów. Nie szkodzi, że ona go nie pamięta. Brady woli, żeby go nie pamiętano.

– Po prostu... nie wiem, co się stało!

Jakby ta głupia cipa kiedyś wiedziała. Ostatnim razem, sześć tygodni temu, miała panikę jądra^[10] i była przekonana, że wirus komputerowy zeżarł jej wszystkie pliki. Brady delikatnie wygonił ją z gabinetu i obiecał (niezbyt optymistycznym tonem), że zrobi, co się da. Potem usiadł, zrestartował komputer i przez chwilę surfował po sieci, zanim zawołał Paulę i oznajmił, że udało mu się naprawić problem w samą porę. Jeszcze pół godziny, powiedział, i naprawdę straciłaby swoje pliki. Dała mu osiemdziesiąt dolarów napiwku. Tego wieczoru poszli z mamą na kolację i wypili butelkę całkiem niezłego szampana.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało – mówi Brady poważnie jak neurochirurg.

– Ja nic nie zrobiłam – jęczy. Ona zawsze jęczy. Wielu jego klientów na zlecenie jęczy. Nie tylko kobiety. Nic tak szybko nie pozbawi męskości dyrektora z górnej półki niż możliwość, że wszystko na jego macbooku właśnie odfrunęło do komputerowego nieba.

Paula ciągnie go przez salon (długi jak wagon restauracyjny) do swojego gabinetu.

– Sama sprzątałam, nigdy tu nie wpuszczam gosposi... myłam okna, odkurzałam... i kiedy usiadłam, żeby odpowiedzieć na pocztę, komputer nawet się nie włączył!

– Hm. Dziwne. – Brady wie, że pani Rollins ma latynoską pokojówkę do prac domowych, ale widocznie pokojówka nie ma wstępu do gabinetu. Całe szczęście dla niej, ponieważ Brady już dostrzegł problem i gdyby ona to spowodowała, pewnie zostałaby zwolniona.

– Możesz to naprawić, Brady? – Łzy wzbierają w wielkich niebieskich oczach pani Rollins, które od tego wydają się jeszcze większe. Brady nagle widzi w wyobraźni Betty Boop ze starych kreskówek, które można obejrzeć na YouTube, słyszy: „Pup-pup-pi-dup!” i z trudem powstrzymuje śmiech.

– Z pewnością spróbuję – zapewnia rycersko.

– Muszę skoczyć naprzeciwko do Helen Wilcox – mówi ona – ale to zabierze tylko parę minut. W kuchni jest świeża kawa, jeśli masz ochotę.

Zostawia go samego w wielkim, luksusowym domu. W sypialni na górze Paula trzyma nie wiadomo ile sztuk cennej biżuterii. Ale biżuteria jest bezpieczna. Brady nigdy by nie okradł klientki serwisu. Mogliby go przyłapać. A nawet gdyby nie przyłapali, kto byłby logicznym podejrzanym? No właśnie. Nie po to uszło mu bezkarnie skoszenie tych bezrobotnych idiotów w City Center, żeby go aresztowali za kradzież brylantowych kolczyków, których zresztą nie miałby jak upłynić.

Czeka, dopóki tylne drzwi się nie zamkną, potem wraca do salonu, żeby zobaczyć, jak ona przechodzi przez ulicę razem ze swoimi wystrzałowymi cyckami. Kiedy znika, Brady wraca do gabinetu, wczółguje się pod biurko i podłącza komputer do prądu. Widocznie wyciągnęła wtyczkę, kiedy odkurzała, a potem zapomniała ją włożyć do gniazdka.

Pojawia się żądanie hasła. Leniwie, tylko dla zabicia czasu Brady wpisuje PAULA i otwiera się jej panel sterowania ze wszystkimi plikami. Boże, ludzie są tacy głupi.

Brady wchodzi Pod Niebieski Parasol Debbie, żeby sprawdzić, czy tłusty eksgliniarz przysłał coś nowego. Nie przysłał, ale pod wpływem chwili Brady postanawia jednak odpisać Det. Em. Czemu nie?

Przekonał się w szkole, że zbyt długie zastanawianie się przed pisaniem w jego przypadku się nie sprawdza. Za dużo pomysłów wpada mu do głowy i zaczynają wlaźć jeden na drugi. Lepiej walić od razu. Właśnie w ten sposób napisał do Olivii Trelawney – twórczy zapał, kochanie – i w ten sposób pisał do Hodgesa, chociaż przejrzał parokrotnie wiadomość do eksgliniarza, żeby sprawdzić, czy zachował jednolity styl.

Teraz pisze w tym samym stylu, tylko pamięta, żeby się streszczać.

Skąd wiedziałem o siatce na włosy i wybielaczu, detektywie Hodges? TO jest nieujawniony materiał dowodowy, bo tego nie było w gazetach ani w TV. Pisze pan, że nie jest głupi, ale TRUDNO MI W TO UWIERZYĆ. Myślę, że od tego oglądania telewizji mózg się panu zlasował.

JAKI nieujawniony materiał dowodowy?

SPRÓBUJ NA TO ODPOWIEDZIEĆ.

Brady przegląda wiadomość i wprowadza jedną zmianę: zamiast „nieujawniony” pisze „nie ujawniony”. Nie przypuszcza, żeby policja kiedykolwiek się nim zainteresowała, ale wie, że wtedy poprosiliby go o próbkę pisma. Niemal żałuje, że go nie poproszą. Nosił maskę, kiedy wjechał w tłum, i nosi inną maskę, kiedy pisze jako Zabójca z Mercedesa.

Stuka w WYŚLIJ, potem rozwija internetową historię pani Rollins. Zatrzymuje się na chwilę, ubawiony, kiedy widzi kilka wizyt w Białym Krawacie i Smokingu. Wie, co to jest, od Freddi Linklatter: serwis oferujący męskie towarzystwo. Widocznie Paula Rollins ma swoje sekrety.

No ale kto nie ma?

To nie jego interes. Kasuje swoją wizytę Pod Niebieskim Parasolem Debbie, potem otwiera skrzynkę narzędziową i wyjmuje na chybił trafił kilka rupieci: płyty ze sterownikami, modem (zepsuty, ale ona o tym nie wie), różne pendrive’y i regulator napięcia, który nie ma nic wspólnego z naprawianiem komputerów, ale wygląda jak sprzęt zaawansowany technologicznie. Wyciąga również paperback Lee Childa i czyta przez dwadzieścia minut, dopóki nie usłyszy, że klientka wchodzi tylnymi drzwiami.

Kiedy pani Rollins wsuwa głowę do gabinetu, książka zniknęła, a Brady pakuje porozrzucane rupiecie. Kobieta obdarza go niespokojnym uśmiechem.

– Udało się?

– Z początku nie wyglądało to dobrze – odpowiada Brady – ale wykryłem problem. Zepsuł się przełącznik sieciowy. W takim przypadku komputer jest zaprogramowany, żeby się nie włączać, bo gdyby się uruchomił, mogłaby pani stracić wszystkie dane. – Patrzy na nią poważnie. – To cholerstwo mogłoby nawet się zapalić. Takie rzeczy się zdarzały.

– Och... mój... dobry... Boże – mówi ona, nasycając każde słowo dramatyzmem, i przykłada rękę wysoko do piersi. – Teraz już na pewno jest w porządku?

– Grzeczny jak aniołek – zapewnia Brady. – Proszę sprawdzić.

Uruchamia komputer i uprzejmie odwraca wzrok, kiedy ona wpisuje swoje śmieszne

hasło. Otwiera kilka plików, potem patrzy na niego z uśmiechem.

– Brady, jesteś darem od Boga.

– Mama mówiła mi to samo, dopóki nie podrosłem na tyle, żeby kupować piwo.

Ona śmieje się, jakby nigdy w życiu nie słyszała nic równie zabawnego. Brady śmieje się razem z nią, ponieważ doznaje nagłej wizji: klęczy na ramionach pani Rollins i wbija nóż rzeźnicki z kuchni głęboko w jej wrzeszczące usta.

Niemal czuje ustępującą chrząstkę.

Hodges często sprawdza witrynę Pod Niebieskim Parasolem Debbie i odczytuje wiadomość od Zabójcy z Mercedesa zaledwie parę minut po tym, jak Brady nacisnął WYŚLIJ.

Hodges szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu, wygładzającym skórę, aż robi się niemal przystojny. Role zostały oficjalnie przydzielone: Hodges jest rybakiem, a Pan Mercedes rybą. Ale chytrą rybą, napomina się, taką, która może nagle się szarpnąć i zerwać linkę. Trzeba z nim postępować ostrożnie, powoli przyciągać do łodzi. Jeśli Hodges to potrafi, jeśli wystarczy mu cierpliwości, prędzej czy później Pan Mercedes zgodzi się na spotkanie. Hodges jest tego pewien.

Ponieważ jeśli nie może mnie nakłonić, żebym ze sobą skończył, pozostaje mu tylko jedna możliwość, czyli morderstwo.

Mądrym posunięciem ze strony Pana Mercedesa byłoby po prostu odejść; gdyby tak postąpił, zakończyłby całą historię. Jednak on tego nie robi. Jest wkurzony, ale to jeszcze nie wszystko, bynajmniej. Ciekawe, czy facet zdaje sobie sprawę, jaki jest szalony. I czy zdaje sobie sprawę, że dostarczył jeden złoty samorodek ważnej informacji.

„Myślę, że od tego oglądania telewizji mózg się panu zlasował”.

Aż do dzisiejszego ranka Hodges tylko podejrzewał, że Pan Mercedes obserwuje jego dom; teraz wie. Skurwysyn był na tej ulicy, i to nie raz.

Hodges chwytą notatnik i zaczyna szkicować odpowiedź. Musi być dobra, bo ryba czuje haczyk. Ból ją złości, chociaż na razie ryba nie wie, co to jest. Powinna się o wiele bardziej rozzłościć, zanim to zrozumie, czyli trzeba zaryzykować. Hodges musi szarpnąć linkę, żeby haczyk wbił się głębiej, pomimo ryzyka, że linka może pęknąć. Co...?

Przypomina sobie coś, co Pete Huntley powiedział przy lunchu, luźną uwagę, i odpowiedź przychodzi sama. Hodges pisze w notatniku, potem przepisuje, następnie wygładza. Odczytuje ukończoną wiadomość i decyduje, że się nada. Jest krótka i złośliwa. O czymś zapomniałeś, frajerze. O czymś, czego fałszywy przestępca nie mógł wiedzieć. Prawdziwy zresztą też... chyba że Pan Mercedes sprawdził swoją ruchomą zabójczą broń od dziobu do rufy, zanim do niej wsiadł, a Hodges założy się, że nie sprawdził.

Jeśli się myli, linka pęknie i ryba odpłynie. Ale stare przysłowie mówi: kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

Hodges chce wysłać wiadomość od razu, ale wie, że to zły pomysł. Niech ryba popływa w kółko trochę dłużej z tym paskudnym haczykiem w pysku. Pytanie, co robić w tym czasie. Telewizja nigdy nie miała dla niego mniej uroku.

Wpada na pomysł – dziś rano ma pomysłów na pęczki – i wysuwa dolną szufladę biurka. Jest tam pudełko pełne małych kołnotatników, jakie nosił przy sobie, kiedy z Pete'em prowadzili przesłuchania na ulicach. Nigdy nie przypuszczał, że jeszcze do czegoś się przydadzą, ale teraz wyjmuje jeden i chowa do tylnej kieszeni spodni.

Notesik mieści się idealnie.

Hodges dochodzi do połowy Harper Road, potem zaczyna pukać do drzwi, całkiem jak za dawnych czasów. Przecina ulicę tam i z powrotem, nie pomija nikogo, posuwając się w stronę domu. To dzień powszedni, ale zdumiewająco wiele osób otwiera na jego pukanie czy dzwonek. Niektóre to niepracujące żony, jest też wielu emerytów jak on, szczęściarzy, którzy spłacili swoje domy, zanim w gospodarce wyleciało dno, poza tym jednak w kiepskiej sytuacji. Może nie żyją z dnia na dzień ani z tygodnia na tydzień, ale pod koniec miesiąca muszą podliczać koszty jedzenia, porównując z kosztami tych wszystkich lekarstw dla starych ludzi.

Bajeczka Hodgesa jest prosta, bo prostota zawsze jest najlepsza. Mówi, że kilka przecznicy dalej było włamanie – pewnie dzieciaki – więc sprawdza, czy ktoś w jego sąsiedztwie nie zauważył obcych pojazdów, które pojawiły się więcej niż raz. I krążyły jeszcze wolniej, niż wymaga ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę. Nie musi mówić nic więcej; oni wszyscy oglądają policyjne seriale i wiedzą, co to znaczy „rozpoznanie terenu”.

Pokazuje im swoją legitymację, z czerwoną pieczęcią EMERYTOWANY na nazwisku i danych osobowych pod zdjęciem. Dokładnie wyjaśnia, że nie przeprowadza tego wywiadu na prośbę policji (tego tylko potrzebuje, żeby ktoś z sąsiadów zadzwonił na komendę i sprawdził), to jego własny pomysł. W końcu on też tu mieszka i zależy mu na bezpieczeństwie tej okolicy.

Pani Melbourne, wdowa, której kwiaty tak zafascynowały Odella, zaprasza go na kawę i ciastka. Hodges przyjmuje zaproszenie, ponieważ kobieta wydaje się samotna. Po raz pierwszy naprawdę z nią rozmawia i szybko sobie uświadamia, że wdowa jest w najlepszym razie ekscentryczna, w najgorszym zdrowo stuknięta. Chociaż elokwentna. Musi jej to przyznać. Opowiada o czarnych SUV-ach, które zaobserwowała („Z przyciemnionymi szybami, przez które nie można zajrzeć, jak w tym serialu *24 godziny*”), i opisuje ich specjalne anteny. Wahadła, tak je nazywa, kołyszac ręką w przód i w tył dla demonstracji.

– Uhum – mówi Hodges. – Zapiszę to sobie.

Przewraca kartkę w notesiku i pisze na nowej stronie:

„Muszę się stąd wyrwać”.

– Dobry pomysł – chwali go pani Melbourne z błyszczącymi oczami. – Muszę panu powiedzieć, jak mi było przykro, kiedy żona od pana odeszła, detektywie Hodges. Odeszła, prawda?

– Zgodziliśmy się, że się nie zgodzimy – odpowiada Hodges z udawaną dobroduszością.

– Tak miło poznać pana osobiście i wiedzieć, że pan nad wszystkim czuwa. Proszę wziąć jeszcze ciastko.

Hodges spogląda na zegarek, z trzaskiem zamyka notesik i wstaje.

– Z rozkoszą, ale muszę już lecieć. Jestem umówiony w południe.

Ona obrzuca wzrokiem jego sylwetkę.

– Lekarz?

– Kręgarz.

Pani Melbourne marszczy brwi i teraz jej twarz przypomina skorupę orzecha włoskiego z oczami.

– Radzę to przemyśleć, detektywie Hodges. Kręgołamacze są niebezpieczni. Czasami ludzie kładą się na tych stołach i już nigdy nie wstają.

Odprowadza go do drzwi. Kiedy Hodges wychodzi na ganek, ona mówi:

– Warto się też przyjrzeć temu lodziarzowi. Ciągłe się tu kręci tej wiosny. Myśli pan, że lodziarnia Loeba sprawdza ludzi, których wynajmują do prowadzenia tych małych

furgonetek? Mam nadzieję, bo on mi wygląda podejrzanie. Może to piderasta.

– Ich kierowcy na pewno mają referencje, ale sprawdzę to.

– Następny świetny pomysł! – wykrzykuje pani Melbourne.

Hodges zastanawia się, co by zrobił, gdyby wysunęła długi hak, jak w starych wodewilach, i próbowała go wciągnąć z powrotem do środka. Powraca wspomnienie z dzieciństwa: czarownica z *Jasia i Małgosi*.

– I jeszcze... właśnie sobie przypomniałam... widziałam ostatnio kilka furgonetek.

Wyglądają jak samochody dostawcze... mają nazwy firm na bokach... ale każdy może wymyślić nazwę firmy, nie uważa pan?

– To zawsze możliwe – przyznaje Hodges, schodząc po stopniach.

– I powinien pan zajrzeć pod siedemnastkę. – Wskazuje w dół ulicy. – To prawie przy Hanover Street. Ciągłe tam jacyś późno przychodzą i gra głośna muzyka. – Wychyla się do przodu z drzwi, niemal się kłania. – Może to melina narkotykowa. Jakaś wytwórnia.

Hodges dziękuje jej za wskazówki i przechodzi przez ulicę. Czarne SUV-y i kierowca od Pana Smakusia, myśli. Plus furgonetki dostawcze pełne terrorystów z Al-Kaidy.

Po drugiej stronie ulicy znajduje pracującego w domu tatusia, niejakiego Alana Bowfingera.

– Tylko proszę mnie nie mylić z Goldfingerem – mówi i proponuje, żeby usiąść na krzeselkach ogrodowych z lewej strony domu, gdzie jest cień. Hodges z wdzięcznością przyjmuje zaproszenie.

Bowfinger wyjaśnia, że zarabia na życie, pisząc kartki z życzeniami.

– Specjalizuję się w nieco kąśliwych. Jak ta z napisem na wierzchu: „Najlepsze życzenia urodzinowe! Kto jest najpiękniejszy na świecie?”. A kiedy się ją rozłoży, w środku jest kawałek lustrzanej folii z pęknięciem przez środek.

– Tak? I jaka wiadomość?

Bowfinger podnosi ręce, jakby rysował ramkę.

– „Nie Ty, ale i tak Cię kochamy”.

– Trochę złośliwe – ocenia Hodges.

– Owszem, ale kończy się wyrazami miłości. Dlatego te kartki się sprzedają. Najpierw szpila, potem buzi. Co do pana dzisiejszej misji, panie Hodges... czy powinienem mówić: detektywie Hodges?

– Teraz tylko „pan”.

– Nie widziałem nic poza zwykłym ruchem ulicznym. Żadnych powoli krążących pojazdów oprócz ludzi szukających jakiegoś adresu i furgonetki z lodami po szkole. – Bowfinger przewraca oczami. – Pani Melbourne zagadała pana na śmierć?

– No...

– Ona należy do KKBZA – mówi Bowfinger. – To skrót od Krajowej Komisji Badania Zjawisk Atmosferycznych.

– Zjawisk atmosferycznych? Jak tornada i formacje chmur?

– Latające talerze. – Bowfinger wznosi ręce do nieba. – Ona myśli, że obcy żyją wśród nas.

Hodges mówi coś, co nigdy nie przeszłoby mu przez gardło, gdyby nadal był w czynnej służbie i prowadził oficjalne śledztwo:

– Ona myśli, że Pan Smakuś jest piderastą. Bowfinger śmieje się, aż łzy płyną mu z oczu.

– O Boże – wzdycha. – Ten facet jeździ tu od pięciu czy sześciu lat, dzwoni dzwoneczkami i sprzedaje lody. Nie wygląda na piderastę.

– Na piderastę też nie – przyznaje Hodges i wstaje. Podaje rękę Bowfingerowi. Kolejna

rzecz, którą odkrył na emeryturze: jego sąsiedzi mają charaktery i osobowości. Niektóre nawet interesujące.

Kiedy chowa notesik, na twarzy Bowfingera pojawia się niepokój.

– Co? – pyta Hodges, natychmiast czujny. Bowfinger wskazuje na drugą stronę ulicy.

– Chyba pan nie jadł jej ciastek?

– Jadłem. A co?

– Radzę przez parę godzin nie oddalać się od toalety.

Kiedy Hodges wraca do domu z obolałymi stopami i kostkami śpiewającymi wysokie C, na sekretarce mruga światelko. To Pete Huntley, wyraźnie podniecony. „Zadzwoń do mnie”, prosi. „To niesamowite. Kurwa, aż trudno uwierzyć”.

Hodgesa ogarnia nagła irracjonalna pewność, że Pete i jego ładna nowa partnerka Isabelle w końcu jednak dopadli Pana Mercedesa. Czuje głębokie ukłucie zazdrości i – to idiotyczne, ale prawdziwe – gniew. Z włączonym sercem naciska przycisk szybkiego wybierania i dzwoni do Pete’a, ale zostaje przekierowany na pocztę głosową.

– Dostałem twoją wiadomość – mówi. – Zadzwoń, kiedy będziesz mógł.

Rozłącza się i siedzi bez ruchu, bębniąc palcami po krawędzi biurka. Powtarza sobie, że nie ma znaczenia, kto złapie tego psychopatycznego skurwysyna, jednak to ma znaczenie. Po pierwsze, wtedy oczywiście wyszłaby na jaw jego korespondencja ze spracą (zabawne, jak to słowo się przyczepia), przez co miałyby spore kłopoty. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że bez Pana Mercedesa wróciliby do poprzedniego życia: popołudni przed telewizorem i zabaw z rewolwerem ojca.

Wyciąga swój żółty notes i zaczyna przepisywać notatki z rozmów z sąsiadami. Po minucie czy dwóch wrzuca notes z powrotem do teczki i zatrząskuje ją. Jeśli Pete i Izzie Jaynes przyskrzynili gościa, furgonetki i złowieszcze czarne SUV-y pani Melbourne gównie znaczą.

Myśli, żeby wejść Pod Niebieski Parasol Debbie i wysłać do merckilla wiadomość: „Złapali cię?”.

Śmieszne, ale dziwnie kuszące.

Telefon dzwoni i Hodges łapie słuchawkę, ale to nie Pete. To siostra Olivii Trelawney.

– Och – mówi Hodges. – Witam, pani Patterson. Co u pani?

– W porządku – odpowiada – i jesteśmy po imieniu, pamiętasz? Ja Janey, ty Bill.

– Janey, racja.

– Nie wydajesz się zachwycony moim telefonem, Bill.

Czyżby odrobinę z nim flirtowała? Jakie to miłe.

– Nie, nie, cieszę się, że dzwonisz, ale nie mam nic do zameldowania.

– Nie spodziewałam się, że masz. Dzwonię w sprawie mamy. Pielęgniarka z Sunny Acres, która najlepiej zna jej przypadek, pracuje na dzienną zmianę w McDonald Building, gdzie mama zajmuje niewielki apartament. Prosiłam ją, żeby zadzwoniła, gdyby mamie się poprawiło. Ciągle jeszcze to się zdarza.

– Tak, mówiłaś mi.

– No więc pielęgniarka zadzwoniła dosłownie kilka minut temu i powiedziała, że mama wróciła do siebie, przynajmniej chwilowo. Zachowa jasny umysł przez dzień lub dwa, potem znowu wpadnie w otępienie. Wciąż chcesz się z nią spotkać?

– Chyba tak – odpowiada ostrożnie Hodges – ale dopiero po południu. Czekam na telefon.

– W sprawie tego człowieka, który zabrał jej samochód? – Janey jest przejęta. I powinna, myśli Hodges.

– Tego muszę się dowiedzieć. Mogę do ciebie oddzwonić?

– Oczywiście. Masz numer mojej komórki?

– Taa.

– Taa – powtarza Janey, lekko go przedrzeźniając, i pomimo zdenerwowania on znowu musi się uśmiechnąć. – Zadzwoń jak najszybciej.

– Zadzwoń.

Rozłącza się i telefon dzwoni ponownie, zanim Hodges zdążył go odłożyć. Tym razem to Pete, podniecony jak nigdy.

– Billy! Muszę zaraz wracać, mamy go w pokoju przesłuchań... zresztą w PP-cztery, pamiętasz, jak zawsze mówiłeś, że to twój szczęśliwy pokój...? Ale musiałem do ciebie zadzwonić. Mamy go, partnerze, mamy go, kurwa mać!

– Kogo macie? – pyta Hodges, siłąc się na spokojny ton. Serce też mu bije spokojnie, ale tak mocno, że czuje w skroniach każde uderzenie: łup, łup, łup.

– Pieprzonego Davisa! – wykrzykuje Pete. – A kogo?

Davis. Nie Pana Mercedesa, tylko Donniego Davisa, telegenicznego mordercę żony. Bill Hodges z ulgą zamyka oczy. Nie powinien czuć ulgi, ale czuje.

– Więc ciało, które znalazł strażnik łowiecki niedaleko jego domku, to było ciało Tiny Davis? Na pewno?

– Absolutnie.

– Komu musiałeś obciągnąć, żeby tak szybko dostać wyniki DNA? – Za czasów Hodgesa mieli szczęście, jeśli dostali wyniki testów po upływie miesiąca od dostarczenia próbek; przeciętnie czekało się sześć tygodni.

– Nie potrzebujemy DNA! Jasne, na procesie, ale...

– Jak to, nie po...

– Zamknij się i słuchaj, okay? On po prostu wszedł z ulicy i się przyznał. Bez adwokata, bez żadnych bzdurnych usprawiedliwień. Wysłuchał swoich praw i powiedział, że nie potrzebuje adwokata, tylko chce to zrzucić z serca.

– Jezu. Tak dobrze się trzymał na wszystkich przesłuchaniach. Jesteś pewien, że nie leci z wami w chujki? Nie prowadzi podwójnej gry?

Myśli, że czegoś takiego spróbowałby Pan Mercedes, gdyby go dopadli. Nie zwykłej gry, ale podwójnej gry. Czy dlatego próbuje stosować różne style pisania w swoich jadowitych listach?

– Billy, nie chodzi tylko o jego żonę. Pamiętasz te laleczki, które miał na boku? Panienki z długimi włosami, powiększonymi cyckami i imionami w rodzaju Bobbi Sue?

– Jasne. Co z nimi?

– Kiedy to się wyda, te panienki padną na kolana i podziękują Bogu, że jeszcze żyją.

– Nie rozumiem.

– Joe Rogatka, Billy! Pięć kobiet zgwałconych i zabitych na rozmaitych miejscach postojowych przy autostradach stąd do Pensylwanii, zaczynając od dziewięćdziesiątego czwartego i kończąc w dwa tysiące drugim! Donnie Davis mówi, że to on! Davis to Joe Rogatka! Podaje miejsca, czas i opisy. Wszystko pasuje. To... w pale się nie mieści!

– Mnie też – mówi Hodges absolutnie szczerze. – Gratulacje.

– Dzięki, ale nic nie zrobiłem, tylko przyszedłem rano do pracy. – Pete śmieje się szaleńczo. – Czuję się, jakbym wygrał milion.

Hodges tak się nie czuje, ale przynajmniej nie przegrał miliona. Wciąż ma sprawę do rozwiązania.

– Muszę tam wracać, Billy, zanim on się rozmyśli.

– Tak, tak, ale... Pete? Zanim pójdziesz...

– Co?

– Załatw mu obrońcę z urzędu.

– Oj, Billy...

– Mówię poważnie. Wyciśnij z niego wszystko, ale zanim zaczniesz, ogłoś oficjalnie,

że przydzielasz mu obrońcę. Możesz go przesłuchać dziesięć razy, zanim ktoś się zjawi w Murrow, jednak musisz to zrobić, jak należy. Słyszysz?

– Taa, okay. Dobry pomysł. Powiem Izzy, żeby się tym zajęła.

– Świetnie. A teraz wracaj tam. Przyduś go.

Pete dosłownie pieje z radości. Hodges czytał, że ludzie tak robią, ale nigdy tego nie słyszał – tylko w wykonaniu kogutów – aż do tej pory.

– Joe Rogatka, Billy! Pieprzony Joe Rogatka! Uwierzysz? Rozłącza się, zanim jego ekspartner zdążył odpowiedzieć.

Hodges siedzi bez ruchu niemal przez pięć minut i czeka, aż ustąpi spóźnione drzenie. Potem dzwoni do Janey Patterson.

– Nie chodziło o człowieka, którego szukamy?

– Przykro mi, nie. Inna sprawa.

– Och. Szkoda.

– Taa. I co, jedziesz ze mną do domu opieki?

– Pewnie. Będę czekać na chodniku.

Przed wyjściem Hodges po raz ostatni sprawdza Niebieski Parasol. Nic nie przyszło. Nie zamierza dzisiaj wysłać swojej starannie skomponowanej wiadomości. Wieczorem wystarczy. Niech ryba dłużej się pomęczy na haczyku.

Wychodzi z domu, nie przeczuwając, że wieczorem go tu nie będzie.

Sunny Acres jest sztywne. Elizabeth Wharton nie.

Siedzi w fotelu inwalidzkim, zgarbiona w pozie, która przypomina Hodgesowi *Myśliciela* Rodina. Promienie popołudniowego słońca wpadają ukośnie przez okno i zmieniają jej włosy w srebrną chmurkę, delikatną jak aureola. Za oknem, na falującym, starannie przystrzyżonym trawniku kilku starszków rozgrywa powolną partię krokieta. Dla pani Wharton czasy krokieta się skończyły. I czasy wstawania. Ostatnim razem, kiedy Hodges ją widział – obok niego stał wtedy Pete Huntley, a przy niej siedziała Olivia Trelawney – była zgięta. Teraz jest złamana.

Janey, wyglądająca promiennie w białych spodniach rurkach i marynarskiej koszulce w biało-niebieskie paski, klęka obok matki i gładzi jej fatalnie powykręcaną dłoń.

– Jak się dzisiaj czujesz, kochana? – pyta. – Wyglądasz lepiej.

Jeśli to prawda, Hodges jest przerażony.

Pani Wharton spogląda na córkę wyblakłymi niebieskimi oczami, które nie wyrażają niczego, nawet zdziwienia. Hodges upada na duchu. Z przyjemnością przywiózł tutaj Janey, z przyjemnością na nią patrzył, z przyjemnością poznał ją trochę bliżej – i to dobrze. To znaczy, że ta wycieczka nie była całkiem daremna.

Potem wydarza się maleńki cud. Zamglone kataraktą oczy starszej pani rozjaśniają się; spękane, nieuszminowane wargi rozciągają się w uśmiechu.

– Witaj, Janey.

Może podnieść głowę tylko trochę, ale zerka na Hodgesa. Teraz oczy ma zimne.

– Craig.

– To nie jest Craig, słonko. To mój przyjaciel. Nazywa się Bill Hodges. Już go poznałaś.

– Nie, nie wydaje mi się... – Milknie, marszczy brwi, potem mówi: – Pan jest... jednym z tych detektywów?

– Tak, psze pani.

Nawet nie próbuje wyjaśniać, że jest na emeryturze. Lepiej trzymać się najprostszej wersji, dopóki w jej mózgu wciąż działa parę obwodów.

Pani Wharton jeszcze mocniej ściąga brwi, kaniony zmarszczek żłobią jej twarz.

– Myślał pan, że Livvy zostawiła kluczyk w samochodzie i dlatego ten człowiek mógł go ukraść. Powtarzała panu, że nie, ale pan jej nie wierzył.

Hodges, naśladując Janey, klęka na jedno kolano przed wózkiem inwalidzkim.

– Pani Wharton, teraz myślę, że mogliśmy się mylić.

– Oczywiście, że się myliliście. – Starsza pani przenosi spojrzenie na córkę, zerkając spod łuku brwi. Tylko w ten sposób może patrzeć. – Gdzie jest Craig?

– Rozwiodłam się z nim w zeszłym roku, mamo.

Ona to rozważa, potem mówi:

– I dobrze, krzyżyk na drogę.

– Zgadzam się całkowicie. Czy Bill może ci zadać kilka pytań?

– Nie widzę przeszkód, ale chcę trochę soku pomarańczowego. I pigułki przeciwbólowe.

– Zejdę do dyżurki pielęgniarek i zobaczę, czy już pora – mówi Janey. – Bill, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli...?

Hodges kręci głową i daje znak dwoma palcami: „Idź, idź”. Jak tylko wyszła, wstaje i siada na łóżku Elizabeth Wharton, z rękami splecionymi między kolanami. Ma przy sobie notatnik, ale boi się, że robienie notatek może ją rozpraszać. Przyglądają się sobie nawzajem w milczeniu. Hodgesa fascynuje srebrny nimb wokół głowy starszej pani. Widać ślady, że ktoś ją czesał tego ranka, ale w ciągu następnych paru godzin włosy rozwichrzyły się dziko na swój

własny sposób. Hodgesowi się to podoba. Skolioza brzydtko powykręcała jej ciało, ale włosy są piękne. Piękne i szalone.

– Myślę – mówi – że źle potraktowaliśmy pani córkę, pani Wharton.

Tak, rzeczywiście. Nawet gdyby pani T. była mimowolną współniczką, bo Hodges nie odrzuca całkowicie możliwości, że zostawiła kluczyk w stacyjce, on i Pete niezbyt się popisali. Łatwo – zbyt łatwo – zlekceważyć kogoś, kogo się nie lubi.

– Zaślepiły nas pewne uprzedzenia i tego żałuję.

– Mówi pan o Janey? Janey i Craigu? Uderzył ją, wie pan? Chciała go powstrzymać, żeby nie brał tych swoich narkotyków, a on ją uderzył. Ona mówi, że tylko raz, ale ja myślę, że więcej.

– Powoli unosi rękę i stuka bladym palcem w czubek nosa. – Matka zawsze wie.

– Nie chodzi o Janey. Mówię o Olivii.

– Przez niego Livvy przestała brać pigułki. Mówiła, że to dlatego, że nie chce się uzależnić od prochów jak Craig, ale to nie to samo. Ona potrzebowała tych pigułek.

– Chodzi pani o środki antydepresyjne?

– Dzięki tym pigułkom mogła wychodzić z domu. – Pani Wharton zastanawia się przez chwilę. – Brała też inne, żeby nie dotykać czegoś bez przerwy. Moja Livvy miała swoje dziwactwa, ale dobra z niej była dziewczyna. W głębi duszy była naprawdę dobra.

Zaczyna płakać.

Na stoliku nocnym stoi pudełko chusteczek. Hodges wyciąga kilka i podaje jej, kiedy jednak widzi, jak trudno jej zgiąć palce, sam wyciera jej oczy.

– Dziękuję panu. Pan się nazywa Hedges?

– Hodges, psze pani.

– Pan był ten miły. Ten drugi bardzo podle traktował Livvy. Mówiła, że się z niej śmiał. Śmiał się przez cały czas. Mówiła, że widziała to w jego oczach.

Czy to prawda? Jeśli tak, Hodges wstydzi się za Pete'a. I za siebie, że nie zauważył.

– Kto jej poradził, żeby przestała brać środki antydepresyjne? Czy pani pamięta?

Janey wraca z sokiem pomarańczowym i papierowym kubeczkim, zapewne zawierającym tabletki przeciwbólowe. Hodges dostrzega ją kątem oka i tymi samym dwoma palcami co wcześniej pokazuje, żeby odeszła. Nie chce, żeby pani Wharton się zdekoncentrowała ani żeby brała leki, które jeszcze bardziej poplączą jej poplątane wspomnienia.

Pani Wharton milczy. Potem, kiedy Hodges już stracił nadzieję, mówi:

– To był jej korespondencyjny przyjaciel.

– Czy poznała go Pod Niebieskim Parasolem? Niebieski Parasol Debbie?

– Nie poznała go. Nie osobiście.

– Chodziło mi...

– Niebieski Parasol to była fantazja. – Spod siwych brwi patrzy na niego jak na kompletnego idiotę. – To było coś w jej komputerze. Frankie był jej komputerowym przyjacielem.

Hodges zawsze czuje jakby elektryczny wstrząs w środku, kiedy pojawia się nowa informacja. Frankie. Z pewnością facet tak się nie nazywa, ale imiona mają moc, a pseudonimy często coś znaczą. Frankie.

– Kazał jej przestać brać lekarstwa?

– Tak, twierdził, że ją uzależniają. Gdzie jest Janey? Chcę moje pigułki.

– Na pewno zaraz wróci.

Pani Wharton duma przez chwilę.

– Frankie twierdził, że brał dokładnie te same lekarstwa i dlatego zrobił... to, co zrobił. Że poczuł się lepiej, kiedy przestał je brać. Że kiedy przestał je brać, zrozumiał, że źle postąpił.

Ale to go zasmuciło, bo nie mógł cofnąć czasu. Tak mówił. I że życie jest nic niewarte. Prosiłam Livvy, żeby z nim nie rozmawiała. Ostrzegałam, że on jest zły. Że to trucizna. A ona...

Znowu płyną łzy.

– Ona powiedziała, że musi go ocalić.

Tym razem, kiedy Janey staje w drzwiach, Hodges kiwa jej głową. Janey wkłada dwie niebieskie pigułki między ściągnięte, szukające wargi matki, potem daje jej sok do popicia.

– Dziękuję, Livvy.

Hodges widzi, jak Janey się wzdryga, potem uśmiecha.

– Proszę bardzo, kochanie. – Odwraca się do Hodgesa. – Chyba powinniśmy iść, Bill.

Mama jest bardzo zmęczona.

On to widzi, ale ociąga się z odejściem. Zna to wrażenie, że przesłuchanie nie jest skończone. Że jeszcze jedno jabłko wisi na drzewie.

– Pani Wharton, czy Olivia mówiła coś jeszcze o Frankiem? Ponieważ pani ma rację. On jest zły. Chciałbym go znaleźć, żeby nie mógł już nikogo skrzywdzić.

– Livvy nigdy nie zostawiłaby kluczyka w aucie. Nigdy. – Elizabeth Wharton siedzi zgarbiona w smudze słonecznego blasku, ludzki nawias w puchatym niebieskim szlafroku, nieświadoma srebrzystej aureoli nad głową. Ponownie unosi palec... napominająco. – Ten nasz pies nigdy nie zwymiotował drugi raz na dywan. Tylko raz.

Janey bierze Hodgesa za rękę i wymawia samymi ustami: „Chodźmy”.

Trudno się pozbyć starych nawyków i Hodges wypowiada zwyczajową formułkę, kiedy Janey schyla się i całuje matkę najpierw w policzek, potem w kącik suchych ust.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas, pani Wharton. Bardzo mi pani pomogła.

Kiedy podchodzą do drzwi, pani Wharton mówi bardzo wyraźnie:

– Ale ona i tak nie popełniłaby samobójstwa, gdyby nie duchy.

Hodges odwraca się. Stojąca obok niego Janey Patterson szeroko otwiera oczy.

– Jakie duchy, pani Wharton?

– Jeden to było dziecko – wyjaśnia. – To biedne maleństwo, zabite razem z innymi. Livvy słyszała płacz tego dziecka, po całych nocach. Powiedziała, że dziecko miało na imię Patricia.

– W domu? Olivia słyszała to w swoim domu? Elizabeth Wharton zdobywa się na najlżejsze skinienie głową, zaledwie opuszczenie podbródka.

– I czasami matkę. Mówiła, że matka ją oskarża. Spogląda na nich z wózka inwalidzkiego.

– Krzyczała: „Dlaczego mu pozwoliłaś zamordować moje dziecko?!”. I dlatego Livvy się zabiła.

W piątkowe popołudnie ulice kipią od dzieciaków wypuszczonych ze szkół. Na Harper Road jest ich niewiele, ale trochę jest, co daje Brady'emu całkowicie uzasadniony powód, żeby przejechać powoli obok numeru 63 i zajrzeć w okno. Tylko że nie może zajrzeć, bo zasłony są zaciągnięte. A pod wiatą z lewej strony domu stoi tylko kosiarka. Zamiast siedzieć na tyłku i oglądać telewizję, jak należy, Det. Em. rozbija się gdzieś w swojej starej gównianej toyocie.

Gdzie się rozbija? Pewnie to bez znaczenia, ale pod nieobecność Hodgesa Brady czuje się jakoś nieswojo.

Dwie małe dziewczynki truchtają do krawężnika, ściskając w rączkach pieniądze. Z pewnością je uczono, w domu i w szkole, żeby nigdy nie podchodziły do obcych, zwłaszcza do obcych mężczyzn, ale któż jest mniej obcy niż stary pocziwy Pan Smakuś?

Sprzedaje każdej po rożku, jednej waniliowy, drugiej czekoladowy. Przekomarza się z nimi, pyta, skąd się wzięły takie ładne. One chichoczą. W rzeczywistości jedna jest brzydka, a druga jeszcze gorsza. Obsługując je i wydając resztę, Brady myśli o nieobecnej corolli i zastanawia się, czy ten wyłom w popołudniowej rutynie Det. Em. ma z nim coś wspólnego. Następną wiadomość od Hodgesa Pod Niebieskim Parasolem może rzucić nieco światła na to, co się dzieje w głowie ekspliniera.

Nawet jeśli nie, Brady chce, żeby się odezwał.

– Nie waż się mnie ignorować – mówi, kiedy dzwoneczki dźwięczą mu nad głową.

Przecina Hanover Street, parkuje przed galerią handlową, wyłącza silnik (irytujące dzwoneczki wreszcie cichną) i wyciąga laptopa spod siedzenia. Trzyma go w izolowanym pokrowcu, bo w furgonetce zawsze jest tak cholernie zimno. Odpala go i wchodzi Pod Niebieski Parasol Debbie przez Wi-Fi pobliskiej kawiarni.

Nic.

– Ty gnoju – szepcze Brady. – Nie waż się mnie ignorować, ty gnoju.

Zapina z powrotem pokrowiec laptopa i widzi dwóch chłopców, którzy stoją przed sklepem z komiksami, rozmawiają, patrzą na niego i szczerzą zęby. Dzięki pięcioletniemu doświadczeniu Brady ocenia, że to szósto- albo siódmostoklasiści z IQ wynoszącym łącznie sto dwadzieścia i długą przyszłością odbierania czeków z zasiłkami.

Podchodzą, bardziej głupkowaty z dwójki, podobny do Goofy'ego, prowadzi. Brady z uśmiechem wychyla się przez okno.

– Co mogę dla was zrobić, chłopcy?

– Chcemy wiedzieć, czy pan tam ma Jerry'ego Garcię – odzywa się Goofy.

– Nie – zaprzecza Brady z jeszcze szerszym uśmiechem – ale gdybym miał, na pewno bym go puścił.

Wyglądają na tak komicznie rozczarowanych, że Brady o mało nie wybucha śmiechem. Zamiast tego wskazuje na spodnie Goofy'ego.

– Masz rozpięty rozporek – mówi.

Kiedy Goofy spuszcza wzrok, Brady daje mu prztyczka w miękkie ciało pod brodą. Trochę mocniej, niż zamierzał – właściwie dużo mocniej – ale co tam.

– Nabrałem cię – rzuca wesóło.

Goofy uśmiecha się, żeby pokazać, że tak, dał się nabrać, ale ma czerwony ślad tuż nad jabłkiem Adama i łyzy zaskoczenia w oczach.

Goofy i Nie Całkiem Goofy odchodzą. Goofy ogląda się przez ramię. Wysunął dolną wargę i wygląda teraz jak trzecioklasista, nie jak kolejny nastoletni onanista, który już we wrześnie będzie się rozbijał po korytarzach szkoły średniej Beal.

– To naprawdę boli – mówi z pewnym zdziwieniem.

Brady jest wściekły na siebie. Prztyczek dostatecznie mocny, żeby oczy dzieciaka zaszczyły łzami, oznacza niczym niezamaskowaną prawdę. Oznacza również, że Goofy i Nie Całkiem Goofy go zapamiętają. Brady może przeprosić, nawet dać im po darmowym rożku na znak dobrej woli, ale coś takiego na pewno zapamiętają. To drobiazg, jednak drobiazgi się sumują i w końcu robi się poważna sprawa.

– Przepraszam – mówi całkiem szczerze. – Ja tylko żartowałem, synu.

Goofy pokazuje mu palec, a Nie Całkiem Goofy dokłada swój środkowy paluch w ramach solidarności. Wchodzą do sklepu z komiksami, gdzie – jeśli Brady zna takich chłopców, a zna ich dobrze – po pięciu minutach grzebania w towarze zostaną poproszeni, żeby albo coś kupili, albo wyszli.

Zapamiętają go. Goofy może nawet powiedzieć rodzicom, a oni mogą wnieść skargę do Loeba. To mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe, i czyja to wina, że dał Goofy’emu prztyczka w odsłoniętą szyję dostatecznie mocno, żeby zostawić ślad, zamiast delikatnie go szturchnąć, jak zamierzał? To eksplinierz wytrącił go z równowagi. Przez niego Brady narozrabiał i wcale mu się to nie podoba.

Uruchamia silnik furgonetki z lodami. Dzwonek zaczyna wydzwaniać melodyjkę z głośnika na dachu. Brady skręca w lewo na Hanover Street i kontynuuje dzienną rundkę, sprzedaje rożki, Happy Boys i Pola Bars, posypuje cukrem popołudnie i przestrzega ograniczenia szybkości.

Chociaż po siódmej wieczorem na Lake Avenue jest mnóstwo miejsc do parkowania – jak doskonale wiedziała Olivia Trelawney – o piątej po południu, kiedy Hodges i Janey Patterson wracają z Sunny Acres, trudno znaleźć wolne miejsce. Hodges dostrzega jedno kilka domów dalej i choć jest ciasne (samochód obok stanął trochę krzywo), wmanewrowuje tam toyotę szybko i gładko.

– Jestem pod wrażeniem – mówi Janey. – Ja bym tak nie potrafiła. Dwa razy z rzędu oblałam egzamin z równoległego parkowania.

– Pewnie miałaś upierdliwego instruktora.

Janey się uśmiecha.

– Za trzecim razem założyłam krótką spódniczkę i cudem się udało.

Myśląc, jak bardzo chciałby ją zobaczyć w krótkiej spódniczce, im krótszej, tym lepiej, Hodges mówi:

– Właściwie w tym nie ma żadnych cudów. Jeśli się cofasz w stronę krawężnika pod kątem czterdziestu pięciu stopni, musi się udać. No, chyba że samochód jest za duży. Toyota idealnie się nadaje do parkowania w mieście. Nie to, co... – Urywa.

– Co mercedes – kończy za niego Janey. – Wejź na kawę, Bill. Nawet opłacę parkometr.

– Ja opłacę. I to na maksa. Mamy dużo do obgadania.

– Dowiedziałeś się czegoś od mamy, prawda? Dlatego milczałeś przez całą drogę powrotną.

– Dowiedziałem się i przekażę ci, ale nie od tego zaczniemy rozmowę. – Patrzy teraz prosto na nią. Łatwo jest patrzeć na taką twarz. Chryste, jak bardzo chciałby być młodszy o piętnaście lat. Nawet dziesięć. – Muszę być z tobą szczerzy. Myślę, że odniosłaś wrażenie, że przyszedłem do ciebie, licząc na zlecenie, a tak nie jest.

– Nie – zaprzecza. – Myślę, że przyszedłeś, bo miałeś wyrzuty sumienia z powodu mojej siostry. Po prostu cię wykorzystałam. Ale nie żałuję. Dobrze się zachowałeś w stosunku do matki. Łagodnie. Bardzo... bardzo delikatnie.

Jest blisko, niebieskie oczy ma bardzo szeroko otwarte, nieco ciemniejsze w świetle popołudnia. Otwiera usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale on nie daje jej szansy. Całuje ją, zanim zdąży pomyśleć, jakie to głupie, jakie lekkomyślne, i jest zdumiony, kiedy ona oddaje pocałunek, nawet kładzie mu prawą rękę na karku, żeby wzmocnić kontakt. To trwa najwyżej pięć sekund, ale jemu wydaje się znacznie dłuższe, bo od dawna nie przeżył takiego pocałunku. Ona się odsuwa, przegarnia mu ręką włosy i mówi: – Chciałam to zrobić przez całe popołudnie. Teraz chodźmy na górę. Zaparzę kawę, a ty złożysz raport.

Ale raport składa dopiero znacznie później, a kawy nie piją wcale.

Całuje ją ponownie w windzie. Tym razem jej ręce splatają się na jego karku, a jego wędrują w dół po jej plecach aż do białych spodni, miękko suną po pośladkach. Jest świadomy, że jego wielkie brzuszysko naciska na jej płaski brzuch i z pewnością budzi w niej odrazę, ale kiedy drzwi windy się otwierają, ona ma zarumienione policzki, oczy jej błyszczą i pokazuje drobne białe zęby w uśmiechu. Bierze go za rękę i ciągnie przez krótki korytarz do drzwi apartamentu.

– Chodź – mówi. – Chodź, zrobimy to, więc chodź, zanim któreś z nas stchórzy.

Na pewno nie ja, myśli Hodges. W tej chwili nie boi się niczego.

Najpierw ona nie może otworzyć drzwi, bo ręka trzymająca klucz za bardzo się trzęsie. Janey śmieje się z tego. On oplata palcami jej palce i razem wsuwają klucz do zamka.

Apartament, w którym po raz pierwszy spotkał siostrę i matkę tej kobiety, tonie w cieniu, ponieważ słońce przesunęło się na drugą stronę budynku. Jezioro pociemniało do głębokiego kobaltu, niemal graniczącego z purpurą. Żaglówki znikły, ale widać frachtowiec...

– Chodź – powtarza Janey. – Chodź, Bill, nie zostawiaj mnie teraz.

Potem są w którejś sypialni. On nie wie, czy to sypialnia Janey, czy ta, w której nocowała Olivia w czwartkowe noce, i wszystko mu jedno. Ostatnie miesiące życia – popołudniowa telewizja, obiady z mikrofalówki, ojcowski rewolwer Smith & Wesson – wydają się tak odległe, jakby należały do fikcyjnej postaci w nudnym zagranicznym filmie.

Janey próbuje ściągnąć przez głowę pasiastą marynarską koszulę, która zaczepia o klamrę we włosach. Janey wydaje zduszony, sfrustrowany śmiech.

– Pomóż mi z tym cholerstwem, dobrze...?

Hodges przesuwa rękami w górę po jej gładkich bokach – Janey wzdryga się leciutko przy pierwszym dotknięciu – i sięga pod koszulkę wywróconą na lewą stronę. Rozciąga materiał i unosi. Jej głowa wyskakuje, uwolniona. Janey śmieje się urywanie, bez tchu. Ma na sobie biały bawełniany stanik. Hodges trzyma ją w talii i całuje między piersiami. Ona rozpiną mu pasek i guzik spodni. On myśli: Gdybym wiedział, że coś takiego może się stać na tym etapie mojego życia, wróciłbym na siłownię.

– Dlaczego... – zaczyna.

– Och, zamknij się. – Janey przeciąga ręką w dół po jego spodniach, nadgarstkiem rozsuwa zamek błyskawiczny. Spodnie opadają na buty z brzękiem drobnych monet. – Zostaw gadanie na później. – Chwyta przez bieliznę jego twardość i porusza jak dźwignią zmiany biegów, a on tłumi okrzyk. – Dobry początek. Tylko mi nie zmięknij, Bill, ani się waż.

Padają na łóżko, Hodges jeszcze w bokserkach, Janey w bawełnianych majteczkach równie zwyczajnych jak biustonosz. On próbuje przewrócić ją na plecy, ale ona stawia opór.

– Nie wleżesz na mnie – mówi. – Jeśli dostaniesz ataku serca, kiedy będziemy się pieprzyć, zmiażdżysz mnie.

– Jeśli dostanę ataku serca, kiedy będziemy się pieprzyć, umrę jako najbardziej rozczarowany człowiek na świecie.

– Leż spokojnie. Po prostu leż spokojnie.

Zahacza kciuki o brzegi bokserek. On ujmuje w dłonie jej zwisające piersi.

– Teraz unieś nogi. I rób tak dalej. Trochę kciukami, lubię to.

Hodges wykonuje oba polecenia; wielozadaniowość nigdy nie sprawiała mu kłopotu.

Po chwili Janey spogląda na niego z góry. Kosmyk włosów spadł jej na oko. Wysuwa dolną wargę i odrzuca go dmuchnięciem.

– Leż spokojnie. Pozwól mi wszystko zrobić. I zostań ze mną. Nie zamierzam się rządzić,

ale nie uprawiałam seksu od dwóch lat, a ostatni był do kitu. Chcę mieć przyjemność. Należy mi się.

Obejmuje go jej lepkie, śliskie ciepło. Hodges unosi biodra, nie może się powstrzymać.

– Leż spokojnie, powiedziałam. Następnym razem możesz się ruszać, ile chcesz, ale ten raz jest mój.

To trudne, ale on stosuje się do polecenia.

Włosy znowu spadają jej na oczy, ale tym razem nie wysuwa dolnej wargi, żeby je zdmuchnąć, tylko przygryza ją lekkimi ukąszeniami, które pewnie poczuje dopiero później. Rozczapierza palce i oburącz mocno pociera siwiejące włosy na jego klatce piersiowej, potem schodzi niżej, na żenującą wypukłość brzucha.

– Powinienem... schudnąć – dyszy Hodges.

– Powinieneś się zamknąć – odpowiada ona, potem porusza się, tylko troszeczkę, i zamyka oczy. – O Boże, jak głęboko. I przyjemnie. Później będziesz się martwić o swoją dietę, okay?

Znowu zaczyna się poruszać, przerywa, żeby poprawić kąt, potem wpada w rytm.

– Nie wiem, jak długo mogę...

– Radzę ci, żebyś mógł. – Janey nie otwiera oczu. – Lepiej się wstrzymaj, detektywie Hodges. Wymieniaj liczby pierwsze. Przypominaj sobie książki, które lubiłeś w dzieciństwie. Przeliteruj „ksylofon” od końca. Tylko zostań ze mną. Nie potrzebuję długo.

Zostaje z nią akurat wystarczająco długo.

Czasami, w chwilach zdenerwowania, Brady Hartsfield powtarza trasę swojego największego triumfu. To go uspokaja. Tego piątkowego wieczoru nie wraca do domu po odstawieniu furgonetki i paru obowiązkowych żartach z Shirley Orton w biurze. Zamiast tego jedzie swoim gruchotem do miasta. Nie podoba mu się zarzucanie przód – tył i zbyt głośny klang silnika. Wkrótce będzie musiał przekalkulować koszty naprawy w porównaniu z kosztami nowego samochodu (nowego używanego samochodu). A honda matki potrzebuje naprawy jeszcze bardziej rozpaczliwie niż jego subaru. Nie żeby ostatnio matka często wyjeżdżała, i bardzo dobrze, skoro ciągle jest zapruta.

Wycieczka szlakiem wspomnień zaczyna się na Lake Avenue, tuż za jasnymi światłami śródmieścia, gdzie pani Trelawney zawsze w czwartkowe noce parkowała swojego mercedesa, i prowadzi dalej przez Marlborough Street do City Center. Jednak tego wieczoru Brady dociera tylko do apartamentowca. Hamuje tak nagle, że samochód jadący za nim o mało na niego nie wpada. Kierowca naciska klakson w długim, wściekłym proteście, ale Brady nie zwraca na niego uwagi. Jakby słyszał syrenę mgielną z drugiej strony jeziora.

Kierowca wymija go i opuszcza okno po stronie pasażera, żeby wrzasnąć na całe gardło: „Dupek!”. Na to też Brady nie zwraca uwagi.

W mieście na pewno są tysiące toyot corolli i setki niebieskich toyot corolli, ale ile niebieskich toyot corolli ma na zderzakach naklejki z napisem: POPIERAJCIE MIEJSCOWĄ POLICJĘ? Brady gotów się założyć, że jest tylko jedna, i co, do cholery, tłusty eksplinarz robi w apartamencie starszej pani? Dlaczego odwiedza siostrę pani Trelawney, która teraz tam mieszka?

Odpowiedź wydaje się oczywista: detektyw Hodges (em.) węszy.

Brady nie ma już ochoty napawać się zeszłorocznym triumfem. Zawraca nieprzepisowo (całkiem nietypowo jak na niego) i jedzie do North Side. Jedzie do domu. W głowie błyska mu tylko jedna myśl, zapala się i gaśnie jak neon:

Ty draniu. Ty draniu. Ty draniu.

Sprawy nie układają się tak, jak powinny. Sytuacja wymyka mu się spod kontroli. To nie w porządku.

Coś trzeba zrobić.

Kiedy gwiazdy zapalają się nad jeziorem, Hodges i Janey Patterson siedzą w kuchennym kąciku, pochłaniają chińszczyznę na wynos i popijają herbatę ulung. Janey ma na sobie puszysty biały szlafrok. Hodges jest w bokserkach i podkoszulku. Kiedy po seksie skorzystał z łazienki (ona drzemała, zwinięta w kłębek na środku łóżka), wszedł na jej wagę i odkrył z radością, że stracił dwa kilo, odkąd się ostatnio ważył. Dobre i to na początek.

– Dlaczego ja? – pyta teraz. – Nie zrozum mnie źle, uważam, że spotkało mnie niewiarygodne szczęście... wręcz uśmiech losu... ale mam sześćdziesiąt dwa lata i nadwagę.

Janey popija herbatę.

– No dobrze, zastanówmy się nad tym. W jakimś starym filmie kryminalnym, który oglądałyśmy z Ollie w telewizji jako dzieci, byłabym chciwą jędzą, może sprzedawczynią papierosów w nocnym klubie, która próbuje oczarować szorstkiego i cynicznego prywatnego detektywa swoim pięknym białym ciałem. Tylko że nie jestem chciwa... nie muszę, zważywszy, że właśnie odziedziczyłam kilka milionów dolarów... a moje piękne białe ciało zaczyna obwisać w kilku kluczowych miejscach. Jak pewnie zauważyłeś.

Nie zauważył. Zauważył natomiast, że nie odpowiedziała na pytanie. Więc czeka.

– Nie wystarczy?

– Nie.

Janey przewraca oczami.

– Szkoda, że nie potrafię wymyślić uprzejmiejszej odpowiedzi niż: „Mężczyźni są tacy głupi” albo: „Byłam napalona i chciałam przedmuchać komin”. Nic lepszego nie wykombinuję, więc zostańmy przy tym. No i mnie pociągałeś. Minęło trzydzieści lat, odkąd byłam promienną debiutantką, i za dużo czasu, odkąd się bzykałam. Mam czterdzieści cztery lata, więc mogę sięgać po to, czego chcę. Nie zawsze to dostaję, ale wolno mi sięgać.

Hodges gapi się na nią, autentycznie zdumiony. Czterdzieści cztery?

Janey wybucha śmiechem.

– Wiesz co? Twoje spojrzenie to najmiłszy komplement, jaki dostałam od dawna. I najbardziej szczery. Samo spojrzenie. Więc trochę cię przycisnę. Myślałeś, że ile mam lat?

– Góra czterdzieści. Czulem się jak amator kwaśnych jabłek.

– Och, bzdura. Gdybyś to ty miał pieniądze, nie ja, wszyscy uważaliby, że młodsza kobieta to coś oczywistego. W takim przypadku ludzie uważaliby za oczywiste, że sypiasz z dwudziestopięciolatką. – Zawiesza głos. – Chociaż w mojej skromnej opinii wtedy naprawdę byłbyś amatorem kwaśnych jabłek.

– Ale...

– Jesteś stary, ale nie taki stary, i trochę przyciężki, ale nie aż taki gruby. Chociaż będziesz, jeśli nie zaczniesz uważać. – Celuje w niego widelcem. – Na taką szczerłość kobieta może się zdobyć tylko wtedy, jeśli przespała się z mężczyzną i nadal go lubi na tyle, żeby zjeść z nim kolację. Mówiłam, że nie uprawiałam seksu od dwóch lat. To prawda, ale wiesz, kiedy ostatnio uprawiałam seks z kimś, kogo lubię?

Hodges kręci głową.

– Na początku college’u. On nie był nawet mężczyzną, był rezerwowym obrońcą z wielkim czerwonym pryszczem na czubku nosa. Ale był słodki. Niezdarny i o wiele za szybki, ale słodki. Później dosłownie płakał na moim ramieniu.

– Więc to nie było tylko... sam nie wiem...

– Dymanko z wdzięczności? Dymanko z litości? Chyba mnie wyżej cenisz. I coś ci obiecuję. – Pochyla się do przodu, w rozchyleniu szlafroka widać ocienioną dolinkę między

piersiami. – Schudnij dziesięć kilo, to zaryzykuję i wpuszczę cię na górę.

Hodges nie może się powstrzymać od śmiechu.

– Było wspaniale, Bill. Nie żałuję, no i wolę dużych facetów. Obrońca z pryszczem na nosie ważył ponad stówę. Mój eks był chudy jak patyk i od razu, jak tylko go zobaczyłam, powinnam była wiedzieć, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Możemy na tym poprzestać?

– Taa.

– Taa – przedrzeźnia go z uśmiechem i wstaje. – Chodźmy do salonu. Pora, żebyś złożył raport.

Opowiada jej wszystko, przemilcza tylko długie popołudnia przy kiepskiej telewizji i flirt ze starym służbowym rewolwerem ojca. Ona słucha z powagą, nie przerywa, prawie nie spuszcza z oczu jego twarzy. Kiedy skończył, Janey przynosi z lodówki butelkę wina i nalewa obojgu po kieliszku. To duże kieliszki. Hodges patrzy na swój z powątpiewaniem.

– Nie wiem, czy powinienem, Janey. Prowadzę.

– Nie dzisiaj. Zostajesz tutaj. Chyba że masz psa albo kota?

Hodges kręci głową.

– Nawet papugi? W tych starych filmach miałbyś przynajmniej w biurze papugę, która obrzucałaby wyzwiskami potencjalnych klientów.

– Pewnie. A ty byłabyś moją recepcjonistką. Lola zamiast Janey.

– Albo Velma.

On szczyrzy zęby. Nadają na tej samej fali.

Ona się nachyla i znowu pokazuje tę kuszącą dolinkę.

– Zrób dla mnie profil tego faceta.

– Tym się nigdy nie zajmowałem. Mieliśmy do tego specjalistów. Jednego w policji i dwóch na zlecenie z wydziału psychologii na uniwersytecie stanowym.

– I tak spróbuj. Wiesz, wygooglowałam cię i wygląda na to, że byłeś najlepszy w całej tutejszej policji. Od cholery pochwał.

– Kilka razy mi się poszczęściło.

To trąci fałszywą skromnością, ale naprawdę dużo zależy od szczęścia. Od szczęścia i gotowości. Woody Allen miał rację: osiemdziesiąt procent sukcesu to sama obecność.

– Przynajmniej spróbuj, okay? Jeśli dobrze się spiszesz, może znowu odwiedzimy sypialnię. – Marszczy nos. – Chyba że jesteś za stary na dwa numerki.

W tej chwili nie czuje się za stary nawet na trzy numerki. Podczas wielu samotnych nocy nagromadził rezerwy, z których może czerpać. Przynajmniej ma taką nadzieję. Ciągle jeszcze nie bardzo wierzy, że to nie jest niezwykle realistyczny sen.

Sączy wino, obraca je w ustach, daje sobie czas do namysłu. Janey ściągnęła szczelnie połę szlafroka, co pomaga mu się skoncentrować.

– Okay. Facet jest prawdopodobnie młody, to po pierwsze. Daję mu od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat. Częściowo dlatego, że zna się na komputerach, ale nie tylko. Kiedy starszy gość morduje kilka osób, najczęściej wykańcza rodzinę, współpracowników albo jednych i drugich. Następnie strzela sobie w łeb. Poszukasz, to znajdziesz powód. Motyw. Żona go wykopała, potem dostał zakaz zbliżania się. Szef go zredukował, a później upokorzył, bo wezwał ochroniarzy, żeby stali i patrzyli, jak opróżnia biurko. Niespłacone pożyczki. Przekroczone limity na kartach kredytowych. Zalany dom. Samochód odebrany przez windykatorka.

– Ale co z seryjnymi zabójcami? Czy ten facet w Kansas City nie był w średnim wieku?

– Dennis Rader, tak. Był w średnim wieku, kiedy go zgarnęli, ale zaczynał około trzydziestki. I to były zabójstwa na tle seksualnym. Pan Mercedes nie jest zabójcą seksualnym i nie jest seryjnym zabójcą w tradycyjnym sensie. Zaczął od masówki, ale potem skupił się na jednostkach... najpierw twoja siostra, teraz ja. I żadnego z nas nie zaatakował bronią ani ukradzionym samochodem, prawda?

– Przynajmniej jak dotąd – przyznaje Janey.

– Nasz facet to hybryda, ale ma pewne wspólne cechy z młodszymi zabójcami. Bardziej przypomina Lee Malva... jednego ze Snajperów Obwodnicy... niż Radera. Malvo i jego partner planowali, że będą zabijać sześciu białych dziennie. Przypadkowe zabójstwa. Każdy, kto miał

pecha wejść w ich pole ostrzału, ginął. Płeć i wiek się nie liczyły. W sumie załatwili dziesięć osób, całkiem niezły wynik jak na parę maniackalnych zabójców. Ustalono motyw rasowy i w przypadku Johna Allena Muhammada... partner Malva, znacznie starszy, niejako postać ojcowska... to pewnie odpowiadało prawdzie, przynajmniej częściowo. Moim zdaniem motywacje Malva były znacznie bardziej skomplikowane, mnóstwo pomieszanych rzeczy, których sam nie rozumiał. Jeśli przyjrzesz się bliżej, prawdopodobnie znajdziesz dwa główne czynniki: dezorientację seksualną i wychowanie. Myślę, że to samo dotyczy naszego gościa. On jest młody. Bystry. Potrafi się dobrze dopasować, tak dobrze, że wielu jego znajomych nawet nie podejrzewa, że facet jest w rzeczywistości samotnikiem. Kiedy go złapią, wszyscy powiedzą: „Nie wierzę, że on to zrobił, zawsze był taki miły”.

– Jak Dexter Morgan w tym serialu.

Hodges wie, o czym Janey mówi, i stanowczo kręci głową. Nie tylko dlatego, że ten serial to brednie wyssane z palca.

– Dexter wie, dlaczego robi to, co robi. Nasz facet nie wie. Prawie na pewno jest nieżonaty. Nie chodzi na randki. Może jest impotentem. Bardzo możliwe, że wciąż mieszka w rodzinnym domu. Jeśli tak, prawdopodobnie tylko z jednym rodzicem. Jeśli to ojciec, stosunki pomiędzy nimi są chłodne i na dystans... statki, które mijają się nocą. Jeśli to matka, całkiem możliwe, że Pan Mercedes jest dla niej zastępczym mężem. – Widzi, że Janey chce coś powiedzieć, i podnosi rękę. – To nie znaczy, że ich związek jest seksualny.

– Może nie, ale coś ci powiem, Bill. Nie musisz spać z facetem, żeby wasz związek był seksualny. Czasami wystarczy kontakt wzrokowy albo to, jak kobieta jest ubrana w jego obecności, albo to, co robi z rękami... dotyka, poklepuje, ściska, głaszcze. Gdzieś w tym jest seks. No wiesz, ten list, który ci przysłał... że nosił kondom, kiedy to zrobił... – Janey dygocze w swoim białym szlafroku.

– Dziewięćdziesiąt procent tego listu to ściema, ale rzeczywiście, gdzieś w tym jest seks. Jak zawsze. Również gniew, agresja, samotność, poczucie niższości... nie warto jednak się w to zagłębiać. To nie profilowanie, tylko analiza. Co znacznie wykraczało poza mój przedział płac, kiedy jeszcze miałem przedział płac.

– Okay...

– On jest załamany – mówi po prostu Hodges. – I zły. Jak jabłko, które z wierzchu wygląda dobrze, ale kiedy je rozkroisz, jest czarne i pełne robaków.

– Zły – powtarza Janey niemal z westchnieniem. Potem dodaje bardziej do siebie niż do niego: – Oczywiście, że jest zły. Żerował na mojej siostrze jak wampir.

– Może gdzieś pracować, w miejscu, w którym spotyka ludzi, ponieważ ma sporo powierzchownego uroku. Jeśli tak, to pewnie nisko płatna posada. Ten facet nigdy nie awansuje, ponieważ mimo ponadprzeciętnej inteligencji nie potrafi utrzymać koncentracji przez dłuższy czas. Jego postęпки sugerują, że jest impulsywny i korzysta z okazji. Zabójstwa w City Center to doskonały przykład. Myślę, że miał na oku mercedesa twojej siostry, ale nie wiedział, co z nim zrobić, i zdecydował się dopiero kilka dni przed targami pracy. Może kilka godzin. Nie mogę rozgryźć, jak go ukradł.

Myśli, że dzięki Jerome'owi ma już połowę rozwiązania: zapasowy kluczyczek prawdopodobnie przez cały czas leżał w schowku w samochodzie.

– Podejrzewam, że pomysły na morderstwo przelatują przez głowę tego faceta szybko jak karty w rękach zręcznego rozdającego. Pewnie chciał podkładać bomby w samolotach, wywoływać pożary, strzelać do szkolnych autobusów, zatruwać ujęcia wody, może dokonać zamachu na gubernatora albo prezydenta.

– Jezu, Bill!

– W tej chwili jest zafiksowany na mnie, i to dobrze. Łatwiej będzie go złapać. Dobrze jeszcze z innego powodu.

– Czyli?

– Wolę, żeby myślał skromnie. W kategoriach jeden na jednego. Im dłużej będzie działał w ten sposób, tym więcej czasu minie, zanim przestawi się na coś w większej skali, następnym horror jak w City Center albo gorszy. Wiesz, co mnie przeraża? On pewnie ma już listę potencjalnych celów.

– Przecież napisał w liście, że nie czuje potrzeby, żeby znowu to zrobić.

Hodges szczerzy zęby w uśmiechu, który rozjaśnia całą twarz.

– Taa, napisał. Wiesz, po czym poznać, że taki facet kłamie? Po tym, że porusza ustami.

Albo pisze listy, jak w przypadku Pana Mercedesesa.

– Albo komunikuje się ze swoimi ofiarami w witrynie Pod Niebieskim Parasolem Debbie. Jak z Ollie.

– Taa.

– Jeśli założymy, że z nią mu się udało, bo była słaba psychicznie... nie gniewaj się, Bill, ale czy on ma podstawy wierzyć, że z tobą mu się uda z tego samego powodu?

Hodges spogląda na swój kieliszek i widzi, że jest pusty. Zaczyna sobie nalewać następną pół kieliszka, zastanawia się, jak to wpłynie na jego szanse udanej powtórki w sypialni, i poprzestaje na paru kropkach na dnie.

– Bill?

– Może – mówi. – Odkąd przeszedłem na emeryturę, tracę grunt pod nogami. Ale nie jestem taki zagubiony jak twoja siostra... – Przynajmniej już nie teraz, dodaje w myślach. – ...i nie to jest ważne. Nie to wynika z listów i komunikacji Pod Niebieskim Parasolem.

– Więc co?

– On obserwuje. To jest ważne. To jego słaby punkt. Niestety, z tego powodu drań jest niebezpieczny dla moich znajomych. Wątpię, czy wie, że z tobą rozmawiam...

– I nie tylko rozmawiasz – wtrąca Janey, unosząc znacząco brwi jak Groucho Marx.

– ...ale wie, że Olivia miała siostrę, i musimy zakładać, że wie, że jesteś w mieście. Odtąd powinnaś zachowywać superostrożność. Zamykaj drzwi na klucz, kiedy jesteś w domu...

– Zawsze zamykam.

– ...i nie wierz w to, co usłyszysz przez domofon. Każdy może powiedzieć, że ma paczkę i musisz się podpisać. Obserwuj otoczenie, kiedy wychodzisz. – Hodges pochyla się do przodu, nie tknąwszy wina. Stracił na nie ochotę. – To ważne, Janey. Kiedy wyjdiesz z domu, zwracaj uwagę na ruch uliczny. Nie tylko kiedy prowadzisz, ale również kiedy idziesz pieszo. Jak to się mówi: miej się na baczności.

– Jasne.

– Każdy pojazd, który pojawi się więcej niż raz w twoim najbliższym otoczeniu, powinien wydać ci się podejrzany.

– Jak czarne SUV-y tej pani – mówi Janey z uśmiechem. – Pani Jak-jej-tam.

Pani Melbourne. Jej słowa budzą jakieś niejasne skojarzenie w odległym zakamarku umysłu Hodgesa, jednak skojarzenie znika, zanim zdąży je wytropić, nie mówiąc o rozszyfrowaniu.

Jerome też powinien mieć się na baczności. Jeśli Pan Mercedes krąży wokół domu Hodgesa, widział Jerome'a koszącego trawnik, czyszczącego rynny, zakładającego siatki na okna. Jerome i Janey prawdopodobnie są bezpieczni, ale „prawdopodobnie” nie wystarczy. Pan Mercedes to kłębek morderczego chaosu, a Hodges zastosował wobec niego rozmyślną prowokację.

Janey czyta mu w myślach.

– A jednak ty... jak to się mówi? Wkurzasz go.

– Taa. I za chwilę będę na kilka minut potrzebował twojego komputera, żeby jeszcze bardziej go wkurzyć. Ułożyłem już wiadomość, ale myślę, żeby coś dodać. Mój partner rozwiązał dzisiaj wielką sprawę i mogę to wykorzystać.

– Jaką sprawę?

Nie ma powodu, żeby jej nie mówić; jutro, najpóźniej w niedzielę, wszystkie gazety będą o tym pisały.

– Joe Rogatka.

– Ten, który zabija kobiety na parkingach? – A kiedy Hodges kiwa głową, Janey dodaje:

– Czy on pasuje do twojego profilu Pana Mercedesa?

– Wcale. Ale nasz facet nie musi o tym wiedzieć.

– Co chcesz zrobić?

Hodges jej mówi.

Nie muszą czekać na poranną gazetę; wiadomość, że Donnie Davis, podejrzany już o zamordowanie żony, przyznał się do zabójstw Joego Rogatki, króluje w dzienniku o jedenastej wieczorem. Hodges i Janey oglądają telewizję w łóżku. Powtórne starcie było dla Hodgesa wyczerpujące, lecz cudownie satysfakcjonujące. Ciągle jeszcze jest zdyszany, spocony i powinien wziąć prysznic, ale od bardzo, bardzo dawna nie czuł się taki szczęśliwy. Taki spełniony.

Kiedy prezenter przechodzi do szczeniaka, który utknął w rynnie, Janey pilotem wyłącza telewizor.

– Okay. Może się udać. Ale, Boże, jakie to ryzykowne.

Hodges wzrusza ramionami.

– Skoro nie mam wsparcia policji, uważam, że to najlepszy sposób. – Wcale mu to nie przeszkadza, ponieważ właśnie tak chce działać.

Przelotnie wspomina prowizoryczną, ale bardzo skuteczną broń, którą trzyma w szufladzie komody, skarpetkę w romby wypełnioną kulkami łożyskowymi. Wyobraża sobie, jak przyjemnie byłoby potraktować Happy Slapperem tego skurwysyna, który wjechał jednym z najcięższych pasażerskich sedanów na świecie w tłum bezbronnych ludzi. Pewnie do tego nie dojdzie, ale – jak mawiał Piżmak Piżmuś – to możliwe, to możliwe.

– Jak zrozumiałeś to, co moja matka powiedziała na końcu? Że Olivia słyszała duchy?

– Muszę jeszcze nad tym pomyśleć – odpowiada Hodges, jednak już nad tym myślał i jeśli zgadł trafnie, zdobył następne dojście do Pana Mercedesa. Gdyby miał wybór, nie wciągałby w to jeszcze bardziej Jerome’a Robinsona, ale może będzie musiał, jeśli chciał podążyć tropem partyjskiej strzały pani Wharton. Zna pół tuzina gliniarzy równie jak Jerome kumatych w komputerach, lecz do żadnego nie może się zwrócić.

Duchy, myśli. Duchy w maszynie.

Siada i spuszcza nogi na podłogę.

– Jeśli zaproszenie na noc wciąż jest aktualne, muszę wziąć prysznic.

– Aktualne. – Ona przechyla się i wacha bok szyi Hodgesa, lekko ścisła jego przedramię, wywołując przyjemny dreszczyk. – I rzeczywiście musisz.

Wykapany i znowu w bokserkach, prosi ją, żeby odpaliła komputer. Potem, kiedy ona siedzi obok i przygląda się uważnie, wchodzi Pod Niebieski Parasol Debbie i zostawia wiadomość dla merckilla. Piętnaście minut później śpi obok wtulonej w niego Janey Patterson... tak dobrze nie spał od dzieciństwa.

Kiedy Brady wraca do domu po kilku godzinach bezcelowego krążenia, jest późno i na tylnych drzwiach wisi karteczka: „Gdzie byłeś, cukiereczku? W piekarniku są domowe lasagne”. Wystarczy mu jedno spojrzenie na niepewne, opadające pismo, żeby wiedzieć, że była zdrowo nawalona, kiedy to pisała. Odczepia liścik i otwiera sobie drzwi (przynajmniej pamiętała, żeby zamknąć na klucz; nie zawsze pamięta).

Zwykle najpierw sprawdza, co z nią, ale czuje dym i spieszy do kuchni, gdzie w powietrzu wisi błękitna mgielka. Dzięki Bogu wykrywacz dymu jest zepsuty (ciągle chce go wymienić i ciągle zapomina, za dużo ma innych spraw na głowie). Dzięki również za mocny wentylator w piekarniku, który wciągnął dostatecznie dużo dymu, żeby pozostałe czujniki się nie włączyły, chociaż wkrótce się włączą, jeśli tu nie wywietrzy. Piekarnik jest nastawiony na sto siedemdziesiąt pięć stopni. Wyłącza go. Otwiera okno nad zlewem, potem tylne drzwi. W szafce,

gdzie trzymają środki czyszczące, jest podłogowy wentylator. Ustawia go przed zbuntowanym piekarnikiem i włącza na najwyższe obroty.

Załatwiwszy to, w końcu wchodzi do salonu i sprawdza, co z matką. Padła na kanapie, w podomce rozchełstanej u góry i wymiętej na udach. Chrapie głośno i równomiernie jak piła łańcuchowa na jałowym biegu. Brady odwraca oczy i znowu idzie do kuchni, mruczając pod nosem: „kurwa, kurwa, kurwa, kurwa”.

Siada przy stole z pochyloną głową i ściska rękami skronie, zagłębiając palce we włosy. Dlaczego tak jest, że jak coś pójdzie źle, to wszystko się wali? Przypomina sobie stare powiedzenie: Nieszczęścia chodzą parami.

Po pięciu minutach wietrzenia ryzykuje otwarcie piekarnika. Widok czarnej, dymiącej grudy w środku odbiera mu resztkę ochoty na jedzenie. Tej brytfance nie pomoże mycie; tej brytfance nie pomoże godzina szorowania całym pudełkiem druciaków; tej brytfance nie pomoże nawet laser przemysłowy. Ta brytfanka to stracona sprawa. Miał szczęście, że nie zastał w domu pieprzonej straży pożarnej i matki częstującej ich collinsami z wódką.

Zamyka piekarnik – nie chce patrzeć na ten stopiony rdzeń reaktora – i idzie zajrzeć do matki. Nawet wędrując oczami po jej gołych nogach, myśli: Byłoby lepiej, gdyby umarła. Lepiej dla mnie i lepiej dla niej.

Schodzi na dół, komendą głosową zapala światła i włącza zestaw komputerów. Podchodzi do Numeru Trzy, najeżdża kursorem na ikonę Niebieskiego Parasola... i waha się. Nie z obawy, że nie czeka na niego wiadomość od tłustego ekspliniarza, ale że czeka. Jeśli tak, wolałby jej nie czytać. Nie w takiej sytuacji. I tak już jest w dołku, więc po co się bardziej dołować?

Tylko że tam może znaleźć wyjaśnienie, co ten gliniarz robił w apartamentowcu na Lake Avenue. Czy przesłuchiwał siostrę Olivii Trelawney? Prawdopodobnie. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat na pewno jej nie bzykał.

Brady klika myszą i rzeczywiście:

kermitzaba19 chce z tobą rozmawiać!

Czy chcesz rozmawiać z kermitzaba19?

T N

Brady ustawia kursor na „N” i opuszką wskazującego palca zatacza kółka na wypukłym grzbiecie myszy. Prowokuje samego siebie, żeby nacisnąć i zakończyć to wszystko tu i teraz. Przekonał się, że nie zdoła popchnąć tłustego ekspliniarza do samobójstwa jak panią Trelawney, więc czemu nie dać sobie siana? Tak byłoby najmańdrzej.

Ale musi wiedzieć.

Co ważniejsze, Det. Em. nie może wygrać.

Przesuwa kursor na „T”, klika i wiadomość – tym razem dość długa – wyskakuje na ekranie.

No proszę! To znowu mój kumpel od fałszywych zeznań. Nie powinienem nawet odpowiadać, takich facetów jest na pęczki, ale jak zauważyłeś, jestem na emeryturze i nawet rozmowa z czubkiem jest lepsza od Dr. Phila i tych wszystkich nocnych inforeklam. Jeszcze pół godziny z OxiClean i zeświruję tak samo jak ty, HAHAAHA. Poza tym mam u ciebie dług za pokazanie mi tej witryny, której inaczej bym nie znalazł. Mam już 3 nowych przyjaciół (nie wariatów). Wśród nich jest pani z rozkosznie niewyparzoną gębą!!! Więc OK, „przyjacielu”, dam ci parę wskazówek. Po pierwsze każdy, kto ogląda *CSI*, mógł wykombinować, że Zabójca z Mercedesa nosił siatkę na włosach i umył maskę klauna wybielaczem. To elementarne. Po drugie, gdybyś naprawdę ukradł mercedesa pani Trelawney, wspomniałbyś o kluczyku parkingowego. Tego nie mógłbyś wykombinować, oglądając *CSI*. Tak więc ryzykując, że się powtarzam, to elementarne.

☺

Po trzecie (mam nadzieję, że robisz notatki), dzisiaj zadzwonił do mnie mój były partner. Złapał złego faceta, takiego, który się specjalizuje w PRAWDZIWYCH zeznaniach. Obejrzyj wiadomości, przyjacielu, i zgadnij, do czego ten facet się przyzna w następnym tygodniu. Miłego wieczoru i przy okazji, nie zwracaj mi dupy swoimi kretyńskimi fantazjami.

Brady mętnie pamięta jakiegoś bohatera kreskówki – może to był Kurak Leghorn, wielki kogut z południowym akcentem – który tak się wściekał, że najpierw jego szyja, a potem głowa zmieniały się w termometr wskazujący coraz wyższą temperaturę, od PIECZENIA przez SMAŻENIE do ATOMOWEGO WYBUCHU. Brady niemal czuje, że z nim dzieje się to samo, kiedy czyta ten arogancki, obraźliwy, wkurzający list.

Kluczyk parkingowego?

Kluczyk PARKINGOWEGO?

– O co ci chodzi? – pyta dziwnym głosem, pomiędzy szeptem a warknięciem. – O co ci, kurwa, chodzi?

Wstaje i krąży po pokoju na nogach sztywnych jak szczudła, szarpiąc się za włosy tak mocno, że oczy mu łzawią. Zapomniał o matce. Zapomniał o zwęglonych lasagne. Zapomniał o wszystkim oprócz tego nienawistnego postu.

Facet nawet miał czelność dołączyć Śmieszka!

Śmieszka!!!

Brady kopie krzesło i rozbija sobie palce u nogi, a krzesło sunie przez cały pokój i uderza w ścianę. Potem Brady odwraca się i biegnie do Numeru Trzy, zawisa nad komputerem jak sęp. W pierwszym odruchu chce odpowiedzieć natychmiast, nazwać tego pieprzonego gliniarza łgarzem, idiotą z przedwczesnym alzheimerem z otłuszczenia, analnym kowbojem, który ciągnie druta swojemu czarnuchowi od koszenia trawnika. Potem wracają pozory racjonalności – kruche i wątłe. Brady przysuwa z powrotem krzesło i otwiera stronę miejskiej gazety. Nie musi nawet klikać na WIADOMOŚCI Z OSTATNIEJ CHWILI, żeby zobaczyć, o czym bredził Hodges: jest tutaj, na pierwszej stronie jutrzejszej gazety.

Brady wytrwale śledzi miejscową kronikę kryminalną i zna zarówno nazwisko Donalda Davisa, jak i jego przystojne, subtelnie wyrzeźbione oblicze. Wie, że gliny podejrzewają Davisa o zamordowanie własnej żony, i nie wątpi, że facet to zrobił. Teraz ten idiota się przyznał, ale nie tylko do jej zabójstwa. Według artykułu w gazecie Davis wyznał również, że zgwałcił i zamordował pięć innych kobiet. Krótko mówiąc, twierdzi, że jest seryjnym mordercą, którego miejscowa prasa i telewizja nazwały Joe Rogatka.

Początkowo Brady nie potrafi tego powiązać z napastliwym listem tłustego eksgliniarza. Potem zrozumienie napływa w złowrogim rozbłysku inspiracji: ogarnięty nastrojem skruchy, Donnie Davis zamierza również się przyznać do masakry w City Center. Może już się przyznał.

Brady okręca się jak derwisz – raz, dwa, trzy razy. Głowa mu pęka. Puls dudni w piersi, w karku, w skroniach. Czuje go nawet w dziąsłach i języku.

Czy Davis powiedział coś o kluczyku parkingowego? Czy to przez to?

– Nie było żadnego kluczyka parkingowego – mówi Brady... tylko skąd może mieć pewność? A jeśli był? A jeśli był... jeśli przyklepią to Donaldowi Davisowi i odbiorą Brady'emu Hartsfieldowi jego wielki triumf... chociaż tyle ryzykował...

Nie może już się powstrzymać. Znowu siada przy Numerze Trzy i pisze wiadomość do użytkownika kermitzaba19. Krótką, ale ręce tak mu się trzęsą, że zajmuje to prawie pięć minut. Wysła wiadomość, jak tylko skończył, nie facygując się ponownym przeczytaniem.

GÓWNO WIESZ TY DUPKU. OK kluczyka nie było w stacyjce ale nie było żadnego KLUCZYKA PARKINGOWEGO. To był zapasowy w schowku a jak otworzyłem samochód

SAM ZGADNIJ CHUJU. Donald Davis nie popełnił tej zbrodni. Powtarzam, DONALD DAVIUS NIE POPEŁNIŁ TEJ ZBRODNI. Jeśli powiesz ludziom że on to zrobił zabiję cię chociaż to nie będzie zabójstwo tylko oczyszczenie świata z ciebie.

Podpisano

PRAWDZIWY Zabójca z Mercedesa

PS: Twoja matka była kurwą, brała w dupę & zlizywała sperme z rynsztoków.

Brady zamyka komputer i idzie na górę. Zostawia matkę chrapiącą na kanapie, zamiast ją zaprowadzić do łóżka. Bierze trzy aspiryny, dodaje czwartą, a potem leży we własnym łóżku z szeroko otwartymi oczami, roztrzęsiony, dopóki pierwsze smugi świtu nie zajaśnieją na wschodzie. W końcu przysypia na dwie godziny, płytkim, niespokojnym snem, pełnym koszmarów.

W sobotę rano Hodges robi jajecznicę, kiedy Janey wchodzi do kuchni w swoim białym szlafroku. Brała prysznic, mokre włosy ma zaczesane do tyłu i wygląda młodziej niż kiedykolwiek. Czterdzieści cztery?! – myśli znowu Hodges.

– Szukałem bekonu, ale nie znalazłem. Oczywiście może tam jest. Moja była twierdzi, że przytłaczająca większość amerykańskich mężczyzn cierpi na lodówkową ślepotę. Nie wiem, czy jest na to terapia.

Janey wskazuje na jego talię.

– Okay – mówi on. A potem, ponieważ ona chyba to lubi, dodaje: – Taa.

– A przy okazji, jak twój cholesterol?

Hodges się uśmiecha.

– Grzanek? Pełnoziarnista. Zresztą wiesz, sama je kupowałaś.

– Jedną. Bez masła, tylko trochę dżemu. Co zamierzasz dzisiaj robić?

– Jeszcze nie wiem.

Chociaż chciałby pogadać z Radneyem Peeplesem w Sugar Heights, jeśli Radney ma służbę i jest Czujny. I musi porozmawiać z Jerome'em o komputerach. Tutaj otwierają się nieskończone perspektywy.

– Sprawdziłeś Pod Niebieskim Parasolem?

– Najpierw chciałem ci zrobić śniadanie. I sobie. – To prawda. Kiedy się obudził, chciał raczej nakarmić swoje ciało, niż próbować zatkać dziurę w mózgu. – No i nie znam twojego hasła.

– „Janey”.

– Chcesz rady? Zmień je. Właściwie to rada chłopaka, który u mnie pracuje.

– Jerome, tak?

– Właśnie.

Usmażył jajecznicę z sześciu jajek i zjedli całą, podzieliwszy ją dokładnie na pół.

W pewnej chwili chce zapytać Janey, czy nie żałuje ostatniej nocy, ale dochodzi do wniosku, że jej apetyt przy śniadaniu stanowi wystarczającą odpowiedź.

Wstawili naczynia do zlewu, siadają przy jej komputerze i siedzą w milczeniu prawie przez cztery minuty, odczytując raz po raz ostatnią wiadomość od merckilla.

– Jasny gwint – mówi wreszcie Janey. – Chciałeś go wkurzyć i powiedziałabym, że on już jest całkiem wkurzony. Widzisz te wszystkie błędy? – Pokazuje „PARKNIGOWEGO” i „otworzyłem”. – Czy to należy do... jak to nazywasz...? Stylistycznego maskowania?

– Nie sędzę. – Hodges patrzy na „oczyszczenie” i uśmiecha się. Nie może powstrzymać uśmiechu. Ryba czuje haczyk, który wbił się głęboko. Boli. Pali. – Myślę, że takie literówki robi ktoś wściekły jak cholera. Ostatnie, czego się spodziewał, to podważanie jego wiarygodności. To go doprowadza do szaleństwa.

– Jeszcze większego.

– Hę?

– Jeszcze większego szaleństwa. Wyślij mu następną wiadomość, Bill. Szturchnij go mocniej. On na to zasłużył.

– Dobra. – Myśli, potem pisze.

Kiedy jest ubrany, Janey odprowadza go na korytarz i obdarza długim pocałunkiem przy windzie.

– Ciągle nie mogę uwierzyć w ostatnią noc – mówi Hodges.

– Och, lepiej uwierz. A jeśli właściwie rozegrasz karty, może się powtórzyć. – Wpatruje się niebieskimi oczami w jego twarz. – Ale żadnych obietnic ani długoterminowych zobowiązań, okay? Bierzmy, co się nadarzy. Z dnia na dzień.

– W moim wieku wszystko biorę w ten sposób.

Drzwi windy się otwierają. Hodges wchodzi do środka.

– Bądźmy w kontakcie, kowboju.

– Jasne. – Drzwi windy zaczynają się zamykać. Zatrzymuje je ręką. – I pamiętaj, pilnuj się, kowbojko.

Ona uroczyście kiwa głową, ale on dostrzega błysk w jej oku.

– Janey będzie bardzo pilnować swojego tyłka.

– Trzymaj komórkę pod ręką. Warto byłoby zaprogramować dziewięćset jedenastie na szybkim wybieraniu.

Hodges opuszcza rękę. Janey przesyła mu pocałunek. Drzwi się zamykają, zanim zdążył się zrewanżować.

Samochód stoi tam, gdzie go zostawił, ale widocznie opłata w parkometrze skończyła się przed początkiem darmowego parkowania, bo za wycieraczką na przedniej szybie tkwi mandat. Hodges otwiera schowek, wtyka tam mandat i wyciąga swój telefon komórkowy. Chociaż udziela Janey rad, sam się do nich nie stosuje – odkąd odszedł ze służby, ciągle zapomina o cholernej nokii, dość prehistorycznej jak na komórkę. Zresztą ostatnio i tak prawie nikt do niego nie dzwoni, ale tego ranka ma trzy wiadomości głosowe, wszystkie od Jerome'a. Druga i trzecia – wysłane o dziewiątej czterdzieści poprzedniego wieczoru i za piętnaście jedenasta – to niecierpliwie pytania, gdzie on jest i dlaczego nie oddzwania. Nagrane są normalnym głosem Jerome'a. Pierwsza wiadomość, zostawiona o szóstej trzydzieści, zaczyna się entuzjastycznym głosem Miastowego Czarnucha.

– Massa Hodges, gdzie pan? Moja musi z panem pomówić!

– Potem wraca normalny Jerome. – Chyba wiem, jak on to zrobił. Jak ukradł samochód.

Niech pan do mnie zadzwoni.

Hodges spogląda na zegarek i ocenia, że Jerome chyba jeszcze nie wstał, nie w sobotę rano. Postanawia do niego podjechać, ale najpierw wpaść do domu i zabrać notatki. Włącza radio, łapie Boba Segera śpiewającego *Old Time Rock and Roll* i ryczy razem z nim: zdejmij te stare płyty z półki.

Dawno temu, w prostszych czasach, przed aplikacjami, iPadami, smartfonami Samsung Galaxy i światem oszałamiająco szybkich sieci 4G, weekendy były najbardziej pracowitymi dniami w Discount Electronix. Teraz dzieciaki, które dawniej przychodziły kupować kompakty, ściągają Vampire Weekend z iTunes, podczas gdy starsi surfują po eBayu albo oglądają na Hulu programy telewizyjne, które przegapili.

Tego sobotniego ranka DE w Birch Hill Mall to ziemia jałowa.

Tones jest na sali i próbuje sprzedać starszej pani telewizor HD, który już jest antykiem. Freddi Linklatter jest na zapleczu, pali jednego marlboro red po drugim i pewnie dopracowuje swoją najnowszą tyradę o prawach gejów. Brady siedzi przy jednym z komputerów w tylnym rzędzie, stareńkim vizio, którego przerobił tak, żeby nie zapisywał uderzeń w klawisze, nie mówiąc już o historii. Wpatruje się w ostatnią wiadomość od Hodgesa. Jedno oko, lewe, podłapało szybki, nieregularny tik.

Przestań się wyzywać na mojej matce, okay? ☺ Nie jej wina, że cię przyłapano na głupim kłamstwie. Wyjąłeś kluczyk ze schowka, tak? Nieźle, skoro Olivia Trelawney miała oba kluczyki. Zaginął kluczyk parkingowego. Trzymała go w małym namagnesowanym pudełeczku pod tylnym zderzakiem. PRAWDZIWIY Zabójca z Mercedesa widocznie go doprowadził.

Chyba przestanę do ciebie pisać, palancie. Twój Współczynnik Zabawność obecnie waha się w okolicach zera, a ja wiem z dobrego źródła, że Donald Davis zamierza się przyznać do zabójstw w City Center. I co ci pozostaje? Wracaj do swojego małego, nudnego, gównianego życia. Jeszcze jedno, zanim zakończę tę czarującą korespondencję. Groziłeś, że mnie zabijesz. To ciężkie przestępstwo, ale wiesz co? Mnie to wisi. Kolego, jesteś tylko jeszcze jednym tchórzliwym gnojkiem. Pełno takich w internecie. Chcesz przyjść do mojego domu (wiem, że wiesz, gdzie mieszkam) i powtórzyć mi tę groźbę w oczy? Nie? Tak myślałem. Zakończę tylko jednym słowem, takim prostym, że nawet taki głąb jak ty powinien zrozumieć.

Spadaj.

Brady tkwi w bezruchu, przykuty do miejsca lodowatą furią. A jednocześnie płonie. Myśli, że zostanie tu na zawsze, zgarbiony nad tym gównianym vizio, wystawionym na wyprzedaży za śmieszna cenę osiemdziesięciu siedmiu dolarów i osiemdziesięciu siedmiu centów, dopóki nie zamarznie na kamień albo nie wybuchnie płomieniem, albo jedno i drugie jednocześnie.

Lecz kiedy na ścianę pada cień, Brady odkrywa, że jednak może się poruszać. Zamyka wiadomość od tłustego ekspliniera w samą porę, zanim Freddi się schyli, żeby zerknąć na ekran.

– Na co patrzysz, Brades? Strasznie szybko to schowałeś, cokolwiek to było.

– Dokument National Geographic. Pod tytułem *Kiedy lesbijki atakują*.

– Twoje poczucie humoru dosłownie zwała z nóg – odgryza się Freddi.

Dołącza do nich Tones Frobisher.

– Mamy zgłoszenie serwisowe z Edgemont – oznajmia. – Które z was pojedzie?

Freddi mówi:

– Mając do wyboru wezwanie serwisowe w Raju Kmiotów i pszczołę na gołym tyłku, wybrałabym pszczołę.

– Ja pojedę – odzywa się Brady.

Doszedł do wniosku, że musi załatwić jedną sprawę. Niecierpiącą zwłoki.

Mała siostrzyczka Jerome'a i kilka jej koleżanek skaczą przez skakankę na podjeździe domu Robinsonów, kiedy nadjeżdża Hodges. Wszystkie mają na sobie błyszczące koszulki z nadrukami jakiegoś boysbandu. Hodges przechodzi przez trawnik z teczką na akta w rękę. Barbara podbiega, żeby przybić mu piątkę i żółwika, potem wraca pędem i chwytą swój koniec skakanki. Jerome, ubrany w szorty i koszulkę City College z oderwanymi rękawami, siedzi na stopniach ganku i popija sok pomarańczowy. Obok niego przycupnął Odell. Jerome mówi Hodgesowi, że starzy wybyli na zakupy i robi za nianię, dopóki nie wrócą.

– Chociaż ona już właściwie nie potrzebuje niani. Jest dużo doroślejsza, niż myślą rodzice.

Hodges siada obok niego.

– Nie licz na to za bardzo. Możesz mi wierzyć, Jerome.

– To znaczy co?

– Najpierw mi powiedz, co odkryłeś.

Zamiast odpowiedzi Jerome wskazuje samochód Hodgesa, zaparkowany przy krawężniku, żeby nie przeszkadzać dziewczynkom w zabawie.

– Z którego roku?

– Dwa tysiące czwartego. Żadne чудо, ale dobrze jeździ. Chcesz kupić?

– Raczej nie. Zamknął pan?

– Taa. – Chociaż to spokojna okolica i samochód jest na widoku. Siła przyzwyczajenia.

– Proszę mi dać kluczyki.

Hodges grzebie w kieszeni i podaje kluczyki. Jerome ogląda breloczek i kiwa głową.

– PKE – mówi. – Weszło w użycie w latach dziewięćdziesiątych, najpierw jako akcesoria, ale na przełomie stuleci szybko włączono je do standardowego wyposażenia. Wie pan, od czego to skrót?

Jako detektyw prowadzący sprawę masakry w City Center (i często przesłuchujący Olivię Trelawney) Hodges oczywiście wie.

– *Passive keyless entry*. Pasywny system otwierania.

– Zgadza się. – Jerome naciska jeden z dwóch guzików na breloczku. Zaparkowana przy krawężniku toyota Hodgesa błyska krótko światłami postojowymi. – Teraz jest otwarta. – Naciska drugi guzik. Światła znowu błyskają. – Teraz jest zamknięta. A pan ma kluczyk. – Wkłada go Hodgesowi do ręki. – Bezpieczne i wygodne, prawda?

– Z tej rozmowy wnioskuję, że niekoniecznie.

– Znam kilku chłopaków z college'u, którzy założyli klub komputerowy. Nie podam panu ich nazwisk, więc proszę nie pytać.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło.

– Nie są źli, ale znają wszystkie złe sztuczki... hakowanie, klonowanie, kradzież danych, takie rzeczy. Mówią, że systemy PKE to właściwie licencja na kradzież. Kiedy pan naciska guzik, żeby otworzyć albo zamknąć samochód, breloczek wysyła sygnał radiowy niskiej częstotliwości. Kod. Gdyby pan go słyszał, brzmiałby jak piśnięcia i bipnięcia, kiedy się wybiera numer faksu. Na razie jasne?

– Taa, na razie.

Dziewczynki na podjeździe śpiewają *Sally-in-the-alley*, a Barbara Robinson zręcznie przeskakuje przez sznur, jej silne brązowe nogi migają, kucyki podskakują.

– Oni mówią, że łatwo przechwycić ten kod, jeśli się ma odpowiedni gadżet. Można zmodyfikować pilota do otwierania drzwi garażu albo pilota telewizyjnego, tylko że z czymś

takim trzeba stanąć bardzo blisko. Powiedzmy w odległości góra dwudziestu metrów. Ale można też zbudować mocniejsze urządzenie. Wszystkie elementy są dostępne w najbliższym przyjaznym sklepie elektronicznym. Całkowity koszt około stu dolarów. Zasięg do stu metrów. Czekaj pan, aż kierowca wysiadzie z upatrzonego pojazdu. Kiedy naciska guzik, żeby zamknąć samochód, pan też naciska guzik. Pański gadżet przechwytuje i zachowuje sygnał. Kierowca odchodzi, a wtedy pan znowu naciska swój guzik. Samochód jest otwarty i można wsiadać.

Hodges spogląda na swój kluczyk, potem na Jerome'a.

– To działa?

– Jasne. Moi kumple mówią, że teraz to jest trudniejsze... producenci zmodyfikowali system w ten sposób, że sygnał zmienia się przy każdym naciśnięciu guzika... ale nie niemożliwe. Każdy system, jaki stworzył ludzki umysł, inny ludzki umysł może złamać. Łapie pan?

Hodges ledwo go słyszy, nie mówiąc o łapaniu. Myśli o Panu Mercedesie, zanim stał się Panem Mercedesem. Mógł kupić taki gadżet, o jakim opowiada Jerome, ale raczej sam go zmagistrował. Czy mercedes pani Trelawney był pierwszym samochodem, na jakim go wypróbował? Mało prawdopodobne.

Muszę sprawdzić kradzieże samochodów w śródmieściu, myśli. Zaczynając od... powiedzmy 2007, aż do wczesnej wiosny 2009 roku.

Ma w archiwum przyjaciółkę, Marlo Everett, która jest mu winna przysługę. Marlo na pewno sprawdzi dla niego nieoficjalnie to i owo, nie zadając wielu pytań. A jeśli trafi na garść raportów, w których oficer śledczy zamieścił wniosek, że „poszkodowany prawdopodobnie zapomniał zamknąć samochód”, Hodges będzie wiedział.

W głębi duszy już wie.

– Panie Hodges? – Jerome patrzy na niego trochę niepewnie.

– Co jest, Jerome?

– Kiedy pan pracował nad sprawą City Center, nie sprawdziliście tego PKE u kolegów, którzy zajmują się kradzieżami samochodów? Przecież oni musieli o tym wiedzieć. To nic nowego. Moi kumple mówią, że nawet ma nazwę: kradzież pisku.

– Rozmawialiśmy z głównym mechanikiem z salonu Mercedesa i on powiedział, że użyto kluczyka – odpowiada Hodges.

Sam czuje, że te słowa brzmią słabo i obronnie. Gorzej: niekompetentnie. Główny mechanik... i oni wszyscy... po prostu założyli, że użyto kluczyka. Tego zostawionego w stacyjce przez roztargnioną paniusią, której żaden z nich nie lubił.

Jerome prezentuje cyniczny uśmiech, który dziwnie wygląda na jego młodej twarzy.

– Są rzeczy, o których sprzedawcy samochodów nie mówią, panie Hodges. Nie żeby kłamali, nie całkiem, po prostu przemilczają. Na przykład że poduszka powietrzna może panu uratować życie, ale również wbić okulary w oczy i oślepić. Że niektóre SUV-y często się przewracają. Albo jak łatwo jest ukraść sygnał PKE. Ale faceci od kradzieży samochodów muszą być na bieżąco, nie? Po prostu muszą.

Brzydka prawda wygląda tak, że Hodges nie wie. Powinien, ale nie wie. On i Pete byli niemal na okrągło w terenie, pracowali na dwie zmiany i sypiali najwyżej po pięć godzin. Papiery się piętrzyły. Jeśli wydział kradzieży samochodów przysłał notatkę, pewnie jest gdzieś w aktach sprawy. Hodges nie śmie zapytać o to dawnego partnera, ale wie, że może wkrótce będzie musiał powiedzieć mu wszystko. To znaczy jeśli nie zdoła sam tego rozwiązać.

Jerome zaś powinien wszystkiego się dowiedzieć. Ponieważ facet, z którym pogrywa Hodges, to wariat.

Barbara podbiega, spocona i zdyszana.

– Jay, czy ja, Hilda i Tonya możemy obejrzeć *Zwyczajny serial*?

– Zasuwasz – mówi Jerome.

Siostra obejmuje go i przyciska policzek do jego policzka.

– Zrobisz nam naleśniki, kochany braciszku?

– Nie.

Przestaje go ścisnąć i odsuwa się.

– Jesteś niedobry. I leniwy.

– Czemu nie pójdziesz do Zoney's po mrożone wafle?

– Temu, że nie mam forsy.

Jerome sięga do kieszeni i daje siostrze piątaka. Ona nagradza go następnym uściskiem.

– Ciągłe jestem niedobry?

– Nie, bardzo dobry! Najlepszy brat na świecie!

– Nie możesz iść bez koleżanek – mówi Jerome.

– I weźcie Odella – dodaje Hodges.

Barbara chichocze.

– Zawsze bierzemy Odella.

Hodges patrzy z głębokim niepokojem, jak dziewczynki podskakują po chodniku w swoich jednakowych koszulkach (trajkocząc jak nakręcone i przekazując sobie po kolei smycz Odella). Raczej nie może wziąć pod klucz rodziny Robinsonów, ale te trzy dziewczynki są takie malutkie.

– Jerome? Gdyby ktoś próbował je skrzywdzić, czy Odell...?

– Broniłby ich? – Jerome jest teraz poważny. – Z narażeniem życia, panie

H. Z narażeniem życia. O co panu chodzi?

– Czy w dalszym ciągu mogę liczyć na twoją dyskrecję?

– Tak jest!

– Okay, zwałę ci na głowę całkiem sporo. Ale w zamian musisz obiecać, że odtąd będziesz mi mówił Bill.

Jerome się zastanawia.

– Trudno będzie się przyzwyczaić, ale zgoda.

Hodges mówi mu wszystko (oprócz tego, gdzie spędził noc), chwilami zaglądając do zapisków w notatniku. Zanim skończył, Barbara i jej przyjaciółki wracają z GoMartu, roześmiane, przerzucając się pudełkiem wafli. Wejdą do domu, żeby zjeść drugie śniadanie przed telewizorem.

Hodges i Jerome siedzą na stopniach ganku i rozmawiają o duchach.

Edgemont Avenue wygląda jak strefa wojenna, ale na południe od Lowbriar to przynajmniej głównie biała strefa wojenna, zamieszkała przez potomków górali z Kentucky i Tennessee, którzy wyemigrowali tu, żeby pracować w fabrykach podczas drugiej wojny światowej. Teraz fabryki zamknięto i populacja w znacznej części składała się z narkomanów, którzy przerzucili się na brązową heroinę, kiedy oksykodon za bardzo podrożał. Wzdłuż Edgemont ciągną się bary, lombardy i kasy realizujące czeki, wszystkie pozamykane na trzy spusty w ten sobotni poranek. Jedyne dwa otwarte sklepy to Zoney's i miejsce, dokąd wezwano Brady'ego, Piekarnia Batoola.

Brady parkuje przed frontem, żeby widzieć każdego, kto spróbuje się włamać do garbusa Cyberpatrolu. Taszczy swoją walizę do środka, do źródła przyjemnych zapachów. Grubas za kontuarem kłóci się z klientem wymachującym kartą Visa i wskazuje na karton z napisem: TYLKO GOTÓWKA, DOPÓKI NIE NAPRAWIĄ KOMPUTERA.

W komputerze Pakistańczyka zrobił się ten okropny zamrożony ekran. Zerkając na volkswagena w trzydziestosekundowych odstępach, Brady gra w odmrażanie ekranu, co polega na jednoczesnym naciśnięciu Alt, Ctrl i Del. To wywołuje menadżera zadań i Brady od razu widzi, że explorer jest obecnie zaznaczony jako „nie odpowiada”.

– Źle? – pyta niespokojnie Pakistańczyk. – Proszę powiedzieć nie źle.

Innego dnia Brady przeciągałby sprawę, nie dlatego, że faceci w rodzaju Batoola dają napiwki – nie dają – ale żeby popatrzeć, jak gość wypaca kilka dodatkowych gramów tłuszczu. Nie dzisiaj. Wykorzystał ten pretekst, żeby się wyrwać z pracy, i chce skończyć jak najszybciej.

– Nieee, są zabezpieczenia, panie Batool – mówi. Zaznacza ZAKOŃCZ PROCES, po czym restartuje peceta Pakistańczyka. Po chwili funkcja kasy znowu działa, razem ze wszystkimi czterema ikonami kart kredytowych.

– Ty geniusz! – krzyczy Batool. Przez jedną okropną chwilę Brady się boi, że ten wyperfumowany sukinsyn go uściska.

Brady opuszcza Raj Kmiotów i jedzie na północ, w stronę lotniska. W centrum handlowym Birch Hill jest sklep z narzędziami Home Depot, gdzie Brady prawie na pewno dostałby wszystko, czego potrzebuje, ale on kieruje się do Skyway Shopping Complex. To, co robi, jest ryzykowne, lekkomyślne i niepotrzebne. Nie zamierza pogarszać sytuacji, robiąc zakupy w sklepie oddzielnym tylko korytarzem od Discount Electronix. Nie sraj tam, gdzie jesz.

Zamiast tego jedzie do Skyway's Garden World i od razu widzi, że dokonał właściwego wyboru. Sklep jest ogromny i w sobotnie wiosenne popołudnie zatłoczony klientami. W alejce z pestycydami Brady dodaje dwie puszkę trutki na szczury do wózka wypełnionego już kamuflującymi przedmiotami: nawóz, mierzwa, nasiona i motyka ogrodowa z krótką rączką. Wie, że to szaleństwo kupować truciznę osobiście, skoro zamówił towar i dostarczą go do jego bezpiecznej skrytki pocztowej za parę dni, ale nie może czekać. Absolutnie nie może. Raczej nie zdąży otruć psa rodziny czarnuchów przed poniedziałkiem... może nawet wtorkiem czy środą... ale musi coś zrobić. Musi poczuć, że... jak to ujął Szekspir? Stawił czoło morzu nędzy.

Staje w kolejce z wózkiem na zakupy, powtarzając sobie, że jeśli kasjerka (następna beka sadła, pełno ich w mieście) powie coś o trutce na szczury, nawet coś całkiem niewinnego, na przykład: „To naprawdę działa”, zrezygnuje z całej imprezy. Za duże ryzyko, że go zapamięta i rozpozna: „O tak, to był ten nerwowy młody człowiek z motyką ogrodową i trutką na szczury”.

Myśli: Może trzeba było założyć ciemne okulary. Wcale bym się nie wyróżniał, tutaj połowa facetów je nosi.

Za późno. Zostawił raybany w Birch Hill, w subaru. Teraz może tylko czekać w kolejce do kasy i powtarzać sobie, że nie wolno się pocić. To jak powiedzieć komuś, żeby nie myślał o niebieskim niedźwiedziu polarnym.

Zwróciłam na niego uwagę, bo strasznie się pocił, powie policjantom tłusta kasjerka (z pewnością krewna piekarza Batoola). I dlatego, że kupował trutkę na szczury. Taką, która zawiera strychninę.

Brady o mało nie rzuca się do ucieczki, ale teraz za nim też stoją ludzie. Czy jeśli wyjdzie z kolejki, zauważą to? Czy zaczną się zastanawiać...

Szturchaniec z tyłu.

– Ruszaj się, kolego.

Chcąc nie chcąc, Brady przetacza wózek do przodu. Puszki trutki na szczury krzyczą jaskrawą żółcią na dnie wózka; dla Brady'ego to kolor szaleństwa, i nic dziwnego. Robić tutaj zakupy to szaleństwo.

Potem napływa pocieszająca myśl, kojąca niczym chłodna dłoń na rozgorączkowanym czole: rozjechanie tych ludzi w City Center było jeszcze większym szaleństwem... ale uszło mi bezkarnie, prawda?

Tak, i to również ujdzie mu bezkarnie. Beka tłuszczu przesuwają jego zakupy pod skanerem, nie zaszczyciwszy go ani jednym spojrzeniem. Nawet kiedy pyta, czy płaci gotówką, czy kartą.

Brady płaci gotówką.

Nie jest aż taki szalony.

Po powrocie do volkswagena (zaparkował pomiędzy dwiema ciężarówkami, gdzie prawie nie widać odblaskowej zieleni) siada za kierownicą i oddycha głęboko, dopóki serce nie przestanie mu walić. Myśli o czekającej go drodze i to jeszcze bardziej go uspokaja.

Najpierw Odell. Ten kundel zdechnie w męczarniach, a tłusty eksplinierz będzie wiedział, że to jego wina, nawet jeśli Robinsonowie się nie dowiedzą. (Z czysto naukowego punktu

widzenia Brady chciałby zobaczyć, czy tłusty eksplinierz się przyzna. Raczej nie). Następnie sam Hodges. Brady zostawi mu kilka dni, żeby się kisił w poczuciu winy, i kto wie? Może jednak zdecyduje się na samobójstwo. Ale chyba nie. Więc Brady go zabije, sposób wybierze później. A po trzecie...

Wielki gest. Coś, co będą pamiętać przez sto lat. Pytanie tylko, jaki ma być ten wielki gest?

Brady przekręca kluczyk w zapłonie i nastawia główniane radio garbusa na BAM-100, gdzie w każdy weekend od rana do wieczora leci rock. Łapie koniec bloku ZZ Top i chce już przełączyć na KISS-92, kiedy jego ręka zamiera. Zamiast przełączyć stację, podkręca głośność. Przemawia do niego los.

Didżej informuje, że najpopularniejszy krajowy boysband przyjeżdża do miasta tylko na jeden występ... tak jest, 'Round Here zagra w MAC w przyszły czwartek. „Miejsca prawie wyprzedane, dzieciaki, ale Dobre Chłopaki z BAM-100 zatrzymały tuzin biletów i będziemy je rozdawać po dwa, zaczynając od poniedziałku, więc słuchajcie wskazówek i dzwońcie...”

Brady wyłącza radio. Spojrzenie ma nieobecne, zamyślane, dalekie. MAC... tak miejscowi nazywają Midwest Culture and Arts Complex. Gmach rozciąga się od przecznicy do przecznicy i ma gigantyczną widownię.

Brady myśli: Cóż za sposób odejścia. O mój Boże, cóż to byłoby za odejście.

Zastanawia się, ile dokładnie miejsc ma Audytorium Mingo w MAC. Trzy tysiące? Cztery? Wieczorem sprawdzi w sieci.

Hodges kupuje lunch w pobliskich delikatesach (sałatkę zamiast ciężkostrawnego burgera, za którym głośuje jego żołądek) i wraca do domu. Przyjemne wysiłki zeszłej nocy odbiły się na nim i chociaż powinien zadzwonić do Janey – muszą odwiedzić dom zmarłej Olivii Trelawney w Sugar Heights – postanawia, że jego następnym posunięciem w prowadzonym śledztwie będzie krótka drzemka. Sprawdza sekretarkę w salonie; okienko WIADOMOŚCI pokazuje zero. Zagląda Pod Niebieski Parasol Debbie, ale nie znajduje nic nowego od Pana Mercedesa. Kładzie się i nastawia wewnętrzny budzik na jedną godzinę. Zanim zamyka oczy, przypomina sobie jeszcze, że znowu zostawił komórkę w schowku w toycie.

Powinienem po nią iść, myśli. Dałem Janey oba numery, ale ona jest nowoczesna, nie staroświecka, więc zadzwoni najpierw na komórkę, jeśli będzie mnie potrzebować.

Potem zasypia.

Budzi go staroświecki telefon. Hodges przetacza się, sięga po słuchawkę i widzi, że jego wewnętrzny budzik, który nigdy go nie zawiódł podczas lat służby, widocznie również przeszedł na emeryturę. Spał prawie trzy godziny.

– Halo?

– Czy ty nigdy nie sprawdzasz wiadomości, Bill? – słyszy głos Janey.

Przechodzi mu przez myśl, żeby jej powiedzieć, że rozładowała mu się bateria w komórce, ale nie należy zaczynać znajomości od kłamstwa, nawet tak krótkiej znajomości. I nie to jest ważne. Janey ma głos zachrypły i niewyraźny, jakby krzyczała. Albo płakała.

Hodges siada.

– Co się stało?

– Matka miała wylew dziś rano. Jestem w szpitalu Warsaw County Memorial. Tym położonym najbliżej Sunny Acres.

On spuszcza nogi na podłogę.

– Chryste, Janey. Jak bardzo źle?

– Źle. Zadzwoniłam do ciotki Charlotte z Cincinnati i wujka Henry'ego z Tamy. Oboje przyjeżdżają. Ciotka Charlotte na pewno przyciągnie ze sobą moją kuzynkę Holly. – Śmieje się, ale bez wesołości. – Oczywiście, że przyjadą... jak mówi stare przysłowie, pieniądz rządzi światem.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Tak, ale nie wiem, jak bym wyjaśniła twoją obecność. Nie bardzo mogę cię przedstawić jako faceta, z którym wskoczyłam do łóżka, jak tylko go poznałam, a jeśli im powiem, że cię zatrudniłam jako detektywa w sprawie śmierci Ollie, któreś z dzieci wujka Henry'ego umieści to na swojej tablicy na Facebooku jeszcze przed północą. Wuj Henry to większy plotkarz niż ciotka Charlotte, chociaż żadne z nich nie jest wzorem dyskrecji. Holly przynajmniej jest tylko dziwaczna. – Bierze głęboki, drżący oddech. – Boże, bardzo potrzebuję teraz przyjaznej twarzy. Nie widziałam Charlotte ani Henry'ego od lat, żadne się nie pokazało na pogrzebie Ollie i z pewnością nie wykazywali zainteresowania moim życiem.

Hodges zastanawia się nad tym i mówi:

– Jestem przyjacielem, to wszystko. Pracowałem w firmie ochroniarskiej Czujna Straż w Sugar Heights. Poznałeś mnie, kiedy przyjechałaś zrobić inwentaryzację rzeczy Livvy i spotkać się z tym adwokatem w sprawie testamentu.

– Ze schronem. – Znowu bierze głęboki oddech. – To może się udać.

Owszem. Nikt nie potrafi wciskać kitu bardziej przekonująco niż gliniarz.

– Jadę.

- Ale... nie masz żadnych spraw w mieście? Śledztwa?
- Nic pilnego. Będę za godzinę. Przy sobotnim ruchu może nawet szybciej.
- Dziękuję ci, Bill. Z całego serca. Jeśli nie zastaniesz mnie w holu...
- Znajdę cię, jestem wyszkolonym detektywem. – Wsuwa stopy w buty.
- Weź ubranie na zmianę. Wynajęłam trzy pokoje w Holiday Inn przy tej samej ulicy.

Wynajmę jeszcze jeden dla ciebie. Oto korzyści z posiadania pieniędzy. Nie wspominając o platynowej karcie Amex.

- Janey, stamtąd do miasta jest łatwa droga.
- Jasne, ale ona może umrzeć. Jeśli to się stanie dzisiaj albo w nocy, naprawdę będę potrzebowała przyjaciela. Żeby... no wiesz...

Łzy ją dławią i nie może dokończyć. Hodges i tak wie, o co jej chodzi. Żeby załatwić formalności.

Dziesięć minut później siedzi w samochodzie i jedzie na wschód, w stronę Sunny Acres i szpitala Warsaw County Memorial. Spodziewa się znaleźć Janey w poczekalni OIOM-u, ale ona jest na zewnątrz, siedzi na zderzaku zaparkowanej karetki pogotowia. Hodges podjeżdża, ona wsiada do toyoty i jeden rzut oka na jej ściągniętą twarz i podkrążone oczy mówi mu wszystko, co musiał wiedzieć.

Janey trzyma się, dopóki nie zaparkował na miejscu dla gości, potem się załamuje. Hodges bierze ją w ramiona. Ona mówi, że Elizabeth Wharton odeszła z tego świata kwadrans po trzeciej centralnego czasu letniego.

Mniej więcej wtedy, kiedy nakładałem buty, myśli Hodges i przytula ją mocniej.

Sezon Małej Ligi jest w pełni i Brady spędza to słoneczne sobotnie popołudnie w parku McGinnis, gdzie na trzech boiskach rozgrywają się mecze w pełnym składzie. Dzień jest ciepły i interes kwitnie. Przyszło mnóstwo odstrzelonych nastolatków, żeby obejrzyć w akcji swoich młodszych braciszków, i kiedy stoją w kolejce po lody, nie mówią o niczym innym (przynajmniej Brady nic innego nie słyszy), tylko o zbliżającym się koncercie 'Round Here w MAC. Chyba wszystkie się wybierają. Brady postanowił też pójść. Musi tylko wykombinować, jak tam wejść w swojej specjalnej kamizelce – tej wypchanej kulkami łożyskowymi i blokami wybuchowego plastiku.

Mój ostatni ukłon, myśli. Nagłówki przez stulecia.

Ta myśl poprawia mu humor. Podobnie jak wyprzedaż wszystkiego, co miał w furgonetce – do czwartej zeszyły nawet JuCee Stix. Po powrocie do wytwórni lodów oddaje kluczyki Shirley Orton (która chyba nigdy stąd nie wychodzi) i pyta, czy może się zamienić z Rudym Stanhope'em, który ma popołudniową zmianę w niedzielę. Niedziele – zakładając, że pogoda dopisuje – są pracowite; trzy furgonetki Loeba obsługują nie tylko McGinnis, ale także cztery inne duże miejskie parki. Brady popiera swoją prośbę zdobywczym chłopcym uśmiechem, na który ona leci.

– Innymi słowy – mówi Shirley – chcesz dwa popołudnia z rzędu.

– Właśnie. – Brady wyjaśnia, że jego matka chce odwiedzić brata, co oznacza przynajmniej jeden nocleg poza domem, może dwa. Oczywiście żaden brat nie istnieje, a jedyne wycieczki, jakie obecnie interesują jego matkę, to trasa widokowa z kanapy do barku i z powrotem na kanapę.

– Rudy na pewno się zgodzi. Nie chcesz sam do niego zadzwonić?

– Jeśli prośba wyjdzie od ciebie, to sprawa załatwiona.

Suka chichocze, wprawiając w ruch zwały cielska. Dzwoni, kiedy Brady przebiera się w zwykle ubranie. Rudy z radością odda swoją niedzielną zmianę i weźmie jego zmianę we wtorek. Tym sposobem Brady ma dwa wolne popołudnia na obserwację Zoney's GoMart; tyle powinno wystarczyć. Jeśli dziewczynka z psem nie pojawi się w poniedziałek ani we wtorek, Brady w środę pójdzie na chorobowe. Jednak nie przypuszcza, że to potrwa tak długo.

Wychodzi z firmy i robi w Garden World zakupy spożywcze. Nabywa kilka produktów potrzebnych w domu – podstawowe artykuły, jak jajka, mleko, masło i płatki czekoladowe – potem zawadza o ladę z mięsem i kupuje pół kilo mięsa na hamburgery. Dziewięćdziesiąt procent chudego mięsa. Tylko to, co najlepsze, na ostatni posiłek Odella.

W domu otwiera garaż i wyładowuje zakupy. Przezornie ustawia puszki z trutką na najwyższej półce. Matka rzadko tu przychodzi, ale lepiej nie ryzykować. Pod stołem warsztatowym stoi minilodówka; Brady kupił ją na podwórkowej wyprzedaży za siedem dolarów, praktycznie za darmo. Trzyma tam napoje. Chowa paczkę mielonego mięsa za butelkami coli i mountain dew, potem wnosi resztę zakupów do domu. W kuchni zastaje cudowny widok: matka posypuje papryką sałatkę z tuńczyka, która naprawdę wygląda smakowicie.

Napotyka jego spojrzenie i śmieje się.

– Chciałam się zrehabilitować za lasagne. Przepraszam za tamto, ale byłam taka zmęczona.

Raczej taka pijana, myśli Brady, nic nowego. Ale przynajmniej jeszcze całkiem się nie poddała.

Ona wydyma usta, świeżo uszmkowane.

– Daj mamie buziaka, cukiereczku.

Cukiereczek bierze ją w ramiona i obdarza długim pocałunkiem. Jej szminka smakuje słodko. Potem ona klepie go po tyłku i mówi, żeby zszedł na dół i pobawił się komputerami, dopóki obiad nie będzie gotowy.

Brady zostawia gliniarzowi krótką, jednozdaniową wiadomość: Zajebię cię, dziadu. Potem gra w *Resident Evil*, dopóki matka nie zawoła go na obiad. Sałatka z tuńczyka jest pyszna, Brady bierze dwie dokładki. Ona jednak potrafi gotować, kiedy zechce. Brady nic nie mówi, kiedy matka nalewa sobie pierwszego wieczornego drinka, ekstradużego, żeby zrekompensować dwa albo trzy mniejsze, których sobie odmówiła po południu. Przed dziewiątą znowu chrapie.

Brady korzysta z okazji, żeby poszperać w internecie i dowiedzieć się wszystkiego o nadchodzącym koncercie 'Round Here. Ogląda filmik na YouTube – rozchichotane dziewczyny dyskutują, który z piątki chłopców jest najprzystojniejszy. Wedle powszechnej opinii Cam, wykonawca utworu *Look Me In My Eyes*, kawałka audiowymiocin, który Brady słyszał w radiu w zeszłym roku, jak sobie niejasno przypomina. Wyobraża sobie te roześmiane twarze rozerwane przez kulki łożyskowe, te identyczne dzinsy z Guess w płonących strzępach.

Później, kiedy zaprowadził matkę do łóżka i upewnił się, że jest kompletnie naprana, wyjmuje mielone mięso, przekłada do miski i miesza z dwoma kubkami trutki na szczury. Jeśli to nie wystarczy, żeby zabić Odella, przejedzie tego cholernego kundla furgonetką z lodami.

Rechocze na tę myśl.

Wkłada zatrute mięso do plastikowej torebki, zanoszą z powrotem do minilodówki i starannie chowa za butelkami napojów. Równie starannie myje ręce i miskę w dużej ilości gorącej wody z mydłem.

Tej nocy Brady śpi dobrze. Nie dręczą go bóle głowy ani sny o zmarłym bracie.

Hodges i Janey zajęli pokój niedaleko szpitalnej poczekalni, gdzie wolno używać telefonów, i tam podzielili między siebie sprawy, jakie należało załatwić po śmierci pani Wharton.

To on kontaktuje się z domem pogrzebowym (Soames, ten sam, który odprowadzał na wieczny spoczynek Olivie Trelawney) i sprawdza, czy szpital jest przygotowany na wydanie ciała, kiedy przyjedzie karawan. Janey, używając iPada z niedbałą wprawą, której Hodges jej zazdrości, ściąga formularz nekrologu z miejskiej gazety. Wypełnia go szybko, chwilami mamrocząc do siebie – Hodges słyszy zwrot „zamiast kwiatów”. Wysyła nekrolog, po czym wyjmuje z matczynej torebki notes z adresami i zaczyna dzwonić do nielicznych pozostałych przyjaciół starszej pani. Rozmawia z nimi ciepło i spokojnie, ale również krótko. Głos drży jej tylko raz, podczas rozmowy z Altheą Greene, pielęgniarką i najbliższą towarzyszką matki przez prawie dziesięć lat.

Do szóstej – mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Brady Hartsfield wraca do domu i zastaje matkę przy doprawianiu sałatki z tuńczyka – większość spraw jest dopięta na ostatni guzik. Za dziesięć siódma biały karawan Cadillac wjeżdża na szpitalny podjazd i ustawia się tyłem. Faceci w środku wiedzą, dokąd pójść; często tu bywają.

Janey spogląda na Hodgesa, twarz ma bladą, usta drżące.

– Nie wiem, czy dam radę...

– Ja się tym zajmę.

Transakcja właściwie nie różni się od innych: Hodges wręcza przedsiębiorcy pogrzebowemu i jego asystentowi podpisany akt zgonu, oni dają mu fakturę. Jakbym kupował samochód, myśli. Wraca do szpitalnego holu i dostrzega Janey na zewnątrz, znowu siedzącą na zderzaku ambulansu. Siada obok niej i bierze ją za rękę. Ona mocno ściska jego palce. Odprowadzają wzrokiem biały karawan, dopóki nie zniknie. Potem idą do jej samochodu i jadą dwie przecznice dalej do Holiday Inn.

Henry Sirois, otyły mężczyzna z wilgotnymi dłońmi, przyjeżdża o ósmej. Charlotte Gibney zjawia się godzinę później, poganiając obładowanego boya i narzekając na okropną obsługę podczas lotu. „I te płaczące niemowlaki... nawet nie chcę o tym mówić”. Ale i tak mówi. Jest równie chuda jak jej brat gruby i przygląda się Hodgesowi wodnistym, podejrzliwym okiem. Obok ciotki Charlotte czai się jej córka Holly, stara panna w wieku Janey, ale bez jej urody. Holly Gibney mówi tak cicho i niewyraźnie, że trudno ją zrozumieć, i chyba ma problem z nawiązywaniem kontaktu wzrokowego.

– Chcę zobaczyć Betty – ogłasza ciotka Charlotte, obdarzywszy siostrzenicę krótkim, zdawkowym uściskiem. Zupełnie jakby myślała, że panią Wharton wyłożono w motelowym lobby, z liliami u wezłowania i goździkami u stóp.

Janey wyjaśnia, że ciało zabrano już do Domu Pogrzebowego Soames w mieście, gdzie doczesne szczątki Elizabeth Wharton zostaną skremowane w środę po południu, po wystawieniu we wtorek i krótkim bezwyznaniowym nabożeństwie w środę rano.

– Kremacja to barbarzyństwo – ogłasza wujek Henry. Ci dwoje nie mówią, tylko ogłaszają.

– Ona tego chciała – odpowiada Janey cicho, uprzejmie, ale Hodges zauważa rumieniec wpływający na jej policzki.

Obawia się kłopotów, może żądania pisemnego dokumentu z wyraźnym poleceniem przeprowadzenia kremacji, ale tamci zachowują spokój. Zapewne pamiętają o tych milionach, które Janey odziedziczyła po siostrze – pieniądzech, którymi ona może się podzielić. Albo nie.

Wujek Henry i ciotka Charlotte może nawet rozpamiętują wszystkie wizyty, których nie złożyli starszej siostrze podczas jej ostatnich lat choroby. W ciągu tych lat panią Wharton odwiedzała tylko Olivia, której imienia ciotka Charlotte nie wymawia, tylko nazywa ją „ta z problemami”. I oczywiście Janey, wciąż ciężko przeżywająca swoje katastrofalne małżeństwo i burzliwy rozwód, która została przy matce do końca.

W piątkę jedzą kolację w prawie opustoszałej restauracji Holiday Inn. Z głośników pod sufitem trąbi Herb Alpert. Ciotka Charlotte bierze sałatkę i narzeka na dressing, bo prosiła, żeby go podać oddzielnie.

– Mogą go wlać do dzbanka, ale butelka z supermarketu to wciąż butelka z supermarketu – ogłasza.

Jej mamrocząca córka zamawia coś, co brzmi jak „cyjanek stężony”. Okazuje się, że to cheeseburger, wysmażony. Wujek Henry wybiera fettucini alfredo i wsysa je sprawnie niczym przemysłowy odkurzacz. Drobne kropelki potu występują mu na czoło, kiedy pochłania ostatnie tasiemki. Wyciera resztkę sosu grubą pajdą chleba z masłem.

Hodges podtrzymuje rozmowę, opowiadając historyjki z lat pracy w firmie Czujna Straż. Praca jest fikcyjna, ale historie prawdziwe, zaadaptowane z czasów służby w policji. Opowiada o włamywaczu, którego przyłapano, kiedy się przeciskał przez okienko w piwnicy, i który zgubił spodnie, próbując się uwolnić (Holly nagradza to nikłym uśmiechem); o dwunastolatku, który stanął za drzwiami swojej sypialni i ogłuszył intruza kijem baseballowym; o gosposi, która ukradła kilka sztuk biżuterii swojej pracodawczyni, ale wypadły jej spod bielizny, kiedy podawała obiad. Mroczniejsze historie, liczne, zachowuje dla siebie.

Przy deserze (za który Hodges dziękuje, gdyż nieskruszone obżarstwo wuja Henry’ego służy za odstraszący przykład) Janey zaprasza nowo przybyłych, żeby od jutra zamieszkali w domu w Sugar Heights, po czym cała trójka wybywa do swoich opłaconych pokoi. Charlotte i Henry wydają się uradowani perspektywą sprawdzenia, jak żyją bogacze. Co do Holly... kto wie?

Pokoje gości są na parterze. Janey i Hodges mieszkają na drugim piętrze. Kiedy stają przed drzwiami sąsiednich pokoi, ona pyta, czy on będzie z nią spał.

– Bez seksu – mówi. – Nigdy w życiu nie miałam mniejszej ochoty na seks. Po prostu nie chcę być sama.

Jemu to odpowiada. I tak wątpi, czy stanąłby na wysokości zadania. Mięśnie nóg i brzucha ciągle go bołą po wczorajszej nocy... a przecież, przypomina sobie, wczorajszej nocy ona odwalila prawie całą robotę. Przytula się do niego pod kołdrą. On ledwie może uwierzyć w jej ciepło i stałość. W jej obecność. Rzeczywiście w tej chwili nie czuje pożądania, ale jest wdzięczny starszej pani, że się przekręciła, jak już zdążył przelecieć jej córkę, nie wcześniej. Niezbyt to miłe, ale tak jest. Corinne, jego była żona, mówiła, że każdy facet to świnia.

Janey kładzie mu głowę na ramieniu.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś.

– Ja też. – To absolutna prawda.

– Myślisz, że oni wiedzą, że śpimy razem?

Hodges zastanawia się.

– Ciotka Charlotte wie, ale wiedziałaby nawet, gdybyśmy nie spali.

– I odgadłeś to, ponieważ jesteś wyszkolonym...

– Właśnie. Śpij, Janey.

Zasypia, ale kiedy on się budzi nad ranem, bo musi iść do łazienki, ona siedzi przy oknie, wygląda na parking i płacze. Hodges kładzie jej rękę na ramieniu.

Janey podnosi wzrok.

– Obudziłam cię. Przepraszam.
– Nie, zwykle wstaję o trzeciej, żeby się wysikać. Z tobą w porządku?
– Tak. Taa. – Uśmiecha się, potem wyciera oczy pięściami jak dziecko. – Tylko nie mogę sobie wybaczyć, że przeniosłam mamę do Sunny Acres.
– Mówiłaś, że sama chciała.
– Tak. Chciała. Ale i tak parszywie się czuję. – Janey patrzy na niego zaczerwienionymi oczami, błyszczącymi od łez. – I nie mogę sobie wybaczyć, że Olivia musiała sama dźwigać ten ciężar, kiedy mieszkałam w Kalifornii.
– Jako wyszkolony detektyw dedukuję, że próbowałaś ratować swoje małżeństwo.
Obdarza go wątlym uśmiechem.
– Dobry z siebie człowiek, Bill. Idź do łazienki.
Kiedy wraca, ona znowu leży w łóżku, zwinięta w kłębek. On ją obejmuje i przesypiają resztę nocy przytuleni jak łyżeczki.

W niedzielę wcześnie rano Janey pokazuje mu, jak używać jej iPada, zanim idzie wziąć prysznic. Hodges zagląda Pod Niebieski Parasol Debbie i znajduje nową wiadomość od Pana Mercedesa. Jest krótka i rzeczowa: Zajebię cię, dziadu.

– Taa, ale powiedz mi, co naprawdę czujesz – mówi i ku własnemu zdumieniu się śmieje.

Janey wychodzi z łazienki owinięta ręcznikiem, para kłębi się wokół niej niczym w hollywoodzkim filmie. Pyta, z czego on się śmieje. Hodges pokazuje jej wiadomość. Ona nie jest zbyt rozbawiona.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Bill.

Hodges też ma taką nadzieję. Jednego jest pewien: po powrocie do domu wyjmie z sejfu w sypialni Glocka kaliber .40, swoją służbową broń, i znowu zacznie go nosić. Happy Slapper już nie wystarczy.

Telefon obok podwójnego łóżka świergocze. Janey odbiera, rozmawia krótko, odkłada słuchawkę.

– Dzwoniła ciotka Charlotte. Proponuje, żeby wesół gromadka spotkała się na śniadaniu za dwadzieścia minut. Chyba nie może się doczekać przenosin do Sugar Heights, żeby zacząć liczyć srebra.

– Okay.

– Zdradziła mi również, że łóżko było o wiele za twarde i że musiała wziąć pigułkę przeciwuczuleniową z powodu piankowych poduszek.

– Uhum. Janey, czy komputer Olivii nadal jest w domu w Sugar Heights?

– Jasne. W pokoju, którego używała jako gabinetu.

– Czy możesz zamknąć ten pokój na klucz, żeby tam nie wchodzili?

Janey przerywa zapinanie biustonosza, zamiera na chwilę w tej pozycji, z łokciami do tyłu, archetyp kobiecości.

– Do cholery z tym, po prostu zabronię im wchodzić. Nie dam się zastraszyć tej babie.

A co z Holly? Rozumiesz, co ona mówi?

– Myślałam, że zamówiła na kolację stężony cyjanek – przyznaje Hodges.

Janey pada na to samo krzesło, na którym płakała w nocy, tylko że teraz się śmieje.

– Skarbie, ale z ciebie zły detektyw.

– Jak już będzie po pogrzebie i oni wyjadą...

– Najpóźniej w czwartek – zapewnia Janey. – Jeśli zostaną dłużej, będę musiała ich zabić.

– I żaden sąd na ziemi cię nie skaże. Jak już wyjadą, chcę, żeby mój przyjaciel Jerome obejrzał ten komputer.

Przywiózłbym go wcześniej, ale...

– Nie daliby mu spokoju. Ani mnie.

Hodges, myśląc o bystrych i ciekawskich oczach ciotki Charlotte, przytakuje.

– Czy te rzeczy z Niebieskiego Parasola nie znikną? Myślałam, że znikają za każdym razem, kiedy opuszczasz stronę.

– Nie chodzi mi o Niebieski Parasol Debbie. Chodzi o duchy, które twoja siostra słyszała po nocach.

Kiedy idą do windy, Hodges zadaje Janey pytanie, które go dręczyło, odkąd zadzwoniła poprzedniego dnia.

– Czy myślisz, że te pytania o Olivię wywołały udar u twojej matki?

Ona wzrusza ramionami z nieszczęśliwą miną.

– Trudno powiedzieć. Była bardzo stara... co najmniej siedem lat starsza od ciotki Charlotte... i nieustanne bóle bardzo ją wyczerpały. – Potem dodaje niechętnie: – To mogło odegrać pewną rolę.

Hodges przegarnia palcami naprędcę uczesane włosy, znowu je mierzwiąc.

– O Jezu.

Odzywa się dzwonek windy. Wchodzą do kabiny. Janey odwraca się i chwyta obie jego ręce. Mówi szybko, z naciskiem:

– Coś ci powiem. Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to znowu. Mama miała długie życie. Za to Ollie zasługiwała jeszcze na kilka lat. Nie była nadzwyczajnie szczęśliwa, ale jakoś sobie radziła, dopóki ten drań się do niej nie dobrał. Ten... ten odmieniec. Nie dość, że ukradł jej samochód i zabił nim osiem osób, nie licząc tych okaleczonych. To mu nie wystarczyło, prawda? Musiał jeszcze ukraść jej spokój.

– Więc działamy dalej?

– Tak, do cholery. – Janey zaciska ręce na jego dłoniach. – To nasza sprawa, Bill. Rozumiesz? To nasza sprawa.

I tak by nie odpuścił, skoro już wbił zęby w zdobycz, ale dobrze usłyszeć taką żarliwą odpowiedź.

Drzwi windy się otwierają. Holly, ciotka Charlotte, i wujek Henry czekają w lobby. Ciotka Charlotte mierzy ich wścibskim spojrzeniem sroki, pewnie wypatrując tego, co dawny partner Hodgesa nazywał świeżymi śladami dymania. Pyta, czemu tak długo, potem, nie czekając na odpowiedź, informuje, że bufet śniadaniowy wygląda bardzo nędznie. Jeśli liczyli na zamówienie omletu, to mają pecha.

Hodges myśli, że Janey Patterson czeka kilka bardzo długich dni.

Podobnie jak dzień poprzedni, niedziela jest słoneczna i letnia. Podobnie jak poprzedniego dnia, Brady wyprzedaje towar do czwartej, co najmniej dwie godziny przed porą kolacji, kiedy park pustoszeje. Chce zadzwonić do domu i zapytać, co matka by zjadła, potem postanawia wziąć coś na wynos z Długiego Johna Silvera i zrobić jej niespodziankę. Ona uwielbia Kąski Langustyńki.

Jak się okazuje, to Brady'ego czeka niespodzianka.

Wchodzi do domu przez garaż i powitanie – „Hej, mamo, wróciłem!” – zamiera mu na ustach. Tym razem pamiętała, żeby wyłączyć piecyk, ale w powietrzu wisi zapach mięsa, które przypaliła na lunch. Z salonu dochodzi stłumione bębnienie i dziwnie bulgotliwy krzyk.

Na jednym z frontowych palników stoi patelnia. Brady zagląda do niej i widzi okruchy zwęglonego hamburgera wznoszące się niczym wulkaniczne wyspy nad warstwą zastygłego tłuszczu. Na blacie stoi opróżniona do połowy butelka Stolicznej i słoik majonezu, jedyne dodatku, którego matka używa do hamburgerów.

Poplamione tłuszczem torby z kolacją na wynos wypadają mu z rąk. Nawet tego nie zauważa.

Nie, myśli. To niemożliwe.

A jednak możliwe. Gwałtownie otwiera drzwi lodówki i tam, na górnej półce, leży torba z zatrutym mięsem. Tylko że połowy mięsa brakuje.

Brady gapi się głupio na pozostałą połowę, myśląc: Ona nigdy nie zagląda do minilodówki w garażu. Nigdy. Ta lodówka jest moja.

Po czym napływa następna myśl: Skąd wiesz, czy nie zagląda pod twoją nieobecność? Może przeszukuje wszystkie twoje szuflady i sprawdza pod materacem.

Znowu rozlega się ten bełkotliwy krzyk. Brady biegnie do salonu, wkopując jedną z toreb od Długiego Johna Silvera pod kuchenny stół i zostawiając drzwi lodówki otwarte. Matka siedzi sztywno wyprostowana na kanapie. Ma na sobie błękitną jedwabną piżamę. Przód bluzy pokrywają wymiociny zmieszane z krwią. Brzuch wystaje, napinając materiał wokół guzików; to brzuch kobiety w siódmym miesiącu ciąży. Dziko rozczochrane włosy sterczą wokół pergaminowo bladej twarzy. Nozdrza są zalepione krwią. Oczy wybałuszone. Matka go nie widzi, przynajmniej Brady tak myśli z początku, ale potem wyciąga do niego rękę.

– Mamo! Mamo!!!

W pierwszej chwili chce ją uderzyć w plecy, ale potem widzi prawie zjedzonego hamburgera na stoliku do kawy obok resztek ogromnego drinka i wie, że walenie w plecy nie pomoże. Nic nie utknęło jej w gardle. Gdyby tylko.

Bębnienie, które słyszał, wchodząc, rozlega się znowu, kiedy jej nogi zaczynają podnosić się i opadać. Zupełnie jakby maszerowała w miejscu. Plecy wyginają się w łuk. Ramiona podrywają się do góry. Teraz jednocześnie maszeruje i sygnalizuje, że gol jest zaliczony. Jedna stopa kopie i uderza w stolik do kawy. Szklanka po drinku się przewraca.

– Mamo!

Ona rzuca się do tyłu na oparcie kanapy, potem do przodu. Wpatruje się w niego umęczonymi oczami. Bełkocze zdławionym głosem coś, co trochę przypomina jego imię.

Co się robi z ofiarami zatrucia? Surowe jajka? Coca-cola? Nie, cola pomaga na niestrawność. Ten przypadek jest dużo gorszy.

Muszę jej wsadzić palce do gardła, myśli. Sprawić, żeby to wyrzygała.

Ale potem jej zęby zaczynają własny marsz i Brady cofa niepewnie wyciągniętą rękę i przyciska ją do własnych ust. Widzi, że już pogryzła sobie dolną wargę niemal na strzępy; stąd

się wzięła krew na jej piżamie. Przynajmniej częściowo.

– Braywi! – Matka bierze urywany oddech. Następne słowa brzmią gardłowo, ale zrozumiale: – Dzoń... dzie... jed... aści!

Dzwoń pod dziewięćset jedenaście.

Brady podchodzi do telefonu i bierze słuchawkę, zanim sobie uświadamia, że nie może tego zrobić. Myśli o wszystkich pytaniach, na które musiałby odpowiedzieć. Odkłada słuchawkę i odwraca się do matki.

– Dlaczego tam myszkowałeś, mamó? Dlaczego?

– Braywi! Dzie-je-aście!

– Kiedy to zjadłeś? Jak dawno temu?

Zamiast odpowiedzi ona znowu zaczyna maszerować. Głowa jej podskakuje, wybałuszone oczy wpatrują się w sufit przez sekundę czy dwie i głowa opada. Plecy wcale się nie poruszają; zupełnie jakby głowa obracała się na zawiasach. Powraca bulgoczący dźwięk – jakby woda spływała częściowo zatkaną rurą. Usta się rozwierają i wylatują z nich rzygowiny. Lądują na kolanach z wilgotnym plaśnięciem i... Boże, to w połowie krew.

Brady pamięta, jak często życzył jej śmierci. Ale nigdy nie chciał, żeby umarła w ten sposób. Nie w ten sposób.

W jego głowie zapala się pomysł niczym samotna flara nad wzburzonym oceanem. Znajdzie w sieci, jak jej pomóc. Wszystko jest w sieci.

– Zajmę się tobą – mówi – ale muszę zejść na dół na chwilę. Zaczekaj tu, mamó.

Spróbuj...

O mało nie mówi: „Spróbuj się odprężyć”.

Biegnie do kuchni, wpada w drzwi prowadzące do centrum kontroli. Tam na dole dowie się, jak ją uratować. A nawet jeśli jej nie uratuje, nie będzie musiał patrzeć na jej umieranie.

Słowo zapalające światło to „kontrola”, ale chociaż wymawia je trzy razy, piwnica nadal tonie w ciemnościach. Brady uświadamia sobie, że program rozpoznawania głosu nie działa, ponieważ on mówi zmienionym głosem, i co w tym dziwnego? Co w tym, kurwa, dziwnego?

Zapala więc światło przełącznikiem i schodzi na dół, najpierw zamknąwszy drzwi za sobą – i za zwierzęcymi odgłosami dochodzącymi z salonu.

Nawet nie próbuje aktywować głosem szeregu komputerów, tylko włącza Numer Trzy przyciskiem za monitorem. Pojawia się odliczanie do Całkowitego Wymazania, które Brady zatrzymuje, wpisując hasło. Ale nie szuka antidotum na truciznę; na to już o wiele za późno i teraz, kiedy siedzi w bezpiecznym miejscu, zdaje sobie z tego sprawę.

Wie również, jak to się stało. Wczoraj była grzeczna, zachowała trzeźwość tak długo, żeby mu przygotować smaczną kolację, więc dzisiaj to sobie wynagrodziła. Narąbała się, potem doszła do wniosku, że powinna coś zjeść, zanim jej cukiereczek wróci do domu. W lodówce ani w spiżarni nie znalazła niczego, co pobudziłoby jej apetyt. Och, ale zaraz, co z minilodówką w garażu? Napoje gazowane jej nie interesują, ale może są tam przekąski. Tylko że znalazła coś o wiele lepszego, świeże mielone mięsko w plastikowej torebce.

Brady’emu przypomina się stare przysłowie: Jeśli coś może pójść źle, na pewno pójdzie źle. Czy to Zasada Petera? Uruchamia przeglądarkę, żeby sprawdzić. Po chwili poszukiwań odkrywa, że to nie Zasada Petera, tylko Prawo Murphy’ego. Nazwane od niejakiego Edwarda Murphy’ego. Faceta, który wytwarzał części do samolotów. Kto by pomyślał?

Surfuje po kilku innych stronach – właściwie więcej niż kilku – i rozgrywa parę rozdań pasjansa. Kiedy na górze rozlega się wyjątkowo głośny huk, postanawia posłuchać muzyki ze swojego iPoda. Czegoś wesołego. Na przykład Staple Singers.

Przy dźwiękach *Respect Yourself* wchodzi Pod Niebieski Parasol Debbie, żeby sprawdzić, czy dostał wiadomość od tłustego ekspliniera.

Kiedy nie może już dłużej tego odkładać, zakrada się na górę. Zapadł zmierzch. Zapach spalonego hamburgera prawie zniknął, ale ciągle mocno śmierdzi rzygami. Brady wchodzi do salonu. Matka leży na podłodze obok stolika do kawy, teraz przewróconego. Nieruchomymi oczami wpatruje się w sufit. Wargi ma rozciągnięte w szerokim grymasie. Palce rąk zagięte jak szpony. Nie żyje.

Brady myśli: Dlaczego musiałaś pójść do garażu, kiedy zgłodniałaś? Och, mamó, mamó, co w ciebie wstąpiło, na Boga?

Jeśli coś może pójść źle, na pewno pójdzie źle, powtarza sobie, a potem, patrząc na bałagan, jakiego narobiła, zastanawia się, czy mają środek do czyszczenia dywanów.

To wina Hodgesa. Wszystko przez niego.

Już on się rozprawi ze starym Det. Em., i to niedługo. Chwilowo jednak ma bardziej nagłący problem. Siada, żeby się zastanowić, na fotelu, z którego czasem korzystał, kiedy razem z matką oglądał telewizję. Uświadamia sobie, że ona już nigdy nie obejrzy żadnego reality show. To smutne... ale również zabawne, w pewnym sensie. Wyobraża sobie, że Jeff Probst przysyła kwiaty z karteczką: „Od wszystkich przyjaciół z *Rzykantów*”, i mimo woli chichocze.

Co ma z nią zrobić? Sąsiadom nie będzie jej brakowało, bo nigdy się z nimi nie zadawała, nazywała ich sztywniakami. Nie miała żadnych przyjaciół, nawet knajpianych znajomych, bo zawsze piła w domu. Raz, w rzadkiej chwili trzeźwej samooceny, powiedziała mu, że nie chodzi do barów, bo tam jest pełno takich pijaczków jak ona.

– To dlatego nie zostawiłaś tego gówna po pierwszym kęsie, prawda? – pyta trupa. – Byłaś za bardzo najebana.

Żałuje, że nie mają zamrażarki. Gdyby mieli, wpakowałby tam ciało. Widział to kiedyś w filmie. Nie odważy się jej zanieść do garażu; jeszcze ktoś by zobaczył. Mógłby ją zwinąć w dywan i znieść na dół do piwnicy, na pewno zmieściłaby się pod schodami, ale jak by pracował, wiedząc, że ona tam jest? Wiedząc, że wytrzeszcza oczy nawet w zrolowanym dywanie?

Poza tym piwnica to jego miejsce. Jego centrum kontroli.

W końcu sobie uświadamia, że może zrobić tylko jedno. Chwyta ją pod pachy i ciągnie w stronę schodów. Zanim ją tam dotaszczył, jej spodnie od piżamy zsunęły się, odsłaniając to, co czasami nazywa (nazywała, napomina się) swoją kizią. Raz, kiedy leżał z nią w łóżku i uwalniał go od szczególnie dokuczliwego bólu głowy, próbował dotknąć jej kizi, a ona trzepnęła go po rękę. Mocno. Ani się waży, powiedziała. Stamtąd wyszedłeś.

Brady wciąga ją po schodach, po jednym stopniu. Spodnie od piżamy zsuwają jej się do kostek i tworzą kłęb. Wspomina, jak w ostatnich chwilach odstawiała siedzący marsz na kanapie. Okropne. Ale, podobnie jak Jeff Probst przysyłający kwiaty, w pewnym sensie również zabawne, chociaż nikt poza nim raczej nie zrozumiałby tego dowcipu. To coś w rodzaju zen.

Przez korytarz. Do jej sypialni. Prostuje się i krzywi od bólu w krzyżu. Boże, jaka ona ciężka. Jakby śmierć napelniła ją jakąś gęstą substancją.

Nieważne. Do roboty.

Podciąga jej spodnie, żeby wyglądała przyzwoicie – na ile przyzwoicie może wyglądać trup w zarzyganej piżamie – i dźwiga ją na łóżko. Jęczy, czując narastający ból w krzyżu. Tym razem, kiedy się prostuje, kręgosłup mu trzeszczy. Chciałby zdjąć jej piżamę i przebrać ją w coś czystego – może koszulkę rozmiaru XL, w jakich czasem sypia – ale to oznacza więcej dźwigania i obracania tych kilogramów milczącego ciała zwisającego z kości jak z wieszaków.

A jeśli wypadł mu dysk?

Mógłby przynajmniej zdjąć jej górę, najbardziej zabrudzoną, ale wtedy musiałby patrzeć na jej cycki. Których pozwalała mu dotykać, ale tylko raz na jakiś czas. Mój przystojny chłopiec, mówiła wtedy. Przegarniając mu włosy palcami albo masując kark, gdzie zagnieździły się bóle głowy, przyczajone i warczące. Mój przystojny cukiereczek.

W końcu tylko podciąga koldrę i zakrywa ją całą. Zwłaszcza te wytrzeszczone, gapiące się oczy.

– Przepraszam, mamie – mówi, spoglądając na biały kształt. – Nie twoja wina.

Nie. To wina tłustego ekspliniarza. Owszem, Brady kupił trutkę na szczury, żeby otruć psa, ale chciał tylko w ten sposób dobrać się do Hodgesa i zrobić mu bajzel w głowie. Teraz Brady sam ma bajzel w głowie. Nie wspominając o salonie. Czeka go mnóstwo roboty, ale najpierw musi jeszcze coś załatwić.

Odzyskał panowanie nad sobą i tym razem komendy głosowe działają. Nie traci czasu, tylko siada przed Numerem Trzy i loguje się Pod Niebieski Parasol Debbie. Wystukuje wiadomość do Hodgesa, krótką i treściwą.

Zabiję cię.

Nie będziesz wiedział kiedy.

WEZWANIE DLA ZMARŁYCH

W poniedziałek, dwa dni po śmierci Elizabeth Wharton, Hodges znowu siedzi we włoskiej restauracji DeMasio. Ostatnio umówił się tu na lunch ze swoim byłym partnerem. Tym razem je kolację. Towarzyszą mu Jerome Robinson i Janelle Patterson.

Janey chwali jego garnitur, który już leży lepiej, chociaż Hodges zrzucił tylko parę kilo (i glock, którego nosi na biodrze, prawie się nie odznacza). Natomiast Jerome'owi podoba się nowy kapelusz, brązowa fedora, którą Janey kupiła Hodgesowi pod wpływem impulsu tego samego dnia i wręczyła mu uroczyście. Ponieważ teraz jest prywatnym detektywem, powiedziała, a każdy prywatny łaps powinien nosić fedorę, którą może nasunąć na jedno oko.

Jerome przymierza kapelusz i przekrzywia dokładnie pod odpowiednim kątem.

– I co myślicie? Wyglądam jak Bogart?

– Przykro mi cię rozczarować – mówi Hodges – ale Bogart był biały.

– Taki biały, że aż świecił – dodaje Janey.

– Mniejsza z tym. – Jerome rzuca kapelusz z powrotem do Hodgesa, który kładzie go pod krzesłem i notuje w myślach, żeby go nie zapomnieć, wychodząc. Ani na niego nie nadepnąć.

Z zadowoleniem widzi, że dwójka jego gości od razu się polubiła. Jerome – stara głowa na młodym ciele, jak często myśli Hodges – robi to, co trzeba, jak tylko pierwsze lody zostały przełamane dzięki wygłupom z kapeluszem: bierze rękę Janey w obie dłonie i mówi, jak mu przykro z powodu jej straty.

– Podwójnej – dodaje. – Wiem, że straciła pani również siostrę. Gdybym ja stracił siostrę, byłbym najsmutniejszym facetem na świecie. Barb to zołza, ale kocham ją nad życie.

Ona dziękuje mu z uśmiechem. Ponieważ Jerome jeszcze jest za młody, żeby legalnie pić wino, wszyscy zamawiają mrożoną herbatę. Janey pyta go o plany na studia i kiedy Jerome wspomina o Harvardzie, ona przewraca oczami i mówi:

– Ha-ward. O rany.

– Massa Hodges musicie szukać nowego chłopaka do koszenia trawników! – wykrzykuje Jerome.

Janey śmieje się tak bardzo, że musi wypluć w serwetkę kęs krewetki. Czerwieni się, ale Hodges cieszy się, słysząc jej śmiech. Starannie nałożony makijaż nie zdołał całkowicie zamaskować jej bladości ani ciemnych kręgów pod oczami.

Hodges pyta, jak ciotce Charlotte, wujkowi Henry'emu i mamroczącej Holly podoba się wielki dom w Sugar Heights. Janey łapie się za głowę, jakby dostała strasznej migreny.

– Ciotka Charlotte dzwoniła dzisiaj sześć razy. Nie przesadzam. Sześć. Pierwszy raz, żeby mi powiedzieć, że Holly obudziła się w środku nocy, nie wiedziała, gdzie jest, i dostała ataku paniki. Ciocia chciała już wzywać pogotowie, kiedy wujek Henry wreszcie uspokoił Holly, rozmawiając z nią o wyścigach samochodowych NASCAR. Ona za nimi szaleje. Jak rozumiem, nigdy żadnego nie opuszcza w telewizji. Jej idolem jest Jeff Gordon. – Wzrusza ramionami. – Wyobraźcie sobie.

– Ile lat ma ta Holly? – pyta Jerome.

– Jest w moim wieku, ale cierpi na pewne... upośledzenia emocjonalne, chyba można to tak określić.

Jerome zastanawia się w milczeniu, potem mówi:

– Powinna chyba wziąć pod uwagę innego kierowcę wyścigowego, Kyle'a Buscha.

– Kogo?

– Nieważne.

Ciotka Charlotte dzwoniła również, ciągnie Janey, żeby wydziwiać nad miesięcznymi

rachunkami za elektryczność, z pewnością ogromnymi; żeby się zwierzyć, że sąsiedzi wydają się bardzo nieprzystępni; żeby zakomunikować, że w domu jest okropnie dużo obrazów i że ta cała nowoczesna sztuka wcale nie przypadła jej do gustu; żeby wytknąć (choć to brzmiało jak kolejny komunikat), że jeśli Olivia uważała, że te wszystkie lampy to szkło karnawałowe, prawie na pewno ją oszukali. Ostatni telefon, odebrany tuż przed wyjściem do restauracji, najbardziej Janey zirytował. Wujek Henry chciał jej przekazać, powiedziała ciotka, że zrobił rozeznanie i jeszcze nie jest za późno, żeby zmieniła zdanie w sprawie kremacji. Oświadczyła, że jej brat bardzo się zdenerwował tym pomysłem – nazwał to „pogrzebem wikinga” – a Holly nawet nie chciała o tym rozmawiać, bo to ją przeraża.

– Potwierdzili swój wyjazd w czwartek – kończy Janey – i już odliczam minuty. – Ścisła rękę Hodgesa i dodaje: – Ale jest jedna dobra wiadomość. Ciocia mówi, że bardzo się spodobałeś Holly.

Hodges uśmiecha się.

– Pewnie dlatego, że jestem podobny do Jeffa Gordona.

Janey i Jerome zamawiają deser. Hodges cnotliwie rezygnuje. Potem, przy kawie, przechodzi do rzeczy. Przyniósł ze sobą dwie teczki i wręcza po jednej każdemu ze współbiesiadników.

– Wszystkie moje notatki. Uporządkowałem je najlepiej, jak mogłem. Chcę, żebyście je mieli, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Janey wygląda na zaniepokojoną.

– Co on ci jeszcze napisał na tej witrynie?

– Nic – odpowiada Hodges. Kłamstwo spływa z jego ust gładko i przekonująco. – To tylko zabezpieczenie.

– Na pewno? – pyta Jerome.

– Absolutnie. W tych notatkach nie ma niczego konkretnego, ale to nie znaczy, że nie poczyniliśmy postępów. Widzę ścieżkę dochodzenia, która może... powtarzam, może... doprowadzić nas do tego faceta. Dopóki go nie złapiemy, oboje musicie nieustannie uważać, co się wokół was dzieje.

– Mieć się na baczności – recytuje Janey.

– Właśnie. – Hodges odwraca się do Jerome'a. – A na co konkretnie będziesz uważał? Odpowiedź pada szybko i pewnie.

– Na pojazdy, które przejeżdżają po kilka razy tą samą ulicą, zwłaszcza prowadzone przez mężczyzn w dość młodym wieku, powiedzmy między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat. Choć czterdzieści to już starość. Czyli ty jesteś zgrzybiałym antykiem, Bill.

– Nikt nie lubi przemądrzałych smarkaczy – odgryza się Hodges. – Z czasem się o tym przekonasz, młody człowieku.

Hostessa Elaine podchodzi zapytać, czy wszystko w porządku. Zapewniają, że tak, a Hodges prosi o dolewkę kawy.

– W tej chwili – mówi Elaine. – Pozwoli pan powiedzieć, że wygląda pan znacznie lepiej niż ostatnim razem, panie Hodges.

Hodges pozwala. Rzeczywiście czuje się znacznie lepiej niż ostatnim razem, kiedy tu był. Zrzucił trzy czy cztery kilo, ale nie tylko dlatego tak mu lekko na sercu.

Kiedy Elaine odeszła, a kelnerka dołała kawy, Janey nachyla się nad stołem, patrząc mu w oczy.

– Co to za ścieżka dochodzenia? Powiedz nam.

Hodges przyłapuje się na myśli o Donaldzie Davisie, który przyznał się do zabicia nie tylko żony, ale również pięciu innych kobiet na parkingach przy autostradach Środkowego

Zachodu. Wkrótce przystojny pan Davis znajdzie się w więzieniu, gdzie niewątpliwie spędzi resztę życia.

Hodges już takie rzeczy widywał.

Nie jest do tego stopnia naiwny, żeby wierzyć, że każda zbrodnia zostanie wyjaśniona, ale morderstwo najczęściej wychodzi na jaw. Coś (na przykład ciało żony w pewnym opuszczonym wyrobisku żwiru) zostaje wydobyte na światło dzienne. Zupełnie jakby działała tu jakaś niezdarna, ale potężna uniwersalna siła, która zawsze próbuje naprawić zło. Detektywi przydzieleni do sprawy czytają raporty, przesłuchują świadków, wykonują telefony, badają materiał dowodowy... i czekają, żeby ta siła wykonała swoje zadanie. Kiedy wykona (jeśli wykona), pojawia się ścieżka. Często prowadzi prosto do zabójcy, osoby, którą Pan Mercedes nazywa w swoich listach „sprafcą”.

Hodges pyta współbiedników: – A jeśli Olivia Trelawney naprawdę słyszała duchy?

Na parkingu, stojąc obok używanego, ale sprawnego jeepa wranglera, który rodzice podarowali mu na siedemnaste urodziny, Jerome mówi Janey, jak miło było ją poznać, i całuje ją w policzek. Ona wydaje się zdziwiona, ale zadowolona.

Jerome odwraca się do Hodgesa.

– Wszystko ustalone, Bill? Potrzebujesz czegoś jutro?

– Tylko żebyś przejrzał te rzeczy, o których mówiliśmy, żebyś był gotowy, kiedy sprawdzimy komputer Olivii.

– Załatwione.

– Dobra. I nie zapomnij pozdrowić ode mnie tatę i mamę.

Jerome szczerzy zęby.

– Wiesz co, przekażę pozdrowienia tacie. Co do mamy... – Miastowy Czarnuch na krótko wychodzi na scenę. – Tem paniom ja wolem omijać z daleka przez jakiś tydzień.

Hodges unosi brwi.

– Naraziłeś się matce? To do ciebie niepodobne.

– Nieee, tylko jest wkurzona. A ja to rozumiem.

– O czym ty mówisz?

– Och, człowieku. W czwartek wieczorem jest koncert w MAC. Ten kretyński boysband 'Round Here. Barb, jej koleżanka Hilda i reszta psiapsiółek wariują, żeby ich zobaczyć, chociaż to przesłodzona sieczka.

– Ile lat ma twoja siostra? – pyta Janey.

– Dziewięć. Prawie dziesięć.

– Dziewczynki w tym wieku lubią przesłodzoną sieczkę. Uwierz byłej jedenastolatce, która szalała za Bay City Rollers. – Jerome patrzy pytająco, a ona się śmieje. – Jeśli ich znasz, stracę dla ciebie wszelki szacunek.

– W każdym razie żadna z nich nigdy nie była na prawdziwym koncercie. To znaczy oprócz Barneya czy *Ulicy Sezamkowej na lodzie*, czy czegoś takiego. Więc marudziły i marudziły, zadreślały wszystkich... nawet mnie... aż w końcu mamy się zebrały i zdecydowały, że skoro koncert zaczyna się o wczesnej porze, dziewczynki mogą iść nawet w dzień powszedni, pod warunkiem że jedna z matek pójdzie jako opiekunka. Dosłownie ciągnęły słomki i wypadło na moją mamę.

Kręci głową. Twarz ma poważną, ale w oczach migoczą iskierki.

– Moja mama w MAC z trzema czy czterema tysiącami wrzeszczących smarkul w wieku od ośmiu do czternastu lat. Czy muszę dalej wyjaśniać, dlaczego schodzę jej z drogi?

– Na pewno będzie się świetnie bawić – pociesza Janey. – Nie tak dawno pewnie sama wrzeszczała na koncertach Marvin'a Gaye'a czy Al'a Greena.

Jerome wskakuje do jeepa, macha im na pożegnanie i wyjeżdża na Lowbriar. Hodges i Janey stoją obok samochodu Hodgesa w niemal letni wieczór. Sierp księżycy wzeszedł nad wiaduktem, który oddziela zamożniejszą część miasta od Lowtown.

– Fajny chłopak – mówi Janey. – Masz szczęście, że go znasz.

– Tak – przyznaje Hodges – mam szczęście.

Janey zdejmuje mu fedorę, nakłada sobie na głowę i przekrzywia pod lekkim, lecz prowokacyjnym kątem.

– Co dalej, detektywie? Do ciebie?

– Czy to znaczy to, co mam nadzieję, że znaczy?

– Nie chcę spać sama. – Staje na palcach, żeby mu zwrócić kapelusz. – Jeśli w zamian

muszę oddać swoje ciało, to trudno.

Hodges naciska guzik otwierający samochód.

– Niechaj nikt nie śmie powiedzieć, że nie wykorzystałem damy w opałach.

– Nie jest pan dżentelmenem, panie Hodges – mówi Janey i dodaje: – Dzięki Bogu.

Jedźmy.

Tym razem jest lepiej, bo trochę już się znają. Nerwowość została zastąpiona gorliwością. Kiedy skończyli się kochać, Janey narzuca jego koszulę (tak obszerną, że jej piersi giną kompletnie, a tył sięga do dołków pod kolanami) i zwiedza jego mały domek. On idzie za nią trochę niespokojnie.

Po powrocie do sypialni Janey wydaje wyrok.

– Nieźle jak na kawalerskie gospodarstwo. Nie ma brudnych naczyń w zlewie, nie ma włosów w wannie, nie ma pornosów na telewizorze. Nawet wypatrzyłam trochę zieleniny w pojemniku na warzywa, za co otrzymujesz dodatkowe punkty.

Wyciąga z lodówki dwie puszki piwa i stuka się z nim.

– Nie spodziewałem się, że kiedyś będę tu z inną kobietą – mówi Hodges. – Może najwyżej z córką. Rozmawiamy przez telefon i wysyłamy do siebie e-maile, jednak Allie nie odwiedziła mnie od kilku lat.

– Czy przy rozwodzie wzięła stronę twojej byłej?

– Chyba tak. – Hodges nigdy nie określał tego w ten sposób. – Jeśli tak, pewnie miała rację.

– Jesteś trochę za surowy dla siebie.

Hodges popija piwo. Smakuje całkiem dobrze. Przy następnym łyku coś mu przychodzi do głowy.

– Czy ciotka Charlotte ma numer mojego telefonu, Janey?

– Wykluczone. Nie dlatego chciałam tu przyjść zamiast wrócić do apartamentu, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że to mi nie przyszło do głowy. – Patrzy na niego poważnie. – Przyjdiesz na nabożeństwo żałobne w środę? Powiedz, że przyjdiesz. Proszę. Potrzebuję przyjaciela.

– Oczywiście. Przyjdę też na wystawienie zwłok we wtorek.

Janey wydaje się zdziwiona, ale uszczęśliwiona.

– Naprawdę? To aż za dużo.

Nie dla Hodgesa. Przeważnie już na pełny tryb dochodzeniowy, a obecność na pogrzebie kogoś zamieszanego w sprawę morderstwa – nawet marginalnie – to standardowa policyjna procedura. W gruncie rzeczy nie wierzy, żeby Pan Mercedes zjawił się na wystawieniu zwłok ani na środowym nabożeństwie, ale to niewykluczone. Nie czytał dzisiejszej gazety, jednak jakiś czujny reporter mógł powiązać panią Wharton z jej córką Olivią Trelawney, która popełniła samobójstwo, kiedy jej samochód posłużył za morderczą broń. Takie powiązanie to żadna sensacja, ale to samo można powiedzieć o przygodach Lindsay Lohan z alkoholem i narkotykami. Hodges myśli, że mogli to przynajmniej zamieścić w bocznym pasku przeglądarki.

– Chcę tam być – mówi. – Co się robi z popiołami?

– Przedsiębiorca pogrzebowy nazywa je „krematy” – oznajmia Janey i marszczy nos tak samo jak wtedy, kiedy kpi z jego „taa”. – Obrzydliwe, nie? Jak coś, co się wsypuje do kawy. Pocieszające jest, że raczej nie będę musiała się o nie kłócić z ciotką Charlotte i wujkiem Henrym.

– Nie, nie będziesz musiała. Czy będzie stypa?

Janey wzdycha.

– Ciocia nalega. Nabożeństwo jest o dziesiątej, a potem lunch w domu w Sugar Heights. Kiedy my będziemy zajadali sandwicze z katering i opowiadali ulubione historyjki o Elizabeth Wharton, ludzie z domu pogrzebowego zajmą się kremacją. Zdecyduję, co zrobić z popiołami,

jak już tych troje wyjedzie w czwartek. Nawet nie będą musieli oglądać urny.

– To dobry pomysł.

– Dzięki, ale ten lunch mnie przeraża. Nie pani Greene i reszta dawnych przyjaciół mamy, tylko oni. Jeśli ciotka Charlotte zacznie się awanturować, Holly dostanie świra. Przyjdź też na lunch, dobrze?

– Jeśli mi pozwolisz sięgnąć pod tę koszulę, zrobię dla ciebie wszystko.

– W takim razie pomogę ci z guzikami.

Kilka kilometrów od domu na Harper Road, gdzie Kermit William Hodges i Janelle Patterson leżą razem w łóżku, Brady Hartsfield siedzi w swoim centrum kontroli. Tym razem siedzi przy stole roboczym, nie przy komputerach. I nie robi nic.

Obok, wśród porzucanych małych narzędzi, kawałków drutu i części komputerowych, leży poniedziałkowa gazeta, wciąż zwinięta w cienkim plastikowym kondomie. Przyniósł ją, kiedy wrócił z Discount Electronix, ale tylko z przyzwyczajenia. Nie interesują go wiadomości. Ma co innego na głowie. Po pierwsze: jak załatwić tego gliniarza. Po drugie: jak wejść na koncert 'Round Here w MAC w swojej pieczołowicie skonstruowanej samobójczej kamizelce. Jeśli naprawdę zamierza to zrobić. W tej chwili wydaje mu się, że to okropnie dużo roboty. Jak wykopanie długiego rowu. Wspinaczka na wysoką górę. Albo...

Ale żadne inne porównania nie przychodzą mu do głowy. A może to metafora?

Może, myśli ze znużeniem, powinienem po prostu się zabić i skończyć z tym. Pozbyć się tych okropnych myśli. Tych obrazów z piekła.

Takich jak obraz jego matki, skręcającej się w konwulsjach na kanapie po zjedzeniu zatrutego mięsa, przeznaczonego dla psa Robinsonów. Matki z wybałuszonymi oczami, w zarzyganej piżamie – jak wyglądałoby takie zdjęcie w rodzinnym albumie?

Musi pomyśleć, ale w jego głowie szaleje huragan, wielka zła Katrina piątej kategorii, i wszystko fruwa.

Na podłodze rozłożył swój stary śpiwór skauta, na dmuchanym materacu, który wyszabrował z garażu. Z materaca powoli schodzi powietrze. Brady przypuszcza, że będzie musiał go wymienić, jeśli zamierza tu sypiać przez tę resztkę życia, jaka mu została. A gdzie miałby sypiać? Nie potrafi się zmusić, żeby położyć się do własnego łóżka na piętrze, kiedy matka leży martwa w łóżku po drugiej stronie korytarza i może już gnije pod prześcieradłem. Włączył jej klimatyzator i nastawił na ZIMNO, ale nie ma złudzeń, że to pomoże. Przynajmniej nie na długo. Spanie na kanapie w salonie też nie wchodzi w grę. Wyczyścił ją jak najdokładniej i odwrócił poduszki na drugą stronę, ale nadal cuchnie wymiocinami.

Nie, musi zostać tutaj, w swoim specjalnym miejscu, w swoim centrum kontroli. Oczywiście piwnica ma własną nieprzyjemną historię: tutaj umarł jego młodszy brat. Tylko że „umarł” to eufemizm, a na eufemizmy trochę za późno.

Brady wspomina, jak posłużył się imieniem Frankiego, kiedy pisał do Olivii Trelawney Pod Niebieskim Parasolem Debbie. Zupełnie jakby Frankie na krótko znowu ożył. Tylko że kiedy ta suka Trelawney zmarła, Frankie umarł razem z nią.

Po raz drugi.

– I tak nigdy cię nie lubiłem – mówi, spoglądając w stronę podnóża schodów. Głos ma dziwnie dziecinny, wysoki i drżący, ale tego nie zauważa. – I musiałem. – Robi przerwę. – Musieliśmy.

Myśli o matce, jaka była piękna w tamtych czasach.

W tamtych dawnych czasach.

Deborah Ann Hartsfield należała do tych nielicznych byłych cheerleaderek, które nawet po urodzeniu dzieci zachowały figurę taką jak wtedy, kiedy tańczyły i skakały przy bocznej linii boiska w blasku reflektorów w piątkowe wieczory: wysoka, zgrabna, złotowłosa. We wczesnych latach małżeństwa wypijała najwyżej kieliszek wina do kolacji. Po co pić więcej, kiedy życie na trzeźwo było dobre? Miała męża, miała dom w północnej części miasta – może nie pałac, ale to dopiero początek – i miała swoich dwóch synków.

Kiedy matka owdowiała, Brady miał osiem lat, a Frankie trzy. Frankie był zwyczajnym dzieckiem, niezbyt rozgarniętym. Natomiast Brady był bystry i śliczny. W dodatku co za czaruś! Matka go uwielbiała, a on odwdzięczał się tym samym. Spędzali długie sobotnie popołudnia przytuleni pod kocem na kanapie, oglądając stare filmy i popijając gorącą czekoladę, podczas gdy Norm majstrował w garażu, a Frankie pełzał po dywanie i bawił się klockami albo małym wozem strażackim, który tak lubił, że nadał mu imię: Sammy.

Norm Hartsfield był monterem linii elektrycznych w Central States Power. Zarabiał dobrze, włączając na słupy, ale miał na oku coś większego. Może właśnie skupił się na tym czymś tamtego dnia przy szosie 51, zamiast patrzeć, co robi, albo może stracił równowagę i sięgnął w niewłaściwą stronę, żeby się przytrzymać. Bez względu na przyczynę skutek był fatalny. Jego partner właśnie składał raport, że znaleźli uszkodzenie i prawie zakończyli naprawę, kiedy usłyszał trzask. To dwadzieścia tysięcy woltów z elektrowni węglowej CSP przeszło Norma Hartsfielda. Partner podniósł wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, jak Norm wypada z kosza w żurawiu wysięgnikowym i leci dwanaście metrów w dół, z lewą ręką stopioną i płonącym rękawem roboczej koszuli.

Uzależnieni od kart kredytowych, jak większość Amerykanów z klasy średniej pod koniec stulecia, Hartsfieldowie mieli niecałe dwa tysiące dolarów oszczędności. Cienizna, ale mieli dobrą polisę ubezpieczeniową, a CSP dorzuciła siedemdziesiąt tysięcy w zamian za podpis Deborah Ann na dokumencie zwalnającym firmę z wszelkiej odpowiedzialności za śmierć Normana Hartsfielda. Dla Deborah Ann to było mnóstwo pieniędzy. Spłaciła hipotekę za dom i kupiła nowy samochód. Nie przyszło jej do głowy, że pieniądze kiedyś się skończą.

Pracowała jako fryzjerka, kiedy poznała Norma, i po jego śmierci wróciła do zawodu. Po sześciu miesiącach wdowieństwa zaczęła się spotykać z facetem, którego poznała pewnego dnia w banku – tylko menadżer niższego stopnia, powiedziała Brady'emu, ale miał coś, co określała jako perspektywy. Przyproceedziła go do domu. Potargał włosy Brady'emu i nazwał go „mistrzem”. Potargał włosy Frankiemu i nazwał go „małym mistrzem”. Brady go nie lubił (facet miał wielkie zęby jak wampir w filmie grozy), ale nie okazywał mu antypatii. Nauczył się już robić wesołą minę i ukrywać swoje uczucia.

Pewnego wieczoru, zanim nowy przyjaciel zabrał Deborah Ann na kolację, powiedział Brady'emu: „Twoja mama jest urocza i ty też”. Brady uśmiechnął się i podziękował, życząc mu w duchu, żeby miał wypadek samochodowy i zginął. To znaczy jeśli będzie jechał bez mamy. Przyjaciel ze straszными zębami nie miał prawa zająć miejsca ojca.

Należało do Brady'ego.

Frankie zakrztusił się jabłkiem podczas oglądania *Blues Brothers*. To miał być zabawny film, Brady nie widział w nim nic zabawnego, ale matka i Frankie zaśmiewali się do łez. Matka była szczęśliwa i wystrojona, bo wychodziła z przyjacielem. Za chwilę miała przyjść opiekunka, która była żarłoczną świnią i natychmiast po wyjściu matki zawsze zaglądała do lodówki. Pochylając się i wypinając tłustą dupę, sprawdzała, co by tu można zjeść.

Na stoliku do kawy stały dwie miski z przekąskami; jedna zawierała popcorn, druga

plasterki jabłka z cynamonem. Na filmie ludzie śpiewali w kościele i jeden z braci Blues robił salta przez całą długość głównej nawy. Frankie siedział na podłodze i śmiał się do rozpuku, kiedy gruby brat Blues robił salta. Frankie zaczerpnął powietrza, żeby dalej się śmiać, i wciągnął do gardła kawałek jabłka z cynamonem. Wtedy przestał się śmiać. Zamiast tego zaczął się miotać i drapać po gardle.

Matka Brady'ego wrzasnęła i chwyciła go w objęcia. Ścisnęła syna, żeby wypchnąć kawałek jabłka. Nie wyszedł. Twarz Frankiego poczerwieniała. Matka wsadziła mu palce do ust, żeby wyciągnąć kawałek jabłka. Nie mogła. Frankie zaczął tracić kolor.

– Och, mój słodki Jezu – jęknęła Deborah Ann i pobiegła do telefonu. Podnosząc słuchawkę, krzyknęła do Brady'ego: – Nie siedź jak dupek! Walnij go w plecy!

Brady nie lubił, żeby na niego krzyczano, a matka nigdy jeszcze nie nazwała go dupkiem, ale walnęła Frankiego w plecy. Mocno. Kawałek jabłka nie wyszedł. Teraz twarz brata zrobiła się sina. Brady wpadł na pomysł. Podniósł Frankiego za kostki u nóg tak, że głowa mu zwisała i włosy muskały dywan. Kawałek jabłka nie wyszedł.

– Przestań się pieścić, Frankie – rozkazał Brady.

Frankie wciąż oddychał – w pewnym sensie, wydawał ciche, świszczące odgłosy – prawie do przyjazdu karetki pogotowia. Potem przestał. Weszli sanitariusze. Byli ubrani na czarno, z żółtymi naszywkami na kurtkach. Kazali Brady'emu wyjść do kuchni, więc nie widział, co zrobili, ale matka krzyknęła, a później zobaczył na dywanie krople krwi.

Ale nie było kawałka jabłka.

Potem wszyscy oprócz Brady'ego odjechali karetką pogotowia. On usiadł na kanapie, jadł popcorn i oglądał telewizję. Ale nie *Blues Brothers*. *Blues Brothers* był głupi, tylko dużo śpiewania i biegania. Znalazł film o szaleńcu, który porwał grupę dzieci, kiedy jechały szkolnym autobusem. To było bardzo ciekawe.

Kiedy przyszła tłusta opiekunka, Brady powiedział:

– Frankie zakrztusił się kawałkiem jabłka. W lodówce są lody. Waniliowe z bakaliami. Zjedz, ile chcesz.

Może, pomyślał, jeśli ona zje wystarczająco dużo lodów, dostanie ataku serca i będę mógł zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

Albo pozwolę tej głupiej dziwce leżeć na podłodze. Tak byłoby nawet lepiej. Mógłby ją obserwować.

Deborah Ann wróciła wreszcie do domu o jedenastej. Gruba opiekunka kazała Brady'emu iść do łóżka, ale nie spał i kiedy zszedł na dół w piżamie, matka go uściskała. Gruba opiekunka zapytała, jak się czuje Frankie. Gruba opiekunka ociekała fałszywą troską. Brady wiedział, że to fałszywa troska, bo sam się nie przejmował, więc czemu opiekunka miałaby się przejmować?

– Nic mu nie będzie – oznajmiła Deborah Ann z promiennym uśmiechem.

Potem, po wyjściu opiekunki, zaczęła płakać jak szalona. Wyjęła wino z lodówki, ale zamiast nalać do kieliszka, piła prosto z butelki.

– On może nie wyzdrowieć – powiedziała Brady'emu, wycierając wino z brody. – Jest w śpiączce. Wiesz, co to znaczy?

– Jasne. Jak w serialu o lekarzach.

– Zgadza się.

Uklękła na jedno kolano, więc znaleźli się twarzą w twarz. Jej bliskość, zapach perfum, którymi się skropiła przed niedoszłą randką, przyprawiły go o dziwne uczucie w żołądku. Dziwne, ale fajne. Wpatrywał się w niebieskie coś na jej powiekach. Dziwaczne, ale fajne.

– Przestał oddychać dużo wcześniej, zanim sanitariusz zrobił miejsce, żeby powietrze mogło przepływać. Doktor w szpitalu powiedział, że nawet jeśli Frankie wyjdzie ze śpiączki,

może mieć uszkodzony mózg.

Brady pomyślał, że brat już przedtem miał uszkodzony mózg – był okropnie głupi, ciągle nosił ten swój wóz strażacki – ale zmilczał. Matka miała na sobie bluzkę, która odsłaniała górną część cycuszków. Od tego też zrobiło mu się dziwnie w żołądku.

– Jeśli coś ci powiem, obiecasz, że nigdy nikomu nie powtórzysz? Ani żywej duszy?

Brady obiecał. Potrafił dochować sekretu.

– Może byłoby lepiej, gdyby umarł. Bo jeśli się obudzi z uszkodzeniem mózgu, nie wiem, co zrobimy.

Potem przycisnęła go do siebie, jej włosy połaskotały go w policzek, mocny zapach perfum kręcił w nosie.

– Dzięki Bogu, że to nie byłeś ty, cukiereczku – powiedziała. – Dzięki za to Bogu.

Brady odwzajemnił uścisk, przywarł do jej cycuszków. Dostał wzvodu.

Frankie jednak się obudził i oczywiście miał uszkodzony mózg. Nigdy nie był bystry („Wziął to po ojcu”, powiedziała raz Deborah Ann), ale w czasach przedjabłkowych był geniuszem w porównaniu z obecnym stanem. Późno nauczył się korzystać z toalety, dopiero w wieku trzech i pół roku, teraz jednak wrócił do pieluszek. Jego słownictwo ograniczyło się do zaledwie kilku wyrazów. Zamiast chodzić, człapał po domu, powłócząc nogami. Czasami zasypiał nagle i głęboko, ale tylko w dzień. Nocami lubił wędrować i zanim wyruszał na te nocne safari, zwykle zdejmował pampersy. Czasami włożył do łóżka matki. Częściej odwiedzał Brady’ego, który budził się w mokrej pościeli, obok brata wpatzonego w niego z kretyńską, upiorną miłością.

Frankie nadal musiał chodzić do lekarza. Ciągle nie oddychał prawidłowo. W najlepszym razie wydawał z siebie mokre rżenie, w najgorszym, podczas kolejnego z częstych przeziębień, chrapliwy kaszel. Nie mógł już przyjmować stałych pokarmów; jedzenie dla niego trzeba było miksować w blenderze. Jadał na wysokim krzeselku. Nie mógł też pić ze szklanki, więc wrócił do kubeczka z ustnikiem.

Przyjaciel matki dawno się zmył, gruba opiekunka też nie została długo. Powiedziała, że żałuje, ale nie daje sobie rady z Frankiem takim jak teraz. Przez jakiś czas Deborah Ann zatrudniała pełnoetatową gosposię na przychodne, ale gosposia w końcu kosztowała więcej, niż Deborah Ann zarabiała w salonie fryzjerskim, więc zwolniła ją i rzuciła pracę. Teraz żyli z oszczędności. Zaczęła więcej pić, przerzuciła się z wina na wódkę, co nazywała „bardziej wydajnym systemem dozowania”. Brady siadywał z nią na kanapie i popijał pepsa. Patrzyli, jak Frankie pełza po dywanie z wozem strażackim w jednej ręce i niebieskim kubeczkiem z ustnikiem, również napełnionym pepsa, w drugiej.

– Kurczy się jak czapy lodowe – mówiła Deborah Ann i Brady nie musiał już pytać, co się kurczy. – A kiedy się skończy, wylądujemy na ulicy.

Poszła do prawnika (w tym samym centrum handlowym, gdzie Brady po latach dał irytującemu głupkowi bolesnego prztyczka w gardło) i zapłaciła sto dolarów za konsultację. Zabrała ze sobą Brady’ego. Prawnik nazywał się Greensmith. Nosił tani garnitur i ciągle zerkał ukradkiem na cycki Deborah Ann.

– Mogę pani powiedzieć, co się stało – oświadczył. – Widywałem już takie przypadki. Ten kawałek jabłka zostawił akurat tyle miejsca w tchawicy, że mały mógł oddychać. Szkoda, że pani wsadziła mu palce do gardła.

– Próbowałam go wyciągnąć! – zawołała Deborah Ann z oburzeniem.

– Wiem, każda dobra matka zrobiłaby to samo, ale pani tylko wepchnęła to głębiej i całkiem zablokowała tchawicę. Gdyby to zrobił jeden z sanitariuszy, mielibyśmy sprawę. Wartą co najmniej kilkaset tysięcy. Może półtora miliona. Już to widywałem. Ale to pani zrobiła.

I powiedziała im pani, co pani zrobiła. Prawda?

Deborah Ann potwierdziła.

– Czy go zaintubowali?

Deborah Ann powiedziała, że tak.

– Okay, to jest pani sprawa. Wsadzili mu rurę, ale przy tym wepchnęli ten fatalny kawałek jabłka jeszcze głębiej. – Odchylił się do tyłu, rozczapierzył palce na lekko pożąłkiej białej koszuli i znowu zerknął na cycki Deborah Ann, jakby chciał się upewnić, że nie wyskoczyły ze stanika i nie uciekły. – Stąd uszkodzenie mózgu.

– Więc weźmie pan tę sprawę?

– Z rozkoszą, jeśli zapłaci pani za pięć lat ciągnięcia po sądach. Bo szpital i jego ubezpieczyciele będą z panią walczyli do ostatniej kropli krwi. Już to widywałem.

– Ile?

Greensmith wymienił sumę i Deborah Ann wyszła z gabinetu, trzymając Brady'ego za rękę. Wsiadli do jej hondy (wtedy nowej) i matka się rozplakała. Kiedy skończyła, kazała Brady'emu włączyć radio i zaczekać, bo musi załatwić jeszcze jedną sprawę. Brady wiedział, co to za sprawa: butelka wydajnego systemu dozowania.

W ciągu następnych lat wiele razy wspominała spotkanie z Greensmithem i zawsze kończyła tym samym gorzkim stwierdzeniem:

– Zapłaciłam sto dolarów, na które nie mogłam sobie pozwolić, prawnikowi w garniturze z domu towarowego i dowiedziałam się tylko, że nie stać mnie na walkę z wielkimi towarzystwami ubezpieczeniowymi, żeby dostać, co mi się należy.

Rok, który nastąpił potem, ciągnął się jak pięć lat. W domu mieszkał potwór wysysający życie, a na imię miał Frankie. Czasami, kiedy coś przewrócił albo obudził Deborah Ann z drzemki, dawała mu klapsa. Raz kompletnie straciła panowanie nad sobą i walnęła go w bok głowy tak mocno, że upadł na podłogę, oszołomiony, przewracając oczami. Podniosła go, przytuliła, płakała i przepraszała, ale przecież są granice tego, ile kobieta może znieść.

Chodziła do salonu fryzjerskiego Hair Today na zastępstwo, kiedy tylko mogła. Przy tych okazjach dzwoniła do szkoły, że Brady jest chory, żeby mógł popilnować młodszego brata. Czasami Brady przyłapywał Frankiego sięgającego po rzeczy, których nie powinien dotykać (albo rzeczy należące do Brady'ego, jak konsola Atari Video Arcade), i bił go po rękach, aż brat zaczynał płakać. Wtedy Brady przypominał sobie, że to nie wina Frankiego, który ma uszkodzony mózg przez ten cholerny, nie, ten pieprzony plasterek jabłka, i zalewał go żal połączony z wyrzutami sumienia. Brał Frankiego na kolana, kołysał go i przepraszał, ale przecież są granice tego, ile mężczyzna może znieść. A on był mężczyzną, mama tak powiedziała: panem domu. Nauczył się sprawnie zmieniać Frankiemu pieluchy, ale kiedy było kaku (nie, to było gówno, nie kaku, tylko gówno), czasami szczypał Frankiego po nogach i krzyczał na niego, żeby leżał spokojnie, leż spokojnie, do cholery. Nawet kiedy Frankie leżał spokojnie. Leżał, tuląc do piersi wóz strażacki, Sammy'ego, i gapił się w sufit wielkimi, głupimi oczami.

Ten rok był pełen „czasami”.

Czasami Brady kochał Frankiego i go całował.

Czasami potrząsał nim i mówił: „To twoja wina, wylądujemy na ulicy, i to przez ciebie”.

Czasami, kładąc Frankiego spać po powrocie z salonu piękności, Deborah Ann widziała siniaki na nogach i ramionach chłopca. Raz na gardle, ozdobionym blizną po tracheotomii przeprowadzonej przez sanitariuszy. Nigdy ich nie komentowała.

Czasami Brady kochał Frankiego. Czasami go nienawidził. Najczęściej czuł jedno i drugie naraz, aż głowa go bolała.

Czasami (głównie kiedy była pijana) Deborah Ann pomstowała na swoje wykolejone

życie.

– Nie mogę otrzymać pomocy od miasta, od stanu ani cholernego federalnego rządu. A dlaczego? Bo mamy jeszcze za dużo z ubezpieczenia i ugody, dlatego. Czy kogoś obchodzi, że tylko wydajemy i nic nie zarabiamy? Nie. Kiedy pieniądze się skończą i zamieszkamy w przytułku dla bezdomnych na Lowbriar Avenue, dopiero wtedy będę miała prawo ubiegać się o pomoc. Czy to nie cudownie?

Czasami Brady patrzył na Frankiego i myślał: Przeszkadzasz. Przeszkadzasz, Frankie, cholernie, kurewsko przeszkadzasz.

Czasami – często – Brady nienawidził całego kurewskiego, zasranego świata. Jeśli istniał Bóg, jak mówili kaznodzieje w niedzielę w telewizji, czemu nie zabrał Frankiego do nieba, żeby matka mogła znowu pracować na pełny etat i żeby nie musieli mieszkać na ulicy? Albo na Lowbriar Avenue, gdzie według matki są tylko naćpane czarnuchy ze spluwami? Jeśli istniał Bóg, czemu w ogóle pozwolił, żeby Frankie połknął ten cholerny kawałek jabłka? A potem pozwolił mu się obudzić z uszkodzonym mózgiem, czyli jak było źle, to zrobiło się, kurwa, jeszcze gorzej. Nie ma żadnego Boga. Wystarczy popatrzeć, jak Frankie pełza po podłodze z cholernym Sammym w rękę, potem wstaje i kuśtyka przez chwilę, ale zaraz się poddaje i znowu raczkuje. Tak, to wystarczy, żeby zrozumieć, że koncepcja Boga to kiepski żart.

Wreszcie Frankie umarł. To się stało szybko. Pod pewnym względem przypominało przejechanie tych ludzi w City Center. Żadnego planowania, tylko przygniatająca świadomość, że coś trzeba zrobić. Prawie można to było nazwać wypadkiem. Albo przeznaczeniem. Brady nie wierzył w Boga, ale wierzył w przeznaczenie. Czasami mężczyzna musiał brać przeznaczenie we własne ręce.

Matka smażyła naleśniki na kolację. Frankie bawił się Sammym. Drzwi do piwnicy stały otworem, ponieważ Deborah Ann kupiła dwa kartony taniego niemarkowego papieru toaletowego w Chapter 11 i trzymali go tam na dole. Papier w łazienkach się kończył, więc wysłała Brady'ego, żeby przyniósł nowy zapas. Wracał z pełnymi rękami, więc zostawił drzwi do piwnicy otwarte. Myślał, że mama je zamknie, ale kiedy zszedł do kuchni, uzupełniwszy papier toaletowy w dwóch łazienkach na górze, ciągle były otwarte. Frankie bawił się na podłodze, popychał Sammy'ego po linoleum i wydawał dźwięki: „rrr-rrr”. Miał na sobie czerwone spodnie, wypchane potrójną warstwą pieluszek. Przysuwał się coraz bliżej do otwartych drzwi i stromych schodów za nimi, ale Deborah Ann wciąż nie zrobiła żadnego ruchu, żeby zamknąć drzwi. Ani nie poprosiła o to Brady'ego, który teraz nakrywał do stołu.

– Rrr-rrr – powiedział Frankie. – Rrr-rrr.

Popchnął wóz strażacki. Sammy potoczył się do drzwi, uderzył o ościeżnicę i znieruchomiał.

Deborah Ann zostawiła patelnię. Podeszła do drzwi piwnicy. Brady myślał, że schyli się i poda Frankiemu zabawkę, ale tego nie zrobiła, tylko ją kopnęła. Wóz strażacki z cichym klekotaniem stoczył się po schodach na sam dół.

– Ups – powiedziała Deborah Ann. – Sammy spada na dół, bum. – Głos miała całkowicie bezbarwny.

Brady podszedł bliżej. To było interesujące.

– Dlaczego to zrobiłaś, mamo?

Deborah Ann oparła ręce na biodrach, łopatką kuchenna sterczała z jednej dłoni.

– Bo już nie mogę słuchać tych jego warkotów.

Frankie otworzył usta i zaczął beczeć.

– Przestań, Frankie – syknął Brady, ale brat nie przestał. Zamiast tego podpełznął na pierwszy stopień i spojrzał w ciemność.

Tym samym bezbarwnym głosem Deborah Ann poleciła:

– Zapal światło, Brady. Żeby on widział Sammy’ego.

Brady zapalił światło i pochylił się nad beczącym bratem.

– Tak – powiedział. – Tam jest. Właśnie tam, na samym dole. Widzisz go, Frankie?

Frankie podpełznął trochę dalej, wciąż becząc. Spojrzał w dół. Brady popatrzył na matkę. Deborah Ann leciutko, niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Brady nie myślał. Po prostu kopnął potrójną pieluszkę na siedzeniu brata i Frankie poleciał w dół, koziołkując niezdarnie. Brady przypomniał sobie, jak gruby Blues robił salta w kościelnej nawie. Przy pierwszym koziołku Frankie wciąż beczał, ale przy drugim przewrocie jego głowa zetknęła się z przednóżkiem któregoś stopnia i beczenie natychmiast się urwało, jakby ktoś wyłączył radio. To było przerażające, lecz również śmieszne. Frankie przekoziółkował jeszcze raz, z nogami rozrzuconymi bezwładnie na boki w kształcie litery Y. Potem runął głową naprzód na podłogę piwnicy.

– O mój Boże, Frankie spadł! – krzyknęła Deborah Ann. Upuściła łopatkę i zbiegła po schodach. Brady pospieszył za nią.

Frankie miał złamany kark, nawet Brady to widział, bo szyja z tyłu była cała posiniaczona, ale wciąż żył. Oddychał krótkimi prychnięciami. Krew płynęła mu z nosa. Więcej ciekło z boku głowy. Oczy poruszały się na wszystkie strony, ale tylko oczy. Biedny Frankie. Brady zaczął płakać. Matka też płakała.

– Co zrobimy? – zapytał Brady. – Co zrobimy, mammo?

– Idź na górę i przynieś mi poduszkę z kanapy.

Zrobił, co kazała. Kiedy wrócił, wóz strażacki leżał na piersi Frankiego.

– Chciałam, żeby go wziął, ale nie może – powiedziała Deborah Ann.

– Tak – mruknął Brady. – Pewnie jest sparaliżowany. Biedny Frankie.

Frankie spojrzał najpierw na matkę, potem na brata.

– Brady – powiedział.

– Wszystko będzie dobrze, Frankie – zapewnił Brady i podał poduszkę.

Matka wzięła ją i przyłożyła do twarzy Frankiego. To nie trwało długo. Potem znowu posłała Brady’ego na górę, żeby odniósł poduszkę i przyniósł wilgotną ściereczkę.

– Przy okazji wyłącz kuchenkę – poleciła. – Naleśniki się palą. Czuję aż tu.

Obmyła z krwi twarz Frankiego. Brady pomyślał, że to bardzo słodkie i matczyne.

Po latach zrozumiał, że chodziło jej też o to, żeby na twarzy Frankiego nie zostały żadne nitki ani włókna z poduszki.

Kiedy Frankie był czysty (choć miał jeszcze krew we włosach), Brady i matka usiedli na schodach i patrzyli na niego. Deborah Ann objęła Brady’ego ramieniem.

– Lepiej zadzwonię pod dziewięćset jednaście – powiedziała.

– Okay.

– Popchnął Sammy’ego za mocno i Sammy spadł ze schodów. Chciał pójść po niego i stracił równowagę. Smażyłam naleśniki, a ty zanosieś papier toaletowy do łazienek na górze. Nic nie widziałeś. Kiedy zszedłeś do piwnicy, on już nie żył.

– Okay.

– Powtórz to.

Brady powtórzył. Był piątkowym uczniem i miał dobrą pamięć.

– O cokolwiek będą cię pytali, nigdy nie mów więcej. Niczego nie dodawaj i niczego nie zmieniaj.

– Okay, ale czy mogę powiedzieć, że płakałaś?

Uśmiechnęła się. Pocałowała go w czoło i w policzek.

Potem pocałowała go prosto w usta.

– Tak, cukiereczku, możesz to powiedzieć.

– Czy teraz będzie nam lepiej?

– Tak. – W jej głosie nie było wątpliwości. – Będzie dobrze.

Miała rację. Zadano tylko kilka pytań na temat wypadku, i to niezbyt dociekliwych.

Odbył się pogrzeb. Bardzo ładny. Frankie leżał w małej trumience, ubrany w garnitur. Nie wyglądał, jakby miał uszkodzony mózg, raczej jakby głęboko spał. Zanim zamknięto trumnę, Brady pocałował brata w policzek i wsunął obok niego wóz strażacki. Akurat się zmieścił.

Tamtej nocy Brady miał pierwszy naprawdę silny ból głowy. Zaczął myśleć, że Frankie jest pod łóżkiem, i głowa rozboleła go jeszcze bardziej. Poszedł do pokoju matki i położył się obok niej. Nie powiedział, że się boi, że Frankie jest pod łóżkiem, tylko że głowa go boli tak strasznie, jakby miała pęknąć. Matka objęła go i pocałowała, a on przytulił się do niej mocno-mocno-mocno. Dobrze było się przytulić. Pomagało na ból głowy. Zasnęli razem, a następnego dnia byli tylko we dwoje i życie stało się lepsze. Deborah Ann wróciła do dawnej pracy, jednak już się nie umawiała z mężczyznami.

Powiedziała, że Brady jest jedynym mężczyzną, na którym jej zależy. Nigdy nie rozmawiali o wypadku Frankiego, lecz czasami Brady o tym śnił. Nie wiedział, czy matce też to się śniło, ale piła mnóstwo wódki, tyle, że w końcu znowu straciła pracę. Ale to nic, bo wtedy Brady był już na tyle dorosły, żeby samemu pójść do pracy. I nie żałował, że nie poszedł na studia.

Studia są dla ludzi, którzy nie znają własnej inteligencji.

Brady otrząsa się z tych wspomnień – zamyślenia tak głębokiego, że graniczy z hipnozą – i odkrywa, że ma na kolanach pełno podartej folii plastikowej. W pierwszej chwili nie wie, skąd się to wzięło. Potem widzi gazetę leżącą na stole roboczym i uświadamia sobie, że poszarpał paznokciami torebkę, w której ją dostarczono, kiedy myślał o Frankiem.

Wrzuca strzępy do kosza, potem sięga po gazetę i bezmyślnie przegląda nagłówki. Ropa wciąż wycieka w Zatoce Meksykańskiej i dyrektorzy z British Petroleum lamentują, że robią, co mogą, i że ludzie traktują ich podle. Nidal Hasan, walnięty psychiatra, który urządził strzelaninę w bazie wojskowej Fort Hood w Tekasie, stanie przed sądem za dzień lub dwa. (Trzeba było użyć mercedesa, kochany Nidalu, myśli Brady). Paul McCartney, dawny Beatles, którego mama nazywała Oczy Spaniela, dostaje medal w Białym Domu. Jak to jest, zastanawia się czasem Brady, że ludzie z ledwie odrobiną talentu zdobywają tak wiele? To kolejny dowód, że świat zwariował.

Brady postanawia zanieść gazetę do kuchni i poczytać dział polityczny. Może to oraz kapsułka melatoniny pozwolą mu zasnąć. W połowie schodów odwraca gazetę, żeby zobaczyć, co jest na drugiej stronie, i zamiera. Widzi fotografie dwóch kobiet, obok siebie. Jedna to Olivia Trelawney. Druga jest znacznie starsza, ale podobieństwo nie pozostawia wątpliwości. Zwłaszcza te wąskie jędrzowate usta.

MATKA OLIVII TRELAWNEY UMIERA

głosi nagłówek. Poniżej:

Protestowała przeciwko „niesprawiedliwemu traktowaniu” córki, twierdziła, że relacje prasowe „zniszczyły jej życie”.

Następnie jest sensacyjny artykuł na dwie szpalty, w rzeczywistości tylko pretekst, żeby wyciągnąć zeszłoroczną tragedię (jeśli chcecie używać tego słowa, myśli Brady – raczej drwiąco) z powrotem na pierwszą stronę gazety powoli duszonej na śmierć przez internet. Odsyła czytelników do nekrologu na stronie dwudziestej szóstej i Brady, siedząc teraz na kuchennym stole, czym prędzej przewraca kartki. Otępiająca chmura przygnębienia, która go otaczała od śmierci matki, rozwiewa się w jednej chwili. Tryby w mózgu szybko się obracają, pomysły gromadzą się, rozlatują i znowu się dopasowują jak kawałki układanki. On dobrze zna ten proces i wie, że będzie trwał, aż wszystko się połączy z końcowym kliknięciem i wyłoni się wyraźny obraz.

ELIZABETH SIROIS WHARTON, lat 87, zmarła spokojnie 29 maja 2010 roku w szpitalu Warsaw County Memorial. Urodziła się 19 stycznia 1923 roku jako córka Marcela i Catherine Siroisów. Pozostawiła w żałobie brata Henry’ego Siroisa, siostrę Charlotte Gibney, siostrzenicę Holly Gibney i córkę Janelle Patterson. Przed nią odszedł jej mąż Alvin Wharton i jej ukochana córka Olivia Trelawney. We wtorek, 1 czerwca w godzinach 10–13 w Domu Pogrzebowym Soames nastąpi prywatne wystawienie zwłok, a w środę, 2 czerwca o godzinie 10.00 w Domu Pogrzebowym Soames zostanie odprawione nabożeństwo żałobne. Po nabożeństwie odbędzie się przyjęcie dla najbliższych przyjaciół i członków rodziny w domu na Lilac Drive 729 w Sugar Heights. Rodzina prosi o nieprzynoszenie kwiatów i sugeruje dotacje na amerykański Czerwony Krzyż albo Armię Zbawienia, instytucje dobroczynne popierane przez panią Wharton.

Brady czyta wszystko uważnie i w jego umyśle pojawiają się pytania. Czy tłusty ekspliniarz będzie na wystawieniu zwłok? Na środowym nabożeństwie żałobnym? Na przyjęciu? Odpowiedź na wszystkie trzy pytania jest twierdząca. Będzie szukał sprafcy. Będzie szukał jego.

Bo tak robią gliniarze.

Przypomina sobie ostatnią wiadomość, którą wysłał do Hodgesa, poczciwego starego Det. Em. Teraz uśmiecha się i powtarza ją na głos:

– Nie będziesz wiedział kiedy.

– Dopilnuj, żeby nie wiedział – mówi Deborah Ann Hartsfield.

Brady wie, że jej tu nie ma, ale niemal ją widzi, siedzącą naprzeciwko przy stole w czarnej ołówkowej spódnicy i niebieskiej bluzce, jego ulubionej, tak zwiewnej, że prześwituje przez nią bielizna.

– Bo on będzie cię szukał.

– Wiem – przytakuje Brady. – Nie martw się.

– Oczywiście, że się martwię – odpowiada ona. – Muszę. Jesteś moim cukiereczkiem.

Brady wraca na dół i wchodzi do sypialni. Nieszczęsny materac świszczuje. Zanim Brady komendą głosową gasi światło, nastawia budzik w swoim iPhone na szóstą trzydzieści. Jutro będzie pracowity dzień.

Oprócz małych czerwonych światełek na uśpionym sprzęcie komputerowym w piwnicy panuje kompletna ciemność. Matka odzywa się spod schodów:

– Czekam na ciebie, cukiereczku, ale nie każ mi czekać zbyt długo.

On się uśmiecha.

– Niedługo przyjdę, mamo.

– Wtedy będziemy mogli robić wszystko.

Wciąż uśmiechnięty, Brady zamyka oczy. Dwie minuty później chrapie.

Następnego ranka Janey wychodzi z sypialni dopiero po ósmej. Jest ubrana tak samo jak poprzedniego wieczoru. Hodges, jeszcze w bokserkach, rozmawia przez telefon. Macha do niej palcem, jakby chciał jednocześnie powiedzieć „Dzień dobry” i „Daj mi chwilę”.

– To nic wielkiego – mówi – po prostu taka rzecz, która nie daje spokoju. Gdybyś mogła sprawdzić, byłbym bardzo wdzięczny. – Słucha. – Nieee, nie chcę tym zawracać głowy Pete’owi, i ty też mu nie mów. On i tak ma pełne ręce roboty ze sprawą Donalda Davisa.

Słucha jeszcze przez chwilę. Janey przysiadła na poręczu sofy, wskazuje na zegarek i wymawia bezgłośnie: „Wystawienie zwłok!”. Hodges kiwa głową.

– Zgadza się – mówi do telefonu. – Powiedzmy od lata dwa tysiące siódmego do wiosny dwa tysiące dziewiątego roku. W okolicy Lake Avenue, gdzie są te nowe, eleganckie apartamentowce. – Mruga do Janey. – Dzięki, Marlo, jesteś kochana. I obiecuję, że nie zmienię się w wuja, okay? – Pauza, kiwnięcie głową. – Okay. Taa. Muszę lecieć, ale przekaż pozdrowienia Philowi i dzieciakom. Niedługo się spotkamy. Lunch. Oczywiście, że tak. Jasne. Cześć.

Odkłada słuchawkę.

– Ubieraj się – ponagla go Janey. – Potem odwieziesz mnie do mieszkania, żebym nałożyła cholerny makijaż, zanim pojedziemy do domu pogrzebowego. Fajnie byłoby też zmienić bieliznę. Jak szybko możesz wskoczyć w garnitur?

– Szybko. A ty wcale nie potrzebujesz makijażu.

Janey przewraca oczami.

– Powiedz to ciotce Charlotte. Nic, tylko wypatruje kurzych łapek. No, rusz się i weź maszynkę do golenia. Możesz się ogolić u mnie. – Znowu patrzy na zegarek. – Nie spałam tak długo od pięciu lat.

Hodges idzie do sypialni, żeby się ubrać. Ona zatrzymuje go w drzwiach, odwraca twarzą do siebie, kładzie mu ręce na policzkach i całuje go w usta.

– Dobry seks to najlepsza pigułka nasenna. Chyba o tym zapomniałam.

On podnosi ją wysoko w uścisku. To inne życie niż tamto sprzed tygodnia. Nie wie, jak długo potrwa, ale dopóki trwa, zamierza je wykorzystać do ostatka.

– I nałóż kapelusz – dodaje Janey, spoglądając na niego z góry z uśmiechem. – Dobrze zrobiłam, że go kupiłam. Ten kapelusz idealnie do ciebie pasuje.

Są tak szczęśliwi razem i tak się spieszą, żeby zdążyć do domu pogrzebowego przed piekielnymi krewnymi, że nie rozglądają się zbyt uważnie, ale nawet gdyby wzmoгли czujność, raczej nie zobaczyliby nic, co włączyłoby ostrzegawczy dzwonek. Przed małym pasażem handlowym na skrzyżowaniu Harper Road i Hanover Street parkuje już ponad dwa tuziny samochodów, wśród których subaru koloru błota Brada Hartsfielda najmniej rzuca się w oczy. Starannie wybrał miejsce, żeby dobrze widzieć w lusterku wstecznym ulicę tłustego ekspliniera. Jeśli Hodges wybiera się na wystawienie zwłok starszej pani, zjedzie w dół i skręci w lewo w Hanover.

I rzeczywiście się pojawia, tuż po wpół do dziewiątej... sporo wcześniej, niż Brady się spodziewał, skoro zwłoki wystawiają dopiero o dziesiątej, a dom pogrzebowy znajduje się w odległości dwudziestu minut jazdy. Kiedy samochód skręca w lewo, Brady z jeszcze większym zdziwieniem widzi, że tłusty eksplinierz nie jest sam. Wiezie pasażerkę i chociaż Brady dostrzega ją tylko przelotnie, to mu wystarcza, żeby rozpoznać siostrę Olivii Trelawney. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby się przejrzeć w lusterku, i szcztokuje włosy. Z prostej dedukcji wynika, że spędziła noc w kawalerskim domu tłustego ekspliniera.

Brady jest jak ogłuszony. Dlaczego ona to zrobiła, na Boga? Przecież Hodges jest stary, brzydki, gruby. Chyba nie uprawiała z nim seksu?! To nie do uwierzenia. Potem przypomina sobie, jak matka leczyła jego najgorsze bóle głowy, i dochodzi do wniosku – niechętnie – że jeśli idzie o seks, nie ma rzeczy nie do uwierzenia. Ale wścieka go myśl, że Hodges robi to z siostrą Olivii Trelawney (bynajmniej nie dlatego, że w pewnym sensie to Brady doprowadził do ich spotkania). Hodges powinien siedzieć przed telewizorem i kontemplować samobójstwo. Nie ma prawa zabawiać się nawet ze słoiczkiem wazeliny i własną prawą ręką, nie wspominając o atrakcyjnej blondynce.

Ona pewnie zajęła łóżko, a on spał na kanapie, myśli Brady.

Ta hipoteza przynajmniej brzmi logicznie i poprawia mu humor. Owszem, Hodges mógłby uprawiać seks z atrakcyjną blondynką, gdyby bardzo chciał... ale musiałby za to zapłacić. Kurwa pewnie zażądałaby dopłaty za nadwagę, myśli i śmieje się, odpalając silnik.

Zanim wyjeżdża, otwiera schowek, wyjmuje Gadżet Dwa i kładzie na fotelu pasażera. Nie używał go od zeszłego roku, ale użyje dzisiaj. Chociaż chyba nie przed domem pogrzebowym, bo nie sądzi, że od razu tam pojadą. Jeszcze za wcześnie. Przypuszcza, że najpierw wstąpią do apartamentowca na Lake Avenue. Nie musi ich wyprzedzić, wystarczy, że tam będzie, kiedy wyjdą. Dokładnie wie, jak to zrobi.

Jak za dawnych czasów.

Na czerwonym świetle dzwoni do Tonesa Frobishera w Discount Electronix i mówi, że dzisiaj nie przyjdzie do pracy. Prawdopodobnie przez cały tydzień. Ściskając nos palcami, żeby nadać głosowi nosowe brzmienie, informuje Tonesa, że złapał grypę. Myśli o koncercie 'Round Here w MAC w czwartkowy wieczór i samobójczej kamizelce i chce dodać: „W przyszłym tygodniu nie będę miał grypy, tylko będę martwy”. Przerywa połączenie, rzuca telefon na fotel obok Gadżetu Dwa i zaczyna się śmiać. Kobieta na sąsiednim pasie, odstawiona do pracy, gapi się na niego. Brady śmieje się tak bardzo, że łzy płyną mu z oczu i smarki lecą z nosa. Pokazuje kobiecie palec, wyprzedzają i zajeżdża jej drogę tak ostro, że omal nie kasuje jej zderzaka.

- Rozmawiałaś z przyjaciółką z archiwum? – pyta Janey.
- Taa, z Marlo Everett. Zawsze przychodzi wcześniej. Pete Huntley, mój dawny partner, przysięgał, że ona wcale stamtąd nie wychodzi.
- Przyznaj się, jaką bajeczkę jej sprzedałaś?
- Że kilku moich sąsiadów wspomniało o facecie, który sprawdzał, czy samochody na ulicy są zamknięte. Powiedziałem, że chyba sobie przypominam serię włamań do samochodów w śródmieściu kilka lat temu, sprawcy nigdy nie ujęto.
- Uhum, a to, że się nie zmienisz w wuja, co to znaczyło?
- Wujowie to emerytowani gliniarze, którzy nie mogą się uwolnić od pracy. Wydzwaniamy do Marlo, żeby sprawdziła tablice rejestracyjne samochodów, które wydały im się trefne z tego czy innego powodu. Albo zatrzymują jakiegoś gościa, który wygląda podejrzanie, odgrywają przed nim wielkich policjantów i żądają dokumentów. Potem dzwonią, żeby Marlo poszukała jego nazwiska w spisie poszukiwanych i nakazów aresztowania.
- Ona nie ma nic przeciwko?
- Och, narzeka dla formy, ale chyba nie. Kilka lat temu jeden stary pierdziel, Kenny Shays, zgłosił sześć-pięć... podejrzane zachowanie, nowy kod od czasu jedenastego września. Facet, którego przyuważył, nie był terrorystą, tylko zbiegiem, który zabił całą swoją rodzinę w Kansas w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku.
- Łau. Dostał medal?
- Nie, tylko pochwałę, i niczego więcej nie chciał. Zmarł jakieś sześć miesięcy później. – Połknął kulę ten Kenny Shays, pociągnął za spust, zanim rak płuc dopadł go na dobre.
- Dzwoni komórka Hodgesa. Dźwięk jest stłumiony, bo znowu zostawił ją w schowku. Janey wyławiają ją i podaje mu z lekko ironicznym uśmiechem.
- Hej, Marlo, szybko ci poszło. Co znalazłaś? Cokolwiek? – Słucha, kiwając głową do wtóru, powtarzając „uhum” i zręcznie, bez wahania manewrując w gęstym porannym ruchu. Dziękuje jej i rozłącza się, ale kiedy usiłuje oddać Janey komórkę, ona kręci głową.
- Włóż ją do kieszeni. Ktoś jeszcze może do ciebie zadzwonić. Wiem, że to dziwaczna koncepcja, ale spróbuj ją sobie przyswoić. Czego się dowiedziałeś?
- Zaczynając od września dwa tysiące siódmego roku, było ponad tuzin włamań do samochodów w śródmieściu. Marlo mówi, że mogło być jeszcze więcej, bo ludzie, którym nie zginęło nic cennego, zwykle nie zgłaszają włamań. Czasem nawet nie wiedzą, że było włamanie. Ostatni raport zanotowano w marcu dwa tysiące dziewiątego, niecałe trzy tygodnie przed masakrą w City Center. To był nasz klient, Janey. Jestem tego pewien. Przecinamy teraz jego trop, a to znaczy, że się zbliżamy.
- Dobrze.
- Myślę, że go znajdziemy. Wtedy twój prawnik... Schron... poinformuje o wszystkim Pete'a Huntleya. On zrobi resztę. Nadal się zgadzamy w tej kwestii, prawda?
- Tak. Ale do tego czasu on jest nasz. Nadal się zgadzamy w tej kwestii, tak?
- Absolutnie.
- Jadą teraz po Lake Avenue i akurat jest wolne miejsce przed domem zmarłej pani Wharton. Jak się ma szczęście, to we wszystkim. Hodges parkuje tyłem, zastanawiając się, ile razy Olivia Trelawney stawała na tym miejscu.
- Janey spogląda nerwowo na zegarek, kiedy on wrzuca monety do parkometru.
- Spokojnie – mówi Hodges. – Mamy mnóstwo czasu.
- Ona rusza do drzwi, a on naciska guzik zamykania na breloczku z kluczykiem. Nie myśli

o tym, myśli o Panu Mercedesie, ale przyzwyczajenie jest drugą naturą. Wkłada kluczyki do kieszeni i dogania Janey, żeby otworzyć przed nią drzwi.

Robię z siebie idiotę, myśli.

A potem dodaje: I co z tego?

Pięć minut później subaru koloru błota przejeżdża po Lake Avenue. Zwalnia i prawie się zatrzymuje, kiedy się zrównuje z toyotą Hodgesa. Potem Brady wrzuca lewy migacz i wjeżdża na piętrowy parking po drugiej stronie ulicy.

Na pierwszym i drugim poziomie jest dużo wolnych miejsc, ale wszystkie w środku, więc się nie nadają. Brady znajduje to, czego potrzebuje, na prawie pustym trzecim poziomie: miejsce po wschodniej stronie garażu, z widokiem prosto na Lake Avenue. Parkuje, podchodzi do betonowego murka i wygląda na ulicę, na toyotę Hodgesa. Ocenia odległość na mniej więcej sześćdziesiąt metrów. Nic po drodze nie blokuje sygnału, więc to bułka z masłem dla Gadżetu Dwa.

Mając trochę czasu do zabicia, Brady wraca do samochodu, odpala iPada i przegląda witrynę Midwest Culture and Arts Complex. Audytorium Mingo to największa część tego obiektu. I słusznie, myśli Brady, bo to chyba jedyna część MAC przynosząca dochód. W zimie grywa tam miejska orkiestra symfoniczna, występuje balet, odbywają się wykłady i inne artystyczne pierdoły, ale od czerwca do sierpnia Mingo przeznaczone jest niemal wyłącznie dla muzyki pop. Według zapowiedzi w witrynie w Letniej Kawalkadzie Piosenki po 'Round Here wystąpią same gwiazdy, czyli Eagles, Sting, John Mellencamp, Alan Jackson, Paul Simon i Bruce Springsteen. Nieźle się zapowiada, ale Brady myśli, że ludzi, którzy wykupili karnet na wszystkie koncerty, spotka rozczarowanie. Tego lata w Mingo odbędzie się tylko jeden koncert, krótki i zakończony punkową śpiewką pod tytułem: *Gińcie, niepotrzebne skurwysyny*.

Witryna podaje, że sala mieści cztery i pół tysiąca osób.

Podaje również, że bilety na 'Round Here są wyprzedane.

Brady dzwoni do Shirley Orton w wytwórni lodów. Ponownie ściskając nos, mówi jej, żeby lepiej postawiła Rudy'ego Stanhope'a w stan pogotowia na resztę tygodnia. Mówi, że spróbuje się zgłosić w czwartek albo piątek, ale niech ona na to za bardzo nie liczy; ma gripę.

Jak się spodziewał, słowo na „g” alarmuje Shirley.

– Żebyś mi się tu nie pokazywał, dopóki nie przyniesiesz zaświadczenia od lekarza, że już nie zarażasz. Nie możesz sprzedawać dzieciom lodów, jeśli masz gripę.

– Biem – mówi Brady przez ściśnięty nos. – Brzebraszam, Shirley. Chyba to zła bałem od matki. Musiałem ją bołozyc do łóżka. – Te słowa łaskoczą go w czule miejsce i wargi zaczynają mu drgać.

– No to trzymaj się...

– Muszę gończyć – rzuca i przerywa połączenie, zanim dopada go następny atak histerycznego śmiechu. Tak, musiał położyć matkę do łóżka. I tak, zachorowała na gripę. Nie na świńską gripę ani na ptasią gripę, tylko nowy szczep zwany szczurzą gripą. Brady wyje i wali w deskę rozdzielczą swojego subaru. Wali tak mocno, że kaleczy się w rękę, co go jeszcze bardziej rozśmiesza.

Te spazmy trwają tak długo, że brzuch go boli i trochę go mdli. Właśnie zaczynają ustępować, kiedy widzi, że otwierają się drzwi apartamentowca po drugiej stronie ulicy.

Brady chwytając Gadżet Dwa i włącza. Zapala się żółta lampka gotowości. Brady podnosi krótki kikut anteny. Wysiada z samochodu, już się nie śmieje. Znowu podkrada się do betonowego murka, starannie kryjąc się w cieniu najbliższego filara. Kładzie kciuk na przełączniku dwustabilnym i kieruje Gadżet Dwa – ale nie w toyotę. Celuje w Hodgesa, który grzebie w kieszeni spodni. Blondynka stoi obok niego w tym samym spodniem co wcześniej, ale w innych butach i z inną torebką.

Hodges wyciąga kluczyk.

Brady naciska przełącznik na Gadżecie Dwa i żółta lampka gotowości zmienia się na operacyjną zieleń. Światła samochodu Hodgesa błyskają. W tej samej chwili zielone światełko na Gadżecie Dwa mruga szybko jeden raz. Urządzenie przechwyciło kod PKE toyoty i zapisało go, podobnie jak przechwyciło kod mercedesa pani Trelawney.

Brady używał Gadżetu Dwa prawie przez dwa lata, kradł kody i otwierał auta, żeby szukać w nich gotówki i cennych przedmiotów. Te podniecające wyprawy nie zawsze przynosiły dochód, ale nigdy mu nie spowszedniały. Znalazłszy zapasowy kluczyk w schowku mercedesa pani Trelawney (w plastikowej torebce razem z dowodem rejestracyjnym i instrukcją obsługi), w pierwszej chwili chciał ukraść samochód i pojeździć sobie po mieście. Poobijać go trochę dla czystej zabawy. Może pociąć tapicerkę. Ale jakiś instynkt kazał mu zostawić wszystko nietknięte. Ostrzegł, że mercedes może odegrać ważniejszą rolę. I słusznie, jak się okazało.

Brady wskakuje do samochodu i chowa Gadżet Dwa do własnego schowka. Jest bardzo zadowolony ze swoich porannych osiągnięć, ale rano jeszcze się nie skończył. Hodges i siostra Olivii pojedą oglądać zwłoki. Brady będzie oglądał coś innego. MAC jest już otwarty i Brady chce się tam rozejrzeć. Zobaczyć, jaką mają ochronę. Sprawdzić, gdzie są zamontowane kamery.

Znajdę sposób, żeby wejść, myśli. Jestem na fali.

Musi też poszperać po eBayu i zdobyć bilet na czwartkowy koncert. Tyle roboty.

Zaczyna pogwizdywać.

Hodges i Janey Patterson wchodzą do salonu Wiecznego Spoczynku w Domu Pogrzebowym Soames za kwadrans dziesiąta i dzięki jej naleganiom na pośpiech są pierwsi. Górna połowa trumny jest otwarta. Dolną okrywa draperia z błękitnego jedwabiu. Elizabeth Wharton ma na sobie białą suknię usianą błękitnymi różyczkami, pasującymi do draperii. Oczy ma zamknięte. Policzki różane.

Janey szybko idzie przejściem pomiędzy dwoma szeregami składanych krzeseł, spogląda krótko na matkę i pospiesznie wraca. Usta jej drżą.

– Wuj Henry może sobie nazywać kremację pogańską, ale cały ten kit z otwartą trumną to naprawdę pogański rytuał. Ona wcale nie wygląda jak moja matka, wygląda jak wypchany okaz.

– Więc czemu...

– Transakcja wiązana, żeby wujek Henry się zamknął w sprawie kremacji. Nie daj Boże, żeby zajrzał pod draperię i zobaczył, że trumna jest z prasowanego kartonu pomalowanego na szaro, żeby wyglądał jak metal. Żeby... no wiesz...

– Wiem – odpowiada Hodges i obejmuje ją ramieniem.

Powoli schodzą się przyjaciele zmarłej kobiety, prowadzeni przez Altheę Greene, pielęgniarkę pani Wharton, i panią Harris, jej dawną gosposię. Dwadzieścia po dziesiątej (modnie spóźniona, myśli Hodges) zjawia się ciotka Charlotte, wsparta na ramieniu brata. Wuj Henry prowadzi ją przejściem, zerka przelotnie na zwłoki i odstępkuje. Ciotka Charlotte wpatruje się długo w twarz zmarłej siostry, potem nachyla się i całuje martwe usta. Niemal niedosłyszalnie szepcze: „Och, siostrzyczko, och, siostrzyczko”. Po raz pierwszy budzi w Hodgesie inne uczucie niż irytację.

Jest trochę przepychania, trochę cichych rozmów, kilka stłumionych wybuchów śmiechu. Janey robi obchód, rozmawia z każdym po kolei (przyszło najwyżej tuzin osób, wszystkie w wieku, który córka Hodgesa nazywa „złote przeboje”), sumiennie wypełnia swój obowiązek. Wuj Henry jej towarzyszy i przy jednej okazji, kiedy Janey nie daje rady – usiłuje pocieszyć panią Greene – obejmuje ją ramieniem. Hodges jest z tego zadowolony. Krew przemawia, myśli. W takich chwilach prawie zawsze dochodzi do głosu pokrewieństwo.

Hodges tu nie pasuje, więc postanawia się przewietrzyć. Przez chwilę stoi na frontowym stopniu i bada wzrokiem samochody zaparkowane na ulicy, szukając samotnego mężczyzny w jednym z nich. Nikogo nie widzi i uświadamia sobie, że nie widział też Holly Mamroty.

Skręca na parking dla gości i dostrzega ją przycupniętą na schodkach przed tylnym wejściem. Ubrana jest w wyjątkowo brzydką brązową sukienkę do kostek. Włosy ma upięte w nietwarzowe węzły po bokach głowy. Wygląda jak księżniczka Leia po roku na diecie Karen Carpenter^[11].

Holly widzi jego cień na chodniku, wzdyga się i ukrywa coś w dłoni. Hodges podchodzi bliżej i zauważa, że ukryty przedmiot to niedopalony papieros. Kobieta rzuca mu ukradkowe, spłoszone spojrzenie. Hodges myśli, że to spojrzenie psa, którego zbyt często bito gazetą za sikanie pod kuchennym stołem.

– Niech pan nie mówi mojej matce. Ona myśli, że rzuciłam.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny – zapewnia Hodges, myśląc, że w tym wieku Holly raczej nie powinna się już przejmować, że mamusia nie pochwała jej chyba jedyne go drożnego nałogu. – Mogę usiąść obok ciebie?

– Nie powinien pan być w środku z Janey? – pyta, ale przesuwają się, żeby zrobić mu miejsce.

– Wyszedłem trochę odetchnąć. Z wyjątkiem samej Janey nie znam nikogo z tych ludzi.

Holly przygląda mu się z bezwstydną ciekawością dziecka.

– Czy pan i moja kuzynka jesteście kochankami?

Hodges jest zakłopotany nie tyle samym pytaniem, ile perwersyjnym faktem, że chce mu się śmiać. Niemal żałuje, że nie zostawił jej z tym niedozwolonym papierosem.

– No cóż – mówi – jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. I na tym poprzestaśmy.

Ona wzrusza ramionami i wypuszcza dym z nozdrzy.

– Mnie to nie przeszkadza. Uważam, że kobieta powinna mieć kochanków, jeśli potrzebuje. Ja osobiście nie potrzebuję. Mężczyźni mnie nie interesują. Nie żebym była lesbijką. Niech pan tak nie myśli. Piszę poezje.

– Taa? Naprawdę?

– Tak. – I dodaje bez żadnej przerwy, jakby nie zmieniała tematu: – Moja matka nie lubi Janey.

– Nie?

– Uważa, że Janey nie powinna dostać tych wszystkich pieniędzy po Olivii. Mówi, że to niesprawiedliwe. Może i niesprawiedliwe, ale mało mnie to obchodzi.

Przygryza wargę w sposób, który budzi w nim niepokojące wrażenie *déjà vu*, i już po sekundzie Hodges odkrywa przyczynę: Olivia Trelawney robiła to samo podczas przesłuchań na policji. Krew przemawia. Prawie zawsze pokrewieństwo się odzywa.

– Nie weszłaś do środka – zauważa.

– Nie, i nie wejść, i ona mnie nie zmusi. Nigdy nie widziałam nieżywego człowieka i nie zamierzam teraz oglądać. Miałabym koszmary.

Gasi papierosa o bok stopnia, nie przyciska go, ale niemal wbija w beton, dźga, aż iskry lecą i filtr pęka. Twarz ma białą jak mleczne szkło, zaczyna dygotać (jej kolana niemal dosłownie stukają o siebie) i jeśli nie przestanie przygryzać dolnej wargi, pokaleczy skórę.

– To najgorsza część – mówi i teraz nie mamrocze. Co więcej, jeśli nie przestanie podnosić głosu, wkrótce zacznie krzyczeć. – To najgorsza część, to najgorsza część, to najgorsza część!

On otacza ramieniem jej drżące barki. Przez chwilę drżenie przenosi się na całe ciało. Hodges jest przekonany, że Holly się wyrwie i ucieknie (może przedtem nazwie go zbrojcem i spoliczkuje). Potem drżenie ustaje i Holly dosłownie kładzie mu głowę na ramieniu. Oddycha szybko.

– Masz rację – przyznaje Hodges. – To najgorsza część. Jutro będzie lepiej.

– Czy trumna będzie zamknięta?

– Taa. – Powie Janey, że trzeba zamknąć trumnę, jeśli nie chce, żeby jej kuzynka znowu siedziała na dworze obok karawanów.

Holly spogląda na niego. Cholera, ona nie ma nic, co by jej pomogło, myśli Hodges, ani odrobiny sprytu, ani jednej sztuczki. Pożałuje tej błędnej oceny, ale teraz znowu wraca myślami do Olivii Trelawney. Przypomina sobie, jak ją traktowała prasa i jak ją traktowały gliny. Włącznie z nim.

– Obiecuje pan, że będzie zamknięta?

– Tak.

– Na sto procent?

– Nawet na dwieście, jeśli chcesz. – Potem, wciąż myśląc o Olivii i komputerowej truciznie Pana Mercedesa, pyta: – Bierzesz lekarstwa, Holly?

Oczy jej się rozszerzają.

– Skąd pan wie, że biorę lekapro? Ona panu powiedziała?

– Nikt mi nie powiedział. Nikt nie musiał. Byłem dawniej detektywem. – Wzmacnia

uścisk na jej ramionach i lekko nią potrząsa, po przyjacielsku. – No, odpowiedz na pytanie.

– Mam je w torebce. Nie wzięłam dzisiaj, bo... – Chichocze cicho, piskliwie. – Bo po nim ciągle sikam.

– Jeśli przyniosę szklankę wody, weźmiesz je teraz?

– Tak. Dla pana. – Znowu to spojrzenie, wzrok dziecka oceniającego dorosłego. – Lubię pana. Pan jest dobry. Janey ma szczęście. Ja nigdy w życiu nie miałam szczęścia. Nigdy nie miałam chłopaka.

– Przyniosę ci wody – rzuca Hodges i wstaje.

Za rogiem budynku się ogląda. Holly próbuje zapalić następnego papierosa, ale kiepsko jej idzie, bo drzenie wróciło. Trzyma jednorazową zapalniczkę Bic obiema rękami, jak strzelec na policyjnej strzelnicy.

Janey chce wiedzieć, gdzie był. On jej mówi i pyta, czy trumna może być zamknięta podczas nabożeństwa żałobnego następnego dnia.

– To chyba jedyny sposób, żeby ściągnąć Holly do środka – wyjaśnia.

Janey spogląda na ciotkę, wokół której zebrała się grupa starszych pań; wszystkie rozmawiają z ożywieniem.

– Ta suka nawet nie zauważyła, że Holly nie ma – mówi. – Wiesz co, właśnie postanowiłam, że jutro w ogóle nie będzie trumny. Poproszę kierownika, żeby ją schował na zapleczu, a jeśli cioci to się nie spodoba, może się wypchać. Powiedz Holly, okay?

Dyskretnie krążący w pobliżu kierownik domu pogrzebowego prowadzi Hodgesa do sąsiedniej sali, gdzie przygotowano przekąski i napoje. Hodges bierze butelkę wody Dasani i zanosí na parking. Przekazuje wiadomość od Janey i czeka, aż Holly zażyje jedną z czerwono-niebieskich kapsułek szczęścia. Przełknąwszy, uśmiecha się do niego.

– Naprawdę pana lubię.

A on, wykorzystując tę wspaniałą, wyszkoloną w policji umiejętność przekonującego kłamania, odpowiada ciepło:

– Ja też cię lubię, Holly.

Midwest Culture and Arts Complex, w skrócie MAC, nazywany jest przez gazety i miejscową Izbę Handlową „Luwrem Środkowego Zachodu” (mieszkańcy tego miasta wymawiają to „Luuweh”). Obiekt zajmuje dwa i pół hektara pierwszorzędných miejskich gruntów, a dominuje w nim kolistą budowla, przypominająca Brady’emu gigantyczny latający talerz, który pojawia się na końcu *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*. To jest Audytorium Mingo.

Brady okrąża budynek i zbliża się do placu wyładowczego na tyłach, ruchliwego niczym mrowisko w letni dzień. Ciężarówki wjeżdżają i wyjeżdżają, robotnicy rozładowują najrozmaitsze rzeczy, włącznie z czymś, co wygląda – dziwaczne, lecz prawdziwe – jak części diabelskiego młyna. Są też dekoracje teatralne przedstawiające gwiazdziste nocne niebo i białą plażę, gdzie nad wodą spacerują pary trzymające się za ręce. Wszyscy robotnicy, jak zauważa, noszą identyfikatory zawieszane na szyjach albo przypięte do koszul. Niedobrze.

Wejścia na plac wyładunkowy strzeże budka ochrony i to też niedobrze, ale Brady i tak podchodzi, myśląc: Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Ochroniarzy jest dwóch. Jeden siedzi w środku, pałaszuje bajgla i obserwuje pół tuzina ekranów wideo. Drugi podchodzi, żeby zatrzymać Brady’ego. Nosi ciemne okulary. Brady widzi w szklach odbicie swojej twarzy, z szerokim uśmiechem mówiącym: „O rany, ale to ciekawe”.

– W czym mogę pomóc?

– Tylko się zastanawiałem, co to jest – mówi Brady. Wskazuje metalową konstrukcję. – To wygląda jak karuzela!

– W czwartek wieczorem jest wielki koncert – odpowiada ochroniarz. – Zespół lansuje swój nowy album. *Pocałunki w lunaparku*, chyba tak się nazywa.

– Kurczę, oni naprawdę dają z siebie wszystko! – zachwyca się Brady.

Strażnik prycha.

– Im mniej umieją śpiewać, tym więcej dekoracji. Wiesz pan co? Kiedy we wrześniu mieliśmy tu Tony’ego Bennetta, był tylko on. Nawet nie miał zespołu. Miejska Symfoniczna mu akompaniowała. To dopiero był występ. Żadnych wrzeszczących dzieciaków. Prawdziwa muzyka. Co za pomysł, nie?

– Pewnie nie mógłbym tam zerknąć? Można zrobić zdjęcie komórką?

– Nie. – Ochroniarz przygląda mu się zbyt uważnie. Brady tego nie lubi. – Zresztą w ogóle nie powinno tu pana być. Więc...

– Jasne, jasne – mówi Brady, uśmiechając się jeszcze szerzej. Czas się zmywać. I tak nic tu po nim. Jeśli teraz jest dwóch ochroniarzy, to w czwartek wieczorem będzie tuzin. – Dzięki za poświęcenie czasu.

– Nie ma sprawy.

Brady pozdrawia go uniesionym kciukiem. Ochroniarski zbir odwzajemnia gest, ale staje w drzwiach budki i odprowadza go wzrokiem.

Brady wędruje skrajem rozległego, niemal pustego parkingu, który będzie zapchany do granic możliwości w wieczór występu 'Round Here. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Myśli o durnych turbaniarzach, którzy dziewięć lat wcześniej wpakowali dwa odrzutowce w World Trade Center. Myśli (bez śladu ironii): Zepsuli rynek dla reszty z nas.

Pięciominutowy spacer doprowadza go do szeregu drzwi, którymi w czwartkowy wieczór wejdzie publiczność. Musi zapłacić pięć dolarów „dotacji”, żeby się dostać do środka. Westybul to sala z łukowym sklepieniem odbijającym echo, obecnie zapełniona miłośnikami sztuki i grupkami uczniów. Na wprost znajduje się kiosk z pamiątkami. Po lewej stronie korytarz prowadzi do Audytorium Mingo. Jest szeroki jak dwupasmowa jezdnia. Pośrodku stoi

chromowany stojak z tabliczką:

ZABRANIA SIĘ WNOSZENIA TOREB, PUDEŁ I PLECAKÓW

Brak wykrywaczy metalu. Możliwe, że jeszcze ich nie ustawiono, ale Brady jest przekonany, że wcale ich nie użyją. Ponad cztery tysiące widzów będzie się pchało na koncert, a piszczące nieustannie wykrywacze metalu spowodowałyby koszmarny korek. Za to będzie *mucho* ochroniarzy, wszyscy podejrzliwi i nadgorliwi jak ten dupek w ciemnych okularach na zapleczu. Facet w pikowanej kamizelce w ciepły czerwcowy wieczór natychmiast przyciągnie ich uwagę. Zresztą każdy facet, który nie prowadzi wypindrzonej nastoletniej córeczki z kucykami, też zwróci uwagę.

„Pozwoli pan na chwilę z nami?”

Oczywiście może odpalić kamizelkę już wtedy i skasować setkę albo więcej, ale nie tego chce. Chce wrócić do domu, pogrzebać w sieci, znaleźć tytuł najpopularniejszego kawałka 'Round Here. I nacisnąć guzik w połowie utworu, kiedy wszystkie małodatki wrzeszczą co sił w małodetnich płucach i wylażą ze skóry.

Ale przeszkody są poważne.

Stojąc w westybulu wśród emerytów obładowanych przewodnikami i gamoniowatych uczniów, Brady myśli: szkoda, że Frankie nie żyje. Mógłbym go zabrać na ten koncert. Był taki głupi, że by mu się spodobało. Nawet pozwoliłbym mu wziąć wóz strażacki, Sammy'ego. Ta myśl napęlnia go głębokim, całkowicie autentycznym smutkiem, jak każde wspomnienie o Frankiem.

Może powinienem tylko zabić tłustego ekspliniera i siebie i na tym zakończyć karierę.

Brady masuje skronie, czując napływający kolejny ból głowy (a teraz nie ma matki, żeby mu ulżyła). Wędruje przez westybul do Galerii Sztuki Harlowa Floyda, gdzie wielki wiszący baner ogłasza:

CZERWIEC – MIESIĄC MANETA!

Brady nie wie dokładnie, kim był Manet, pewnie jakimś malarzem żabojadem jak van Gogh, ale niektóre obrazy są wspaniałe. Nie przepada za martwą naturą (czemu, na Boga, ktoś poświęca czas na malowanie melona?), jednak niektóre spośród innych emanują niemal dziką przemocą. Jeden przedstawia martwego matadora. Brady patrzy na niego prawie przez pięć minut, splótłszy ręce za plecami, ignorując ludzi, którzy go potrącają albo zaglądnają mu przez ramię. Matador nie jest okaleczony ani nic takiego, ale krew wypływająca spod jego lewego ramienia wygląda bardziej realistycznie niż krew we wszystkich filmach o przemocy, jakie Brady dotąd widział, a widział dużo. To go uspokaja i oczyszcza, i kiedy wreszcie odchodzi, myśli: Musi być jakiś sposób.

Pod wpływem chwili zahacza o kiosk z pamiątkami i kupuje kupę szajsu 'Round Here. Wychodzi po dziesięciu minutach, niosąc torbę z nadrukiem MAM ATAK MAC, i znowu zerka w korytarz prowadzący do Mingo. Za dwa dni ten korytarz zmieni się w bydłęcy wybieg, który wypełnią rozchichotane, rozpychające się, szaleńczo podniecone dziewczyny, większość w towarzystwie umęczonych rodziców. Z tego miejsca Brady widzi, że w głębi część korytarza po prawej stronie oddzielono aksamitnymi sznurami. Na początku tego minikorytarzyka jest następna tabliczka na następnym chromowanym stojaku.

Brady odczytuje ją i myśli: O mój Boże.

O... mój... Boże!

W apartamencie należącym dawniej do Elizabeth Wharton Janey zrzuca pantofle i pada na kanapę.

– Dzięki Bogu już po wszystkim. Czy to trwało tysiąc lat, czy dwa tysiące?
 – Dwa – odpowiada Hodges. – Wyglądasz jak kobieta, która potrzebuje snu.
 – Spałam do ósmej – protestuje Janey, ale niezbyt przekonująco.
 – Jednak to chyba dobry pomysł.
 – Zważywszy, że wieczorem jem kolację z krewnymi w Sugar Heights, może masz trochę racji, detektywie. Przy okazji, nie musisz iść na kolację. Oni chyba chcą porozmawiać o swojej ulubionej komedii muzycznej, *Miliony Janey*.

– Nie zdziwiłbym się.
 – Zamierzam się z nimi podzielić forszą Ollie. Dokładnie po połowie.
 Hodges zaczyna się śmiać. Przestaje, kiedy dociera do niego, że ona mówi poważnie. Janey unosi brwi.

– Masz z tym problem? Może myślisz, że nędzne trzy i pół melona nie wystarczy mi na spokojną starość?

– Pewnie wystarczy, ale... to twoje. Olivia zapisała to tobie.
 – Tak, i testament jest nie do podważenia. Adwokat Schron mnie o tym zapewnia, to jednak nie znaczy, że Ollie była całkiem zdrowa na umyśle, kiedy go sporządzała. Wiesz o tym. Widziałeś ją, rozmawiałeś z nią. – Masuje stopy przez pończochy. – Poza tym jeśli im oddam połowę, będę mogła popatrzeć, jak się tym dzielą. Pomyśl, ile to zabawy.

– Na pewno nie chcesz, żebym dzisiaj z tobą poszedł?
 – Dzisiaj nie, ale jutro koniecznie. Sama nie dam rady.
 – Przyjadę po ciebie kwadrans po dziewiątej. Chyba że chcesz znowu nocować u mnie.
 – Kuszące, ale nie. Dzisiejszy wieczór przeznaczam wyłącznie na rodzinne rozrywki. Jeszcze jedno, zanim wyjdiesz. Bardzo ważne.

Wyrzebuje z torebki notes i długopis. Pisze, potem wydiera kartkę i podaje mu. Hodges widzi dwa rzędy cyfr.

– Pierwszy kod otwiera bramę do domu w Sugar Heights. Drugi wyłącza alarm przeciwwłamaniowy. W czwartek rano, kiedy ty i twój przyjaciel Jerome będziecie pracować nad komputerem Ollie, odwiozę ciotkę Charlotte, Holly i wujka Henry'ego na lotnisko. Jeśli ten facet przerobił jej komputer tak, jak myślicie... i ten program ciągle tam jest... chybabym tego nie wytrzymała. – Patrzy na niego prosząco. – Rozumiesz? Powiedz, że tak.

– Rozumiem. – Hodges klęczy przed nią niczym konkurent gotów się oświadczyć, bohater romantycznej powieści, jakie lubiła jego była żona. Czuje się trochę absurdalnie. Ale tylko trochę. – Janey...

Ona patrzy na niego, próbuje się uśmiechnąć, jednak nie całkiem jej wychodzi.
 – Przepraszam. Za wszystko. Tak mi przykro – mówi Hodges.
 Nie myśli tylko o niej i o jej zmarłej siostrze, która miała kłopoty i sprawiała kłopoty. Myśli o tych, którzy zginęli w City Center, zwłaszcza o kobiecie z dzieckiem.

Kiedy awansował na detektywa, jego mentorem był Frank Sledge. Hodgesowi wydawał się stary, ale wtedy Sledge miał o piętnaście lat mniej niż teraz on. „Żebym nigdy nie słyszał, że nazywasz ich ofiarami”, powiedział mu Sledge. „To gówno jest wyłącznie dla dupków i wypalonych wraków. Zapamiętaj ich nazwiska. Mów o nich po nazwisku”.

Cray, myśli. Nazywały się Cray. Janice i Patricia.

Janey go obejmuje. Jej oddech łaskocze go w ucho, wywołuje ciarki i połowiczną erekcję.

– Wracam do Kalifornii, kiedy to się skończy. Nie mogę tu zostać. Szaleję za tobą, Bill, i gdybym została, pewnie bym się w tobie zakochała, ale nie zamierzam. Muszę zacząć na nowo.

– Wiem. – Hodges odsuwa się i trzyma ją za ramiona, żeby spojrzeć na jej twarz. To piękna twarz, lecz dzisiaj wygląda na swój wiek. – W porządku.

Janey znowu grzebie w torebce, tym razem szuka chusteczek. Wyciera oczy i mówi:

– Dokonałeś dziś podboju.

– Ee...? – Potem załapuje. – Holly.

– Uważa, że jesteś cudowny. Tak mi powiedziała.

– Przypomina mi Olivię. Rozmowa z nią to jakby druga szansa.

– Żeby postąpić właściwie?

– Taa.

Janey marszczy nos i uśmiecha się kpiąco.

– Taa.

Tego popołudnia Brady jedzie na zakupy. Bierze hondę zmarłej Deborah Ann Hartsfield, bo to hatchback. Mimo to jeden z przedmiotów ledwie się mieści z tyłu. Brady zastanawia się, czy po drodze do domu nie wstąpić do Speedy Postal, żeby odebrać trutkę na szczury, którą zamówił jako Ralph Jones, ale wydaje się, że to było tysiąc lat temu. Zresztą po co miałby ją odebrać? Ta część jego życia jest skończona. Wkrótce reszta też dobiegnie końca, co za ulga.

Opiera największy nabytek o ścianę garażu. Potem wchodzi do domu, na krótko przystaje w kuchni, żeby powęszyć (jeszcze nie czuć smrodu rozkładu, przynajmniej na razie), i schodzi do centrum kontroli. Wypowiada magiczne słowo, które uruchamia rząd komputerów, ale tylko z przyzwyczajenia. Nie czuje potrzeby, żeby zajrzeć Pod Niebieski Parasol Debbie, bo nie ma nic nowego do przekazania tłustemu eksplinarzowi. Ta część jego życia również się skończyła. Spogląda na zegarek, widzi, że jest wpół do czwartej po południu, i oblicza, że tłustemu eksplinarzowi zostało mniej więcej dwadzieścia godzin życia.

Jeśli naprawdę ją posuwasz, detektywie Hodges, myśli Brady, radzę zamoczyć knota, dopóki jeszcze możesz.

Otwiera kłódkę na drzwiach komórki i wkracza w suchy, lekko oleisty odór *plastique* domowej roboty. Spogląda na pudełka po butach pełne materiałów wybuchowych i wybiera to po butach turystycznych Mephisto, które teraz ma na sobie – zeszłoroczny gwiazdkowy prezent od matki. Z górnej półki zdejmuje pudełko pełne telefonów komórkowych. Znosi jeden i pudełko wybuchowego plastiku na stół pośrodku pomieszczenia i przystępuje do pracy. Wkłada telefon do pudełka i podłącza do prostego detonatora, zasilanego bateriami paluszkami AA. Włącza telefon, żeby sprawdzić, czy działa, potem go wyłącza. Szansa, że ktoś przez pomyłkę zadzwoni pod ten jednorazowy numer i wysadzi w powietrze centrum kontroli, jest niewielka, ale po co ryzykować? Szansa, że matka znajdzie zatrute mięso i usmaży sobie na lunch, też była niewielka – i co się okazało?

Nie, to maleństwo będzie wyłączone do dziesiątej dwadzieścia następnego ranka. Wtedy Brady wejdzie na parking za Domem Pogrzebowym Soames. Jeśli kogoś tam spotka, powie, że chciał sobie skrócić drogę do przystanku autobusowego na sąsiedniej ulicy (gdzie naprawdę jest przystanek, sprawdził to w MapQuest). Ale nikogo się nie spodziewa. Wszyscy będą w środku na nabożeństwie żałobnym, becząc rzewnymi łzami.

Użyje Gadżetu Dwa, żeby otworzyć samochód tłustego eksplinarza i położyć pudełko po butach na podłodze za fotelem kierowcy. Potem zamknie toyotę i wróci do własnego samochodu. Żeby czekać. Żeby zobaczyć, jak on przejeżdża obok. Żeby pozwolić mu dojechać do następnego skrzyżowania, skąd do Brady'ego nie powinny dolecieć żadne odłamki. Potem...

– Bum-bum – mówi Brady. – Będą potrzebowali drugiego pudełka po butach, żeby go pochować.

To całkiem zabawne i Brady się śmieje, wracając do komórki po swoją kamizelkę samobójczą. Przez resztę wieczoru ją demontuje. Już nie potrzebuje kamizelki.

Ma lepszy pomysł.

Środa, drugi czerwca, jest ciepła i bezchmurna. Wprawdzie według kalendarza nadal jest wiosna i w miejscowych szkołach nadal odbywają się lekcje, ale to nie zmienia faktu, że w sercu Ameryki wstał idealny letni dzień.

Bill Hodges, w garniturze, ale na szczęście jeszcze bez krawata, siedzi w swoim gabinecie i przegląda listę włamań do samochodów, którą przysłała mu faksem Marlo Everett. Wydrukował mapę miasta i stawia czerwoną kropkę w miejscu każdego włamania. Coś mu się zdaje, że trzeba będzie połączyć po mieście, może całkiem sporo, jeśli z komputerem Olivii się nie uda, ale jest szansa, że któraś z ofiar włamania wspomni, że widziała podobny samochód. Ponieważ Pan Mercedes musiał obserwować właścicieli upatrzonych pojazdów – Hodges jest tego pewien – musiał sprawdzić, że ich nie ma, zanim użył swojego gadżetu do otwarcia samochodów.

Obserwował ich tak, jak obserwuje mnie, myśli Hodges.

Coś się zapala w jego umyśle – drobna iskierka skojarzenia – ale gaśnie, zanim zdążył zobaczyć, co oświetlała. Nie szkodzi; jeśli to coś ważnego, wróci. Tymczasem dalej sprawdza adresy i nanosi czerwone kropki na mapę. Dopiero za dwadzieścia minut musi zawiązać krawat i pojechać po Janey.

Brady Hartsfield siedzi w swoim centrum kontrolnym. Dzisiaj głowa go nie boli, myśli nie są mętne, tylko jasne niczym wygaszacze ekranu z *Dzikiem bandy* na szeregu komputerów. Wyjął kostki wybuchowego plastiku z samobójczej kamizelki, odłączywszy je starannie od przewodów detonatora. Kilka kostek trafiło do jaskrawoczerwonej poduszki z wulgarnym nadrukiem DUPOPARKING. Z dwóch kolejnych utoczył wałeczki, podłączył druty detonatora i wsunął je do jasnyniebieskiego worka na mocz Urinesta. Potem starannie przylepił na worku kalkomanię. Kupił ją wczoraj w kiosku z pamiątkami w MAC razem z okolicznościową koszulką. Nalepka głosi: FAN #1 'ROUND HERE. Brady spogląda na zegarek. Prawie dziewięć. Tłustemu eksplinarzowi zostało półtorej godziny życia. Może trochę mniej.

Pete Huntley, dawny partner Hodgesa, siedzi w jednym z pokoiów przesłuchań, nie dlatego, że musi kogoś przesłuchać, ale ponieważ chciał uciec od porannego hałasu i zamieszania w sali odpraw. Ma notatki do przejrzenia. Na dziesiątą zwołał konferencję prasową, żeby opowiedzieć o najnowszych mrocznych wyznaniach Donalda Davisa, więc nie chce niczego spieprzyć. Zabójca z City Center – Pan Mercedes – to ostatnia rzecz, o której myśli.

W Lowtown, za pewnym lombardem, ludzie, którzy wierzą, że nie są obserwowani, kupują i sprzedają broń.

Jerome Robinson siedzi przy swoim komputerze i słucha plików audio dostępnych w serwisie pod nazwą Sounds Good To Me. Słucha historycznego śmiechu kobiety. Słucha mężczyzny gwizdzącego *Danny Boy*. Słucha mężczyzny płuczącego gardło. Słucha kobiety najwyraźniej przeżywającej orgazm. Wreszcie znajduje plik, którego szukał. Tytuł jest prosty: PŁACZĄCE NIEMOWLĘ.

Piętro niżej siostra Jerome'a, Barbara, wpada do kuchni z Odellem depczącym jej po piętach. Barbara jest ubrana w spódniczkę z cekinami, toporne niebieskie chodaki i koszulkę ze zdjęciem seksownego nastoletniego chłopca. Pod jego promiennym uśmiechem i wypracowaną fryzurą biegnie napis: I LUV CAM 4EVER! Barbara pyta matkę, czy ten strój nie wygląda zbyt dziecinnie, żeby tak iść na koncert. Matka (zapewne wspominając, jak sama się ubrała na swój pierwszy koncert) uśmiecha się i mówi, że jest idealny. Barbara pyta, czy może założyć wiszące koleżki matki z symbolami pokoju. Tak, oczywiście. Szminka? No... dobrze. Cienie do powiek? Niestety, nie. Barbara śmieje się z miną „nie szkodziło spróbować” i wylewnie ściska matkę.

– Nie mogę się doczekać jutra – mówi.

Holly Gibney jest w łazience domu w Sugar Heights. Chciałaby się wykręcić z uczestnictwa w nabożeństwie żałobnym, ale wie, że matka nigdy jej nie pozwoli. Jeśli zaprotestuje, mówiąc, że źle się czuje, riposta matki będzie taka jak zawsze od czasów dzieciństwa Holly: „Co ludzie pomyślą?”. A jeśli Holly odpowie, że to nieważne, co ludzie pomyślą, bo i tak nigdy więcej nie spotkają nikogo z tych ludzi (z wyjątkiem Janey), matka popatrzy na nią, jakby Holly mówiła w obcym języku. Połyka lexapro, ale kiedy myje zęby, wnętrzności jej się skręcają w supeł i wyrzuca pigułkę. Charlotte woła, czy córka jest gotowa. Holly odkrzykuje, że prawie. Spłukuje toaletę i myśli: Przynajmniej przyjaciel Janey tam będzie. Bill. Jest miły.

Janey Patterson ubiera się starannie w apartamencie zmarłej matki: ciemne rajstopy, czarna spódnica, czarny żakiet na ciemnogramatowej bluzce. Myśli o tym, co powiedziała Billowi, że pewnie zakochałaby się w nim, gdyby tu została. Ryzykownie otarła się o prawdę, bo już się w nim zakochała. Psychoanalitik na pewno powiedziałby z uśmiechem, że znalazła substytut tatusia. Wtedy Janey też by się uśmiechnęła i odparła, że to freudowskie bzdury. Jej ojciec był łysym księgowym, wiecznie nieobecny, nawet kiedy był obecny. Za to Bill Hodges jest obecny, jeszcze jak. To jej się w nim podoba. I jeszcze kapelusz, który mu kupiła. Fedora w stylu Philipa Marlowe’a. Spogląda na zegarek i widzi, że jest kwadrans po dziewiątej. Niech on lepiej szybko przyjedzie.

Jeśli się spóźni, zabije go.

Nie spóźnia się i ma na głowie ten kapelusz. Janey mówi mu, że ładnie wygląda. On jej mówi, że ona wygląda lepiej niż ładnie. Ona się uśmiecha i go całuje.

– Miejmy to z głowy – rzuca Hodges.

Janey marszczy nos i mówi:

– Taa.

Jadą do domu pogrzebowego, gdzie znowu zjawiają się pierwsi. Hodges wprowadza ją do salonu Wiecznego Spoczynku. Janey rozgląda się i aprobująco kiwa głową. Programy nabożeństwa wyłożono na siedzeniach składanych krzeseł. Trumna zniknęła, zastąpiona przez stół przypominający ołtarz, zastawiony bukietami wiosennych kwiatów. Z głośników syczy się Brahms tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

– Okay? – pyta Hodges.

– Może być. – Janey bierze głęboki oddech i powtarza to, co powiedział dwadzieścia minut wcześniej: – Miejmy to z głowy.

Zbierają się żałobnicy mniej więcej w tym samym składzie, co poprzedniego dnia. Janey wita ich w drzwiach. Podczas gdy ona ściska ręce, obejmuje i wypowiada stosowne słowa, Hodges stoi w pobliżu i obserwuje uliczny ruch. Nic nie wzbudza jego podejrzeń, włącznie z pewnym subaru koloru błota, które przejeżdża, nie zwalniając.

Na parking od tyłu zajeżdża wynajęty chevrolet z nalepką Hertza z boku przedniej szyby. Wkrótce pojawia się wuj Henry, poprzedzany przez lekko kołyszący się dyrektorski brzuch. Za nim idą ciotka Charlotte i Holly. Charlotte zaciska dłoń w białej rękawiczce na ramieniu córki tuż nad łokciem. Dla Hodgesa ciotka wygląda jak strażniczka eskortująca więźniarkę – pewnie narkomankę – do okręgowego aresztu. Holly jest jeszcze bledsza niż poprzedniego dnia, o ile to w ogóle możliwe. Ma na sobie ten sam bezkształtny brązowy worek i przygryza wargę tak często, że niewiele już zostało szminki.

Obdarza Hodgesa drżącym uśmiechem. Hodges wyciąga rękę, którą ona chwytą i ściska kurczowo, dopóki Charlotte nie zaciągnie jej do Sali Śmierci.

Rolę mistrza ceremonii odgrywa młody duchowny z kościoła, do którego uczęszczała co niedzielę pani Wharton, dopóki zdrowie jej pozwalało. Czyta przewidywalny ustęp z Księgi Przysłów, ten o cnotliwej kobiecie. Hodges gotów jest wycenić wartość zmarłej ponad rubiny, ale wątpi, czy kiedykolwiek pracowała z wełną i lnem^[12]. Jednak to poetyckie i lzy płyną, zanim duchowny skończył. Facet może jest młody, ale dostatecznie inteligentny, żeby nie próbować wychwalania kogoś, kogo prawie nie znał. Zamiast tego zaprasza do wystąpienia tych, którzy mają „cenne wspomnienia” o zmarłej Elizabeth. Kilka osób przemawia, poczynając od Althei Greene, pielęgniarki, a kończąc na żyjącej córce. Janey mówi krótko, prosto i spokojnie.

– Żałuję, że nie miałyśmy więcej czasu – kończy.

Brady parkuje za rogiem pięć po dziesiątej i skrupulatnie wrzuca monety do parkometru, aż wyskakuje zielona chorągiewka z napisem MAX. Ostatecznie to przez mandat za nieopłacone parkowanie wpadł Syn Sama^[13]. Brady bierze szmacianą torbę z tylnego siedzenia. Na torbie jest nadruk KROGER i RATUJ DRZEWA! UŻYJ MNIE JESZCZE RAZ! Spoczywa w niej Gadżet Dwa na pudełku po butach Mephisto.

Brady skręca za róg i szybkim krokiem mija Dom Pogrzebowy Soames. Wygląda jak zwykły obywatel załatwiający swoje sprawy. Twarz ma spokojną, ale serce mu wali jak młot parowy. Nie widzi nikogo przed domem pogrzebowym i drzwi są zamknięte, ale zawsze pozostaje możliwość, że tłusty eksplinierz nie siedzi z pozostałymi żałobnikami. Może jest w pokoju na zapleczu i wypatruje podejrzanych osobników. Innymi słowy, wypatruje Brady'ego. Brady o tym wie.

Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa, cukiereczku, mruczy jego mama. To prawda. Zresztą Brady ocenia, że ryzyko jest minimalne. Jeśli Hodges stuka tę blond dziwkę (albo ma nadzieję ją stuknąć), nie odejdzie od niej.

Brady robi zwrot na następnym rogu, maszeruje z powrotem i bez wahania skręca na parking za domem pogrzebowym. Słyszy cichą muzykę, jakieś klasyczne gówno. Dostrzega toyotę Hodgesa zaparkowaną z tyłu pod ogrodzeniem, ustawioną przodem, żeby szybko wyjechać, jak tylko impreza się skończy. Ostatnia przejażdżka starego Det. Em., myśli Brady. Będzie krótka, kolego.

Wchodzi za większy z dwóch karawanów, żeby go nie zobaczył nikt wyglądający przez tylne okna domu pogrzebowego. Zasłonięty, wyjmuje z torby na zakupy Gadżet Dwa i wyciąga antenę. Serce mu wali jeszcze mocniej. Zdarzyło się – tylko parę razy – że jego gadżet nie zadziałał. Zielone światełko błyskało, ale przyciski blokady zamków nie odskoczyły. Jakaś przypadkowa usterka w programie albo w mikrochipie.

Jeśli nie zadziała, po prostu wsuń pudełko pod samochód, radzi mu matka.

Oczywiście. To również spełni swoją funkcję, ale nie będzie takie eleganckie.

Naciska guzik. Błyska zielone światełko. I przednie światła toyoty. Sukces!

Brady podchodzi do samochodu tłustego eksplinierza, jakby miał do tego wszelkie prawo. Otwiera tylne drzwi, wyjmuje z torby pudełko po butach, włącza telefon i kładzie pudełko na podłodze za fotelem kierowcy. Zamyka drzwi i rusza z powrotem na ulicę, zmuszając się, żeby iść powoli, miarowym krokiem.

Kiedy skręca za róg budynku, Deborah Ann Hartsfield znowu się odzywa. Nie zapomniałeś o czymś, cukiereczku?

Brady przystaje. Zastanawia się. Potem wraca za róg i celuje kikutem anteny Gadżetu Dwa w samochód Hodgesa.

Światła błyskają, kiedy zamki znowu zaskakują.

Po wspominkach i chwili milczącej refleksji („wykorzystajcie ją, jak wam serce dyktuje”) duchowny prosi Boga o błogosławieństwo, łaskę i spokój. Szeleszczą ubrania; programy znikają w torebkach i kieszeniach marynarek. Wydaje się, że Holly jest w niezłej formie, ale w połowie drogi do drzwi kolana się pod nią uginają. Hodges rzuca się do przodu z szybkością zadziwiającą u takiego dużego mężczyzny i chwytą ją pod ramiona, żeby nie upadła. Oczy jej się wywracają białkami do góry i przez chwilę balansuje na krawędzi całkowitego omdlenia. Potem oczy wracają na miejsce i wzrok się wyostrza. Holly widzi Hodgesa i uśmiecha się słabo.

– Holly, przestań! – karcą ją surowo Charlotte, jakby córka rzuciła jakiś niestosowny i niecenzuralny dowcip, a nie prawie zemdląca. Hodges myśli, jak przyjemnie byłoby walnąć cioteczkę Charlotte w grubo upudrowany pysk. Może wtedy by się opamiętała.

– Nic mi nie jest, mam – mówi Holly. Potem zwraca się do Hodgesa: – Dziękuję.

– Jadłaś dziś śniadanie? – pyta on.

– Jadła owsiankę – ogłasza ciotka Charlotte. – Z masłem i brązowym cukrem. Sama ją ugotowałam. Lubisz czasem zwracać na siebie uwagę, co, Holly? – Odwraca się do Janey. – Proszę, nie zatrzymuj się, kochana. Henry jest do niczego w takich sprawach, a ja sama nie obsłużę tylu osób.

Janey bierze Hodgesa pod rękę.

– Wcale tego się po tobie nie spodziewałam.

Ciotka Charlotte obdarza ją skąpym uśmiechem. Uśmiech Janey w rewanżu jest olśniewający i Hodges dochodzi do wniosku, że jej decyzja, żeby oddać połowę odziedziczonego majątku, jest równie olśniewająca. Gdy to robi, już nigdy nie będzie musiała oglądać na oczy tej niemiłej kobiety. Ani nawet odbierać jej telefonów.

Żałobnicy wynurzają się na słońce. Na chodniku wymieniają uwagi w rodzaju: „Co za piękne nabożeństwo”, a potem przechodzą na parking od tyłu. Wujek Henry i ciotka Charlotte prowadzą między sobą Holly. Hodges i Janey idą za nimi. Kiedy mijają kostnicę, Holly nagle wymyka się swoim opiekunom i odwraca do Hodgesa i Janey.

– Pozwólcie mi jechać z wami. Chcę jechać z wami.

Ciotka Charlotte z ustami zaciśniętymi w linię tak cienką, że niemal niewidoczną, nachyla się nad córką.

– Mam już dość twoich fochów i humorów na dzisiaj, moja panno.

Holly nie słucha jej. Chwyta dłoń Hodgesa w lodowaty uścisk.

– Proszę. Proszę!

– Nie mam nic przeciwko – mówi Hodges – jeśli Janey się zga...

Ciotka Charlotte zaczyna szlochać. To brzydki dźwięk, ochryple krakanie wrony na ściernisku. Hodges przypomina sobie, jak nachyliła się nad panią Wharton i pocałowała jej zimne usta. Nagle przychodzi mu do głowy pewna nieprzyjemna możliwość. Źle ocenił Oliwię; mógł się również pomylić co do Charlotte Gibney. Ostatecznie w ludziach kryje się więcej, niż widać na zewnątrz.

– Holly, ty nawet nie znasz tego mężczyzny!

Janey kładzie znacznie cieplejszą rękę na nadgarstku Hodgesa.

– Może pojedziesz z Charlotte i Henrym, Bill? Jest mnóstwo miejsca. Możesz usiąść z tyłu z Holly. – Przenosi spojrzenie na kuzynkę. – Tak będzie dobrze?

– Tak! – Holly wciąż ściska Hodgesa za rękę. – Tak będzie świetnie!

Janey odwraca się do wuja.

– Zgodzisz się?

– Jasne. Jest mnóstwo miejsca. – Jowialnie klepie Holly po ramieniu. – Im więcej, tym weselej.

– Tak, właśnie, traktuj ją jak pępek świata – mówi ciotka Charlotte. – Ona to lubi. Prawda, Holly?

Idzie na parking, nie czekając na odpowiedź, jej obcasy wystukują oburzenie alfabetem Morse'a.

Hodges spogląda na Janey.

– A co z moim samochodem?

– Ja nim pojedę. Daj mi kluczyki. – A kiedy je dostała, dodaje: – Potrzebuję jeszcze jednej rzeczy.

– Taa?

Zdejmuje mu fedorę z głowy, nakłada sobie i przekrzywia zawadiacko na lewą brew, jak należy. Marszczy nos i przedrzeźnia Hodgesa:

– Taa.

Brady zaparkował niedaleko domu pogrzebowego, na tej samej ulicy. Serce mu wali mocno jak nigdy. Trzyma telefon komórkowy. Numer zapalnika podłączonego do bomby za przednim fotelem toyoty ma wypisany długopisem na nadgarstku.

Patrzy, jak żałobnicy stoją na chodniku. Tłustego eksgliniarza nie da się przegapić; w czarnym garniturze wydaje się wielki jak dom. Albo karawan. Na głowie ma śmiesznie staromodny kapelusz, taki, jakie nosili detektywi w czarno-białych filmach kryminalnych z lat pięćdziesiątych zeszłego wieku.

Ludzie zaczynają przechodzić na tyły domu pogrzebowego i po chwili Hodges z blond dziwką też tam idą. Brady przypuszcza, że blond dziwka będzie w samochodzie, kiedy bomba wybuchnie. Czyli wyjdzie na czysto: matka i obie córki. Elegancko jak równanie z wieloma niewiadomymi, które zostało rozwiązane.

Samochody zaczynają wyjeżdżać, wszystkie skręcają w jego stronę, bo tędy się jedzie do Sugar Heights. Szyby oślepiająco błyszczą w słońcu, co nie pomaga, ale trudno nie rozpoznać toyoty tłustego eksgliniarza, która pojawia się na początku podjazdu, zatrzymuje się na chwilę, po czym rusza w kierunku Brady'ego.

Brady nawet nie spogląda na wynajętego chevroleta wujka Henry'ego, który go mija. Całą uwagę skupił na pojeździe tłustego eksgliniarza. Kiedy toyota przejeżdża obok, Brady czuje lekkie rozczarowanie. Blond dziwka widocznie zabrała się z krewnymi, bo w samochodzie siedzi tylko kierowca. Brady widzi go jedynie w przelocie, ale nawet oślepiony słońcem rozpoznaje ten durny kapelusz tłustego eksgliniarza.

Wybiera numer.

– Powiedziałem, że nie będziesz wiedział kiedy. Powiedziałem tak, prawda, dupku?

Naciska POŁĄCZ.

Kiedy Janey wyciąga rękę, żeby włączyć radio, zaczyna dzwonić komórka. Ostatni dźwięk, jaki wydaje na ziemi – wszyscy powinni mieć tyle szczęścia – to śmiech. Idioto, myślisz, że znowu zostawiłeś telefon w samochodzie. Sięga do schowka. Rozlega się drugi dzwonek.

Dźwięk nie dochodzi ze schowka, tylko z tyłu...

Nie ma huk, przynajmniej ona tego nie słyszy, tylko chwilowe wrażenie, jakby silna ręka popchnęła fotel kierowcy. Potem świat robi się biały.

Holly Gibney, znana również jako Holly Mamrota, ma wprawdzie problemy psychiczne, jednak ani leki psychotropowe, które zażywa, ani papierosy, które popała ukradkiem, nie spowolniły jej fizycznie. Wuj Henry wciska hamulec i Holly wyskakuje z wynajętego chevy, kiedy echo eksplozji jeszcze rozbrzmiewa w powietrzu.

Hodges biegnie za nią co sił. W piersi czuje ukłucie bólu i myśli, że ma atak serca. Nawet trochę na to liczy, ale ból mija. Przechodnie zachowują się jak zwykle, kiedy akt przemocy wybija dziurę w świecie, który dotąd uważali za niezmienny. Niektórzy padają na chodnik i zakrywają głowy rękami. Inni stoją przykuci do miejsca jak posągi. Kilka samochodów się zatrzymuje; większość przyspiesza i natychmiast się oddala. Wśród nich jest subaru koloru błota.

Kiedy Hodges cwałuje za nieźrównoważoną psychicznie kuzynką Janey, w głowie tłucze mu się ostatnia wiadomość od Pana Mercedesa, rytmicznie niczym werbel: „Zabiję cię. Nie będziesz wiedział kiedy. Zabiję cię. Nie będziesz wiedział kiedy. Zabiję cię. Nie będziesz wiedział kiedy”.

Skręca za róg, ślizgając się na gładkich podszwach rzadko używanych wyjściowych butów, i niemal wpada na Holly, która stanęła jak wryta, z opuszczonymi ramionami i torebką dyndającą w jednej ręce. Patrzy na szczątki toyoty Hodgesa. Nadwozie, czysto zdmuchnięte z osi, płonie gwałtownie wśród odłamków szkła. Tylne siedzenie leży na boku pięć metrów dalej, podarta tapicerka się pali. Przez ulicę chwiejnie przechodzi jakiś mężczyzna, trzymając się za krwawiącą głowę. Na krawężniku przed sklepem z upominkami i kartkami pocztowymi, w którym wybuch wgniół szybę wystawową, siedzi jakaś kobieta i przez jedną szaloną chwilę Hodges myśli, że to Janey, ale ta kobieta ma zieloną sukienkę i siwe włosy, i oczywiście to nie Janey, to nie może być Janey.

To moja wina, myśli. Gdybym użył rewolweru ojca dwa tygodnie temu, to by się nie stało. Ona by żyła.

Pozostało w nim jeszcze dość z gliniarza, żeby odepchnąć tę myśl na bok (choć nie ustąpiła łatwo). Na jej miejsce napływa zimna jasność szoku. To nie jest jego wina. To wina tego skurwysyna, który podłożył bombę. Tego samego skurwysyna, który wjechał ukradzionym samochodem w tłum bezrobotnych w City Center.

Hodges widzi jeden czarny but na wysokim obcasie leżący w kałuży krwi, widzi urwane ramię w dymiącym rękawie ciśnięte do rynsztoka niczym śmieć i jego umysł przeskakuje na wysokie obroty. Wuj Henry i ciotka Charlotte zaraz tu będą, co znaczy, że zostało niewiele czasu.

Chwyta Holly za ramiona i odwraca ją do siebie. Obwarzanki księżniczki Lei rozpuściły się i włosy zwisają na policzki. Rozszerzone oczy patrzą przez niego na wylot. Zimno – jeszcze zimniej – ocenia, że w tym stanie Holly mu się nie przyda. Policzkuje ją najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Nie mocno, ale wystarczająco, żeby powieki jej zatrzepotały.

Ludzie wrzeszczą. Klaksony trąbią, wyje kilka alarmów. Hodges czuje zapach benzyny, płonącej gumy, topiącego się plastiku.

– Holly. Holly, posłuchaj mnie.

Ona patrzy na niego, ale czy słucha? Hodges nie wie i nie ma czasu do stracenia.

– Kochałem ją, ale nie możesz nikomu powiedzieć. Nie mów nikomu, że ją kochałem.

Może później, ale nie teraz. Rozumiesz?

Ona kiwa głową.

– Daj mi numer swojej komórki. Może będziesz mi potrzebna.

W przeblysku chłodnego myślenia Hodges ma nadzieję, że nie będzie mu potrzebna,

że dom w Sugar Heights będzie pusty tego popołudnia, ale wątpi. Matka Holly i wuj będą musieli wyjść, przynajmniej na jakiś czas, ale Charlotte nie zechce zabrać ze sobą córki. Bo Holly jest delikatna. Holly ma problemy psychiczne. Hodges zastanawia się, ile przeszła załamań i czy podejmowała próby samobójcze. Te myśli przelatują mu przez głowę niczym spadające gwiazdy, błyskają i znikają. Nie ma czasu na delikatną kondycję psychiczną Holly.

– Kiedy twoja matka i wuj pojedą na policję, powiedz im, że nikt nie musi z tobą zostać. Powiedz, że poradzisz sobie sama. Możesz to zrobić?

Ona kiwa głową, chociaż prawie na pewno nie ma pojęcia, o czym on mówi.

– Ktoś do ciebie zadzwoni. Albo ja, albo młody chłopak imieniem Jerome. Jerome.

Zapamiętasz to imię?

Holly potakuje, potem otwiera torebkę i wyjmuje futerał na okulary.

To się nie uda, myśli Hodges. Ona nie kontaktuje. Jednak musi spróbować. Chwyta ją za ramiona.

– Holly, chcę złapać faceta, który to zrobił. Chcę, żeby zapłacił. Pomożesz mi?

Kiwa głową, twarz ma bez wyrazu.

– Więc to powiedz. Powiedz, że mi pomożesz.

Ona nic nie mówi. Zamiast tego wyjmuje z futerału ciemne okulary i nakłada je, jakby nie było samochodu płonącego na ulicy i ramienia Janey w rynsztoku. Jakby nie było wrzeszczących ludzi i zbliżającej się syreny. Jakby to był dzień na plaży.

On potrząsa nią lekko.

– Potrzebuję numeru twojej komórki.

Holly kiwa głową na zgodę, ale milczy. Zatrząsa torebkę i odwraca się do płonącego samochodu. Hodgesa zalewa fala największej rozpacz, jaką dotąd znał, wywołuje mdłości i rozprasza myśli, które przez trzydzieści czy czterdzieści sekund były krystalicznie jasne.

Zza rogu wytacza się ciotka Charlotte z rozwianymi włosami – czarnymi, ale z siwymi odrostami. Za nią człapie wuj Henry. Jego mięsista twarz jest trupio blada, tylko wysoko na policzkach widnieją czerwone plamy jak u klauna.

– Sharlie, stój! – krzyczy wuj Henry. – Chyba mam atak serca!

Siostra nie zwraca na niego uwagi. Chwyta Holly za łokieć, odwraca ją szarpnięciem i gwałtownie przyciska do siebie, wpychając pokaźny nos Holly między swoje piersi.

– NIE PATRZ! – wrzeszczy, patrząc. – NIE PATRZ, SKARBIE, NIE PATRZ TAM!

– Ledwie mogę oddychać – ogłasza wuj Henry. Siada na krawężniku i zwiesza głowę. –

Boże, mam nadzieję, że nie umieram.

Do pierwszej syreny dołączają następne. Ludzie zaczęli się przesuwać do przodu, żeby lepiej widzieć płonący wrak na jezdni. Jakaś para trzaska fotki telefonami.

Hodges myśli: Wystarczająco dużo materiałów wybuchowych, żeby rozwalić samochód. Ile jeszcze on ma?

Ciotka Charlotte wciąż więzi Holly w śmiertelnym uścisku i wrzeszczy na nią, żeby nie patrzyła. Holly nie usiłuje się wyrwać, ale trzyma jedną rękę za plecami. W ręce coś ma. Hodges postanawia sprawdzić, czy to coś dla niego, chociaż zdaje sobie sprawę, że to pewnie tylko pobożne życzenia. Bierze ten przedmiot. To futerał, z którego wyjęła ciemne okulary. Są na nim jej nazwisko i adres wytłoczone złotymi literami.

Jest też numer telefonu.

Hodges wyjmując swoją nokię z wewnętrznej kieszeni marynarki i otwiera ze świadomością, że leżałaby teraz w schowku spalonej toyoty pod postacią roztopionego plastiku i syczących obwodów, gdyby nie łagodne kpiny Janey.

Naciska przycisk szybkiego wybierania i dzwoni do Jerome'a, modląc się, żeby chłopak odebrał. I odbiera.

– Panie Hodges? Bill? Chyba właśnie słyszeliśmy wielki wy...

– Zamknij się, Jerome, i słuchaj.

Hodges idzie po zasypanym szkłem chodniku. Syreny słychać już bliżej, zaraz tu będą, a on musi działać wyłącznie na podstawie intuicji. Chyba że jego podświadomość już coś kojarzy. To się zdarzało wcześniej; nie dostał tych wszystkich odznaczeń z craigslisty^[14].

– Słucham – mówi Jerome.

– Nie wiesz nic o sprawie City Center. Nie wiesz nic o Olivii Trelawney i Janey Patterson. – Oczywiście jedli we trójkę obiad w DeMasio, ale nie sądzi, żeby gliny tam dotarły przez jakiś czas, jeśli w ogóle.

– Jasna sprawa – przytakuje Jerome. W jego głosie nie ma wahania ani nieufności. – Kto będzie pytał? Policja?

– Może później. Najpierw twoi rodzice. Bo ten wybuch, który słyszeliście, to był mój samochód. Janey prowadziła. Zamieniliśmy się w ostatniej chwili.

– Chryste, Bill, musisz zawiadomić gliny! Twojego dawnego partnera!

Hodges pamięta, jak ona powiedziała: „On jest nasz. Nadal się zgadzamy w tej kwestii, tak?”.

Tak, myśli. Nadal się zgadzamy w tej kwestii, Janey.

– Jeszcze nie. Na razie zamierzam to ciągnąć i potrzebuję twojej pomocy. Ten gnój ją zabił, chcę go dorwać i nie odpuszczę. Pomożesz?

– Tak.

Nie: „Mogę przez to mieć kłopoty”. Nie: „A jeśli przez to nie dostanę się na Harvard?”.

Nie: „Wyłącz mnie z tego”. Po prostu: „Tak”. Niech Bóg błogosławi Jerome'a Robinsona.

– Musisz wejść Pod Niebieski Parasol Debbie jako ja i wysłać wiadomość facetowi, który to zrobił. Pamiętasz moją nazwę użytkownika?

– Tak. Kermitzaba-dziewiętnaście. Czeka, wezmę kart...

– Nie ma czasu. Zapamiętaj tylko sens. I nie wysyłaj jeszcze co najmniej przez godzinę.

On musi wiedzieć, że nie wysłałem tego przed wybuchem. Musi wiedzieć, że wciąż żyję.

Jerome mówi:

– Dawaj.

Hodges przekazuje wiadomość i rozłącza się bez pożegnania. Wsuwa telefon do kieszeni spodni, obok futerału na okulary Holly.

Za rogu wyjeżdża rozpędzony wóz strażacki, a za nim dwa radiowozy. Mijają Dom Pogrzebowy Soames, gdzie przedsiębiorca pogrzebowy i pastor, który odprawiał wcześniej nabożeństwo za Elizabeth Wharton, stoją na chodniku, osłaniając oczy przed żarem słońca i płonącego samochodu.

Hodges będzie musiał dużo mówić, ale najpierw chce zrobić coś ważniejszego. Zdejmuje marynarkę, klęka i nakrywa ramię leżące w rynsztoku. Łzy pieką go pod powiekami, ale powstrzymuje je siłą. Później będzie mógł płakać. W tej chwili łzy nie pasują do historyjki, którą musi opowiedzieć.

Gliny, dwóch młodziaków jadących solo, wysiadają z radiowozów. Hodges ich nie zna.

– Musimy pana prosić, żeby opuścił pan miejsce wypadku – mówi jeden z nich – ale jeżeli był pan świadkiem tego – wskazuje płonące szczątki toyoty – proszę pozostać w pobliżu, żeby ktoś mógł pana przesłuchać.

– Nie tylko widziałem, co się stało, ale na dodatek powinienem tam być. – Hodges wyjmuje portfel i otwiera, żeby pokazać policyjną legitymację z czerwoną pieczętką odbitą w poprzek: EMERYTOWANY. – Do zeszłej jesieni moim partnerem był Pete Huntley. Powinniście jak najszybciej go zawiadomić.

– To był pański samochód? – chce wiedzieć drugi gliniarz.

– Taa.

Pierwszy gliniarz pyta:

– W takim razie kto prowadził?

Brady wraca do domu sporo przed południem, rozwiązawszy wszystkie swoje problemy. Stary pan Beeson z naprzeciwka stoi na swoim trawniku.

– Słyszałeś to?

– Co słyszałem?

– Wielki wybuch gdzieś w mieście. Było dużo dymu, ale już się rozwiął.

– Radio głośno grało – odpowiada Brady.

– Ja żem myślał, że to wybuchła stara fabryka farb. Zastukał żem do twojej matki, ale pewnie odsypiała.

W oku błyska mu niedopowiedziana puenta: „Odsypiała kaca”.

– Pewnie tak – mówi Brady. Nie podoba mu się, że wścibski staruch go nachodził.

W pojęciu Brady’ego Hartsfielda dobrzy sąsiedzi to brak sąsiadów. – Muszę iść, panie Beeson.

– Powiedz mamie, że pozdrawiam.

Brady otwiera kluczem drzwi, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi na klucz.

Węszy. Nic. Albo... nie całkiem nic. Jakby sła biutki powiew czegoś nieprzyjemnego, na przykład kości z kurczaka zostawionych kilka dni za długo w koszu na śmieci pod zlewem.

Brady idzie na górę do jej pokoju. Odchyła kołdrę, odsłania jej bladą twarz i gniewnie wytrzeszczone oczy. Teraz już się nimi nie przejmuje, i co z tego, że pan Beeson to wścibski staruch? Brady musi zachować pozory jeszcze tylko przez parę dni, więc pieprzyć pana Beesona. I pieprzyć jej gniewne spojrzenie. Nie zabił jej; sama się zabiła. Tłusty eksplinarz też miał się zabić, i co z tego, że się nie zabił? Teraz już po nim, więc pieprzyć tłustego eksplinarza. Ten Det. jest definitywnie w stanie spoczynku. Spoczywaj w pokoju, Det. Em. Hodges.

– Zrobiłem to, mamó – mówi. – Załatwiłem to. A ty pomogłaś. Tylko w mojej głowie, ale...

Ale nie jest tego całkiem pewien. Może naprawdę to mama przypomniała mu, żeby zamknąć z powrotem samochód tłustego eksplinarza. Wcale o tym nie myślał.

– W każdym razie dzięki – kończy kulawo. – Dzięki za wszystko. I żałuję, że nie żyjesz. Jej oczy przeszywają go wściekłym spojrzeniem.

Wyciąga rękę – niepewnie – i czubkami palców je zamyka, jak czasami robią na filmach. Działa przez kilka sekund, potem powieki znowu się unoszą jak stare zużyte rolety i powraca gniewny wzrok. Wzrok, który mówi: „Zabiłeś mnie, cukiereczku”.

Ten wzrok psuje całą przyjemność i Brady naciąga kołdrę z powrotem na jej twarz. Schodzi na dół i włącza telewizor, myśląc, że przynajmniej któraś z lokalnych stacji będzie nadawała z miejsca wypadku, ale nic nie ma. To bardzo irytujące. Czy oni nie potrafią rozpoznać bomby w samochodzie, kiedy wybuchnie im w twarz? Widocznie nie. Widocznie ważniejsza jest Rachel Ray przygotowująca swój ulubiony pieprzony klops.

Wyłącza głupie pudło i spieszy do centrum kontroli. Mówi „chaos”, żeby uruchomić komputery, i „ciemność”, żeby zdezaktywować program samobójczy. Wykonuje krótki taniec shuffle, potrząsając pięściami nad głową i wyśpiewując tyle, ile pamięta z *Ding-dong, zła czarownica nie żyje*, tylko zamienia „czarownicę” na „gliniarza”. Myśli, że lepiej się poczuje, ale nic z tego. Najpierw wścibski nos pana Beesona, potem gniewne spojrzenie matki sprawiają, że jego dobre samopoczucie – na które zapracował, na które zasłużył! – rozmywa się bez śladu.

Nie szkodzi. Koncert jest za osiemdziesiąt godzin i trzeba się przygotować. Brady siada przy długim stole warsztatowym. Stalowe kulki łożyskowe, przedtem ukryte w samobójczej kamizelce, zostały przesypane do trzech słoików po majonezie. Obok leży pudełko plastikowych zamykanych torebek do przechowywania żywności, czterolitrowych. Brady zaczyna je napełniać

(ale nie do końca) stalowymi kulkami. Praca go uspokaja i dobre samopoczucie stopniowo powraca. Potem, kiedy już kończy, rozlega się gwizdek parowca.

Brady podnosi wzrok, marszcząc brwi. To specjalny sygnał, który zaprogramował w Numerze Trzy. Odzywa się, kiedy przychodzi wiadomość w witrynie Pod Niebieskim Parasolem, ale to niemożliwe. Jediną osobą, z którą Brady kontaktuje się Pod Niebieskim Parasolem, jest Kermit William Hodges, czyli tłusty eksplinierz, czyli definitywnie emerytowany Det.

Brady podjeżdża z fotelem na kółkach, przebierając stopami po podłodze, i patrzy na Numer Trzy. Ikona Niebieskiego Parasola pokazuje teraz „1” w czerwonym kółeczku. Brady klika na nie. Gapi się z wytrzeszczonymi oczami i z otwartymi ustami na wiadomość na ekranie.

kermitzaba19 chce z tobą rozmawiać!

Czy chcesz rozmawiać z kermitzaba19?

T N

Brady wolałby wierzyć, że tę wiadomość wysłano zeszłego wieczoru albo dzisiaj rano, zanim Hodges i blond laska wyszli z domu, ale nie może. Właśnie usłyszał, jak nadeszła.

Zbierając odwagę – ponieważ to znacznie straszniejsze niż spoglądanie w martwe oczy matki – klika „T” i czyta:

Spudłowałeś.

☺

I zapamiętaj sobie, gnojku: jestem jak twoje boczne lusterko. No wiesz, PRZEDMIOTY SĄ BLIŻEJ, NIŻ SIĘ WYDAJE.

Wiem, jak się dostałeś do jej mercedesa, wcale nie za pomocą kluczyka parkingowego. Ale uwierzyłeś, że tak myślałem, co? No jasne. Bo jesteś dupkiem.

Mam listę wszystkich pozostałych samochodów, do których się włamałeś w latach 2007–2009.

Mam też inne informacje, które na razie zachowam dla siebie, ale jedną ci zdradzę: pisze się SPRAWCA, nie SPRAFCA.

Dlaczego ci to mówię? Bo już nie zamierzam cię złapać i wydać glinom. Niby po co? Nie jestem już gliniarzem.

Zamierzam cię zabić.

Do zobaczenia niedługo, maminsynku.

Nawet zaszokowany i niedowierzający, Brady wciąż wraca oczami do ostatniej linijki.

Podchodzi do komórki na sztywnych nogach. Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi, wrzeszczy i wali pięściami w półki. Zamiast psa czarnuchów zabił własną matkę. Źle się stało. Teraz zamiast gliniarza zabił kogoś innego, a to jeszcze gorzej. Pewnie tę blond dziwkę. Blond dziwkę noszącą kapelusz należący do Det. Em. z jakichś dziwacznych powodów, które tylko inna blondynka mogłaby zrozumieć.

Jednego jest pewien: ten dom przestał być bezpieczny. Hodges pewnie z nim pogrywa, że jest blisko, ale może nie. Wie o Gadźecie Dwa. Wie o włamaniach do samochodów. Twierdzi, że wie też inne rzeczy. I...

„Do zobaczenia niedługo, maminsynku”.

Brady musi się stąd wynosić. Szybko. Ale najpierw musi coś zrobić.

Idzie na górę do sypialni matki. Prawie nie patrzy na kształt pod kołdrą. Wchodzi do łazienki i grzebie w szufladach toaletki, aż znajduje damską elektryczną golarkę. Potem wraca do pracy.

Hodges znowu siedzi w pokoju przesłuchań numer 4 – PP4, jego szczęśliwy pokój – ale tym razem po niewłaściwej stronie stołu, naprzeciwko Pete’a Huntleya i nowej partnerki Pete’a, wystrzałowej laski z długimi rudymi włosami i oczami koloru mgły. Przesłuchanie jest koleżeńskie, ale to nie zmienia podstawowych faktów: jego samochód wyleciał w powietrze i zginęła kobieta. Kolejnym faktem jest, że przesłuchanie to przesłuchanie.

– Czy to miało coś wspólnego z Zabójcą z Mercedesa? – pyta Pete. – Jak myślisz, Bill? To najbardziej prawdopodobne, nie uważasz? Skoro ofiara była siostrą Olivii Trelawney.

No i jest: ofiara. Kobieta, z którą spał na tym etapie życia, kiedy myślał, że już nigdy nie prześpi się z żadną kobietą. Kobieta, która go rozśmieszała i pocieszała, kobieta, która była jego partnerką w ostatnim dochodzeniu, nie gorszą od Pete’a Huntleya. Kobieta, która marszczyła nos i wykpiwała jego „taa”.

„Żeby nigdy nie słyszał, że nazywasz ich ofiarami”, powiedział mu Frank Sledge w dawnych czasach... ale teraz musi to znieść.

– Nie bardzo widzę taką możliwość – odpowiada łagodnie. – Wiem, jak to wygląda, ale czasami cygaro to tylko cygaro, a zbieg okoliczności to zbieg okoliczności.

– Jak ty... – zaczyna Isabelle Jaynes, potem kręci głową. – Złe pytanie. Dlaczego ją poznałeś? Czy prowadziłeś własne śledztwo w sprawie City Center? – Nie mówi, że odstawiał wuja na całego, może z szacunku dla Pete’a. Ostatecznie przesłuchiwany to stary kumpel Pete’a, ten gruby facet w pogniecionych spodniach od garnituru i białej koszuli poplamionej krwią, z krawatem, który założył rano, teraz opuszczonym do połowy szerokiej klatki piersiowej.

– Czy mogę dostać szklankę wody, zanim zaczniemy? Ciągle jestem wstrząśnięty. To była miła kobieta.

Janey była kimś znacznie więcej, ale zimna część jego umysłu, która – na razie – zamknęła gorącą część w klatce, podpowiada mu, że to właściwa droga, która zaprowadzi do reszty jego historii, jak wąski zjazd prowadzi do czteropasmowej autostrady. Pete wstaje i wychodzi. Isabelle nie odzywa się ani słowem do jego powrotu, tylko przygląda się Hodgesowi tymi szarymi nieprzeniknionymi oczami.

Hodges wypija jednym haustem połowę zawartości papierowego kubka, potem mówi:

– Okay. To się zaczęło od tamtego naszego lunchu w DeMasio, Pete. Pamiętasz?

– Jasne.

– Pytałem cię o wszystkie sprawy, nad którymi pracowaliśmy... to znaczy te duże... kiedy odszedłem na emeryturę, ale tak naprawdę interesowała mnie masakra w City Center. Chyba o tym wiedziałeś.

Pete milczy, uśmiecha się lekko.

– Pamiętasz, spytałem, czy kiedyś się zastanawiałeś nad panią Trelawney. Zwłaszcza nad tym, czy mówiła prawdę, że nie miała zapasowego kluczyka.

– Uhum.

– Tak naprawdę zastanawiałem się, czy potraktowaliśmy ją sprawiedliwie. Czy nie nosiliśmy kłapek na oczach dlatego, że ona była taka, jaka była.

– To znaczy jaka była? – pyta Isabelle.

– Upięrdliwa. Nerwowa, wyniosła i obraźliwa. Żeby spojrzeć z trochę innej perspektywy, wystarczy pomyśleć o tych wszystkich ludziach, którzy uwierzyli Donaldowi Davisowi, kiedy twierdził, że jest niewinny. Dlaczego? Bo nie był nerwowy, wyniosły ani obraźliwy. Naprawdę potrafił odgrywać zrozpaczonego męża w żałobie. I był przystojny. Widziałem go raz na Kanale Szóstym i ta ładna blond prezenterka dosłownie pocierała o siebie

nogami.

– To obrzydliwe – mówi Isabelle, ale mówi to z uśmiechem.

– Taa, ale prawdziwe. Był sympatyczny. Natomiast Olivia Trelawney była antypatyczna. Więc zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle daliśmy jej szansę.

– Daliśmy – odpowiada stanowczo Pete.

– Może tak. W każdym razie jestem na emeryturze, mam dużo wolnego czasu. Za dużo. I pewnego dnia... zanim cię zaprosiłem na lunch, Pete... mówię sobie: Założmy, że ona powiedziała prawdę. Jeśli tak, gdzie był drugi klucz? A potem... zaraz po lunchu... wszedłem do internetu i zacząłem grzebać. I wiecie, co znalazłem? Technosztuczkę, która się nazywa „kradzież pisku”.

– Co to znaczy? – pyta Isabelle.

– O rany – mówi Pete. – Naprawdę myślisz, że jakiś komputerowy geniusz ukradł jej sygnał kluczyka? A potem przypadkiem znalazł zapasowy klucz w schowku albo pod fotelem? Zapasowy klucz, o którym zapomniała? To bardzo naciągane, Bill. Zwłaszcza jeśli wiesz, że zdjęcie tej kobiety mogło trafić do słownika obok hasła Typ A.

Spokojnie, jakby niecałe trzy godziny wcześniej nie nakrył marynarką oberwanego ramienia kobiety, którą kochał, Hodges streszcza, co Jerome znalazł o kradzieżach pisku, przedstawiając to jako własne poszukiwania. Mówi, że pojechał do apartamentowca na Lake Avenue, żeby porozmawiać z matką Olivii Trelawney („Miałem nadzieję, że jeszcze żyje... nie wiedziałem tego na pewno”), i odkrył, że mieszka tam siostra Olivii, Janelle. Przemilcza swoją wizytę w rezydencji w Sugar Heights i rozmowę z Radneyem Peeplesem, ochroniarzem z Czujnej Straży, ponieważ to mogłoby doprowadzić do pytań, na które żądałby odpowiedzi. Prędzej czy później do tego dojdą, ale on jest już blisko Pana Mercedesa, wie, że tak. Potrzebuje tylko trochę czasu.

Ma nadzieję.

– Pani Patterson powiedziała mi, że jej matka jest w domu opieki jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd... Sunny Acres. Zaproponowała, że mnie tam zawiezie i przedstawi. Żebym mógł zadać parę pytań.

– Dlaczego chciała to zrobić? – pyta Isabelle.

– Bo uważała, że mogliśmy prześladować jej siostrę, co ją doprowadziło do samobójstwa.

– Bzdura – oświadcza Pete.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić, ale rozumiesz ten tok myślenia? I nadzieję, że oczyści siostrę z oskarżenia o zaniedbanie?

Pete gestem daje znak, żeby kontynuował. Hodges wypija resztę wody i mówi dalej. Chce się stąd wydostać. Pan Mercedes pewnie już przeczytał wiadomość wysłaną przez Jerome'a. Jeśli tak, mógł uciec. Hodgesowi to odpowiada. Uciekającego człowieka łatwiej namierzyć niż takiego, który się ukrywa.

– Przesłuchałem starszą panią i niczego nie uzyskałem. Tyle że ją zdenerwowałem. Miała udar i zmarła wkrótce potem. – Wzdycha. – Pani Patterson... Janelle... była zrozpaczona.

– Czy była też wściekła na ciebie? – pyta Isabelle.

– Nie. Bo to był również jej pomysł. Potem, po śmierci matki, powiedziała, że nie zna nikogo w mieście oprócz dawnej pielęgniarki matki, która też już ma swoje lata. Dałem jej mój numer i zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że potrzebuje pomocy, zwłaszcza z bandą krewnych, którzy przylatują na pogrzeb, a ja chętnie się zgodziłem. Janelle napisała nekrolog. Ja załatwiłem inne sprawy.

– Dlaczego była w twoim samochodzie, kiedy wybuchnął?

Hodges wyjaśnia załamanie Holly. Nie wspomina, że Janey w ostatniej chwili

przywłaszczyła sobie jego kapelusz, nie dlatego, że to podważy jego historyjkę, ale dlatego, że za bardzo boli.

– Okay – mówi Isabelle. – Poznałeś siostrę Olivii Trelawney, którą polubiłeś dostatecznie, żeby się do niej zwracać po imieniu. Siostra ułatwia przesłuchanie matki. Mama dostaje udaru i umiera, może dlatego, że przeżywanie tego wszystkiego jeszcze raz za bardzo ją poruszyło. Siostra ginie w wybuchu po pogrzebie... w twoim samochodzie... i nadal nie widzisz związku z Zabójcą z Mercedesa?

Hodges rozkłada ręce.

– Skąd ten facet wiedział, że zadawałem pytania? Nie ogłaszałem się w gazecie. – Odwraca się do Pete'a. – Z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z tobą.

Pete, wciąż rozważający możliwość, że jego osobista niechęć do Olivii Trelawney mogła wpłynąć na śledztwo, ma kwaśną minę. Hodges się tym nie przejmuje, bo przecież właśnie tak było.

– Nie, tylko sondowałeś mnie w tej sprawie przy lunchu.

Hodges obdarza go szerokim uśmiechem. Od tego żołądek mu się składa jak origami.

– Hej – mówi – w końcu ja stawiałem.

– Kto jeszcze chciałby cię wysłać do aniołków? – pyta Isabelle. – Jesteś na czarnej liście Świętego Mikołaja?

– Gdybym miał zgadywać, stawiałbym na rodzinę Abbascia. Ilu tych gnojzków zapudłowaliśmy w sprawie z bronią w dwa tysiące czwartym, Pete?

– Tuzin albo więcej, ale...

– Taa, i rok później dwa razy tyle na podstawie RICO^[15]. Roznieśliśmy ich na strzępy i Fabby Nosal zagroził, że załatwią nas obu.

– Billy, Abbascia nikogo nie mogą załatwić. Fabrizio nie żyje, jego brat jest w domu wariatów i uważa się za Napoleona czy kogoś takiego, a reszta siedzi.

Hodges tylko na niego patrzy.

– Okay – mówi Pete – nigdy nie wyłapiesz wszystkich karaluchów, ale to bzdura. Z całym szacunkiem, kolego, jesteś tylko starym, emerytowanym platfusem. Na zielonej trawce.

– Racja. Co znaczy, że mogą mnie stuknąć, nie wywołując burzy ogniowej. Natomiast ty ciągle nosisz złotą odznakę przypiętą w portfelu.

– Ten pomysł jest śmieszny – oświadcza Isabelle i krzyżuje ramiona na piersiach, jakby dawała do zrozumienia: Koniec dyskusji.

Hodges wzrusza ramionami.

– Ktoś podłożył mi bombę i nie wierzę, że Zabójca z Mercedesa wyczuł pozazmysłową percepcją, że badam Sprawę Brakującego Kluczyka. Nawet gdyby wyczuł, po co miałby mnie prześladować? Jak to mogłoby do niego doprowadzić?

– No, on jest stuknięty – mówi Pete. – Co powiesz na takie wyjaśnienie?

– Jasne, ale powtarzam: skąd mógł wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Słuchaj, Billy, czy ty coś ukrywasz? Cokolwiek?

– Nie.

– Myślę, że tak – wtrąca Isabelle. Przechyla głowę. – Hej, chyba z nią nie spałeś, co?

Hodges przenosi na nią spojrzenie.

– A jak myślisz, Izzy? Popatrz na mnie.

Ona przez chwilę wytrzymuje jego spojrzenie, potem spuszcza oczy. Hodges nie może uwierzyć, jak blisko trafiła. Kobięca intuicja, myśli, a potem: Chyba dobrze, że bardziej nie schudłem i że nie nałożyłem tego odsiwiającego gówna Just For Men na włosy.

– Słuchaj, Pete, chcę się zmyć. Iść do domu, wypić piwo i spróbować to sobie ułożyć

w głowie.

– Przysięgasz, że niczego nie zataiłeś? Teraz tylko między nami.

Hodges marnuje ostatnią szansę, żeby wyjść na czysto bez wyrzutów sumienia.

– Nic a nic.

Pete chce, żeby byli w kontakcie; wezwą go jutro albo w piątek, żeby złożył formalne zeznanie.

– Nie ma problemu. I wiesz co, Pete? Dobrze ci radzę, przez jakiś czas oglądaj dokładnie swój samochód, zanim do niego wsiądziesz.

Przy drzwiach Pete obejmuje go ramieniem i ściska.

– Przykro mi – mówi. – Z powodu tego, co się stało, i tych wszystkich pytań.

– W porządku. To twoja praca.

Pete zacieśnia uścisk i szepcze do ucha Hodgesa:

– Jednak coś ukrywasz. Myślisz, że się nałykałem pigułek głupoty?

Przez chwilę Hodges jeszcze raz rozważa swoje opcje. Potem przypomina sobie słowa Janey: „On jest nasz”.

Bierze Pete’a za ramiona, patrzy mu prosto w oczy i mówi:

– Wiem nie więcej od ciebie. Uwierz mi.

Hodges przechodzi przez salę dochodzeniówki, z kamienną twarzą odpierając ciekawskie spojrzenia i podchwytliwe pytania. Robi tylko jeden wyjątek. Cassie Sheen, z którą najczęściej pracował podczas urlopów Pete'a, mówi:

– Patrzcie tylko na niego. Wciąż żywy i jeszcze paskudniejszy.

Hodges się uśmiecha.

– Toż to Cassie Sheen, królowa botoksu. – Na niby zasłania się ręką, kiedy ona bierze z biurka przycisk do papieru i zamierza się na niego. To wszystko wydaje się jednocześnie sztuczne i prawdziwe. Jak te bójkki dziewczyn w popołudniowej telewizji.

W korytarzu obok automatów z napojami i przekąskami stoi rząd krzesel. Siedzą tam ciotka Charlotte i wuj Henry. Holly z nimi nie ma i Hodges odruchowo dotyka futerału na okulary w kieszeni spodni. Pyta wuja Henry'ego, czy czuje się lepiej. Wuj Henry odpowiada, że tak, i dziękuje mu. Hodges pyta ciotkę Charlotte, jak się czuje.

– Nic mi nie jest. Martwię się tylko o Holly. Myślę, że się obwinia, bo przez nią... no wie pan.

Hodges wie. Przez nią Janey prowadziła jego samochód. Oczywiście Janey i tak by z nim jechała, ale wątpi, czy to jakaś pociecha dla Holly.

– Chciałabym, żeby pan z nią porozmawiał. Chyba coś was łączy. – W jej oczach pojawia się nieprzyjemny błysk. – Tak jak coś pana łączyło z Janelle. Widocznie ma pan w sobie coś takiego.

– Porozmawiam – obiecuje Hodges i zamierza dotrzymać słowa, ale najpierw porozmawia z nią Jerome. Zakładając, że numer na futerale okaże się prawidłowy. Równie dobrze to może być numer stacjonarnego telefonu... gdzie? W Cincinnati? Cleveland?

– Mam nadzieję, że nie każą nam jej zidentyfikować – mówi wuj Henry. W ręku trzyma styropianowy kubek z kawą. Ledwie jej tknął i Hodgesa to nie dziwi. Kawa w komendzie ma złą sławę. – Jak byśmy mogli? Rozerwało ją na kawałki.

– Nie bądź idiotą – karci go ciotka Charlotte. – Nie zażądają tego od nas. Nie mogą.

Hodges mówi:

– Jeśli kiedyś zdjęto jej odciski palców... wielu ludziom zdjęto... załatwią to w ten sposób. Może pokażą wam fotografie jej ubrania albo osobistą biżuterię.

– Skąd mamy wiedzieć, jaką biżuterię nosiła?! – woła ciotka Charlotte. Gliniarz kupujący napój gazowany ogląda się na nią. – I ledwie zauważyłam, jak była ubrana!

Hodges przypuszcza, że wyceniła każdy szew na ubraniu Janey, jednak nie komentuje.

– Mogą pytać o inne rzeczy. – O niego. – To nie potrwa długo.

Jest winda, ale Hodges wybiera schody. Na podeście pół piętra niżej opiera się o ścianę z zamkniętymi oczami i bierze kilka głębokich, drżących oddechów. Teraz napływają łzy. Ociera je rękawem. Ciotka Charlotte wyraziła troskę o Holly – troskę, którą Hodges podziela – lecz wcale nie pożałowała swojej rozerwanej na kawałki siostrzenicy. Przypuszcza, że w tej chwili ciotka Charlotte troszczy się głównie o to, co się stanie z tymi wszystkimi ślicznymi pieniżkami, które Janey odziedziczyła po siostrze.

Mam nadzieję, że je zapisała jakiemuś cholernemu szpitalowi dla psów, myśli.

Siada ze stęknieniem. Kładzie na stopniu jak na zaimprovizowanym biurku etui na okulary i wyjmuje z portfela zmiętą kartkę z dwoma szeregami cyfr.

- Halo? – Głos jest cichy, niepewny. – Halo, kto mówi?
- Nazywam się Jerome Robinson, psze pani. Bill Hodges chyba uprzedził, że do pani zadzwonię.
- Milczenie.
- Psze pani? – Jerome siedzi przy komputerze i ściska smartfona tak mocno, że obudowa mało nie pęknie. – Panno Gibney?
- Jestem. – To prawie westchnienie. – Powiedział, że chce złapać tego, kto zabił moją kuzynkę. Był okropny wybuch.
- Wiem – mówi Jerome. Po drugiej stronie korytarza Barb puszcza po raz tysięczny swoją nową płytę 'Round Here. *Pocalunki w lunaparku*, taki ma tytuł. Jeszcze nie doprowadziła go do szału, ale przy każdym kolejnym odtworzeniu coraz mniej mu brakuje.
- Tymczasem kobieta na drugim końcu linii zaczyna płakać.
- Psze pani? Panno Gibney? Bardzo współczuję z powodu pani straty.
- Prawie jej nie znałam, ale była moją kuzynką i była dla mnie miła. Tak samo pan Hodges. Wie pan, o co mnie zapytał?
- Nie.
- Czy jadłam śniadanie. Ładnie z jego strony, prawda?
- Bardzo ładnie – przyznaje Jerome. Ciągle nie może uwierzyć, że ta energiczna, pełna życia kobieta, z którą jadł kolację, jest martwa. Pamięta, jak jej oczy błyszczały, kiedy się śmiała, i jak przedrzeźniała Billa z tym jego „taa”. Teraz rozmawia przez telefon z całkiem obcą kobietą, bardzo dziwną kobietą, sądząc po głosie. Rozmowa z nią przypomina rozbrajanie bomby. – Psze pani, Bill prosił mnie, żebym do pani przyjechał.
- Czy on przyjedzie z panem?
- Teraz nie może. Ma inne rzeczy do zrobienia.
- Znowu milczenie, a potem, tak cicho i nieśmiało, że ledwie ją słyszeć, Holly pyta:
- Czy nic mi nie grozi z pana strony? Boja się boję ludzi, wie pan. Bardzo się boję.
- Nic pani nie grozi, psze pani.
- Chcę pomóc panu Hodgesowi. Chcę pomóc złapać tego, kto to zrobił. To jakiś szaleniec, nie uważa pan?
- Tak – odpowiada Jerome.
- Po drugiej stronie korytarza zaczyna się następna piosenka i dwie dziewczynki – Barbara i jej przyjaciółka Hilda – wydają radosne piski niemal dostatecznie wysokie, żeby rozbijać szkło. Jerome myśli o trzech czy czterech tysiącach Barbar i Hild piszczących unisono jutro wieczorem i dziękuje Bogu, że jego matka wzięła na siebie obowiązek opieki nad nimi podczas koncertu.
- Może pan przyjechać, ale nie wiem, jak pana wpuścić – mówi Holly. – Mój wujek Henry włączył alarm, kiedy wychodził, a ja nie znam kodu. Bramę też chyba zamknął.
- To jest załatwione – zapewnia Jerome.
- Kiedy pan przyjedzie?
- Mogę być za pół godziny.
- Jeśli pan będzie rozmawiał z panem Hodgesem, przekaże mu pan coś ode mnie?
- Jasne.
- Proszę mu powiedzieć, że też mi smutno. – Robi przerwę. – I że biorę lexapro.

Później tego środowego popołudnia Brady melduje się w ogromnym Motelu 6 w pobliżu lotniska, posługując się jedną z kart kredytowych na nazwisko Ralpa Jonesa. Ma walizkę i plecak. Do plecaka zapakował jedną zmianę ubrania, bo tylko tyle potrzebuje na te parę godzin życia, które mu zostały. W walizce jest poduszka z nadrukiem DUPOPARKING, worek na mocz Urinesta, oprawione zdjęcie, kilka domowej roboty przełączników detonatorów (potrzebuje tylko jednego, ale zawsze lepiej się zabezpieczyć), Gadżet Dwa, kilka plastikowych torebek z kulkami łożyskowymi i dostatecznie dużo wybuchowego plastiku, żeby wysadzić w powietrze cały motel razem z przyległym parkingiem. Wraca do swojego subaru, wyciąga większy przedmiot (z pewnym wysiłkiem; ledwie się zmieścił), zanosí go do pokoju i opiera o ścianę.

Kładzie się na łóżku. Dziwnie czuje głowę na poduszce. Nago. I jakoś seksownie. Długo miałem pecha, myśli, ale go pokonałem i przetrwałem. Zamyka oczy. Wkrótce chrapie.

Jerome parkuje swojego wranglera, dotykając maską zamkniętej bramy pod numerem 729 na Lilac Drive, wysiada i naciska guzik domofonu. Może podać powód wizyty, gdyby zatrzymał go patrol ochrony z Sugar Heights, ale kobieta w środku musiałaby to potwierdzić, a on nie wie, czy może na nią liczyć. Wcześniejsza rozmowa z tą panią sugerowała, że brak jej piątej klepki. Tak czy siak, nikt go nie niepokoi. Jerome stoi przez parę chwil i stara się wyglądać, jakby tu przynależał – przy takich okazjach czuje się wyjątkowo czarny – i wreszcie Holly się odzywa.

– Tak? Kto tam?

– Jerome, panno Gibney. Przyjaciel Billa Hodgesa.

Po pauzie tak długiej, że chciał już ponownie nacisnąć guzik, ona pyta:

– Ma pan kod do bramy?

– Tak.

– W porządku. I skoro jesteś przyjacielem pana Hodgesa, chyba możesz mi mówić Holly. Jerome wstukuje kod i brama się otwiera. Wjeżdża i patrzy, jak brama się za nim zamyka.

Na razie idzie dobrze.

Holly stoi za drzwiami, wyglądając przez jedno z bocznych okienek niczym więzień w strefie odwiedzin o podwyższonym bezpieczeństwie. Ma na sobie szlafrok zarzucony na piżamę i włosy w nieładzie. Przez głowę Jerome'a przelatuje krótki, koszmarny scenariusz: ona naciska guzik zagrożenia na panelu alarmu (który prawie na pewno jest obok niej) i kiedy przyjeżdża ochrona, ona go oskarża, że jest włamywaczem. Albo niedoszłym gwałcicielem z fetyszem flanelowej piżamy.

Drzwi są zamknięte. Jerome na nie pokazuje. Przez chwilę Holly stoi nieruchomo jak robot z rozładowaną baterią. Potem przekręca uchwyt zamka. Kiedy chłopak otwiera drzwi, rozlega się przenikliwy, piskliwy dźwięk. Holly robi parę kroków do tyłu, zakrywając usta obiema rękami.

– Nie wpakuj mnie w kłopoty! Nie chcę mieć kłopotów!

Jest dwa razy bardziej zdenerwowana niż on i to go uspokaja.

Jerome wstukuje kod na panelu alarmu i naciska ZABEZPIECZONE. Piszczenie ustaje.

Holly opada na ozdobnie rzeźbione krzesło, które wygląda tak, jakby kosztowało dostatecznie dużo, żeby opłacić rok dobrego college'u (choć może nie Harvardu), włosy zwisają jej wokół twarzy wilgotnymi pasmami.

– Och, to był najgorszy dzień mojego życia – mówi. – Biedna, biedna Janey.

– Przykro mi.

– Ale przynajmniej to nie moja wina. – Patrzy na niego ze słabym, żalonym wyzwaniem.

– Nikt nie może powiedzieć, że to przeze mnie. Ja nic nie zrobiłam.

– Oczywiście, że nie – przyświadcza Jerome.

To brzmi trochę sztywno, ale ona się uśmiecha, więc chyba jest w porządku.

– Czy pan Hodges dobrze się czuje? To bardzo, bardzo, bardzo miły człowiek. Chociaż moja matka go nie lubi. – Wzrusza ramionami. – Ale kogo ona lubi?

– Nic mu nie jest – zapewnia Jerome, chociaż w to wątpi.

– Jesteś czarny – zauważa Holly, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

Jerome spuszcza wzrok na swoje ręce.

– O, rzeczywiście.

Holly wybucha ostrym, piskliwym śmiechem.

– Przepraszam. To było niegrzeczne. Nie szkodzi, że jesteś czarny.

– Czarne jest fajne – mówi Jerome.

– Oczywiście. Bardzo fajne. – Wstaje, przygryza dolną wargę, potem wyciąga rękę z widocznym wysiłkiem woli. – Podajmy sobie ręce, Jerome.

Wymieniają uścisk dłoni. Jej dłoń jest zimna i wilgotna. Jakby ścisnął łapkę małego, płochliwego zwierzątka.

– Musimy się pospieszyć. Jeśli moja matka i wujek Henry przyłapią cię tutaj, będę miała kłopoty.

Ty? – myśli Jerome. A co z czarnym chłopakiem?

– Kobieta, która tu mieszkała, też była twoją kuzynką, prawda?

– Tak. Olivia Trelawney. Nie widziałam jej od czasu studiów. Nigdy się nie dogadywały z moją matką. – Patrzy na niego poważnie. – Musiałam rzucić studia. Miałam problemy.

Jerome wierzy, że miała. I ma nadal. Jednak ją lubi. Bóg wie dlaczego. Z pewnością nie za ten śmiech, jakby ktoś skrobał paznokciami po tablicy.

– Wiesz, gdzie jest jej komputer?

– Tak. Pokażę ci. Możesz się pospieszyć?

Powinienem, myśli Jerome.

Komputer zmarłej Olivii Trelawney jest chroniony hasłem, dość głupio, bo kiedy Jerome odwraca klawiaturę, widzi wypisane markerem OTRELAW.

Holly stoi w drzwiach i nerwowo szarpie kołnierz szlafroka. Mamrocze pod nosem coś, czego Jerome nie słyszy.

– He?

– Pytałam, czego szukasz.

– Powiem ci, jeśli znajdę.

Otwiera findera i wpisuje w pole wyszukiwania PŁACZĄCE NIEMOWLĘ. Brak wyników. Próbuje PŁACZĄCE DZIECKO. Nic. Próbuje KRZYK KOBIEITY. Nic.

– Może być ukryte. – Tym razem słyszy ją wyraźnie, bo jej głos rozlega się tuż nad uchem. Podskakuje, ale ona nic nie zauważa. Nachyliła się z rękami opartymi na okrytych szlafrokiem kolanach i wpatruje się w monitor Olivii. – Spróbuj PLIKI AUDIO.

To całkiem dobry pomysł, więc Jerome próbuje. Bez rezultatu.

– Okay – mówi Holly – idź do USTAWIENIA SYSTEMU i poszukaj DŹWIĘK.

– Holly, to tylko kontroluje wejścia i wyjścia. Takie rzeczy.

– Co ty powiesz! I tak spróbuj. – Przestała przygryzać wargę.

Jerome próbuje. W menu wyjścia ma do wyboru GŁOŚNIKI, SŁUCHAWKI i STEROWNIK DŹWIĘKU. W wejściu jest MIKROFON WEWNĘTRZNY i WEJŚCIE LINE IN. Nic, czego się nie spodziewał.

– Jakies inne pomysły? – pyta ją.

– Otwórz EFEKTY DŹWIĘKOWE. Tam z lewej strony.

On odwraca się do niej.

– Hej, znasz się na tym, co?

– Zrobiłam kurs komputerowy. W domu. Przez Skype'a. To było ciekawe. No, zajrzyj do EFEKTÓW DŹWIĘKOWYCH.

Jerome zagląda i mruga na widok zawartości. Oprócz ŻABY, SZKŁA, PING, POP I MRRR – zwykłych podejrzanych – jest też pozycja o nazwie DUCHY.

– Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego.

– Ani ja. – Nadal nie patrzy mu w oczy, ale poza tym jej zachowanie zmieniło się diametralnie. Przysuwa sobie krzesło i siada obok niego. Odgarnia proste włosy za uszy. – A znam programy maca na wylot.

– Nie gadaj – mówi Jerome i podnosi rękę.

Wciąż patrząc na ekran, Holly przybija mu piątkę.

– Zagraj to, Sam.

On szczyrzy zęby.

– *Casablanca*.

– Tak. Widziałam ten film dwadzieścia trzy razy. Mam notatnik filmowy. Zapisuję wszystko, co oglądam. Matka twierdzi, że to obsesyjno-kompulsywne.

– Życie jest obsesyjno-kompulsywne – mówi Jerome.

Holly odpowiada bez uśmiechu:

– Nie gadaj.

Jerome zaznacza DUCHY i stuka w klawisz akceptacji. Z głośników stereo po obu stronach komputera Olivii rozlega się płacz niemowlęcia. Holly to wytrzymuje; nie chwytając Jerome'a za ramię, dopóki jakaś kobieta nie wrzaśnie: „Dlaczego mu pozwoliłaś zamordować moje dziecko?!”.

– Kurwa! – rzuca Jerome i chwyta rękę Holly. Nawet o tym nie myśli, a ona się nie wrywa. Gapią się na komputer, jakby mu wyrosły kły i pazury.

Następuje chwila ciszy, potem niemowlę znowu zaczyna płakać. Kobieta znowu krzyczy. Program przewija się po raz trzeci i dobiega końca.

Holly wreszcie patrzy prosto na Jerome'a, oczy ma otwarte tak szeroko, że o mało nie wypadną z głowy.

– Wiedziałeś, że to się stanie?

– Jezu, nie. – Może przeczuwał, że coś odkryją, bo inaczej Bill by go tu nie przysłał, ale to?! – Możesz coś znaleźć o tym programie, Holly? Na przykład kiedy go zainstalowano? Jeśli nie możesz, nie szkoda...

– Posuń się.

Jerome jest dobry w komputerach, ale ona gra na klawiaturze jak na Steinwayu. Po kilku minutach poszukiwania mówi:

– Wygląda na to, że zainstalowano go pierwszego lipca zeszłego roku. Tamtego dnia zainstalowano sporo różnych rzeczy.

– Mógł być zaprogramowany, żeby się uruchamiać w określonych godzinach, tak?

Powtarzać się trzykrotnie i wyłączać?

Ona rzuca mu niecierpliwe spojrzenie.

– Oczywiście.

– Więc dlaczego już się nie uruchamia? Przecież tu nocujecie. Musielibyście to słyszeć.

Holly klika myszą jak szalona i pokazuje mu coś innego.

– Już to widziałam. To niewolniczy program, ukryty w jej kontaktach e-mailowych.

Załóżę się, że Olivia o nim nie wiedziała. Nazywa się Zwierciadło. Nie można go użyć, żeby włączyć komputer... przynajmniej tak myślę... ale jeśli jest włączony, można robić wszystko z własnego komputera. Otwierać pliki, czytać e-maile, przeglądać historię wyszukiwań... albo dezaktywować programy.

– Na przykład po jej śmierci – podsuwa Jerome.

– Uuch. – Holly się krzywi.

– Czemu facet, który to zainstalował, zostawił to w komputerze? Czemu tego całkiem nie usunął?

– Nie wiem. Może po prostu zapomniał. Ja wiecznie o czymś zapominam. Matka mówi, że zapomniałabym własnej głowy, gdybym jej nie miała przyrośniętej do szyi.

– Taa, moja też tak mówi. Ale kim on jest? O kim rozmawiamy?

Oboje się zastanawiają. Po jakichś pięciu sekundach odzywają się jednocześnie.

– Jej informatyk – rzuca Jerome.

– Jej komputerowiec – wtóruje mu Holly.

Jerome zaczyna przeglądać szuflady biurka komputerowego Olivii, szukając faktury za usługi informatyczne, rachunku ze stemplem ZAPŁACONE albo firmowej wizytówki. Powinna tam być przynajmniej jedna z tych rzeczy, ale nie ma nic. Jerome klęka i wpełza pod biurko. Tam też niczego nie znajduje.

– Zerknij na lodówkę – proponuje. – Czasami ludzie przyczepiają na drzwiach różne kartki, pod małymi magnesikami.

– Jest mnóstwo magnesów – odpowiada Holly – ale żadnych karteczek oprócz wizytówki agenta nieruchomości i firmy ochroniarskiej Czujna Straż. Chyba Janey zabrała wszystko inne. Pewnie wyrzuciła.

– Jest tu sejf?

– Pewnie tak, ale po co moja kuzynka miałaby trzymać wizytówkę informatyka w sejfie?

Przecież to nic cennego.

– Taa, racja – przyznaje Jerome.

– Gdyby tu była, to obok komputera. Olivia by jej nie chowała. W końcu napisała swoje hasło na odwrocie tej cholernej klawiatury.

– Bardzo głupio – stwierdza Jerome.

– Totalnie.

Holly nagle uświadamia sobie, jak są blisko. Wstaje i cofa się do drzwi. Znowu zaczyna szarpać kołnierz szlafroka.

– Co teraz zrobisz?

– Najlepiej zadzwonię do Billa.

Jerome wyjmuję komórkę, ale zanim zdąży wybrać numer, Holly wymawia jego imię.

Chłopak podnosi wzrok. Ona wciąż stoi w drzwiach i wygląda na zagubioną w swoim obszernym szlafroku.

– W tym mieście pewnie są miliony informatyków – mówi.

Wcale nie aż tylu, ale dużo. On to wie i Hodges to wie, bo Jerome mu o tym powiedział.

Hodges słucha uważnie wszystkiego, co Jerome ma do powiedzenia. Jest zadowolony, że chłopak pochwalił Holly (ma nadzieję, że ona też jest zadowolona, jeżeli słucha), ale gorzko rozczarowany, że żaden trop nie prowadzi do Komputerowego Jasia, który pracował przy sprzęcie Olivii. Zdaniem Jerome'a to dlatego, że Janey wyrzuciła wizytówkę Komputerowego Jasia. Hodges, przyzwyczajony do podejrzliwości, sądzi, że Pan Mercedes mógł się postarać, żeby Olivia nie miała żadnej wizytówki. Tylko że to się nie trzyma kupy. Przecież zawsze się prosi o wizytówkę, jeśli gość odwalił dobrą robotę. I trzyma się ją pod ręką. Chyba że...

Prosi Jerome'a, żeby przekazał telefon Holly.

– Halo? – odzywa się tak cicho, że ledwie ją słychać.

– Holly, czy w komputerze Olivii jest książka adresowa?

– Chwileczkę. – Słyszysz stłumione klikanie. Potem ona znowu się odzywa, zdziwiona: –

Nie.

– Czy to ci się nie wydaje dziwaczne?

– Tak, trochę.

– Czy facet, który podrzucił głosy duchów, mógł wykasować jej książkę adresową?

– Och, jasne. Z łatwością. Biorę lexapro, panie Hodges.

– To wspaniale, Holly. Możesz określić, jak często Olivia używała komputera?

– Jasne.

– Daj mi Jerome'a, kiedy będziesz sprawdzać.

Chłopak zgłasza się i przeprasza, że nie znaleźli więcej.

– Nie, nie, spisaliście się świetnie. Kiedy przeglądałeś jej biurko, nie znalazłeś notesu z adresami?

– Nie, ale wiele osób nie korzysta już z papierowych notesów... przechowują wszystkie kontakty w komputerach i telefonach. Wiesz o tym, prawda?

Hodges przypuszcza, że powinien wiedzieć, ale ostatnio świat pędzi za szybko jak dla niego. Nie potrafi nawet zaprogramować swojej nagrywarki.

– Zaczekaj, Holly chce znowu z tobą mówić.

– Ty i Holly dobrze się dogadujecie, co?

– Mamy sztamę. Daję ją.

– Olivia miała mnóstwo programów i ulubionych miejsc w sieci – mówi Holly. – Często korzystała z Hulu i Huffpo. A jej historia wyszukiwań... zdaje mi się, że spędzała na surfowaniu jeszcze więcej czasu ode mnie, a ja ciągle siedzę w sieci.

– Holly, dlaczego osoba naprawdę uzależniona od komputera nie ma pod ręką wizytówki serwisu?

– Bo facet się zakradł i ją zabrał po śmierci Olivii – szybko odpowiada Holly.

– Może, ale pomyśl o ryzyku... zwłaszcza kiedy miejscowa firma ochroniarska na wszystko uważa. Musiałby znać kod do bramy, kod alarmu przeciwwłamaniowego... i nawet wtedy potrzebowałby klucza do domu... – Urywa.

– Panie Hodges? Jest pan tam?

– Tak. I zacznij mi mówić Bill.

Ale ona nie chce. Albo nie może.

– Panie Hodges, czy on jest geniuszem zbrodni? Jak w Bondzie?

– Myślę, że jest po prostu stuknięty.

A ponieważ jest stuknięty, ryzyko się dla niego nie liczy. Pomyśleć, ile ryzykował w City Center, kiedy wjechał w tłum ludzi.

Jednak nadal coś tu nie pasuje.

– Daj mi jeszcze raz Jerome’a, dobrze?

Holly przekazuje telefon chłopakowi i Hodges mówi, że powinien już iść, zanim ciotka Charlotte i wujek Henry wrócą i przyłapią go na komputerowej randce z Holly.

– Co zamierzasz zrobić, Bill?

Hodges wygląda na ulicę, gdzie zmierzch zaczął nasycać kolory dnia. Zbliża się siódma.

– Przespać się z tym – odpowiada.

Zanim Hodges pójdzie do łóżka, spędza cztery godziny przed telewizorem, oglądając programy, które docierają do oczu, ale rozplywają się, zanim osiągną mózgu. Próbuje o niczym nie myśleć, bo w ten sposób otwiera się drzwi, przez które wchodzi właściwa koncepcja. Właściwa koncepcja zawsze pojawia się jako rezultat właściwego skojarzenia, a skojarzenie tylko czeka; on to czuje. Może więcej niż jedno. Nie dopuszcza Janey do swoich myśli. Później przyjdzie na to czas, ale na razie ona może tylko zablokować mu tryby w mózgu.

Kluczowe znaczenie ma komputer Olivii Trelawney. Wgrano do niego głosy duchów, a najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest jej informatyk. Więc czemu nie miała jego wizytówki? Mógł na odległość wykasować jej komputerową książkę adresową – i Hodges gotów się założyć, że to zrobił – ale czy naprawdę włamał się do domu w Sugar Heights po jej śmierci, żeby ukraść swoją cholerną firmową wizytówkę?

Dzwoni do niego reporter z gazety. Potem facet z Kanału Szóstego. Po trzecim telefonie od przedstawicieli mediów Hodges wyłącza aparat. Nie wie, kto wypaplał numer jego komórki, ale ma nadzieję, że dobrze mu zapłacili.

Coś jeszcze ciągle kołacze mu się po głowie, coś bez związku z czymkolwiek: „Ona myśli, że obcy żyją wśród nas”.

Zerknięcie w notatki odświeża mu pamięć i już wie, kto tak powiedział: pan Bowfinger, autor kartek z życzeniami. On i Bowfinger siedzieli na ogrodowych krzesłach i Hodges pamięta, że był wdzięczny za cień. To było wtedy, kiedy robił obchód sąsiadów i pytał, czy ktoś widział w okolicy podejrzany pojazd.

„Ona myśli, że obcy żyją wśród nas”.

Bowfinger mówił o pani Melbourne z naprzeciwka. Pani Melbourne, która należy do organizacji szurniętych ufologów o nazwie KKBZA, Krajowa Komisja Badania Zjawisk Atmosferycznych.

Hodges uznaje, że to po prostu zwyczajne echo, jak urywek popularnej melodii, który zaczyna krążyć w przeciążonym mózgu. Rozbiera się i kładzie do łóżka, a wtedy przychodzi Janey, marszczy nos i mówi „Taa”, i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Hodges dosłownie zasypia z płaczem.

Budzi się nad ranem w czwartek, idzie się wysikać, wraca do łóżka i nagle przystaje, szeroko otwierając oczy. To, czego szukał – skojarzenie – pojawia się wyraźnie jak słońce.

Nie fatygujesz się rozdawaniem wizytówek, jeśli nie musisz tego robić.

Powiedzmy, że ten facet nie był niezależny, nie prowadził własnej małej działalności, tylko pracował w firmie. Jeśli tak, w razie potrzeby zawsze można było do niego zadzwonić na numer firmowy, łatwy do zapamiętania, na przykład 555-9999 albo składający się z cyfr, którym odpowiadają litery tworzące słowo KOMPUTER.

Jeśli pracował w firmie, mógł jeździć na naprawy do klientów firmowym samochodem.

Hodges wraca do łóżka, pewien, że teraz już nie zaśnie, ale nie ma racji.

Jeśli facet miał tyle materiałów wybuchowych, żeby wysadzić w powietrze mój samochód, na pewno ma więcej, myśli.

Potem znowu pogrąża się w sen.

Śni o Janey.

POCALUNKI W LUNAPARKU

W czwartek Hodges wstaje o szóstej rano i robi sobie obfite śniadanie: dwa jajka, cztery plastry bekonu, cztery grzanki. Nie jest głodny, ale wmusza w siebie wszystko do ostatniego kęsa, tłumacząc, że to paliwo dla ciała. Może w ciągu dnia będzie miał okazję coś zjeść, a może nie. Pod prysznicem i później, kiedy z determinacją przeżuwa solidne śniadanie (teraz już nikt nie dba o jego linię), ciągle powraca do niego pewna myśl, ta sama, z którą zasnął poprzedniej nocy. Prześladowuje go jak zmara.

Jak dużo materiałów wybuchowych?

Co oczywiście prowadzi do innych myśli. Na przykład do czego ten facet – sprafca – zamierza ich użyć. I kiedy.

Hodges podejmuje decyzję: dzisiaj jest ostatni dzień. Chce osobiście wytropić Pana Mercedesa i stanąć z nim twarzą w twarz. Zabić go? Nie, nie to (chyba nie). Stłuc go na kwaśne jabłko? Z rozkoszą. Za Olivię. Za Janey. Za Janice i Patricię Cray. Za wszystkich ludzi, których Pan Mercedes zabił lub okaleczył w City Center przed rokiem. Ludzi tak rozpaczliwie potrzebujących pracy, że wstali w środku nocy i czekali na stojąco w wilgotnej mgle, aż drzwi się otworzą. Stracone życia. Stracone nadzieje. Stracone dusze.

Więc tak, chce dorwać tego skurwysyna. Ale jeśli dzisiaj go nie dopadnie, przekaże sprawę Pete'owi Huntleyowi i Izzy Jaynes i poniesie konsekwencje... które, jak wie, mogą oznaczać nawet więzienie. Nieważne. Dźwiga już spory ciężar na sumieniu, ale udźwignie jeszcze trochę. Tylko nie następne masowe zabójstwo. To by zniszczyło go do reszty.

Daje sobie czas do ósmej wieczorem; linia nakreślona na piasku. W ciągu tych trzynastu godzin może zrobić równie wiele jak Pete i Izzy. Pewnie więcej, bo nie krępują go przepisy i procedury. Dziś zabierze ze sobą ojcowskiego M & P .38. I Happy Slappera też.

Slappera wkłada do prawej kieszeni sportowej marynarki, rewolwer do kabury pod lewym ramieniem. Bierze z gabinetu teczkę Pana Mercedesa – teraz całkiem grubą – i zanosz do kuchni. Czytając ponownie notatki, włącza pilotem telewizor na blacie i nastawia program *Siódma rano* na Kanale Szóstym. Prawie z ulgą dowiaduje się, że nad jeziorem przewrócił się dźwig i do połowy zatopił barkę wyładowaną chemikaliami. Nie chce jeziora jeszcze bardziej zanieczyszczonego niż teraz (zakładając, że to możliwe), ale wyciek zepchnął bombę w samochodzie na drugie miejsce. To dobra wiadomość. Zła, że zidentyfikowano go jako detektywa, obecnie emerytowanego, który prowadził policyjne śledztwo w sprawie masakry w City Center, a kobietę zabitą w wybuchu zidentyfikowano jako siostrę Olivii Trelawney. Pokazano zdjęcie jego i Janey przed Domem Pogrzebowym Soames, zrobione przez Bóg wie kogo.

– Policja nie wyjawiała, czy istnieje związek z zeszłorocznym masowym zabójstwem w City Center – mówi poważnie prezenter – warto jednak zauważyć, że sprawca tamtej zbrodni nie został dotąd schwytany. Z innych kryminalnych wiadomości: Donald Davis stanie przed sądem...

Hodgesa gówno obchodzi Donald Davis. Wyłącza telewizor i wraca do notatek w żółtym kołonotatniku. Wciąż jeszcze je przegląda, kiedy dzwoni telefon – nie komórka (choć dzisiaj nosi ją przy sobie), tylko stacjonarny na ścianie. To Pete Huntley.

– Ranny ptaszek z ciebie – mówi.

– Zgadłeś, detektywie. Czym mogę służyć?

– Odbyliśmy wczoraj interesującą rozmowę z Henrym Siroisem i Charlotte Gibney. No wiesz, ciotka i wuj Janelle Patterson.

Hodges czeka.

– Zwłaszcza ciotka mówiła fascynujące rzeczy. Uważa, że Izzy miała rację, że ty i Patterson byliście kimś więcej niż znajomymi. Uważa, że byliście bardzo zaprzyjaźnieni.

– Powiedz, o co ci chodzi, Pete.

– O kłeczenie zwierza o dwóch grzbietach. O zabawę w tatę i mamę. Zaganianie lisa do nory. Figo-fago. Bara-bara. Taniec w pozycji horyzontal...

– Dobra, załapałem. Powiem ci coś o ciotce Charlotte, okay? Gdyby zobaczyła zdjęcie Justina Biebera rozmawiającego z królową Elżbietą, powiedziała, że Bib ją bzyka. „Widać, jak na siebie patrzą”, tak by powiedziała.

– Więc nie byliście... zaprzyjaźnieni.

– Nie.

– Spróbuję ci uwierzyć... głównie ze względu na dawne czasy... ale wciąż chcę wiedzieć, co ukrywasz. Bo to śmierdzi.

– Słuchaj uważnie: nic... nie... ukrywam.

Milczenie po drugiej stronie. Pete czeka, żeby Hodges poczuł się niezręcznie i je przerwał, zapominając na moment, kto go nauczył tej sztuczki.

W końcu się poddaje.

– Myślę, że kopiesz pod sobą dołek, Billy. Moja rada to rzuć łopatę, zanim się pogrążysz tak głęboko, że już nie wyleziesz.

– Dzięki, partnerze. Zawsze miło usłyszeć lekcję życia o siódmej piętnaście rano.

– Chcę cię jeszcze raz przesłuchać po południu. Tym razem może będę musiał ci odczytać prawa.

Mówi o prawach odczytywanych aresztantowi.

– Chętnie służę. Zadzwoń do mnie na komórkę.

– Naprawdę? Przecież jej nie nosisz, odkąd odszedłeś na emeryturę.

– Dzisiaj noszę.

Bo przez następne dwanaście czy czternaście godzin Hodges wcale nie będzie na emeryturze.

Kończy rozmowę i wraca do notatek, śliniąc czubek palca wskazującego za każdym razem, kiedy przewraca stronę. Obwodzi kółkiem nazwisko: Radney Peeples. Ochroniarz z firmy Czujna Straż, z którym rozmawiał w Sugar Heights. Jeżeli Peeples choć w połowie wypełnia swoje obowiązki, może coś wiedzieć o Panu Mercedesie. Ale wykluczone, żeby nie zapamiętał człowieka, który najpierw zażądał od niego legitymacji, a potem go przesłuchał. I musi wiedzieć, że on jest teraz sławny. Hodges później się zastanowi, jak rozwiązać ten problem; nie chce dzwonić do Czujnej Straży poza normalnymi godzinami pracy. Ponieważ ten telefon powinien wyglądać niewinnie.

Następnie – tym razem na komórkę – dzwoni ciotka Charlotte. Hodges nie jest zdziwiony tym telefonem, ale to nie znaczy, że jest zadowolony.

– Nie wiem, co robić! – woła ciotka Charlotte. – Musi pan mi pomóc, panie Hodges!

– Nie wie pani, co z czym robić?

– Z ciałem! Z ciałem Janelle! Nawet nie wiem, gdzie jest!

Hodges słyszy „biip” i sprawdza przychodzące połączenie.

– Pani Gibney, mam drugi telefon i muszę go odebrać.

– Nie rozumiem, dlaczego pan nie może...

– Janelle nigdzie nie ucieknie, więc proszę poczekać. Oddzwonię do pani.

Przerywa w połowie jej skrzekliwy protest i łączy się z Jerome'em.

– Pomyślałem, że będziesz dzisiaj potrzebował szofera – mówi Jerome. – Zważywszy na obecną sytuację.

Przez chwilę Hodges nie wie, o co chodzi temu chłopakowi, potem sobie przypomina, że z jego toyoty zostały zwęglone szczątki. Te resztki znajdują się teraz w policyjnym laboratorium. Technicy w białych fartuchach będą je dziś badać, żeby ustalić, jaki rodzaj materiału wybuchowego zastosowano. Poprzedniego wieczoru wrócił do domu taksówką. Rzeczywiście będzie potrzebował podwiezienia. I uświadamia sobie, że Jerome może się przydać do czegoś jeszcze.

– Byłoby dobrze – przyznaje. – Ale co ze szkołą?

– Mam średnią trzy i dziewięć – odpowiada cierpliwie Jerome. – Poza tym pracuję w Citizens United^[16] i prowadzę kursy komputerowe dla niepełnosprawnych dzieci. Mogę sobie pozwolić na opuszczenie jednego dnia. I już to uzgodniłem z mamą i tatą. Prosimy tylko, żebym cię zapytał, czy ktoś jeszcze będzie próbował ci podłożyć bombę.

– Właściwie to nie jest wykluczone.

– Zaczekaj chwilę. – Hodges słyszy stłumiony głos Jerome'a: – Mówi, że nie.

Pomimo wszystko Hodges nie może powstrzymać uśmiechu.

– Będę za sekundę – obiecuje Jerome.

– Nie przekraczaj dozwolonej prędkości. Wystarczy, jak będziesz o dziewiętej.

Wykorzystaj ten czas, żeby poćwiczyć swoje aktorskie umiejętności.

– Naprawdę? Jaką rolę będę grał?

– Stażysty z kancelarii adwokackiej – odpowiada Hodges. – I dzięki, Jerome.

Rozłącza się, idzie do gabinetu, odpala komputer i szuka miejscowego adwokata nazwiskiem Schron. To rzadkie nazwisko i znajduje je bez trudu. Zapisuje dane firmy oraz imię Schrona, które brzmi George. Potem wraca do kuchni i dzwoni do ciotki Charlotte.

– Hodges – mówi. – Oddzwaniam.

– Nie podoba mi się, że pan przerywa rozmowę, panie Hodges.

– Mnie też się nie podoba, że pani powiedziała mojemu byłemu partnerowi, że pieprzyłem pani siostrzenicę.

Słyszy gwałtowne wciągnięcie powietrza, a potem następuje cisza. Kobieta milczy zaszokowana. Hodges niemal ma nadzieję, że ona rzuci słuchawkę. Nie robi tego, więc on jej mówi, co powinna wiedzieć.

– Zwłoki Janey na pewno leżą w kostnicy okręgu Huron. Dzisiaj ich pani nie wydadzą. Jutro raczej też nie. Muszą przeprowadzić autopsję, co jest bzdurą, zważywszy na przyczynę śmierci, ale takie są przepisy.

– Pan nie rozumie! Mamy bilety na samolot!

Hodges wygląda przez kuchenne okno i powoli liczy do pięciu.

– Panie Hodges? Jest pan tam?

– Jak rozumiem, ma pani dwie możliwości, pani Gibney. Jedna to zostać tutaj i postąpić właściwie. Druga to wykorzystać bilety, polecieć do domu i pozwolić, żeby miasto to załatwiło. Ciotka Charlotte zaczyna pochlipywać.

– Widziałam, jak pan na nią patrzył i jak ona patrzyła na pana. Ja tylko odpowiedziałam na pytania tej policjantki.

– Nie wątpię, że z wielką gorliwością.

– Z czym?

Hodges wzdycha.

– Zostawmy to. Proponuję, żeby pani z bratem osobiście pojechała do kostnicy. Nie dzwońcie wcześniej, niech oni zobaczą wasze twarze. Rozmawiajcie z doktorem Galworthym. Jeśli go nie ma, rozmawiajcie z doktorem Patelem. Jeżeli osobiście ich poprosicie, żeby przyspieszyli bieg spraw... jeśli pani potrafi być miła... udzielą wam wszelkiej możliwej pomocy.

Powołajcie się na mnie. Na początku lat dziewięćdziesiątych pracowałem z nimi obydwojma.

– Znowu będziemy musieli zostawić Holly – narzeka ciotka Charlotte. – Zamknęła się w swoim pokoju. Stuka na laptopie i nie chce wyjść.

Hodges przyłapuje się na tym, że ciągnie się za włosy, więc przestaje.

– Ile lat ma pani córka?

Długa przerwa.

– Czterdzieści pięć.

– Więc chyba nie musi pani wynajmować opiekunki. – Zanim zdążył ugryźć się w język, dodaje: – Proszę pomyśleć, ile pani zaoszczędzi.

– Trudno się spodziewać, że pan zrozumie sytuację Holly, panie Hodges. Moja córka jest nie tylko niezrównoważona psychicznie, ale też bardzo wrażliwa.

W takim razie szczególnie trudno jej wytrzymać z tobą, myśli Hodges. Tym razem udaje mu się zamilczeć.

– Panie Hodges?

– Słucham.

– Nie wie pan przypadkiem, czy Janelle zostawiła testament?

Hodges się rozłącza.

Brady spędza dużo czasu pod motelowym prysznicem przy zgaszonym świetle. Lubi ciepło jak w łonie i miarowe bębnienie wody. Lubi również ciemność; to dobrze, bo wkrótce będzie miał jej tyle, ile zapagnie. Chciałby wierzyć, że nastąpi czułe powitanie matki i dziecka – może nawet matki i kochanka – ale w głębi duszy nie wierzy. Mógłby udawać, ale... nie.

Tylko ciemność.

Nie przejmuje się Bogiem ani groźbą powolnego przypiekania przez wieczność za swoje zbrodnie. Nie ma nieba ani piekła. Każdy z odrobiną rozumu o tym wie. Jak okrutna musiałaby być najwyższa istota, żeby stworzyć tak popieprzony świat? Nawet jeśli mściwy Bóg telekaznodziejów i klechów molestujących dzieci naprawdę istnieje, jak mógłby ten miotacz piorunów obwiniać Brady'ego za to, co zrobił? Czy Brady Hartsfield chwycił rękę ojca i przycisnął do przewodu pod napięciem, który go poraził? Nie. Czy Brady wepchnął ten plasterek jabłka do gardła Frankiego? Nie. Czy to Brady narzekał w kółko, że pieniądze się kończą i wszyscy wylądują w przytułku dla bezdomnych? Nie. Czy to on usmażył zatrutego hamburgera i powiedział: „Zjedz, mamó, jest pyszny”?

Czy można go obwiniać za to, że chce się odegrać na świecie, który uczynił go takim, jaki jest?

Brady uważa, że nie.

Rozmyśla o terrorystach, którzy rozwalili World Trade Center (często o nich rozmyśla). Te błazny naprawdę wierzyły, że pójdą do raju i będą mieszkać wiecznie jakby w luksusowym hotelu, obsługiwani przez przepiękne młode dziewczice. Niezły dowcip, a najlepsze, że ich kosztem... chociaż o tym nie wiedzieli. Dostali tylko przelotny widok tych wszystkich okien i końcowy rozbłysk światła. A potem odeszli razem z tysiącami swoich ofiar. Puf. Koniec pieśni. Wynocha, zabójcy i zabici, wynocha do uniwersalnego zbioru zerowego, który otacza pewną samotną błękitną planetę i jej krzątających się bezmyślnie mieszkańców. Wszystkie religie kłamią. Wszystkie zasady moralne są złudzeniem. Nawet gwiazdy to miraż. Prawdą jest ciemność i jedyne, co się liczy, to złożyć oświadczenie, zanim wejdiesz w tę ciemność. Naciąć skórę świata, żeby została blizna. Ostatecznie tym jest cała historia: tkanką bliznowatą.

Brady ubiera się i jedzie do całodobowej drogerii obok lotniska. Zobaczył w lustrze łazienki, że elektryczna golarka matki pozostawia dużo do życzenia; jego czaszka wymaga dalszych zabiegów. Kupuje jednorazowe nożyki i krem do golenia. Bierze więcej baterii, bo tego nigdy za wiele. Potem zdejmuje z obrotowego stojaka okulary ze zwykłymi szklami. Wybiera rogowe oprawki, bo w nich wygląda na studenta. A przynajmniej tak mu się wydaje.

W drodze do kasy przystaje przed kartonowym stojakiem ze zdjęciami czterech czyściutkich chłopców z 'Round Here. Napis głosi: PRZYGOTUJ SIĘ NA WIELKI KONCERT 3 CZERWCA! Tylko że ktoś przekreślił 3 CZERWCA i napisał pod spodem: DZIŚ WIECZOREM.

Chociaż Brady zwykle nosi koszulki w rozmiarze M – zawsze był szczupły – wybiera rozmiar XL i dodaje do reszty sprawunków. Nie musi stać w kolejce: o tak wczesnej porze jest jedynym klientem.

– Idzie pan na koncert wieczorem? – pyta dziewczyna w kasie.

Brady obdarza ją szerokim uśmiechem.

– No jasne.

W drodze powrotnej do motelu zaczyna myśleć o swoim samochodzie. Martwić się o swój samochód. Brady posługuje się fałszywym nazwiskiem Ralph Jones, ale subaru jest zarejestrowane na Brady'ego Hartsfielda. Jeśli Det. Em. odkryje jego nazwisko i powie policji, będzie problem. Motel jest bezpieczny – nie żądają już numerów rejestracyjnych, tylko prawa jazdy – ale samochód nie.

Det. Em. wcale nie jest blisko, mówi sobie Brady. On tylko chciał cię wkurzyć.

A może nie. Ten konkretny Det. rozwiązał masę spraw, zanim został Em., i jeszcze nie stracił smykałki.

Zamiast jechać prostu do Motelu 6, Brady skręca na lotnisko, bierze kwitek i zostawia subaru na długoterminowym parkingu. Wieczorem będzie go potrzebował, ale na razie niech tam zostanie.

Spogląda na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Jedenaście godzin do przedstawienia, myśli. Może dwanaście godzin, zanim zapadnie ciemność. Może trochę mniej; może trochę więcej. Ale niewiele więcej.

Zakłada nowe okulary i niesie zakupy prawie kilometr dalej do motelu. Maszerując, pogwizduje.

Hodges otwiera drzwi i pierwsze, co Jerome zauważa, to trzydziestkaósemka w podramiennej kaburze.

– Chyba nie zamierzasz nikogo z tego zastrzelić, co?

– Nie, chyba nie. To raczej amulet na szczęście. Należał do mojego ojca. I mam zezwolenie na noszenie ukrytej broni, jeśli o to ci chodzi.

– Chodzi mi o to – odpowiada Jerome – czy jest naładowany.

– Oczywiście, że tak. A co według ciebie miałbym zrobić, gdybym musiał go użyć? Rzucić nim?

Jerome wzdycha i mierzwi swoją szopą ciemnych włosów.

– Robi się ostro.

– Chcesz się wypisać? Jeśli tak, to proszę bardzo. W tej chwili. Mogę jeszcze wynająć samochód.

– Nie, dam radę. To o ciebie się martwię. Ty nie masz worków pod oczami, tylko wory.

– Nic mi nie będzie. Zresztą i tak dzisiaj kończę. Jeśli nie wytropię tego gościa do wieczora, spotkam się z moim byłym partnerem i wszystko mu powiem.

– Będziesz miał duże kłopoty?

– Nie wiem i mało mnie to obchodzi.

– A ja będę miał duże kłopoty?

– Żadnych. Gdybym nie mógł tego zagwarantować, siedziałbyś teraz na lekcji algebry.

Jerome patrzy na niego z politowaniem.

– Algebrę mieliśmy cztery lata temu. Powiedz mi, co mogę zrobić.

Hodges mówi. Jerome jest chętny, ale pełen wątpliwości.

– W zeszłym miesiącu... tylko nie mów moim starym... próbowaliśmy całą paczką wejść do Puncta i Judy, tego nowego klubu tanecznego w śródmieściu. Facet przy drzwiach nawet nie spojrzał na mój piękny sfalszowany dowód osobisty, tylko wyprosił mnie z kolejki i kazał iść na koktajl mleczny.

– Nie dziwię się – odpowiada Hodges. – Z twarzy wyglądasz na siedemnaście lat, ale na szczęście dla mnie masz głos co najmniej dwudziestopięciolatka. – Podsuwa Jerome'owi kartkę z wypisanym numerem telefonu. – Zadzwoń.

Jerome mówi recepcjonistce w firmie ochroniarskiej Czujna Straż, że nazywa się Martin Lounsbury i jest stażystą w kancelarii Canton, Silver, Makepeace i Jackson. Obecnie pracuje z George'em Schronem, młodszym współlnikiem wyznaczonym do załatwienia wszystkich spraw dotyczących majątku zmarłej Olivii Trelawney. Jedną z tych niezłatwionych spraw ma związek z komputerem pani Trelawney. Jego zadaniem na dzisiaj jest znalezienie informatyka, który serwisował ten sprzęt, i możliwe, że jeden z pracowników Czujnej Straży w rejonie Sugar Heights mógłby mu pomóc znaleźć tego człowieka.

Hodges robi kółko z kciuka i palca wskazującego na znak, że Jerome świetnie sobie radzi, i podaje mu notatkę.

Jerome odczytuje ją i mówi:

– Jedną z sąsiadek pani Trelawney, pani Helen Wilcox, wymieniła niejakiego Rodneya Peeplesa. – Słucha, potem kiwa głową. – Radney, rozumiem. Interesujące imię. Czy mógłby do mnie zadzwonić, jeśli to nie za duży kłopot? Mój szef to trochę tyran i macha mi batem nad głową. – Słucha.

– Tak? Och, to wspaniale. Bardzo dziękuję.

Podaje recepcjonistce numer swojej komórki i telefonu stacjonarnego Hodgesa, potem

rozłącza się i ociera wymagany pot z czoła.

– Uff! Cieszę się, że już po wszystkim.

– Dobrze ci poszło – zapewnia go Hodges.

– A jeśli ona zadzwoni do Cantona, Silvera i kogoś tam, żeby sprawdzić? I okaże się, że nigdy nie słyszeli o Martinie Lounsbury?

– Jej praca to przekazywanie wiadomości, nie sprawdzanie ich.

– A jeśli ten Peeples sprawdzi?

Hodges nie przypuszcza. Uważa, że nazwisko Helen Wilcox go powstrzyma. Kiedy rozmawiał z Peeplesem tamtego dnia przed rezydencją w Sugar Heights, wychwycił silne wibracje świadczące o tym, że stosunek Peeplesa do pani Wilcox jest nie tylko platoniczny. Może trochę więcej niż platoniczny, może dużo więcej. Uważa, że Peeples da Martinowi Lounsbury'emu, czego tamten chce, żeby się odczepił.

– I co teraz robimy? – pyta Jerome.

To, na czym Hodges spędził co najmniej połowę czasu pracy w policji.

– Czekamy.

– Jak długo?

– Aż zadzwoni Peeples albo inny trep z ochrony.

W tej chwili Czujna Straż wydaje się najlepszym tropem. Jeśli to nie wypali, będą musieli pojechać do Sugar Heights i wypytywać sąsiadów. Niezbyt zachęcająca perspektywa, zważywszy na obecną medialną popularność Hodgesa.

Znowu zaczyna myśleć o panu Bowfingerze i pani Melbourne, trochę stukniętej staruszce, która mieszka naprzeciwko Bowfingera. Ze swoim gadaniem o tajemniczych czarnych SUV-ach i zainteresowaniem latającymi talerzami pani Melbourne mogłaby zagrać drugoplanową rolę ekscentrycznej sąsiadki w starym filmie Alfreda Hitchcocka.

„Ona myśli, że obcy żyją wśród nas”, powiedział Bowfinger, ironicznie unosząc brwi. Dlaczego, na litość boską, te słowa ciągle kołaczą się w głowie Hodgesa?

Dziesięć po dziesiątej dzwoni komórka Jerome'a. Urywek kawałka AC/DC *Hell's Bells* podrywa ich obu z krzeseł. Jerome chwytą komórkę.

– Napisane NUMER NIEZNANY. Co mam robić, Bill?

– Odbierz. To on. I pamiętaj, kim jesteś.

Jerome odbiera i mówi:

– Halo, tu Martin Lounsbury. – Słucha. – O, dzień dobry, panie Peeples. Bardzo dziękuję, że pan oddzwonił.

Hodges gryzmoli świeżą notatkę i przesuwają przez stół. Jerome szybko przelatuje po niej wzrokiem.

– Uhum... tak... pani Wilcox wyraża się o panu bardzo pochlebnie. Doprawdy bardzo pochlebnie. Ale moje zadanie dotyczy zmarłej pani Trelawney. Nie możemy zakończyć inwentaryzacji jej majątku, dopóki nie spiszemy komputera i... tak, wiem, że minęło ponad sześć miesięcy. Te sprawy się okropnie wloką, prawda? W zeszłym roku mieliśmy klienta, który dosłownie musiał korzystać z kartek żywnościowych, chociaż czekał na niego zapis w wysokości siedemdziesięciu tysięcy dolarów.

Nie przeginaj, Jerome, myśli Hodges. Serce mu wali w piersi.

– Nie, nic takiego. Potrzebuję tylko nazwiska gościa, który serwisował jej komputer. Reszta należy do mojego szefa. – Słucha ze ściągniętymi brwiami. – Nie może pan? Och, wielka szkoda...

Ale Peeples znowu coś mówi. Pot na czole Jerome'a już nie jest wyobrażony. Chłopak sięga przez stół, chwytą długopis Hodgesa i zaczyna gryzmolić. Pisząc, powtarza nieustannie:

„Uhum”, „Okay” i „Rozumiem”. Wreszcie mówi:

– Hej, to wspaniale. Naprawdę wspaniale. Z pewnością pan Schron może się na tym oprzeć. Bardzo pan nam pomógł, panie Peeples. Więc... – Słucha jeszcze przez chwilę. – Tak, to straszne. Z pewnością w chwili obecnej pan Schron zajmuje się pewnymi... hm... aspektami tego, ale naprawdę nie wiem... rozmawiał pan? Coś takiego! Panie Peeples, pan jest wielki. Tak, przekażę. Z całą pewnością. Dziękuję, panie Peeples.

Rozłącza się i przyciska nadgarstki do skroni, jakby chciał uśmierzyć ból głowy.

– Rany, ale mnie przemaglował. Chciał rozmawiać o tym, co się wczoraj stało. I żebym przekazał krewnym Janey, że Czujna Straż służy pomocą pod każdym względem.

– To świetnie, na pewno dostanie pochwałę z wpisaniem do akt, ale...

– Powiedział też, że rozmawiał z facetem, którego samochód wyleciał w powietrze.

Widział twoje zdjęcie dziś rano w dzienniku.

Hodges nie jest zdziwiony i w tej chwili to go nie obchodzi.

– Czy masz nazwisko? Powiedz, że masz nazwisko.

– Nie samego faceta, ale mam nazwę firmy, w której pracuje. Nazywa się Cyberpatrol. Peeples mówi, że oni jeżdżą zielonymi volkswagenami garbusami. Mówi, że ciągle się kręcą po Sugar Heights i trudno je przeoczyć. Widywał za kierownicą kobietę i mężczyznę, oboje przed trzydziestką. Kobieta podobno „wygląda na lesbę”.

Hodges nigdy nie brał pod uwagę ewentualności, że Pan Mercedes w rzeczywistości jest Panią Mercedes. Przypuszcza, że to możliwe, i stanowiłoby efektowne zakończenie powieści Agathy Christie, ale mówimy o prawdziwym życiu.

– Powiedział, jak ten facet wygląda?

Jerome kręci głową.

– Chodźmy do mojego gabinetu. Ty pokierujesz komputerem, a ja będę drugim pilotem.

Po niecałej minucie patrzą na trzy zielone volkswageny garbusy z napisami CYBERPATROL na bokach. To nie jest niezależna firma, tylko część sieci o nazwie Discount Electronix z jednym dużym sklepem w mieście. Sklep znajduje się w centrum handlowym Birch Hill.

– Człowieku, ja tam robiłem zakupy – mówi Jerome. – Robiłem tam zakupy wiele razy. Kupowałem gry wideo, części do komputera, sporo DVD z kopaniną na wyprzedaży.

Pod fotografią garbusów jest napis: POZNAJ EKSPERTÓW. Hodges sięga ponad ramieniem Jerome’a i klika na ten napis. Pojawiają się trzy zdjęcia. Jedno przedstawia dziewczynę o wąskiej twarzy i ciemnobłond włosach. Na drugim jest pulchny facet w lenonkach i z poważną miną. Numer trzy to dość przystojny chłopak, szatyn ze starannie uczesanymi włosami i bezbarwnym upozowanym uśmiechem. Pod zdjęciami są nazwiska: FREDDI LINKLATTER, ANTHONY FROBISHER i BRADY HARTSFIELD.

– Co teraz? – pyta Jerome.

– Teraz się przejedziemy. Muszę tylko najpierw coś wziąć.

Hodges idzie do sypialni i wstukuje kombinację małego sejfu w garderobie. W środku, obok kilku polis ubezpieczeniowych i innych finansowych dokumentów, leży spięty gumką stosik laminowanych kart, jak ta, którą obecnie nosi w portfelu. Policja miejska wydaje nowe legitymacje co dwa lata i zawsze, kiedy Hodges otrzymywał nową, chował starą do sejfu. Istotna różnica polega na tym, że stare nie mają odbitej w poprzek czerwonej pieczętki EMERYTOWANY. Hodges wyjmuje legitymację, która straciła ważność w grudniu 2008 roku, i wkłada do portfela na miejsce ostatniej. Oczywiście pokazywanie jej to kolejne przestępstwo – Kodeks Stanowy 190.25, podszywanie się pod funkcjonariusza policji, wykroczenie klasy E karane grzywną w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, pięcioma miesiącami więzienia

albo jednym i drugim – ale Hodges już się tym nie przejmuje.

Wkłada portfel z powrotem do tylnej kieszeni spodni, zaczyna zamykać sejf, potem zmienia zdanie. Jest tam coś jeszcze, co może się przydać: mała, płaska skórzana saszetka, w jakiej ktoś, kto często podróżuje, mógłby przechowywać paszport. Również należała do ojca.

Hodges wsuwa ją do kieszeni razem z Happy Slapperem.

Brady zgolił szczecinę z czaszki i założył nowe okulary zerówki. Idzie do recepcji Motelu 6 i płaci za następną noc. Potem wraca do swojego pokoju i rozpakowuje wózek inwalidzki, który kupił we wtorek. Dużo zapłacił, ale co tam. Pieniądze już się dla niego nie liczą.

Kładzie poduszkę z napisem DUPOPARKING wypchaną materiałem wybuchowym na siedzeniu fotela, potem rozcina podszewkę kieszeni z tyłu i wsadza tam jeszcze kilka kostek wybuchowego plastiku domowej roboty. Do każdej kostki jest podłączona spłonka z azydkiem ołowiu. Przewody spina razem metalowym klipsem. Końce są odsłonięte do gołej miedzi i po południu zamierza je spleść.

Właściwym detonatorem będzie Gadżet Dwa.

Jedną po drugiej przykleja plastikowe torebki napełnione kulkami łożyskowymi pod siedzeniem wózka, mocując je na krzyż taśmą samoprzylepną z włókna szklanego, żeby nie odpadły. Po skończeniu pracy siada na brzegu łóżka i spogląda poważnie na swoje dzieło. Naprawdę nie wie, czy zdoła wtoczyć tę bombę na kółkach do Audytorium Mingo... ale nie wiedział też, czy zdoła uciec z City Center po zakończonej akcji. Wtedy się udało; może teraz też się uda. Ostatecznie tym razem nie będzie musiał uciekać, czyli odpada połowa roboty. Nawet jeśli się połapią i spróbują go zatrzymać, korytarz będzie zatłoczony publicznością i wynik będzie dużo wyższy niż osiem.

Odejdę z hukiem, myśli Brady. Odejdę z hukiem i pierdolę cię, detektywie Hodges. Pierdolę cię równo.

Kładzie się na łóżku i myśli o masturbacji. Chyba powinien to zrobić, dopóki jeszcze ma fiuta. Ale zanim zdążył rozpiąć lewisy, zapada w sen.

Na nocnym stoliku obok łóżka stoi zdjęcie w ramce. Ze zdjęcia uśmiecha się Frankie, trzymający na kolanach Sammy'ego, wóz strażacki.

Dochodzi jedenasta, kiedy Hodges i Jerome przyjeżdżają do centrum handlowego Birch Hill. Jest mnóstwo miejsca do parkowania i Jerome stawia wranglera dokładnie na wprost Discount Electronix, gdzie we wszystkich oknach krzyczą napisy: WYPRZEDAŻ. Na krawężniku przed sklepem siedzi jakaś nastolatka, ze złączonymi kolanami i rozstawionymi stopami, pochylona pilnie nad iPadem. Pomiedzy palcami jej lewej dłoni tli się papieros. Dopiero kiedy podchodzą, Hodges widzi pasma siwizny we włosach nastolatki. Serce mu zamiera.

– Holly? – mówi Jerome.

– Co ty tu robisz, do cholery? – pyta Hodges.

– Byłam całkiem pewna, że na to wpadniecie – oznajmia Holly, gasi peta i wstaje – ale zaczynałam się martwić. Miałam zadzwonić, gdybyście nie przyjechali do wpół do dwunastej. Biorę lexapro, panie Hodges.

– Już mówiłaś. Cieszę się. A teraz odpowiedz na pytanie: co tu robisz?

Wargi jej drżą i chociaż na początku zdołała utrzymać kontakt wzrokowy, teraz spuszcza wzrok na swoje mokasyny. Hodges nie dziwi się, że w pierwszej chwili wziął ją za nastolatkę, ponieważ pod wieloma względami pozostała nastolatką; jej rozwój zahamowało poczucie niepewności i stres związany z tym, że przez całe życie balansowała na emocjonalnej huśtawce.

– Pan jest zły na mnie? Proszę, niech pan się nie gniewa.

– Nie gniewamy się – zapewnia Jerome. – Jesteśmy tylko zdziwieni.

Raczej zaszokowani, myśli Hodges.

– Przez cały ranek siedziałam w swoim pokoju i przeglądałam miejscową społeczność informatyków, ale są ich setki, tak jak myśleliśmy. Mama i wujek Henry wyszli porozmawiać z ludźmi. Pewnie o Janey. Chyba będzie musiał być jeszcze jeden pogrzeb, ale nie mogę myśleć o tym, co będzie w trumnie. Od tego chce mi się płakać i płakać.

I rzeczywiście wielkie łzy spływają jej po policzkach. Jerome obejmuje ją ramieniem. Ona początkowo sztywnieje, potem spogląda na niego nieśmiało, z wdzięcznością.

– Czasami trudno mi myśleć w obecności matki. Jakby powodowała zakłócenia w mojej głowie. Pewnie pomyślicie, że zwariowałam.

– Nie ja – odpowiada Jerome. – Czuję to samo w obecności siostry. Zwłaszcza kiedy puszcza swoje cholerne płyty z młodzieżową muzyką.

– Kiedy wyszli i w domu zrobiło się cicho, wpadłam na pomysł. Wróciłam do komputera Olivii i przejrzałam jej pocztę.

Jerome klepie się w czoło.

– Cholera! Że też nie pomyślałam, żeby sprawdzić jej pocztę.

– Nie martw się, nic nie było. Miała trzy konta, na MacMail, Gmail i AO-Hell, ale wszystkie trzy skrzynki były puste. Może sama je skasowała, ale wątpię, bo...

– Bo pulpit i twardy dysk miała wypełnione – dopowiada Jerome.

– Właśnie. W iTunes ma *Most na rzece Kwai*. Nigdy tego nie widziałam. Może kiedyś obejrzę przy okazji.

Hodges zerka w stronę Discount Electronix. Słońce świeci prosto w okna i nie widać, czy ktoś ich obserwuje. Czuje się odsłonięty jak robak na kamieniu.

– Przejdźmy się – proponuje i prowadzi ich w stronę Savoy Shoes, Barnes & Noble i Wesołego Sklepu z Mrożonymi Jogurtami.

Jerome mówi:

– No dalej, Holly, nadawaj. Doprowadzasz mnie do szału.

Ona uśmiecha się na te słowa. Z uśmiechem wygląda starzej, bardziej na swój wiek.

Z dala od wielkich okien wystawowych Discount Electronix Hodges czuje się lepiej. Widzi wyraźnie, że Jerome jest zachwycony Holly, i sam czuje coś podobnego (mniej lub bardziej wbrew sobie), ale upokarzająca jest świadomość, że zakasowała go neurotyczka uzależniona od lexapro.

– Zapomniał skasować swój program DUCHY, więc pomyślałam, że może zapomniał też opróżnić kosz w jej poczcie, i miałam rację. Było ze czterdzieści e-maili z Discount Electronix. Część to zawiadomienia o wyprzedażach... jak ta, którą mają teraz, chociaż na pewno zostały im tylko gorsze DVD, koreańskie czy coś w tym stylu... i część to kupony na dwadzieścia procent zniżki. Miała też kupony na trzydzieści procent zniżki. Te trzydziestoprocentowe dotyczyły następnego wezwania Cyberpatrolu. – Wzrusza ramionami. – I wszystko jasne.

Jerome gapi się na nią.

– I to wystarczyło? Tylko zajrzeć do kosza w jej poczcie?

– Nie bądź taki zdziwiony – mówi Hodges. – Żeby złapać Syna Sama, wystarczył zwykły mandat za parkowanie.

– Czekając na was, obeszłam sklep od tyłu – kontynuuje Holly. – Na swojej stronie piszą, że w Cyberpatrolu jest tylko troje informatyków, a tam z tyłu stoją trzy zielone volkswageny. Więc ten facet chyba dzisiaj pracuje. Aresztuje go pan, panie Hodges? – Znowu przygryza wargę. – A jeśli on będzie stawiał opór? Nie chcę, żeby coś się panu stało.

Hodges myśli intensywnie. Troje speców komputerowych w Cyberpatrolu: Frobisher, Hartsfield i Linklatter, ta chuda blondynka. Jest niemal pewien, że Zabójcą z Mercedesa okaże się Frobisher albo Hartsfield, i żaden z nich nie jest przygotowany na to, że w drzwiach stanie kermitzaba19. Nawet jeśli Pan Mercedes nie ucieknie, nie zdoła ukryć wstrząsu, kiedy rozpozna Hodgesa.

– Wchodzę. Wy dwoje zostaniecie tutaj.

– Wchodzisz bez wsparcia? – pyta Jerome. – Kurczę, Bill, to chyba niezbyt mąd...

– Dam sobie radę, element zaskoczenia działa na moją korzyść, ale jeśli nie wrócę po dziesięć minutach, dzwoń pod dziewięćset jedenaście. Jasne?

– Tak.

Hodges wskazuje Holly.

– Trzymaj się blisko Jerome'a. Koniec ze śledztwem samotnego wilka.

Ona potulnie kiwa głową i Hodges odchodzi, zanim wciągną go w dalszą dyskusję.

Zbliżając się do drzwi Discount Electronix, rozpina sportową marynarkę. Ciężar ojcowskiej broni na żebrach dodaje mu otuchy.

Kiedy patrzą, jak Hodges wchodzi do sklepu elektronicznego, Jerome'owi nasuwa się pytanie.

– Holly, jak tu przyjechałaś? Taksówką?

Ona kręci głową i pokazuje na parking. Tam, trzy rzędy za wranglerem Jerome'a, stoi szary mercedes sedan.

– Był w garażu. – Widzi, jak Jerome'owi opada szczeka ze zdumienia, i natychmiast przybiera obronny ton. – Wiesz, umiem prowadzić. Mam ważne prawo jazdy. Nigdy nie miałam wypadku i mam zniżkę na ubezpieczenie. Z Allstate. Wiesz, że człowiek, który występuje w reklamach Allstate w telewizji, grał prezydenta w serialu *24 godziny*?

– To ten samochód...

Ona marszczy brwi, nie rozumie.

– W czym problem, Jerome? Stał w garażu, a kluczyki były w koszyku w holu. Więc o co chodzi?

Wgniecenia znikły, zauważa Jerome. Przednie światła i przednią szybę wymieniono. Wygląda jak nowy. Nikt by nie pomyślał, że użyto go do zabijania ludzi.

– Jerome? Myślisz, że Olivia miałyby coś przeciwko?

– Nie – mówi. – Chyba nie.

Wyobraża sobie tę kratownicę umazaną krwią. Zwisające z niej strzępy podartych ubrań.

– Najpierw nie chciał zapalić, akumulator siadł, ale ona miała takie przenośne urządzenie rozruchowe. Wiedziała, jak go używać, bo mój ojciec miał takie. Jerome, jeśli pan Hodges nikogo nie aresztuje, możemy pójść do tego sklepu z mrożonymi jogurtami?

On ledwie ją słyszy. Ciągłe wpatruje się w mercedesa. Zwrócili go jej, myśli. No, oczywiście, że zwrócili. W końcu to jej własność. Nawet oddała go do naprawy. Ale gotów się założyć, że już nigdy do niego nie wsiadła. Jeśli gdzieś były duchy – prawdziwe duchy – to tam. I pewnie wrzeszczały.

– Jerome? Ziemia do Jerome'a.

– Hę?

– Jeśli wszystko się dobrze skończy, chodźmy na mrożony jogurt. Siedziałam na słońcu, kiedy na was czekałam, i strasznie się zgrzałam. Ja stawiam. Bardzo lubię lody, ale...

Jerome nie słyszy reszty. Myśli: Lody.

W głowie coś mu klika tak głośno, że aż się krzywi, i nagle wie, dlaczego jedna z twarzy Cyberpatrolu w komputerze Hodgesa wydawała mu się znajoma. Nogi się pod nim uginają i opiera się o jeden ze słupów nośnych pasażu, żeby nie upaść.

– O mój Boże – mówi.

– Co się stało? – Holly szarpie go za ramię, dramatycznie zagryzając wargi. – Co ci jest?

Źle się czujesz, Jerome?

Ale z początku on potrafi tylko powtórzyć:

– O mój Boże.

Hodges myśli, że Discount Electronix w pasażu handlowym Birch Hill wygląda tak, jakby za trzy miesiące miał zwinąć interes. Wiele półek jest pustych, a pozostałe towary mają smętny, zaniedbany wygląd. Niemal wszyscy klienci kręcą się w dziale rozrywki, gdzie różowe fluorescencyjne napisy krzyczą: OKAZJA! WYPRZEDAŻ DVD! WSZYSTKIE PŁYTY 50% TANIEJ! NAWET BLU-RAY! Chociaż jest dziesięć stanowisk kasowych, tylko trzy są otwarte i obsadzone przez kobiety w niebieskich fartuchach z żółtym logo DE. Dwie z tych kobiet wyglądają przez okno; trzecia czyta *Zmierzch*. Kilku innych pracowników snuje się po alejkach i udaje, że coś robi.

Hodgesa nie interesuje żaden z nich, ale widzi dwoje z trójki, która go interesuje. Anthony Frobisher, ten w okularach lenonkach, rozmawia z klientem, który w jednej ręce trzyma koszyk pełen przecenionych DVD, a w drugiej plik kuponów. Frobisher nosi krawat, więc pewnie jest kierownikiem sklepu, nie tylko Cyberpatrołowcem. Dziewczyna o wąskiej twarzy i ciemnoblond włosach siedzi przy komputerze w głębi sklepu. Za uchem ma zatknięty papieros.

Hodges wchodzi w główną alejkę WYPRZEDAŻY DVD. Frobisher spogląda na niego i podnosi palec na znak: „Zaraz do pana podejść”. Hodges uśmiecha się i macha ręką: „Nie trzeba”. Frobisher wraca do klienta z kuponami. Nie rozpoznał go. Hodges rusza w głąb sklepu.

Ciemna blondynka podnosi na niego wzrok, potem znowu patrzy na ekran komputera. Ona też go nie rozpoznała. Nie nosi koszulki Discount Electronix; na jej koszulce jest napis: WHEN I WANT MY OPINION, I'LL GIVE IT TO YOU^[17]. Hodges widzi, że dziewczyna gra w ulepszoną wersję *Pitfall Harry*, której prymitywniejsza wersja fascynowała jego córkę Alison ćwierć wieku wcześniej. Wszystko w życiu do człowieka wraca, myśli Hodges. Z pewnością koncepcja zen.

– Jeśli pytanie nie dotyczy komputerów, proszę rozmawiać z Tonesem – mówi blondynka. – Ja zajmuję się tylko kompami.

– Tones to będzie Anthony Frobisher?

– Taa. Pan Elegancik w krawacie.

– Pani to pewnie Freddi Linklatter. Z Cyberpatrolu.

– Taa. – Dziewczyna zatrzymuje *Pitfall Harry*'ego w połowie skoku nad zwiniętym węzem, żeby lepiej się przyjrzeć Hodgesowi. I widzi policyjną legitymację, z kciukiem umieszczonym strategicznie, żeby zasłonić datę ważności. – Oooch – wzdycha i wyciąga obie ręce ze złączonymi patykowatymi nadgarstkami. – Jestem bardzo, bardzo niegrzeczna i zasłużyłam na kajdanki. Bij mnie, skuj mnie, każ mi wypisywać czekie bez pokrycia.

Hodges uśmiecha się krótko i chowa odznakę.

– Czy Brady Hartsfield nie jest trzecim członkiem waszej wesołej gromadki? Nie widzę go.

– Ma grypę. Przynajmniej tak mówi. Powiedzieć panu, co myślę?

– Śmiało.

– Że w końcu musiał oddać kochaną mamusię na odwyk. Mówi, że ona pije i on ciągle musi się nią opiekować. I pewnie dlatego nigdy sobie nie po-pe. Wie pan, co to znaczy, prawda?

– Taa, domyślam się.

Freddi przygląda mu się z żywym i zgryźliwym zainteresowaniem.

– Czy Brady ma kłopoty? Nie zdziwię się. On jest trochę, no wie pan, pokręcony.

– Muszę tylko z nim porozmawiać.

Podchodzi do nich Anthony Frobisher, Tones.

– Czym mogę panu służyć?

– To policjant – mówi Freddi. Uśmiecha się szeroko do Frobishera, odsłaniając drobne zęby, wymagające porządnego czyszczenia. – Dowiedział się o wytwórni amfy na zapleczu.

– Zbastuj, Freddi.

Dziewczyna wykonuje przesadny gest zamykania ust na zamek błyskawiczny i przekręca niewidzialny klucz, ale nie wraca do gry.

W kieszeni Hodgesa dzwoni komórka. Ucisza ją kciukiem.

– Jestem detektyw Bill Hodges, panie Frobisher. Mam kilka pytań do Brady’ego Hartsfielda.

– Jest chory na grypę. Zrobił coś złego? Co takiego?

– Tones sam nie czuje, jak mu się rymuje – zauważa Freddi Linklatter.

– Zamknij się, Freddi. Po raz ostatni.

– Czy mogę dostać jego adres?

– Oczywiście. Przyniosę panu.

– Mogę się na chwilę odemknąć? – pyta Freddi.

Hodges kiwa głową. Dziewczyna stuka w klawisze na komputerze. Zamiast *Pitfall Harry’ego* pojawia się arkusz kalkulacyjny z nagłówkiem: PERSONEL SKLEPU.

– Proszę – mówi Freddi. – Elm Street czterdzieści dziewięć. To na...

– North Side, wiem – przerywa jej Hodges. – Dziękuję państwu. Bardzo mi państwo pomogli.

Kiedy wychodzi, Freddi Linklatter woła za nim:

– Na pewno to coś z jego matką! On przez nią świruje!

Zaledwie Hodges wyszedł na jaskrawe słońce, Jerome prawie zwała go z nóg. Holly czai się za nim. Przestała przygryzać wargi i zabrała się do paznokci, które są już porządnie zmalretowane.

– Dzwoniłem do ciebie – mówi Jerome. – Czemu nie odebrałeś?

– Zadawałem pytania. Co tak wytrzeszczacie oczy?

– Jest tam Hartsfield?

Hodges jest zbyt zdumiony, żeby odpowiedzieć.

– Och, to on – zapewnia Jerome. – Bez dwóch zdań. Miałeś rację, że cię obserwował, i wiem, w jaki sposób. To jak w tym opowiadaniu Hawthorne’a o zagubionym liście. Ukrytym na widoku.

Holly na chwilę przestaje się znęcać nad paznokciami, żeby powiedzieć:

– Poe napisał to opowiadanie. Czy was już niczego nie uczą w szkole?

– Zwolnij, Jerome – mówi Hodges.

Chłopak bierze głęboki oddech.

– On pracuje na dwa etaty, Bill. Dwa. Tutaj jest tylko do popołudnia czy jakoś tak.

Później pracuje u Loeba.

– Loeb? Czy to nie...

– Taa, wytwórnia lodów. Hartsfield jeździ furgonetką Pana Smakusia. Tą z dzwoneczkami. Kupowałem u niego lody, moja siostra też. Wszystkie dzieciaki. On ciągle się kręci w okolicy. Brady Hartsfield to lodziarz!

Hodges uświadamia sobie, że ostatnio często słyszał te wesołe, melodyjne dzwoneczki. Wiosną, pogrążony w depresji, rozwalony w fotelu La-Z-Boy, oglądając popołudniami telewizję (i czasami bawiąc się bronią, która teraz ciąży mu na żebrach), słyszał je chyba codziennie. Słyszał je i ignorował, ponieważ tylko dzieci zwracają uwagę na lodziarza. Tyle że w głębi duszy nie całkiem je ignorował. W głębi duszy ciągle wracał do Bowfingera i jego ironicznego komentarza dotyczącego pani Melbourne.

„Ona myśli, że obcy żyją wśród nas”, powiedział pan Bowfinger, ale to nie przybyszami z kosmosu martwiła się pani Melbourne tamtego dnia, kiedy Hodges robił obchód sąsiadów; niepokoiły ją czarne SUV-y, kręgarze i lokatorzy na Hanover Street, którzy puszczały głośną muzykę późno w nocy.

I kierowca od Pana Smakusia.

„On mi wygląda podejrzanie”, powiedziała. „On ciągle się tu kręci tej wiosny”.

Z głębin jego umysłu wyłania się straszliwe pytanie, niczym jeden z węży wiecznie czyhających na *Pitfall Harry’ego*: gdyby wtedy zwrócił uwagę na słowa pani Melbourne, zamiast ją skreślić jako nieszkodliwą wariatkę (podobnie jak on i Pete skreślili Olivię Trelawney), czy Janey wciąż by żyła? Nie sądzi, ale nigdy nie będzie wiedział na pewno i podejrzewa, że to pytanie będzie go dręczyło w bezsenne noce przez wiele tygodni i miesięcy.

Może przez lata.

Spogląda na parking... i widzi tam ducha. Szarego.

Odwraca się do Jerome’a i Holly, stojących teraz obok siebie, i nawet nie musi pytać.

– Tak – mówi Jerome. – Holly nim przyjechała.

– Rejestracja i nalepka na tablicy rejestracyjnej są troszkę przeterminowane – odzywa się Holly. – Proszę, niech pan się na mnie nie gniewa. Musiałam przyjechać. Chciałam pomóc, ale wiem, że gdybym zadzwoniła, pan by odmówił.

– Nie gniewam się – odpowiada Hodges. Właściwie sam nie wie, co czuje. Jakby

wkroczył do świata snów, w którym wszystkie zegary idą do tyłu.

– Co teraz zrobimy? – pyta Jerome. – Zawiadomimy gliny?

Jednakże Hodges jeszcze nie jest gotowy, żeby odpuścić. Młody człowiek na zdjęciu może kryje za obojętną twarzą kipiące kłębowisko szaleństwa, ale Hodges spotkał już w życiu kilku psychopatów i wie, że wzięci z zaskoczenia, pękają niczym przeklute baloniki. Stanowią zagrożenie tylko dla nieuzbrojonych i nieprzygotowanych, jak tamci załamani ludzie czekający na pracę w kwietniowy świt 2009 roku.

– Przejedźmy się do miejsca zamieszkania pana Hartsfielda – proponuje Hodges. – I jedźmy tym. – Wskazuje szarego mercedesa.

– Ale... jeśli go zobaczy, chyba go rozpozna?

Hodges uśmiecha się w sposób, jakiego Jerome Robinson jeszcze nigdy nie widział.

– Mam szczerą nadzieję. – Wyciąga rękę. – Poproszę kluczyk, Holly.

Ona zaciska pogryzione wargi.

– Pod warunkiem że ja też pojedę.

– Nie ma mowy – odmawia Hodges. – Zbyt niebezpieczne.

– Jeśli zbyt niebezpieczne dla mnie, to zbyt niebezpieczne i dla was. – Nie patrzy mu prosto w oczy, omija wzrokiem jego twarz, głos jednak ma stanowczy. – Może mnie pan nie zabrać, ale wtedy zadzwonię na policję i podam im adres Brady’ego Hartsfielda, jak tylko odjedziecie.

– Nie znasz adresu – odpowiada Hodges. Nawet dla niego to słaby argument.

Holly nie odpowiada, pewnie przez grzeczność. Nawet nie musi wchodzić do Discount Electronix i pytać ciemną blondynkę; odkąd znają nazwisko, pewnie mogłaby wyciągnąć adres Hartsfielda ze swojego diabelskiego iPada.

Jasna cholera.

– No dobrze, jedziesz z nami. Aleja prowadzę i kiedy tam dojedziemy, ty i Jerome zostaniecie w samochodzie. Jeszcze jakiś problem?

– Nie, panie Hodges.

Tym razem przenosi wzrok na jego twarz i zatrzymuje tam na całe trzy sekundy. Może to krok do przodu. Z Holly nigdy nie wiadomo.

Z powodu drastycznych cięć budżetowych, wprowadzonych poprzedniego roku, policjanci jeżdżą na miejskie patrole najczęściej solo. To nie dotyczy Lowtown. Tam każdy posterunek wysyła dwójki, w skład idealnej dwójki zaś wchodzi co najmniej jedna osoba kolorowa, ponieważ w Lowtown mniejszości to większość. Tuż po dwunastej trzeciego czerwca funkcjonariusze Laverty i Rosario krążą po Lowbriar Avenue niecały kilometr od wiaduktu, gdzie Bill Hodges kiedyś powstrzymał kilku trolli od obrabowania małolata. Laverty jest biały. Rosario jest Latynoską. Ponieważ ich posterunek ma numer 54, znani są wśród policjantów jako Toody i Muldoon, od gliniarzy w starym serialu komediowym pod tytułem: *Wóz 54, gdzie jesteś?* Amarilis Rosario czasem rozśmiesza swoich kolegów na apelu, mówiąc: „Ooch, ooch, Toody, mam pomysł!”. Z jej dominikańskim akcentem to brzmi uroczo i zawsze wywołuje wesołość.

Podczas patrolu jednak skupia się wyłącznie na pracy. Oboje się skupiają. W Lowtown tak trzeba.

– Ci chłopcy na rogach przypominają mi Blue Angels na tym pokazie lotniczych akrobacji, który kiedyś widziałam – mówi teraz Rosario.

– Taa?

– Na nasz widok rozpraszają się, jakby tworzyli formację. Patrz, jest następny.

Kiedy zbliżają się do skrzyżowania Lowbriar i Strike, chłopak w ocieplanej bluzie drużyny koszykarskiej Cleveland Cavaliers (za dużej na niego i całkowicie zbyt ciężkiej w taki ciepły dzień) nagle zmywa się z rogu, gdzie dotąd się kręcił, i oddala się truchcikiem Strike Street. Wygląda na jakieś trzynaście lat.

– Może właśnie sobie przypomniał, że powinien być w szkole – zgaduje Laverty.

Rosario się śmieje.

– Akurat, draniu.

Teraz podjeżdżają do skrzyżowania Lowbriar i Martin Luther King Avenue. MLK to druga główna arteria przecinająca getto i tym razem pół tuzina chłopców stojących na rogu nagle uświadamia sobie, że mają coś do załatwienia gdzie indziej.

– Rzeczywiście latająca formacja – przyznaje Laverty. Śmieje się, chociaż to niezbyt zabawne. – Słuchaj, gdzie chcesz jeść?

– Zobaczymy, czy jest ten stragan na Randolph – mówi Rosario. – Mam ochotę na taco.

– Senor Taco, proszę bardzo – zgadza się Laverty – ale bez fasoli, dobra? Posiedzimy jeszcze cztery godziny w tym... hm. Popatrz no, Rosie. To dziwne.

Przed nimi jakiś facet wychodzi ze sklepu z długim pudłem na kwiaty. Dziwne, ponieważ sklep to nie kwaciarnia, tylko lombard Zastawy i Pożyczki King Virtue. Dziwne również dlatego, że facet jest biały, a znajdują się teraz w najczarniejszej części Lowtown. Podchodzi do brudnej białej furgonetki Econoline stojącej na żółtym krawężniku – dwadzieścia dolarów mandatu. Jednak Laverty i Rosario są głodni, zdecydowali się na taco z tym pysznym ostrym sosem, który Senor Taco trzyma na kontuarze, i mogliby odpuścić. Pewnie tak.

Ale.

David Berkowitz wpadł przez mandat za parkowanie. Ted Bundy – przez zbite tylne światło. Dzisiaj niedokładnie zamknięte pudło z kwaciarni wystarczy, żeby zmienić świat. Kiedy facet szuka kluczyków do swojej starej furgonetki (nawet imperator Ming z planety Mongo nie zostawiłby otwartego samochodu w Lowtown), pudło się przechyla. Koniec się otwiera i coś się częściowo wysuwa.

Facet chwytą to i pycha z powrotem, ale Jason Laverty odsłużył dwie tury w Iraku i potrafi rozpoznać granatnik RPG, kiedy go widzi. Włącza koguta i zatrzymuje się za facetem,

który rozgląda się z zaskoczoną miną.

– Broń boczna! – rzuca Laverty do partnerki. – Wyjmij!

Wyskakują z radiowozu, trzymają glocki oburącz i celują w niebo.

– Rzuć pan to pudło! – krzyczy Laverty. – Rzuć pudło i połóż ręce na samochodzie!

Pochyl się do przodu. No już!

Przez chwilę facet – około czterdziestki, oliwkowa skóra, zgarbione ramiona – przyciska pudło z kwaciarni mocniej do piersi jak niemowlaka. Ale kiedy Amy Rosario opuszcza broń i celuje w jego klatkę piersiową, rozluźnia uścisk. Pudło spada i pęka na całej długości, odsłaniając zawartość. Laverty wstępnie identyfikuje przeciwczołgowy granatnik Haszim rosyjskiej produkcji.

– Jasna cholera! – mówi Rosario, a potem: – Toody, Toody, mam pom...

– Funkcjonariusze, opuście broń.

Laverty nie spuszcza z oczu Faceta z Granatnikiem, ale Rosario odwraca się i widzi siwowłosego mężczyznę w niebieskiej kurtce. Ma mikrofon w uchu i własnego glocka. Zanim zdążyła go o cokolwiek zapytać, ulicę zapełniają mężczyźni w niebieskich kurtkach i wszyscy biegną do lombardu. Jeden niesie taran Stinger, urządzenie, które gliny nazywają miniwyłamywaczem. Rosario widzi na plecach kurtek litery ATF^[18] i natychmiast czuje bez żadnych wątpliwości, że wdepnęła w gówno.

– Funkcjonariusze, opuścić broń. Agent James Kosinsky, ATF.

– Może najpierw założymy mu kajdanki? – odzywa się Laverty. – Tylko pytam.

Agenci ATF wlewają się do lombardu niczym świąteczni klienci do Walmartu w dzień wyprzedaży. Po drugiej stronie ulicy gromadzi się tłum, na razie zbyt zdumiony liczebnością sił uderzeniowych, żeby rzucać obelgi. Albo kamienie, skoro o tym mowa.

Kosinsky wzdycha.

– Możecie założyć. Już po ptakach.

– Nie wiedzieliśmy, że coś tu robicie – mówi Laverty. Tymczasem Facet z Granatnikiem już zdjął ręce z furgonetki i złączył nadgarstki za plecami. Najwyraźniej to nie jest jego pierwsze rodeo. – On otwierał samochód i zobaczyłem, że to wystaje z pudła. Co miałem zrobić?

– Oczywiście to, co pan zrobił. – Z wnętrza lombardu dochodzi brzęk rozbijanego szkła, krzyki, a potem łomot tarana. – Coś wam powiem, skoro już tu jesteście, może wrzucicie pana Cavallego na tył wozu i wejdziecie do środka. Zobaczymy, co mamy.

Kiedy Laverty i Rosario prowadzą więźnia do radiowozu, Kosinsky zauważa numer.

– No więc – mówi – które z was jest Toody, a które Muldoon?

Kiedy siły uderzeniowe ATF pod dowództwem agenta Kosinsky'ego zaczynają inwentaryzację ogromnego magazynu za skromną fasadą Zastawów i Pożyczek King Virtue, szary mercedes sedan zatrzymuje się przy krawężniku przed numerem 49 na Elm Street. Hodges siedzi za kierownicą. Dzisiaj Holly zajmuje miejsce z przodu – ponieważ, jak twierdzi (zachowując przynajmniej odrobinę logiki), samochód należy bardziej do niej niż do nich.

– Ktoś jest w domu – oznajmia. – Na podjeździe stoi bardzo źle utrzymana honda civic. Hodges zauważa staruszka, który nadchodzi z domu naprzeciwko, powłócząc nogami.
– Pogadam teraz z panem Zaniepokojonym Obywatелеm. Wy dwoje trzymajcie gęby na kłódki.

Opuszcza okno.

– W czym mogę panu pomóc?

– Myślałem, że to ja wam pomogę – mówi stary. Bystryimi oczami dokładnie ogląda Hodgesa i jego pasażerów. Również samochód, co Hodgesa nie dziwi. To wspaniały samochód. – Jeśli szukacie Brady'ego, to macie pecha. Tam na podjeździe to samochód pani Hartsfield. Od tygodni go nie ruszała. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze jeździ. Może pani Hartsfield z nim pojechała, bo dzisiaj jej nie widziałem. Zwykle ją widuję, kiedy wychodzi po pocztę. – Wskazuje skrzynkę pocztową obok drzwi pod numerem 49. – Ona lubi katalogi. Jak większość kobiet. – Wyciąga sękatą dłoń. – Hank Beeson.

Hodges wymienia z nim krótki uścisk, potem błyska odznaką, starannie zasłaniając kciukiem datę ważności na legitymacji.

– Miło pana poznać, panie Beeson. Detektyw Bill Hodges. Czy może nam pan powiedzieć, jakim samochodem jeździ pan Hartsfield? Marka i model?

– Subaru w szarawym kolorze. Nie podam wam modelu ani rocznika. Te wszystkie japońce wyglądają dla mnie tak samo.

– Uhum. Muszę teraz pana prosić, żeby wrócił pan do domu. Może później pana odwiedzimy, żeby zadać parę pytań.

– Czy Brady zrobił coś złego?

– Tylko rutynowo sprawdzamy – odpowiada Hodges. – Proszę wrócić do domu.

Zamiast odejść, Beeson nachyla się niżej, żeby przyjrzeć się Jerome'owi.

– Nie za młody jesteś na gliniarza?

– Jestem stażystą – odpowiada Jerome. – Lepiej niech pan posłucha detektywa Hodgesa.

– Idę, idę. – Najpierw jednak stary ponownie mierzy wzrokiem całą trójkę w samochodzie. – Odkąd to miejskie gliny rozbijają się mercedesami benzami?

Na to Hodges nie ma odpowiedzi, ale Holly ma.

– To samochód RICO. RICO to skrót od zwalczania organizacji przestępczych. Konfiskujemy ich wozy. Możemy ich używać, do czego chcemy, bo jesteśmy policją.

– No tak. Jasne. Rozumiem.

Beeson wydaje się na wpół usatysfakcjonowany, na wpół zaintrygowany. Wraca jednak do domu, ale wkrótce znowu się pokazuje, tym razem wyglądając przez frontowe okno.

– RICO to federalni – prostuje łagodnie Hodges.

Holly nieznacznie odwraca głowę w stronę obserwatora za oknem i na jej zmaltretowanych ustach pojawia się słaby uśmiech.

– Myślicie, że on o tym wie? – Obaj milczą, więc ona przechodzi do rzeczy. – Co teraz robimy?

– Jeśli Hartsfield tam jest, zamierzam dokonać obywatelskiego aresztowania. Jeśli go nie

ma, ale jest jego matka, zamierzam ją przesłuchać. Wy dwoje zostaniecie w samochodzie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... – zaczyna Jerome, ale sądząc z wyrazu jego twarzy, którą Hodges widzi we wstecznym lusterku, wie, że ten sprzeciw zostanie odrzucony.

– Innych nie mam – odpowiada Hodges.

Wysiada z samochodu. Zanim zdążył zamknąć drzwi, Holly nachyliła się w jego stronę i mówi:

– Nikogo nie ma w domu.

Hodges milczy, ale ona kiwa głową, jakby usłyszała odpowiedź.

– Nie czuje pan?

Prawdę mówiąc, czuje.

Hodges idzie podjazdem, widzi zaciągnięte zasłony w dużym frontowym oknie. Zagląda przelotnie do hondy, ale nie dostrzega niczego godnego uwagi. Naciska klamkę po stronie pasażera. Drzwi się otwierają. Powietrze w środku jest stęchłe i rozgrzane, lekko cuchnie alkoholem. Hodges zamyka samochód, wchodzi po stopniach na ganek i naciska dzwonek. Słyszy „ding-dong” w środku. Nikt nie otwiera. Dzwoni jeszcze raz, potem puka. Nikt nie otwiera. Wali pięścią w drzwi, cały czas świadomy, że pan Beeson z naprzeciwka wszystko rejestruje. Nikt nie otwiera.

Hodges podchodzi do garażu i zagląda przez okienko w podnoszonych drzwiach. Trochę narzędzi, miniaturowa lodówka, niewiele więcej.

Wyjmuje komórkę i dzwoni do Jerome’a. W tej okolicy na Elm Street jest bardzo cicho i słyszy stłumiony dzwonek przychodzącego połączenia. Widzi, jak Jerome odbiera.

– Powiedz Holly, żeby odpaliła iPada i sprawdziła w miejskich rejestrach podatkowych nazwisko właściciela nieruchomości przy Elm Street czterdzieści dziewięć. Może to zrobić?

Słyszy, jak Jerome pyta Holly.

– Ona mówi, że się postara.

– Dobrze. Idę na tyły. Nie rozłączaj się. Będę się zgłaszał co trzydzieści sekund. Jeśli upłynie więcej niż minuta od ostatniego zgłoszenia, dzwoni pod dziewięćset jedenaście.

– Na pewno chcesz to zrobić, Bill?

– Tak. Uprzedź Holly, że to nazwisko nie jest takie ważne. Nie chcę, żeby świrowała.

– Ona jest spokojna – zapewnia Jerome. – Już szuka. Tylko bądź w kontakcie.

– Możesz na mnie polegać.

Przechodzi pomiędzy garażem a domem. Tylne podwórze jest małe, ale schludne. Pośrodku jest okrągły klomb kwiatowy. Hodges zastanawia się, kto posadził te kwiaty, mamusia czy synuś. Wchodzi po trzech drewnianych stopniach na ganek od tyłu. Za aluminiowymi siatkowymi drzwiami są drugie drzwi. Siatkowe drzwi nie są zamknięte na klucz. Drzwi do domu tak.

– Jerome? Zgłaszam się. Wszędzie spokój.

Zagląda przez szybę i widzi kuchnię. Panuje tam porządek. Na ociekaczu przy zlewie stoi kilka talerzy i szklanek. Starannie złożona ścierka wisi na poręczy piekarnika. Na stole leżą dwie maty. Nie ma maty dla Taty Niedźwiedzia, co pasuje do profilu, który rozwinął w swoich notatkach. Puka, potem wali pięścią. Nikt nie otwiera.

– Jerome? Zgłaszam się. Wszędzie spokój.

Kładzie telefon na tylnym ganku i wyjmuje płaską skórzaną saszetkę, zadowolony, że ją zabrał. W środku są wytrychy ojca – trzy srebrne pręciki zakończone haczykami różnych rozmiarów. Wybiera średni wytrych. Dobry wybór: narzędzie gładko się wślizguje. Gmera nim dookoła, przekręca najpierw w jedną, potem w drugą stronę, wyczuwając mechanizm. Zamierza już przerwać i zgłosić się do Jerome’a, kiedy wytrych zaskakuje. Hodges przekręca szybko i mocno, jak go uczył ojciec. Rozlega się szcęknięcie i bolec zamka odskakuje po wewnętrznej stronie drzwi. Tymczasem telefon skrzeczy jego imię. Hodges podnosi aparat.

– Jerome? Wszędzie spokój.

– Przestraszyłeś mnie – mówi Jerome. – Co robisz?

– Włamanie z wtargnięciem.

Hodges wchodzi do kuchni Hartsfieldów. Od razu uderza go zapach. Słaby, ale wyraźny. Trzymając komórkę w lewej ręce i ojcowską trzydziestkęósemkę w prawej, Hodges idzie za węchem najpierw do salonu – pusto, chociaż pilot telewizyjny i porozrzucane katalogi na stoliku do kawy wskazują, że na tej kanapie pani Hartsfield zwykle spędza czas – a potem na górę. Tutaj zapach się wzmaga. Jeszcze nie smród, ale blisko.

Na górze jest krótki korytarzyk, jedne drzwi po prawej stronie i dwoje drzwi po lewej. Hodges sprawdza najpierw pokój z prawej strony. To pokój gościnny, gdzie od dawna, może nigdy, nie nocował żaden gość. Jest sterylny jak sala operacyjna.

Hodges ponownie zgłasza się do Jerome'a, zanim otwiera pierwsze drzwi po lewej stronie. Stąd się wydobywa ten zapach. Hodges bierze głęboki oddech i szybko wchodzi, skulony, dopóki się nie upewni, że za drzwiami nikogo nie ma. Otwiera szafę – z harmonijkowymi drzwiami, które składają się na środkowym zawiasie – i rozgarnia ubrania.

Nikogo.

– Jerome? Zgłaszam się.

– Jest tam ktoś?

No... w pewnym sensie, myśli Hodges. Kołdra na łóżku okrywa kształt, którego nie da się z niczym pomylić.

– Zaczekaj chwilę.

Zagląda pod łóżko i widzi tylko parę kapci, parę różowych tenisówek, samotną białą krótką skarpetkę i kilka kłaków kurzu. Ściąga kołdrę i odsłania matkę Brady'ego Hartsfielda. Jej skóra jest woskowo biała z lekkim zielonkawym odcieniem. Usta są rozdziawione. Oczy, mętne i szkliste, zapadły się w oczodołach. Hodges unosi jej ramię, lekko naciąga, upuszcza. *Rigor mortis* już minął.

– Słuchaj, Jerome. Znalazłem panią Hartsfield. Nie żyje.

– O mój Boże. – Dorosły zazwyczaj głos Jerome'a załamuje się na ostatnim słowie. –

Co ty...

– Zaczekaj chwilę.

– Już to mówiłeś.

Hodges kładzie telefon na nocnym stoliku i zsuwa kołdrę aż do stóp. Pani Hartsfield ma na sobie błękitną jedwabną piżamę. Góra jest poplamiona jakby wymiocinami i krwią, ale nie widać śladu po kuli ani rany od noża. Twarz jest obrzękła, na szyi nie ma jednak sińców ani pręg od sznura. Obrzmienie to skutek powolnego procesu rozkładu. Hodges podciąga bluzę piżamy do góry, żeby zobaczyć brzuch. Podobnie jak twarz, brzuch jest lekko obrzmiały, ale to na pewno gazy. Nachyla się nad jej ustami, zagląda do środka i widzi to, co spodziewał się zobaczyć: zaschnięte rzygowiny na języku i w zagłębieniach pomiędzy dziąsłami a policzkami. Zgaduje, że się upiła, wyrzygała ostatni posiłek i zadławiła się jak gwiazda rocka. Krew mogła pochodzić z gardła. Albo z podrażnionego wrzodu żołądka.

Hodges podnosi telefon i mówi:

– Mógł ją otruć, ale raczej sama się załatwiła.

– Wóda?

– Prawdopodobnie. Bez sekcji trudno powiedzieć.

– Co mamy robić?

– Siedzieć na miejscu.

– Nie dzwoniemy na policję?

– Jeszcze nie.

– Holly chce z tobą rozmawiać.

Chwila ciszy, potem odzywa się Holly, czyściutko jak dzwoneczek. Wydaje się spokojna. Nawet spokojniejsza niż Jerome.

– Ona się nazywa Deborah Hartsfield. Deborah przez „h” na końcu.

– Dobra robota. Oddaj telefon Jerome’owi.

Po sekundzie chłopak mówi:

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Nie wiem, myśli Hodges, zaglądając do łazienki. Straciłem rozum i nie odzyskam go, jeśli z tym nie skończę. Tyle wiem.

Ale wspomina, jak Janey podarowała mu nowy kapelusz – szykowną fedorę prywatnego detektywa – i wie, że nie może skończyć. I nie chce.

W łazience jest czysto... prawie. W umywalce zostało trochę włosów. Hodges widzi je, ale nie zwraca na nie uwagi. Myśli o podstawowej różnicy pomiędzy przypadkową śmiercią a morderstwem. Morderstwo byłoby gorsze, bo zabicie bliskiego członka rodziny często oznacza, że szaleniec rozpoczął ostatnią rundę. Jeśli to był wypadek albo samobójstwo, może zostało jeszcze trochę czasu. Może Brady się gdzieś przyczaił i próbuje zdecydować, co dalej.

Podobnie jak ja, myśli Hodges. Bardzo podobnie.

Ostatni pokój należy do Brady’ego. Łóżko jest nieposłane. Na biurku piętrzą się bezładnie książki, głównie fantastyka naukowa. Na ścianie wisi plakat z *Terminatora*, z Arnoldem Schwarzeneggerem w ciemnych okularach, uzbrojonym w futurystyczny wielkokalibrowy karabin.

Jeszcze tu wrócę, myśli Hodges, spoglądając na plakat.

– Jerome? Zgłaszam się.

– Facet z naprzeciwka ciągle się gapi. Holly uważa, że powinniśmy wejść do środka.

– Jeszcze nie.

– Kiedy?

– Jak się upewnię, że tu jest bezpiecznie.

Brady ma własną łazienkę, schludną jak szafka żołnierza w dniu inspekcji. Hodges pobieżnie rzuca na nią okiem i wraca na dół. Do salonu przylega mała wnęka, akurat mieszcząca biurko. Na biurku stoi laptop. Na oparciu krzesła wisi na pasku torebka. Duża, oprawiona fotografia na ścianie przedstawia kobietę z sypialni na górze i nastoletnią wersję Brady’ego Hartsfielda. Stoją gdzieś na plaży, objęci, przytuleni policzkami. Na twarzach mają identyczne szerokie uśmiechy. Wyglądają bardziej na parę zakochanych niż na matkę z synem.

Hodges z fascynacją przygląda się niedojrzałemu Panu Mercedesowi. Nic w jego wyglądzie nie wskazuje na mordercze skłonności, ale oczywiście nikt nie ma na twarzy wypisane: „morderca”. Podobieństwo łączące tych dwoje jest niewielkie, głównie w kształcie nosów i kolorze włosów. Ładna z niej była kobieta, właściwie niemal piękna, ale Hodges podejrzewa, że ojciec Brady’ego nie był równie przystojny. Chłopiec na zdjęciu wygląda... zwyczajnie. Dzieciak, którego mijasz na ulicy, nie zaszczycając go drugim spojrzeniem.

Pewnie to mu odpowiada, myśli Hodges. Niewidzialny Człowiek.

Wraca do kuchni i tym razem spostrzega drzwi obok piecyka. Otwiera je i widzi strome schody opadające w ciemność. Zdając sobie sprawę, że jego sylwetka stanowi idealny cel dla kogoś na dole, przesuwa się w bok, szukając po omacku włącznika światła. Znajduje go i znowu staje w drzwiach z wymierzoną bronią. Widzi stół warsztatowy. Dalej całą ścianę zajmuje regał sięgający do wysokości talii. Na regale stoją szeregiem komputery. Kojarzy się to z centrum kontroli misji na przylądku Canaveral.

– Jerome? Zgłaszam się.

Nie czekając na odpowiedź, schodzi na dół z rewolwerem w jednej ręce i telefonem w drugiej, doskonale świadomy, jakie to groteskowe wypaczenie wszelkich policyjnych procedur. A jeśli Brady czeka pod schodami z własną bronią, gotów odstrzelić Hodgesowi stopy w kostkach? Albo jeśli zastawił pułapkę? Jest do tego zdolny; Hodges wie o tym teraz aż za dobrze.

Nie potyka się o żaden drut rozciągnięty nad stopniem. Piwnica okazuje się pusta. Jest tam komórka z otwartymi drzwiami, ale niczego w niej nie ma. Hodges widzi tylko puste półki. W jednym kącie piętrzą się pudełka po butach. Również wydają się puste.

Wynika z tego, myśli Hodges, że Brady albo zabił matkę, albo wrócił do domu i zastał ją martwą. Tak czy owak, ulotnił się. Jeśli miał materiały wybuchowe, trzymał je na półkach w komórce (prawdopodobnie w pudełkach po butach) i zabrał je ze sobą.

Hodges idzie na górę. Czas porozmawiać z nowymi partnerami. Nie chce ich w to wciągać jeszcze głębiej, ale na dole są komputery. Sam głównie się zna na komputerach.

– Wejdźcie od tyłu – mówi. – Kuchenne drzwi są otwarte.

Holly wchodzi, pociąga nosem i pyta:

– Uuch! Czy to Deborah Hartsfield?

– Tak. Spróbuj o tym nie myśleć. Chodźcie na dół. Chcę wam coś pokazać.

W piwnicy Jerome przesuwając ręką po stole warsztatowym.

– Jakikolwiek on jest, z pewnością jest Panem Porządnikiem.

– Wezwie pan policję, panie Hodges? – Holly znowu przygryza wargę. – Pewnie i tak nie mogę pana powstrzymać, ale matka będzie na mnie taka wściekła. No i to trochę niesprawiedliwe, bo to my odkryliśmy, kim on jest.

– Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię – odpowiada Hodges, chociaż ona ma rację: to niesprawiedliwe. – Ale na pewno chciałbym wiedzieć, co jest w tych komputerach. To by mi pomogło podjąć decyzję.

Jerome wybiera na chybił trafił jeden komputer (przypadkiem Numer Sześć Brady’ego; niewiele tam jest) i wciska zagłębiony guzik z tyłu monitora. To mac, ale nie ma melodyjki. Brady nie cierpi tej wesołej melodyjki i wyłączył ją we wszystkich swoich komputerach.

Numer Sześć błyska szarością i na ekranie zaczyna się kręcić kółeczko ładowania.

Po jakichś pięciu sekundach szarość zmienia się w błękit. Teraz powinna się wyświetlić ramka hasła, nawet Hodges to wie, ale zamiast tego pojawia się wielka liczba 20. Potem 19, potem 18.

Hodges i Jerome patrzą na to osłupiali.

– Nie, nie! – prawie krzyczy Holly. – Wyłącz to!

Kiedy żaden z nich nie reaguje natychmiast, dopada do monitora, ponownie wciska guzik z tyłu i przytrzymuje, aż ekran gaśnie. Po chwili wypuszcza wstrzymywany oddech i nawet się uśmiecha.

– Kurczę! Mało brakowało!

– Co myślisz? – pyta Hodges. – Że są zaminowane, żeby wybuchnąć, czy jak?

– W pewnym sensie – odpowiada Holly. – Może tylko się blokują, ale założę się, że to samobójczy program. Jeśli odliczanie dojdzie do zera, ten program wymazuje dane. Wszystkie dane. Może nie tylko w tym uruchomionym, ale też we wszystkich pozostałych, jeśli są połączone. A pewnie są.

– Więc jak to zatrzymać? – pyta Jerome. – Polecenie z klawiatury?

– Może. Może aktywacja głosowa.

– Że co? – pyta Hodges.

– Polecenie aktywowane głosem – wyjaśnia Jerome. – Brady mówi: „Cukiereczki” albo „Majteczki” i odliczanie ustaje.

Holly chichocze, zasłaniając ręką usta, potem nieśmiało szturcha Jerome’a w ramię.

– Głuptas jesteś – mówi.

Siedzą przy kuchennym stole, przy otwartych tylnych drzwiach, żeby wpuścić świeże powietrze. Hodges oparł łokieć na macie stołowej i podbródek na dłoni. Jerome i Holly milczą, pozwalają mu się zastanowić. Wreszcie podnosi głowę.

– Zamierzam to zgłosić. Nie chcę i gdyby chodziło tylko o mnie i Hartsfielda, pewnie bym nie zrezygnował. Ale muszę pamiętać o was...

– Nie rób tego ze względu na mnie – przerywa mu Jerome. – Jeśli widzisz jakieś dalsze możliwości, zostanę z tobą.

Jasne, że zostaniesz, myśli Hodges. Wydaje ci się, że wiesz, co ryzykujesz, ale nie wiesz. Kiedy masz siedemnaście lat, przyszłość jest wyłącznie teorią.

Co do Holly... wcześniej nazwałby ją ludzkim ekranem kinowym, bo każda jej myśl wyświeślała się wyraźnie na twarzy, ale w tym momencie ona jest nieprzenikniona.

– Dzięki, Jerome, tylko... – Tylko że to trudne. Rezygnacja jest trudna, tym bardziej że już po raz drugi musiałby sobie odpuścić Pana Mercedesa.

Ale.

– Nie chodzi tylko o nas, rozumiesz? On może mieć więcej materiałów wybuchowych, a jeśli ich użyje w tłumie... – patrzy prosto na Holly – ...tak jak użył mercedesa twojej kuzynki Olivii, to będzie moja wina. Nie podejmę takiego ryzyka.

Starannie wymawiając każde słowo, jakby chciała nadrobić lata mamrotania, Holly mówi:

– Tylko pan może go złapać.

– Dzięki, ale nie – odpowiada łagodnie Hodges. – Policja ma środki. Zaczną od rozesłania opisu jego samochodu, włącznie z numerem rejestracyjnym. Ja tego nie mogę zrobić.

Brzmi nieźle, jednak Hodges nie wierzy, że to coś da. Brady, jeśli nie podejmuje szaleńczego ryzyka jak wtedy w City Center, jest sprytny. Zadołował gdzieś samochód – może na parkingu w śródmieściu, może na którymś parkingu obok lotniska, może na jednym z tych niekończących się parkingów przy centrach handlowych. Jego pojazd to nie mercedes benz, tylko pospolite subaru w szarawym kolorze. Nie znajdą go dziś ani jutro. Mogą go szukać do przyszłego tygodnia. A jeśli go znajdą, Brady'ego na pewno nie będzie w pobliżu.

– Tylko pan – upiera się Holly. – I tylko z naszą pomocą.

– Holly...

– Jak pan może się poddać?! – krzyczy na niego. Zaciska jedną rękę w pięść i wali się w czoło, zostawiając czerwony ślad. – Jak pan może? Janey pana lubiła! Była jakby pana dziewczyną! A teraz nie żyje! Tak jak ta kobieta na górze!

Obie nie żyją!

Chce znowu się uderzyć, ale Jerome chwyta ją za rękę.

– Nie rób tego – mówi. – Proszę, nie bij się. Okropnie się czuję, kiedy to robisz.

Holly zaczyna płakać. Jerome obejmuje ją niezdarnie. On jest czarny, ona biała, on ma siedemnaście lat, ona ponad czterdzieści, ale w oczach Hodgesa wyglądają jak ojciec pocieszający córkę, która wróciła ze szkoły zapłakana, bo nikt jej nie zaprosił na wiosenny bal.

Hodges patrzy przez okno na małe, lecz starannie utrzymane tylne podwórko Hartsfieldów. On też czuje się okropnie, nie tylko ze względu na Janey, chociaż to już dostatecznie źle. Czuje się okropnie z powodu ludzi w City Center. Czuje się okropnie z powodu siostry Janey, której nie chcieli uwierzyć, którą prasa napiętnowała, a potem człowiek mieszkający w tym domu doprowadził do samobójstwa. Czuje się okropnie nawet dlatego, że zlekceważył panią Melbourne. Wie, że Pete Huntley by mu to wybaczył, co jeszcze pogarsza sprawę. Dlaczego? Bo Pete nie jest równie dobry w tym fachu jak on, Hodges. Pete nigdy mu nie

dorówna, nawet w swoich najlepszych chwilach. Stara się i ciężko pracuje, ale...

Ale.

Ale, ale, ale.

Ale to niczego nie zmienia. Hodges musi to zgłosić, nawet jeśli czuje się, jakby umierał. Jeśli odsunąć wszystko inne na bok, pozostaje jedno: Kermit William Hodges znalazł się w ślepym zaułku. Brady Hartsfield rozwiął się w powietrzu. Może w tych komputerach są jakieś wskazówki – podpowiedź, gdzie on teraz jest, co planuje, albo jedno i drugie – ale nie ma do nich dostępu. Hodges nie może usprawiedliwić dalszego ukrywania nazwiska i rysopisu człowieka, który dokonał masakry w City Center. Może Holly ma rację, może drań uniknie aresztowania i popełni jakąś nową okropność, ale kermitzabie¹⁹ skończyły się opcje. Pozostało mu tylko w miarę możliwości chronić Jerome'a i Holly. Chociaż teraz może nawet tego nie zdoła zrobić. W końcu wścibski staruch z naprzeciwka widział ich wszystkich.

Hodges wychodzi na ganek i otwiera swoją nokię, której używał dzisiaj więcej razy niż przez cały czas, odkąd przeszedł na emeryturę.

Wszystko do dupy, myśli i wystukuje na szybkim wybieraniu numer Pete'a Huntleya.

Pete odbiera po drugim dzwonku.

– Partnerze! – woła z entuzjazmem.

W tle słychać gwar głosów i Hodges myśli z początku, że Pete jest gdzieś w barze, podpity i na dobrej drodze, żeby się totalnie nawalić.

– Pete, muszę z tobą porozmawiać o...

– Dobra, dobra, zjem każdą żabę, tylko nie w tej chwili. Kto do ciebie zadzwonił? Izzy?

– Huntley! – ktoś krzyczy. – Szef będzie o piątej! Z prasą! Gdzie jest ten cholerny rzecznik prasowy?

Rzecznik prasowy. Pete nie jest w barze i nie jest pijany. Jest tylko cały w skowronkach.

– Nikt do mnie nie dzwonił, Pete. Co się dzieje?

– Nie wiesz? – Pete się śmieje. – Największy nalot na magazyn broni w historii tego miasta. Może największy w historii USA. Setki karabinów maszynowych M dwa i HK dziewięćdziesiąt jeden, granatniki, pieprzone działa laserowe, skrzynie Lahti L-trzydzieści pięć w stanie fabrycznym, rosyjskie AN-dziewięć jeszcze w smarze... wystarczy towaru, żeby wyposażyc milicję dwudziestu krajów wschodniej Europy. A amunicja! Chryste! Zmagazynowana na wysokość dwóch pięter! Gdyby w tym cholernym lombardzie wybuchł pożar, całe Lowtown wyleciałoby w powietrze!

Syreny. Słyszy syreny. Więcej krzyków. Ktoś wrzeszczy na kogoś, żeby ustawił te barierki.

– W jakim lombardzie?

– King Virtue, Zastawy i Pożyczki, na południe od MLK. Znasz to miejsce?

– Taa...

– I zgadnij, kto jest właścicielem? – Ale Pete jest zbyt podekscytowany, żeby pozwolić mu zgadywać. – Alonzo Moretti! Kapujesz?

Hodges nie kapuje.

– Moretti jest wnukiem Fabrizia Abbascii, Bill! Fabby Nochal! Już sobie kojarzysz?

Z początku jeszcze nie, ponieważ kiedy Pete i Isabelle przeszukiwali Hodgesa, on po prostu wygrzebał nazwisko Abbascii z pamięciowego archiwum starych spraw, jako przykład kogoś, kto mógł żywić do niego urazę... a przez lata nabierało się paręset takich przykładów.

– Pete, King Virtue należy do czarnych. Jak wszystko w tamtej okolicy.

– Gówno prawda. Na szyldzie jest nazwisko Bertonne Lawrence, ale sklep jest wydzierzawiony, Lawrence to figurant i śpiewa jak z nut. Wiesz, co jest najlepsze? Mieliliśmy udział w nalocie, bo dwoje gliniarzy z patrolu zaczęło zabawę jakiś tydzień wcześniej, zanim ATF zamierzała zgarnąć tych gości. Wszyscy detektywi z wydziału tam są. Szef jest w drodze i ciągnie ze sobą orszak prasowy większy niż parada w Święto Dziękczynienia. Nie ma mowy, żeby fedzie to zatrzymali dla siebie! Nie ma mowy! – Tym razem śmieje się całkiem jak wariat.

Wszyscy detektywi z wydziału, myśli Hodges. Czyli co zostaje dla Pana Mercedesa? Mniej niż zero.

– Bill, muszę lecieć. To... człowieku, to jest niesamowite.

– Jasne, ale najpierw mi powiedz, co to ma wspólnego ze mną.

– Sam mówiłeś. Bomba w samochodzie to była zemsta. Morelli próbował spłacić dług krwi dziadka. Oprócz karabinów, pistoletów, granatów i innego asortymentu są co najmniej cztery skrzynie z rolkami Hendricks Chemical Detasheet. Wiesz, co to jest?

– Plastikowy materiał wybuchowy. – Dopiero teraz Hodges sobie kojarzy.

– No. Inicjowany detonatorem z azydku ołowiu, a wiemy już, że tego użyto do odpalenia

ładunku w twoim samochodzie. Nie mamy chemicznej analizy samego ładunku, ale kiedy dostaniemy, okaże się, że to Detasheet. Możesz na to liczyć. Masz szczęście, skurczybyku.

– To prawda – mówi Hodges. – Mam szczęście.

Wyobraża sobie scenę przed lombardem King Virtue: wszędzie gliny i agenci ATF (pewnie już kłócący się o jurysdykcję) i ciągle przybywają nowi. Lowbriar zamknięta, pewnie MLK też. Gromadzi się tłum gapiów. Szef policji i inne ważne osoby w drodze. Burmistrz nie przepuści takiej okazji, żeby wygłosić przemówienie. No i ci wszyscy reporterzy, ekipy telewizyjne i wozy transmisyjne. Pete jest nieprzytomny z podniecenia. Czy w tej sytuacji Hodges zamierza się zapuścić w długą i skomplikowaną opowieść o masakrze w City Center i komputerowej witrynie o nazwie Pod Niebieskim Parasolem Debbie, i martwej mamusi, która pewnie zapłała się na śmierć, i zbiegłym naprawiaczu komputerów?

Nie, decyduje, nie zamierzam.

Zamiast tego życzy Pete'owi powodzenia i rozłącza się.

Kiedy wraca do kuchni, nie widzi Holly, ale słyszy jej głos. Zdaje się, że Holly Mamrota zmieniła się w Holly Kaznodzieję; jej słowa mają tę specyficzną, wznoszącą się i opadającą kadencję, przynajmniej w tej chwili.

– Jestem z panem Hodgesem i jego przyjacielem Jerome'em – mówi. – To są moi przyjaciele, mamó. Zjedliśmy smaczny lunch. Teraz oglądamy widoki, a wieczorem pójdziemy razem na dobrą kolację. Rozmawiamy o Janey. Mogę to zrobić, jeśli chcę.

Pomimo poczucia zagubienia i nieustającego smutku z powodu Janey Hodges jest rozweselony, słysząc, jak Holly stawia czoło swojej matce. Nie wie, czy to po raz pierwszy, ale na Boga żywego, to całkiem możliwe.

– Kto zadzwonił do kogo? – pyta Jerome'a, kiwając głową w stronę, z której dobiega głos.

– Holly do matki, ale to był mój pomysł. Miała wyłączony telefon, żeby matka nie mogła do niej zadzwonić. Nie chciała, dopóki nie powiedziałem, że jej matka może zawiadomić gliny.

– I co z tego? – pyta teraz Holly. – To był samochód Olivii i wcale go nie ukradłam. Będę w domu wieczorem, mamó. Do tej pory zostaw mnie w spokoju!

Wraca do kuchni zarumieniona, wyzywająca, odmłodzona o parę lat i całkiem ładna.

– Wymiatasz, Holly – rzuca Jerome i podnosi rękę, żeby przybić piątkę.

Ona go ignoruje. Wpatruje się w Hodgesa.

– Jeśli pan zadzwoni na policję i narobi mi kłopotów, to trudno. Ale nie powinien pan, chyba że już pan to zrobił. Oni go nie znajdą. A my możemy go znaleźć. Wiem, że możemy.

Hodges uświadamia sobie, że jeśli schwywanie Pana Mercedesa jest dla kogokolwiek ważniejsze niż dla niego, tym kimś jest Holly Gibney. Może po raz pierwszy w życiu robi coś ważnego. I robi to wspólnie z ludźmi, którzy ją lubią i szanują.

– Zatrzymam to dla siebie trochę dłużej. Głównie dlatego, że dziś po południu gliny mają co innego do roboty. Co zabawne... czy może ironiczne... oni myślą, że to ma związek ze mną.

– O czym ty mówisz? – pyta Jerome.

Hodges spogląda na zegarek i widzi, że jest dwadzieścia po drugiej. Siedzieli tutaj dostatecznie długo.

– Wracajmy do mnie. Powiem wam po drodze, a potem jeszcze raz wszystko przewalkujemy. Jeśli nic nie wymyślimy, zadzwonię jeszcze raz do mojego partnera. Nie będę ryzykował drugiego horroru.

Chociaż już podjął ryzyko i widzi w ich twarzach, że wiedzą o tym równie dobrze jak on.

– Weszłam do tego gabinetu obok salonu, żeby zadzwonić do matki – mówi Holly. – Pani Hartsfield miała laptopa. Jeśli jedziemy do pana, chcę go zabrać.

– Po co?

– Może się dowiem, jak się dostać do jego komputerów. Ona mogła zapisać komendy z klawiatury albo hasło aktywacji głosowej.

– Holly, to mało prawdopodobne. Chorzy umysłowo, jak Brady, bardzo się starają ukryć przed wszystkimi, kim są.

– Wiem o tym – odpowiada Holly. – Oczywiście, że wiem. Bo sama jestem chora umysłowo i staram się to ukryć.

– Hej, Hol, daj spokój. – Jerome próbuje wziąć ją za rękę. Ona mu nie pozwala. Wyjmuje z kieszeni papierosa.

– Jestem chora i wiem o tym. Moja matka też wie i nie spuszcza mnie z oczu. Szpieguje mnie. Bo chce mnie chronić. Pani Hartsfield pewnie była taka sama. W końcu on był jej synem.

– Jeśli ta Linklatter z Discount Electronix nie kłamała – mówi Hodges – pani Hartsfield prawie przez cały czas była pijana w cztery dupy.

– Może była wysokofunkcjonującą pijaczką – replikuje Holly. – Ma pan lepszy pomysł? Hodges się poddaje.

– Okay, zabieraj laptopa. Co tam.

– Jeszcze nie – oświadcza Holly. – Za pięć minut. Chcę wypalić papierosa. Wyjdę na ganek.

Wychodzi. Siada. Zapala.

Hodges woła przez siatkowe drzwi:

– Kiedy się zrobiłaś taka asertywna, Holly?!

Ona odpowiada, nie odwracając się:

– Chyba kiedy zobaczyłam szczątki mojej kuzynki płonące na ulicy.

Za piętnaście trzecia tego popołudnia Brady wychodzi z pokoju w Motelu 6, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, i spostrzega po drugiej stronie autostrady bar z pieczonymi kurczakami Chicken Coop. Przechodzi na drugą stronę i zamawia swój ostatni posiłek: clucker delight z podwójnym sosem i surówką z kapusty. Część restauracyjna jest prawie pusta, więc Brady zanoszą tacy do stolika przy oknie, żeby siedzieć w słońcu. Wkrótce skończy się dla niego słońce, więc może się nim nacieszyć, póki czas.

Je powoli, wspominając, ile razy przynosił do domu jedzenie na wynos z Chicken Coop i jak matka zawsze prosiła o cluckera z podwójną surówką z kapusty. Zamówił posiłek, nawet o tym nie myśląc. Wspomnienie wywołuje łzy, Brady ociera je papierową serwetką. Biedna mama!

Słońce jest przyjemne, ale korzyści daje efemeryczne. Brady rozważa bardziej trwałe korzyści, jakie przyniesie ciemność. Koniec wysłuchiwanie lesbo-feministycznych tyrad Freddi Linklatter. Koniec wysłuchiwanie, jak Tones Frobisher tłumaczy, że nie może jeździć na wezwania ze względu na ODPOWIEDZIALNOŚĆ WOBEC SKLEPU, podczas gdy w rzeczywistości nie rozpoznałby awarii twardego dysku, gdyby mu odgryzła fiuta. Koniec wrażeń, że nerki mu zamarzają na lód, kiedy jeździ furgonetką Pana Smakusia w sierpniu z zamrażarkami nastawionymi na pełną moc. Koniec walenia w deskę rozdzielczą subaru, kiedy radio wysiada. Koniec rozmyślań o koronkowych majteczkach matki i długich, długich udach. Koniec wściekłości, że go ignorują i traktują jak popychadło. Koniec bólów głowy. I koniec bezsennych nocy, bo po dzisiejszym dniu będzie tylko długi, nieprzerwany sen.

Sen bez snów.

Brady kończy posiłek (zjada wszystko do ostatniego kęsa), sprząta ze stołu, ściera drugą serwetką plamy sosu i wrzuca śmieci do kubła. Dziewczyna za ladą pyta go, czy wszystko było w porządku. Brady odpowiada, że tak, i zastanawia się, ile kurczaka, sosu, bułeczek i surówki zdąży strawić, zanim eksplozja rozerwie mu brzuch i rozbryźnie zawartość żołądka.

Zapamiętają mnie, myśli, kiedy stoi na skraju autostrady i czeka na przerwę w ruchu, żeby wrócić do motelu. Najwyższy wynik. Przejdę do historii. Teraz cieszy się, że nie zabił tłustego ekspliniera. Hodges powinien dożyć do dzisiejszego wieczoru. Powinien to zapamiętać. Powinien z tym żyć.

Po powrocie do pokoju spogląda na wózek inwalidzki i nafaszerowane materiałem wybuchowym worki na mocz, leżące na wypchanej materiałem wybuchowym poduszce z napisem DUPOPARKING. Chce dotrzeć do MAC wcześniej (ale nie za wcześniej; nie powinien się wyróżniać bardziej niż przez sam fakt, że jest płci męskiej i ma więcej niż trzynaście lat), ale zostało mu jeszcze trochę czasu. Zabrał ze sobą laptopa, bez żadnego szczególnego powodu, tylko z przyzwyczajenia, i teraz jest zadowolony. Otwiera go, łączy się z motelowym Wi-Fi i wchodzi Pod Niebieski Parasol Debbie. Tam zostawia ostatnią wiadomość – coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej.

Następnie idzie na długoterminowy parking obok lotniska i zabiera subaru.

Hodges i dwoje detektywów stażystów docierają na Harper Road tuż przed wpół do czwartej. Holly rozgląda się pobieżnie i mówi:

– Jak na mężczyznę, który mieszka sam, jest pan dość porządny.

Potem taszczy laptopa zmarłej pani Hartsfield do kuchni i włącza go. Jerome i Hodges stoją obok i mają nadzieję, że nie pojawi się żądanie hasła... ale się pojawia.

– Spróbuj jej imię – podpowiada Jerome.

Holly próbuje. Nic z tego.

– Okay, spróbuj „Debbie” – radzi Jerome. – Najpierw przez „ie”, a potem z „i” na końcu.

Ona odgarnia z oczu kosmyk mysich włosów, żeby wyraźnie widział jej irytację.

– Jerome, znajdź sobie coś do roboty, okay? Nie chcę, żebyś mi zaglądał przez ramię. Nie znoszę tego. – Przenosi uwagę na Hodgesa. – Czy mogę tu palić? Mam nadzieję, że tak. To mi pomaga myśleć. Papierosy pomagają mi myśleć.

Hodges podaje jej spodeczek.

– Palenie dozwolone. Będziemy z Jerome’em w gabinecie. Krzycz, jak coś znajdziesz.

Nie ma na to wielkich szans, myśli. Nie ma wielkich szans na cokolwiek.

Holly nie zwraca na niego uwagi. Zapala papierosa. Porzuciła ton kaznodziei i wróciła do mamrotania.

– Oby zostawiła wskazówkę. Liczę na wskazówkę. Holly liczy na wskazówkę.

O rany, myśli Hodges.

W gabinecie pyta Jerome’a, czy wie, o jakiej wskazówce mówiła Holly.

– Po trzech próbach niektóre komputery podają wskazówkę do hasła. Żeby pobudzić twoją pamięć, na wypadek gdybyś zapomniał. Ale tylko jeśli są tak zaprogramowane.

Z kuchni dobiega głośny, bynajmniej nie mamrotany okrzyk:

– Gówno! Podwójne gówno! Potrójne gówno!

Hodges i Jerome wymieniają spojrzenia.

– Chyba nie ten – mówi Jerome.

Hodges włącza własny komputer i mówi Jerome'owi, czego chce: listy wszystkich publicznych zgromadzeń w ciągu najbliższych siedmiu dni.

– Da się zrobić – mówi Jerome – ale może najpierw rzuć na to okiem.

– Co?

– Wiadomość. Pod Niebieskim Parasolem.

– Kliknij.

Hodges zacisnął pięści, ale kiedy czyta ostatni komunikat od merckilla, powoli rozwiera dłonie. Wiadomość jest krótka i chociaż niezbyt pomocna, zawiera promyk nadziei.

Żegnaj, frajerze.

PS: Miłego weekendu. Ja będę się dobrze bawił.

Jerome mówi:

– Chyba dostałeś list pożegnalny, Bill.

Hodges też tak myśli, ale nie dba o to. Skupia się na postscriptum. To może być zmyłka, ale jeśli nie, mają trochę czasu.

Z kuchni napływa kłęb dymu papierosowego i kolejny głośny okrzyk: „Gówno!”.

– Bill? Właśnie miałem złe przecucie.

– Jakie?

– Ten koncert dziś wieczorem. 'Round Here. W Mingo. Moja siostra idzie z matką.

Hodges zastanawia się nad tym. Audytorium Mingo ma cztery tysiące miejsc, ale dzisiejsza publiczność będzie w osiemdziesięciu procentach żeńska – mamusie i ich jedenasto-, dwunastoletnie córki. Przyjdą też mężczyźni, ale prawie wyłącznie jako opiekunowie swoich córek i ich koleżanek. Brady Hartsfield to przystojny mężczyzna około trzydziestki i jeśli spróbuje sam wejść na ten koncert, będzie tam pasował jak pięść do nosa. W Ameryce dwudziestego pierwszego wieku każdy samotny mężczyzna, który pojawia się na imprezie przeznaczonej głównie dla nieletnich dziewczynek, zwraca uwagę i budzi podejrzenia.

Poza tym: Miłego weekendu. Ja będę się dobrze bawił.

– Myślisz, że powinienem zadzwonić do mamy i poprosić, żeby zatrzymała dziewczynki w domu? – Jerome wydaje się przerażony taką perspektywą. – Barb pewnie już nigdy się do mnie nie odezwie. No i jest jej koleżanka Hilda i kilka innych...

– Oż ty cholero! Otwórz się! – dobiega z kuchni.

Zanim Hodges zdąży odpowiedzieć, Jerome dodaje:

– Z drugiej strony rzeczywiście wygląda tak, jakby on coś zaplanował na weekend, a dzisiaj jest dopiero czwartek. Czy tylko chce, żebyśmy tak myśleli?

Hodges skłonny jest uwierzyć w prawdziwość tej zapowiedzi.

– Znajdź jeszcze raz to zdjęcie Hartsfielda z Cyberpatrolu, dobra? To, które się wyświetla, kiedy klikasz na POZNAJ EKSPERTÓW.

Podczas gdy Jerome szuka, Hodges dzwoni do Marlo Everett z policyjnego archiwum.

– Hej, Marlo, znowu Bill Hodges... Taa, dużo zamieszania w Lowtown, słyszałem od Pete'a. Połowa ludzi tam jest, co? Uhum... no, nie będę cię długo trzymał. Nie wiesz, czy Larry Windom dalej jest kierownikiem ochrony w MAC? Taa, zgadza się, Romper-Stomper. Jasne, zaczekam.

Czekając, wyjaśnia Jerome'owi, że Larry Windom przeszedł na wcześniejszą emeryturę, bo MAC zaproponował mu posadę z pensją dwukrotnie wyższą niż zarobki detektywa. Nie mówi, że nie tylko dlatego Windom odszedł po dwudziestu latach. Potem wraca Marlo. Tak, Larry ciągle pracuje w MAC. Marlo nawet podaje numer do biura ochrony MAC. Zanim Hodges

zdążył się pożegnać, ona go pyta, czy jest jakiś problem.

– Bo dziś wieczorem tam jest wielki koncert. Moja siostrzenica idzie. Szaleje za tymi pacanami.

– Wszystko gra, Marlo. To tylko jedna dawna sprawa.

– Powiedz Larry’emu, że dzisiaj by nam się przydał – mówi Marlo. – W pokoju odpraw pusto jak wymiółł. Detektywów ani na lekarstwo.

– Powiem.

Hodges dzwoni do ochrony MAC, przedstawia się jako detektyw Bill Hodges i prosi do telefonu Windoma. Czekając, wpatruje się w Brady’ego Hartsfielda. Jerome powiększył zdjęcie tak, że zajmuje cały ekran. Hodgesa fascynują oczy. W mniejszej wersji, obok dwójki kolegów informatyków, te oczy wyglądały całkiem sympatycznie. Jednak w powiększeniu to się zmienia. Usta się uśmiechają; oczy nie. Oczy są odległe i pozbawione wyrazu. Niemal martwe.

Bzdura, mówi sobie (karci się). To klasyczny przypadek dostrzegania czegoś, co nie istnieje, na podstawie tego, co się wie – jak świadek napadu na bank, który mówi: „Pomyślałem, że facet wygląda podejrzanie, zanim jeszcze wyciągnął broń”.

Brzmi dobrze, brzmi profesjonalnie, ale Hodges w to nie wierzy. Myśli, że oczy spoglądające z ekranu to oczy ropuchy ukrytej pod kamieniem. Albo pod wyrzuconym niebieskim parasolem.

Potem zgłasza się Windom. Ma grzmiący głos – człowiek odruchowo odsuwa słuchawkę od ucha, kiedy z nim rozmawia – i gęba mu się nie zamyka jak zwykle. Chce wiedzieć wszystko o wielkim nalocie po południu. Hodges mówi mu, że to megalot, ale poza tym nie wie nic. Przypomina, że jest na emeryturze.

Ale.

– Tyle się dzieje – dodaje – że Pete Huntley poniekąd oddelegował mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Mam nadzieję, że nie zgłaszasz pretensji.

– Jezus, nie. Chętnie poszedłbym z tobą na drinka, Bill. Pogadał o dawnych czasach, skoro obaj odeszliśmy ze służby. No wiesz, o tym i owym.

– Byłoby miło. – Byłby to istny koszmar.

– W czym mogę pomóc?

– Pete mówi, że masz tam dzisiaj koncert. Jakiś popularny boysband. Uwielbiany przez małolatki.

– Ii-ii-ii, niech je szlag. Już się ustawiają w kolejce. I rozgrzewają. Ktoś krzyknie imię jednego z tych szczeniaków i wszystkie wrzeszczą. Nawet jeśli tamci dopiero przychodzą z parkingu. Całkiem jak beatlemania z dawnych czasów, tylko że ten zespół to nie Beatlesi, jak słyszałem. Dostałeś pogroźkę o bombie czy co? Powiedz, że nie. Panienki rozerwą mnie na strzępy, a mamusie zjedzą resztki.

– Dostałem cynk, że dzisiaj możesz tam mieć faceta, który molestuje nieletnie. Bardzo, bardzo zły chłopczyk, Larry.

– Nazwisko i opis? – Szybko i twardo, żadnych bzdetów. Facet, który odszedł z policji, bo był za szybki w pięściach. Problem gniewu w żargonie wydziałowego psychologa. Romper Stomper w slangu kolegów.

– Nazywa się Brady Hartsfield. Wyślę ci e-mailem jego zdjęcie. – Zerka na Jerome’a, który kiwa głową i robi kółko z kciuka i palca wskazującego. – Ma około trzydziestu lat. Jeśli go zobaczysz, najpierw do mnie zadzwoń, potem go łap. Ostrożnie. Jeśli spróbuje stawiać opór, obezwładnij skurwysyna.

– Z przyjemnością, Billy. Przekażę to moim chłopcom. Czy on może przyjść z... nie wiem... z kimś? Z jakąś nastolatką albo jeszcze młodszą?

– Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Jeśli go zauważysz w tłumie, Lar, musisz go wziąć z zaskoczenia. Może być uzbrojony.

– Jakie są szanse, że przyjdzie na koncert? – Pyta niemal z nadzieją, co jest typowe dla Larry’ego Windoma.

– Niewielkie. – Hodges absolutnie w to wierzy, nie tylko z powodu wzmianki o weekendzie, którą Hartsfield umieścił Pod Niebieskim Parasolem. On musi wiedzieć, że wśród tej dziewczęcej publiczności nie mógłby się przemknąć niepostrzeżenie. – W każdym razie rozumiesz, dlaczego komenda nie może przysłać glin? Skoro tyle się dzieje w Lowtown.

– Nie potrzebuję ich – oświadcza Windom. – Mam dzisiaj trzydziestu pięciu chłopą, większość to emerytowani gliniarze. Wiemy, co robimy.

– Okay. Pamiętaj, najpierw do mnie zadzwoń – prosi Hodges. – My, emeryci, nie mamy wielu rozrywek i musimy bronić tego, co dostajemy.

Windom się śmieje.

– Jasna sprawa. Wyślij mi zdjęcie. – Recytuje adres e-mailowy, który Hodges zapisuje i podaje Jerome’owi. – Jeśli go zobaczymy, zgarniemy go. Potem to twoja akcja... wuju Billu.

– Pierdol się, wuju Larry – odgryza się Hodges. Rozłącza się, odwraca do Jerome’a.

– Zdjęcie właśnie poszło – oznajmia chłopak.

– Dobra. – Potem Hodges mówi coś, co będzie go prześladowało przez resztę życia. – Jeśli Hartsfield jest tak bystry, jak sam uważa, nie zbliży się dzisiaj do Mingo. Myślę, że twoja mama i siostra mogą spokojnie pójść. Jeśli on spróbuje się dostać na koncert, chłopcy Larry’ego go zatrzymają, jak tylko stanie w drzwiach.

Jerome się uśmiecha.

– Świetnie.

– Zobacz, co jeszcze znajdziesz. Skup się na sobocie i niedzieli, ale nie zaniedbuj przyszłego tygodnia. I nie zapominaj o jutrzejszym dniu, bo...

– Bo weekend zaczyna się w piątek. Kumam.

Jerome bierze się do roboty. Hodges idzie do kuchni, żeby sprawdzić, jak sobie radzi Holly. I staje jak wryty. Obok pożyczonego laptopa leży czerwony portfel. Na stole walają się karty kredytowe Deborah Hartsfield, faktury i dowód tożsamości. Holly, już z trzecim papierosem, trzyma MasterCard i przygląda się jej przez kłęby sinego dymu. Spogląda na Hodgesa z miną jednocześnie przestraszoną i wyzywającą.

– Próbuję tylko znaleźć jej zafajdane hasło! Jej torebka wisiała na oparciu krzesła, a portmonetka leżała na samym wierzchu, więc włożyłam ją do kieszeni. Bo czasami ludzie przechowują hasła w portmonetkach. Zwłaszcza kobiety. Nie chciałam jej pieniędzy, panie Hodges. Mam własne. Dostaję kieszonkowe.

Kieszonkowe, myśli Hodges. Och, Holly.

Oczy jej zachodzą łzami i znowu przygryza wargi.

– Ja nigdy nie kradnę.

– Okay. – Hodges chce ją poklepać po rękę, ale dochodzi do wniosku, że w tej chwili to zły pomysł. – Rozumiem.

Jezu Chryste, o co ten krzyk? W porównaniu z numerami, jakie wykręcił, odkąd ten cholerny list wpadł przez szparę, zwęddzenie portfela nieboszczki to małe miki. Kiedy wszystko się wyda – bo na pewno się wyda – Hodges powie, że sam go wziął.

Tymczasem Holly jeszcze nie skończyła.

– Mam własną kartę kredytową i pieniądze. Nawet mam konto w banku. Kupuję gry wideo i aplikacje do mojego iPada. Kupuję ubrania. I kolczyki, boje lubię. Mam pięćdziesiąt sześć par. I sama kupuję sobie papierosy, chociaż są teraz bardzo drogie. Może pana zainteresuje,

że w Nowym Jorku paczka papierosów kosztuje teraz jedenaście dolarów. Staram się nie być ciężarem, bo nie mogę pracować, i ona mówi, że nie jestem, ale wiem, że jestem...

– Holly, przestań. Zachowaj te gadki dla swojego psychoanalityka, jeśli go masz.

– Oczywiście, że mam. – Uśmiecha się posępnie do upartej ramki z hasłem na ekranie laptopa pani Hartsfield. – Jestem popieprzona, nie zauważył pan?

Hodges woli to puścić mimo uszu.

– Szukałam karteczki z hasłem – ciągnie Holly – ale nie znalazłam. Więc spróbowałam numer ubezpieczenia, najpierw zwyczajnie, a potem od tyłu. To samo z kartami kredytowymi. Próbowałam nawet kodów bezpieczeństwa na kartach kredytowych.

– Jakież inne pomysły?

– Kilka. Niech mnie pan zostawi samą. – Kiedy Hodges wychodzi, ona woła: – Przepraszam za palenie, ale naprawdę pomaga mi myśleć!

Ponieważ Holly siedzi w kuchni i stuka na klawiaturze, a Jerome robi to samo w gabinecie, Hodges zasiada w La-Z-Boyu w salonie i gapi się w wyłączony telewizor. To złe miejsce do siedzenia, chyba najgorsze. Logiczna część jego umysłu rozumie, że wszystko, co się stało, to wina Brady'ego Hartsfielda, ale kiedy siedzi w La-Z-Boyu – gdzie spędził tak wiele nudnych telewizyjnych popołudni, czując się niepotrzebny i oderwany od wszystkiego, co uważał za oczywiste podczas lat pracy – logika traci moc. Na jej miejsce wpelza okropna myśl: on, Kermit William Hodges, popełnił przestępstwo, bo spartaczył policyjną robotę i w ten sposób pomógł Panu Mercedesowi. Stali się współnikami, jak gwiazdorzy telewizyjnego show pod tytułem: *Bill i Brady zabijają różne panie*. Ponieważ kiedy Hodges spogląda w przeszłość, widzi wiele ofiar płci żeńskiej: Janey, Olivia Trelawney, Janice Cray i jej córka Patricia... plus Deborah Hartsfield, która mogła zostać otruta. I nawet nie doliczyłem Holly, myśli, która może wyjść z tego jeszcze bardziej popieprzona niż przedtem, jeśli nie znajdzie hasła... albo jeśli je znajdzie i okaże się, że w komputerze mamusi nie ma nic, co pomogłoby nam dopaść jej synusia. A jaka jest na to szansa?

Siedząc w fotelu – wiedząc, że powinien wstać, ale na razie niezdolny się poruszyć – Hodges myśli, że jego destrukcyjne związki z kobietami sięgają jeszcze dalej w przeszłość. Była żona opuściła go nie bez powodu. Przyczyniły się do tego lata picia graniczącego z alkoholizmem, ale dla Corinne (która sama lubiła wypić drinka) nie to było najważniejsze. Chodziło o zimno, które najpierw wsączyło się przez szczeliny w ich małżeństwie, a potem zamroziło je na lód. Chodziło o to, jak ją odsunął od siebie, wmawiając sobie, że to dla jej dobra, bo jego praca często była taka paskudna i przygnębiająca. Jak dawał do zrozumienia na dziesiątki sposobów – mniej lub bardziej wyraźnie – że gdyby miał wybierać pomiędzy nią a pracą, Corinne Hodges zawsze zajmie drugie miejsce. Co do córki... Jezu. Allie nigdy nie zapomina wysłać mu kartek z życzeniami na urodziny i na święta (choć w walentynkowe kartki przestały przychodzić jakieś dziesięć lat temu) i rzadko zaniedbuje obowiązkowy telefon w sobotę wieczorem, ale od paru lat nie przyjeżdża z wizytą. Co świadczy wystarczająco wymownie, jak bardzo skopał ten związek.

Hodges wspomina, jaka była śliczna w dzieciństwie, z piegami i szopą rudych włosów – mała marchewka. Pędziła do niego przez korytarz, kiedy wracał do domu, i skakała bez strachu, wiedząc, że upuści, cokolwiek niesie, i ją złapie. Janey wspomniała, że szalała za Bay City Rollers. Allie też miała swoich ulubieńców, swoich chłopców z opakowań gumy do żucia. Kupowała ich płyty za kieszonkowe, małe płytki z dużymi otworami w środku. Czyje? Pamięta tylko, że w jednej piosence powtarzało się w kółko: *every move you make* i *every step you take*. Czy to była Bananarama, czy Thompson Twins? Nie wie, ale wie, że nigdy nie zabrał jej na koncert, chociaż Corrie może zabrała ją na Cyndi Lauper.

Wspomnienie Allie i jej zamiłowania do muzyki pop budzi nową myśl, która sprawia, że Hodges nagle prostuje się w fotelu, szeroko otwiera oczy i ściska tapicerowane poręcze La-Z-Boya.

Czy pozwoliłby Allie pójść dzisiaj na ten koncert?

Odpowiedź brzmi: za nic w świecie. Wykluczone.

Hodges spogląda na zegarek i widzi, że dochodzi czwarta. Wstaje, zamierzając pójść do gabinetu i powiedzieć Jerome'owi, żeby zadzwonił do mamy i zabronił jej zabierać dziewczynki do MAC, choćby nie wiadomo jak jęczały i rozpaczały. Dzwonił do Larry'ego Windoma i przedsięwziął środki ostrożności, ale do cholery ze środkami ostrożności. Nigdy nie powierzyłby Romper Stomperowi życia Allie. Nigdy.

Zanim zdążył zrobić dwa kroki w stronę gabinetu, Jerome woła:
– Bill! Holly! Chodźcie! Chyba coś znalazłem!

Stają za Jerome'em, Hodges zagląda mu przez lewe ramię, a Holly przez prawe. Na ekranie komputera jest artykuł prasowy.

**SYNERGY CORP., CITIBANK, 3 SIECI RESTAURACJI ORGANIZUJĄ
NAJWIĘKSZY LETNI DZIEŃ KARIERY NA ŚRODKOWYM ZACHODZIE
W EMBASSY SUITES**

DO NATYCHMIASTOWEGO ROZPOWSZECHNIENIA.

Zapraszamy poszukujących pracy oraz weteranów wojskowych na największy doroczny Dzień Kariery w sobotę, 5 czerwca 2010 roku. Spotkanie poświęcone walce z recesją odbędzie się w Embassy Suites w śródmieściu, Synergy Square 1. Wcześniejsza rejestracja jest wskazana, ale niekonieczna. Znajdziecie setki ciekawych i dobrze płatnych posad w witrynie Citibanku, w miejscowych McDonalдах, Burger Kingach i Chicken Coopach albo na www.synergy.com. Oferowane prace to: specjalista do spraw obsługi klientów, sprzedawca, ochroniarz, hydraulik, elektryk, księgowy, analityk finansowy, telemarketer, kasjer. We wszystkich salach konferencyjnych znajdziecie wyszkolonych i pomocnych doradców oraz pożyteczne seminaria. Wstęp wolny. Drzwi otwierają się o 8.00. Przyniescie życiorysy i ubierzcie się jak ludzie sukcesu. Pamiętajcie, że wcześniejsza rejestracja przyspieszy procedurę i zwiększy wasze szanse na znalezienie pracy, jakiej szukacie.

RAZEM POKONAMY RECESJĘ!

- I co myślicie? – pyta Jerome.
- Myślę, że trafiłeś w dziesiątkę.

Hodgesa zalewa ogromna fala ulgi. Nie dzisiejszy koncert ani zatłoczony klub w śródmieściu, ani mecz baseballowy Małej Ligi Groundhogs-Mudhens jutro wieczorem, tylko impreza w Embassy Suites. To na pewno to, pasuje zbyt idealnie, żeby stawiać na cokolwiek innego. W szaleństwie Brady'ego Hartsfielda jest metoda: dla niego alfa równa się omedze. Hartsfield zamierza zakończyć karierę masowego mordercy tak samo, jak rozpoczął, zabijając miejskich bezrobotnych.

Hodges odwraca się, żeby zobaczyć, jak to przyjęła Holly, ale ona wyszła. Wróciła do kuchni, siedzi przed laptopem Deborah Hartsfield i gapi się na ramkę hasła. Zgarbiła ramiona. Obok na spodku papieros wypalił się do filtra, zostawiając schludny wałeczek popiołu.

Tym razem Hodges ośmiela się jej dotknąć.

– W porządku, Holly. Hasło nie ma znaczenia, bo teraz znamy lokalizację. Za parę godzin, kiedy w Lowtown trochę się uspokoi, zadzwonię do mojego byłego partnera i powiem mu wszystko. Zarządzą poszukiwania Hartsfielda i jego samochodu. Jeśli go nie złapią przed sobotnim rankiem, zgarzą go, kiedy przyjedzie na targi pracy.

– Czy dzisiaj możemy jeszcze coś zrobić?

– Myślę nad tym. – Właściwie jest jedna rzecz, chociaż szanse są tak małe, że praktycznie zerowe.

– A jeśli pan się myli i to wcale nie będzie ten Dzień Kariery? – mówi Holly. – Jeśli on planuje dzisiaj wysadzenie w powietrze jakiegoś kina?

Jerome wchodzi do kuchni.

– Jest czwartek, Holly, i jeszcze za wcześnie na wielkie letnie przeboje. W kinach będzie najwyżej parę osób na sali.

- Więc koncert – upiera się Holly. – Może on nie wie, że tam będą same dziewczynki.
- Wie – zapewnia Hodges. – Jest impulsywny i improwizuje, ale to nie znaczy, że jest głupi. Musi chociaż trochę planować z wyprzedzeniem.
- Czy mogę dostać trochę więcej czasu na złamanie jej hasła? Proszę!
- Hodges spogląda na zegarek. Dziesięć po czwartej.
- Jasne. Do czwartej trzydzieści, co ty na to?
- W jej oku pojawia się handlowy błysk.
- Za kwadrans piąta?
- Hodges kręci głową.
- Holly wzdycha.
- W dodatku skończyły mi się papierosy.
- Te fajki cię zabijają – zwraca jej uwagę Jerome.
- Ona rzuca mu obojętne spojrzenie.
- Tak! To część ich uroku.

Hodges i Jerome jadą do małego centrum handlowego na skrzyżowaniu Harper i Hanover, żeby kupić Holly paczkę papierosów i zapewnić jej prywatność, której wyraźnie potrzebuje.

Po powrocie do szarego mercedesa Jerome przerzuca winstony z ręki do ręki i mówi:

– W tym samochodzie dostają gęsiej skórki.

– Ja też – przyznaje Hodges. – Ale Holly to jakoś nie przeszkadza. Chociaż jest taka wrażliwa.

– Myślisz, że jej się polepszy? Znaczy... jak to wszystko się skończy.

Tydzień temu, może nawet dwa dni wcześniej Hodges udzieliłby wymijającej i poprawnej politycznie odpowiedzi, ale od tamtego czasu on i Jerome zbyt wiele razem przeszli.

– Na jakiś czas – mówi. – Potem... będzie jak zawsze.

Jerome wzdycha jak człowiek, którego niejasne obawy znalazły potwierdzenie.

– Do dupy.

– No.

– I co teraz?

– Teraz wrócimy, damy Holly jej gwoździe do trumny i pozwolimy wypalić jednego.

Potem zapakujemy rzeczy, które zwinęła z domu Hartsfieldów. Odwiozę was dwoje do centrum handlowego Birch Hill. Odstawisz Holly do Sugar Heights swoim wranglerem i wrócisz do domu.

– I po prostu pozwolę mamie, Barb i jej koleżankom iść na ten koncert.

Hodges wypuszcza powietrze.

– Jeśli to ci poprawi samopoczucie, powiedz matce, żeby to odwołała.

– Jeśli powiem, wszystko się wyda. – Jerome wciąż przerzuca papierosy tam i z powrotem. – Wszystko, co dziś robiliśmy.

To bystry chłopak i Hodges nie potrzebuje tego udowadniać. Ani mu przypominać, że w końcu i tak wszystko się wyda.

– Co zrobisz, Bill?

– Wrócę do North Side. Zaparkuję mercedesa parę przecznic od domu Hartsfieldów, dla bezpieczeństwa. Odniosę laptopa i portmonetkę pani Hartsfield, potem będę obserwować dom. Na wypadek gdyby on wrócił.

Jerome ma powątpiewającą minę.

– Ten pokój w piwnicy wygląda jak wysprzątnany do czysta. Jakie są szanse?

– Marne, ale nic lepszego nie wymyślę. Dopóki nie przekażę tego Pete'owi.

– Ty naprawdę chciałeś zaliczyć to aresztowanie, co?

– Tak – przyznaje Hodges i wzdycha. – Tak, chciałem.

Kiedy wracają, Holly trzyma głowę na stole, ukrytą w ramionach. Zdekonstruowana zawartość portmonetki pani Hartsfield otacza ją jak pas asteroid. Laptop nadal jest włączony i nadal pokazuje upartą ramkę hasła. Według zegara na ścianie jest za dwadzieścia piąta.

Hodges się obawia, że Holly może protestować przeciwko odwiezieniu jej do domu, ale ona tylko prostuje się, otwiera nową paczkę papierosów i powoli wyjmuje jednego. Nie płacze, wydaje się jednak zmęczona i zniechęcona.

– Przynajmniej się starałaś – pociesza ją Jerome.

– Zawsze się staram, Jerome. Ale to nigdy nie wystarcza.

Hodges bierze czerwony portfel i zaczyna wkładać karty kredytowe z powrotem do przegródek. Pewnie nie będą ułożone w tej samej kolejności, ale kto to zauważy? Nie ich właścicielka.

W harmonijce przezroczystych przegródek są zdjęcia i Hodges przerzuca je bezmyślnie. Oto pani Hartsfield stojąca obok krzepkiego, barczystego faceta w niebieskim roboczym kombinezonie – zapewne nieobecny pan Hartsfield. Oto pani Hartsfield wśród roześmianych kobiet we wnętrzu, które wygląda jak salon fryzjerski. Oto pulchny chłopczyk trzymający wóz strażacki – pewnie Brady w wieku trzech albo czterech lat. I jeszcze jedna, pomniejszona do rozmiarów portfela wersja fotografii z biurowej wnęki pani Hartsfield: Brady i jego mama przytuleni policzkami.

Jerome stuka w nią i mówi:

– Wiecie, co mi to przypomina? Demi Moore i jej chłopaczka, jak mu tam, Ashtona Kutchera.

– Demi Moore ma czarne włosy – stwierdza rzeczowo Holly. – Tylko nie w *G.I. Jane*, tam prawie wcale nie ma włosów, bo szkoli się na komandosa SEAL. Widziałam ten film trzy razy, raz w kinie, raz na kasecie wideo i raz na moich iTunes. Bardzo rozrywkowy. Pani Hartsfield ma włosy blond. – Po zastanowieniu dodaje: – Miała.

Hodges wysuwa zdjęcie z kieszonki, żeby się lepiej przyjrzeć, potem je odwraca. Na drugiej stronie starannie wypisano: „Mama i jej cukiereczek, Sand Point Beach, sierpień 2007”. Trzepie zdjęciem raz czy dwa o dłoń, zaczyna je wkładać z powrotem, potem przysuwa je do Holly, stroną z napisem do góry.

– Spróbuj tego.

Ona marszczy brwi.

– Czego?

– „Cukiereczek”.

Holly wpisuje to, stuka w klawisz akceptacji... i wydaje radosny wrzask, bardzo nie w swoim stylu. Bo weszli. Tak po prostu.

Na pulpicie nie ma nic szczególnego – książka adresowa, folder zatytułowany ULUBIONE PRZEPISY, następny o nazwie ZACHOWANA POCZTA; folder z fakturami online (widocznie płaciła w ten sposób większość rachunków) i album z fotografiami (większość przedstawiająca Brady’ego w różnym wieku). W swoich iTunes ma dużo telewizyjnych seriali, ale tylko jeden album z muzyką: *Alvin i wiewiórki świętują Boże Narodzenie*.

– Chryste – mówi Jerome. – Nie twierdzę, że zasługiwała na śmierć, ale...

Holly karci go wzrokiem.

– To nie jest śmieszne, Jerome. Nie zaczynaj.

On podnosi rękę.

– Przepraszam, przepraszam.

Hodges przewija szybko zachowaną pocztę, ale nie widzi nic interesującego. Większość jest od dawnych szkolnych koleżanek pani Hartsfield, które nazywają ją Debs.

– Tu nic nie ma o Bradym – stwierdza i patrzy na zegarek. – Musimy iść.

– Nie tak szybko – mówi Holly i otwiera wyszukiwarkę. Wpisuje BRADY. Otrzymuje kilka wyników (wiele w pliku z przepisami, otagowanych jako „Ulubione Brady’ego”), ale nic godnego uwagi.

– Spróbuj CUKIERECZEK – sugeruje Jerome.

Holly próbuje i otrzymuje jedno trafienie – dokument zagrzebany głęboko na twardym dysku. Klika na niego. Są tam rozmiary ubrań Brady’ego, także lista gwiazdkowych i urodzinowych prezentów, które mu kupowała przez ostatnie dziesięć lat, pewnie żeby się nie powtarzały. Zapisała numer jego ubezpieczenia. Zeskanowała kartę rejestracyjną jego samochodu, ubezpieczenie samochodu i metrykę urodzenia. Sporządziła listę jego współpracowników w Discount Electronix i w Wytwórni Lodów Loeba. Obok nazwiska Shirley Orton jest notatka, która przyprawiłaby Brady’ego o histeryczny śmiech: „Czy to jego dziewczyna?”.

– Co to za bzdety? – pyta Jerome. – On jest dorosły, na litość boską.

Holly uśmiecha się ponuro.

– Tak jak mówiłam. Ona wiedziała, że z nim jest coś nie tak.

Na samym końcu pliku CUKIERECZEK jest folder o nazwie PIWNICA.

– To jest to – stwierdza Holly. – Na pewno. Otwórz, otwórz, otwórz!

Jerome klika na PIWNICĘ. W folderze znajduje dokument pod tą nazwą, który zawiera zaledwie dziewięć słów.

Kontrola = światła

Chaos?? Ciemność??

Dlaczego nie działają dla mnie???

Przez jakiś czas w milczeniu gapią się na ekran. Wreszcie Hodges mówi:

– Nie rozumiem. Jerome? Jerome kręci głową.

Holly, niemal zahipnotyzowana tą wiadomością od martwej kobiety, wymawia jedno słowo, tak cicho, że prawie niedosłyszalnie:

– Może... – Waha się, przygryza wargę i powtarza: – Może.

Brady zjawia się w Midwest Culture and Arts Complex tuż przed szóstą. Chociaż do rozpoczęcia koncertu została ponad godzina, rozległy parking jest już zapełniony w trzech czwartych. Przed drzwiami do westybulu ustawiły się długie kolejki i z każdą chwilą się wydłużają. Dziewczynki wrzeszczą co sił. Pewnie to znaczy, że są szczęśliwe, ale dla Brady'ego to brzmi jak upiory w opuszczonym zamczysku. Patrząc na rosnący tłum, nie może nie wspominać tamtego kwietniowego poranka w City Center. Myśli: gdybym miał humvee zamiast tej japońskiej mydelniczki, wjechałbym w nie z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zabił w ten sposób pięćdziesiąt albo więcej, a potem nacisnął guzik i posłał resztę do stratosfery.

Ale nie ma humvee i przez chwilę nawet nie wie, co dalej robić – nikt nie powinien widzieć jego ostatnich przygotowań. Potem na końcu parkingu spostrzega naczepę odłączoną od ciągnika, opartą na łapach. Na boku jest rysunek diabelskiego młyna i napis: EKIPA TECHNICZNA 'ROUND HERE. To jedna z ciężarówek, które widział na placu wyładowniczym, kiedy przeprowadzał rozpoznanie. Później, po koncercie, dołączą ciągnik i podstawią naczepę pod rampę, ale na razie wydaje się opuszczona.

Brady wjeżdża za skrzynię, która ma co najmniej piętnaście metrów długości i całkowicie zasłania subaru od strony ruchliwego parkingu. Ze schowka wyjmuje kamuflujące okulary i nakłada. Wysiada i robi szybki obchód, żeby się upewnić, że w pobliżu rzeczywiście nikogo nie ma. Zadowolony z rezultatu, wraca do subaru i wyciąga z tyłu wózek inwalidzki. Ciężko idzie. Honda byłaby lepsza, ale przyjazd takim wozem to za duże ryzyko. Kładzie poduszkę z napisem DUPOPARKING na siedzeniu wózka i podłącza przewód wystający ze środka litery A do przewodów zwisających z bocznych kieszeni, gdzie upchnął więcej kostek wybuchowego plastiku. Następny przewód, podłączony do kostki plastiku w tylnej kieszeni, zwisa z dziury, którą wybił w oparciu.

Pocąc się obficie, Brady wykonuje ostatnie połączenie: splata miedziane druty i owija obnażone miejsca złączeń uciętymi wcześniej paskami taśmy maskującej, które przylepił do za dużej koszulki zespołu 'Round Here, kupionej tego ranka w drogerii. Na koszulce widnieje to samo logo z diabelskim młynem co na boku naczepy. Nad obrazkiem jest napis: POCAŁUNKI W LUNAPARKU. Pod spodem: CAM, BOYD, STEVE I PETE, KOCHAM WAS!

Po dziesięciu minutach pracy (przerywanej co parę chwil, żeby wyrzeć zza krawędzi naczepy i sprawdzić, czy ten odległy koniec parkingu nadal jest pusty) na siedzeniu wózka spoczywa pajęczyna połączonych kabli. Nie dało się podłączyć nafaszerowanego plastikiem worka na mocz Urinesta, przynajmniej Brady nie potrafił na poczekaniu wymyślić sposobu, ale nie szkodzi: z pewnością zdetonują go pozostałe materiały.

Chociaż i tak nie sprawdzi tego osobiście.

Jeszcze raz wraca do subaru i wyjmuje oprawioną wersję dwadzieścia na dwadzieścia pięć zdjęcia, które Hodges już widział: Frankie trzymający wóz strażacki, Sammy'ego, uśmiechający się swoim głupkowatym uśmiechem, jakby pytał: „Gdzie ja, kurwa, jestem?”. Brady całuje szkło i mówi:

– Kocham cię, Frankie. A ty mnie kochasz?

Udaje, że Frankie odpowiada: tak.

– Chcesz mi pomóc?

Udaje, że Frankie odpowiada: tak.

Brady wraca do wózka inwalidzkiego i siada na DUPOPARKINGU. Teraz widoczny jest tylko główny przewód, dyndający nad przednią krawędzią siedzenia, pomiędzy rozsuniętymi

udami Brady'ego. Podłącza go do Gadżetu Dwa i bierze głęboki oddech, zanim przerzuca przełącznik. Jeśli z baterii paluszków nastąpi przebicie elektryczności, nawet niewielkie...

Ale nie następuje. Zapala się żółta lampka gotowości, i tyle. Gdzieś tam, niedaleko, ale w innym świecie, dziewczynki wrzeszczą z radości. Wkrótce wiele z nich wyparuje; znacznie więcej straci ręce i nogi i naprawdę będzie wrzeszczeć. Och, przynajmniej posłuchają swojego ulubionego zespołu przed wielkim bum.

Albo nie posłuchają. Brady zdaje sobie sprawę, jaki prymitywny i niedopracowany jest jego plan; najgłupszy scenarzysta z Hollywood, największe beztalencie, wymyśliłby coś lepszego. Brady pamięta napis w korytarzu prowadzącym na widownię: ZAKAZ WNOSZENIA TOREB, PUDEŁ, PLECAKÓW. Nie ma nic z tych rzeczy, ale wystarczy, żeby jakiś bystrooki ochroniarz zauważył jeden niepodłączony kabel, i po ptakach. Nawet gdyby do tego nie doszło, pobieżny rzut oka na zawartość kieszeni wózka wykryje, że to bomba na kółkach. Brady wetknął do jednej z tych kieszeni proporczyk 'Round Here, jednak poza tym nie starał się zamaskować plastiku.

Nie przejmuje się tym. Nie wie, czy to oznaka pewności siebie, czy zwykłego fatalizmu, ale to bez znaczenia. W końcu pewność siebie i fatalizm niewiele się różnią, prawda? Przejechanie ludzi w City Center uszło mu bezkarnie, chociaż też specjalnie tego nie planował – tylko maska, siatka na włosy i wybielacz niszczący DNA. W głębi duszy wcale nie liczył, że zdoła uciec, a dzisiaj nie liczy już na nic. Co w jakiś dziwaczny sposób stawia go na wygranej pozycji. W świecie, w którym rządzi hasło „mam wszystko w dupie”, Brady zostanie największym krzewicielem tego hasła.

Wsuwa Gadżet Dwa pod za dużą koszulkę. Koszulka lekko się wybrzusza i żółta lampka gotowości prześwieca przez cienką bawełnę, lecz wybrzuszenie i świecenie znikają, kiedy kładzie sobie na kolanach zdjęcie Frankiego. Właściwie jest już gotowy.

Okulary w rogowej oprawce zsuwają mu się z nosa śliskiego od potu. Popycha je do góry. Lekko wyciągając szyję, widzi swoje odbicie w lusterku bocznym subaru po stronie pasażera. Łysy i w okularach, wcale nie przypomina dawnego siebie. Przede wszystkim wygląda na chorego – błady i spocony, z podkrążonymi oczami.

Przesuwa ręką po czubku głowy, wyczuwa gładką skórę tam, gdzie nie zdąży już wyrosnąć nawet szczecina. Potem wycofuje wózek inwalidzki z luki, gdzie zaparkował samochód, i powoli zaczyna się toczyć przez rozległy parking w stronę gromadzącego się tłumu.

Hodges utknął w korku i dociera z powrotem na North Side dopiero parę minut po szóstej. Jerome i Holly wciąż mu towarzyszą; oboje chcą to doprowadzić do końca, bez względu na konsekwencje, a ponieważ najwyraźniej rozumieją te konsekwencje, Hodges nie potrafi im odmówić. Zresztą nie ma wielkiego wyboru: Holly uparcie nie chce wyjawić tego, co wie. Albo myśli, że wie.

Hank Beeson wychodzi z domu i przecina ulicę, zanim Hodges zdąży zaparkować mercedesa Olivii Trelawney na podjeździe domu Hartsfieldów. Hodges wzdycha i opuszcza szybę po stronie kierowcy.

– Naprawdę chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje – odzywa się pan Beeson. – Czy to ma jakiś związek z tą rozróbą w Lowtown?

– Panie Beeson – mówi Hodges – doceniam pana troskę, ale proszę wrócić do domu i...

– Nie, chwileczkę – przerywa mu Holly. Przechyliła się nad deską rozdzielczą mercedesa, żeby spojrzeć na twarz pana Beesona. – Proszę mi powiedzieć, jaki głos ma pan Hartsfield. Muszę wiedzieć, jak brzmi jego głos.

Beeson patrzy na nią osłupiały.

– Pewno jak każdy. A co?

– Czy jest niski? Wie pan, baryton?

– Znaczący... jak u tych grubych śpiewaków operowych? – Beeson się śmieje. – Nie, gdzie tam. Co to za pytanie?

– Wysoki i piskliwy też nie?

Beeson zwraca się do Hodgesa:

– Czy pana partnerce odbiło?

Tylko trochę, myśli Hodges.

– Niech pan odpowie na pytanie.

– Ani niski, ani wysoki i piskliwy. Normalny! Co się dzieje?

– Bez akcentu? – drąży Holly. – Na przykład... południowego? Albo z Nowej Anglii? Albo może z Brooklynu?

– Powiedziałem, że nie. On mówi jak wszyscy.

Holly cofa się na swój fotel, wyraźnie usatysfakcjonowana.

– Proszę wrócić do domu, panie Beeson – nakazuje Hodges.

Beeson prycha, ale odchodzi. Przystaje przed swoim gankiem, żeby się obejrzieć przez ramię. Hodges widywał takie spojrzenie wiele razy, gniewne spojrzenie mówiące: „Opłacam twoją pensję, gnojku”. Potem Beeson wchodzi do środka i zatrzaskuje za sobą drzwi, żeby wyraźnie dać do zrozumienia, co myśli o całej trójce. Wkrótce znowu staje w oknie z założonymi rękami.

– A jeśli on zadzwoni na policję i zapyta, co tu robimy? – niepokoi się Jerome na tylnym siedzeniu.

Hodges się uśmiecha. Zimno, ale szczerze.

– Dzisiaj wieczorem? Życzę powodzenia. Chodźcie. Prowadząc ich gęsiego wąską ścieżką pomiędzy domem a garażem, spogląda na zegarek. Kwadrans po szóstej. Przy zabawie szybko mija czas, myśli.

Wchodzą do kuchni. Hodges otwiera drzwi piwnicy i sięga do wyłącznika światła.

– Nie – mówi Holly. – Niech pan zostawi wyłączone. On patrzy na nią pytająco, ale ona odwraca się do Jerome'a.

– Ty musisz to zrobić. Pan Hodges jest za stary, a ja jestem kobietą.

Przez chwilę Jerome nie łapie, potem rozumie.

– „Kontrola” zapala światło?

Holly kiwa głową. Twarz ma ściągniętą i napiętą.

– Powinno się udać, jeśli masz głos podobny do niego. Jerome staje na progu, odruchowo chrząka i mówi:

– Kontrola.

Piwnica pozostaje ciemna.

– Ty masz głos niski z natury – odzywa się Hodges. – Nie baryton, ale niski. Dlatego przez telefon wydajesz się starszy niż w rzeczywistości. Spróbuj mówić trochę wyższym głosem.

Jerome powtarza słowo i światła w piwnicy się zapalają. Holly Gibney, której życie bynajmniej nie przypomina komediowego serialu, śmieje się i klaszcze.

Jest szósta dwadzieścia, kiedy Tanya Robinson podjeżdża pod MAC i dołączając do kolejki samochodów, żałuje, że nie uległa natrętnym błaganiom dziewczynek i nie wyruszyła na koncert godzinę wcześniej. Parking jest już wypełniony w trzech czwartych. Faceci w pomarańczowych kamizelkach kierują ruchem. Jeden nakazuje jej jechać w lewo. Tanya skręca w tę stronę, powoli, bo na dzisiejszą wyprawę pożyczyła tahoe od Ginny Carver i ostatnie, czego potrzebuje, to wgnieciony zderzak. Na tylnym siedzeniu dziewczynki – Hilda Carver, Betsy DeWitt, Dinah Scott i jej własna Barbara – dosłownie podskakują z podniecenia. Załadowały do samochodowego odtwarzacza swoje płyty 'Round Here (do spółki mają wszystkie sześć) i piszczą: „Och, uwielbiam to!” za każdym razem, kiedy zaczyna się nowy utwór. Choć jest hałaśliwie i stresująco, Tanya ze zdziwieniem stwierdza, że świetnie się bawi.

– Niech pani uważa na tego kalekę, pani Robinson – ostrzega Betsy, wyciągając rękę.

Kaleka jest chudy, błądy i łysy, ginie w workowatej koszulce. Na kolanach trzyma coś, co wygląda jak zdjęcie w ramce, widać również worek na mocz. Z bocznej kieszeni wózka inwalidzkiego sterczy smętnie zawadiacki proporzycyk 'Round Here. Biedny człowiek, myśli Tanya.

– Może powinniśmy mu pomóc – zastanawia się Barbara.

– On jedzie strasznie wolno.

– Masz dobre serduszko – chwali Tanya. – Zaczekajcie, aż zaparkuję, i jeśli jeszcze nie dotrze do budynku, pomożemy mu po drodze.

Wmanewrowuje pożyczone tahoe w puste miejsce i z westchnieniem ulgi gasi silnik.

– O rany, popatrzcie, jakie kolejki – mówi Dinah. – Przyszło chyba z milion ludzi.

– Do miliona daleko – odpowiada Tanya – chociaż rzeczywiście są tłumy. Ale niedługo otworzą drzwi. I mamy dobre miejsca, więc nie musicie się martwić.

– Masz nasze bilety, mamó?

Tanya ostentacyjnie sprawdza w torebce.

– Mam je tutaj, skarbie.

– I możemy kupić pamiątki?

– Po jednej dla każdej i nic droższego niż dziesięć dolarów.

– Mam własne pieniądze, pani Robinson – mówi Betsy, wysiadając z auta.

Dziewczynki trochę się denerwują na widok tłumów zbierających się przed MAC. Zbijają się w grupkę, ich poczwórne cienie tworzą pojedynczą ciemną plamę w silnym popołudniowym słońcu.

– Wierzę ci, Bets, ale to ja stawiam – odpowiada Tanya. – Teraz posłuchajcie, dziewczynki. Oddajcie mi swoje pieniądze i komórki na przechowanie. Czasami na takich wielkich publicznych zgromadzeniach grasują kieszonkowcy. Zwrócę wam wszystko, jak już bezpiecznie wrócimy do samochodu, ale żadnych telefonów ani esemesów, kiedy się zacznie koncert... czy to jasne?

– Możemy najpierw zrobić zdjęcia, pani Robinson? – pyta Hilda.

– Tak. Każda po jednym.

– Po dwa! – prosi Barbara.

– No dobrze, dwa. Ale się pospieszcie.

Każda robi dwa zdjęcia i obiecuje je wysłać e-mailem, żeby wszystkie miały komplet. Tanya też robi parę zdjęć czterem dziewczynkom, stojącym obok siebie ze splecionymi ramionami. Myśli, że wyglądają ślicznie.

– No dobrze, moje panie, dawać kasę i komórkę.

Dziewczynki oddają w sumie trzydzieści dolarów i telefony w cukierkowych kolorach. Tanya chowa wszystko do torebki i zamyka wana Ginny Carver guzikiem na breloczku przy kluczyku. Słyszy satysfakcjonujący szcęk zatraskiwanych zamków – dźwięk oznaczający bezpieczeństwo.

– Teraz słuchajcie, szalone kobiety. Wszystkie będziemy się trzymać za ręce, dopóki nie usiądziemy na naszych miejscach, tak? Chcę usłyszeć wasze „tak”.

– Taaak! – krzyczą dziewczynki i łapią się za ręce. Wystroiły się w swoje najlepsze obciste dżinsy i najładniejsze tenisówki. Wszystkie noszą koszulki ze zdjęciem członków zespołu 'Round Here, a Hilda związała koński ogon białą jedwabną wstążką z czerwonym napisem: KOCHAM CAMA.

– I będziemy się świetnie bawić, tak? Będzie wspaniale, tak? Chcę usłyszeć wasze „tak”.

– TAAAK!

Zadowolona Tanya prowadzi dziewczynki w stronę MAC. To długi spacer po rozgrzanym asfalcie, ale żadna z nich nie narzeka. Tanya rozgląda się za łysym kaleką na wózku inwalidzkim i widzi, że facet kieruje się na koniec kolejki dla niepełnosprawnych. Tamta kolejka jest znacznie krótsza, ale wciąż smuci ją widok tych wszystkich połamanych ludzi. Potem wózki inwalidzkie zaczynają się przesuwać. Wpuszczają niepełnosprawnych w pierwszej kolejności i Tanya myśli, że to dobry pomysł. Niech wszyscy – albo przynajmniej większość – zajmą miejsca w swoim sektorze, zanim tłum runie do środka.

Oddziałek Tanyi dociera na koniec najkrótszej kolejki dla pełnosprawnych (ale i tak bardzo długiej). Tanya patrzy, jak chudy, łysy kaleka wtacza wózek po rampie dla niepełnosprawnych, i myśli, o ileż byłoby mu łatwiej, gdyby miał wózek z silnikiem. Zastanawia się, czyje zdjęcie kaleka trzyma na kolanach. Ukochanego krewnego, który odszedł? Prawdopodobnie.

Biedny człowiek, myśli znowu i odmawia krótką modlitwę, dziękując Bogu, że jej dwoje dzieci jest zdrowych.

– Mamo? – odzywa się Barbara.

– Tak, słonko?

– Będzie wspaniale, tak?

Tanya Robinson ściska rękę córki.

– Bankowo.

Jakaś dziewczyna zaczyna śpiewać *Pocałunki w lunaparku* czystym, słodkim głosem:

– *Słońce, słońce świeci, kiedy patrzysz na mnie... Księżyc, księżyc świeci, kiedy jesteś przy mnie...*

Przylączają się następne:

– *Twoja miłość, twój dotyk, nigdy nie mam tego dosyć... Chcę cię kochać cały czas...*

Wkrótce piosenka wzbija się tysiącem głosów w ciepłe wieczorne powietrze. Tanya radośnie dodaje własny głos, bo po maratonie piosenek 'Round Here dobiegającym z pokoju Barbary przez ostatnie dwa tygodnie zna wszystkie słowa.

Impulsywnie schyla się i całuje córkę w czubek głowy.

Będzie wspaniale, myśli.

Hodges i jego młodszy Watsonowie stoją w piwnicznym centrum kontroli Brady'ego, spoglądając na rząd wyłączonych komputerów.

– Najpierw „chaos” – upewnia się Jerome. – Potem „ciemność”. Zgadza się?

Hodges myśli: To jakby coś z Apokalipsy Świętego Jana.

– Chyba tak – mówi Holly. – Przynajmniej w takiej kolejności to zapisała. – Zwraca się do Hodgesa: – Ona podsłuchiwała, rozumie pan? Założę się, że słyszała dużo więcej, niż on podejrzewał. – Teraz kieruje swoje słowa do Jerome'a. – Jeszcze jedno. Bardzo ważne. Nie trać czasu, jeśli „chaos” je uruchomi.

– Racja. Program samobójczy. A co, jeśli się zdenerwuję i zacznę piszczeć jak Myszka Miki?

Holly zaczyna odpowiadać, potem widzi jego minę.

– Cha, cha, mało śmieszne. – Ale uśmiecha się wbrew sobie. – Dawaj, Jerome. Bądź Bradym Hartsfieldem.

Jerome musi tylko raz powiedzieć: „chaos”. Ekrany ożywają i liczby zaczynają się zmniejszać.

– Ciemność! Odliczanie trwa.

– Nie krzycz – zwraca mu uwagę Holly. – Jeezu.

16. 15. 14.

– Ciemność.

– Chyba znowu masz za niski głos – mówi Hodges, próbując ukryć zdenerwowanie.

12. 11.

Jerome wyciera usta.

– C-ciemność.

– Niewyraźnie – ocenia Holly. Niezbyt pomocnie.

8. 7. 6.

– Ciemność.

5.

Odliczanie się zatrzymuje. Jerome wydaje świszczące westchnienie ulgi. Zamiast liczb pojawiają się kolorowe fotografie mężczyzn w staroświeckich westernowych ubraniach, którzy strzelają i są ostrzeliwani. Jednego pokazano, kiedy na koniu wyskakuje przez rozbite okno.

– Co to za wygaszacze? – pyta Jerome.

Hodges wskazuje Numer Pięć Brady'ego.

– To William Holden, więc pewnie to sceny z jakiegoś filmu.

– *Dzika banda* – oznajmia rzeczowo Holly. – Reżyser Sam Peckinpah. Oglądałam to tylko raz. Miałam potem koszmary.

Sceny z filmu, myśli Hodges, spoglądając na wykrzywione twarze i strzelającą broń. A także sceny z głowy Brady'ego Hartsfielda.

– Co teraz?

– Holly, ty zacznij od pierwszego – mówi Jerome. – Ja zacznę od ostatniego. Spotkamy się pośrodku.

– Niezły plan – zgadza się Holly. – Panie Hodges, mogę tutaj palić?

– Czemu nie, cholera – odpowiada Hodges.

Wraca na schody, siada na stopniu i patrzy, jak pracują. W roztargnieniu pociera wgłębienie pod lewym obojczykiem. Ten irytujący ból powrócił. Widocznie naciągnął sobie mięsień, biegnąc ulicą po wybuchu samochodu.

Klimatyzacja w westybulu MAC wali Brady'ego jak pięść, na jego spoconej szyi i ramionach występuje gęsia skórka. Główna część korytarza jest pusta, ponieważ jeszcze nie wpuszczono zwykłej publiczności, ale po prawej stronie, oddzielonej aksamitnymi sznurami, z tablicą WEJŚCIE DLA NIEPEŁNOSPRAWNYCH, kolejka wózków inwalidzkich przesuwa się powoli w stronę punktu kontrolnego i widowni.

Brady'emu nie podoba się taki rozwój sytuacji.

Zakładał, że wszyscy wepchną się jednocześnie, jak na meczu Cleveland Indians, na który poszedł w wieku osiemnastu lat, że stłamszeni ochroniarze tylko pobieżnie obejrzą każdego i przepuszczą. Powinien przewidzieć, że obsługa koncertu wpuści najpierw paralityków i niedorozwojów, ale nie przewidział.

Jest co najmniej tuzin mężczyzn i kobiet w błękitnych uniformach z brązowymi naszywkami ochrony MAC na ramionach. Chwilowo nie mają nic lepszego do roboty, tylko sprawdzanie niepełnosprawnych, którzy toczą się powoli obok punktu kontrolnego. Brady'emu robi się zimno, kiedy widzi, że zaglądną do kieszeni w wózkach, chociaż nie we wszystkich – sprawdzają co trzeci lub co czwarty, a czasami dwa z rzędu. Kiedy kaleki przejdą kontrolę, bileterzy w koszulkach 'Round Here kierują ich w stronę sektora dla niepełnosprawnych na widowni.

Zawsze wiedział, że mogą go zatrzymać w punkcie kontrolnym, ale wierzył, że nawet w takim przypadku zabierze ze sobą mnóstwo młodych fanek 'Round Here. Kolejne błędne założenie. Odłamki szkła mogą zabić kilka osób stojących najbliżej drzwi, ale ich ciała posłużą również za tarczę.

Kurwa, myśli. Kurwa... w City Center załatwiłem tylko ośmioro. Powinienem poprawić ten wynik.

Toczy się do przodu, trzymając zdjęcie Frankiego na kolanach. Krawędź ramki spoczywa na przełączniku. Jak tylko któryś z tych bandziorów z ochrony nachyli się, żeby zajrzeć do kieszeni z boków wózka, Brady przycisnie ręką zdjęcie, żółta lampka zmieni się na zieloną i elektryczność popłynie do detonatorów z azydku ołowiu, tkwiących w wybuchowym plastiku domowej roboty.

Przed nim jest tylko jakiś tuzin wózków. Klimatyzacja dmucha lodowatym powietrzem na jego rozgrzaną skórę. Brady myśli o City Center, wspomina, jak ciężki samochód tej suki Trelawney kołysał się i podskakiwał, przejeżdżając po ludziach, których najpierw obalił na ziemię. Jakby miał orgazm. Pamięta zapach gumy we wnętrzu, pamięta, jak krzyczał z rozkoszy i triumfu. Krzyczał, aż zachrypnął i prawie nie mógł mówić, i musiał powiedzieć matce i Tonesowi Frobisherowi w DE, że dostał zapalenia krtani.

Teraz tylko dziesięć wózków dzieli go od punktu kontroli. Jeden z ochroniarzy – pewnie sam wielki szef, bo jest najstarszy i jedyny w kapeluszu – zabiera plecak młodej dziewczynie, równie łysej jak Brady. Wyjaśnia jej coś i wręcza numerek.

Złapią mnie, myśli zimno Brady. Złapią, więc przygotuj się na śmierć.

Jest gotowy. Już od jakiegoś czasu.

Osiem wózków pomiędzy nim a punktem kontrolnym. Siedem. Sześć. Jak odliczanie na jego komputerach.

Potem na zewnątrz słyhać śpiew, początkowo stłumiony.

– *Słońce, słońce świeci, kiedy patrzysz na mnie... Księżyc, księżyc...*

Śpiew narasta i kiedy dochodzi do refrenu, rozbrzmiewa z siłą katedralnego chóru: dziewczynki śpiewają na całe gardło.

– *CHCĘ CIĘ KOCHAĆ CAŁY CZAS... JECHAĆ PLAŻĄ W SŁOŃCA BLASK...*

W tej samej chwili główne drzwi się otwierają. Kilka dziewczynek wiwatuje; pozostałe śpiewają dalej, jeszcze głośniejsze.

– *DZIEŃ SIĘ BUDZI JESZCZE RAZ... POCAŁUNKI W LUNAPARKU ZŁĄCZĄ NAS!*

Laseczki w topach 'Round Here, umalowane pierwszy raz w życiu, wlewają się do środka, ich rodzice (głównie mamusie) usiłują dotrzymać im kroku, żeby nie odłączać się od swoich pociech. Aksamitny sznur pomiędzy główną częścią korytarza a strefą dla niepełnosprawnych zostaje zrzucony na posadzkę i stratowany. Opasła dwunasto- lub trzynastolatka z tyłkiem wielkości stanu Iowa wpada na wózek przed Bradym, w którym siedzi dziewczyna o ładnej, wesołej buzi i nogach jak patyczki, i prawie go przewraca.

– Hej, uważaj! – woła matka dziewczyny na wózku, ale gruba krowa w podwójnie szerokich dżinsach już pędzi dalej, wymachując proporczykiem 'Round Here w jednej ręce i biletem w drugiej. Ktoś zderza się z wózkiem Brady'ego, zdjęcie na jego kolanach się przesuwają i przez jedną zimną sekundę Brady myśli, że wszyscy wylecą w powietrze w białym rozbłysku i deszczu kulek łożyskowych. Nie wylatują, więc unosi nieznacznie zdjęcie, zagląda pod spód i widzi, że lampka gotowości nadal pali się na żółto.

Mało brakowało, myśli i szczyrzy zęby.

W westybulu panuje radosne zamieszanie. Ochroniarze – wszyscy oprócz jednego – którzy dotąd sprawdzali niepełnosprawną publiczność, przesuwają się i próbują opanować ten napływ rozszalałych, rozśpiewanych małolatek. Ochroniarz, który został przy wejściu dla niepełnosprawnych, to młoda kobieta; prawie nie patrzy na wózki, tylko macha, żeby przejeżdżały. Zbliżając się do niej, Brady widzi faceta w kapeluszu, Wielkiego Szefa, po drugiej stronie korytarza, niemal dokładnie naprzeciwko. Facet ma z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, więc łatwo go zauważyć, bo góruje nad dziewczynkami. Nieustannie się rozgląda. W ręku trzyma kartkę papieru, na którą zerka co jakiś czas.

– Pokażcie mi bilety i przechodźcie – mówi kobieta z ochrony do ładnej dziewczynki na wózku i jej matki. – Drzwi z prawej strony.

Brady widzi coś interesującego. Wysoki ochroniarz w kapeluszu chwytając jakiegoś chłopaka około dwudziestki, który chyba przyszedł sam, i wyciąga go z tłoku.

– Następny! – popędza go kobieta z ochrony. – Nie wstrzymywać kolejki!

Brady toczy się do przodu, gotów przycisnąć zdjęcie Frankiego do przełącznika na Gadzecie Dwa, jeśli ona wykaże choćby najmniejsze zainteresowanie zawartością kieszeni wózka. Korytarz zapełniają teraz od ściany do ściany przepychające się, śpiewające dziewczynki i wynik na pewno będzie dużo wyższy niż trzydzieści. Jeśli korytarz musi wystarczyć, w porządku.

Kobieta z ochrony wskazuje na zdjęcie.

– Kto to jest, skarbie?

– Mój młodszy braciszek – odpowiada Brady z dzielnym uśmiechem. – Zginął w wypadku rok temu. W tym samym, w którym ja... – Wskazuje na wózek. – On uwielbiał 'Round Here, ale nie słyszał ich nowego albumu. Teraz usłyszysz.

Kobieta jest zestresowana, ale wciąż stać ją na współczuciu; jej spojrzenie mięknie.

– Przykro mi z powodu pańskiej straty.

– Dziękuję pani – mówi Brady, myśląc: Ty głupia cipo.

– Proszę jechać prosto, potem skręcić w prawo. Znajdzie pan dwa rzędy dla niepełnosprawnych w połowie widowni. Doskonały widok. Jeśli będzie pan potrzebował pomocy przy zjeżdżaniu po rampie... jest dość stroma... niech pan się rozejrzy za bileterem z żółtą opaską na ramieniu.

– Dam sobie radę – odpowiada Brady, uśmiechając się do niej. – To maleństwo ma świetne hamulce.

– To dobrze. Życzę dobrej zabawy na koncercie.

– Dziękuję pani, na pewno będę się dobrze bawił. I Frankie też.

Brady toczy się w stronę głównego wejścia. W punkcie kontrolnym Larry Windom – przez kolegów z policji nazywany Romper Stomper – zwalnia młodego człowieka, który pod wpływem impulsu postanowił wykorzystać bilet młodszej siostry, kiedy zachorowała na mononukleozę. Wcale nie jest podobny do świra na fotografii przysłanej przez Hodgesa.

Widownia wznosi się amfiteatralnie, co zachwyca Brady’ego. Nieckowaty kształt skupi siłę wybuchu. Brady wyobraża sobie kulki łożyskowe wylatujące wachlarzowato z paczek przylepionych pod siedzeniem. Myśli, że przy odrobinie szczęścia załatwi również zespół razem z połową widowni.

Z głośników na suficie płynie muzyka pop, ale dziewczynki zapelniające rzędy i blokujące przejścia zagłuszają ją młodymi, żarliwymi głosami. Reflektory wędrują tam i z powrotem po tłumie. Frisbee fruwać w powietrzu. Nad głowami podskakują dwie ogromne piłki plażowe. Jedyne, co dziwi Brady’ego, to brak na scenie karuzeli, diabelskiego młyna i reszty tego lunaparkowego gówna. Po co to wszystko taszczyli, jeśli nie zamierzają tego użyć?

Bileter z żółtą opaską właśnie skończył ustawiać wózek inwalidzki ładnej dziewczynki z patykowatymi nogami i podchodzi, żeby pomóc Brady’emu, ale Brady odsyła go machnięciem ręki. Bileter obdarza go uśmiechem, klepie po ramieniu i odchodzi pomóc komuś innemu. Brady toczy się w dół, do pierwszego z dwóch sektorów zarezerwowanych dla niepełnosprawnych. Parkuje obok ładnej dziewczynki z patykowatymi nogami.

Ona odwraca się do niego z uśmiechem.

– Czy to nie podniecające?

Brady odwzajemnia uśmiech, myśląc: Nawet nie wiesz, jak bardzo, ty kaleka dziwko.

Tanya Robinson patrzy na scenę i myśli o pierwszym koncercie, na którym była – Temptations – i jak Bobby Wilson pocałował ją w samym środku *My Girl*. Bardzo romantycznie.

Od tych wspomnień odrywa ją córka, ciągnąc za rękę.

– Patrz, mamó, tam jest ten kaleka. Razem z innymi ludźmi na wózkach.

Pokazuje w lewo, kilka rzędów w dół. Usunięto stamtąd fotele, żeby zrobić miejsce dla dwóch szeregów wózków inwalidzkich.

– Widzę go, Barb, ale niegrzecznie się gapić.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawi, a ty?

Tanya uśmiecha się do córki.

– Jasne, skarbie.

– Możemy dostać z powrotem telefony? Potrzebujemy ich na początek koncertu.

Żeby robić zdjęcia, zakłada Tanya Robinson... bo już dawno nie była na koncercie rockowym. Otwiera torebkę i rozdziela cukierkowe telefony. Co dziwne, dziewczynki tylko je trzymają. Na razie są zbyt zajęte wytrzeszczaniem oczu, żeby dzwonić albo esemesować. Tanya składa szybki pocałunek na czubku głowy Barb i siada prosto, zagubiona w przeszłości, myśląc o pocałunku Bobby'ego Wilsona. Właściwie nie pierwszym, ale pierwszym porządnym.

Chciałaby, żeby Barb też miała tyle szczęścia, kiedy nadejdzie czas.

– O mój dobry Panie Boże – mówi Holly i stuka się w czoło nadgarstkiem.
Skończyła z Numerem Jeden Brady’ego – niewiele tam znalazła – i przeniosła się do Numeru Dwa.

Jerome podnosi wzrok znad Numeru Pięć, przeznaczonego chyba wyłącznie do gier komputerowych, większość w rodzaju *Grand Theft Auto* i *Call of Duty*.

– Co?

– Po prostu co jakiś czas trafiam na kogoś, kto ma jeszcze bardziej popieprzone w głowie niż ja – wyjaśnia Holly. – To mi poprawia humor. Wiem, że to okropne, ale nic nie poradzę.

Hodges ze stęknieniem wstaje ze schodów i podchodzi, żeby popatrzeć. Ekran zapelniają małe zdjęcia. Wyglądają na nieszkodliwe rozneglizowane fotki, podobne do tych w czasopiśmie dla panów z końca lat pięćdziesiątych, nad jakimi wzdychał z kumplami. Holly powiększa trzy i ustawia w szeregu. Oto Deborah Hartsfield w przezroczystym szlafrocuku. Deborah Hartsfield w piżamie baby doll. I Deborah Hartsfield w różowym komplecie bielizny z falbankami.

– Mój Boże, to jego matka – mówi Jerome. Jego twarz to studium odrazy, zdumienia i fascynacji. – I wygląda tak, jakby pozowała!

Dla Hodgesa to też tak wygląda.

– Aha – przyświadcza Holly. – Doktor Freud pilnie wzywany. Dlaczego pan ciągle rozciera sobie ramię, panie Hodges?

– Naciągnąłem mięsień – odpowiada. Ale zaczyna w to wątpić.

Jerome spogląda na pulpit Numeru Trzy, znowu zabiera się do przerzucania zdjęć matki Brady’ego na Numerze Dwa, potem coś do niego dociera z opóźnieniem.

– Zaraz – mówi. – Popatrz na to, Bill.

W dolnym lewym rogu pulpitu Numeru Trzy znajduje się ikona Niebieskiego Parasola.

– Otwórz – poleca Hodges.

Jerome klika myszą, ale plik jest pusty. Nie ma nic niewysłanego, a jak już wiedzą, wszelka dawna korespondencja Pod Niebieskim Parasolem Debbie idzie prosto do nieba danych.

Jerome siada przed Numerem Trzy.

– To musi być jego podstawowy sprzęt. Chyba musi.

Holly podchodzi do niego.

– Myślę, że tamte są głównie na pokaz... żeby mógł udawać, że jest na mostku statku kosmicznego *Enterprise* czy coś takiego.

Hodges wskazuje plik oznakowany „2009”.

– Spójrzmy na to.

Kliknięcie myszą otwiera podplik zatytułowany CITY CENTER. Jerome otwiera go i patrzy na długą listę relacji o tym, co się tam wydarzyło w kwietniu 2009 roku.

– Wycinki prasowe tego gnojka – stwierdza Hodges.

– Przejrzyj wszystko w tym kompie – mówi Holly do Jerome’a. – Zacznij od twardego dysku.

Jerome go otwiera.

– O rany, patrzcie na to gównu. – Wskazuje plik o nazwie MATERIAŁY WYBUCHOWE.

– Otwórz go! – ponagla Holly, szarpiąc chłopaka za ramię. – Otwórz go, otwórz, otwórz!

Jerome wykonuje polecenie i wyświetla się następny pełny podplik. Szufladki w szufladkach, myśli Hodges. Właściwie komputer przypomina wiktoriański żaluzjowy

sekretarzyk, pełen ukrytych schowków.

– Hej, popatrzcie na to – mówi Holly i pokazuje. – Ściągnął całą *Książkę kucharską anarchisty* z BitTorrenta. To nielegalne!

– Co ty powiesz – mruczy Jerome, a ona wymierza mu kuksańca w ramię.

Hodges czuje, że ból w ramieniu narasta, wraca więc na schody i ciężko siada. Jerome i Holly, zgarbieni nad Numerem Trzy, nie zauważają jego odejścia. Hodges kładzie ręce na udach (moje grube uda, myśli, moje o wiele za grube uda) i zaczyna powoli, głęboko oddychać. Tego tylko mu brakowało, żeby dostał ataku serca w domu, do którego nielegalnie wtargnął w towarzystwie nieletniego oraz porządnie walniętej kobiety. W domu, gdzie fotomodelka pieprzonego mordercy leży martwa na pięttrze.

Proszę, Boże, tylko nie atak serca. Proszę.

Dalej oddycha głęboko. Tłumi bekniecie i ból zaczyna ustępować.

Ze spuszczoną głową wpatruje się w przestrzeń pomiędzy stopniami. Coś tam błyszczy na podłodze w blasku jarzeniówek. Hodges klęka i wpełza pod schody, żeby to obejrzeć. Okazuje się, że to stalowa kulka łożyskowa, większa niż te w Happy Slapperze, ciężko spoczywająca w dłoni. Hodges patrzy na swoje zniekształcone odbicie w krzywiźnie kulki i w jego głowie kiełkuje pewna myśl. Właściwie nie kiełkuje, tylko wypływa na powierzchnię niczym rozdęte zwłoki topielca.

Dalej pod schodami stoi zielony kosz na śmieci. Hodges czołga się do niego z kulką łożyskową zaciśniętą w dłoni. Pajęczyny zwisające ze stopni głaszczą go po rzednących włosach i łysiejącym czole. Jerome i Holly trajkoczą z ożywieniem, ale on nie słucha.

Chwyta wolną ręką kosz na śmieci i wyłazi tyłem spod schodów. Mruga, bo piekąca kropla potu wpadła mu do lewego oka. Znowu siada na stopniu.

– Otwórz jego pocztę – rozkazuje Holly.

– Rany, ale się rządź – narzeka Jerome.

– Otwórz, otwórz, otwórz!

Święta racja, myśli Hodges i otwiera kosz na śmieci. W środku są ścinki kabli i coś, co wygląda na zepsuty obwód drukowany. Leżą na koszulce w kolorze khaki. Hodges odgarnia druty, wyciąga koszulkę, rozkłada. To nie koszulka, tylko kamizelka turystyczna, taka z mnóstwem kieszeni. Podszewkę przecięto w kilku miejscach. Hodges wkłada rękę w jedno rozcięcie, maca i wyciąga jeszcze dwie kulki łożyskowe. To jednak nie jest turystyczna kamizelka, już nie. Została przerobiona.

Teraz to jest samobójcza kamizelka. Albo była. Z jakiegoś powodu Brady ją rozbroił. Ponieważ zmienił plany i zdecydował się na Dzień Kariery w sobotę? Na pewno dlatego. Materiały wybuchowe pewnie ukrył w swoim samochodzie, chyba że już ukradł inny. On...

– Nie! – krzyczy Jerome. Potem wrzeszczy na całe gardło: – Nie! Nie, nie, BOŻE, NIE!

– Proszę, nie to – skomle Holly. – Tylko nie to. Hodges upuszcza kamizelkę i podbiega do komputerów, żeby zobaczyć, na co oni patrzą. To e-mail z serwisu o nazwie FanTastic z podziękowaniem dla pana Brady'ego Hartsfielda za zamówienie.

Może Pan ściągnąć i wydrukować swój bilet w każdej chwili. Zabronione jest wnoszenie na koncert plecaków i torebek. Dziękujemy za skorzystanie z usług FanTastic – najlepsze miejsca na największe imprezy w zasięgu jednego kliknięcia.

Pod spodem:

'ROUND HERE AUDYTORIUM MINGO MIDWEST

CULTURE AND ARTS

CENTER 3 CZERWCA 2010 19.00

Hodges zamyka oczy. Jednak to ten cholerny koncert. Popełniliśmy błąd... zrozumieli,

ale niewybaczalny. Proszę, Boże, nie pozwól mu wejść do środka. Proszę, Boże, niech ludzie Romper Stompera zatrzymają go przy drzwiach.

Ale nawet to może doprowadzić do katastrofy, ponieważ Larry Windom jest przekonany, że szuka zboczeńca – pedofila, nie obłąkanego terrorysty. Jeśli zauważy Brady’ego i spróbuje go aresztować ze swoim zwykłym chamskim brakiem manier...

– Jest za kwadrans siódma. – Holly wskazuje cyfrowy zegar na Numerze Trzy. – On może jeszcze stać w kolejce, ale pewnie już jest w środku.

Hodges wie, że ona ma rację. Przy takiej frekwencji zaczęli wpuszczać najpóźniej o szóstej trzydzieści.

– Jerome...

Chłopiec nie odpowiada. Wpatruje się w fakturę za bilet na ekranie komputera. Hodges kładzie mu rękę na ramieniu i ma wrażenie, jakby dotykał kamienia.

– Jerome?

Chłopak powoli się odwraca. Oczy ma ogromne.

– Byliśmy tacy głupi – szepcze.

– Dzwon do mamy. – Hodges mówi spokojnym głosem, nawet bez specjalnego wysiłku, bo jest w głębokim szoku. Ciągłe widzi kulki łożyskowe. I pociętą kamizelkę. – Dzwon zaraz. Powiedz jej, żeby zabrała Barbarę i jej koleżanki i wiała stamtąd.

Jerome odpina telefon od klipsa przy pasku i naciska przycisk szybkiego wybierania. Holly patrzy na niego, ciasno obejmując się ramionami, krzywiąc pogryzione usta.

Jerome czeka, mamrocze przekleństwo, potem mówi:

– Musicie stamtąd wyjść, mam. Po prostu zabierz dziewczynki i wyjdź. Nie oddzwaniaj, nie zadawaj pytań, tylko wyjdź. Nie biegnijcie. Nie okazujcie strachu. Ale wyjdźcie!

Rozłącza się i mówi im to, co już wiedzą.

– Poczta głosowa. Sygnał był normalny, więc ona nie rozmawia i nie wyłączyła komórki. Nie rozumiem.

– A twoja siostra? – pyta Hodges. – Na pewno ma telefon.

Jerome stuka w szybkie wybieranie, zanim Hodges skończył. Słucha, jak się wydaje, przez całą wieczność, chociaż Hodges wie, że tylko przez dziesięć albo piętnaście sekund. Potem krzyczy:

– Barb! Czemu nie odbierasz, do cholery? Ty, mama i reszta dziewczynek musicie natychmiast stamtąd wyjść! – Przerywa połączenie. – Nie rozumiem. Ona zawsze nosi telefon, praktycznie jest z nim zrosnięta, powinna przynajmniej poczuć wibra...

– O jasna cholera – mówi Holly. Ale to jej nie wystarcza. – O kurwa.

Odwracają się do niej.

– Jak duża jest ta sala koncertowa? Ilu ludzi się tam zmieści?

Hodges próbuje sobie przypomnieć, co wie o Audytorium Mingo.

– Cztery tysiące miejsc siedzących. Nie wiem, czy pozwalają stać, nie pamiętam tej części przepisów przeciwpożarowych.

– A na tym koncercie są prawie same dziewczynki – ciągnie Holly. – Dziewczynki praktycznie zrosnięte z telefonami komórkowymi. Prawie wszystkie gadają, czekając na początek występu. Albo esemesują. – Rozpacz wypełnia jej oczy. – To obwody. Przeciężone. Musisz dalej próbować, Jerome. Musisz próbować, aż się połączysz.

On drętwo kiwa głową, ale patrzy na Hodgesa.

– Zadzwoń do swojego znajomego. Tego z biura ochrony.

– Tak, ale nie stąd. Z samochodu. – Znowu spogląda na zegarek. Za dziesięć siódma. – Jedziemy do MAC.

Holly zaciska pięści po obu stronach twarzy.

– Tak – mówi i Hodges przypomina sobie, co powiedziała wcześniej: „Oni go nie znajdą. My możemy go znaleźć”.

Pomimo gorącego pragnienia, żeby zmierzyć się z Hartsfieldem – żeby złapać drania za gardło i patrzeć, jak mu oczy wylazą, jak się dusi – Hodges ma nadzieję, że Holly się myli. Bo jeśli wszystko zależy od nich, może już być za późno.

Tym razem Jerome siedzi za kierownicą, a Hodges z tyłu. Mercedes Olivii Trelawney rozpędza się powoli, ale jak już dwunastocylindrowy silnik się rozgrzeje, pędzi jak rakietę. Wiedząc, że życie matki i siostry wisi na włosku, Jerome ciśnie gaz, lawiruje po pasach i ignoruje protestujące klaksony innych wozów. Hodges ocenia, że dojadą do MAC za dwadzieścia minut. To znaczy jeśli chłopak wcześniej ich nie rozwali.

– Niech pan zadzwoni do tego ochroniarza! – krzyczy Holly z przedniego fotela. – Niech pan dzwoni, niech pan dzwoni, niech pan dzwoni!

Wyjmując nokię z kieszeni marynarki, Hodges mówi Jerome'owi, żeby pojechał obwodnicą.

– Nie udzielaj mi rad – odpowiada Jerome – tylko zadzwoń. Szybko.

Ale kiedy Hodges próbuje wejść do pamięci telefonu, cholerna nokia wydaje jedno słabe piśnięcie i zdycha. Kiedy ostatnio ją ładował? Nie pamięta. I nie pamięta numeru biura ochrony. Powinien go zapisać w notesie zamiast polegać na telefonie.

Przekłęta technologia, myśli... ale czyja to wina?

– Holly. Wybierz pięć pięć pięć tysięcy dziewięćset i daj mi swój telefon. Mój padł.

Końcówka 1900 to wydział. Poprosi Marlo jeszcze raz o numer Windoma.

– Okay, jaki tu jest kierunkowy? Mój telefon...

Przerywa, kiedy Jerome nagłym skrętem wyprzedza ciężarówkę i jedzie prosto na SUV-a na drugim pasie, mrugając światłami i wrzeszcząc:

– Zjeżdżaj z drogi!

SUV skręca gwałtownie i Jerome mija go na grubość lakieru.

– ...jest na Cincinnati – kończy Holly. Wydaje się chłodna jak sorbet.

Hodges, myśląc, że przydałoby mu się trochę prochów, które ona bierze, recytuje kierunkowy. Holly wybiera numer i podaje mu telefon nad oparciem fotela.

– Komenda policji, dokąd mam przełączyć?

– Muszę rozmawiać z Marlo Everett z archiwum, natychmiast.

– Przykro mi, ale widziałam, jak pani Everett wyszła pół godziny temu.

– Ma pani numer jej komórki?

– Proszę pana, nie wolno nam podawać takich informacji ob...

Hodges nie zamierza się wdawać w czasochłonną dyskusję, która z pewnością nic nie da, i rozłącza się, kiedy Jerome setką wjeżdża na obwodnicę.

– Co tak długo, Bill? Czemu nie...

– Zamknij się i jedź, Jerome – uciska go Holly. – Pan Hodges robi, co może.

Tak naprawdę ona wcale nie chce, żeby się do kogoś dodzwonił, myśli Hodges. Bo to powinniśmy być my i tylko my. Nawiedza go szalona myśl, że Holly używa jakichś niesamowitych psychicznych wibracji, żeby na pewno tak zostało: tylko oni. I może zostanie. Jerome prowadzi w takim tempie, że dojadą do MAC, zanim Hodges zdąży się połączyć z jakimkolwiek przedstawicielem władz.

Zimna część jego umysłu uważa, że tak byłoby najlepiej. Ponieważ bez względu na to, do kogo Hodges się dodzwoni, w Mingo rządzi Larry Windom, a Hodges mu nie ufa. Romper Stomper zawsze był porywczy, zawsze rwał się do bicia i wątpliwe, czy się zmienił.

Jednak musi spróbować.

Oddaje telefon Holly i mówi:

– Nie mogę się połączyć w tym cholerstwie. Zadzwoń do biura numerów i...

– Najpierw spróbuj jeszcze raz do mojej siostry – przerywa Jerome i rzuca numer.

Holly dzwoni do Barbary, jej kciuk porusza się tak szybko, że się rozmazuje. Słucha.

– Poczta głosowa.

Jerome klnie i przyspiesza. Hodges ma tylko nadzieję, że czuwa nad nim Anioł Stróż.

– Barbara! – wrzeszczy Holly. Teraz już żadnego mamrotania. – Ty i ktokolwiek z tobą jest, zabierajcie się stamtąd natychmiast! W tej chwili! – Rozłącza się. – Co teraz? Biuro numerów?

– Taa. Poproś o numer biura ochrony w MAC, wybierz i oddaj mi telefon. Jerome, skręć na zjazd cztery A.

– MAC to trzy B.

– Jeśli jedziesz od frontu. My podjedziemy od tyłu.

– Bill, jeśli mojej mamie i siostrze coś się stanie...

– Nic się nie stanie. Zjedź w cztery A. – Dyskusja Holly z biurem numerów się przeciąga.

– Holly, co tak długo?

– Nie ma bezpośredniej linii do biura ochrony. – Wybiera nowy numer, słucha i oddaje mu telefon. – Musi pan się połączyć przez centralę.

Hodges przyciska iPhone'a Holly do ucha tak mocno, że aż boli. Telefon dzwoni. I dzwoni. I dzwoni.

Kiedy mijają zjazdy 2A i 2B, Hodges widzi MAC oświetlony jak choinka i ławice samochodów na parkingu. Wreszcie uzyskuje połączenie, ale zanim zdąży się odezwać, jakiś nagrany damski głos zaczyna mu robić wykład. Kobieta mówi powoli i starannie, jakby zwracała się do cudzoziemca, który niezbyt dobrze zna angielski.

– Witam i dziękuję za telefon do Midwest Culture and Arts Complex, gdzie sprawiamy, że życie staje się lepsze, i gdzie wszystko jest możliwe.

Hodges słucha, miażdżąc ucho telefonem Holly, pot ścieka mu po szyi i policzkach. Jest sześć po siódmej. Drań nie robi tego, dopóki nie zacznie się występ, powtarza sobie (właściwie się modli), a koncerty rockowe zawsze się późno zaczynają.

– Pamiętaj – mówi słodko nagrany głos – że liczymy na twoje wsparcie. Karnety na koncerty miejskiej orkiestry symfonicznej i jesienny sezon teatralny są już dostępne. Nie tylko oszczędzisz pięćdziesiąt procent...

– Co się dzieje?! – wrzeszczy Jerome, kiedy mijają 3A i 3B. Następna tablica głosi: ZJAZD 4A SPICER BOULEVARD 1 KM. Rzucił Holly własny telefon i Holly próbuje się dodzwonić najpierw do Tanyi, potem znowu do Barbary, bez rezultatu.

– Słucham pieprzonej nagranej reklamy – odpowiada Hodges. Znowu pociera zagłębienie w ramieniu. Ból ęmi jak zepsuty ząb. – Skręć w lewo na dole rampy. Potem w prawo, chyba przy pierwszej przecznicy. Może przy drugiej. W każdym razie przy McDonalddie.

Chociaż mercedes pruje sto dwadzieścia na godzinę, odgłos silnika nie wznosił się ponad senny pomruk.

– Jeśli usłyszemy wybuch, zwariuję – oznajmia rzeczowo Jerome.

– Po prostu jedź – mówi Holly. Niezapalony winston podryguje jej w zębach. – Tylko nas nie rozbij, to damy radę. – Wraca do wybierania numeru Tanyi. – Dopadniemy go. Dopadniemy, dopadniemy, dopadniemy.

Jerome rzuca jej przelotne spojrzenie.

– Jesteś stuknięta.

– Wielka mi nowina. Po prostu jedź – powtarza Holly.

– Możesz również skorzystać ze swojej karty MAC, żeby otrzymać dziesięcioprocentową zniżkę w wybranych znakomitych restauracjach oraz miejscowych sklepach detalicznych – informuje Hodgesa głos w słuchawce.

Potem wreszcie przechodzi do rzeczy.

– Chwilowo w centralnym biurze nikt nie może odebrać twojego telefonu. Jeśli znasz numer wewnętrzny, z którym chcesz się połączyć, możesz go wybrać w każdej chwili. Jeśli nie, proszę o uważne wysłuchanie, ponieważ nasze menu opcji się zmieniło. Żeby połączyć się z Biurem Teatralnym Averego Johnsa, wybierz jeden-zero. Żeby połączyć się z Box Office Belindy Dean, wybierz jeden-jeden. Żeby połączyć się z Miejską Orkiestrą Symfoniczną...

O Jezu Chryste, myśli Hodges, to cholerny katalog domu towarowego. I w porządku alfabetycznym.

Mercedes przechyla się mocno, kiedy Jerome skręca w zjazd 4A i pędzi w dół po kolistej estakadzie. Na dole jest czerwone światło.

– Holly. Jak z twojej strony?

Ona sprawdza z telefonem wciąż przy uchu.

– Zdążysz, jeśli się pospieszysz. Jeśli chcesz nas zabić, zwolnij.

Jerome przydeptuje gaz. Mercedes Olivii z piskiem opon przecina cztery pasy jezdni, przechylając się mocno na lewo. Rozlega się huk, kiedy przeskakują przez betonową wysepkę. Klaksony trąbią w przeraźliwej kakofonii. Kątem oka Hodges widzi, jak półciężarówka wjeżdża na krawężnik, żeby ich ominąć.

– Żeby połączyć się z Usługami Rzemieślniczymi i Projektowaniem Dekoracji, wybierz...

Hodges wali pięścią w dach mercedesa.

– Gdzie się podziali PIEPRZENI LUDZIE?

W chwili, kiedy po prawej stronie pojawiają się złote łuki McDonalda, nagrany kobiecy głos oznajmia, że Hodges może się połączyć z Wydziałem Ochrony MAC, wybierając trzy-dwa.

Wybiera. Telefon dzwoni cztery razy, potem Hodges uzyskuje połączenie. To, co słyszy, każe mu wątpić w swoje zdrowe zmysły.

– Witam i dziękuję za telefon do Midwest Culture and Arts Complex – mówi serdecznie głos. – Gdzie sprawiamy, że życie staje się lepsze, i gdzie wszystko jest możliwe.

– Czemu się nie zaczyna, pani Robinson? – pyta Dinah Scott. – Już dziesięć po siódmej. Tanya chce im opowiedzieć o koncercie Steviego Wondera, na który poszła, kiedy była w szkole średniej, koncercie, który miał się zacząć o ósmej, a zaczął się o dziewiątej trzydzieści, ale dochodzi do wniosku, że tylko pogorszyłaby sytuację.

Hilda chmurnie wpatruje się w swój telefon.

– Ciągłe nie mogę się dodzwonić do Gail – narzeka. – Wszystkie łącza są prze...

Zanim skończyła, światła zaczynają przygasać. To wywołuje dziki wrzask entuzjazmu i burzę oklasków.

– O Boże, mam, jestem taka przejęta! – szepcze Barbara.

Tanya ze wzruszeniem widzi łyzy wzbierające w oczach córki. Na scenę wkracza facet w koszulce BAM-100 Good Guys. Reflektor prowadzi go na środek.

– Hej, ludzie! – woła. – Jak się macie?

Świeża fala hałasu upewnia go, że koncertowa publiczność ma się doskonale. Tanya widzi, że dwa rzędy niepełnosprawnych na wózkach również klaszczą. Oprócz łysego faceta. On tylko siedzi. Pewnie nie chce upuścić zdjęcia, myśli Tanya.

– Jesteście gotowi na trochę Boyda, Steve’a i Pete’a? – indaguje prezenter.

Znowu wrzaski i wiwaty.

– Jesteście gotowi na trochę CAMA KNOWLESA?

Dziewczynki (z których większość zapomniałyby języka w gębie, gdyby rzeczywiście znalazła się obok swojego idola) piszczą radośnie. O tak, są gotowe. Boże, jakie są gotowe. Umierają z gotowości.

– Za kilka minut zobaczycie coś, od czego oczy wam wyjdą, ale teraz, panie i panowie... a zwłaszcza wy, dziewczynki... powitajcie... 'ROUND... HEEERRRE!!!

Publiczność zrywa się na nogi i kiedy scena całkowicie ciemnieje, Tanya rozumie, dlaczego dziewczynki musiały odzyskać telefony. Za jej czasów wszyscy trzymali w górze zapalone zapalniczki albo zapalniczki Bic. Te dzieciaki trzymają telefony i połączony blask wszystkich małych ekraników obmywa czaszę hali widowiskowej niczym błada księżycowa poświata.

Skąd one wiedzą, że można to robić? – zastanawia się Tanya. Kto im to mówi? A kto nam powiedział?

Nie pamięta.

Na scenie zapalają się światła w odcieniu płomiennej czerwieni. Jednocześnie przez zapchaną sieć wreszcie przebija się połączenie i telefon Barbary Robinson wibruje w jej dłoni. Ona nie zwraca uwagi. W tej chwili odebranie telefonu to ostatnie, na co ma ochotę (po raz pierwszy w jej młodym życiu), a nawet gdyby odebrała, i tak nie usłyszy rozmówcy... pewnie brata. Hałas w Mingo jest ogłuszający... i Barb jest tym zachwycona. Macha wibrującym telefonem nad głową tam i z powrotem, zatacza wielkie, powolne łuki. Wszyscy tak robią, nawet jej mama.

Na scenę wkracza wokalista 'Round Here, ubrany w najciaśniejsze dzinsy, jakie Tanya Robinson kiedykolwiek widziała. Cam Knowles odrzuca do tyłu spiętrzoną falę blond włosów i zaczyna *You Don't Have to Be Lonely Again*.

Większość publiczności wciąż stoi, trzymając w górze telefony. Koncert się zaczął.

Mercedes skręca ze Spicer Boulevard w drogę dostawczą, oznakowaną tablicami DOSTAWY MAC i TYLKO DLA PRACOWNIKÓW. Pół kilometra dalej jest przesuwana brama. Zamknięta. Jerome podjeżdża do słupka z interkomem. Na słupku wisi napis: DZWONIC.

– Powiedz im, że jesteś z policji – nakazuje Hodges.

Jerome opuszcza okno i naciska guzik. Nic się nie dzieje. Naciska ponownie i tym razem trzyma. Hodges ma koszmarną wizję, że kiedy wreszcie ktoś odbierze, to będzie nagrany kobiecy głos oferujący kilkadziesiąt nowych opcji.

Ale tym razem zgłasza się prawdziwy człowiek, chociaż niezbyt przyjazny.

– Wjazd od tyłu zamknięty.

– Policja – mówi Jerome. – Otwierać bramę.

– Czego chcecie?

– Już powiedziałem. Otwierać tę cholerną bramę. To nagły wypadek.

Brama zaczyna powoli się otwierać, ale zamiast ruszyć, Jerome znowu naciska guzik.

– Jest pan z ochrony? – pyta mężczyznę.

– Główny dozorca – odpowiada trzeszczący głos. – Jeśli pan chcesz rozmawiać z ochroną, dzwoń pan do wydziału ochrony.

– Nikogo tam nie ma – informuje Hodges Jerome'a. – Wszyscy są na sali, co do jednego. Jedź.

Jerome rusza, chociaż brama jeszcze nie otwarła się do końca. Zarysowuje bok odnowionego mercedesa.

– Może go złapali – mówi. – Mieli jego opis, więc może już go złapali.

– Nie złapali – odpowiada Hodges. – On jest w środku.

– Skąd wiesz?

– Posłuchaj.

Nie dociera do nich sama muzyka, ale przez otwarte okno po stronie kierowcy wpada rytmiczne łomotanie basu.

– Koncert trwa. Gdyby ludzie Windoma zatrzymali faceta z materiałami wybuchowymi, od razu by przerwali występ i ewakuowali budynek.

– Jak on wszedł? – pyta Jerome i wali w kierownicę. – Jak?!

Hodges słyszy przerażenie w głosie chłopca. Wszystko przez niego. Wszystko to jego wina.

– Nie mam pojęcia. Mieli jego fotografię.

Przed nimi jest szeroka betonowa rampa prowadząca do placu załadunkowego. Kilku ludzi z obsługi technicznej siedzi na skrzyniach po wzmocniaczach i pali; chwilowo nie mają nic do roboty. Otwarte drzwi prowadzą na tyły audytorium. Dobiega stamtąd muzyka wijąca się wokół linii basu. I jeszcze jeden dźwięk: radosne wrzaski kilku tysięcy dziewczynek, wszystkich siedzących na parterze.

Jak Hartsfield tam wszedł, to już nie ma znaczenia, chyba że ta informacja pomoże go znaleźć, a jak, na Boga, mają go znaleźć na zaciemnionej widowni pełnej ludzi?

Kiedy Jerome parkuje u podnóża rampy, Holly mówi:

– DeNiro zrobił sobie mohawkę. Może to jest to.

– O czym ty mówisz? – pyta Hodges, gramoląc się z tylnego siedzenia. Przez otwarte drzwi wychodzi im na spotkanie jakiś facet w roboczych spodniach khaki.

– W *Taksówkarzu* Robert DeNiro grał szaleńca, Tralisa Bickle'a – wyjaśnia Holly.

Wszyscy troje pospiesznie idą w stronę dozorczy. – Kiedy postanowił zabić polityka, ogolił sobie głowę, żeby móc się zbliżyć nierozpoznany. To znaczy zostawił włosy na środku, dlatego to się nazywa mohawk. Brady Hartsfield pewnie tego nie zrobił, bo wyglądałby zbyt dziwacznie.

Hodges przypomina sobie resztki włosów w umywalce. Włosy blond, ale nie w takim jasnym (prawdopodobnie farbowanym) odcieniu co u martwej kobiety. Holly może jest stuknięta, ale chyba ma rację: Hartsfield zrobił się na skinheada. Jednak Hodges wciąż nie rozumie, jak to mogło wystarczyć, ponieważ...

Główny dozorca podchodzi do nich.

– Co się dzieje?

Hodges wyjmuje swoją legitymację i pokazuje przelotnie, znowu ze strategicznie umieszczonym kciukiem.

– Detektyw Bill Hodges. Jak pana nazwisko?

– Jamie Gallison. – Mężczyzna zerka na Jerome'a i Holly.

– Jestem jego partnerką – mówi Holly.

– Jestem stażystą – dodaje Jerome.

Technicy się przyglądają. Niektórzy pospiesznie zgasili pety, które mogły zawierać coś mocniejszego niż tytoń. Przez otwarte drzwi Hodges widzi magazyn oświetlony roboczymi lampami, pełen rekwizytów i scenicznych dekoracji.

– Panie Gallison, mamy poważny problem – oznajmia Hodges. – Musi pan tu ściągnąć Larry'ego Windoma, natychmiast.

– Nie rób tego, Bill. – Nawet w narastającym stresie Hodges uświadamia sobie, że po raz pierwszy Holly zwróciła się do niego po imieniu.

Ignoruje ją.

– Proszę do niego zadzwonić na komórkę.

Gallison kręci głową.

– Ludzie z ochrony nie noszą komórek na służbie, bo zawsze, kiedy mamy taką wielką imprezę... to znaczy młodzieżową, z dorosłymi jest inaczej... łączą się blokują. Ochroniarze noszą...

Holly szarpie Hodgesa za ramię.

– Nie rób tego. On się spłoszy i to odpali. Wiem, że tak robi.

– Ona może mieć rację – mówi Jerome, a potem (jakby przypomniał sobie swój status stażysty) dodaje: – Proszę pana.

Gallison patrzy na nich zaniepokojony.

– Kto się spłoszy? Co odpali?

Hodges wciąż wpatruje się w dozorcę.

– Co noszą? Walkie-talkie? Radia?

– Radia, tak. Mają... – Dozorca ciągnie się za ucho. – Wie pan, takie coś jak aparaty słuchowe. Jakie noszą FBI i Secret Service. Co tu się dzieje? Niech pan nie mówi, że to bomba. – Nie podoba mu się to, co widzi na bladej, spoconej twarzy Hodgesa. – Chryste, to bomba?

Hodges wymija go i wchodzi do ogromnego magazynu. Za stosami rekwizytów, dekoracji i pulpitów do nut, spiętrzonych jak w graciarni, znajduje się warsztat stolarski i pracownia kostiumów. Muzykę słychać tu jeszcze głośniejsze. Hodges ma trudności z oddychaniem. Ból pełźnie w dół lewego ramienia, klatka piersiowa wydaje się ciężka, ale myśli są jasne.

Brady albo się ogolił na łyso, albo skrócił włosy i ufarbował szczecinę. Mógł przyciemnić sobie skórę makijażem, założyć kolorowe szkła kontaktowe lub okulary. Ale nawet po tych wszystkich zmianach pozostałby samotnym mężczyzną w tłumie nieletnich dziewczynek. Hodges dał cynk Windomowi, więc Hartsfield zwróciłby na siebie uwagę i wzbudziłby

podejrzenia. No i nie zapominajmy o materiałach wybuchowych. Holly i Jerome o nich wiedzą, ale Hodges wie więcej. Są jeszcze stalowe kulki łożyskowe, pewnie cała kupa. Nawet jeśli Hartsfielda nie zatrzymano przy wejściu, jakim cudem wniósł to wszystko do środka? Czy tutejsza ochrona naprawdę jest taka fatalna?

Gallison chwyta go za lewe ramię i potrząsa, ból odzywa się aż w plombach.

– Sam pójde. Złapię pierwszego spotkanego ochroniarza i każę mu wezwać przez radio Windoma, żeby tu przyszedł i z wami porozmawiał.

– Nie – mówi Hodges – nie robi pan tego.

Holly Gibney jako jedyna z nich prawidłowo ocenia sytuację. Pan Mercedes jest w środku. Ma bombę i tylko z łaski Boga jeszcze jej nie odpalił. Za późno na policję i za późno na ochronę MAC. Za późno również dla niego.

Ale.

Hodges siada na pustej skrzyni.

– Jerome. Holly. Podejdźcie.

Podchodzą. Jerome ma wytrzeszczone oczy, ledwo powstrzymuje panikę. Holly jest blada, ale pozornie spokojna.

– Ogolenie się na łyso nie wystarczyłoby. On musiał wyglądać nieszkodliwie. Chyba wiem, jak to zrobił, i jeśli mam rację, wiem, gdzie on jest.

– Gdzie? – pyta Jerome. – Powiedz nam. Dostaniemy go. Na pewno.

– To nie będzie łatwe. On będzie teraz czujny, będzie ciągle sprawdzał najbliższe otoczenie. I on cię zna, Jerome. Kupowałeś lody w tej cholernej furgonetce Pana Smakusia. Sam mi mówiłeś.

– Bill, on sprzedawał lody tysiącom ludzi.

– Jasne, ale ilu czarnych mieszka na West Side?

Jerome milknie i teraz to on przygryza wargę.

– Jak duża jest ta bomba? – pyta Gallison. – Może włączę alarm pożarowy?

– Tylko jeśli pan chce, żeby kupa ludzi zginęła – oświadcza Hodges. Coraz trudniej mu mówić. – Tamten jak tylko wyczuje niebezpieczeństwo, odpali wszystko, co ma. Chce pan tego?

Gallison nie odpowiada. Hodges znowu odwraca się do dwojga swoich pomocników, którzy z woli Boga – albo kapryśnego losu – są z nim tego wieczoru.

– Nie możemy ryzykować z tobą, Jerome, i na pewno nie możemy ryzykować ze mną. On mnie śledził, zanim w ogóle się dowiedziałem o jego istnieniu.

– Podejdę od tyłu – proponuje Jerome. – Zaskoczę go. W ciemności, tylko przy światłach ze sceny, on mnie wcale nie zobaczy.

– Jeśli on jest tam, gdzie myślę, masz szansę w najlepszym razie pół na pół. To nie wystarczy.

Odwraca się do kobiety o siwiejących włosach i twarzy neurotycznej nastolatki.

– To musisz być ty, Holly. On już trzyma palec na spuście i tylko ty możesz się zbliżyć niepostrzeżenie.

Holly zakrywa ręką pokancerowane usta, ale jedna ręka to za mało i dodaje drugą. Oczy ma wielkie i wilgotne. Boże dopomóż, myśli Hodges. Nie po raz pierwszy myśli tak w związku z Holly Gibney.

– Tylko jeśli pójdziesz ze mną – mówi Holly przez palce. – Może wtedy...

– Nie mogę – odpowiada Hodges. – Mam atak serca.

– No, pięknie – jęczy Gallison.

– Panie Gallison, czy macie sektor dla niepełnosprawnych? Na pewno macie, prawda?

– Jasne. W połowie audytorium.

On nie tylko wniósł do środka materiały wybuchowe, myśli Hodges, ale wybrał idealne miejsce, żeby wyrządzić jak najwięcej szkód.

– Słuchajcie, wy dwoje – zwraca się do Holly i Jerome’a. – Nie każcie mi powtarzać dwa razy.

Po zapowiedzi prezentera Brady odrobinę się odprężył. Lunaparkowe badziewie, którego wyładunek widział podczas rekonesansu, jest albo za kulisami, albo zawieszony nad sceną. Cztery czy pięć pierwszych piosenek zespołu to tylko rozgrzewka. Już niedługo dekoracje wtoczą się z obu stron albo opadną z góry, ponieważ głównym celem zespołu, powodem ich obecności jest sprzedaż ostatniej porcji ich audiopomyj. Kiedy małolaty – których większość pierwszy raz jest na koncercie rockowym – zobaczą te jaskrawe, mrugające światła, karuzelę, diabelski młyn i plażę w tle, po prostu wyjdą z siebie. To wtedy, właśnie wtedy on naciśnie przełącznik Gadżetu Dwa i wjedzie w ciemność na złocistej bańce ogólnego szczęścia.

Wokalista, ten z długimi kudłami, kończy przesłodzoną balladę na kolanach. Przeciąga ostatnią nutę z pochyloną głową, zgrywając się aż po swoją pedalską dupę. Śpiewa fatalnie i już dawno powinien przedawkować prochy, ale kiedy podnosi głowę i ryczy: „Jak się czujecie?!”, publiczność oczywiście dostaje pierdolca.

Brady rozgląda się co parę sekund – sprawdza najbliższe otoczenie, zgodnie z przewidywaniami Hodgesa – i zatrzymuje wzrok na małej czarnej dziewczynce, siedzącej kilka rzędów dalej z prawej strony.

Czy ja ją znam? – zastanawia się.

– Kogo wypatrujesz? – pyta ładna dziewczyna z patykowatymi nogami, przekrzykując przygrywkę do następnej piosenki.

Brady ledwie ją słyszy. Ona uśmiecha się do niego szeroko, a on myśli, jakie to głupie, żeby dziewczyna z patykami zamiast nóg uśmiechała się do czegokolwiek. Świat wydymał ją równo, z tyłu i z przodu, więc jak ona może się zdobyć choćby na lekki półuśmiech, nie mówiąc o uśmiechu całą gębą? Pewnie jest nawalona.

– Przyjaciela! – odkrzykuje.

Myśląc: Jakbym miał przyjaciół.

Jakbym miał.

Gallison prowadzi Jerome'a i Holly do... no, dokądś. Hodges siedzi na skrzyni z opuszczoną głową i rękami wspartymi na udach. Jeden z techników podchodzi z wahaniem i proponuje, że wezwie pogotowie. Hodges dziękuje, ale odmawia. Nie wierzy, że Brady usłyszałby zawroźnienie nadjeżdżającej karetki (czy cokolwiek innego) w hałasie wytwarzanym przez 'Round Here, nie zamierza jednak ryzykować. Ryzykowanie doprowadziło ich do sytuacji, kiedy wszyscy w Audytorium Mingo są zagrożeni, włącznie z matką i siostrą Jerome'a. Raczej umrze, niż znowu zaryzykuje, zresztą kiedy umrze, przynajmniej nie będzie musiał się tłumaczyć, dlaczego wszystko się totalnie pojechało.

Tylko... Janey. Kiedy wspomina, jak Janey się śmiała i przekrzywiła jego pożyczoną fedorę pod dokładnie właściwym zawadiackim kątem, wie, że gdyby musiał to zrobić jeszcze raz, zrobiłby to tak samo.

No... większość. Gdyby dostał drugą szansę, może trochę uważniej słuchałby pani Melbourne.

„Ona myśli, że obcy żyją wśród nas”, powiedział Bowfinger i obaj pośmiali się z niej po męsku, ale to z siebie powinni się śmiać, prawda? Ponieważ pani Melbourne miała rację. Brady Hartsfield rzeczywiście jest obcym i żył wśród nich przez cały czas, naprawiał komputery i sprzedawał lody.

Holly i Jerome odeszli. Jerome zabrał trzydziestkęósemkę, która dawniej należała do ojca Hodgesa. Hodges ma poważne wątpliwości, czy należało wysłać chłopca z naładowaną bronią na zatłoczoną widownię. W zwykłych okolicznościach Jerome jest idealnie zrównoważony, jednak nie będzie taki zrównoważony, kiedy jego matce i siostrze grozi niebezpieczeństwo. Niemniej Holly potrzebuje ochrony. „Pamiętaj, że jesteś tylko wsparciem”, powiedział Hodges chłopcu, zanim Gallison ich wyprowadził, ale Jerome nie przytaknął. Nawet nie dał po sobie poznać, czy usłyszał.

W każdym razie Hodges zrobił wszystko, co mógł. Pozostaje mu tylko siedzieć tu, znosić ból, walczyć o oddech i czekać na eksplozję, modląc się, żeby nie nastąpiła.

Holly Gibney przebywała w zakładzie zamkniętym dwa razy, raz jako nastolatka i drugi raz po dwudziestce. Psychiatra, do którego później chodziła, nazywał te przymusowe wakacje „ucieczką od rzeczywistości”, co nie było dobre, ale lepsze od „ucieczki w psychozę”, z której wiele osób nigdy nie wraca. Sama Holly miała prostszą nazwę dla rzeczonych ucieczek. Mianowicie dostawała „totalnego świra”, w przeciwieństwie do niedużego albo umiarkowanego świra, z którym żyła na co dzień.

Totalnego świra w wieku dwudziestu paru lat dostała przez swojego szefa w agencji nieruchomości w Cincinnati o nazwie Piękne Domy i Posiadłości Franka Mitchella. Frank Mitchell junior, jej szef, był elegancko ubranym facetem o twarzy inteligentnego pstrąga. Twierdził, że jej praca jest poniżej normy, że współpracownicy jej nie znoszą i że ona może się utrzymać w firmie tylko wtedy, jeśli on dalej będzie ją kryć. Będzie, jeśli ona się z nim prześpi. Holly nie chciała spać z Frankiem Mitchellem juniorem i nie chciała stracić pracy. Gdyby straciła pracę, straciłaby mieszkanie i musiałaby wrócić do domu, żeby zamieszkać z tchórzliwym ojcem i apodyktyczną matką. Rozwiązała wreszcie swój konflikt w ten sposób, że pewnego dnia przyszła wcześniej i zdemolowała gabinet Franka Mitchella juniora. Znalaziono ją w jej boksie, skuloną w kącie. Czubki palców miała zakrwawione. Obgryzła je niczym zwierzę próbujące uciec z pułapki.

Przyczyną jej pierwszego totalnego ześwirowania był Mike Sturdevant. Ten sam, który wymyślił dla niej fajną ksywkę:

Dziamga.

W tamtych czasach, na początku szkoły średniej, Holly chciała tylko przemykać niepostrzeżenie z miejsca na miejsce, przyciskając książki do nowo wyklutych piersi, z włosami zasłaniającymi upstrzoną trądzikiem twarz. Ale nawet wtedy miała problemy dużo większe od trądziku. Problemy z łękami. Problemy z depresją. Problemy z bezsennością.

I najgorsze ze wszystkiego: stymy.

Stym to skrót od autostymulacji, co brzmi podobnie do masturbacji, ale nie jest onanizmem. Oznacza kompulsywne ruchy, którym często towarzyszą urywki dialogów z samym sobą. Obgryzanie paznokci i przygryzanie wargi to łagodne formy stymu. Bardziej ekstrawagancy stymery machają rękami, klepią się po piersiach i policzkach albo wykonują zamaszyste ruchy, jakby podnosili niewidzialne ciężary.

Mniej więcej w wieku ośmiu lat Holly zaczęła obejmować się ramionami, dygotać na całym ciele, krzywić się i mamrotać. Robiła tak przez pięć czy dziesięć sekund, po czym jak gdyby nigdy nic wracała do przerwanej czynności – czytania, szycia, gry w koszykówkę z ojcem na podjeździe. Prawie nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki matka jej nie zobaczyła; natychmiast kazała jej przestać się trząść i robić miny, bo ludzie pomyślą, że ma jakiś atak.

Mike Sturdevant należał do tych behawioralnie opóźnionych samców, którzy tęsknie wspominają szkolne lata jako utracony złoty wiek życia. Był w starszej klasie i – podobnie jak Cam Knowles – był bosko przystojny: szerokie barki, wąskie biodra, długie nogi i włosy w tak jasnym odcieniu blond, że tworzyły niemal aureolę. Grał w drużynie futbolowej (oczywiście) i spotykał się z przewodniczącą drużyny cheerleaderek (oczywiście). Znajdował się na całkiem innym poziomie szkolnej hierarchii niż Holly Gibney i w normalnych okolicznościach nigdy nie zwróciłby na nią uwagi. Ale zwrócił, ponieważ pewnego dnia, po drodze do kafeterii, dostała kolejnego ataku stymowania.

Mike Sturdevant i kilku jego kumpli z drużyny futbolowej akurat przechodzili obok. Przystanęli, żeby na nią popatrzeć – na dziewczynę, która obejmowała się, dygotała i krzywiła

twarz, aż usta jej opadały i oczy zwężyły się w szparki. Wyrzucała z siebie przez zaciśnięte zęby serię krótkich, nieartykułowanych dźwięków – może słów, może nie słów.

– Co ty dziamgasz? – zapytał ją Mike.

Holly rozluźniła uścisk na ramionach i spojrzała na niego z szalonym zdumieniem. Nie rozumiała, co on mówi; wiedziała tylko, że gapi się na nią. Wszyscy jego kumple gapili się na nią. I szczyrzyli zęby.

Ona też się na niego zagapiła.

– Co?

– Dziamgasz! – krzyknął Mike. – Dziam-dziam-dziamga!

Inni podchwycili okrzyk. Holly uciekła do kafeterii ze spuszczoną głową, wpadając na ludzi. Od tamtej pory Holly Gibney nosiła w szkole średniej Walnut Hill przezwisko Dziamga i tak trwało aż do ferii świątecznych. Pod koniec ferii matka znalazła ją zwinętą nago w wannie, powtarzającą, że nigdy nie wróci do Walnut Hill. Jeśli matka spróbuje ją zmusić, zabije się, oświadczyła.

Voila! Totalny świr!

Kiedy jej się poprawiło (trochę), poszła do innej szkoły, gdzie miała mniej stresów (niewiele mniej). Nigdy już nie spotkała Mike'a Sturdevanta, ale wciąż czasem jej się śni, że biegnie niekończącym się szkolnym korytarzem – niekiedy tylko w bieliźnie – a ludzie śmieją się z niej, wytykają ją palcami i przezywają „Dziamga”.

Wspomina te piękne szkolne czasy, kiedy razem z Jerome'em idą za głównym dozorcą przez labirynt pomieszczeń pod Audytorium Mingo. Tak właśnie będzie wyglądał Brady Hartsfield, myśli, całkiem jak Mike Sturdevant, tylko łysy. Ma nadzieję, że Mike też jest łysy, gdziekolwiek teraz przebywa. Łysy... gruby... z początkami cukrzycy... zrzedliwą żoną i niewdzięcznymi bachorami...

Dziamga, myśli.

Odpłacę ci.

Gallison prowadzi ich przez warsztat stolarski i pracownię kostiumów, obok szeregu przebieralni i dalej korytarzem dostatecznie szerokim, żeby transportować tędy dekoracje i tła sceniczne. Korytarz kończy się przed windą towarową z otwartymi drzwiami. Z szybu windy bucha radosna muzyka pop. Wykonywana w tej chwili piosenka mówi o miłości i tańcu. Ani jedno, ani drugie nie przemawia do Holly.

– Nie jedźcie windą – przestrzega Gallison. – Wysiada się za sceną i nie można stamtąd przejść na widownię, chyba że prosto przez zespół. Słuchajcie, czy tamten facet naprawdę ma atak serca? Wy naprawdę jesteście z policji? Nie wyglądacie na gliny. – Spogląda na Jerome'a. – Ty jesteś za młody. – Potem na Holly, z jeszcze większym powątpiewaniem. – A pani...

– Za dziwaczna? – podpowiada Holly.

– Tego nie mówiłem.

Może nie powiedział, ale tak pomyślał. Holly wie; dziewczyna, którą kiedyś przezywano Dziamga, zawsze wie.

– Wzywam gliny – oświadcza Gallison. – Prawdziwe gliny. I jeśli to jakiś zart...

– Niech pan robi, co trzeba – mówi Jerome, myśląc: Czemu nie? Niech facet wzywa nawet Gwardię Narodową. Tak czy inaczej, za parę minut będzie po wszystkim. Jerome wie o tym i widzi, że Holly też wie. Broń, którą dostał od Hodgesa, ciąży mu w kieszeni. Wydaje się dziwnie ciepła. Oprócz wiatrówki, którą miał w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat (dostał ją w prezencie urodzinowym, pomimo zastrzeżeń matki), nigdy w życiu nie nosił broni, a ten rewolwer wydaje się wręcz żywy.

Holly wskazuje na lewo od windy.

– A tamte drzwi? – pyta. I kiedy Gallison nie odpowiada natychmiast, dodaje: – Niech pan nam pomoże. Proszę. Może nie jesteśmy prawdziwymi glinami, może pan ma rację, ale dzisiaj na widowni naprawdę jest bardzo niebezpieczny człowiek.

Bierze głęboki oddech i wypowiada słowa, w które sama ledwie może uwierzyć, chociaż wie, że są prawdziwe:

– Jesteśmy waszą jedyną nadzieją.

Gallison rozważa to, potem mówi:

– Tymi schodami dojdziecie do Lewego Audytorium. Schody są długie. Na szczycie jest dwoje drzwi. Te po lewej prowadzą na zewnątrz. Te po prawej otwierają się na widownię, przy samej scenie. Z tak bliska bębni wam popękają od hałasu.

Dotykając rękojeści pistoletu w kieszeni, Jerome pyta: – A gdzie dokładnie jest sektor dla niepełnosprawnych?

Brady ją zna. Na pewno.

Początkowo nie może sobie skojarzyć, jak słowa, które utknęło na końcu języka. Potem, kiedy zespół zaczyna piosenkę o uprawianiu miłości na sali tanecznej, Brady sobie przypomina. Dom na Teaberry Lane, gdzie mieszka chłoptaş Hodgesa, gniazdo czarnuchów z białymi imionami. Oprócz psa. Pies nazywa się Odell, imię akurat odpowiednie dla czarnucha, i Brady zamierzał go zabić... tylko że zamiast niego zabił własną matkę.

Pamięta tamten dzień, kiedy czarnuch podbiegł do furgonetki Pana Smakusia, z kostkami u nóg jeszcze zielonymi po koszeniu trawnika tłustego ekspliniera. I jak jego siostra wołała: „Kup mi czekoladowe, Jerome! Proooszę!”.

Siostra ma na imię Barbara i oto ona w całej okazałości, brzydka jak noc. Siedzi dwa rzędy wyżej po prawej stronie z przyjaciółkami i kobietą, która pewnie jest jej matką. Jerome’a nie ma z nimi, co szalenie cieszy Brady’ego. Niech Jerome żyje, w porządku.

Ale bez siostry.

I bez matki.

Niech zobaczy, jak to jest.

Wciąż patrząc na Barbarę Robinson, ukradkiem wsuwa palec pod zdjęcie Frankiego i odnajduje przełącznik Gadżetu Dwa. Pieści go przez cienką tkaninę podkoszulka w ten sam sposób, jak pieścił – przy kilku szczęśliwych okazjach, kiedy mu pozwolono – sutki matki. Na scenie wokalista ’Round Here robi szpagat i pewnie zgniata sobie w tych ciasnych džinsach jaja na miązgę (zakładając, że je w ogóle ma), potem zrywa się na nogi i podchodzi do krawędzi sceny. Małolatki wrzeszczą. Wyciągają do niego ręce, jakby chciały go dotknąć, ich paznokcie – pomalowane na wszystkie dziewczęce kolory tęczy – błyszczą w światłach rampy.

– Hej, lubicie wesołe miasteczka?! – ryczy Cam.

Wrzeszczą, że lubią.

– Lubicie lunaparki?!

Wrzeszczą, że kochają lunaparki.

– Czy ktoś was kiedyś pocałował w lunaparku?!

Wrzaski osiągnęły już poziom delirium. Publiczność znowu wstaje, punktowe reflektory znowu prześlizgują się po tłumie. Brady przestaje widzieć zespół, ale to nieważne. On już wie, co się pojawi, bo był przy wyładunku.

Zniżając głos do intymnego, wzmocnionego pomruku, Cam Knowles mówi:

– Dziś wieczorem dostaniecie ten pocałunek.

Rozbrzmiewa cyrkowa muzyczka – syntezator Korg nastawiony na dźwięk parowych organów. Nagle scenę zalewają wirujące światła: niebieskie, czerwone, zielone, żółte, pomarańczowe. Rozlegają się zdumione ochy i achy, kiedy z góry zaczyna zjeżdżać wesołe miasteczko. Karuzela i diabelski młyn już się obracają.

– TO JEST TYTUŁOWY UTWÓR Z NASZEGO NOWEGO ALBUMU I MAMY NADZIEJĘ, ŻE WAM SIĘ SPODOBA! – grzmi Cam, a pozostałe instrumenty dołączają do syntezatora. – *Pustynia krzyczy na wszystkie strony* – intonuje Cam Knowles. – *Przez wieczność jestem tobą skażony*. – Zdaniem Brady’ego brzmi jak Jim Morrison po lobotomii. Potem wrzeszczy radośnie: – Co mnie wyleczy?

Publiczność wie i wykrzykuje słowa, kiedy zespół rąbie pełną parą:

– *KOCHANA, TWOJEJ MIŁOŚCI MI BRAK... COŚ Z NAMI POSZŁO NIE TAK...*

SMUTEK MNIE TOCZY JAK RAK...

Brady się uśmiecha. To błogi uśmiech udręczonego człowieka, który wreszcie odnalazł

spokój. Spogląda na żółty blask lampki gotowości i zastanawia się, czy pożyje dość długo, żeby zobaczyć, jak zmienia się na zieloną. Potem znowu patrzy na małą czarnuchę, która stoi, klaszcze i potrząsa końskim ogonem.

Spójrz na mnie, myśli. Spójrz na mnie, Barbaro. Chcę być ostatnią rzeczą, którą zobaczysz na tym świecie.

Barbara odrywa wzrok od cudów na scenie tylko na chwilę, żeby zobaczyć, czy łysy kaleka na wózku inwalidzkim bawi się równie dobrze jak ona. Z powodów, których nie rozumie, stał się „jej” kaleką. Czy dlatego, że kogoś jej przypomina? Z pewnością to niemożliwe. Jedyna niepełnosprawna osoba, jaką zna, to Dustin Stevens ze szkoły, a on jest dopiero w drugiej klasie. A jednak w tym łysym kalece jest coś znajomego.

Cały ten wieczór jest jak sen i teraz Barbara widzi coś, co chyba też jej się śni. Najpierw myśli, że kaleka na wózku do niej macha, ale nie. On się uśmiecha... i pokazuje jej palec. Z początku ona w to nie wierzy, ale tak, wzrok jej nie myli.

Zbliża się do niego jakaś kobieta, wspina się po schodach w przejściu między rzędami, biorąc po dwa stopnie, tak szybko, że prawie biegnie. A za nią, depcząc jej po piętach... może to naprawdę sen, bo on wygląda jak...

– Jerome? – Barbara ciągnie Tanyę za rękaw, żeby odwrócić jej uwagę od sceny. – Mamo, czy to...

Potem wszystko dzieje się jednocześnie.

W pierwszej chwili Holly myśli, że Jerome jednak mógł iść przodem, bo łysy okularnik na wózku nie patrzy – przynajmniej teraz – nawet na scenę. Odwrócił się i patrzy na kogoś w środkowym sektorze, i zdaje się, że ten wredny skurwysyn pokazuje temu komuś wyprostowany palec. Ale już za późno, żeby się zamienić miejscami z Jerome'em, chociaż to on ma rewolwer. Okularnik włożył drugą rękę pod oprawioną fotografię na kolanach i Holly straszliwie się boi, że to znaczy, że jest gotowy to zrobić. Jeśli tak, zostały tylko sekundy.

Przynajmniej siedzi przy przejściu, myśli. Czemu nie? Z pewnością los powinien wreszcie się do nich uśmiechnąć.

Holly nie ma żadnego planu, bo zwykle nie planuje nic większego niż rodzaj przekąski, jaką przygotowuje do wieczornego filmu, ale przynajmniej raz w jej zaburzonym umyśle panuje jasność i kiedy podchodzi do człowieka, którego szukali, z jej ust padają dokładnie właściwe słowa. Cudownie właściwe. Musi się schylić i krzyczeć, żeby ją usłyszał przez wzmożony, łomoczący rytm muzyki i deliryczne wrzaski dziewczynek na widowni.

– Mike? Mike Sturdevant, czy to ty?

Brady odrywa się od kontemplacji Barbary Robinson, całkowicie zaskoczony, a wtedy Holly robi zamach zawiązaną skarpetką, którą jej dał Bill Hodges – jego Happy Slapperem – z siłą napędzaną przez adrenalinę. Skarpetka zatacza krótki łuk i trafia w łysą głowę Brady'ego tuż nad skronią. W hałasie, jaki robi zespół i jego fanki, Holly nie słyszy odgłosu uderzenia, ale widzi zapadnięty fragment czaszki wielkości małej miseczki. Brady wyrzuca ręce w górę, ręka ukryta wcześniej pod zdjęciem strąca je na podłogę, gdzie szkło się rozbija. Jego oczy jakby patrzą na nią, tylko że wywróciły się w oczodołach i widać jedynie dolne połówki źrenic.

Obok Brady'ego dziewczyna z nogami jak patyki patrzy na Holly, zaszokowana. Podobnie jak Barbara Robinson. Nikt inny nie zwraca uwagi. Wszyscy stoją, klaszczą, kołyszają się i śpiewają razem z zespołem.

– *CHCĘ CIĘ KOCHAĆ CAŁY CZAS... JECHAĆ PLAŻĄ W SŁOŃCA BLASK...*

Usta Brady'ego otwierają się i zamykają jak pyszczek ryby wyciągniętej z rzeki.

– *DZIEŃ SIĘ BUDZI JESZCZE RAZ... POCAŁUNKI W LUNAPARKU ZŁĄCZĄ NAS!*

Jerome kładzie rękę na ramieniu Holly i krzyczy, żeby go usłyszała:

– Holly! Co on ma pod koszulką?

Ona go słyszy – jest tak blisko, że jego oddech muska jej policzek przy każdym słowie – ale jakby słuchała zanikającej audycji radiowej późno w nocy, jakiegoś didżeja albo pieśniarza gospel z drugiego końca kraju.

– Masz mały prezencik od Działgi – oznajmia i wali go ponownie dokładnie w to samo miejsce, tylko jeszcze mocniej, pogłębiając wklęsnięcie w czaszce. Cienka skóra pęka i wypływa krew, najpierw kroplami, potem obfitym strumieniem, ścieka po szyi i barwi górę niebieskiej koszulki 'Round Here na brudny fiolet. Tym razem głowa odskakuje aż na prawe ramię. Brady zaczyna dygotać i szurać nogami. Holly myśli: jak pies, któremu śni się pogoń za królikiem.

Zanim zdąży ponownie go uderzyć – a bardzo, bardzo chce – Jerome chwyta ją i obraca.

– On jest nieprzytomny, Holly! Nieprzytomny! Co ty robisz?

– Terapię – odpowiada i nagle cała siła odpływa jej z nóg.

Holly siada w przejściu. Wypuszcza z palców zawiązany koniec Happy Slappera. Skarpetka łąduje obok jej tenisówki.

Na scenie zespół gra dalej.

Jakaś ręka szarpie go za ramię.

– Jerome? Jerome!

Odwraca się od Holly i bezwładnej postaci Brady’ego Hartsfielda, widzi swoją małą siostrzyczkę z oczami rozszerzonymi przerażeniem. Tuż za nią stoi mama. W obecnym stanie pobudzenia Jerome wcale nie jest zdziwiony, ale jednocześnie wie, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

– Coś ty zrobiła?! – krzyczy jakaś dziewczyna. – Coś ty mu zrobiła?

Jerome odwraca się z powrotem i widzi dziewczynę siedzącą na wózku następnym od przejścia, która wyciąga rękę do Hartsfielda. Jerome krzyczy:

– Holly! Nie pozwól jej!

Holly podnosi się chwiejnie, potyka się i o mało nie przewraca na Brady’ego. To byłby z pewnością ostatni upadek w jej życiu. Jednak jakoś utrzymuje równowagę i chwytą rękę dziewczyny na wózku. Prawie nie ma w nich siły i Holly czuje przypływ litości. Nachyla się blisko i przekrzykuje hałas:

– Nie dotykaj go! On ma bombę i chyba uzbrojoną!

Dziewczyna na wózku się cofa. Może zrozumiała; może tylko przestraszyła się Holly, która wygląda jeszcze dziwniej niż zwykle.

Drgawki Brady’ego przybierają na sile. Holly się to nie podoba, ponieważ widzi coś, słabe żółte światełko pod jego koszulką. Żółty to kolor kłopotów.

– Jerome? – mówi Tanya. – Co ty tu robisz?

Zbliża się bileter.

– Nie stać w przejściu! – przekrzykuje muzykę. – Nie wolno blokować przejścia, ludzie! Jerome chwytą matkę za ramiona. Przyciąga ją do siebie, aż stykają się czołami.

– Musisz stąd wyjść, mamó. Zabierz dziewczynki i wyjdź. Natychmiast. Niech bileter pójdzie z tobą. Powiedz mu, że twoja córka źle się poczuła. Proszę, nie zadawaj pytań.

Ona patrzy mu w oczy i nie zadaje pytań.

– Mamó? – zaczyna Barbara. – Co...

Reszta ginie w grzmocie kapeli i chóralnym akompaniamencie publiczności. Tanya chwytą Barbarę za ramię i podchodzi do biletera. Jednocześnie kiwa na Hildę, Dinah i Betsy, żeby do niej dołączyły.

Jerome znowu odwraca się do Holly, pochylonej nad Bradym. On wciąż dygocze, kiedy w jego głowie szaleją cerebralne burze. Stepuje na siedząco, jakby nawet nieprzytomny świetnie wyczuwał porywający rytm 'Round Here. Bezsensownie wymachuje rękami i kiedy jedna z nich zbliża się do słabego żółtego światełka pod koszulką, Jerome odbija ją niczym rozgrywający w koszykówce, który blokuje rzut z trumny.

– Chcę stąd wyjść – jęczy dziewczyna na wózku. – Boję się.

Jerome ją rozumie... on też chciałby się stąd wydostać i okropnie się boi... ale chwilowo dziewczyna musi zostać na miejscu. Brady zagradza jej drogę i nie odważą się go poruszyć. Jeszcze nie.

Holly go wyprzedza, jak to się często zdarza.

– Musisz na razie siedzieć spokojnie, kochanie – mówi do dziewczyny. – Wyluzuj i słuchaj koncertu.

Myśli, o ilez byłoby łatwiej, gdyby go zabiła, zamiast tylko rozwalić mu ten popieprzony łeb. Zastanawia się, czy Jerome zastrzeliłby Hartsfielda, gdyby go poprosiła. Chyba nie. Szkoda. W tym hałasie pewnie mógłby to zrobić bezkarnie.

– Czy ty zwariowałaś? – pyta z ciekawością dziewczyna na wózku.
– Ludzie ciągle mnie o to pytają – odpowiada Holly i bardzo ostrożnie zaczyna podciągać koszulkę Brady’ego. – Trzymaj mu ręce – rozkazuje Jerome’owi.
– A jeśli nie utrzymam?
– To załatw skurwiela.

Publiczność na przepelnionej widowni stoi, kołysze się i klaszcze. Nad głowami znowu fruują piłki plażowe. Jerome szybko się ogląda i widzi, że jego matka prowadzi dziewczynki do wyjścia pod eskortą biletera. Jeden punkt dla nas, myśli i wraca do bieżących spraw. Chwyta rozlatane ręce Brady’ego i przyciska jedną do drugiej. Przeguby są śliskie od potu. Jakby próbował utrzymać dwie wyrwijące się ryby.

– Nie wiem, co robisz, ale zrób to szybko! – krzyczy do Holly.

Żółte światelko pali się na plastikowym gadzecie, który przypomina przerobionego pilota do telewizora. Zamiast numerowanych przycisków oznaczających kanały jest biały przełącznik dwustabilny, jakim się zapala lampy w salonie. Przełącznik stoi prosto. Od gadżetu odchodzi przewód. Prowadzi pod tyłek Brady’ego.

Brady stęka i nagle wokół rozchodzi się kwaśny smród. Pęcherz mu puścił. Holly widzi, że worek na mocz na jego kolanach nie jest do niczego podłączony. Chwyta go i podaje dziewczynie na wózku.

– Trzymaj to.

– Fuj, to siki – mówi dziewczyna, a potem: – To nie siki. Coś jest w środku. Wygląda jak glina.

– Odlóż to. – Jerome musi krzyczeć, żeby się przebić przez muzykę. – Połóż to na podłodze. Ostrożnie! – Potem do Holly: – Pospiesz się, do cholery!

Holly wpatruje się w żółtą lampkę gotowości. I mały biały dzyndzelek przełącznika. Może go pchnąć do przodu albo do tyłu, ale nie odważy się ani na jedno, ani na drugie, bo nie wie, w którą stronę jest „wyłącz”, a w którą stronę „bum”.

Wyciąga Gadżet Dwa z kolan Brady’ego, jakby podnosiła węża napęczniałego od jadu. Musi do tego zmobilizować całą odwagę.

– Trzymaj go za ręce, Jerome, po prostu trzymaj go za ręce.

– On jest śliski – stęka Jerome.

Już to wiemy, myśli Holly. Śliski z niego skurwysyn. Śliski matkojebca.

Obraca gadżet, żalując, że ręce tak jej się trzęsą. Stara się nie myśleć o czterech tysiącach ludzi, którzy nawet nie wiedzą, że ich życie zależy teraz od biednej niezrównoważonej Holly Gibney. Spogląda na klapkę baterii. Potem, wstrzymując oddech, odsuwa ją i upuszcza na podłogę.

W środku są dwie baterie paluszki AA. Holly zahacza paznokciem o krawędź jednej i myśli: Boże, jeśli istnieje, proszę, niech to się uda. Przez chwilę nie może poruszyć palcem. Potem jedna z rąk Brady’ego wyslizguje się Jerome’owi i uderza ją w czubek głowy.

Holly wzdryga się i bateria, z którą się zmagala, wyskakuje z przegródki. Holly czeka, żeby świat eksplodował, a kiedy nie eksploduje, wyłącza pilota. Żółte światelko zgasło. Holly wybuch płaczem. Chwyta główny przewód i wyrывa z Gadżetu Dwa.

– Możesz już go pu... – zaczyna, ale Jerome już puścił. Obejmuje ją tak mocno, że Holly ledwie może oddychać. Nie szkodzi. Ona też go obejmuje.

Publiczność entuzjastycznie wiwatuje.

– Myślą, że oklaskują piosenkę, ale tak naprawdę oklaskują nas – szepcze Holly do ucha Jerome’a resztką tchu. – Tylko jeszcze o tym nie wiedzą. No, puść mnie już, Jerome. Za mocno ściskasz. Puść mnie, zanim zemdleję.

Hodges wciąż siedzi na skrzyni w części magazynowej. Nie jest sam. Na jego klatce piersiowej siedzi słoń. Coś się dzieje. Albo świat od niego odchodzi, albo on odchodzi ze świata. Myśli, że to drugie. Jakby siedział w środku kamery filmowej, odjeżdżającej na szynach, na tym wózku, który się nazywa dolka. Świat jest wyraźny jak zawsze, ale robi się coraz mniejszy, a wokół niego rozszerza się krąg ciemności.

Hodges trzyma się całą siłą woli, czekając na eksplozję albo brak eksplozji.

Jeden z techników nachyla się nad nim i pyta, co mu jest.

– Wargi panu sinieją – informuje.

Hodges odgania go machnięciem ręki. Musi słuchać.

Muzyka i radosne wrzaski. Nic więcej. Jeszcze nie.

Trzymaj się, mówi sobie. Trzymaj się.

– Co? – pyta technik, znowu się pochylając. – Co?

– Muszę się trzymać – szepcze Hodges.

Ale teraz prawie już nie może oddychać. Świat skurczył się do rozmiarów jaskrawo świecącej srebrnej dolarówki. Potem nawet to się zaćmiło, nie dlatego, że stracił przytomność, ale ponieważ ktoś do niego idzie. To Janey, zbliża się powoli, kołysząc biodrami. Ma na głowie jego fedorę, nasuniętą seksownie na jedno oko. Hodges przypomina sobie, co powiedziała, kiedy zapytał, dlaczego spotkało go takie szczęście, że wylądował w jej łóżku: „Nie żałuję. Możemy na tym poprzestać?”.

Taa, myśli. Taa. Zamyka oczy i spada ze skrzyni jak Humpty Dumpty z muru.

Technik go łapie, ale może tylko złagodzić upadek, nie powstrzymać. Inni technicy gromadzą się wokół Hodgesa.

– Kto potrafi zrobić reanimację? – pyta ten, który złapał Hodgesa.

Występuje technik z długim siwiejącym kucykiem, w wyblakłej koszulce z Judasem Coyne'em. Oczy ma jaskrawoczerwone.

– Ja, ale, człowieku, jestem taki upalony.

– Wszystko jedno, spróbuj.

Technik z kucykiem pada na kolana.

– Myślę, że ten facet jest już na wylocie – mówi, ale zabiera się do roboty.

Na górze 'Round Here zaczynają nową piosenkę wśród pisków i wrzasków małych wielbicielek. Te dziewczynki będą pamiętać ten wieczór do końca życia. Muzyka. Podniecenie. Piłki plażowe fruujące nad rozkołysanym, roztańczonym tłumem. Przeczytają w gazetach o wybuchu, do którego nie doszło, ale dla młodych tragedie, które się nie wydarzyły, to tylko sen.

Wspomnienia: one są rzeczywistością.

Hodges budzi się w szpitalnym pokoju, zdziwiony, że nadal żyje, lecz bynajmniej nie zdziwiony widokiem swojego dawnego partnera siedzącego obok łóżka. Najpierw myśli, że Pete – nieogolony, ze szklistym wzrokiem, z postawionym kołnierzykiem, który rogami kłuje go w gardło – wygląda gorzej, niż Hodges się czuje. Druga myśl dotyczy Jerome’a i Holly.

– Zatrzymali to? – chrypi. Gardło ma wyschnięte na wiór. Próbuje usiąść. Otaczająca go maszyna zaczyna piszczeć i gderać. On opada z powrotem na poduszki, ale nie odrywa wzroku od twarzy Pete’a Huntleya. – Zatrzymali?

– Zatrzymali – uspokaja go Pete. – Ta kobieta mówi, że nazywa się Holly Gibney, ale myślę, że tak naprawdę to jest Sheena, królowa dzungli. Ten facet, sprawca...

– Sprafca – poprawia Hodges. – On myśli, że to się pisze przez „f”.

– W tej chwili on nic nie myśli i lekarze twierdzą, że skończyły się dla niego czasy myślenia. Gibney stukła go na miazgę. Jest w głębokiej śpiączce. Minimalne funkcje mózgu. Kiedy znowu staniesz na nogi, możesz go odwiedzić, jeśli chcesz. Leży trzy sale dalej.

– Gdzie ja jestem? W okręgowym?

– Kiner. Na OIOM-ie.

– Gdzie są Jerome i Holly?

– Na komendzie. Odpowiadają na miliony pytań. Tymczasem matka Sheeny biega i grozi, że sama zacznie mordować, jeśli nie przestaniemy nękać jej córki.

Wchodzi pielęgniarka i każe Pete’owi wyjść. Mówi coś o funkcjach życiowych pana Hodgesa i zaleceniach lekarza. Hodges podnosi rękę, żeby ją powstrzymać, chociaż to dla niego wysiłek.

– Jerome jest nieletni, a Holly ma... problemy. To ja jestem odpowiedzialny, Pete.

– Och, wiemy – mówi Pete. – O tak. Określenie „przekraczać granice” nabiera całkiem nowego znaczenia. Coś ty sobie myślał, Billy, na litość boską?

– Robiłem, co mogłem – odpowiada Hodges i zamyka oczy.

Odpywa. Myśli o tych wszystkich młodych głosach, śpiewających razem z zespołem. Dzisiaj są w domu. Są bezpieczne. Trzyma się tej myśli, dopóki nie ogarnia go sen.



OBWIESZCZENIE

PONIEWAŻ Holly Rachel Gibney i Jerome Peter Robinson odkryli plan ataku Terrorysty na Audytorium Mingo przyległe do Midwest Culture and Arts Complex; i

PONIEWAŻ, zdając sobie sprawę, że poinformowanie personelu ochrony MAC może sprowokować rzeczony Terrorystę do zdetonowania ładunku wybuchowego wielkiej mocy, wzbogaconego o kilka kilogramów metalowych szrapneli, wbiegli do Audytorium Mingo; i

PONIEWAŻ osobiście stawili czoło rzeczonemu Terrorystyście, narażając się na wielkie ryzyko; i

PONIEWAŻ obezwładnili rzeczony Terrorystę i ocalili wiele istnień ludzkich; i

PONIEWAŻ oddali temu Miastu wielką i bohaterską przysługę,

DLATEGO TEŻ ja, burmistrz Richard M. Tewky, niniejszym odznaczam Holly Rachel Gibney i Jerome’a Petera Robinsona Medalem Zasługi, najwyższym odznaczeniem przyznawanym przez to Miasto, i nadaję im prawo darmowego korzystania ze wszystkich Miejskich Usług przez okres dziesięciu (10) lat; i

DLATEGO TEŻ, rozumiejąc, że niektórych Czynów nie da się spłacić, dziękujemy im z całego serca.

Powyższe poświadczam własnym podpisem i Pieczęcią Miejską.



Richard M. Tewky Burmistrz

BŁĘKITNY MERCEDES

Pewnego ciepłego, słonecznego dnia pod koniec października 2010 roku mercedes sedan wjeżdża na niemal pusty parking w parku McGinnis, gdzie Brady Hartsfield nie tak dawno sprzedawał lody zawodnikom Małej Ligi. Mercedes przytula się do schludnego małego priusa. Niegdyś szary, mercedes jest teraz polakierowany na niemowlęcy błękit. Po drugiej naprawie karoserii zniknęła długa rysa od strony kierowcy, która powstała, kiedy Jerome wjechał na plac ładunkowy za Audytorium Mingo, zanim brama do końca się otwarła.

Dzisiaj Holly siedzi za kierownicą. Wygląda dziesięć lat młodziej. Jej długie włosy – przedtem siwiejące i nieporządne – zmieniły się w lśniąca czarną grzywę dzięki wizytom w luksusowym salonie fryzjerskim, zarekomendowanym przez Tanyę Robinson. Macha do właściciela priusa, który siedzi przy stole w sektorze piknikowym, niedaleko od boiska baseballowego.

Jerome wysiada z mercedesa, otwiera bagażnik i wyciąga kosz piknikowy.

– Jezu Chryste, Holly – mówi. – Co ty tam wsadziłaś? Świąteczny obiad?

– Chciałam, żeby na pewno wystarczyło dla wszystkich.

– Przecież wiesz, że on jest na ścisłej diecie.

– Ale ty nie – odpowiada Holly. – Ty jeszcze rośniesz. I jest butelka szampana, więc nie upuść.

Wyjmuje z kieszeni paczuszkę gum Nicorette i wrzuca jedną do ust.

– Jak ci z tym idzie? – pyta Jerome, kiedy schodzą po zboczu.

– Radzę sobie. Hipnoza pomaga bardziej niż guma.

– A jeśli ten facet ci powie, że jesteś kurą, każe ci biegać w kółko po gabinecie i gdakać?

– Po pierwsze, mój terapeuta jest kobietą. Po drugie, nie zrobiłaby tego.

– Skąd wiesz? – pyta Jerome. – Przecież byłabyś, no, zahipnotyzowana.

– Idiota z ciebie, Jerome. Tylko idiota chciałby tu jechać autobusem z tym całym żarciem.

– Dzięki obwieszczeniu jeździmy za darmo. Lubię darmość.

Hodges, wciąż w garniturze, który włożył rano (choć krawat wsadził teraz do kieszeni), wychodzi im na spotkanie, poruszając się powoli. Nie czuje rozrusznika tykającego w klatce piersiowej – powiedziano mu, że są teraz bardzo małe – ale wie, że on tam jest i wykonuje swoją pracę. Czasami wyobraża go sobie i oczyma duszy widzi go jako mniejszą wersję gadzetu Hartsfielda. Tylko że jego gadzet ma powstrzymać eksplozję zamiast ją spowodować.

– Dzieciaki – mówi.

Holly nie jest dzieckiem, ale jest od niego młodsza prawie o dwie dekady, więc tak ją traktuje. Sięga po kosz piknikowy, lecz Jerome mu nie pozwala.

– Niee. Ja poniosę – oferuje. – Musisz uważać na serce.

– Moje serce jest w porządku – oświadcza Hodges i według ostatnich badań to prawda, ale on wciąż nie może w to uwierzyć. Przypuszcza, że każdy, kto przeszedł zawał, myśli tak samo.

– I dobrze wyglądasz – stwierdza Jerome.

– Tak – zgadza się Holly. – Dzięki Bogu kupiłeś sobie nowe ubranie. Kiedy cię ostatnio widziałam, wyglądałeś jak strach na wróble. Ile straciłeś na wadze?

– Piętnaście kilo – odpowiada Hodges. Szkoda, że Janey mnie teraz nie widzi, przemyka mu przez głowę i ta myśl wywołuje skurcz w jego elektronicznie regulowanym sercu.

– Wystarczy o odchudzaniu – ucina Jerome. – Holly przyniosła szampana. Chcę wiedzieć, czy mamy co opijać. Jak ci poszło rano?

– Prokurator nie zamierza nikogo oskarżyć. Wszystkie zarzuty oddalone. Billy Hodges jest wolny.

Holly rzuca mu się w ramiona i ściska go. On odwzajemnia uścisk i całuje ją w policzek. Teraz, kiedy obcięła włosy i całkowicie odsłoniła twarz – po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, chociaż on o tym nie wie – dostrzega jej podobieństwo do Janey. To jednocześnie boli i sprawia przyjemność.

Jerome czuje się w obowiązku przywołać Miastowego Czarnucha.

– Massa Hodges, pan wreszcie wolny! Wreszcie wolny! Wielki Boże Wszechmogący, pan być wreszcie wolny!

– Przestań tak mówić, Jerome – karci go Holly. – To szczeniackie.

Wyjmuje z koszyka butelkę szampana i trzy plastikowe kieliszki.

– Prokurator okręgowy zaprowadził mnie do gabinetu sędziego Daniela Silvera, faceta, który wiele razy wysłuchiwał moich zeznań, kiedy służyłem w policji – mówi Hodges. – Przez dziesięć minut zmywał mi głowę i oświadczył, że moja lekkomyślność naraziła życie czterech tysięcy ludzi.

Jerome jest oburzony.

– To skandal! Przecież dzięki tobie ci ludzie wciąż żyją.

– Nie – zaprzecza cicho Hodges. – Dzięki tobie i Holly.

– Po pierwsze, gdyby Hartsfield się z tobą nie skontaktował, gliny dalej by nie wiedziały, kim on jest. I ci ludzie by zginęli.

Może to prawda, a może nie, ale Hodges w głębi duszy pogodził się z tym, co się stało w Mingo. Natomiast nigdy się nie pogodził – i nigdy się nie pogodzi – z tym, co spotkało Janey. Silver go oskarżył o odegranie „decydującej roli” przy jej śmierci, i nie bez racji. Ale Hodges nie wątpi, że Hartsfield zabijałby dalej, jeśli nie na koncercie ani w Dniu Kariery w Embassy Suites, to gdzie indziej. Zasmakował w tym. Więc mamy brutalne równanie: życie Janey w zamian za życie tych hipotetycznych innych. A gdyby wybrał koncert w tej alternatywnej (lecz bardzo prawdopodobnej) rzeczywistości, wśród jego ofiar byłyby matka i siostra Jerome’a.

– Co odpowiedziałeś? – pyta Holly. – Co mu odpowiedziałeś?

– Nic. Kiedy cię stawiają pod pręgierzem, najlepsze, co możesz zrobić, to zacisnąć zęby i przeczekać.

– Dlatego nie poszedłeś z nami, żeby odebrać medal, tak? – upewnia się Holly. – I dlatego cię nie wymienili w obwieszczeniu. Te palanty cię ukarały.

– Pewnie tak – przyznaje Hodges, chociaż jeśli władze uważały to za karę, myliły się. Ostatnie, czego chciał, to żeby mu zawieszono medal na szyi i wręczono klucz do bram miasta. Był gliną przez czterdzieści lat. To jest jego klucz do bram miasta.

– Szkoda – mówi Jerome. – Nigdy nie pojeździsz autobusem za darmo.

– Jak tam sprawy na Lake Avenue, Holly? Układa się?

– Lepiej – przyznaje Holly. Usuwa korek z szampana z delikatnością chirurga. – Znowu śpiam w nocy. I chodzę do doktor Leibowitz dwa razy w tygodniu. Bardzo mi pomaga.

– A jak sprawy z matką? – Hodges wie, że to drażliwy temat, ale musi go poruszyć, ten jeden raz. – Ciągłe dzwoni do ciebie pięć razy dziennie i błaga, żebyś wróciła do Cincinnati?

– Ograniczyła się do dwóch telefonów – odpowiada Holly. – Raz z samego rana i raz wieczorem. Jest samotna. I chyba bardziej się boi o siebie niż o mnie. Trudno zmieniać życie na starość.

Co ty powiesz, myśli Hodges.

– To bardzo ważne spostrzeżenie, Holly.

– Doktor Leibowitz mówi, że trudno przełamać dawne nawyki. Trudno mi rzucić palenie,

a mamie trudno się przyzwyczaić, że mieszka sama. No i zrozumieć, że nie muszę być do końca życia czternastolatką skuloną w wannie.

Milczą przez chwilę. Na boisku numer 3 Małej Ligi wrona zajmuje stanowisko miotacza i kracze triumfalnie.

Rozstanie Holly z matką umożliwił testament Janelle Patterson. Lwia część majątku – który Janey otrzymała od innej ofiary Brady’ego Hartsfielda – przypadła wujowi Henry’emu Siroisowi i ciotce Charlotte Gibney, ale Janey zostawiła też pół miliona dolarów dla Holly. Ulokowano je w funduszu powierniczym zarządzanym przez pana Willarda Schrona, prawnika, którego Janey odziedziczyła po Olivii. Hodges nie ma pojęcia, kiedy Janey to zrobiła. Ani dlaczego. Nie wierzy w przeczucia, ale...

Ale.

Charlotte wszelkimi siłami sprzeciwiała się przeprowadzce Holly, twierdząc, że córka jeszcze nie jest gotowa, żeby zamieszkać sama. Jako że Holly zbliżała się do pięćdziesiątki, to znaczyło, że nigdy nie będzie gotowa. Holly uważała inaczej i z pomocą Hodgesa przekonała Schrona, że da sobie radę.

Na decyzję adwokata niewątpliwie wpłynął fakt, że była bohaterką udzielającą wywiadów we wszystkich głównych sieciach telewizyjnych. Jednak nie wpłynął na matkę; w pewnym sensie właśnie status Holly jako bohaterki najbardziej przeraził tę kobietę. Charlotte nigdy nie zdołała całkowicie zaakceptować tego, że jej niezrównoważona psychicznie córka odegrała znaczącą rolę (może najważniejszą rolę) w powstrzymaniu masowej rzezi niewiniątek.

Na mocy testamentu Janey apartament z bajecznym widokiem na jezioro stał się wspólną własnością ciotki Charlotte i wuja Henry’ego. Kiedy Holly zapytała, czy może tam zamieszkać, przynajmniej na początek, Charlotte odmówiła natychmiast i stanowczo. Brat nie mógł jej przekonać, żeby zmieniła zdanie. Dokonała tego sama Holly, która oświadczyła, że jeśli matka nie odda jej apartamentu, znajdzie sobie mieszkanie w Lowtown.

– W najgorszej części Lowtown – dodała. – Gdzie kupię wszystko za gotówkę. Z którą będę się ostentacyjnie obnosić.

To załatwiło sprawę.

Holly nie jest łatwo mieszkać w mieście – po raz pierwszy przebywa tak długo z dala od matki – ale terapeutka udziela jej wsparcia i Hodges często ją odwiedza. Co znacznie ważniejsze, Jerome też często ją odwiedza, a Holly jest jeszcze częstszym gościem w domu Robinsonów na Teaberry Lane. Hodges wierzy, że tam odbywa się prawdziwe leczenie, nie na kanapie doktor Leibowitz. Barbara zaczęła ją nazywać ciotką Holly.

– A co z tobą, Bill? – pyta Jerome. – Masz jakieś plany?

– No – mówi Hodges z uśmiechem – zaproponowano mi posadę w firmie ochroniarskiej Czujna Straż, co wy na to?

Holly klaszcze i podskakuje na piknikowej ławce jak dziecko.

– Weźmiesz to?

– Nie mogę – odpowiada Hodges.

– Serce? – zgaduje Jerome.

– Nie. Trzeba mieć licencję, a sędzia Silver zapewnił mnie dziś rano, że moje szanse na jej otrzymanie są takie same jak szanse, że Żydzi i Palestyńczycy wspólnie zbudują pierwszą międzywyznaniową stację kosmiczną. Marzenia o licencji prywatnego detektywa również się rozwiały. Ale jeden poręczyciel sądowy, którego znam od lat, zaproponował mi robotę na niepełny etat jako tropiciel zbiegów, a na to nie muszę mieć licencji. Mogę to robić głównie w domu, na komputerze.

– Mógłbym ci pomóc – oferuje Holly. – To znaczy z komputerami. Nie chcę naprawdę

kogoś ścigać. Raz mi wystarczy.

– A co z Hartsfieldem? – pyta Jerome. – Coś nowego czy po staremu?

– Po staremu – odpowiada Hodges.

– Wszystko mi jedno – oświadcza Holly. Mówi wyzywającym tonem, ale po raz pierwszy od przyjazdu do parku McGinnis przygryza wargę. – Zrobiłabym to jeszcze raz. – Zaciska pięści. – I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz!

Hodges bierze jedną pięść i otwierają łagodnie. Jerome robi to samo z drugą.

– Oczywiście, że byś zrobiła – mówi Hodges. – Dlatego burmistrz dał ci medal.

– Nie wspominając o darmowych przejazdach autobusami i wstępie do muzeów – dodaje Jerome.

Holly trochę się odpręża.

– Po co mam jeździć autobusem, Jerome? Mam dużo pieniędzy w funduszu powierniczym i mam mercedesa kuzynki Olivii. To cudowny samochód. I taki mały przebieg!

– Żadnych duchów? – pyta Hodges. Nie żartuje; jest autentycznie ciekawy.

Holly przez chwilę nie odpowiada, tylko patrzy na wielkiego niemieckiego sedana zaparkowanego obok importowanego japońskiego samochodziku Hodgesa. Wreszcie przestała przygryzać wargę.

– Najpierw były – przyznaje – i już chciałam go sprzedać. Ale zamiast tego kazałam go przemaalować. To był mój pomysł, nie doktor Leibowitz. – Spogląda na nich z dumą. – Nawet jej nie zapytałam.

– A teraz? – Jerome wciąż trzyma ją za rękę. Pokochał Holly, chociaż czasami bywa trudna. Obaj ją pokochali.

– Błękit to kolor wybaczenia – oznajmia Holly. – Czytałam o tym kiedyś w wierszu. – Przerzywa. – Bill, dlaczego płaczesz? Myślisz o Janey?

Tak. Nie. Tak i nie.

– Płacę, bo tu jesteśmy – odpowiada. – W piękny jesienny dzień, całkiem jak lato.

– Doktor Leibowitz mówi, że płacz jest dobry – informuje go rzeczowo Holly. – Mówi, że łzy obmywają emocje.

– Może ma rację. – Hodges pamięta, jak Janey nosiła jego kapelusz. Jak go przekrzywiła akurat pod odpowiednim kątem. – No więc wypijemy w końcu tego szampana czy nie?

Jerome trzyma butelkę, a Holly nalewa. Podnoszą kieliszki.

– Za nas – wznosi toast Hodges.

Powtarzają jak echo. I piją.

Pewnego deszczowego wieczoru w listopadzie 2011 roku pielęgniarka biegnie korytarzem Kliniki Traumatycznych Uszkodzeń Mózgu Krainy Jezior, oddziału John M. Kiner Memorial, głównego miejskiego szpitala. W TUM jest kilku pacjentów, których pobyt jest opłacany z funduszy charytatywnych, a wśród nich jeden osławiony... chociaż jego niesława trochę zbladła z czasem.

Pielęgniarka się obawia, że naczelny neurolog kliniki już wyszedł, ale on wciąż jest w pokoju lekarskim i przegląda karty pacjentów.

– Pewnie pan zechce to zobaczyć, doktorze Babineau. To pan Hartsfield. Obudził się. – Lekarz tylko podnosi wzrok, ale następne słowa pielęgniarki podrywają go na nogi. – Mówił do mnie.

– Po siedemnastu miesiącach? Niezwykłe. Jest pani pewna?

Pielęgniarka jest zarumieniona z przejęcia.

– Tak, panie doktorze, absolutnie.

– Co powiedział?

– Mówi, że głowa go boli. I pyta o matkę.

14 września 2013

NOTA OD AUTORA

Chociaż rzeczywiście istnieje coś takiego jak „kradzież pisku” (jak w PKE), nie jest możliwa w przypadku mercedesów benzów SL500 wyprodukowanych w epoce pasywnych kluczy elektronicznych. SL500; jak wszystkie benze, to samochody o wysokich parametrach z zabezpieczeniami wysokiej klasy.

Podziękowania należą się Russowi Dorrowi i Dave’owi Higginsowi, którzy pomogli w zbieraniu materiałów. Również mojej żonie Tabicie, która lepiej ode mnie zna się na telefonach komórkowych, i mojemu synowi, pisarzowi Joemu Hillowi, który pomagał mi rozwiązywać problemy wskazane przez Tabithę. Jeśli mi się udało, to dzięki ich wsparciu. Jeśli nie, to przez mój brak zrozumienia.

Nan Graham ze Scribner jak zwykle wykonała znakomitą redakcyjną robotę, a mój syn Owen zrobił cenną drugą redakcję. Mój agent, Chuck Verrill, jest kibicem Jankeś, ale i tak go kocham.

PRZYPISY

[1] James M. Cain, *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*. [2] Masakra w Columbine High School – jedno z największych masowych zabójstw na terenie placówek oświatowych w historii Stanów Zjednoczonych; doszło do niej 20 kwietnia 1999 roku. [3] Happy slapping – młodzieżowa moda pochodząca z Wielkiej Brytanii, polegająca na atakowaniu (najczęściej biciu) przypadkowych osób i filmowaniu komórkami całego zajścia, po czym filmy te rozpowszechnia się dla rozrywki, głównie przez internet. [4] Euell Gibbons – amerykański propagator naturalnego żywienia, zwłaszcza jedzenia dzikich roślin. [5] *Titties* (ang.) – cycki. [6] Ieoh Ming Pei (ur. 26 kwietnia 1917 w Kantonie) – amerykański architekt modernistyczny i postmodernistyczny chińskiego pochodzenia, laureat Nagrody Pritzкера. [7] Whiteyville (ang.) – Miasteczko Białych. [8] Sexting (złepak słów *sex* i *texting* – przesyłanie przez komórkę i internet nagich zdjęć o podtekście erotycznym, często bez zgody fotografowanej osoby. [9] Slurpee – napój z kruszonego lodu i soku owocowego. [10] Panika jądra (*kernel panic*) – komunikat wyświetlany przez system operacyjny Unix po wykryciu wewnętrznego błędu jądra systemu, co powoduje zawieszenie albo przeładowanie komputera; należy wówczas zresetować system. [11] Karen Anne Carpenter (ur. 2 marca 1950, zm. 4 lutego 1983) – amerykańska piosenkarka i perkusistka, założycielka wspólnie z bratem Richardem Carpenterem popularnego zespołu muzycznego The Carpenters. Zmarła w wyniku anoreksji. [12] Nawiązanie do biblijnego Poematu o dziełnej niewieście, Księga Przysłów 31,10 i 31,13. [13] Syn Sama, David Richard Berkowitz – amerykański seryjny morderca, który w 1976 roku zastrzelił sześć osób i ranił siedem innych. [14] Amerykański internetowy serwis ogłoszeń drobnych, jego popularność w USA można przyrównać do popularności Allegro w Polsce. [15] RICO (Racketeer Influenced and Corrupt Organizations Act) – prawo federalne w Stanach Zjednoczonych wymierzone przeciwko zorganizowanej przestępczości, pozwalające ścigać przywódców syndykatów również za zbrodnie, które zlecili innym wykonawcom. [16] Citizens United – pravicowa organizacja polityczna w Stanach Zjednoczonych, popierająca interesy korporacji: „...ograniczony rząd, wolna przedsiębiorczość, silne rodziny, narodowa suwerenność i bezpieczeństwo”. [17] *When I want my opinion, I'll give it to you* – trawestacja cytatu z utworu rap *Yeah (Still Afilliated)* Anacrona: *When I want your opinion, I'll give it to you* (Kiedy zechcę poznać twoją opinię, to ci ją przekażę). [18] ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives, Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych) – agencja federalna Stanów Zjednoczonych, zajmująca się przestępstwami i zapobieganiem im, także przestrzeganiem regulacji i przepisów federalnych dotyczących alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych.

